



Henry James  
portret damy

Prószyński i S-ka

# Henry James

portret damy

Przełożyła  
Maria Skibniewska

Prószyński i S-ka



## SŁOWO WSTĘPNE

Wydając w 1881 roku *Portret damy*, Henry James dobiegał czterdziestki i miał w dorobku sześć powieści i dwa dłuższe opowiadania, nie licząc szkiców z podróży i esejów. Miał też za sobą doświadczenia podróży po Europie, pobyków we Włoszech i Francji, a od pięciu lat mieszkał w Anglii, która pozostała jego przybraną ojczyzną aż do śmierci w 1916 roku.

Był więc już wtedy uznanym i dojrzałym pisarzem, artystą świadomie konstruującym swoje dzieło i panującym nad techniką pisarskiego rzemiosła, chociaż nie osiągnął jeszcze wirtuozerii, jakiej dowodem są *Ambasadorowie*; tam na kilkuset stronicach powieści czytelnik nie znajdzie obrazu ani myśli nieprzefiltrowanych przez świadomość głównego bohatera, Strethera, nie dowie się niczego ponad to, co wiedział, obserwował i myślał Strether.

W *Portrecie damy* James jest jeszcze wszechobecnym i wszechwiedzącym narratorem, jak dziewiętnastowieczni mistrzowie, Balzac i Dickens. Nie ukrywa nawet, że wie więcej, niż objawia czytelnikowi, zwraca się do niego bezpośrednio, przedstawia mu się jako kronikarz życia Isabel Archer, którą nazywa „naszą bohaterką”. Nie ukrywa też osobistego stosunku do tej postaci, niechęci i skrupułów, gdy w imię prawdy musi ujawnić jej niekonsekwencje lub słabości. Sentyment, jaki do niej żywi, jest tym bardziej zrozumiały, że wzorem czy przynajmniej bodźcem do tego portretu – jak sam wyznał, chociaż nieskory do osobistych zwierzeń – była urocza kuzynka, Mary Temple, zmarła w dwudziestym piątym roku życia. Zachował wspomnienia o niej, a ich echo powtarza się w wielu jego powieściach w różnych wersjach postaci młodych Amerykanek, kochających życie,

ciekawych świata i najczęściej w swoich nadziejach zawiedzionych.

W powieści Ralph Touchett chce odgadnąć, co ze swego życia zrobi piękna kuzynka, próbuje nawet reżyserować jej przyszłość. Można sobie wyobrazić, że podobnie James po śmierci kuzynki rozmyślał o różnych możliwościach losu, który w jej przypadku nie mógł się urzeczywistnić.

Henry James pochodził z zamożnej rodziny amerykańskiej, wyróżniającej się wysokim poziomem intelektualnym, był synem myśliciela, który w pewnym okresie stał się wyznawcą mistycznych teorii Swedenborga, i bratem znakomitego psychologa, współtwórcy pragmatyzmu. Kształcił się najpierw w szkołach europejskich, a potem na amerykańskim Uniwersytecie Harvarda; ojciec jego uważał, że nie należy wychowywać dzieci tak, by „zakorzeniły się w jednej określonej religii, w jednym ustroju politycznym i kodeksie moralnym”. Bostończyk z urodzenia, Europejczyk z kultury, „najbardziej cywilizowany pisarz epoki”, jak nazwał go Joseph Conrad, nie przestał być Amerykaninem, chociaż na krótko przed śmiercią przyjął w 1915 roku obywatelstwo brytyjskie. W całej jego twórczości głównym tematem jest konfrontacja dwóch kultur i postaw – młodej purytańskiej Ameryki i wyrafinowanej, sceptycznej starej Europy. W *Portrecie damy* temat ten rozłożony jest na wiele głosów i reprezentowany przez kilka bardzo subtelnie zróżnicowanych postaci, zgrupowanych wokół bohaterki. Mamy więc nie „portret”, lecz całą galerię Amerykanów w różnym stopniu zeuropeizowanych – od Osmonda, który właściwie nie zna kraju swego urodzenia za Atlantykiem, aż po przezabawną w swej na wskroś amerykańskiej naiwności dziennikarkę, która pierwszy raz w życiu zwiedza Europę. Ale obok tego najbardziej rzucającego się w oczy i we wszystkich poświęconych Jamesowi pracach krytycznych podkreślanego tematu jest inny, głębszy, na który zwraca uwagę Graham Greene w przedmowie do londyńskiego wydania *Portretu damy* z 1943 roku, temat zdrady czyhającej na niewinne ofiary.

James, dyskretny, ironiczny krytyk kapitalistycznego świata – w *The Ivory Tower* mówi o „czarnych, bezlitosnych rzeczach, które kryją się za wielkim majątkiem” – najzawzięciej tropi zło tkwiące w naturze ludzkiej. W wielu jego powieściach czysta istota, niepodejrzewająca zdrady, staje się ofiarą ludzkiej przewrotności, a także własnych złudzeń. Isabel Archer, która pragnie stać się idealnym portretem damy i kształtować swoje życie jak dzieło sztuki, daje się schwytać w sidła nie tylko własnej próżności – „chce robić zawsze dobre wrażenie i być naprawdę jeszcze lepsza, niż się wydaje” – ale nie dostrzega, że to inni ludzie – Ralph w najlepszych intencjach, madame Merle dla osobistych korzyści – reżyserują jej dramat. Jest to z pewnością jeden z najwnikliwszych psychologicznych portretów kobiecych w literaturze anglosaskiej dziewiętnastego wieku. Bezlitosny w analizowaniu natury ludzkiej, James współczuje jednak nie tylko ofiarom, lecz także sprawcom zła, a nawet tym, którzy – jak pani Touchett – nie są zdolni współczuć nikomu. Wydaje się, że chce również oszczędzić wrażliwość czytelnika – który w toku lektury polubił bohaterkę – bo nie zamykając powieści nieodwołalnym finałem, pozostawia otwartą perspektywę przyszłości.

Twórczość Jamesa, za życia cenionego i uznawanego powieściopisarza, doczekała się w latach czterdziestych naszego wieku wznowionego, wręcz entuzjastycznego zainteresowania. *Portret damy*, tradycyjny w formie, ale odkrywczy w psychologicznej analizie, nie jest książką, którą czyta się jednym czy nawet kilku haustami, ale warto rozsmakować się w jej subtelnościach, niezwykle czystej atmosferze, w kunszcie pisarza zadowolającym najwybredniejszy gust. Wiele lat po napisaniu *Portretu damy*, w przedmowie do amerykańskiego wydania autor nazwał go „portretem młodej kobiety, która sprzeciwiła się swojemu przeznaczeniu”, a najprościej i najkrócej można by powiedzieć, że jest to historia młodości pięknej kobiety z dziewiętnastego wieku, która miała wzniosłe ideały i wrażliwe sumienie i którą spotkało w życiu wiele niespodzianek.

*Maria Skibniewska*



## ROZDZIAŁ I

Niewiele jest w życiu godzin miłszych niż pora obrządku zwanego popołudniową herbatą. W pewnych okolicznościach sama ta sytuacja sprawia nam przyjemność, niezależnie od tego, czy pijemy herbatę, czy też nie, bo oczywiście są osoby, które jej nie piją. Scena, od której opisu zamierzam rozpocząć tę prostą opowieść, stanowiła czarujące tło tej właśnie niewinnej rozrywki. Wszystkie rekwizyty małej uczyty znajdowały się już na trawniku za starym wiejskim angielskim domem, w doskonałej pełni, że się tak wyrażę, pięknego letniego popołudnia. Część popołudnia minęła, ale do wieczora zostało jeszcze sporo czasu i to, co zostało, było najwyższej, najsubtelniejszej jakości. Choć prawdziwy zmierzch miał zapaść dopiero za kilka godzin, już zaczął się odpływ letniego światła, powietrze złagodniało, cienie wydłużały się na gładkiej, gęstej murawie. Wydłużały się jednak powoli i całą atmosferę przenikał spokój, który rodzi się ze świadomości, że ma się przed sobą dużo wolnego czasu, i który stanowi chyba główne źródło przyjemności doznawanej w takich sytuacjach i o tej porze dnia. Godziny od piątej do ósmej mogą się niekiedy wydawać małą wiecznością, w tym jednakże przypadku czas ów mógł być jedynie wiecznością błogości; osoby cicho się nią rozkoszujące nie należały do płci, z której zazwyczaj rekrutują się najwytrwalsi uczestnicy wspomnianych przed chwilą obrzędów. Proste i kanciaste cienie na doskonale wypielęgnowanym trawniku rzucały trzy postacie: starszy pan, siedzący w głębokim wiklinowym fotelu obok stolika z zastawą do herbaty, i dwaj młodsi mężczyźni, którzy przed nim spacerowali tam i z powrotem, rozmawiając swobodnie. Starszy pan miał w ręku filiżankę – wyjątkowo dużą, inną niż reszta serwisu, malowaną jaskrawymi kolorami. Sącył napój bardzo ostrożnie, bez pośpiechu, za każdym łykiem trzymając filiżankę długo przy ustach, twarzą zwrócony ku domowi. Dwaj młodsi panowie albo już skończyli herbatę, albo była im ona



obojętna; przechadzając się, palili papierosy. Jeden z nich od czasu do czasu w przelocie rzucał uważne spojrzenie na starca, który nie wiedząc, że jest obserwowany, nie odrywał wzroku od ciemnoczerwonej fasady swojej rezydencji. Dom wznoszący się nad trawnikiem zasługiwał na taką kontemplację i był najbardziej charakterystycznym szczegółem na wskroś angielskiego obrazu, który starałem się tu naszkicować.

Stał na niskim wzgórzu, nad rzeką – a była to Tamiza o jakieś czterdzieści mil od Londynu. Długa szczytowa ściana z czerwonej cegły – na której czas i klimat wypróbowały rozmaite malarskie sztuczki, wszystkie jednak w rezultacie upiększające i wysubtelniające – wznosiła się nad trawnikiem obrośnięta kożuchem bluszczu, zwieńczona grupą kominów, z oknami niknącymi w gęstwie pnączy. Rezydencja miała imię i historię; starszy pan chętnie by opowiedział przy herbacie, że zbudowano ten dom za Edwarda VI, że udzielił on kiedyś na jedną noc gościny wielkiej królowej Elżbiecie (której dostojna postać spoczęła na olbrzymim, wspaniałym i straszliwie kanciastym łożu, stanowiącym po dziś dzień najokazalszy mebel w apartamentach sypialnych), że mocno został poszczerbiony i zeszpecony w czasie wojen Cromwella, że go później w okresie Restauracji naprawiono i znacznie powiększono i że wreszcie, po przeróbkach i niefortunnych zmianach wprowadzonych w XVIII wieku, dostał się w troskliwe ręce roztropnego amerykańskiego bankiera, który kupił go (w okolicznościach zbyt skomplikowanych, aby je tutaj wyłuszczać) początkowo tylko dlatego, że transakcja była wyjątkowo korzystna; bankier zdecydował się na kupno, ale bardzo narzekał na brzydotę, starość i niewygodę tej budowli; teraz jednak, po dwudziestu latach, nie wypierał się namiętnego zachwyty dla swojego domu, znał wszystkie jego estetyczne walory, mógłby doradzić, jaki obrać punkt obserwacyjny, by je najlepiej ocenić, wiedział, o której godzinie cienie różnych wypukłości, padające – jakże miękko! – na rozgrzaną, spatynowaną powierzchnię cegieł, przybierają najpiękniejsze proporcje. Poza tymi, o których mówiłem, starszy pan umiałby

wyliczyć wielu innych właścicieli domu i jego mieszkańców, wśród których nie brakowało ludzi wielkiej sławy; opowiedziałby to wszystko z cichym przeświadczeniem, że ostatni rozdział historii siedziby jest nie mniej zaszczytny od wcześniejszych.

Główne wejście do domu nie znajdowało się w fasadzie widocznej z trawnika, lecz po przeciwnej stronie i w innej części budynku. Ten zakątek był całkowicie odgradzony od świata i zaciszny, a ogromny dywan trawnika okrywający płaski szczyt wzgórza zdawał się należeć do jakiegoś wspaniałego wnętrza. Wysokie spokojne dęby i buki rzucały cień gęsty jak aksamitne kotary, a trawnik był umeblowany jak salon wyściełanymi fotelami, mienił się kolorami pledów, na murawie zaś leżały książki i pisma. Rzeka płynęła dość daleko stąd; właściwy trawnik kończył się na linii, od której teren zaczynał opadać, a z krawędzi po zboczu prowadziła nad wodę urocza ścieżka.

Starszy pan siedzący obok stolika przybył przed trzydziestu laty z Ameryki i oprócz bagaży przywiózł stamtąd swoją fizjonomię; nie tylko przywiózł, lecz zachował w dobrej formie, tak że mógłby ją spokojnie, w razie potrzeby, zabrać z powrotem do ojczystego kraju. Jednakże było oczywiste, że teraz już zapewne nie myśli o przeprowadzce; odpoczywał po latach wędrówek w oczekiwaniu na bliski wielki odpoczynek. Miał męską, gładko wygoloną twarz o regularnych rysach, na której malował się wyraz pogodnej bystrości. Nie ulegało wątpliwości, że ta twarz nie potrafi wiele wyrazić, tym bardziej zasługiwała więc na uwagę jego inteligentna i zadowolona mina. Zdawała się świadczyć, że człowiek ten ma za sobą szczęśliwe życie, a zarazem, że jego powodzenie nie było niezmacone i prowokujące zazdrość, lecz prawie tak niewinne jak porażki. Oczywiście był człowiekiem doświadczonego i obytym wśród ludzi, ale uśmiech, który pojawił się na jego szczupłych, szerokich policzkach i roziskrzył wesołością oczy, gdy starszy pan wreszcie odstawił ostrożnie filiżankę na stolik, miał niemal wieśniaczą prostotę. Ubrany był wytwornie, w doskonale wyczyszczony czarny strój, kolana jego wszakże okrywał pled, a stopy chroniły ciepłe

haftowane ranne pantofle. Piękny owczarek collie leżał w trawie w pobliżu fotela i wpatrywał się w swego pana z podobną czułością, z jaką on spoglądał na bardziej jeszcze dostojne oblicze domu. Mały ruchliwy foksterier kręcił się koło młodszych mężczyzn.

Jeden z nich, trzydziestopięcioletni, wspaniale zbudowany, miał twarz tak typowo angielską, jak nieangielska była twarz poprzednio opisanego pana – bardzo przystojną, czerstwą, szczerą i otwartą, o rysach pięknych i wyrazistych, z żywymi szarymi oczyma i bujną kasztanowatą brodą; wyglądał na człowieka wyjątkowo przez los uprzywilejowanego, obdarzonego przez naturę szczęśliwym, wysoce ucywilizowanym usposobieniem, tak że od pierwszego wejrzenia mógł się każdemu obserwatorowi wydać godny zazdrości. Miał na nogach wysokie buty z ostrogami, jak gdyby dopiero co zeskoczył z konia po długiej przejażdżce, a na głowie biały, z pozoru trochę za duży kapelusz; dłonie trzymał splecione za plecami, a w jednej z nich – dużej, białej i kształtnej – ścisnął parę przybrudzonych rękawiczek z grubej miękkiej skóry.

Drugi młody pan, wraz z nim przechadzający się po trawniku, reprezentował zupełnie inny typ, a chociaż mógł wzbudzić głębokie zainteresowanie, nikt, kto go widział po raz pierwszy, nie powziąłby mimowolnej myśli, że chciałby się znaleźć w jego skórze. Wysoki, chudy i kruchej budowy, miał brzydką, mizerną, dowcipną i czarującą twarz, której nie dodawały urody rzadkie wąsiki i baczki. Wyglądał na człowieka inteligentnego i chorego, a nie jest to nigdy szczęśliwe połączenie; ubrany był w brązową aksamitną kurtkę, a ręce chował w kieszeniach, i gest ten zdawał się świadczyć o nieuleczalnym nawyku. Poruszał się trochę chwiejnie, niepewnie, jakby niezbyt mocno trzymał się na nogach. Przechodząc przed siedzącym w fotelu starcem, za każdym razem obrzucał go uważnym spojrzeniem i porównując ich twarze w tych momentach, łatwo było zgadnąć, że to ojciec i syn. Ojciec wreszcie spotkał wzrok syna i odpowiedział mu łagodnym uśmiechem.

– Czuję się doskonale – oznajmił.

– Wypiłeś herbatę? – spytał syn.

– Tak, z przyjemnością.  
– Może chciałbyś jeszcze?  
Starszy pan zastanawiał się chwilę.  
– Nie, na razie nie, może później. – Mówił z amerykańskim akcentem.  
– Nie chłodno ci, ojcze? – zatroszczył się syn.  
Starszy pan z wolna przesunął dłoń po swoich udach.  
– Sam nie wiem. Póki nie dotknę, nic nie czuję.  
– Może ktoś mógłby cię wyręczyć – ze śmiechem odparł syn.  
– O tak, mam nadzieję, że zawsze znajdzie się ktoś gotowy współczuć ze mną, tak jak teraz lord Warburton. Prawda?  
– Oczywiście! – skwapliwie przytaknął lord Warburton. – Ale muszę stwierdzić, że wygląda pan świetnie.  
– Tak, pod wielu względami powodzi mi się doskonale. – Starszy pan spojrział na zielony pled i wygładził go na kolanach. – Od tylu lat, że zdążyłem przywyknąć i może dlatego już nie zdaję sobie z tego sprawy.  
– To właśnie najgorsza wada dobrego samopoczucia. Ale jeśli nam coś dolega, wiemy o tym aż za dobrze!  
– Zdaje mi się, że mamy trochę za wielkie wymagania – powiedział syn gospodarza.  
– Racja, jesteśmy z pewnością bardzo wymagający – szepnął lord Warburton.  
Wszyscy trzej milczeli przez chwilę; dwaj młodszy stali, patrząc na siedzącego w fotelu starszego pana, który wreszcie poprosił o drugą filiżankę herbaty.  
– Ten pled chyba okropnie przeszkadza panu? – spytał lord Warburton, gdy syn nalewał ojcu herbatę.  
– Och, nie, pled jest konieczny! – wykrzyknął młody mężczyzna w aksamitnej kurtce. – Proszę cię, nie podsuwaj ojcu takich pomysłów!  
– To pled mojej żony – wyjaśnił po prostu starszy pan.  
– No, jeśli wchodzi w grę sprawa sentymentu... – Lord Warburton usprawiedliwiającym gestem rozłożył ręce.  
– Myślę, że będę musiał oddać jej pled, kiedy wróci –

powiedział starszy pan.

– Nie ma o tym mowy! Zatrzyma ojciec pled i będzie nim okrywał swoje biedne stare nogi.

– Bardzo nieładnie, że tak znieważasz moje nogi – odparł starszy pan. – Zdaje się, że są równie dobre jak twoje.

– Proszę bardzo, moje wolno ci znieważać, nie mam nic przeciw temu – żartował syn, podając ojcu pełną filiżankę.

– Ano jesteśmy parą kulawych kacząt, niewielka chyba między nami różnica.

– Dziękuję za nazwanie mnie kaczątkiem. Herbata dobra?

– Trochę za gorąca.

– To się na ogół uważa za zaletę.

– Ach, tak, ma całe mnóstwo zalet – szepnął łagodnie starszy pan. – Wie pan – zwrócił się do lorda Warburtona – mój syn jest bardzo dobrą pielęgniarką.

– Ale chyba trochę niezgrabną? – spytał gość.

– O, nie, krząta się bardzo zręcznie, chociaż sam jest inwalidą. Nazywam go słabą podporą mojej słabości, bo on też jest chory.

– Dajże spokój, tato! – wykrzyknął brzydki młody człowiek.

– Niestety, to prawda, wolałbym, żeby było inaczej. Ale cóż, nic na to prawdopodobnie nie możesz poradzić.

– Spróbuję, to świetny pomysł! – odparł syn.

– A pan chorował kiedy w życiu? – zwrócił się starzec do lorda Warburtona.

Zagadnięty namyślał się dość długo, nim w końcu odpowiedział:

– Tak, proszę pana, raz, w Zatoce Perskiej.

– On sobie kpi z ojca! – wtrącił się syn. – Przecież to żart!

– Żarty żartami – spokojnie odparł starszy pan – ale wygląda pan na człowieka, który nigdy nie choruje.

– Jest chory z nudów, życie mu obrzydło. Właśnie mi o tym mówił. I bardzo się skarżył! – powiedział młody przyjaciel lorda Warburtona.

– Czy to prawda? – poważnie zapytał starszy pan.

– Tak. Pański syn nie umiał mnie pocieszyć. Trudno z nim rozmawiać, skończony cynik. W nic nie wierzy!

– To także głupi żart! – zaprotestował oskarżony o cynizm.

– To wina słabego zdrowia – wyjaśnił ojciec. – Fizyczne niedomagania wpływają na psychikę i poglądy. Wydaje mu się, że nigdy nie miał takich szans jak inni. Ale to tylko teoria, proszę pana, która nie psuje mu w praktyce humoru. Nie przypominam sobie, żebym go kiedykolwiek widział w złym usposobieniu, zawsze jest pogodny – tak jak dzisiaj. Często dodaje mi otuchy.

Tak scharakteryzowany syn spojrzał ze śmiechem na lorda Warburtona.

– Czy to panegiryk, czy też potępienie za lekkomyślność? Może ojciec wołałby, żebym swoje teorie wcielał w życie?

– Zobaczylibyśmy wtedy ciekawe rzeczy! – wykrzyknął lord Warburton.

– Mam nadzieję, że pan nie podziela jego teorii – rzekł starszy pan.

– Teorie Warburtona są gorsze od moich! Twierdzi, że jest znudzony. Ja nie nudzę się ani trochę, przeciwnie, życie wydaje mi się aż nadto interesujące.

– Aż nadto? O, do tego nie powinieneś dopuszczać.

– Tutaj nigdy się nie nudzę – powiedział lord Warburton. – Zawsze prowadzimy niezwykle ciekawe rozmowy.

– Czy to kolejny żart? – spytał sędziwy gospodarz. – Pan nie ma prawa nudzić się nigdzie! W pańskim wieku nie wiedziałem, że istnieje coś takiego jak nuda!

– Późno pan dojrzał.

– Nie! Właśnie dlatego, że dojrzałem bardzo wcześnie. Doprawdy, mając dwadzieścia lat, byłem już bardzo dojrzałym człowiekiem. Pracowałem od rana do nocy. Nie nudziłby się pan, mając coś do roboty, ale wy wszyscy, dzisiejsze młode pokolenie, jesteście leniwi. Za dużo myślicie o przyjemnościach. Jesteście zbyt wybredni, zbyt bierni i za bogaci.

– Za pozwoleniem! – wykrzyknął lord Warburton. – Komu jak komu, ale panu nie wypada oskarżać bliźnich o bogactwo.

- Dlatego, że jestem bankierem? – spytał starzec.
- Można i tak to uzasadnić, jeśli pan chce, ale przede wszystkim czyż pan sam nie ma ogromnego majątku?
- Ojciec już nie jest tak bardzo bogaty – syn miłośnierze pospieszył starcowi z pomocą. – Rozdał wielkie sumy.
- I były to, jak myślę, jego własne pieniądze – powiedział Warburton. – Czy to nie wystarcza za najlepszy dowód bogactwa? Dobroczyńca nie powinien innym ludziom wyrzucać, że za bardzo lubią przyjemności.
- Ojciec bardzo lubi przyjemności... innych ludzi.
- Starszy pan pokręcił głową.
- Nie sądzę, żebym się chociaż w najmniejszym stopniu przyczynił do uprzyjemnienia życia moich współczesnych.
- Ojczy, jesteś za skromny!
- To także żart, proszę pana – powiedział Warburton.
- Wy, młodzi, zbyt wiele żartujecie. A kiedy zabraknie dowcipu, nie zostaje wam nic.
- Na szczęście zawsze są nowe powody do żartów – zauważył młody człowiek.
- Nie wierzę w to. Wiem, że życie będzie stawało się coraz poważniejsze, a wy, młodzi, wreszcie przekonacie się o tym.
- Ależ sam fakt, że wszystko będzie coraz poważniejsze, dostarczy tematu do żartów!
- Byłyby to ponure żarty – odparł starszy pan. – Jestem pewny, że nastąpią wielkie zmiany, i nie wszystkie na lepsze.
- Zgadza się z panem – oświadczył lord Warburton. – Z pewnością czekają nas wielkie zmiany i będą się działy różne dziwne rzeczy. Właśnie dlatego trudno mi zastosować się do pańskich rad, pamięta pan, przed kilku dniami radził mi pan, „żeby chwycić się czegoś”. Ale jakże się zdecydować, skoro to, czego się chwycę, może lada chwila wylecieć w powietrze!
- Chwycić się jakiejś ładnej kobiety – powiedział jego towarzysz. – On chciałby się zakochać – wyjaśnił, zwracając się do ojca.
- Ładne kobiety także mogą wylecieć w powietrze! – odparł

lord Warburton.

– Nie! – zapewnił go starszy pan. – Ładne kobiety są potęgą. Społeczne i polityczne wstrząsy, które miałem na myśli, ich nie dotkną.

– To znaczy, że nie zostaną zniesione? Świetnie! W takim razie chwycę jedną z nich i zawiążę ją sobie na szyi jak koło ratunkowe!

– Kobiety nas wybawią – rzekł starszy pan. – Mówię o najlepszych, bo są różne. Niech pan znajdzie dobrą żonę, a życie stanie się dla pana znacznie bardziej interesujące.

Chwila ciszy wyraziła może ze strony słuchaczy hołd dla wielkoduszności tych słów, bo zarówno syn, jak i gość wiedział, że osobiste doświadczenia matrymonialne starszego pana nie były szczęśliwe. Jednakże, jak powiedział, są różne kobiety. Może w tym zdaniu kryło się przyznanie do własnego błędu; ale oczywiście żaden z partnerów rozmowy nie pozwoliłby sobie na nietakt przypominania mu, że dama, którą sobie wybrał, z pewnością nie należy do kategorii najlepszych.

– A więc powiada pan, że jeśli ożenię się z interesującą kobietą, będę nią zainteresowany? – spytał lord Warburton. – Wcale nie mam ochoty żenić się, pański syn fałszywie przedstawił moje życzenia. Nigdy jednak nie można przewidzieć, co by ze mnie zrobiła interesująca kobieta.

– Chciałbym zobaczyć, jak wygląda twój ideał interesującej kobiety.

– Ależ, mój drogi, ideałów nie można zobaczyć, zwłaszcza tak mglistych jak moje. Gdybym sam widział je wyraźnie, byłby to już znaczny postęp.

– No, niech się pan zakocha, w kim zechce, byle nie w mojej siostrzenicy – powiedział starszy pan.

Jego syn wybuchnął śmiechem.

– Warburton pomyśli, że ojciec próbuje go sprowokować! Ojczy kochany, mieszkasz od trzydziestu lat wśród Anglików, przyswoiłeś sobie mnóstwo ich powiedzeń, ale nie dowiedziałeś się, o czym oni nie mówią nigdy.



– Mówię, co mi się podoba – odparł z niezmaconym spokojem starszy pan.

– Nie mam zaszczytu znać pańskiej siostrzenicy – powiedział lord Warburton. – A nawet nigdy dotychczas nie słyszałem nic o niej, jeśli mnie pamięć nie myli.

– To właściwie siostrzenica mojej żony; pani Touchett przywiezie ją do Anglii.

Młody Touchett wyjaśnił:

– Wiesz, matka spędziła zimę w Ameryce. Spodziewamy się jej lada chwila. Pisała, że odkryła siostrzenicę i że zaprosiła ją do Gardencourt.

– Ach, tak, to bardzo miło z jej strony – stwierdził lord Warburton. – Czy ta młoda osoba jest interesująca?

– Nie wiemy o niej wiele więcej niż ty, matka poskapała nam szczegółów. Koresponduje z nami głównie za pośrednictwem telegramów i są to teksty dość zagadkowe. Mówi się, że kobiety nie umieją redagować depeesz, ale moja matka doszła do mistrzostwa w sztuce zwięzłości. Oto przykład komunikatów, które od niej dostajemy: „Zmęczona Ameryką. Okropne upały. Wracam do Anglii pierwszym statkiem znośną kajutą.”

Tak brzmiał ostatni jej telegram. Ale w jednym z poprzednich, jak się zdaje pierwszym, w którym znalazła się wzmianka o siostrzenicy, przeczytaliśmy: „Zmieniłam hotel. Okropny bezczelny szef recepcji. Podaję nowy adres. Przywiozę do Europy córkę siostry. Umarła rok temu. Dwie siostry. Całkowita niezależność.”

Nad tą łamigłówką zastanawiamy się dotychczas obaj z ojcem, tekst można interpretować na wiele sposobów.

– Jedno jest jasne – powiedział starszy pan – a mianowicie, że dała szkołę szefowi recepcji.

– Ja nawet tego nie jestem pewny, przecież to on ją wypłoszył z hotelu. Z początku mieliśmy wrażenie, że chodzi o siostrę tego bezczelnego człowieka, ale późniejsze wzmianki o siostrzenicach pozwoliły wywnioskować, że to córka którejś z moich ciotek. Druga wątpliwość: czyimi siostrami są wspomniane

dwie siostry; prawdopodobnie mowa wciąż o córkach zmarłej ciotki. Ale kto jest „całkowicie niezależny”? W jakim sensie użyto tego określenia? Tych problemów jeszcze nie rozwiązaliśmy. Czy dotyczy wyłącznie dziewczyny, którą matką wzięła pod swoje skrzydła, czy też obejmuje również jej siostry? Czy mowa o niezależności moralnej, czy też materialnej? Czy znaczy to, że siostrzenice są zamożne, czy też że nie chcą się do niczego zobowiązywać, czy też, po prostu, że lubią same o sobie decydować?

– Ostatnia hipoteza wydaje mi się niewątpliwie prawdziwa, nawet jeśli twoja matka co innego miała na myśli – stwierdził pan Touchett.

– Wkrótce przekonacie się na własne oczy – rzekł lord Warburton. – Kiedy te panie mają przyjechać?

– Nie znamy dnia ani godziny: gdy trafi się statek ze znośną kajutą. Możliwe, że matka jeszcze na niego czeka, ale niewykluczone, że już zeszła z pokładu na ziemię angielską.

– W takim razie chyba dałaby znać depeszą?

– Nigdy nie depeszuje wtedy, kiedy można by się tego spodziewać, tylko w zupełnie nieoczekiwanych momentach – powiedział starszy pan. – Lubi mnie zaskakiwać, może wyobraża sobie, że przyłapie mnie na jakimś gorącym uczynku. Dotychczas to jej się nie udało, ale nie straciła nadziei.

– To się tłumaczy wspólną w jej rodzinie cechą, cechą niezależności, o której wspomniała w depeszy – bardziej życzliwie ocenił zwyczaj pani Touchett jej syn. – Choćby te młode osoby tryskały wielką energią, moja matka nie da im się pod tym względem prześcignąć. Lubi wszystkie sprawy załatwiać samodzielnie i nie wierzy, żeby ktoś był zdolny jej w czymkolwiek pomóc. Ja jestem w jej oczach równie bezużyteczny jak znaczek pocztowy bez kleju, i nie wybaczyłaby mi, gdybym ośmielił się pojechać na jej spotkanie do Liverpoolu.

– Czy przynajmniej zawiadomisz mnie o przyjeździe kuzynki? – spytał lord Warburton.

– Pod warunkiem, który już panu postawiłem – odparł za

syna starszy pan.

– Ta surowość jest chyba niesprawiedliwa. Czy wydaję się panu niegodny?

– Jest pan aż zanadto godny, ale nie chciałbym, żeby pana poślubiła. Nie przyjeżdża tutaj szukać męża, mam nadzieję, bo wiele panien to robi, jak gdyby nie miały w swojej ojczyźnie dość kandydatów. Zresztą prawdopodobnie jest już zaręczona, o ile mi wiadomo, prawie wszystkie młode Amerykanki mają narzeczonych. A poza tym wcale nie jestem pewny, czy pan byłby bardzo dobrym mężem.

– Możliwe, że jest zaręczona, jak większość amerykańskich panien, które spotykałem, ale słowo daję, nie zauważyłem, żeby to stanowiło wielką przeszkodę. Co do tego, czy byłbym dobrym mężem, sam nie mam pewności. Trzeba by spróbować, żeby się dowiedzieć.

– Niech pan próbuje, ile zechce, byle nie z moją siostrzenicą  
– zaoponował żartobliwie starszy pan, uśmiechając się przy tym.

– Ano trudno! – takim samym, a nawet jeszcze bardziej żartobliwym tonem odpowiedział lord Warburton. – W końcu nie wiadomo, czy ta panna jest warta zachodu!

## ROZDZIAŁ II

Gdy obaj panowie tak się przekomarzali, Ralph Touchett oddalił się nieco – po swojemu powłócząc nogami, z rękami w kieszeniach – w asyście wesołego foksteriera. Szedł w kierunku domu, ale odwracał głowę, spoglądając w zadumie na trawnik, toteż nie widział, że już od dłuższej chwili obserwuje go młoda kobieta, która właśnie zjawiła się w szerokich drzwiach domu. Jego uwagę zwrócił dopiero foksterier, który nagle puścił się pędem ku nieznajomej, poszczekując przenikliwie, raczej jednak tonem powitania niż groźby. Młoda dziewczyna poznała się na tym od razu. Piesek dopadł jej stóp i zatrzymał się, zadzierając w górę łebek i ujadając zawzięcie, ale ona bez wahania schyliła się, chwyciła go w ramiona i podniosła tak, że jego pyszczek, poszczekujący wytrwale, znalazł się tuż obok jej twarzy. Tymczasem Ralph zdążył dogonić psa i stwierdzić, że nową przyjaciółką Bunchiego jest wysoka młoda kobieta, ubrana w czarną suknię, która od pierwszego rzutu oka wydała mu się bardzo ładna. Nie miała na głowie kapelusza, z czego wynikało, że jest mieszkanką domu; syn gospodarza był więc zaskoczony, bo od dłuższego czasu, ze względu na stan zdrowia starszego pana, nie przyjmowano w Gardencourt gości. Teraz już dwaj inni panowie także spostrzegli obecność nowej osoby.

– Skąd się tu wzięła ta nieznajoma pani? – zdziwił się pan Touchett.

– To zapewne siostrzenica pańskiej żony, niezależna młoda Amerykanka – domyślił się lord Warburton. – Łatwo to zgadnąć ze sposobu, w jaki poradziła sobie z pieskiem.

Collie też w końcu zwrócił uwagę na stojącą w drzwiach osobę i ruszył ku niej, machając z wolna ogonem.

– Gdzież w takim razie podziewa się moja żona? – szepnął starszy pan.

– Młoda Amerykanka prawdopodobnie zostawiła ją gdzieś po

drodze, to jeszcze jeden dowód niezależności.

Dziewczyna, wciąż trzymając foksteriera w objęciach, zwróciła się z uśmiechem do Ralpa:

– To pana piesek?

– Był mój przed chwilą, ale teraz wydaje się, że znalazł nową właścicielkę.

– Czy nie mógłby należeć do nas obojga? – spytała. – Śliczny, przemiły pieseczek!

Ralph patrzył na nią przez długą chwilę. Była nadspodziewanie ładna.

– Daję go pani w prezencie – powiedział.

Dziewczyna, chociaż zdawała się mieć dużo zaufania do siebie i innych, zarumieniła się, stropiona tym nieoczekiwanym gestem.

– Powinam najpierw przedstawić się, jestem prawdopodobnie pańską kuzynką... – urwała, wypuszczając pieska na wolność. – O, drugi! – dodała szybko, bo zbliżył się collie.

– Prawdopodobnie? – wykrzyknął młody człowiek ze śmiechem. – Myślałem, że to fakt niewątpliwy. Przyjechałaś z moją matką?

– Tak, pół godziny temu.

– Czy matka podrzuciła cię tutaj, a sama pojechała dalej?

– Nie, nie. Poszła prosto do swojego pokoju, a mnie prosiła, na wypadek gdybym cię spotkała, żebym ci powtórzyła, że masz się do niej zgłosić za kwadrans siódma.

Ralph spojrział na zegarek.

– Dziękuję! Stawię się punktualnie. – Podniósł wzrok na kuzynkę. – Witamy! Bardzo mnie cieszy, że się poznaliśmy.

Przyglądała się bystrym wzrokiem wszystkiemu: kuzynowi, obu psom, dwóm panom na trawniku w cieniu drzew, całej tej przepięknej scenerii, która ją otaczała.

– W życiu nie widziałam równie uroczego miejsca. Zwiedziłam już dom i jestem zachwycona.

– Szkoda, że jesteś tu już od pół godziny, a my o tym nie wiedzieliśmy!

– Twoja matka wytłumaczyła mi, że w Anglii takie są zwyczaje i wypada przyjeżdżać dyskretnie, myślałam, że tak właśnie trzeba. Czy jeden z tych panów to twój ojciec?

– Tak, ten starszy, w fotelu – potwierdził Ralph.

Dziewczyna roześmiała się z cicha.

– Młodsze o to nie podejrzewałam. Kto to taki?

– Jeden z naszych przyjaciół, lord Warburton.

– Och, przeczuwałam, że będzie jakiś lord! Zupełnie jak w powieści. – Po chwili wykrzyknęła nagle: – Mój najśliczniejszy! – I schyliła się, żeby znowu wziąć pieska na ręce.

Stała wciąż w drzwiach, tam gdzie zaczęli rozmowę, i zdawało się, że wcale nie zamierza podejść do pana Touchetta i przedstawić mu się, a Ralph, obserwując jej smukłą, śliczną postać, zastanawiał się, czy dziewczyna nie oczekuje, że starzec przyjdzie ją witac. Wszystkie Amerykanki przyzwyczajone są do wielkich względów ze strony mężczyzn, a ta podobno odznaczała się szczególną dumą. To zresztą mógł wyczytać z jej twarzy.

– Może byś podeszła do ojca? – zaryzykował jednak pytanie. – Z powodu wieku i kalectwa nie może wstać z fotela.

– Och, biedny, jakże mu współczuję! – wykrzyknęła i natychmiast ruszyła naprzód. – Sądząc z tego, co mówiła twoja matka, wyobrażałam sobie, że jest raczej... raczej wyjątkowo energiczny!

Ralph milczał chwilę, nim odpowiedział:

– Matka nie widziała go od roku.

– W każdym razie spędza czas w przepięknym otoczeniu.

Chodź z nami, pieseczku.

– Tak, to piękna stara siedziba – szepnął Ralph, zerkając z ukosa na dziewczynę.

– Jak się nazywa? – spytała, zajęta znów foksterierem.

– Mój ojciec?

– Tak – odparła ze śmiechem – ale nie mów mu lepiej, że pytałam o jego imię.

Kiedy stanęli przed nim, starszy pan z wysiłkiem dźwignął się z fotela.

– Matka przyjechała – oznajmił Ralph – a to jest panna Archer.

Starszy pan położył ręce na jej ramionach, przyglądał jej się chwilę serdecznie, a potem ucałował szarmancko w oba policzki.

– Bardzo się cieszę, że cię tu widzę. Żałuję tylko, że nie mogliśmy cię przywitać jak należy.

– Och, przywitała nas służba, kilkanaście osób było w holu! – odparła dziewczyna. – A jakaś stara kobieta dygnęła, kiedy wjeżdżałyśmy w bramę.

– My przywitalibyśmy was pięknie, gdybyśmy byli uprzedzeni o waszym przyjeździe! – Starszy pan uśmiechał się, zacierał ręce i z wolna kiwał głową. – Ale moja żona nie lubi takich rzeczy.

– Ciocia poszła prosto do swojego pokoju.

– Tak, i pewno zamknęła drzwi na klucz. Jak zwykle. Prawdopodobnie zobaczę ją w przyszłym tygodniu. – To rzekłszy, mąż pani Touchett ostrożnie osunął się z powrotem na fotel.

– Wcześniej! – powiedziała panna Archer. – Ciocia zejdzie o ósmej na obiad. I nie zapomnij – zwróciła się z uśmiechem do Ralpha – za kwadrans siódma.

– Co ma się stać za kwadrans siódma?

– Mam być w pokoju matki.

– A to szczęściarz z ciebie! – stwierdził starszy pan. – A ty, moje dziecko, usiądź i napij się herbaty – zaproponował siostrzenicy.

– Przyniesiono mi herbatę do pokoju, jak tylko tam weszłam! – odpowiedziała dziewczyna. – Martwi mnie, że zastajemy wuja niezdrowego – dodała, patrząc w twarz sędziwego pana domu.

– No cóż, moja droga, jestem stary, pora, żebym się zestarzał. Ale będę się czuł zdrowszy, patrząc na ciebie.

Wodziła znów wzrokiem dokoła, po trawniku, wielkich drzewach, zarosłej sitowiem srebrzystej Tamizie, po fasadzie pięknego starego domu, a w swoim przeglądzie nie pominęła też trzech panów – zainteresowanie zrozumiałe u młodej kobiety, niewątpliwie inteligentnej i podnieconej nowością otoczenia.

Usiadła, puściła pieska w trawę, splotła białe ręce na czarnej sukni; siedziała z podniesioną głową, z błyszczącymi oczyma, a jej gibka postać swobodnie obracała się to w jedną, to w drugą stronę, czujnie reagując na wszystkie wrażenia. Było tych wrażeń wiele i wszystkie odzwierciedlały się w jej pogodnym, cichym uśmiechu.

– Nigdy nie widziałam nic równie pięknego!

– Tak, to jest urocze miejsce – przyznał starszy pan. –

Rozumiem cię, kiedyś przeżywałem to podobnie. Ale ty sama jesteś piękna – dodał miło, wcale niezartobliwym tonem, świadomie i z satysfakcją wykorzystując przywilej podeszłego wieku, który pozwalał mu mówić tak otwarcie nawet do młodej dziewczyny, bez obawy, że ją spłoszy.

Trudno dokładnie ocenić, w jakim stopniu zaniepokoił ją ten komplement; jednakże wstała i zarumieniła się, chociaż nie próbowała zaprzeczać.

– O, tak, jestem ładna – powiedziała i zaśmiała się z cicha. – To bardzo stary dom, prawda? Z czasów Elżbiety?

– Z wczesnego okresu Tudorów – wyjaśnił Ralph.

Odwróciła się ku niemu, uważnie obserwując wyraz jego twarzy.

– Wczesny okres Tudorów? Niesłychane! I pewno jest w Anglii więcej takich domów?

– Jest wiele jeszcze piękniejszych.

– Nie mów tak, synu! – zaprotestował starszy pan. – Nic nie może być piękniejsze.

– Mój dom też jest niezły, może nawet lepszy niż ten – odezwał się lord Warburton, który dotychczas milczał, ale pilnie przyglądał się pannie Archer. Ukłonił się jej lekko, z uśmiechem; był zawsze wzorowo uprzejmy wobec kobiet. Panna Archer błyskawicznie umiała to ocenić, a nie zapominała przy tym, że ma do czynienia z lordem. – Z przyjemnością pokazałbym go pani – dodał.

– Nie wierz mu! – zawołał starszy pan. – Nie ma co oglądać! To stara buda, nie można jej porównać z moim domem.

– Nie widziałam, więc nie wiem, co sądzić – odparła



dziewczyna, uśmiechając się do lorda Warburtona.

Ralph Touchett nie zdradzał najmniejszego zainteresowania tą dyskusją; stał z rękami w kieszeniach i najwidoczniej miał ochotę nawiązać znów rozmowę ze świeżo odkrytą kuzynką.

– Lubisz psy? – spytał, żeby jakoś zagaić rozmowę. Sam chyba zdawał sobie sprawę, że nie był to zbyt zręczny początek jak na tak inteligentnego człowieka.

– Bardzo!

– Pamiętaj, Bunchie należy do ciebie – brnął – wciąż dość niezgrabnie – dalej.

– Tak, z przyjemnością będę go uważała za swojego pieska, przez cały czas pobytu tutaj.

– Mam nadzieję, że zostaniesz z nami jak najdłużej.

– To miło z twojej strony. Nie wiem. O wszystkim zadecyduje ciocia.

– Ja z nią o tym pomówię... za kwadrans siódma – powiedział Ralph, spoglądając na zegarek.

– W każdym razie cieszę się, że tu przyjechałam – odparła dziewczyna.

– Nie wierzę, że pozwalasz, by ktoś inny za ciebie decydował.

– Ależ tak, jeśli cudze decyzje podobają mi się, zgadzam się z nimi.

– W tym przypadku musi być tak, jak mnie się podoba – oświadczył Ralph. – Nie pojmuję, jak to mogło się stać, że się dotychczas nie znaliśmy.

– A ja przez cały czas istniałam tam, wystarczyło przyjechać i zobaczyłbyś mnie.

– Tam, to znaczy gdzie?

– W Stanach Zjednoczonych, w Nowym Jorku czy w Albany, czy w innych amerykańskich miastach.

– Byłem w Ameryce, ale nie spotkałem się z tobą. Nie rozumiem, dlaczego.

Panna Archer wahała się chwilę, zanim odpowiedziała:

– Po śmierci mojej matki, kiedy byłam jeszcze mała, doszło

do pewnych rozdzwięków między ojcem a ciocią. Toteż nie spodziewałam się, że kiedykolwiek was poznam.

– Ależ ja, broń Boże, nie biorę udziału w kłótniach mojej matki! – wykrzyknął Ralph. I poważnym już tonem spytał: – Ojca straciłaś niedawno, prawda?

– Przeszło rok temu. Później ciocia okazała mi wiele dobroci. Odwiedziła mnie i zaproponowała, żebym z nią pojechała do Europy.

– Ach, tak – powiedział Ralph. – Adoptowała cię.

– Adoptowała? – powtórzyła dziewczyna, otwierając szeroko oczy i rumieniąc się znowu; zdawała się dotknięta boleśnie, co mocno zaniepokoiło jej kuzyna. Nie przewidział takiego skutku swoich lekko rzuconych słów. W tym momencie podszedł do nich lord Warburton, nie ukrywając, że pragnie z bliska przyjrzeć się pannie Archer, która otworzywszy szeroko oczy, powiedziała: – Nie, nie adoptowała mnie. Nie jestem kandydatką do adopcji.

– Przepraszam cię stokrotnie! – szepnął Ralph. – Chciałem powiedzieć... chciałem powiedzieć... – ale sam już nie wiedział, co chciał powiedzieć.

– Chciałeś powiedzieć, że wzięła mnie pod swoje skrzydła. Racja, ciocia lubi brać innych pod swoje skrzydła. Jest dla mnie bardzo dobra, ale... ja bardzo sobie cenię wolność – zakończyła, wyraźnie starając się, żeby zabrzmiało to stanowczo.

– Rozmawiacie o pani Touchett? – zawołał z fotela starszy pan. – Chodź no tu, moja droga, i opowiedz mi o niej coś niecoś. Wdzięczny będę za wszelkie wiadomości o mojej żonie.

Dziewczyna uśmiechnęła się, ale nie od razu odpowiedziała.

– Ciocia ma naprawdę wiele dobrej woli. – Podeszła do wuja, którego jej odpowiedź bardzo ubawiła.

Lord Warburton został na uboczu z Ralphem i zwrócił się do niego, mówiąc:

– Przed chwilą życzyłeś sobie ujrzeć mój ideał interesującej kobiety. Oto mam go przed sobą!

### ROZDZIAŁ III

Pani Touchett niewątpliwie miała różne dziwactwa, których znamienym przykładem było jej zachowanie się w dniu powrotu do męża i domu po wielu miesiącach nieobecności. Wszystko zawsze robiła po swojemu. Tak można by najprościej określić jej charakter, zdolny do wspaniałomyślnych gestów, ale nigdy nieujmujący słodyczą. Pani Touchett czyniła ludziom wiele dobrego, lecz nie była dla nikogo miła. Z upodobaniem robiła wszystko po swojemu, nie znaczy to bynajmniej, że zawsze postępowała arogancko, tylko że jej poczynania różniły się od przyjętych przez innych ludzi, a przy tym były tak szorstkie, że co wrażliwsze osoby odczuwały je jak draśnięcie nożem. Ta właśnie wyrafinowana nieustępliwość przejawiała się w jej zachowaniu pierwszego dnia po powrocie z Ameryki, mimo iż wszystkie okoliczności powinny by ją skłonić do przywitania się przede wszystkim i bez zwłoki z mężem i synem. Pani Touchett z przyczyn, które jej wydawały się najśluszniesze, zawsze w takich sytuacjach szczerlnie zamykała za sobą drzwi swego pokoju i odkładała wszelkie sentymentalne obrządki na później, aby doprowadzić do porządku strój po podróży; trudno zgadnąć, dlaczego wydawało jej się to tak ważne, bo na pewno nie kierowała się umiłowaniem piękna ani próżnością. Nieładna i niemłoda, pozbawiona wdzięku i niezbyt elegancka, żywiła jednak głęboki respekt dla motywów swojego postępowania. Gdyby ktoś bardzo grzecznie poprosił ją o wyjaśnienie tych motywów, mogłaby je ujawnić, ale okazałyby się zupełnie różne od tych, które jej przypisywano. Żyła w faktycznej separacji z mężem, nie dostrzegała jednak w tym nic niewłaściwego. Pani Touchett już od wczesnych lat pożycia przekonała się niezbitcie, że nigdy jednocześnie nie pragnę tego samego, a to odkrycie skłoniło ją do ratowania się od wulgarnie przypadkowych nieporozumień. Zrobiła, co mogła, żeby rozdźwiękowi nadać moc prawa i zarazem

bardziej budujące pozory: wyjechała do Florencji, kupiła tam dom i osiedliła się w nim, pozostawiając męża na straży londyńskiego oddziału banku. To rozwiązanie bardzo jej się podobało; cechowała je pożądana nieodwołalność. W tym samym świetle widział je pan Touchett ze swego punktu obserwacyjnego w zamglonym Londynie, skąd chwilami żaden inny fakt nie wydawał mu się równie wyraźny; wołałby jednak, by tak nienaturalny stan rzeczy był nieco mniej oczywisty; zgoda na tę niezgodę kosztowała go sporo wysiłku, z każdym niemal innym wyjściem łatwiej by się pogodził niż z tym; nie mógł pojąć, dlaczego zgoda czy niezgoda muszą być tak straszliwie konsekwentne. Pani Touchett nie pozwalała sobie ani na żal, ani na rozmyślania; zwykle co roku spędzała jeden miesiąc z mężem i w okresie tej wizyty starała się go przekonać o słuszności swojej metody. Nie lubiła angielskiego stylu życia z trzech powodów, na które często się powoływała; dotyczyły błahych tradycyjnych zwyczajów, lecz w przekonaniu pani Touchett wystarczająco usprawiedliwiały wyjazd z tego kraju. Nie cierpiała chlebowego sosu, ponieważ jej zdaniem wyglądał jak kompres, a smakował jak mydło; potępiała brytyjskie służące, które piły piwo, i twierdziła, że brytyjskim praczkom daleko do mistrzostwa w swoim fachu (a bardzo dbała o wygląd bielizny). Regularnie odwiedzała swój kraj ojczysty, ale rzadko przebywała w Ameryce tak długo jak ostatnim razem.

Wzięta siostrzenicę pod swoje skrzydła, to nie ulegało wątpliwości. Na cztery miesiące przed opisanymi wyżej zdarzeniami, pewnego dżdżystego popołudnia, panna Archer siedziała samotnie nad książką. Mówiąc, że była zajęta lekturą, mówimy, że samotność jej nie dokuczała; żądza wiedzy tak była w tej dziewczynie gorąca, że zapładniała jej wyobraźnię, z natury bardzo żywą. W tym wszakże momencie sytuacji brakowało smaku świeżości i wniosła go dopiero niespodziewana wizyta. Nikt nie zaanonsował gościa; panna Archer sama w pewnej chwili usłyszała kroki w sąsiednim salonie. Działo się to w Albany, w starym, dużym dwurodzinnym domu, który postanowiono sprzedać, jak świadczyło ogłoszenie wywieszane w jednym z

okien parteru. Dom miał dwa wejścia, lecz od dawna używano wyłącznie jednego, chociaż drugie nie zostało zamurowane. Oba wyglądały identycznie: wielkie białe drzwi w łukowato sklepionej framudze, z dużymi bocznymi oknami wprawionymi w czerwoną kamienną ścianę małego ganeczka, z którego kilka schodków prowadziło na ceglany chodnik ulicy. Z dwóch domów utworzono jeden, usuwając dzielącą je ścianę i łącząc sąsiednie pokoje. Na piętrze było tych pokoi mnóstwo, a wszystkie jednakowo pomalowane żółtawobiałą, teraz już dość wyblakłą farbą. Na drugim piętrze dwie części domu łączył sklepiony korytarz, który Isabel i jej siostry w dzieciństwie nazywały tunelem, bo chociaż krótki i dobrze oświetlony, wydawał im się tajemniczy i odcięty od świata, zwłaszcza w zimowe popołudnia. Isabel często przebywała tu jako małe dziecko; dom ten należał wówczas do jej babki. Potem przez dziesięć lat nie odwiedzała Albany i wróciła tu dopiero na krótko przed śmiercią ojca. Babka, starsza pani Archer, póki wiek jej na to pozwalał, lubiła mieć dom pełen gości, głównie najbliższej rodziny, toteż wnuczki często spędzały pod jej dachem całe tygodnie, które Isabel zachowała w pamięci jako najszcześliwsze. Tryb życia był tutaj inny niż w domu rodziców, bardziej dostatni, urozmaicony, niemal stale odświeżony; w dziecinnym pokoju panowała bardzo łagodna dyscyplina, a możliwości przysłuchiwania się rozmowom dorosłych – co Isabel zawsze uważała za największą przyjemność – nie miały prawie granic. Ustawicznie ktoś przyjeżdżał albo wyjeżdżał; synowie, córki i wnuki pani tego domu najwidoczniej chętnie korzystali z jej częstych zaproszeń i dom przypominał trochę prowincjonalną, bardzo uczęszczaną gospodę, której zacna właścicielka być może nieraz wzdychała, ale nigdy nie wystawiała rachunków. Isabel oczywiście nie wiedziała nic o rachunkach, ale już w najwcześniejszym dzieciństwie uznała, że dom babki ma romantyczny urok. Za domem na krytym patio zainstalowana była huśtawka – źródło gorącego podziwu – a dalej ciągnął się długi ogród opadający po zboczu ku stajni, pełen krzewów brzoskwiniowych, z którymi dzieci zawarły niewiarygodnie

poufałą znajomość. Isabel bawiła w domu babki w różnych porach roku, ale jakimś sposobem wspomnienia wszystkich tych wizyt kojarzyły się z aromatem brzoskwiń. Naprzeciwko, po drugiej stronie ulicy, stał stary dom nazywany „Holenderskim” – dziwny budynek z najwcześniejszego okresu kolonialnego, wzniesiony z malowanej na żółto cegły, zwieńczony osobliwym szczytem, który kazano podziwiać przybyszom z innych miast, ogrodzony koślawymi drewnianymi sztachetami i zwrócony bokiem do ulicy. Mieściła się w nim szkoła początkowa dla chłopców i dziewcząt, a prowadziła ją – dość nieudolnie – bardzo uczuciowa pani, która zapisała się w pamięci Isabel głównie tym, że upinała włosy nad skroniami parą niezwykle grzebyków, stosownych raczej do sypialni, i że była wdową po jakimś ważnym człowieku. Isabel miałaby okazję zdobycia w tej szkole podstaw wiedzy, ale po jednym dniu zbuntowała się przeciw obowiązującym rygorom i babka zwolniła ją z tego obowiązku; w ciepłe dni wrześniowe, gdy okna Holenderskiego Domu były otwarte, słuchała chóru dziecięcych głosów powtarzających tabliczkę mnożenia, a w jej duszy szczęście wolności i ból istoty wykluczonej z gromady łączyły się ze sobą nierozdzielnie. Podstawy wiedzy zdobyła właściwie mimo woli w domu babki, gdzie większość współmieszkańców nie wykazywała zapału do lektury, pozostawiając małej Isabel całkowitą swobodę korzystania z biblioteki, pełnej książek w ozdobnych okładkach. Dziewczynka wspinała się na krzesło i ściągała tomy z wyższych półek; w wyborze kierowała się głównie wyglądem okładki. Ze swą zdobyczą kryła się w pokoiku za biblioteką, nazywanym tradycyjnie kancelarią, chociaż nikt już nie pamiętał, skąd wzięła się ta nazwa; Isabel nigdy nie dowiedziała się, kto w tej kancelarii pracował i na jakie lata przypadał okres jej rozkwitu; zadowolona się stwierdzeniem, że w małej salce każdemu szmerowi odpowiada echo, że unosi się w niej przyjemny zapaszek stęchlizny i że stała się miejscem wygnania dla starych wzgardzonych mebli, których wady nie zawsze były widoczne (a więc niełaska zdawała się niezasłużona, zgromadzone tu graty mogła uważać za ofiary

niesprawiedliwości) i z którymi nawiązała – jak to zwykle robią dzieci – niemal jak z ludźmi stosunki dość zażyłe, a na pewno bardzo dramatyczne, zwłaszcza z obitą włosianką kanapą, której zwierzała niezliczone dziecinne zmartwienia.

Melancholijnej tajemniczości dodawało temu pokojowi to, że właściwe do niego wejście stanowiły drzwi raz na zawsze zamknięte, zaryglowane potężną zasuwą, której wyjątkowo szczupła dziewczynka nie miała siły odsunąć. Wiedziała, że ta głucha, niewzruszona brama prowadzi po prostu na ulicę; gdyby bocznych okienek nie zasłonięto zielonym papierem, mogłaby przez nie zobaczyć mały brunatny ganek i zdeptany chodnik z cegieł. Wcale jednak nie miała ochoty wyglądać przez okno, bo wówczas pewnie rozwiałyby się ulubiona wizja jakiegoś dziwnego, nieznanego miejsca, które, jak sobie wyobrażała w dzieciństwie, kryje się za tymi drzwiami i zależnie od chwilowego nastroju wabi wdziękiem albo tchnie grozą.

W tej właśnie kancelarii siedziała Isabel owego pamiętnego popołudnia w melancholijny dżdżysty dzień przedwiośnia. Miała do dyspozycji cały dom, ale wybrała ten jego najbardziej opuszczony zakątek. Nigdy dotychczas nie otworzyła zaryglowanych drzwi ani też nie zdarła z bocznych okienek zielonego papieru (naklejonego na nowo innymi już rękami); wolała nie wiedzieć, że za nimi ciągnie się zwykła ulica. Padał ostry, zimny, rześisty deszcz. Wiosna wzywała – najwyraźniej cynicznie i nieszczerze – do ciepłości. Isabel jednak nie zważała na oszukańcze sztuczki klimatu, starała się nie odrywać wzroku od książki i na niej skupić całą uwagę. Spostrzegła ostatnio, że umysł jej ma włóczęgowskie skłonności, szukała więc różnych sposobów, żeby go poddawać wojskowej musztrze, ucząc go posuwać się naprzód, zatrzymywać się, cofać, wykonywać inne, bardziej skomplikowane manewry na komendę woli. Teraz właśnie dała rozkaz marszu i umysł jej brnął przez piaszczystą równinę historii niemieckiej filozofii. W pewnej chwili uprzytomniła sobie, że temu jej intelektualnemu pochodowi towarzyszą czyjeś kroki, niezgodne z jego rytmem. Nasłuchując, zrozumiała, że ktoś jest w

bibliotece sąsiadującej z kancelarią. Z początku myślała, że to gość, którego się spodziewała, prędko jednak rozpoznała kroki kobiece i obce, a ten, kogo oczekiwała, nie miał żadnej z tych dwóch cech. W krokach nieznanego wyczuwało się dociekliwą ciekawość i odwagę gotową do eksperymentów; z pewnością nie zatrzymają się na progu kancelarii. Rzeczywiście w drzwiach biblioteki ukazała się dama, która przystanęła, wpatrując się bardzo uważnie w naszą bohaterkę. Była to nieładna i niemłoda osoba w luźnym nieprzemakalnym płaszczu, twarz jej tryskała energią.

– O – zaczęła – czy tu zwykle przesiadujesz? – Rozejrzała się wśród zbieraniny starych mebli.

– Gości przyjmuję gdzie indziej – odparła Isabel, wstając, by powitać intruza mącącego jej spokój.

Wymanewrowała z powrotem do biblioteki nieznaną panią, która z kolei ten pokój obrzuciła badawczym spojrzeniem.

– Wygląda na to, że nie brak w domu pokoi w lepszym stanie – powiedziała. – Ale wszystko tu jest mocno zniszczone.

– Czy pani przyszła, żeby obejrzeć dom? – spytała Isabel. – Służąca panią oprowadzi.

– Nie potrzebuję jej i nie zamierzam kupować domu. Służąca prawdopodobnie szuka cię na górze i błądzi tam bezradnie. Wydała mi się niezbyt inteligentna. Powiedz jej, że już się spotkałyśmy.

Dziewczyna wahała się i zastanawiała chwilę, nie rozumiejąc, o co chodzi, aż wreszcie nieoczekiwany i krytycznie usposobiony gość spytał bezceremonialnie:

– Przypuszczam, że jesteś jedną z córek?

Isabel pomyślała, że ta pani ma bardzo dziwne maniery.

– Zależy od tego, czyje córki ma pani na myśli.

– Świętej pamięci Archera i mojej biednej siostry.

– Ach... – szepnęła Isabel – pani musi być naszą zwariowaną ciocią Lydią!

– A więc tak nazywał mnie twój ojciec? Jestem ciotką Lydią, ale wcale nie zwariowaną! Nie miewam omamów! A którą z córek jesteś?



- Najmłodszą z trzech. Na imię mi Isabel.
- Pamiętam, dwie starsze mają na imię Lilian i Edith. Jesteś też najładniejsza, co?
- Nie mam pojęcia.
- Myślę, że tak. – W ten sposób ciotka i siostrzenica zawarły przyjaźń. Ciotka przed laty, po śmierci siostry, posprzeczała się ze szwagrem, zarzucając mu, że źle wychowuje córki. Jako człowiek krewkiego temperamentu, Archer poradził jej, żeby nie wtrącała się w cudze sprawy, i biorąc go za słowo, zerwała wszelkie z nim stosunki, a po jego śmierci nie napisała nawet kondolencyjnego listu do córek, którym nie wpoił szacunku dla niej, jak to mimo woli zdradziła Isabel. Pani Touchett zawsze działała planowo. Zamierzała wybrać się do Ameryki w sprawach zainwestowanych tam kapitałów (nie powierzyła ich mężowi, pomimo jego wysokiej pozycji w świecie finansów) i przy okazji postanowiła się dowiedzieć o losy siostrzenic. Uznała, że korespondencja nie miałaby sensu, bo i tak nie dowierzałyby listownym informacjom; zawsze wolała wszystko sprawdzić osobiście. Isabel odkryła jednak, że ciotka Lydia sporo wie o nich; wiedziała, że dwie starsze siostry wyszły za mąż i że biedny ojciec zostawił im bardzo mało pieniędzy, ale dom w Albany, który do niego po zgonie babki należał, ma być sprzedany i uzyskana suma przypadnie trzem siostronom Archer. Wiedziała też, że mąż Lilian, Edmund Ludlow, podjął się całą tę transakcję załatwić; dlatego właśnie młodzi państwo Ludlow, którzy przyjechali do Albany pielęgnować w ostatniej chorobie ojca, jeszcze nie opuścili tego miasta i razem z Isabel mieszkali chwilowo w starym domu.
- Ile spodziewacie się dostać za dom? – spytała pani Touchett, gdy usiadła we frontowym salonie, który zlustrowała bez entuzjazmu.
- Nie mam pojęcia – odparła siostrzenica.
- Drugi raz słyszę od ciebie taką odpowiedź, a przecież nie wyglądasz na głupią dziewczynę – stwierdziła ciotka.
- Nie jestem głupia, ale nie znam się zupełnie na sprawach pieniężnych.

– Oczywiście, tak zostałam wychowana, jakbyś miała odziedziczyć miliony. Ile, mówiąc konkretnie, dostałam w spadku?

– Doprawdy nie wiem. Niech ciocia zapyta Edmunda i Lilian, oni tu będą za pół godziny.

– We Florencji ten dom uchodziłby za bardzo nędzny – powiedziała pani Touchett – ale tutaj, jak sędzę, może osiągnąć wysoką cenę. Powinno to przynieść każdej z was sporą sumkę. Musisz chyba mieć coś poza tym. Bardzo mnie dziwi, że tego nie wiesz. Lokalizacja dobra, przypuszczam, że zburzą ten dom i postawią tutaj cały rząd sklepów. Zastanawiam się, czy same nie mogłybyście tego zrobić, wynajmowanie sklepów mogłoby być korzystne.

Isabel patrzyła na ciotkę ze zdumieniem – myśl o wynajmowaniu sklepów nigdy nie przyszłaby jej do głowy.

– Mam nadzieję, że dom nie zostanie zburzony – odparła. – Jestem do niego bardzo przywiązana.

– Nie rozumiem dlaczego. Twój ojciec umarł pod tym dachem.

– Tak, ale nie mam o to żalu do domu – trochę dziwacznie odpowiedziała Isabel. – Lubię miejsca, gdzie działo się wiele rzeczy. Nawet jeśli to były smutne zdarzenia. Tu wiele osób umarło, dom dawniej kipiał życiem.

– To nazywasz życiem?

– Mam na myśli intensywność przeżyć, ludzkie uczucia i troski. Ale nie same tylko smutki, bo ja w dzieciństwie byłam w domu babki bardzo szczęśliwa.

– Jeżeli lubisz domy, gdzie dużo się działo, zwłaszcza gdzie ludzie umierali, musisz poznać Florencję. Mieszkam w starym pałacu, w którym zamordowano trzy osoby, to znaczy o trzech wiadomo, ale z pewnością było ich więcej.

– W starym pałacu? – powtórzyła Isabel.

– Tak, moje dziecko, to coś zupełnie innego niż tutaj. Ten dom jest po prostu mieszczański.

Isabel doznała lekkiego wstrząsu, bo dom babki wydawał jej się zawsze wspaniały. Ale był to wstrząs tego rodzaju, że skłonił ją

do wyznania:

– Bardzo bym chciała zobaczyć Florencję.

– Ano, jeżeli będziesz grzeczna i zastosujesz się do wszystkich moich poleceń, zawiozę cię do Włoch – powiedziała pani Touchett.

Młoda dziewczyna odczuła jeszcze głębszy wstrząs. Zaczerwieniła się lekko i przez chwilę w milczeniu wpatrywała się w twarz ciotki.

– Stosować się do wszystkich poleceń cioci? Nie, tego nie mogę obiecać.

– Nie wyglądasz na potulną dziewczynę. Lubisz stawiać na swoim, ale ja nie mam prawa czynić ci z tego powodu wyrzutów.

– A jednak – wykrzyknęła Isabel – byłabym gotowa przyrzec niemal wszystko, żeby zobaczyć Florencję!

Edmund i Lilian spóźniali się, pani Touchett mogła całą godzinę bez przeszkód rozmawiać z siostrzenicą, która odkryła w niej osobę niezwykłą i ogromnie interesującą, a przede wszystkim niemal jedyną z osób, z którymi Isabel zetknęła się w życiu, zasługującą na nazwę „postaci”. Okazała się nie mniej ekscentryczna, niż siostrzenica mogła się spodziewać. Isabel, ilekroć słyszała o kimś, że jest ekscentryczny, wyobrażała sobie coś przykrego i niepokojącego – przymiotnik ten w jej pojęciu kojarzył się ze śmiesznością, a nawet złowieszczą. Tymczasem ciotka Lydia wносиła atmosferę gryzącej, lecz zarazem swobodnej ironii czy też komedii, i dziewczynie przyszło do głowy, że chyba nigdy zwykły ton rozmów, jedyny, z jakim była oswojona, nie wydawał jej się równie interesujący. Z pewnością nikt nigdy tak jej nie zafascynował jak ta drobna kobieta z wąskimi wargami i błyszczącymi oczyma; wyglądała trochę egzotycznie, a niepozorną powierzchowność wynagradzała dystynkcją; siedząc w podniszczonym nieprzemakalnym płaszczu, mówiła najswobodniej w świecie o książęcych dworach europejskich. Bez cienia blagi, po prostu z przeświadczeniem, że nikt nad nią nie góruje pozycją towarzyską, osądzała wielkich tego świata i wyraźnie sprawiało jej przyjemność, że imponuje naiwnej, wrażliwej istocie. Isabel z

początku musiała odpowiadać na wiele pytań i z jej odpowiedzi pani Touchett nabrała wysokiego mniemania o inteligencji siostrzenicy. Potem z kolei dziewczyna zaczęła wypytywać ciotkę, a jej odpowiedzi, chociaż czasem zaskakujące, wydawały się zawsze oparte na głębokiej refleksji. Pani Touchett czekała na drugą siostrzenicę tak długo, jak uważała za rozsądne, ale gdy pani Ludlow nie zjawiała się do szóstej, zaczęła zbierać się do odejścia.

– Twoja siostra widocznie lubi plotkować. Czy ma zwyczaj spędzać tak wiele czasu na wizytach?

– Ciocia przesiedziała na wizycie prawie tyle czasu co ona – odparła Isabel. – Moja siostra wyszła z domu na chwilę przed przyjściem cioci.

Pani Touchett spojrzała na nią bez urazy, przeciwnie, śmiała replika widać ją ubawiła, bo odpowiedziała bardzo miło:

– Wątpię, czy w jej przypadku jest to równie usprawiedliwione jak w moim. W każdym razie powiedz jej, że czekam na nią dzisiaj wieczorem w tym okropnym hotelu. Jeśli chce, niech przyprowadzi ze sobą męża, ale nie ciebie. Z tobą i tak będę miała jeszcze wiele okazji do rozmów.

## ROZDZIAŁ IV

Pani Ludlow, najstarsza z trzech sióstr, uchodziła też za najrozsądniejszą; na ogół mówiono, że Lilian ma najwięcej zmysłu praktycznego, Edith jest najpiękniejsza, a Isabel wyróżnia się intelektualnymi ambicjami. Średnia siostra, pani Keyes, poślubiona oficerowi saperów, nie odgrywa żadnej roli w dalszym ciągu tej historii, wystarczy więc, gdy powiem, że była rzeczywiście bardzo ładna i stanowiła ozdobę rozmaitych garnizonów, przeważnie położonych na mało cywilizowanym Zachodzie, gdzie – ku jej wielkiemu zmartwieniu – obowiązki służbowe przykuwały męża. Lilian wyszła za młodego nowojorskiego adwokata, który miał donośny głos i uwielbiał swój zawód. Nie była to świetna partia, podobnie zresztą jak mariaż Edith, ale, jak mawiały niektóre osoby, Lilian powinna dziękować Bogu, że w ogóle znalazła męża, skoro nie dorównywała urodą siostronom. Czuła się jednak bardzo szczęśliwa jako matka dwóch rozbrykanych małych chłopców i pani brunatnego kamiennego domu, wklonowanego na siłę między inne przy Pięćdziesiątej Trzeciej ulicy; można by myśleć, że cieszy się swoją sytuacją, jak udaną śmiałą ucieczką. Była niska, dość tęga, więc jej figurę oceniano krytycznie, wszyscy jednak zgadzali się, że Lilian prezentuje się godnie, chociaż nie majestatycznie; zresztą, jak mówiono, wyładniała po zamążpójściu; z dwóch rzeczy zdawała sobie doskonale sprawę: z przekonującej siły argumentów swego męża i z oryginalności swej młodszej siostry.

„Nigdy nie próbuję dorównać Isabel, nie miałabym już wtedy czasu na nic innego” – powtarzała często i mimo to obserwowała ją nieco rozmarzonym okiem, niczym macierzyńska spanielka spoglądająca na charta na swobodzie.

– Chciałabym ją widzieć bezpieczną, ustatkowaną w małżeństwie, tego dla niej pragnę – zwierzała się nieraz mężowi.

– A ja ci się przyznam, że nie miałbym szczególnej ochoty

ożenić się z Isabel – odpowiadał Edmund Ludlow donośnym głosem.

– Mówisz tak, żeby się spierać, z reguły zaczynasz od sprzeciwu. Nie pojmuję, co jej mógłbyś zarzucić prócz tego, że jest oryginalna.

– Nie lubię oryginałów, wolę tłumaczenia – odpowiedział nie po raz pierwszy ani ostatni Ludlow. – Isabel jest napisana w obcym języku, nie rozumiem jej. Powinna by wyjść za Ormianina albo Portugalczyka.

– Boję się, żeby właśnie czegoś takiego nie zrobiła! – wykrzyknęła Lilian, przekonana, że po Isabel wszystkiego można się spodziewać.

Z ciekawością wysłuchiwała relacji siostry o niespodziewanym pojawieniu się pani Touchett i chętnie spełniła tego wieczoru polecenie ciotki. Nie wiadomo dokładnie, co jej opowiedziała Isabel, ale niewątpliwie pod wpływem jej słów Lilian odezwała się do męża, gdy oboje szykowali się do wizyty u pani Touchett:

– Mam wielką nadzieję, że ciotka okaże się wspaniałomyślna dla Isabel, nie ulega wątpliwości, że ją bardzo polubiła.

– Czego się właściwie spodziewasz? – spytał. – Że da jej jakiś cenny prezent?

– Nie, nic podobnego! Ale może zainteresuje się nią, zrozumie ją. Ciotka Lydia to w sam raz ktoś, kto może docenić taką dziewczynę jak Isabel. Mieszka od lat za granicą, opowiadała jej o życiu w różnych krajach. Sam przecież mówisz, że Isabel robi między nami wrażenie cudzoziemki.

– A więc chciałabyś, żeby ofiarowała twojej siostrze trochę cudzoziemskiej sympatii. Czy myślisz, że Isabel nie jest dostatecznie lubiana we własnym kraju?

– Myślę, że powinna wyjechać do Europy – odparła pani Ludlow. – Ona najlepiej się do tego nadaje.

– Życzysz sobie, żeby ciotka zabrała ją do Europy?

– Ciotka sama już to zaproponowała, najwyraźniej ma wielką ochotę wziąć ją ze sobą w podróż. Ale ja chciałabym czegoś więcej: żeby stworzyła jej w Europie jak najbardziej przyjazną

warunki. Uważam, że powinno się zrobić wszystko, aby dać Isabel szansę.

– Szansę czego?

– Szansę rozwoju.

– Do licha! – wykrzyknął Ludlow. – Niech Bóg broni, żeby Isabel rozwinęła się jeszcze bardziej!

– Gdybym nie wiedziała, że mówisz to po prostu z przekory, musiałabym się na ciebie pogniewać. Ale sam wiesz, że ją kochasz.

– Czy wiesz, że cię kocham? – żartobliwie spytał Edmund szwagierkę w kilka minut później, czyszcząc przed wyjściem kapelusz.

– Wiem, że nic mnie nie obchodzi, czy mnie kochasz, czy nie! – wykrzyknęła Isabel, ale ton jej i uśmiech były mniej wyniosłe niż słowa.

– Oho, jaka ważna po wizycie pani Touchett! – powiedziała starsza siostra.

Isabel bardzo serio odtrąciła ten zarzut:

– Nie mów tak, Lily. Wcale nie czuję się ważna.

– Nie byłoby w tym nic złego – próbowała załagodzić pani Ludlow.

– Wizyta ciotki nie dała mi żadnego powodu do dumy.

– No widzisz?! – zawołał Edmund. – Zadziera nosa jak nigdy!

– Gdybym kiedykolwiek czuła się ważna, to na pewno z mniej błahych przyczyn – odparła Isabel.

Czy nazwiemy to dumą, czy nie, z pewnością czuła się inaczej niż przedtem, jak gdyby zdarzyło się jej coś bardzo ważnego. Tego wieczoru, gdy została w domu sama, długo siedziała pod lampą z założonymi rękoma, nie kwapiąc się do zajęć, którymi zwykle wypełniała wolny czas. Potem wstała i zaczęła błąkać się po salonie i po innych pokojach, najchętniej po tych, do których nie docierało światło lampy. Była niespokojna, podniecona, chwilami nawet drżała lekko. Doniosłość wydarzenia zdawała się nieproporcjonalna do jego skromnych pozorów: zaszła

naprawdę zmiana w jej życiu. Co ze sobą przyniesie – to było jeszcze nieprzeniknioną zagadką, ale w położeniu Isabel każda zmiana wydawała się cenna. Marzyła o zerwaniu z przeszłością i rozpoczęciu, jak mówiła, wszystkiego od nowa. Marzenie to nie urodziło się pod wpływem zdarzeń dzisiejszego dnia, było tak znajome jak szmer deszczu za oknem i nieraz już Isabel pod jego wpływem zaczynała wszystko od nowa.

Schroniła się w mroczny kąt cichego salonu i przymknęła oczy, nie po to jednak, żeby tonąć w marzeniach, zapominając o rzeczywistości; przeciwnie, chciała powstrzymać natłok cisnących się wizji i czuła się aż nadto pobudzona. Wyobraźnia jej zazwyczaj była przesadnie ruchliwa: jeśli nie mogła otworzyć drzwi, wyskakiwała przez okno. Isabel zresztą nie trzymała jej zwykle pod kluczem; w najważniejszych momentach, kiedy wolałaby rozstrzygać wyłącznie rozumem, płaciła grzywnę za to, że zanadto wyćwiczyła w sobie zdolności do wizji bez udziału rozsądku. Teraz, gdy czuła, że wybiła godzina zmiany, nie mogła uciec przed stopniowym przyływem obrazów ukazujących jej wszystko, co będzie musiała porzucić. Wracały wspomnienia lat i godzin dawnego życia i długo przesuwwały się przed jej oczyma, w ciszy zakłócanej jedynie tykaniem dużego brązowego zegara. Miała za sobą życie bardzo szczęśliwe, los był dla niej łaskawy; ta prawda wyłaniała się teraz przed nią z całą oczywistością. Przypadło jej w udziale wszystko najlepsze, a w świecie, gdzie tak wiele istot żyje w warunkach nie do pozazdroszczenia, trzeba uznać za wyjątkowo uprzywilejowaną tę, która właściwie nie zaznała nigdy dotkliwych przykrości. Isabel nawet trochę niepokoiła się, że brak jej takich doświadczeń, bo z literatury wiedziała, że mogą to być przeżycia ciekawe, a nawet pouczające. Ale chronił ją zawsze od nich ojciec – jej przystojny, przez wiele osób kochany ojciec, który miał wstręt do wszystkiego co nieprzyjemne. Isabel wieszowała sobie, że jest jego córką, chwilami rozpierała ją nawet duma z tego powodu. Po jego śmierci zrozumiała, że córkom ukazywał tylko dzielniejszą stronę charakteru i że nie udało mu się uniknąć w rzeczywistości różnych przykrych spraw tak doskonale, jak by tego pragnął. Ale



wzbudziło to w niej jeszcze czulszą miłość do ojca, prawie bez żalu myślała o nim jako o człowieku zbyt wielkodusznym, zbyt dobrotliwym i zbyt obojętnym na przyziemne względy. Niektórzy ludzie, zwłaszcza liczni jego wierzycciele, uważali, że za daleko posuwał się w tej obojętności. Opinia ta nigdy nie doszła do uszu Isabel, ale czytelnikom należy się informacja, że pan Archer uchodził za człowieka bystrego umysłu i ujmujących manier (złośliwi mówili, że pomagało mu to coś niecoś ująć niejednemu z portfela), który jednak zmarnował życie. Strwonił dość pokaźny majątek, zbyt lubił się bawić, a podobno miał też żyłkę do hazardu. Najsurowsi krytycy twierdzili, że nie potrafił nawet wychować córek. Nie postarał się dla nich ani o systematyczną naukę, ani o stały dom rodzinny; jednocześnie rozpieszczane i zaniedbywane, zdane były na opiekę nianiek i guwernantek (zwykle bez odpowiednich kwalifikacji); czasem próbowano je umieszczać w pensjonatach, gdzie francuskie nauczycielki dostarczały bardzo powierzchownego wykształcenia, ale po miesiącu trzeba było zabierać stamtąd trzy panienki, aby nie utonęły we łzach. Taki pogląd na tę sprawę oburzyłyby do żywego Isabel, przeświadczoną, że wychowanie otworzyło przed nią najszersze horyzonty. Nawet gdy ojciec zostawił córki na trzy miesiące w Neuchâtel pod opieką francuskiej bony, a ta uciekła z poznanym w hotelu rosyjskim arystokratą, nieoczekiwana sytuacja nie przeraziła ani nie zawstydzila Isabel (wówczas jedenastoletniej), lecz wydała jej się romantycznym epizodem wzbogacającym ogólne wykształcenie. Ojciec miał szerokie poglądy, czego wynikiem były ustawiczne podróże i chaotyczny tryb życia; pragnął, żeby córki już od wczesnego dzieciństwa poznawały możliwie najwięcej świata, toteż Isabel, zanim skończyła czternaście lat, trzykrotnie wraz z siostrami była w Europie, za każdym razem jednak zaledwie przez kilka tygodni, co tylko zaostrzyło ciekawość dziewczyny, ale nie dało okazji do jej zaspokojenia. Oczywiście solidaryzowała się z ojcem i z tercetu córek ona właśnie w największym stopniu wynagradzała mu przykrości, o których nigdy nie wspominał. W ostatnich dniach, chociaż z wiekiem dojrzała w nim zgoda na

opuszczenie świata, w którym tak trudno robić zawsze tylko to, na co mamy ochotę, rezygnację mącił żal, że musi rozstać się ze swoją inteligentną, niepospolitą, wyjątkową córką. W okresie gdy już zaniechano wycieczek za ocean, okazywał córkom w dalszym ciągu i pod każdym względem wiele pobłażliwości, a chociaż był w tarapatach pieniężnych, panny Archer, nic o tym nie wiedząc i nigdy się nad tym nie zastanawiając, czuły się bogate. Isabel, chociaż tańczyła bardzo dobrze, nie zachowała z nowojorskich balów i zabaw wspomnień o szczególnych sukcesach; wszyscy mówili, że Edith jest najbardziej czarująca. Edith stanowiła tak olśniewający przykład powodzenia, że Isabel nie mogła mieć złudzeń co do źródeł jej przewagi ani też co do własnej ograniczonej skłonności do figlów, skoków i szczebiotów – a zwłaszcza z pożądanym efektem. Na dwadzieścia osób dziewiętnaście (z Isabel włącznie) uznawało Edith za nieskończenie ładniejszą od młodszej siostry; dwudziesta byłaby przeciwnego zdania, a nawet pozwalałaby sobie sądzić, że wszystkie pozostałe osoby mają banalny gust. Isabel w głębi duszy żywiła równie nienasyconą chęć podobania się jak Edith, ale głębia duszy owej młodej damy była miejscem bardzo niedostępnym, którego ujawnienie utrudniały różne kapryśne siły. Isabel widywała całe zastępy młodych mężczyzn, którzy składali wizyty jej siostrze, lecz oni przeważnie bali się zbliżyć do panny Isabel, przekonani, że potrzebne są szczególne kwalifikacje, aby z nią rozmawiać. Fama osoby niezwykle czytanej otaczała ją niby obłok spowijający boginię w poemacie epickim; obawiano się z jej strony kłopotliwych pytań i przewidywano, że konwersacja z nią zawsze byłaby bardzo chłodna. Biedna Isabel cieszyła się, że jest uważana za mądrą osobę, ale nie chciała uchodzić za mola książkowego; czytała ukradkiem i chociaż miała doskonałą pamięć, wystrzegała się wszelkich cytatów i aluzji do swoich lektur. To prawda, że łaknęła wiedzy, lecz wołała niemal wszystkie inne jej źródła niż zadrukowany papier. Trawiła ją ogromna ciekawość życia, toteż nieustannie otwierała szeroko oczy i rozmyślała. Miała w sobie potężne zasoby żywotności i najgłębszą

radość sprawiało jej poczucie łączności między drgnieniami własnej duszy a niepokojem świata. Dlatego lubiła tłumne zebrania i szerokie przestrzenie pól, książki o rewolucjach, historyczne malarstwo – w stosunku do tej gałęzi sztuki często świadomie odstępowała od swoich zasad i przebaczała artystyczne słabości przez szacunek dla tematu. Podczas wojny domowej, jako niedorośła jeszcze dziewczyna, spędzała całe miesiące w stanie napięcia, bliskim namiętne podnieceniu, i zdarzało się często ku wielkiemu jej zakłopotaniu, że podziwiała równie gorąco męstwo obu walczących armii. Oczywiście przezorność podejrzliwych młodzieńców nigdy nie przybierała takich rozmiarów, aby Isabel czuła się wykluczona z towarzyskiego kręgu; zawsze znajdowali się dość liczni wielbiciele, których serca na jej widok przyspieszały rytm, chociaż mocne głowy zachowywały trzeźwość i ci młodzieńcy oszczędzili pannie Archer najgorszego z umartwień grożących osobom jej płci i wieku. Nie zabrakło jej niczego z rzeczy potrzebnych młodej dziewczynie do szczęścia – uprzejmych względów, uwielbienia, cukierków, bukietów i świadomości, że nie odmówiono jej żadnego z przywilejów w świecie, w którym się obracała; miała wiele okazji do tańca, mnóstwo nowych sukien, londyńskiego „Spectatora”, nowości literackie, muzykę Gounoda, poezję Browninga i prozę George Eliot.

Wszystko to teraz, wskrzeszone w pamięci, ukazało się jej pod postacią niezliczonych scen i osób. Pewne rzeczy zapomniane nabrały na nowo barw, inne, które niedawno jeszcze wydawały jej się bardzo ważne, przybladły i zniknęły. Obrazy przesuwały się jak w kalejdoskopie, który nigdy by się może nie zatrzymał, gdyby nie weszła służąca, anonsując gościa. Był nim Caspar Goodwood, solidny młody bostończyk, który przed rokiem poznał pannę Archer i uważał ją za najpiękniejszą istotę stulecia, a to stulecie – zgodnie ze wspomnianą wyżej regułą – za najgłupsze w dziejach ludzkości. Pisywał niekiedy do Isabel, w ostatnim tygodniu listy od niego nadchodziły z Nowego Jorku. Isabel wiedziała, że wizyta jego jest prawdopodobna, a nawet spodziewała jej się tego

dżdżystego popołudnia. Ale gdy pokojówka oznajmiła gościa, panna Archer przyjęła tę wiadomość bez entuzjazmu. Był to najprzystojniejszy młody człowiek wśród jej znajomych, wręcz wspaniały, i żywiła dla niego wielki, wyjątkowy szacunek. Nikt inny nigdy nie zrobił na niej tak silnego wrażenia. W otoczeniu panny Archer powszechnie sądzono, że Caspar Goodwood stara się o jej rękę, ale była to oczywiście sprawa między nimi dwojgiem. Można wszakże z całą pewnością stwierdzić, że bawiąc przez kilka dni w Nowym Jorku, gdzie miał nadzieję ją spotkać, i dowiedziawszy się, że panna Archer jest wciąż jeszcze w stolicy stanu, przyjechał do Albany wyłącznie po to, żeby ją zobaczyć. Isabel zwlekała długą chwilę, nim poszła przywitać gościa; krążyła po pokoju, uświadamiając sobie, że sytuacja komplikuje się dodatkowo. Wreszcie zjawiała się w salonie i zastała pana Goodwooda stojącego w pobliżu lampy. Był wysoki, silny, troszkę sztywny; a przy tym szczupły i smagły. Odznaczał się urodą nie tyle romantyczną, ile nieco zagadkową; było w jego twarzy coś, co przykuwało uwagę, zwłaszcza jeśli ktoś lubi niebieskie oczy o szczególnie upartym spojrzeniu i o barwie nieoczekiwanej przy tak ciemnej cerze; miał szczękę nieco kanciastą, znamionującą, jak ludzie mówią, silną wolę. Isabel pomyślała, że tego wieczoru twarz ta wyraża stanowczą decyzję. Mimo to Caspar Goodwood, który przybył nie tylko zdecydowany, lecz pełen nadziei, odszedł w pół godziny później z uczuciem, że poniósł porażkę. Warto dodać, że nie należał do mężczyzn potulnie godzących się z porażkami.

## ROZDZIAŁ V

Ralph, chociaż miał filozoficzne podejście do życia, zapukał bardzo niecierpliwie do drzwi swojej matki (za kwadrans siódma). Nawet filozofowie nie do wszystkich odnoszą się jednakowo, a prawdę mówiąc, z dwojga rodziców ojciec wydawał mu się stosowniejszym przedmiotem słodkich synowskich uczuć. Ojciec – jak często mówił sobie Ralph – był bardziej macierzyński, a matka raczej patriarchalna, czy też, używając współczesnego slangu, grała rolę „szefa”. Jednakże kochała swojego jedynaka i zależało jej na tym, żeby trzy miesiące w roku spędzał u niej. Ralph sprawiedliwie oceniał jej uczucia i wiedział, że matka w myślach i w swoim najściślejszym i wygodnie zorganizowanym życiu wyznaczyła mu miejsce drugie: pierwsze bowiem zajmowała troska, by wszystkie osoby z jej otoczenia spełniały skrupulatnie jej wolę. Zastał ją w kompletnym już stroju wieczorowym, ale uściśniła go, nie zdejmując rękawiczek, i wskazała mu miejsce obok siebie na kanapie. Wypytała go sumiennie, jak się czuje jej mąż, a także o jego stan zdrowia, a ponieważ w obu przypadkach nowiny były nie najlepsze, powiedziała, że utwierdza ją to w przekonaniu o słuszności własnej decyzji, aby nie narażać zdrowia na zgubne wpływy angielskiego klimatu; gdyby nie to, zapewne także by się załamała. Ralph uśmiechnął się na myśl o możliwości załamania się matki, ale nie przypominał jej, że powodem jego własnych niedomagań nie jest angielski klimat, od którego zwykle uciekał na większą część roku.

Ralph był bardzo małym chłopcem, kiedy jego ojciec, Daniel Touchett, rodem z Rutland w stanie Wisconsin, przeniósł się do Anglii jako młody wspólnik banku, w którym w dziesięć lat później osiągnął najwyższe stanowisko. Daniel Touchett przewidywał, że zostanie do końca życia w nowej adoptowanej ojczyźnie, toteż od początku traktował ją po prostu, rozsądnie i polubownie. Ale nie zamierzał – jak mówił – „dezamerykanizować

się” ani też ćwiczyć jedyne go syna w tak subtelnej sztuce. Sam bez najmniejszego trudu rozwiązał ten problem i mieszkał w Anglii zasymilowany, lecz nie odmieniony, sądził więc, że będzie to równie łatwe dla prawowitego spadkobiercy, który po śmierci ojca pokieruje szarym bankiem w blasku białego amerykańskiego światła. Nie zaniedbał starań, aby to światło było jak najjaśniejsze, i wysłał syna do szkół za ocean. Ralph studiował przez kilka semestrów w Stanach Zjednoczonych, uzyskał dyplom na tamtejszym uniwersytecie i wrócił tak tryskający rdzennie amerykańskim duchem, że ojciec wyprawił go na trzy następne lata do Oksfordu. Oksford wziął górę nad Harvardem i Ralph nareszcie stał się w zadowalającym stopniu Anglikiem. Ale zewnętrzne przystosowanie do zwyczajów środowiska było tylko maską umysłu wysoko ceniącego niezależność i niedającego sobie nic na dłuższą narzucić; umysł ten, z natury śmiały i skłonny do ironii, pozwalał sobie na nieograniczoną swobodę sądów. Ralph był początkowo obiecującym młodzieńcem. Ku niewysłowionej satysfakcji ojca wyróżniał się w Oksfordzie, a w jego otoczeniu ubolewano, że tak zdolny chłopak ma zamkniętą drogę do publicznej kariery. Droga ta byłaby dla niego zapewne otwarta (choć perspektywa ta pozostała zasnuta mgłą niepewności), gdyby wrócił do ojczyzniego kraju, ale nawet gdyby pan Touchett zgodził się na rozłąkę z synem (czego by nigdy nie uczynił), Ralphowi za trudno byłoby się zdecydować na to, by wodna pustynia dzieliła go stale od ojca, którego uważał za najlepszego przyjaciela. Nie tylko był do niego przywiązany, lecz uwielbiał go i z przyjemnością korzystał z każdej okazji, by mu się przyglądać. Daniel Touchett był w oczach swojego syna geniuszem; Ralph, chociaż sam nie miał talentu do sztuki bankowości, starał się wniknąć w jej arkana na tyle, by ze znajomością rzeczy ocenić wielkość swojego ojca w tej dziedzinie. Ale nie to w nim najbardziej podziwiał, lecz piękną, gładką jak kość słoniowa, wypolerowaną w angielskiej atmosferze skorupę, pod którą Daniel Touchett chronił się przed wszelkimi próbami penetracji. Ojciec nie studiował ani na Harvardzie, ani w Oksfordzie, i jeśli

umożliwił synowi dostęp do źródeł nowoczesnego krytycyzmu, to sam był sobie winien. Ralph, z głową nabitą ideami, o których istnieniu starszy pan nigdy nie słyszał, głęboko szanował oryginalność umysłu ojca. Amerykanów zwykle chwali się – słusznie czy może niesłusznie – za łatwość, z jaką przystosowują się do warunków w obcych krajach; ale Daniel Touchett w znacznym stopniu zawdzięczał sukces temu właśnie, że jego elastyczność miała określone granice. Zachował w pełni wiele znamion odcisniętych w latach pierwszej młodości; syn zawsze z satysfakcją rozpoznawał w jego angielszczyźnie akcent zamożniejszej warstwy mieszkańców Nowej Anglii. Pod koniec życia stary bankier stał się na swój sposób równie łagodny, jak bogaty; największą przenikliwość łączył z łatwością do nawiązywania powierzchownych przyjaźni i nie tracąc energii na starania o to, zdobył pozycję towarzyską nieskazitelną jak świeży, jędrny owoc. Może z powodu braku wyobraźni i tak zwanej „świadomości historycznej” Daniel Touchett był całkowicie nieczuły na wiele wrażeń, jakich doznają zwykle inni kulturalni cudzoziemcy w zetknięciu z angielskim stylem życia. Pewnych niuansów w ogóle nie spostrzegł, pewnych obyczajów nigdy sobie nie przyswoił, pewnych tajemnic nigdy nie zgłębił. Ale gdyby kiedyś je przeniknął, syn miałby o nim nieco mniej pochlebne mniemanie.

Ralph po opuszczeniu Oksfordu spędził parę lat w podróży, a potem znalazł się na wysokim stołku w ojcowskim banku. Odpowiedzialnością i rangą stanowiska nie można, jak myślę, mierzyć wysokości stołka, zależy ona bowiem od czegoś całkiem innego; Ralph miał bardzo długie nogi i wolał pracować, stojąc albo nawet chodząc. Niezbyt długo jednak musiał uprawiać tę gimnastykę, bo już po półtora roku zorientował się, że zdrowie jego jest poważnie nadwerężone, silne przeziębienie wyrządziło w jego płucach znaczne szkody. Musiał zrezygnować z pracy w banku i stosując się do potocznej rady, stale „uważać na siebie”. Początkowo lekceważył ten nowy obowiązek; zdawało mu się, że nie o niego chodzi, lecz o jakiegoś innego, nieinteresującego i

niezainteresowanego osobnika, z którym on nie ma nic wspólnego. Osobnik ten wszakże zyskiwał przy bliższym poznaniu i w końcu Ralph, chociaż niechętnie, zaczął go tolerować, a nawet darzyć dyskretnym szacunkiem. Niestety narzuca nam dziwnych towarzyszy. Nasz młody bohater zrozumiał, że gra toczy się o cenną dla niego stawkę – miał na myśli głównie swoją reputację człowieka niegłupiego – poświęcił niewdzięcznemu podopiecznemu należyłą uwagę, co nie okazało się bezowocne, bo w każdym razie udało się biedaka utrzymać przy życiu. Jedno płuco zaczęło powracać do zdrowia, drugie, jak się zdawało, gotowe było pójść za przykładem pierwszego, lekarze zapewniali, że zniesie dobrze wiele zim, pod warunkiem że będzie je spędzał w klimacie krain, gdzie zwykli gromadzić się gruźlicy. Ralph bardzo polubił Londyn, toteż przeklinał bezwzględność tego wyroku, ale klnąc, poddał mu się i stopniowo, przekonując się, jak wrażliwy organizm wdzięcznie reaguje na starania, choćby z gniewem mu poświęcane, Ralph zaczął go traktować bardziej łaskawie. Zimował, jak się to mówi, za granicą; grzał się na słońcu, nie wychodził z domu, gdy dał chłodny wiatr, a jeśli padał deszcz, kładł się do łóżka; parę razy zdawało się, że po całonocnej śnieżnej zawiei nigdy już nie wstanie.

Obojętność ukryta na dnie serca – niby kawał słodkiego ciasta, który kochająca stara niania wsunęła mu do walizki, kiedy pierwszy raz wyjeżdżał do szkoły – przyniosła mu pociechę i ułatwiła pogodzenie się z koniecznością ofiar; w najlepszych nawet okresach był zbyt chory, żeby zająć się czymkolwiek poza tą mozolną grą. Mówił sobie, że w gruncie rzeczy żaden zawód go nie pociąga, więc przynajmniej nie musiał wycofywać się z jakiegoś pola działalności, które mu było drogie. Ostatnio jednak owiewał go niekiedy aromat zakazanego owocu i przypominał, że nic nie daje szlachetniejszej przyjemności niż uczestnictwo w prawdziwym działaniu. Życie, jakie pędził, podobne było do lektury dobrej książki w złym przekładzie – nędzna rozrywka, niegodna młodego mężczyzny, który czuł, że mógłby być znakomitym lingwistą. Miewał zimy lepsze lub gorsze i podczas



tych lepszych ludził go chwilami miraż całkowitego wyzdrowienia. Wszelkie nadzieje rozwiały się jednak na trzy lata przed opowiadanyimi w tej historii wydarzeniami: Ralph zasiedział się wtedy dłużej niż zwykle w Anglii i jesienne niepogody zaskoczyły go, nim zdążył wyjechać do Algierii. Przybył tam w okropnym stanie i przez kilka tygodni trwał zawieszony między życiem a śmiercią. Dźwignął się cudem, ale wyciągnął z tego doświadczenia wnioski, że taki cud nie może się powtórzyć. Powiedział sobie, że jego ostatnia godzina jest już blisko i że nie godzi się spuszczać wzroku z tarczy zegara, wolno mu jednak pozostały krótki czas spędzić jak najprzyjemniej, o tyle, o ile to możliwe, gdy się żyje z taką świadomością. Samo korzystanie z pięciu zmysłów, wobec perspektywy ich utraty, stało się niezwykle rozkoszą; szczęście płynące z kontemplacji wydawało mu się niewyczerpane. Miał już daleko za sobą okres, gdy było mu trudno zrezygnować z myśli o wybiciu się w świecie – myśli bardzo nęcącej, chociaż zakłócanej atakami twórczej samokrytyki. Przyjaciele zauważyli poprawę jego nastroju i przypuszczali, że Ralph zawdzięcza tę nową pogodę ducha wierze w możliwość wyzdrowienia; jako ludzie wtajemniczeni, kiwali tylko głowami nad tą hipotezą. Pogodny nastrój był jedynie dywanem polnych kwiatów, które wyrosły na gruzach.

Zapewne właśnie słodki smak, jaki znajdował w samej obserwacji zewnętrznych zjawisk, sprawił, że Ralph tak żywo zainteresował się od pierwszej chwili amerykańską kuzynką, osobą najoczywiściej niebanalną. Instykt podszeptał mu, że przyjmując postawę uważnego obserwatora, będzie miał interesujące zajęcia, które wypełni mu odtąd wiele dni. Wypada w tym miejscu wyjaśnić, nie wdając się szerzej w temat, że myśl o zakochaniu się – w przeciwieństwie do rojeń o odwzajemnionej miłości – nie była wykluczona z jego planów życiowych. Zabronił sobie tylko szaleństwa wyznań. I tak zresztą nie mógłby wzbudzić w kuzynce namiętnych uczuć, podobnie jak ona, choćby nawet zechciała, nie mogłaby w nim rozniecić tego rodzaju miłości.

– A teraz niech mi mama powie coś o tej dziewczynie –

powiedział. – Co zamierzasz z nią zrobić?

Pani Touchett miała gotową odpowiedź:

– Zaproponuję twojemu ojcu, żeby ją zaprosił na dłuższy pobyt, trzy- albo czterotygodniowy, w Gardencourt.

– To byłaby niepotrzebna formalność! – odparł Ralph. – Ojciec oczywiście zaprosi ją z własnej inicjatywy.

– Nie wiem. To jest moja siostrzenica, nie jego.

– Na Boga, mamó, jakże ty masz silne poczucie własności! A przecież to jeden więcej powód, żeby ją gościć. Ale co potem, po tych trzech miesiącach – przecież nie miałoby sensu zapraszać ją na kilka tygodni – jakie masz dla niej dalsze plany?

– Zawiozę ją do Paryża. Sprawię jej tam odpowiednie suknie.

– Tak, to się samo przez się rozumie. Ale poza tym?

– Na jesień zaproszę ją do Florencji.

– Mama wciąż tylko mówi o szczegółach. Ciekaw jestem bardziej ogólnych planów. Co mama zamierza?

– Spełnić obowiązek – oznajmiła pani Touchett. – Przypuszczam, że litujesz się nad nią?

– Nie. Nie sądzę, żebym mógł się nad nią litować. Nie wydaje mi się osobą godną litości. Podejrzewam, że raczej zazdroścę jej. Żeby się upewnić co do moich uczuć, muszę jednak wiedzieć, jak mama wyobraża sobie swój obowiązek.

– Pokażę jej cztery europejskie kraje i dwa z nich dam jej do wyboru, jednocześnie będzie miała sposobność wypolerować swoją francuszczyznę, chociaż i tak zupełnie dobrze mówi po francusku.

Ralph lekko zmarszczył brwi.

– To brzmi dość oschle – stwierdził – nawet jeśli wziąć pod uwagę, że pozwoli jej mama wybierać pomiędzy dwoma krajami.

– Może to jest oschle – zaśmiała się pani Touchett – ale bądź spokojny, Isabel sama doda soczystości tym projektom. Działa odświeżająco jak letni deszcz!

– Mama myśli, że Isabel jest utalentowana?

– Nic nie wiem o jej talentach, ale to inteligentna dziewczyna, z silną wolą i temperamentem. Nie wyobraża sobie

nawet, że mogłoby ją coś nudzić.

– Ale ja to sobie wyobrażam – rzekł Ralph i nagle spytał: – Jak się między wami układają stosunki?

– Czy chcesz przez to powiedzieć, że jestem nudna? Nie sądzę, żeby Isabel była tego zdania. Wiem, niektóre dziewczęta mogłyby tak myśleć, ale Isabel jest na to zanadto inteligentna. Zdaje się, że ją ogromnie bawię. Zgadza się ze sobą, bo ja ją rozumiem, znam ten typ młodych kobiet. Isabel jest bardzo szczerą, ja także, obie wiemy, czego się nawzajem po sobie spodziewać.

– Ach, mamó kochana! – wykrzyknął Ralph. – Zawsze wiadomo, czego się po tobie spodziewać! Nigdy w życiu nie zaskoczyłaś mnie aż do dziś, kiedy mnie obdarzyłaś ładną kuzynką, o której istnieniu nie miałem pojęcia.

– Uważasz, że jest ładna?

– Bardzo! Ale nie to jest najważniejsze. Nade wszystko zrobiła na mnie wrażenie prawdziwej indywidualności. Kim jest ta niezwykła istota? Co to za jedna? Gdzie ją znalazłaś? Jakim sposobem zawarłaś z nią znajomość?

– Znalazłam ją w pewnym starym domu w Albany, samiuteńką w obdrapanym pokoju, w dżdżysty dzień, śmiertelnie znudzoną grubą księgą. Nie zdawała sobie sprawy, że się nudzi, ale kiedy wychodziłam, nie miała już co do tego wątpliwości i zdawało się, że jest mi bardzo wdzięczna za przysługę, którą jej oddałam. Powiesz może, że nie należało jej pod tym względem uświadamiać, że lepiej zrobiłabym, zostawiając ją w spokoju. Jest w tym pewna racja, ale nie postępowałam bez namysłu: doszłam do wniosku, że to dziewczyna zasługująca na lepszy los. Pomyślałam więc, że spełnię dobry uczynek, jeśli ją wyrwę stamtąd i pokażę jej trochę świata. Jej się zdaje, jak większości młodych Amerykanek, że dużo wie o świecie, ale – także jak większość młodych Amerykanek – myli się grubo. Szczerze mówiąc, liczę, że Isabel przyniesie mi chlubę. Cieszę się, kiedy ludzie dobrze o mnie mówią, a dla kobiety w moim wieku najlepszą z wielu względów ozdobą jest ładna siostrzenica. Jak ci

wiadomo, nie utrzymywałam stosunków z dziećmi mojej siostry przez wiele lat, ich ojciec był niemożliwy. Ale już dawno postanowiłam coś zrobić dla tych dziewcząt, kiedy Pan powoła Archera przed swój sąd. Dowiedziałam się, gdzie ich szukać, i zjawiłam się bez uprzedzenia w Albany. Isabel ma dwie siostry, obie zamężne, ale poznałam tylko jedną z nich – która, nawiasem mówiąc, ma bardzo źle wychowanego męża – i ona, na imię jej Lily, była zachwycona, że chcę się zająć Isabel, powiedziała, że o tym właśnie zawsze marzyła, żeby ktoś zainteresował się jej młodszą siostrą. Mówiła o niej jak o jakiejś młodej genialnej istocie, której potrzeba zachęty i mecenatu. Możliwe, że Isabel ma jakiś talent, ale jak dotąd nie odkryłam, żeby była w jakimś szczególnym kierunku uzdolniona. Lily Ludlow najgoręcej poparła mój projekt zabrania Isabel do Europy. Oni tam wszyscy uważają Europę za teren emigracji, za ziemię wybawienia, przytułek dla wszystkich ludzi niepotrzebnych w Ameryce. Sama Isabel z radością, jak mi się zdaje, zgodziła się na wyjazd i wszystko ułożyło się zupełnie gładko. Jediną niezbyt istotną przeszkodę stanowiła sprawa pieniędzy, bo Isabel podobno nie zniosłaby finansowej zależności od kogokolwiek. Ale ma własne skromne dochody i jest przekonana, że podróżuje na własny koszt.

Ralph wysłuchał w skupieniu tej skrupulatnej relacji, która nie osłabiła jego zainteresowania dla kuzynki.

– Jeżeli ma talent – powiedział – musimy wykryć, do czego mianowicie. Może do flirtu?

– Nie sędzę. Rozumiem, że w pierwszej chwili mogłeś odnieść takie wrażenie, ale mylisz się z pewnością. W ogóle, jak myślę, niełatwo będzie ci ocenić ją trafnie.

– A więc Warburton też się pomylił! – z radością zawołał Ralph. – Pochlebia sobie, że odkrył w niej ten właśnie talent.

Pani Touchett potrząsnęła głową.

– Lord Warburton nie będzie zdolny jej zrozumieć, lepiej, żeby nawet nie próbował.

– To człowiek bardzo inteligentny – powiedział Ralph – ale cieszyłbym się, gdyby raz w życiu trafił na łamigłówkę, której nie

będzie umiał rozwiązać.

– Isabel też by się cieszyła, gdyby jej się udało zaintrygować lorda – zauważyła pani Touchett.

Ralph zmarszczył czoło.

– A cóż ona wie o lordach?

– Nie wie nic, i tym pewnie jeszcze bardziej zaintryguje Warburtona.

Ralph przyjął tę uwagę matki ze śmiechem i wyglądając przez okno, zapytał:

– Może mama zejdzie i przywita się już z ojcem?

– Kwadrans przed ósmą – odparła pani Touchett.

Ralph zerknął na zegarek.

– A więc zostało nam jeszcze piętnaście minut. Opowiedz mi coś więcej o mojej kuzynce... – A gdy pani Touchett odmówiła spełnienia tej prośby, radząc mu, żeby sam postarał się odkryć to, co go interesuje, Ralph powiedział: – To piękne, że Isabel przynosi mamie chlubę. Czy jednak nie sprawi też kłopotów?

– Mam nadzieję, że nie, ale gdybym się myliła, nie cofnę się przed trudnościami. Nigdy tego nie robię.

– Wydaje mi się bardzo naturalna.

– Ludzie naturalni nie są kłopotliwi.

– Racja, mama jest tego najlepszym dowodem. Mama jest wyjątkowo naturalna i nie sprawia nikomu kłopotów. Bo to by wymagało pewnego wysiłku. Ale nasuwa mi się inne pytanie: czy Isabel umie być niemila?

– Ach, za wiele stawiasz pytań! – zniecierpliwiła się pani Touchett. – Sam się przekonaj!

Ralph jednak nie wyczerpał listy pytań.

– Wciąż jeszcze nie odpowiedziała mi mama, co z nią zamierza zrobić?

– Co z nią zrobię? Mówisz, jakby chodziło o łokieć perkalu! Nic z nią nie myślę robić. Isabel sama robi, co zechce. Uprzedziła mnie o tym.

– A więc to miałaś na myśli, gdy w telegramie wspomniałaś o niezależności.

– Nigdy nie wiem, co właściwie chciałam powiedzieć w depeszy. Zwłaszcza jeżeli ją wysyłam z Ameryki. Jasność za drogo kosztuje. Chodźmy teraz do twojego ojca.

– Jeszcze nie jest za kwadrans ósma – zauważył Ralph.

– Muszę nieco ustąpić, on się tam przecież niecierpliwi – odparła pani Touchett.

Ralph miał wyrobione zdanie o niecierpliwości ojca, ale bez słowa podał matce ramię. Dzięki temu, gdy razem schodzili na parter, mógł ją w połowie piętra zatrzymać na podeście schodów – a były to schody szerokie, niskie, opatrzone szeroką poręczą, zbudowane ze szerniałego od starości dębu, i stanowiły jedną z prawdziwych ozdób domu w Gardencourt.

– Mama nie myśli o wydaniu jej za męża? – spytał z uśmiechem.

– Za męża? Nie, nie chciałabym jej oddawać takiej niedźwiedziej przysługi. Zresztą Isabel z pewnością potrafi wyjść za męża bez niczyjej pomocy. Ma wszelkie szanse.

– Czy to znaczy, że już dokonała wyboru?

– Nie wiem, czy klamka zapadła, ale jest pewien młody człowiek z Bostonu...

Ralph nie miał ochoty słuchać o młodym człowieku z Bostonu.

– A więc ojciec słusznie twierdzi, że wszystkie młode Amerykanki mają narzeczonych.

Matka znów poradziła mu, żeby starał się zaspokoić ciekawość bezpośrednio u źródła, a wkrótce okazało się, że będzie miał po temu wiele sposobności. Został w salonie sam na sam z kuzynką i mogli swobodnie rozmawiać. Lord Warburton, który przyjechał konno z odległego o dziesięć mil majątku, pożegnał gospodarza przed porą kolacji i ruszył w drogę powrotną; państwo Touchett w godzinę po kolacji uznali widocznie, że kurtuazji stało się już zadość, i pod bardzo przekonującym pretekstem zmęczenia wycofali się, każde do swojej sypialni. Młody człowiek przez następną godzinę dotrzymywał towarzystwa kuzynce, która, chociaż pół dnia spędziła w podróży, wcale nie zdradzała znużenia.

W rzeczywistości była i czuła się zmęczona, wiedziała, że nazajutrz za to odpokutuje, ale w tym okresie życia z reguły nie ustępowała, goniąc resztkami sił, póki nie osiągnęła stanu, gdy nie dało się już ukryć wyczerpania. W tym przypadku łatwo zdobywała się na szlachetną hipokryzję, ponieważ sytuacja żywo ją interesowała. Mówiła sobie, że oto wypłynęła na pełne morze. Poprosiła Ralpa, żeby jej pokazał obrazy, których bogata kolekcja znajdowała się w Gardencourt i których większość on właśnie wybrał. Najcenniejsze wisały w dębowej galerii o czarujących proporcjach, łączącej dwa salony i zwykle wieczorem oświetlonej. Światło to jednak nie wystarczało, by podziwiać całe piękno tych dzieł, toteż rozsądek radził odłożyć zwiedzanie do następnego ranka. Ralph ośmielił się to zaproponować, ale Isabel zdawała się rozczarowana; wprawdzie nie przestała się uśmiechać, lecz powiedziała:

– A jednak bardzo bym chciała, żebyś był łaskaw zaraz pokazać mi trochę.

Zanadto nalegała, czuła to i zdawała sobie sprawę, że Ralph tak jej zachowanie ocenia, ale nie mogła się powstrzymać.

„Nie przyjmuje sugestii” – pomyślał Ralph, ale bez irytacji, bo natarczywość kuzynki ubawiła go, a nawet mu się spodobała. Lampy, rozmieszczone w dość znacznych odstępach w kinkietach na ścianach, niedostatecznie oświetlały galerię, ale ją rozweselały. Światło wydobywało z cienia mieniące się intensywnymi kolorami niewyraźne prostokąty, przyćmione złocenia ciężkich ram, blask wywoskowanej posadzki. Ralph wziął lichtarz z zapaloną świecą i szedł pierwszy, wskazując swoje ulubione obrazy, a Isabel przed każdym z nich kolejno skłaniała głowę i wykrzykiwała z cicha albo coś szeptała. Najwidoczniej znała się na malarstwie, miała z natury dobry smak, musiał to zauważyć. Sięgnęła po drugi lichtarz i przyświecała sobie, zatrzymując się na chwilę, gdy coś ją szczególnie zaciekało; czasem podnosiła świecę wysoko nad głowę, a Ralph mimo woli przystawał pośrodku galerii i zamiast na obrazy patrzył na kuzynkę. Nic w gruncie rzeczy nie tracił, kierując na nią zachwycone spojrzenia, bo Isabel zasługiwała na

nie mniejszy podziw niż wszystkie zgromadzone tu dzieła sztuki. Była niezaprzeczenie szczupła, z pewnością lekka, ponad wszelką wątpliwość wysoka; ludzie, chcąc ją wśród trzech panien Archer zidentyfikować, używali określenia „ta wiotka”. Ciemnych, niemal czarnych włosów mogłaby jej pozazdrościć większość kobiet, a szare oczy, trochę może w chwilach powagi zbyt surowe, umiały czarująco mięknąć. Przeszli z wolna jedną stroną galerii i wracali drugą, gdy powiedziała:

- No tak, teraz wiem coś więcej niż na początku.
- Widzę, że jesteś głodna wiedzy – stwierdził Ralph.
- Chyba tak! Większość dziewcząt grzeszy okropnym nieuctwem.
- Wydajesz mi się zupełnie niepodobna do większości dziewcząt.
- Wiele z nich chętnie by się czegoś nauczyło, ale jak się je traktuje! – szepnęła Isabel, najwidoczniej w tym momencie nieskłonna do zwierzeń osobistych. Żeby zmienić temat, spytała po chwili: – Czy macie tu jakiegoś ducha?
- Ducha?
- No, zamkowe widmo, które się czasem ukazuje. My w Ameryce nazywamy takie zjawy duchami.
- My w Anglii także, jeśli nam się objawiają.
- A więc widywałeś je? Powinny być duchy w takim romantycznym starym domu!
- Nie, to nie jest stary, romantyczny dom. Nie licz na to, bo się rozczarujesz. Dom jest żałośnie prozaiczny, a jeśli w nim znajdziesz romantyczność, to tylko tę, którą sama tutaj wnosisz.
- Owszem, wnoszę mnóstwo romantyczności, ale w tym domu znalazła ona najstosowniejsze dla siebie miejsce.
- W każdym razie miejsce bezpieczne, bo tu, w obecności mojej i ojca, nic jej nie grozi.
- Isabel przyglądała mu się chwilę.
- Nikogo prócz ciebie i twojego ojca tu nie ma?
- Oczywiście jest matka.
- Och, znam dobrze twoją matkę. Nie jest ani trochę



romantyczna. Nikt poza tym nie bywa?

– Bardzo mało osób.  
– Szkoda. Lubię spotykać mnóstwo ludzi.  
– Och, zaprosimy całe hrabstwo, żeby cię zabawić.  
– Kpisz sobie ze mnie – odparła dość serio. – A ten pan, którego zastałam w ogrodzie z twoim ojcem zaraz po przyjeździe?  
– Sąsiad z naszego hrabstwa. Gość niezbyt częsty.  
– Szkoda. Bardzo sympatyczny – powiedziała Isabel.  
– O ile mi wiadomo, zamieniłaś z nim ledwie kilka słów – zdziwił się Ralph.

– Mimo to zdążyłam go polubić. Twojego ojca także już polubiłam, ogromnie.

– I słusznie! To najmiłszy człowiek pod słońcem.  
– Tak mi go żal, że jest chory!  
– Pomożesz mi pielęgnować go, z pewnością będziesz doskonałą pielęgniarką.

– Chyba nie. Zawsze mówiono mi, że się do tego nie nadaję, bo mam za wiele różnych teorii. Ale nie odpowiedziałeś mi, czy macie jakiegoś ducha.

Ralph jakby nie usłyszał jej ostatnich słów.

– Polubiłaś ojca i lorda Warburtona. Domyślam się, że lubisz także moją matkę.

– Bardzo lubię twoją matkę, ponieważ... ponieważ... – z trudem szukała przyczyny, dla której pani Touchett budziła w niej sympatię.

– Ach, tego nikt z nas nigdy nie wie! – zaśmiał się Ralph.  
– Nie, ja zawsze wiem – odparła dziewczyna. – Lubię ją dlatego, że ona nie spodziewa się tego od nikogo. Wcale nie dba o to, czy ją ktoś lubi, czy nie.

– Więc ją uwielbiasz przez przekorę? Muszę ci powiedzieć, że pod wielu względami wdałem się w matkę.

– Nie, nie wierzę ci. Ty chcesz być lubiany i starasz się o to!  
– Na Boga! Przejrzałaś mnie na wylot! – wykrzyknął z rozpaczą, która nie całkiem była żartobliwa.

– Ale i tak bardzo cię lubię – powiedziała kuzynka. –

Polubiłabym cię jeszcze bardziej, gdybyś mi pokazał waszego zamkowego ducha.

Ralph ze smutkiem pokiwał głową.

– Może ci go pokażę, ale ty nic nie zobaczysz. To przywilej nie wszystkim dany i nie warto go wybrańcom zazdrościć. Nasz duch nie objawia się istotom młodym, szczęśliwym i niewinnym, takim jak ty. Trzeba najpierw poznać cierpienie, dużo wycierpieć, zdobyć pewną bolesną wiedzę. Dopiero wtedy oczy ci się otworzą. Ja zobaczyłem tego ducha już dawno – powiedział Ralph.

– Mówiłam ci przed chwilą, że jestem spragniona wiedzy – odparła Isabel.

– Tak, ale wiedzy radosnej, przyjemnej. Nigdy naprawdę nie cierpiałaś i nie jesteś stworzona do cierpienia. Mam nadzieję, że do końca życia nie zobaczysz żadnego ducha.

Słuchała go uważnie, z uśmiechem na ustach, lecz z powagą w oczach. Zdawała mu się urocza, chociaż trochę zarozumiała, może to zresztą potęgowało jej urok. Próbował zgadnąć, co mu odpowie.

– Wiedz, że ja się nie boję – powiedziała i zabrzmiała w tym istotnie dość wyraźna nutka zarozumiałstwa.

– Nie boisz się cierpienia?

– Owszem, cierpienia boję się, ale nie duchów. Myślę też, że ludzie często cierpią bez dostatecznego powodu – dodała.

– Ty, jak się zdaje, nie masz takich skłonności – stwierdził Ralph, przyglądając jej się z rękoma w kieszeniach.

– Nie sądzę, żeby to była wada. Nie widzę koniecznej potrzeby cierpienia, nie do tego zostaliśmy stworzeni.

– Ty z pewnością nie do tego jesteś stworzona.

– Nie chodzi o mnie – odparła i zamyśliła się trochę.

– Masz słuszość, to nie wada – powiedział Ralph. – To raczej zaleta, jeśli ktoś jest silny.

– Ale tych, którzy nie umieją z byle powodu cierpieć, nazywa się twardymi ludźmi – odparła Isabel.

Przeszli przez mniejszy salon, do którego doprowadziła ich galeria, i znaleźli się w holu, u stóp schodów. Ralph podał kuzynce

stojącą we wnęce obok klatki schodowej świecę, przeznaczoną do jej sypialni.

– Nie dbaj o to, jak cię ludzie określą. Jeśli będziesz cierpiała, nazwą cię idiotką. Najlepiej być tak szczęśliwym, jak to tylko możliwe.

Przyglądała mu się przez chwilę; wzięła z jego ręki świecę i stawiając stopę na dębowym stopniu, powiedziała:

– Właśnie dlatego przyjechałam do Europy, żeby być tak szczęśliwa, jak to tylko możliwe. Dobranoc.

– Dobranoc. Życzę ci powodzenia i cieszyłbym się, gdybym mógł się do tego przyczynić.

Odwróciła się, ale Ralph odprowadzał ją wzrokiem, kiedy z wolna wchodziła po schodach. Kiedy zniknęła, cofnął się, wciąż z rękoma w kieszeniach, do pustego salonu.

## ROZDZIAŁ VI

Isabel Archer miała wiele różnych teorii i niezwykle żywą wyobraźnię. Los obdarzył ją bystrzejszym umysłem niż większość ludzi, wśród których przypadło jej się obracać; miała szerokie horyzonty i starała się zdobywać wiedzę o rzeczach mało znanych. To prawda, że wśród rówieśnic uchodziła za istotę niezwykle głęboką, bo zacne te osoby nie szczędziły podziwu rozległym widnokręgom intelektualnym, o których same nie miały pojęcia, i uważały Isabel za studnię mądrości; opowiadano nawet, że panna Archer czytuje klasyków – w przekładach. Jej ciotka ze strony ojca puściła kiedyś w obieg plotkę, jakoby Isabel pisała książkę; pani Varian żywiła wielki respekt dla książek i nie wątpiła, że jej bratanica wyróżni się, ogłaszając drukiem jakieś dzieło. Pani Varian wysoko ceniła literaturę, a jej szacunek dla niej łączył się z poczuciem własnej niższości. Miała okazały dom, pełen intarsjowanych stolików, z sufitami zdobionymi bogato sztukaterią, ale brakowało w nim biblioteki i słowo drukowane reprezentowało tylko kilka broszurowych powieści na półce w pokoju jednej z córek. Właściwie pani Varian знаła literaturę jedynie z łamów „The New Yorker Interviewer” – i słusznie zauważyła, że po lekturze tego pisma można stracić resztki wiary w kulturę. Wobec czego pilnowała, żeby „Interviewer” nie nawinął się pod rękę żadnej z jej córek; postanowiła wychować swoje dziewczęta przyzwoicie, toteż nie czytały nic. Podejrzewając bratanicę o literackie ambicje, myliła się całkowicie – Isabel nigdy nie próbowała napisać książki i nie marzyła o laurach powieściopisarki. Nie miała daru ekspresji i nie dość jasno uświadamiała sobie swoje talenty. Ogólnie tylko sądziła, że ludzie słusznie przyznają jej znamię jakiejś wyższości. Czy naprawdę góruje nad nimi, czy nie, postępują dobrze, odnosząc się do niej z podziwem, skoro uważają ją za istotę wyższą; często bowiem sama spostrzegała, że jej umysł pracuje szybciej niż umysły innych, z

czego lęgnie się niecierpliwość, którą łatwo pomylić z wyższością. W tym miejscu wypada co prędzej stwierdzić, że Isabel zapewne skłonna była do grzechu zarozumialstwa; często z upodobaniem zastanawiała się nad swoim charakterem, nie potrzebowała zazwyczaj wielu dowodów, by utwierdzić się w przekonaniu, że ma rację, i chętnie szukała okazji do zbierania hołdów. Popełniała tyle błędów i żywiła tyle złudzeń, że biograf, pragnąc uszanować godność swej bohaterki, wzdraga się przed ich wyliczaniem. W umyśle jej roilo się od splątanych i mglistych wyobrażeń, których nigdy nie pomogli jej rozjaśnić ani sprostować ludzie znający się dokładnie na rzeczy. Ponieważ na własną rękę próbowała kształtować swoje poglądy, wikłała się w tysięczne sprzeczności i niekonsekwencje. Chwilami odkrywała w swoim rozumowaniu śmieszne pomyłki i przeżywała wtedy kilka dni w udręce bolesnego upokorzenia. Ale później zadzierała głowę jeszcze wyżej niż przedtem; nie pomagała gorzka nauczka, Isabel nieuleczalnie pragnęła myśleć o sobie jak najlepiej. Wedle jej teorii pod tym warunkiem warto żyć; trzeba być kimś wartościowym, świadomym harmonii swego organizmu (Isabel nie mogła takiej harmonii w sobie nie dostrzegać), przebywać w strefie światła, naturalnej mądrości, radosnych impulsów i nieustannie łaskawego natchnienia. Wątpić o sobie byłoby prawie tak szkodliwe jak nie ufać najbliższemu przyjacielowi; powinno się być najbliższym przyjacielem samego siebie – i w ten sposób zapewnić sobie stałe obcowanie z godną tego istotą. Isabel miała szlachetną wyobraźnię, która oddawała jej wiele cennych usług i często sprowadzała ją na manowce. Spędzała całe godziny na rozmyślaniu o pięknie, męstwie i wielkoduszności; uparcie starała się widzieć świat jako świetlaną przestrzeń, w której można swobodnie rozwijać się i w której trzeba działać; sądziła, że uczucia strachu i wstydu są odrażające. Miała nadzieję, że nigdy nie popełni nic złego. Kiedy odkrywała pomyłki własnych uczuć, nienawidziła swoich błędów (zawsze uświadamiając je sobie, drżała, jak gdyby udało jej się umknąć z pułapki, która mogłaby ją uwięzić i zmiażdżyć), toteż myśli o możliwości zadania poważnej

rany komuś innemu, chociaż mało prawdopodobna, przyprawiała ją chwilami o utratę tchu. Zawsze wydawało jej się to najgorszą rzeczą, jaka mogłaby się w jej życiu zdarzyć. Po namyśle nie miała w końcu wątpliwości, co uważa za złe. To były sprawy brzydkie, nie lubiła im się przyglądać, ale jeśli patrzyła uważnie, mogła je rozpoznać nieomylnie. Złe są takie rzeczy, jak skąpstwo, zazdrość, okrucieństwo. Niewiele wiedziała o niegodziwościach świata, ale znała kobiety, które kłamały i umyślnie raniły się nawzajem. Na ten widok kipiała gniewem; wydawało jej się, że zwykła przyzwoitość każe gardzić takim postępowaniem. Oczywiście gniew bywa niebezpieczny, czasem prowadzi do niekonsekwencji, do wymachiwania chorągwią, gdy forteca już skapitulowała – postawy tak nieszczerzej, że jest niemal obrazą sztandaru. Ale Isabel niewiele wiedziała o ciosach, na które są narażone młode kobiety, i pochlebiała sobie, że w jej zachowaniu nigdy nie zdarzą się takie sprzeczności. Życie będzie zawsze zgodnie z najmilszym wrażeniem, jakie uda jej się wyrzucić na innych; zawsze będzie naprawdę taka, jaka się wydaje. Czasem posuwała się jeszcze dalej i marzyła, by znaleźć się pewnego dnia w trudnej sytuacji i udowodnić, że stać ją na heroizm, jakiego od niej zażąda los. Tak mało wiedząc, a tak wzniosłe wyznając ideały, pewna siebie, jednocześnie naiwna i dogmatyczna, wymagająca, a zarazem pobłażliwa, ciekawa, choć wybredna, pobudliwa i obojętna, spragniona, by ją wysoko oceniano i by w rzeczywistości zasługiwać na jeszcze lepszą, o ile to możliwe, ocenę, zdecydowana wszystko poznać, wszystkiego spróbować i doświadczyć, subtelny, kapryśny, płomienny duch, żarliwa osobowość, która była wytworem zewnętrznych warunków – Isabel nadawałaby się na ofiarę naukowego krytycyzmu, gdyby nie to, że autor woli wzbudzić w czytelniku cieplejsze dla niej uczucia i bardziej bezstronne zainteresowanie.

Jedną z jej teorii głosiła, że niezależność stanowi wielki przywilej, którego powinna użyć rozumnie. Nigdy nie nazywała swojej sytuacji samotnością, a tym bardziej osamotnieniem. Określenia te wydawały jej się niewłaściwe, zresztą zamężna

siostra, Lilian, nalegała, żeby przeniosła się na stałe do jej rodzinnego domu. Isabel miała przyjaciółkę, którą poznała na krótko przed śmiercią ojca i która stanowiła tak doskonały przykład pożytecznej działalności, że panna Archer pragnęła na niej się wzorować. Henrietta Stackpole górowała nad nią godnym podziwu talentem: była już cenioną dziennikarką, a jej korespondencje z Waszyngtonu, Newport czy White Mountains, drukowane na łamach „Interviewera”, przyniosły jej rozgłos. Isabel poufnie nazywała te artykuły „efemerydami”, lecz szanowała odwagę, energię i humor ich autorki, która nie mając rodziny ani majątku, adoptowała troje dzieci ułomnej owdowiałej siostry i ich pobyt w szkołach opłacała z zarobków swego pióra. Henrietta maszerowała w awangardzie postępu, miała zdecydowane poglądy na wszelkie niemal sprawy i od dawna marzyła o podróży do Europy, żeby stamtąd napisać dla „Interviewera” serię listów, naświetlając różne problemy z radykalnego punktu widzenia; przedsięwzięcie to było o tyle proste, że z góry doskonale wiedziała, jak osądzi większość europejskich instytucji i co w nich zamierza skrytykować. Gdy usłyszała, że pani Touchett zabiera Isabel do Europy, chciała wyruszyć natychmiast razem z nimi, przewidując oczywiście, że miło byłoby odbyć drogę w towarzystwie przyjaciółki. Musiała jednak nieco odwlec termin wyprawy. Uważała Isabel za wspaniałą dziewczynę i nawet opisywała ją w swoich listach, nie zdradzając oczywiście jej nazwiska i nic jej o tym nie mówiąc, bo Isabel nie byłaby z tego zadowolona, nie czytywała zresztą regularnie „Interviewera”. Henrietta była dla niej przede wszystkim dowodem, że kobieta może sama sobie radzić i czuć się szczęśliwa. Zdolności Henrietty należały do kategorii oczywistych, ale jeżeli dziewczyna nie ma dziennikarskiego talentu i nie umie, jak Henrietta, genialnie zgadywać, czego chcą czytelnicy, nie znaczy to przecież, że nie ma też jakiegoś powołania, że brak jej wszelkich pożytecznych umiejętności, że musi poprzestać na światowym, pustym życiu. Isabel mocno postanowiła, że nie będzie pustą kobietą. Trzeba tylko czekać cierpliwie, a w końcu z

pewnością nawinie się pod rękę jakaś zadowolająca misja. Rozumie się, że oprócz tych wielu teorii panna Archer miała też całą kolekcję poglądów na małżeństwo. Przede wszystkim uważała, że zniżyłaby się do pospolitości, gdyby za wiele na ten temat myślała. Szczerze modliła się, by ją ominęła śmieszność panien gorączkowo zabiegających o zamążpójście; wierzyła, że kobieta, jeśli nie jest wyjątkowo słaba, może znaleźć szczęście, obywając się bez mniej lub bardziej gruboskórnego towarzysza płci męskiej. Modlitwa została w wystarczającym stopniu wysłuchana; wrodzona czystość i duma – oziębłość i oschłość, jak by to nazwał odtrącony zalotnik, gdyby miał upodobanie do analizy – uchroniły ją od próżnych rozmyślań o kandydatach na mężów. Nieliczni tylko spośród mężczyzn, których widywała, zdawali się warci wysokiej ceny i uśmiechała się na myśl, że któryś z nich mógłby siebie uważać za przedmiot jej nadziei i nagrodę jej cierpliwości. W głębi duszy – na samym dnie – kryła przeświadczenie, że jeśli błysnie oczekiwane światło, będzie umiała oddać się całkowicie, bez zastrzeżeń; ale była to wizja zbyt groźna, aby mogła ją pociągać. Krążyła wokół niej myślami, rzadko jednak zatrzymywała się przed nią dłużej, bo zawsze po krótkiej kontemplacji zjawiał się lęk. Często niepokoiła się, że za wiele myśli o sobie; ktoś, kto by jej zarzucił skrajny egoizm, wywołałby niezawodnie na jej twarzy rumieniec. Wciąż snuła plany własnego rozwoju, dążyła do doskonałości, śledziła własne postępy. Jej natura, przesiąknięta próżnością, przypominała ogród pełen ulotnych aromatów, szelestu gałęzi, cienistych altanek, dalekich perspektyw, toteż Isabel miała wrażenie, że introspekcja jest spacerem na świeżym powietrzu i że zapuszczanie się w zakamarki własnej duszy musi być niewinną wyprawą, skoro się z niej wraca z naręczem róż. Ale często uświadamiała sobie, że ogród jej szlachetnej duszy nie jest jedynym na świecie i poza nim są różne miejsca wcale do ogrodów niepodobne, mroczne, cuchnące ugory zarośnięte chwastem brzydoty i nędzy. Płynąc z nurtem zaspokojonej ciekawości, który ją ostatnio porwał i zaniósł do pięknej starej Anglii, a miał zanieść jeszcze dalej, często



zatrzymywała się na myśl, że są tysiące istot mniej szczęśliwych, i wtedy przez chwilę jej własne rozkoszne poczucie pełni życia wydawało się nieprzyzwoitością. Jak pomieścić nędzę świata w obrazie tak dla niej samej przyjemnym? Trzeba wyjawic, że to pytanie nigdy zbyt długo nie zaprzętało jej umysłu. Isabel była za młoda, zbyt niecierpliwie głodna życia, za mało wiedziała o cierpieniu. Prędko wracała do teorii, że młoda kobieta, którą przecież wszyscy uważają za inteligentną, musi zacząć od ogólnego zapoznania się z życiem. To wstęp konieczny, by uniknąć błędów, a potem dopiero przyjdzie czas, by poświęcić szczególną uwagę niedoli bliźnich.

Anglia stała się dla niej objawieniem, Isabel była olśniona, jak mała dziewczynka na pantomimie. Kiedy przed laty przywożono ją do Europy, podróże ograniczały się do kontynentu, który zresztą oglądała niemal wyłącznie przez okno dziecinnego pokoju; dla jej ojca mekką był nie Londyn, lecz Paryż, a dzieci oczywiście nie miały dostępu do świata jego zainteresowań. Tamte obrazy zresztą zatarły się i oddaliły w jej pamięci i teraz staroświeckość wszystkiego, co tu spotykała, miała dla niej urok nowości. Dom wuja wydawał jej się obrazem, który ożył i wyszedł z ram; żaden subtelny szczegół nie umykał jej wrażliwości. Bogata doskonałość tej siedziby była dla Isabel objawieniem nieznanego świata i jednocześnie zaspokajała pewną wewnętrzną potrzebę. Duże, niskie pokoje, brunatne sufity, mroczne kąty, głębokie framugi i osobliwe, dzielone na kwatery okna, łagodne światło odbijające się od ciemnych, wypolerowanych boazerii, soczysta zieleń drzew, które zdawały się zaglądać do wnętrza, atmosfera ładu i odosobnienia w sercu „posiadłości ziemskiej”, miła cisza, rzadko zakłócana jakimś głośniejszym dźwiękiem, bo sama ziemia tłumiała kroki, w miękkim, gęstym powietrzu kontakty nie zmieniały się nigdy w starcia, a rozmowy wolne były od ostrych tonów – wszystko to zadowalało smak panny Archer, w której uczuciach gust odgrywał wielką rolę. Prędko zaprzyjaźniła się z wujem i siadywała przy nim, gdy wystawiano jego fotel na trawnik. Spędzał długie godziny w ogrodzie, siedząc z założonymi

rękoma niby spokojne, swojskie bóstwo domowe, bóstwo pracowite, które zrobiło swoje, dostało zapłatę i stara się teraz przywyknąć do tygodni i miesięcy złożonych wyłącznie z dni świątecznych. Isabel bawiła pana Touchetta bardziej, niż przypuszczała – często wywierała na ludziach inne wrażenie, niż jej się zdawało – a dla własnej przyjemności zachęcał ją do mówienia – do szczebiotania, bo tak określał jej konwersację, bardzo zresztą rzeczową, co było charakterystyczne dla młodych Amerykanek, których głosu otoczenie słucha uważniej niż głosu ich siostr z innych krajów. Isabel, podobnie jak wszystkie jej młode rodaczki, od wczesnego wieku zachęcano, żeby się wypowiadała; nie lekceważono jej zdania, oczekiwano od niej samodzielnych opinii i uczuć. Wiele jej sądów miało z pewnością bardzo skromną wartość, a uczucia ulatniały się, gdy przebrzmiały wyrażające je słowa; zostawiały jednak ślad, bo wyrabiały w niej przekonanie, że powinna sprawiać wrażenie istoty myślącej i czującej; co ważniejsze, dzięki temu – w momentach gdy naprawdę była czymś poruszona – umiała wyrażać swoje emocje żywo i bezpośrednio, w czym wiele osób dopatrywało się oznak wyższości. Staremu panu Touchett Isabel przypominała jego żonę z dawnych lat, kiedy była młodziutką dziewczyną. Zakochał się w niej wtedy, ponieważ zachwycała go świeżością, naturalnością, bystrością, z jaką w lot wszystko rozumiała i wyrażała, a więc tymi samymi cechami, które miała Isabel. Nigdy jednak nie zwierzył się siostrzenicy z tego spostrzeżenia, bo wprawdzie pani Touchett niegdyś była podobna do Isabel, ale Isabel wcale nie była podobna do swojej ciotki. Starszy pan okazywał jej wiele dobroci; mówił, że od dawna jego domowi brakowało obecności młodej istoty, szybkie, zwinne ruchy naszej bohaterki i jej jasny głos stały się dla oczu i uszu starszego pana miłe jak szmer strumienia. Miał ochotę czymś ją obdarzyć i ucieszyłby się, gdyby od niego czegoś zażądała. Ale Isabel domagała się tylko odpowiedzi na swoje pytania; trzeba przyznać, że zadawała ich bardzo wiele. Wuj miał bogate zapasy odpowiedzi, mimo to czasem jej ciekawość przybierała formy, które go oszałamiały. Chciała wiedzieć

wszystko o Anglii, o jej ustroju, o charakterze Brytyjczyków, o sytuacji politycznej, o sposobie bycia i zwyczajach rodziny królewskiej, o szczególnych przywilejach arystokracji, o trybie życia i poglądach sąsiadów z okolicy; prosząc o te informacje, wypytywała też, czy prawdziwy stan rzeczy zgodny jest z tym, o czym czytała w książkach. Starszy pan patrzył na nią wtedy z nikłym uśmiechem i wyglądał pled na swoich kolanach.

– W książkach? – odparł kiedyś. – Nie znam się na książkach. O to zapytaj lepiej Ralpha. Co do mnie, starałem się zawsze sprawdzać fakty bezpośrednio, poznawać samą rzeczywistość. Nawet nie zadawałem nigdy wielu pytań, po prostu milczałem i patrzyłem uważnie. Oczywiście miałem więcej sposobności do robienia obserwacji, młoda dama takich szans nie ma. Jestem z natury bardzo wścibski, chociaż nigdy byś tego nie spostrzegła, choćbyś mnie pilnie śledziła – bo ja zawsze bym jeszcze czujniej śledził ciebie. Obserwuję tutejszych ludzi od trzydziestu pięciu lat i śmiało mogę powiedzieć, że zgromadziłem dość dużo spostrzeżeń. Ogólnie mówiąc, to jest wspaniały kraj, wspanialszy niż my, z tamtej strony Atlantyku, gotowi jesteśmy przyznać. Rozumie się, wprowadziłbym chętnie kilka poprawek, ale ogół społeczeństwa, jak się zdaje, nie odczuwa na razie takiej potrzeby. Jeżeli dojdzie do wniosku, że jakaś zmiana jest potrzebna, to ją zapewne urzeczywistni, tymczasem jednak żyje spokojnie w istniejących warunkach. Czuję się między tymi ludźmi bardziej swojsko, niż przewidywałem, kiedy się tutaj przeniósłem, prawdopodobnie dlatego, że mi się tutaj nieźle powiodło, człowiek, któremu się dobrze gdzieś powodzi, czuje się tam na swoim miejscu, to naturalne.

– Wuj sądzi, że ja też będę się tu czuła jak w domu, jeśli odniosę sukces?

– Wydaje mi się to bardzo prawdopodobne, a co do twojego sukcesu, to jestem go zupełnie pewny. Oni tu bardzo lubią młode Amerykanki i okazują im dużo sympatii. Ale nie byłoby dobrze, gdybyś się czuła zanadto jak u siebie w domu.

– Och, wcale nie wiem jeszcze, czy będę sobie tego życzyła –

odparła skrupulatna Isabel. – Kraj bardzo mi się podoba, ale nie wiem, czy ludzi także polubię.

– To bardzo dobrzy ludzie, zwłaszcza dla tych, którzy ich lubią.

– Nie wątpię, że są dobrzy, ale czy są mili w towarzystwie? Oczywiście nie ograbią mnie ani nie pobiją, ale czy będą dla mnie uprzejmi? Bo ja tego od ludzi oczekuję. Przyznaję się, że zawsze wysoko to sobie ceniłam. Myślę, że nie traktują jak należy młodych dziewczyn. Przynajmniej tak wnoszę z różnych powieści.

– Nie czytuję powieści – odparł pan Touchett – ale, o ile mi wiadomo, są to historie zręcznie opowiedziane, niezbyt jednak ściśle przedstawiające prawdę. Była tu kiedyś w Gardencourt pewna pani pisząca powieści, znajoma Ralpa, który ją tu zaprosił. Pani jak najbardziej na miejscu, pod każdym względem w porządku, ale typ świadka, że tak się wyrażę, na którym nie można polegać. Z dużo fantazji; myślę, że w tym cała przyczyna. Później wydała powieść, w której rzekomo sportretowała czy raczej skarykaturowała moją niegodną osobę. Nie czytałem całej książki, Ralph tylko założył dla mnie stronicę i zakreślił fragmenty, gdzie niby ja występowałem. Autorka odtwarzała mój sposób mówienia, amerykański akcent, nosowe brzmienie samogłosek, jankeskie poglądy, wymachiwanie gwiazdzistym sztandarem. Ale nie odtworzyła dokładnie tego, co mówiłem, widocznie słuchała mnie bardzo nieuważnie. Nie mam nic przeciw temu, żeby powtarzała moje wypowiedzi, skoro ma ochotę, ale gniewa mnie, że nie raczyła poświęcić należytej uwagi moim słowom. Oczywiście mówię jak Amerykanin, nie umiem mówić jak Hotentot. W każdym razie ludzie tutaj zawsze doskonale mnie rozumieli. Ale nie mówiłem nigdy tak jak starszy pan w powieści tej pani. To nie jest Amerykanin, my byśmy za żadną cenę nie chcieli go w Stanach przyjąć! Wspominam o tym, żeby ci wytłumaczyć na przykładzie, że nie można wierzyć powieściom. Naturalnie, ponieważ nie mam córek, a moja żona mieszka we Florencji, nie miałem sposobności, żeby zaobserwować, jak się tu traktuje młode panny. Wydaje mi się, że kobiety z niższych klas mają dość ciężkie

życie, ale w klasach wyższych, a nawet do pewnego stopnia w średnich, sytuacja ich jest lepsza.

– Na Boga! – wykrzyknęła Isabel. – Ileż oni tutaj mają klas? Pewno z pół setki?

– No, nie liczyłem nigdy. W ogóle podział na klasy wcale mnie nie interesuje. Amerykanin ma tę przewagę, że nie należy do żadnej z tutejszych klas.

– Mam nadzieję! – przytaknęła Isabel. – Strach pomyśleć, że zaliczono by mnie do jednej z angielskich klas!

– O ile wiem, w niektórych, zwłaszcza blisko szczytu, można żyć całkiem przyjemnie. Ale ja odróżniam tylko dwie kategorie ludzi: tych, którym ufam, i tych, którym nie ufam. Ciebie, kochana Isabel, oczywiście zaliczam do tej pierwszej klasy.

– Dziękuję! – szybko powiedziała Isabel. Zawsze tak oschle kwitowała komplementy, ucinając je jak mogła najkrócej. Często wywoływało to fałszywe wrażenie, jak gdyby była obojętna na pochwały; w rzeczywistości bała się zdradzić, jak ogromną sprawiają jej przyjemność. Okazując to, wyjawiałaby za wiele swoich sekretów. – Myślę, że Anglicy są okropnie konwencjonalni – dodała.

– Wszystko jest tutaj raz na zawsze ujęte w pewne reguły – przyznał pan Touchett. – Wolą z góry ustalać porządek rzeczy, zamiast rozstrzygać o nim dopiero w ostatniej chwili.

– Ale ja nie cierpię, żeby wszystko było z góry wiadome – odparła Isabel. – Wolę trochę niespodzianek.

Starszy pan uśmiechnął się, bo ubawiła go stanowczość, z jaką Isabel głosiła swoje upodobania.

– A tymczasem z góry wiadomo, że będziesz tu miała wielkie powodzenie. To cię chyba cieszy, nie?

– Nie będę miała powodzenia, jeśli ludzie są tutaj głupio konwencjonalni, bo nie jestem ani trochę konwencjonalna. Wprost przeciwnie! I to im się nie może spodobać.

– Mylisz się, mylisz się zasadniczo! – odparł pan Touchett. – Nie wiesz, co im się podoba, a co nie. Są często niekonsekwentni i właśnie dlatego tak ogromnie interesujący.

– A to świetnie! – stwierdziła Isabel, stając przed wujem z rękoma splecionymi na pasku czarnej sukni i rozglądając się po trawniku.

## ROZDZIAŁ VII

Zabawiali się często podobnymi rozmowami o postawach brytyjskiego społeczeństwa, jak gdyby nasza bohaterka miała w tej sferze jakieś doświadczenie, ale brytyjskie społeczeństwo pozostało na razie głęboko obojętne wobec panny Isabel Archer, którą los sprowadził – jak twierdził jej kuzyn – do najnudniejszego domu w Anglii. Cierpiący na reumatyzm wuj niewielu przyjmował gości, a pani Touchett, która nie utrzymywała stosunków z sąsiadami swojego męża, nie mogła spodziewać się ich wizyt, miała jednak szczególne upodobanie: lubiła, żeby jej składano bilety wizytowe. Nie znajdowała przyjemności w tak zwanym życiu towarzyskim, lecz cieszył ją widok bielejących na stole w holu symbolicznych prostokątnych kartoników. Pochlebiała sobie, że jest kobietą sprawiedliwą, i wyznawała najwyższą prawdę, że niczego nie dostajemy na tym świecie za darmo. Nie grała towarzyskiej roli jako pani domu w Gardencourt, toteż rozumiała, że mieszkańcy okoliczni nie są obowiązani zauważać każdego jej przyjazdu czy wyjazdu. Nie jest jednak wcale pewne, czy nie czuła się trochę urażona, że sąsiedzi tak mało poświęcają uwagi jej osobie, i czy żal (doprawdy nieuzasadniony), że nie zdobyła w okolicy Gardencourt lepszej pozycji towarzyskiej, nie był w dużym stopniu przyczyną zjadliwych komentarzy, jakich nie szczędziła przybranej ojczyźnie swojego małżonka. Stwarzało to dziwaczne sytuacje, w których Isabel, nieoczekiwanie dla samej siebie, musiała bronić brytyjskich zasad konstytucyjnych przed atakami ciotki, bo pani Touchett ustawicznie wbijała szpilki w te czcigodne ustawy. Isabel zawsze odruchowo miała ochotę szpilki te wyciągać, nie z obawy, że mogłyby rzeczywiście uszkodzić stare, sztywne pergaminy, lecz dlatego, że ciotka powinna by, jej zdaniem, skierować ostrze w innym kierunku. Isabel sama wiele rzeczy krytykowała; skłonność do krytyki jest naturalną cechą młodego wieku, płci pięknej i narodu amerykańskiego; ale

jednocześnie była bardzo sentymentalna, a oschłość pani Touchett pobudzała w siostrzenicy źródła uczuć do tym gwałtowniejszych wylewów.

– Jaki punkt widzenia ciocia obrała? – zapytała kiedyś. – Krytykując tutaj wszystko, trzeba przyjąć określony punkt widzenia. Nie wydaje mi się, żeby ciocia patrzyła na Anglię ze stanowiska Amerykanki, bo za oceanem też wszystko było w cioci oczach jak najgorsze. Ja, jeśli coś krytykuję, to wiem, jaki jest mój punkt widzenia: na wskroś amerykański!

– Wiedz, moje dziecko – odparła pani Touchett – że punktów widzenia jest tyle, ile żyje na świecie ludzi zdolnych samodzielnie myśleć. Będziesz miała rację, jeśli powiesz, że w takim razie nie ma ich wiele. Amerykański punkt widzenia? Nie, za żadną cenę! To okropnie ciasny horyzont. Ja, dzięki Bogu, mam swój osobisty punkt widzenia.

Isabel nawet sama przed sobą wolała nie przyznawać się, jak bardzo ta odpowiedź jej się spodobała; ona przecież myślała podobnie, ale nie wypadało głośno tego powiedzieć. W ustach osoby młodszej i mniej doświadczonej niż pani Touchett zakrawałoby to na zarozumialstwo, nawet na arogancję. Pozwalała sobie na większą szczerość wobec Ralphi, rozmawiając z nim często i długo, w tonie, który dopuszczał wszelkie ekstrawagancje. Kuzyn zwykle przekomarzał się z nią, jak można by to określić; wkrótce zyskał u niej opinię człowieka, który ze wszystkiego żartuje, a nie należał do ludzi gardzących możliwościami, jakich dostarcza taka reputacja. Isabel oskarżała go o brak powagi, zarzucała mu, że gotów kpić z każdej rzeczy i z każdej osoby, poczynając od siebie. Jeśli był zdolny do szacunku, to całą tę swoją zdolność skupiał na ojcu; poza tym ostrzył język na wszystkich, także na jedynym synu swojego ojca, wyśmiewając jego słabe płuca i próżniacze życie, dziwactwa jego matki, przyjaciół (szczególnie lorda Warburtona), przybraną i pierwotną ojczyznę i uroczą świeżo odkrytą kuzynkę.

– Trzymam w przedpokoju kapekę – powiedział kiedyś do niej – i każę jej grać bez przerwy. Oddaje mi tym sposobem dwie



cenne przysługi: po pierwsze, nie dopuszcza głosów zewnętrznego świata do moich prywatnych apartamentów, a po drugie, wpaja światu zewnętrznemu przekonanie, że w moich salonach trwa nieustanny bal.

Rzeczywiście w otoczeniu Ralpha słyszało się zawsze muzykę do tańca, zdawało się, że powietrze drga od zawrotnych walców. Isabel często drażnił ten ciągły wesóły zgiełk; chętnie ominęłaby przedpokój, jak to Ralph nazywał, by wejść do prywatnych apartamentów. Nie zraziło jej ostrzeżenie, że są to bardzo zaniedbane komnaty, miała ochotę zamieść je i doprowadzić do porządku. Ralph nie okazał jej prawdziwej gościnności, zamykając przed nią te drzwi; żeby go ukarać, Isabel zadawała mu cios za ciosem, starając się go dosięgnąć ostrzem swojego młodzieńczego, bezpośredniego dowcipu. Trzeba przyznać, że stosowała tę słowną szermierkę głównie w obronie własnej, bo Ralph zabawiał się jej kosztem, nazywał ją „Kolumbią” i oskarżał, że parzy otoczenie zbyt gorącym patriotyzmem. Narysował jej karykaturę, przedstawiając śliczną młodą kobietę w sukni skrojonej według najnowszej mody i uszytej z gwiazdzystego amerykańskiego sztandaru. Isabel na tym etapie rozwoju najbardziej lękała się zrobić na kimś wrażenie osoby o ciasnych horyzontach umysłowych, a zaraz potem lękała się być naprawdę taką kobietą. Mimo to bez skrupułów manifestowała uczucia przypisywane jej przez kuzyna i udawała, że wzdycha tęsknie do uroków swojej ojczyzny. Chętnie grała rolę fanatycznej Amerykanki, za jaką Ralph ją uznał, a skoro go to bawiło, gotowa była dostarczać mu okazji do tej zabawy. Broniła Anglii przed jego matką, ale gdy Ralph przekornie wychwalał ten kraj pod niebiosa, znajdowała mnóstwo argumentów, żeby mu się przeciwstawić. W rzeczywistości ten w pełni dojrzały kraj wydawał jej się zachwycający jak smak słodkiej paździenikowej gruszki; właśnie dlatego, że czuła się tutaj świetnie, mogła z humorem znosić docinki kuzyna i odpłacać mu tą samą monetą. Jeśli chwilami traciła werwę, to nie dlatego, że ją urażały jego żarty, lecz że czasem było jej żal Ralpha. Wydawało jej się, że cała

ta wesoła gadanina to tylko zasłona dymna i że kuzyn dowcipkuje bez przekonania.

– Nie bardzo cię rozumiem – powiedziała kiedyś – ale podejrzewam, że grasz komedię.

– Tobie wszystko wolno – odparł Ralph, nieprzyzwyczajony, by mu ktoś tak bez ceremonii mówił prawdę w oczy.

– Nie wiem, co cię naprawdę obchodzi, myślę, że w gruncie rzeczy o nic nie dbasz. Nie kochasz naprawdę Anglii, chociaż tak piejesz na jej cześć. Nie kochasz także Ameryki, chociaż udajesz, że z niej drwisz.

– Nic mnie nie obchodzi prócz ciebie, miła kuzynko.

– Gdybym mogła choćby w to uwierzyć, bardzo bym się z tego cieszyła.

– Mam nadzieję, że byś się cieszyła! – wykrzyknął Ralph.

Isabel mogła uwierzyć, niewiele by się pomyliła. Bardzo ją cenił i nieustannie zaprzętała jego uwagę. Zjawiała się niespodziewanie w okresie, gdy przygnębiały go troski, i chociaż niczego po niej nie oczekiwał, stała się szczodrym darem losu, odświeżyła i ożywiła jego myśli, uskrzydliła je i dostarczyła celu wzlotom. Biedny Ralph od kilku tygodni grzął w melancholii; na jego perspektywy, zawsze dość posępne, padł cień nowej groźnej chmury. Niepokoił się o ojca, bo choroba, która dotychczas obezwładniała tylko jego nogi, zaczęła teraz dosięgać wewnętrznych, niezbędnych do podtrzymania życia narządów. Starszy pan na wiosnę ciężko chorował i lekarze szepnęli Ralphowi, że następnego ataku już zapewne nie uda się odeprzeć. Na razie zdawało się, że starszy pan miewa się dobrze, ale Ralph podejrzewał, że to podstęp nieprzyjaciela, który tylko czyha na chwilę osłabienia czujności; jeśli zaatakuje, nie można się łudzić, że napotka większy opór. Ralph od dawna uznał za pewnik, że ojciec go przeżyje, że imię syna pierwsze zostanie wywołane w złowieszczym apelu. Byli ze sobą najściślej związani i Ralph nie dopuszczał myśli, że musiałby resztę bezbarwnego życia znosić samotnie; zawsze w skrytości serca liczył na pomoc starszego przyjaciela, by jak najlepiej wykorzystać swój zły los. Wobec

groźby, że będzie mu odebrany ten jedyny potężny bodziec, Ralph stracił odwagę. Bez protestu zgodziłby się umrzeć razem z ojcem, ale bał się, że pozbawiony jego wsparcia nie będzie miał cierpliwości, żeby czekać swojej kolei. Nie mógł pokrzepiać się przeświadczeniem, że jest potrzebny swojej matce; pani Touchett z zasady nie pozwalała sobie na rozrzewnienie. Ralph oczywiście rozumiał, że nie jest wobec ojca w porządku, pragnąc, aby z nich dwóch ten bardziej aktywny, a nie bierny współnik musiał przecierpieć ból rozstania; pamiętał, że starszy pan zawsze traktował zapowiedzi wczesnej śmierci syna jak sprytną pogroźkę, do której spełnienia nie dopuści w miarę swoich możliwości, umierając przedtem. Ralph miał wszakże nadzieję, że nie grzeszy, życząc ojcu, by zamiast zaprzeczać prorocत्वom przemądrzałego syna, odniósł inny tryumf, polegający na zachowaniu jeszcze przez czas jakiś egzystencji, która, chociaż bardzo zubożona, nie przestała mu być miła.

Były to subtelne rozważania, ale przyjazd kuzynki położył im kres. Wzbudził nawet przypuszczenie, że może istnieje coś, co mogłoby zrównoważyć nieznośną przykrość życia po odejściu dobrego ojca. Ralph zastanawiał się nawet, czy nie żywi „miłości” do tej żywiołowej dziewczyny z Albany, ale odpowiedział sobie na to pytanie przecząco. Po tygodniu znajomości był już pewny, że się nie pomylił, i z każdym następnym dniem utwierdzał się coraz mocniej w tym przekonaniu. Lord Warburton słusznie nazwał ją interesującą osobą. Ralpa dziwiło, że Warburton odgadł to niemal od pierwszego spojrzenia; w końcu uznał, że to jeden więcej dowód wielkiej bystrości, którą zawsze cenił w swoim przyjacielu. Kuzynka miała więc dla niego pozostać tylko rozrywką, ale, jak sobie uświadamiał, rozrywką bardzo szlachetną. „Cóż za charakter! Nie ma w świecie nic wspanialszego – myślał – niż obserwować, chociaż w małej skali, grę sił prawdziwie namiętnych. To piękniejsze niż wszystkie arcydzieła sztuki, niż płaskorzeźby greckie, płótna Tycjana czy katedry gotyckie. Jak przyjemnie, gdy los zsyła dar tak zupełnie nieoczekiwany! Nigdy nie byłem bardziej zgnębiony i znudzony niż w tygodniu

poprzedzającym jej przyjazd; nie wierzyłem, żeby mogło jeszcze zdarzyć się w moim życiu coś pomyślnego. Nagle poczta przyniosła mi obraz Tycjana do zawieszenia na ścianie w moim domu, grecką płaskorzeźbę nad mój kominek, włożono mi w rękę klucz do pięknego gmachu, pozwolono przechadzać się po nim i oglądać go z zachwytem. Biedaku, byłeś brzydki niewdzięczny, radzę ci, siedź teraz cicho i nigdy więcej nie użalaj się nad sobą!”. Słuszne uczucia podyktowały mu tę refleksję, ale mylił się, sądząc, że ma w ręku klucz. Isabel była niepospolitą dziewczyną i Ralph miał rację, mówiąc sobie, że tylko wytrawny znawca może ją ocenić jak należy; on nie patrzył na nią okiem znawcy; wprawdzie przyjął wobec niej postawę kontemplacyjną i krytyczną, lecz nie był bezstronny. Oglądał gmach z zewnątrz i gorąco podziwiał, zajrzał przez okno do wnętrza i odniósł wrażenie, że tam proporcje są równie doskonałe. Wiedział jednak, że ten widok mignął mu tylko z daleka, że nie wszedł jeszcze pod dach. Miał w kieszeni cały pęk kluczy, lecz żaden z nich nie pasował. Isabel jest inteligentna i wielkoduszna, ma szlachetną, niezależną naturę. Ale co zrobi ze swego życia? Pytanie to byłoby niewłaściwe w odniesieniu do większości kobiet, nie można by go im w ogóle stawiać. Większość kobiet nie próbuje kształtować swojego losu, czeka po prostu biernie, w mniej lub bardziej wdzięcznej pozycji, żeby na ich drodze zjawiał się mężczyzna i przyniósł im gotową formułę życia. Oryginalność Isabel na tym właśnie polegała, że wydawała się dziewczyną, która ma jakieś własne plany. „Kiedykolwiek je urzeczywistni – myślał Ralph – chciałbym być przy tym”.

Oczywiście wypadło mu grać rolę gospodarza. Pan Touchett był przykuty do fotela, a pani Touchett sama była w Gardencourt gościem, i to dość niechętnym; przed Ralphem otwierała się więc perspektywa, w której obowiązek łączył się doskonale z przyjemnością. Nie przepadał za spacerami, ale chętnie przechadzał się z kuzynką po ogrodzie, a pogoda wciąż sprzyjała tej rozrywce, zadziwiając swą łaskawością pannę Archer, której wpojono jak najgorsze wyobrażenie o angielskim klimacie; długie

popołudnia, zamiast ją nużyć długością, cieszyły, dając dość czasu na pływanie łodzią po rzece – „kochanej rzeczce”, jak ją Isabel nazywała – której drugi brzeg wyglądał zawsze jak pierwszy plan pejzażu, albo też na przejażdżki po okolicy w faetonie, niskim powozie o szerokich kołach, który niegdyś służył panu Touchettowi, ale teraz nie był mu już potrzebny. Isabel niezmiernie lubiła te wycieczki; ujmowała lejece gestem, który miał przekonać stajennego o jej umiejętnościach, i niestrudzenie powoziła wspaniałymi końmi swego wuja na krętych ścieżkach i bocznych drogach, które zgodnie z oczekiwaniami dostarczały mnóstwa sielskich widoków; spotykali chaty kryte strzechą lub gontem, gospody oszalowane deskami i wysypane piaskiem, stare pastwiska gminne, zarośnięte, opuszczone parki, sunęli między żywopłotami, gęstymi o tej porze lata, a wracając do domu, zastawali zwykle podwieczorek w ogrodzie i panią Touchett, która wyjątkowo łaskawie podawała herbatę swemu mężowi. Ale para małżonków siedziała w niemal całkowitym milczeniu, starszy pan z odchyłoną na oparcie fotela głową i zamkniętymi oczyma, jego żona zajęta robótką, z wyrazem głębokiej zadumy, jaki przybierają niektóre kobiety, śledząc ruchy szydełka.

Pewnego jednak dnia zastali gościa. Kiedy po godzinie spędzonej na rzece Isabel i Ralph wracali spacerem do domu, ujrzeni pośrodku trawnika lorda Warburtona siedzącego pod drzewami i zajętego rozmową z panią Touchett; nawet z daleka wyczuwało się, że konwersacja nie bardzo się klei. Przyjechał ze swego majątku z małą walizką i oznajmił, że chciałby tym razem skorzystać z wielokrotnie powtarzanych zaproszeń ojca i syna, i zostać na kolację i na noc. Isabel widziała go pierwszego dnia po przybyciu i zdążyła wtedy zauważyć, że jest sympatyczny; jego obraz utrwalił się w jej wrażliwej psychice i dość często o nim myślała. Miała nadzieję, że spotka jeszcze lorda Warburtona... i kilka innych osób. Nie nudziła się w Gardencourt, była to przecież królewska siedziba, pan Touchett okazał się najmiłszym wujaszkiem, a Ralph nie przypominał żadnego z kuzynów, z którymi zdarzyło jej się zetknąć i których osądzała dość surowo.

Wreszcie wszystkie wrażenia były tak jeszcze świeże i tak się wciąż odnawiały, że nie zostawiły miejsca na nudę. Isabel musiała przypominać sobie, że interesuje ją głównie natura ludzka i że wyjeżdżając za granicę, cieszyła się przede wszystkim na okazję poznania mnóstwa osób. Toteż gdy Ralph – nie po raz pierwszy zresztą – powiedział do niej: „Zastanawiam się, jak możesz ścierpieć tę monotonię, powinnaś poznać naszych sąsiadów i przyjaciół... bo mamy trochę przyjaciół, chociaż brzmi to niewiarygodnie” – i zaproponował, że sprosi tłum gości, by mogła przyjrzeć się angielskiej socjocie, Isabel pochwaliła te towarzyskie plany i z góry obiecała, że rzuci się w wir światowego życia. Jak dotąd jednak nic z tych projektów nie wynikło i trzeba czytelnikowi poufnie wyjaśnić, że Ralph nie spieszył się z ich wprowadzeniem w czyn, ponieważ obowiązki zabawiania kuzynki wcale nie wydawały mu się tak uciążliwe, by odczuwać potrzebę czyjejs pomocy. Isabel często mówiła o „okazach”, termin ten grał bardzo ważną rolę w jej słowniku; tłumaczyła kuzynowi, że pragnie studiować angielskie społeczeństwo na przykładach jego wybitnych reprezentantów.

– A więc masz nowy okaz! – powiedział Ralph, gdy wracając znad rzeki, spostrzegł lorda Warburtona.

– Okaz? Czego? – spytała panna Archer.

– Angielskiego dżentelmena.

– Czy to znaczy, że wszyscy angielscy dżentelmeni są tacy jak on?

– O nie, takich jak on nie ma wielu.

– A więc to okaz przynoszący chlubę swojemu gatunkowi – stwierdziła Isabel – bo jestem pewna, że to człowiek sympatyczny.

– Bardzo sympatyczny i wyjątkowy szczęściarz.

Szczęściarz wymienił uścisk dłoni z naszą bohaterką, wyrażając nadzieję, że zastał ją w najlepszym zdrowiu i humorze.

– Ale nie powinienem o to nawet pytać – dodał – skoro pani tak dzielnie pracowała wiosłami.

– Owszem, trochę wiosłowałam – przyznała Isabel – ale skąd pan to wie?

– Och, wiem, że ten pan jest za leniwy, by wiosłować – odparł ze śmiechem, wskazując Ralpa.

– Jego lenistwo wydaje się być usprawiedliwione – odparła panna Archer, ścisząc nieco głos.

– Tak, tak, jemu wszystko się wybacza! – wciąż z hałaśliwą wesołością wykrzyknął lord Warburton.

– W tym przypadku usprawiedliwiają mnie wiosłarskie umiejętności mojej kuzynki – rzekł Ralph. – Isabel wszystko robi doskonale. Każda rzecz staje się piękna, gdy ona jej dotknie.

– Zaczynam marzyć, żeby pani mnie raczyła dotknąć – powiedział lord Warburton.

– W dobrym ręku z pewnością zmieniłby się pan na lepsze – odparła Isabel, kiedy chwalono jej liczne umiejętności, ale na szczęście mogła wierzyć, że to zadowolenie z siebie nie jest świadectwem głupoty, skoro naprawdę wiele rzeczy umie robić bardzo dobrze. Pragnęła, żeby ludzie dobrze o niej myśleli, w tej chęci jednakże nie brakowało odrobiny pokory, która zawsze żąda konkretnych dowodów.

Lord Warburton nie tylko spędził noc w Gardencourt, ale łatwo dał się namówić na pozostanie tam przez cały dzień, a pod wieczór zdecydował się odłożyć wyjazd do następnego ranka. W ciągu tej wizyty ustawicznie zwracał się do panny Archer, która miło przyjmowała te objawy szacunku. Podobał jej się coraz bardziej, oczywiście pierwsze wrażenie usposobiło ją przychylnie, ale spędziwszy w jego towarzystwie wieczór, widziała w Warburtonie niemal romantycznego bohatera, chociaż bez aureoli złowieszczej tajemniczości. Kładła się tego dnia spać z poczuciem, że spotkało ją coś bardzo pomyślnego, i z żywą świadomością, że czeka ją zapewne wiele szczęśliwych zdarzeń. „Przyjemnie mieć wśród znajomych dwóch tak uroczych ludzi” – myślała, określając w ten sposób kuzyna i jego przyjaciela. Trzeba jednak dodać, że pewien incydent o mało nie zmałował tego wieczoru jej dobrego humoru, a w każdym razie poddał go dość ciężkiej próbie. Pan Touchett wycofał się do swej sypialni o wpół do dziesiątej, ale jego żona została w salonie z resztą towarzystwa. Po niespełna godzinie

jednak wstała i zwracając się do siostrzenicy, stwierdziła, że czas już powiedzieć panom dobranoc. Isabel wcale nie miała jeszcze ochoty iść spać. Jej zdaniem wieczór miał charakter odświętny, a święta nie powinny kończyć się tak wcześnie. Toteż bez namysłu po prostu odpowiedziała:

– Czy muszę już zaraz odejść? Wolałabym jeszcze posiedzieć pół godzinki.

– Nie wymagasz chyba, żebym na ciebie czekała, to wykluczone – odparła pani Touchett.

– Ależ, ciociu, nie potrzebowałabyś czekać. Ralph zapali dla mnie świecę! – wesoło zawołała Isabel.

– Ja to zrobię, niech pani pozwoli, żebym ja pani oddał tę usługę! – wykrzyknął lord Warburton. – Błagam tylko, żeby to nie było przed północą.

Pani Touchett utkwiała na chwilę w jego twarzy spojrzenie swoich małych, błyszczących oczu, a potem przeniosła je na siostrzenicę i lodowatym tonem powiedziała:

– Nie wypada, żebyś zostawała sama z panami. Nie jesteś, moja droga, w tym twoim Albany.

– Szczerze tego żałuję! – odparła Isabel, wstając z rumieńcem na policzkach.

– Ależ, mamó! – wykrzyknął Ralph.

– Doprawdy, proszę pani... – szepnął lord Warburton.

– Nie ja, proszę pana, wymyśliłam obyczaje tego kraju – oznajmiła pani Touchett – ale skoro są, jakie są, muszę się do nich stosować.

– Nie wypada mi zostać w towarzystwie bliskiego kuzyna? – spytała Isabel.

– O ile mi wiadomo, nie jesteś spokrewniona z lordem Warburtonem.

– To może raczej ja pójdę spać – zaproponował lord Warburton. – To by rozwiązało sprawę.

Pani Touchett z grymasem rezygnacji usiadła.

– Jeśli trzeba, zostanę choćby do północy.

Ralph tymczasem już podawał lichtarz kuzynce. Obserwował



ją pilnie; zdawało mu się, że w tych okolicznościach objawi gorący temperament, i myślał, że może to być widok interesujący. Ale jeśli spodziewał się wybuchu, doznał zawodu, bo panna Archer zaśmiała się z cicha, skinęła panom głową na dobranoc i wyszła w asyście ciotki. Ralph był zły na matkę, ale przyznawał jej słuszność.

Wszedłszy na piętro, ciotka i siostrzenica zatrzymały się pod drzwiami sypialni pani Touchett. Przez całą drogę Isabel milczała.

– Oczywiście gniewasz się, że przerwałam ci zabawę – powiedziała pani Touchett.

Isabel chwilę namyślała się, nim odparła:

– Nie gniewam się, ale jestem zdziwiona i zaskoczona. Czy rzeczywiście popełniłabym nietakt, zostając w salonie?

– Stanowczo tak. W tym kraju, w szanującym się domu młoda panna nie przesiaduje w męskim towarzystwie do późna w noc bez opieki.

– W takim razie ciocia dobrze zrobiła, że mnie stamtąd zabrała. Nie rozumiem tego, ale cieszę się, że teraz już wiem, jakie są zwyczaje.

– Zawsze ci powiem, jeśli zauważę, że zachowujesz się zbyt swobodnie – przyrzekła ciotka.

– Bardzo ciocię o to proszę. Ale nie obiecuję, że zawsze cioci postucham.

– Prawdopodobnie. Bardzo lubisz stawiać na swoim.

– Tak. Bardzo to lubię. Ale chcę wiedzieć, co jest przyjęte, a co nie uchodzi.

– Żeby świadomie łamać zakazy? – spytała pani Touchett.

– Żeby świadomie wybierać – odparła Isabel.

## ROZDZIAŁ VIII

Panna Archer była zwolenniczką romantycznych wrażeń, lord Warburton ośmielił się więc wyrazić nadzieję, że zechce któregoś dnia odwiedzić jego dom, bardzo starą, ciekawą siedzibę. Wyjednał u pani Touchett przyrzeczenie, że zawiezie siostrzenicę do Lockleigh, a Ralph zgłosił gotowość towarzyszenia damom, jeśli ojciec będzie mógł obyć się bez niego. Lord Warburton zapewnił naszą bohaterkę, że przedtem jego siostry złożą jej wizytę. Wiedziała już coś niecoś o tych siostrach, bo w wielogodzinnych rozmowach w dniach pobytu sąsiada w Gardencourt wydobyła od niego różne informacje o jego rodzinie. Isabel, gdy ją coś interesowało, zadawała wiele pytań, a lord Warburton lubił mówić i nie kazał się zbyt ciągnąć za język. Rodziców dawno już stracił, ale miał cztery siostry i dwóch braci – bardzo poczciwych; „nieszczęśliwie błyskotliwi – jak się wyraził – choć przyzwoici i mili”. Spodziewał się, że panna Archer pozna bliżej jego rodzeństwo. Jeden z braci jest duchownym i proboszczem w gnieździe rodzinnym, bo Lockleigh to duża, szeroko rozrzucona parafia; zacny człowiek, chociaż pod każdym względem odmienny przekonań niż senior rodziny; przy okazji lord Warburton wymienił pewne opinie swojego brata, a były to takie same opinie, jakie Isabel słyszała z ust wielu różnych osób, tak że wydawały jej się wspólne dla ogromnej części rodziny ludzkiej. Myślała nawet, że niektóre z nich podziela, dopiero lord Warburton wytłumaczył jej, że się myli; niemożliwe, by naprawdę wyznawała takie poglądy, po prostu łudzi się, ale z pewnością zrozumie błąd, jeśli się przez chwilę zastanowi. Kiedy mu odpowiedziała, że nad niektórymi z tych zagadnień już się nieraz i bardzo głęboko zastanawiała, lord Warburton orzekł, że to nowy przykład zjawiska, które często obserwował, zdumiewając się, jak przesądni są Amerykanie, bardziej pod tym względem zacofani od wszystkich innych narodów świata. Jeden w drugiego skrajni

torysi i bigoci, nie ma bardziej konserwatywnych konserwatystów niż Amerykanie. Za dowód mogą posłużyć obaj Touchettowie, jej wuj i kuzyn; w wielu sprawach mają poglądy wręcz średniowieczne, do jakich w dzisiejszej Anglii nikt już się bez wstydu nie przyznaje; co więcej – ze śmiechem dodał jego lordowska mość – bezczelnie twierdzą, że lepiej rozumieją potrzeby biednej, kochanej, głupiej starej Anglii i grożące jej niebezpieczeństwa niż on, który się urodził w tym kraju i jest – ku swojej hańbie! – właścicielem znacznej jego połaci. Z tego wszystkiego Isabel wyciągnęła wniosek, że lord Warburton jest arystokratą najnowszej odmiany, reformatorem i radykałem, który potępia dawny ustrój. Drugi z jego braci, uparty lekkoduch, jest oficerem na służbie w Indiach i jak dotąd nie odznaczył się niczym prócz mnóstwa długów, które Warburton spłacał, ponieważ to należy do wspaniałych przywilejów seniora rodziny.

– Myślę, że nie będę już dłużej za niego płacił – oświadczył.  
– Prowadzi o wiele przyjemniejszy tryb życia niż ja, w warunkach niesłychanego przepychu, i uważa się za doskonalszego ode mnie dżentelmena. Jako konserwatywny radykał opowiadam się za równością, ale nie za wyższością młodszych braci.

Dwie z jego sióstr, druga i czwarta w kolejności wieku, wyszły za mąż, jedna, jak to się mówi, zrobiła świetną partię, druga zaś – nie bardzo. Małżonek starszej, lord Haycock, bardzo porządny człowiek, jest, niestety, zatwardziałym torysem, a jego żona, jak wszystkie dobre angielskie żony, jeszcze przewyższa go fanatyzmem. Najmłodsza siostra zaślubiła skromnego ziemianina z Norfolk i zanim się ktoś spostrzegł, zdążyła urodzić pięcioro dzieci. Tych i kilku innych informacji udzielił lord Warburton swojej młodej amerykańskiej słuchaczce, dokładając starań, żeby wszystkie osobliwości angielskiego życia przedstawić jasno, bez osłonek i jak najprzystępniej. Pannę Archer często bawiła dobitność wykładu i brak zaufania, jaki okazywał jej doświadczeniu i wyobraźni. „On mnie ma za dzikuskę, która nigdy nie widziała łyżki i widelca” – stwierdzała w duchu i stawiała mu umyślnie naiwne pytania, żeby się śmiać z powagi jego

odpowiedzi. Kiedyś, gdy dał się złapać w taką zastawioną pułapkę, powiedziała:

– Szkoda, że nie mogę pokazać się panu w masce wojennej i pióropuszu! Gdybym przeczuła, jak łaskawy będzie pan dla biednej barbarzyńskiej dziewczyny, przywiozłabym ze sobą mój ludowy strój!

Lord Warburton podróżował trochę po Stanach Zjednoczonych i wiedział o nich więcej niż Isabel; w swej łaskawości nazwał je najczarowniejszym krajem pod słońcem, ale wspomnienia, które wywiózł stamtąd, utwierdzały go w przekonaniu, że Amerykanom odwiedzającym Anglię trzeba wiele rzeczy dokładnie wytłumaczyć.

– Jakże żałuję, że w Ameryce nie było przy mnie pani jako przewodniczki! – wykrzyknął. – Wiele rzeczy intrygowało mnie, a nawet oszałamiało, a co najgorsze, im bardziej ktoś starał się wyjaśnić mi zagadki, tym mniej z nich rozumiałem. Podejrzewam, że często umyślnie częstowano mnie fałszywymi komentarzami, Amerykanie lubią takie figle. Ale na mnie może pani polegać, kiedy coś tłumaczę, mówię pani zawsze prawdę, proszę o tym nie wątpić.

Nie wątpiła tylko o jego inteligencji, kulturze i znajomości niemal wszystkich spraw świata. Chociaż objawiał jej te swoje zalety w sposób interesujący, a nawet olśniewający, Isabel była pewna, że nie robi tego, aby się przed nią popisywać; los był dla niego wyjątkowo szczodry, przypadła mu – jak to określała panna Archer – wielka wygrana, ale lord Warburton nigdy nie przypisywał sobie z tego powodu żadnej zasługi. Korzystał ze wspaniałych darów życia, lecz nie stracił poczucia proporcji. W jego charakterze wpływ bogatych – a jakże łatwo nabytych – doświadczeń łączył się chwilami z chłopcą niemal skromnością; rozmowy z nim miały zdrowy i słodki smak – Isabel odczuwała podczas nich przyjemność tego właśnie rodzaju – którego nie psuł ani trochę ton opiekuńczej dobroci.

– Bardzo polubiłam ten twój okaz angielskiego dżentelmena – oświadczyła Ralphowi po odjeździe lorda Warburtona.

– Ja też bardzo go lubię – powiedział Ralph – ale jeszcze bardziej lituję się nad nim.

Isabel spojrzała na niego ze zdziwieniem.

– A mnie wydało się, że właśnie tego jednego mu brakuje: nie może wzbudzić ani odrobiny litości! Wszystko ma, wszystko wie, może być wszystkim, czym zechce.

– Nie, nie, jest w bardzo złej sytuacji – odparł Ralph.

– Nie chcesz chyba przez to powiedzieć, że jest chory?

– O, nie, jest aż do obrzydliwości zdrowy. Ale to człowiek, który mając wysoką pozycję, kpi sobie z niej na różne sposoby. Sam siebie nie traktuje poważnie.

– Traktuje swoją pozycję jak żart?

– Gorzej! Jak oszustwo i nadużycie.

– No cóż, może ma rację – zgodziła się Isabel.

– Może, ale biorąc wszystko pod uwagę, sędzę, że nie. A w takim razie cóż jest bardziej godne litości niż świadomość oszustwa, posiana cudzymi rękami, zakorzeniona głęboko we wrażliwej duszy, cierpiącej z powodu własnej nieprawości? Ja na jego miejscu byłbym uroczyście niby posąg Buddy. Zajmuje pozycję, która przemawia do mojej wyobraźni. Wielka odpowiedzialność, wielkie szanse, wielki szacunek, wielki majątek, wielka władza, przyrodzone prawo do uczestnictwa w kierowaniu sprawami wielkiego kraju. A tymczasem on szamocze się w rozterce, niepokodzony ze sobą, ze swoim stanowiskiem, ze swoją władzą i z całym światem. Stał się ofiarą wieku krytycyzmu: przestał wierzyć w siebie i nie wie, w co wierzyć. Kiedy próbuję mu pomóc (bo ja doskonale wiem, w co bym wierzył na jego miejscu), nazywa mnie rozpieszczonym bigotem. Myślę, że naprawdę uważa mnie za okropnego kołtuna. Zarzuca mi, że nie rozumiem naszej epoki. Rozumiem ją z pewnością lepiej niż on, skoro nie może sam siebie usunąć jako zawalidrogi ani też uszanować jako instytucji.

– Nie wygląda na człowieka udręczonego – zauważyła Isabel.

– Może, ale mając dużo dobrego smaku, musi, jak sędzę,

przeżywać często chwile bardzo kłopotliwe. Czy to zresztą nie za mało, jeśli o człowieku tak uprzywilejowanym można powiedzieć tylko, że nie jest bardzo nieszczęśliwy? Ale, moim zdaniem, nawet i tego nie można o nim powiedzieć!

– Nie myślę, żeby był nieszczęśliwy.

– Jeśli nie jest, to powinien być! – wykrzyknął Ralph.

Tego popołudnia Isabel spędziła godzinę w ogrodzie z wujem, który jak zwykle siedział w fotelu z pledem na kolanach i ogromną filiżanką słabej herbaty w ręku. Podczas rozmowy starszy pan spytał, co Isabel myśli o gościu, który właśnie opuścił Gardencourt. Isabel bez namysłu odpowiedziała:

– Wydał mi się czarujący.

– Bardzo sympatyczny – przyznał pan Touchett – ale nie radziłbym ci zakochać się w nim.

– A więc nie zrobię tego, nie zakocham się w nikim, kogo wujaszek nie zaaprobuje! Tym bardziej – dodała – że Ralph odmalował mi lorda Warburtona w dość ponurych barwach.

– Doprawdy? Nie wiem, co ci naopowiadał, ale pamiętaj, że Ralph lubi gadać, aby gadać.

– Ralph sądzi, że jego przyjaciel ma poglądy zanadto, a może niedostatecznie wywrotowe, sama już nie wiem, o co mu chodzi – odparła Isabel.

Starszy pan z wolna pokiwał głową, odstawił filiżankę i z uśmiechem powiedział:

– Ja też nie wiem, czy zanadto, czy nie dość... Posuwa się bardzo daleko, ale możliwe, że to nie wystarcza. Jak się zdaje, chciałby usunąć wiele rzeczy, ale sam chciałby zostać sobą. To nawet zupełnie naturalne, jednakże nielogiczne.

– Och, mam nadzieję, że zostanie sobą! – powiedziała Isabel.

– Gdyby zniknął, jego przyjaciele odczuliby to boleśnie.

– Myślę – odparł starszy pan – że zostanie i będzie w dalszym ciągu zabawiał swoich przyjaciół. Mnie z pewnością bardzo brakowałoby jego wizyt. Ilekroć przyjeżdża do Gardencourt, bawię się świetnie, a przypuszczam, że on także bawi się nie gorzej ode mnie. Takich jak on jest wielu w angielskiej

arystokracji, to teraz modne. Nie wiem, do czego zmierzają, czy chcieliby naprawdę dokonać rewolucji. Jeśli tak, wolałbym, żeby poczekali, aż mnie tutaj już nie będzie. Oni, moja droga, mówią o wywłaszczeniu, a ja mam tu spory majątek ziemski i wcale sobie nie życzę, żeby mi go odbierano. Nie osiedliłbym się tutaj, gdybym przewidział, że tak będą postępowali – coraz weselszym tonem ciągnął pan Touchett. – Przeniosłem się do Anglii, bo myślałem, że to kraj bezpieczny. Uważałbym to za oszustwo, gdyby wprowadzili jakieś poważne zmiany, i byłby to dla wielu ludzi gorzki zawód.

– Och, mam nadzieję, że będzie rewolucja! – wykrzyknęła Isabel. – Bardzo bym chciała zobaczyć rewolucję!

– Zaraz, zaraz... – kpiąco odparł starszy pan. – Już nie pamiętam, po której stronie barykady jesteś, czy bronisz starego porządku, czy chcesz wprowadzić nowy? Słyszałem z twoich ust tyle sprzecznych poglądów, że wszystko mi się pomyliło.

– Bo jestem po obu stronach. Zdaje się, że po trosze wszystkiego bym broniła. Podczas rewolucji – jak już się na dobre rozpęta – będę żarliwą, dumną lojalistką. Bo będę współczuła obrońcom tradycji, a poza tym oni właśnie będą mieli sposobność zachować się wspaniale i malowniczo.

– Niezupełnie rozumiem, na czym polega ta malowniczość, ale wydaje mi się, że ją dostrzegam w każdym twoim geście.

– Och, wujaszku najmilszy, gdybym mogła uwierzyć w twoje komplementy! – wykrzyknęła Isabel.

– Obawiam się, że jednak nie będziesz miała tej przyjemności, żeby już wkrótce z wdziękiem wstąpić na szafot – powiedział pan Touchett. – Jeżeli chcesz doczekać się wielkiego kataklizmu, musisz zostać w tym kraju na długo. W gruncie rzeczy byłiby mocno zakłopotani, gdyby ktoś chwycił ich za słowo.

– O kim wuj mówi?

– O lordzie Warburtonie i jego przyjaciółach, radykałach z wyższych sfer. Oczywiście jest to tylko mój osobisty pogląd. Gadają o zmianach, ale mam wrażenie, że sami nie zdają sobie sprawy, czego chcą. Widzisz, ty i ja urodziliśmy się i żyliśmy w

ustroju demokratycznym. Ja czułem się w nim doskonale, no, ale byłem z jego instytucjami oswojony od małości. I nie jestem lordem! Ty, moja droga, jesteś wielką damą, ale ja nie byłem nigdy lordem. Tutejsi salonowi radykałowie nie mają jasnego wyobrażenia, jak by to wyglądało na co dzień, o każdej godzinie, myślę, że dla wielu z nich nie byłoby to wcale takie przyjemne jak ich dotychczasowy tryb życia. Oczywiście jeżeli chcą tego spróbować, wolna wola, to ich sprawa. Mam jednak nadzieję, że nie będą bardzo energicznie dążyli do tych zmian.

– Wuj sądzi, że nie są szczerzy?

– Zapewne szczerze chcieliby wierzyć w to, co głoszą – przyznał starszy pan. – Ale wydaje mi się, że to są tylko teorie. Radykalne poglądy stanowią dla nich jakąś odmianę zabawy, rozrywkę mniej w końcu brutalną, niż mogliby wybrać, gdyby mieli gorszy smak. Prowadzą bardzo zbyt kowne życie, a postępowe idee to największy luksus, na jaki ich stać. Dzięki nim czują się szlachetni, bez uszczerbku jednak dla swoich przywilejów. Bardzo sobie cenią swoją wysoką pozycję, nie wierzą nigdy, jeżeli któryś z nich będzie ci wmawiał, że jest inaczej: gdybyś spróbowała wziąć poważnie te deklaracje i odpowiednio go potraktować, przywołałby cię natychmiast do porządku. – Pan Touchett ciągnął swój wykład z charakterystyczną precyzją, a siostrzenica słuchała z największą uwagą; niedużo co prawda wiedziała o angielskiej arystokracji, lecz tezy wuja zgadzały się z jej ogólnymi wyobrażeniami o naturze ludzkiej. Zdecydowała się jednak stanąć w obronie lorda Warburtona.

– Nie sądzę, żeby lord Warburton błagował. Inni może tak, ale nie on – powiedziała. – Chciałabym zobaczyć go w godzinie próby!

– Broń mnie, Boże, od moich przyjaciół! – odparł starszy pan. – Warburton jest bardzo miłym i szlachetnym młodym człowiekiem. Jego dochody wynoszą sto tysięcy rocznie. Należy do niego pięćdziesiąt tysięcy akrów ziemi na tej małej wyspie i mnóstwo innych rzeczy na dokładkę. Ma kilka rezydencji. Ma swoje miejsce w parlamencie tak jak ja przy własnym stole.



Odznacza się wytrawnym gustem, interesuje go literatura, sztuki piękne, nauka i urocze panny. Jego wybredny smak przejawia się najlepiej w upodobaniu do nowych poglądów. One właśnie dostarczają mu więcej przyjemności niż wszystko inne, z wyjątkiem oczywiście uroczych pań. Ma w tych stronach stary dom... Lockleigh, jeśli mnie pamięć nie myli... niezwykle ciekawy, ale, jak twierdzą, nie tak czarujący jak mój. Mniejsza o to, zresztą Warburton ma więcej domów. Poglądy, które głosi, nikomu, o ile wiem, nie wyrządzają krzywdy, a na pewno nie szkodzą jemu. Gdyby wybuchła rewolucja, włos by mu z głowy nie spadł. Nikt by go nie tknął, zachowałby swoją pozycję: jest ogólnie lubiany.

– Ach, nie mógłby stać się męczennikiem, nawet gdyby chciał! – westchnęła Isabel. – Okropne położenie!

– Chyba że ty zrobisz z niego męczennika – powiedział starszy pan.

Isabel potrząsnęła głową; można by dopatrzeć się komizmu w melancholijnym wyrazie twarzy, jaki przy tym przybrała.

– Nigdy z nikogo nie zrobię męczennika.

– Spodziewam się, że sama też nie będziesz męczennicą.

– Mam nadzieję! Ale wuj nie lituje się, tak jak Ralph, nad lordem Warburtonem?

Pan Touchett przyglądał jej się chwilę z żartobliwą przenikliwością.

– Owszem, mimo wszystko bardzo mi go żal!

## ROZDZIAŁ IX

Dwie panny Molyneux, siostry lorda Warburtona, złożyły wizytę pannie Archer i bardzo jej się spodobały; zrobiły na niej wrażenie osób bardzo oryginalnych. Co prawda gdy później w rozmowie z kuzynem tak je określiła, Ralph zaprotestował: epitet był, jego zdaniem, zupełnie niewłaściwy dla panien Molyneux, podobnych jak dwie krople wody do pięćdziesięciu tysięcy młodych kobiet w Anglii. Odarte z oryginalności, zachowały jednak inne zalety, ogromną łagodność i nieśmiałość manier, a także, jak mówiła Isabel, oczy, które przypominały spokojne koliste stawy zdobiące parki w obramowaniu rozkwitłego geranium.

„W każdym razie nie są zgorzkniałe” – myślała panna Archer, która ceniła to wysoko, ponieważ parę jej przyjaciółek z lat dziewczęcych grzeszyło skłonnością do pesymizmu (gdyby nie to, byłyby przemile), a co gorsza, Isabel chwilami sama siebie podejrzewała o tę wadę. Panny Molyneux, choć już nie pierwszej młodości, miały cerę świeżą i rumianą, a uśmiech niemal dziewczęcy. Ich oczy, które tak oczarowały pannę Archer, były rzeczywiście okrągłe, spokojne i pogodne, a fokowe żakiety doskonale leżały na dość obfitych figurach. Ich serca przepełniała życzliwość tak wielka, że prawie wstydziły się ją okazywać; można by myśleć, że trochę bały się tej dziewczyny z drugiego końca świata i raczej spojrzeniem niż słowami wyrażały swoje dobre chęci w stosunku do niej. Ale dały jej zupełnie jednoznacznie do zrozumienia, że będzie im miło, jeśli panna Archer zechce przyjechać któregoś dnia na lunch do Lockleigh, gdzie mieszkają w domu brata; wyraziły nadzieję, że będą ją widywały często, jak najczęściej. Może byłaby łaskawa przyjechać na dłużej i zostać na noc? Pod koniec miesiąca spodziewają się gości. Może więc wtedy panna Archer przyłączyłaby się do nich?

– Nasze towarzystwo to nic specjalnego – powiedziała

starsza z sióstr – ale mam nadzieję, że przyjmie nas pani takimi, jakie jesteśmy.

– Ależ takie, jakie jesteście, wydajecie mi się najmiłsze, czarujące! – odparła Isabel, która często zbyt hojnie szafowała pochwałami.

Panny Molyneux zarumieniły się, a Ralph po ich odjeździe ostrzegł kuzynkę przed prawieniem takich komplementów, jeśli nie chce być posądzona, że kpi w żywe oczy; na pewno nikt jeszcze nigdy nie powiedział tym biedactwom, że są czarujące.

– Ależ ja to mówiłam szczerze! – odparła Isabel. – Zachwyca mnie taki spokój, rozsądek, zadowolenie. Chciałabym być do nich podobna.

– Niech cię Bóg broni! – wykrzyknął zarliwie Ralph.

– Będę się starała je naśladować – oznajmiła Isabel. – Cieszę się, że je znów zobaczę, i to w ich własnym domu.

Życzenie to spełniło się w kilka dni później, gdy wraz z ciotką i kuzynem pojechała do Lockleigh. Zastała panny Molyneux w wielkim salonie (jednym z wielu, jak się potem przekonała) wśród mnóstwa spłowiałych kretonów, ubrane w czarne aksamitne suknie. Wydały się pannie Archer jeszcze miłsze u siebie w domu niż jako goście w Gardencourt i jeszcze bardziej zachwyciły ją brakiem choćby odrobiny rozgoryczenia. Przy pierwszym zetknięciu się z nimi zauważyła, że jeśli można im coś zarzucić, to chyba tylko brak polotu; teraz przekonała się, że są zdolne do głębokich wzruszeń. Przed lunchem znalazła się na chwilę sama z nimi w jednym końcu salonu, gdy w drugim lord Warburton z ożywieniem zabawiał panią Touchett.

– Czy wasz brat naprawdę jest takim wielkim radykałem? – spytała. Nie wątpiła, że tak właśnie jest, ale, jak już widzieliśmy, interesowała ją natura ludzka, a poza tym chciała wciągnąć panny Molyneux do dyskusji.

– Och, tak, jest bardzo postępowy – powiedziała młodsza z sióstr.

– Ale zarazem bardzo rozważny – dodała starsza.

Isabel przez chwilę obserwowała z daleka lorda Warburtona,

który najwidoczniej starał się zjednać sobie względy pani Touchett. Ralph tymczasem głaskał psa, odpowiadając na wyraźne dowody jego sympatii, i grzał się przy kominku, na którym płonął ogień, uzasadniony klimatem angielskiego sierpnia i starożytnością domostwa.

– Sądzicie, że wasz brat jest szczery? – spytała Isabel z uśmiechem.

– Och, z pewnością! – żywo wykrzyknęła Mildred, podczas gdy starsza siostra w milczeniu spoglądała na naszą bohaterkę szeroko otwartymi oczyma.

– Myślicie, że wytrzyma próbę?

– Jaką próbę?

– Czy zgodzi się na przykład wyrzec tego wszystkiego?

– Miałby się wyrzec Lockleigh? – spytała, odzyskując wreszcie mowę, starsza panna Molyneux.

– A także innych swoich posiadłości. Jak się nazywają?

Siostry wymieniły spojrzenia niemal ze zgrozą.

– Nie rozumiem, co pani ma na myśli? Że musiałby coś sprzedać ze względu na koszty utrzymania tych domów? – spytała młodsza.

– Mógłby w ostateczności jeden czy parę z nich komuś wynająć – powiedziała starsza.

– Za darmo? – spytała Isabel.

– Nie wyobrażam sobie, żeby mógł wyrzec się swojej własności! – odparła starsza panna Molyneux.

– A więc jest niestety blagierem! – stwierdziła Isabel. – Nie uważacie, że znalazł się w fałszywej sytuacji?

Siostry były już teraz zupełnie oszołomione.

– Nasz brat? W fałszywej sytuacji? – wyjąkała starsza.

– Wszyscy uważają, że ma świetną pozycję – powiedziała młodsza. – Najwyższą w tej części kraju.

– Nie sądźcie, że tego nie doceniam – ciągnęła Isabel. – Przypuszczam, że bardzo szanujecie brata i trochę się go też boicie?

– Oczywiście, jest dla nas wzorem – z prostotą

odpowiedziała starsza panna Molyneux.

– W takim razie musi być dobry, bo wy jesteście niezwykle dobre.

– O, tak! Nikt nie wie, ile on robi dobrego.

– Za to wszyscy wiedzą o jego zdolnościach – dodała Mildred. – Wszyscy uważają, że jest niezwykle inteligentny.

– Tak, to muszę mu przyznać – powiedziała Isabel. – Ale ja na jego miejscu byłabym gotowa walczyć do ostatniej kropli krwi w obronie dziedzictwa przeszłości. Trzymałabym się obu rękami tradycji.

– Myślę, że trzeba mieć poglądy liberalne – łagodnie zaprotestowała Mildred. – My zawsze, od najdawniejszych czasów, byliśmy liberałami.

– No i dobrze na tym wyszliście – stwierdziła Isabel. – Nic dziwnego, że zasmakowaliście w tych ideach... Ale widzę, że bardzo lubicie włóczkowe robótki...

Kiedy po lunchu lord Warburton oprowadzał ją po domu, jego wspaniałość wydawała jej się czymś zupełnie naturalnym. We wnętrzu wprowadzono wiele różnych nowoczesnych urządzeń, gdzieś zatarła się pierwotna czystość stylu, ale oglądane z ogrodu szare mury, którym wieki i klimat nadały ciepły, intensywny odcień, wznosiły się imponująco nad szeroką fosą; młodej Amerykance zdawało się, że ogląda zamek z baśni. Dzień był chłodny, bez ostrego blasku, czuło się już przedsmak jesieni; miękkie światło słoneczne rozlewało na ścianach zamazane nieregularne połyskliwe plamy, jak gdyby wybierając pieczołowicie miejsca najdotkliwiej obolałe ze starości. Brat gospodarza, proboszcz, uczestniczył w lunchu i panna Archer rozmawiała z nim kilka minut – co wystarczyło, żeby podjąć próbę wytropienia typu bogatego klerykała i stwierdzić, że go w tym okazy nie znajdzie. Proboszcz z Lockleigh odznaczał się potężną, atletyczną budową, szczerym i naturalnym wyrazem twarzy, wielkim apetytem i skłonnością do gromkiego śmiechu. Później Isabel dowiedziała się od kuzyna, że brat lorda Warburtona, nim wstąpił w szeregi anglikańskiego duchowieństwa, słynął jako

zapaśnik i po dziś dzień – w ścisłym kółku rodzinnym – potrafi rozłożyć każdego przeciwnika na łopatki. Spodobał się panie Archer – była tego dnia usposobiona życzliwie do całego świata – ale przy największym nawet wysiłku imaginacji nie wyobrażała go sobie w roli duchowego przewodnika. Po lunchu całe towarzystwo wyszło na przechadzkę, lecz lord Warburton, manewrując bardzo zręcznie, znalazł się sam na sam z najbardziej egzotyczną wśród swoich gości osobą.

– Zależy mi na tym, żeby pani uważnie i dokładnie obejrzała Lockleigh – powiedział. – A to byłoby niemożliwe, gdyby ogólna rozmowa rozpraszała pani uwagę. – Mówił jednak nie tylko o archeologii, chociaż udzielił panie Archer wielu wiadomości o domu, który miał niezwykle ciekawą historię; chwilami poruszał sprawy bardziej osobiste, dotyczące jej i jego w szczególności. Wreszcie po chwili milczenia wrócił do oficjalnego tematu: – Cieszy mnie, że spodobała się pani ta stara buda. Chciałbym, żeby ją pani lepiej poznała, spędzając tu parę dni. Moje siostry są panią zachwycone... jeśli ten argument może panią zachęcić...

– Nie trzeba żadnej dodatkowej zachęty – odparła Isabel – ale nie mogę, niestety, niczego przyrzec. Wszystko zależy od cioci.

– Proszę mi wybaczyć, ale w to trudno mi uwierzyć. Jestem przekonany, że pani zawsze postępuje tak, jak sama zechce.

– Przykro mi, że takie na panu zrobiłam wrażenie. Wydaje mi się, że stawia mnie w dość niekorzystnym świetle.

– Przeciwnie, pozwala mi żywić nadzieję... – Lord Warburton urwał i umilkł na chwilę.

– Nadzieję?

– Że będę mógł panią często widywać w przyszłości.

– Ach, nie muszę być specjalnie wyemancypowana, żeby cieszyć się pana towarzystwem! – odparła Isabel.

– Niewątpliwie, ale pani wuj jednak mnie nie lubi.

– Bardzo się pan myli. Mówił o panu z wielką sympatią.

– Cieszę się, że państwo o mnie rozmawiali – powiedział lord Warburton. – Mimo wszystko nie sądzę, by pan Touchett był zadowolony, gdybym zaczął często odwiedzać Gardencourt.

– Nie mogę odpowiadać za wuja – odparła Isabel – chociaż wypada mi się liczyć z jego zdaniem. Za siebie ręczę, że będą mnie cieszyły pańskie wizyty.

– Miło mi to słyszeć. To czarująca odpowiedź!

– Łatwo, jak widzę, pana oczarować.

– O, nie, wcale niełatwo! – Przystanął i po chwili dodał: – Ale pani to się udało. – W jego tonie zabrzmiała nieuchwytna nuta, która zaskoczyła pannę Archer: wyczuła, że to jest preludium do czegoś bardzo poważnego. Słyszała już kiedyś podobny ton i rozpoznała go teraz nieomylnie. Nie chciała jednak w tej chwili usłyszeć dalszego ciągu, odpowiedziała więc, jak umiała najwesелей i na tyle szybko, na ile pozwalało dość silne wzruszenie:

– Obawiam się, że nie będę miała sposobności, żeby odwiedzić po raz drugi Lockleigh.

– Nigdy? – spytał Warburton.

– Och, nie użyłabym tego wyrazu! Jest zanadto melodramatyczny.

– Czy wolno mi będzie w przyszłym tygodniu złożyć pani wizytę?

– Naturalnie. Cóż mogłoby stać na przeszkodzie?

– Nic konkretnego, ale wobec pani czuję się zawsze niepewnie. Wydaje mi się, że pani każdego obserwuje i osądza.

– Pan by zapewne nie stracił na tym.

– Bardzo pani łaskawa, ale nawet gdybym przy bliższym poznaniu zyskał, nie zadowoliliby mnie tylko surowa sprawiedliwość. Czy pani Touchett zabierze panią ze sobą na kontynent?

– Bardzo się na to cieszę.

– Anglia nie jest dość dobra dla pani?

– Tak makiaweliczne pytanie w ogóle nie zasługuje na odpowiedź! Chcę poznać jak najwięcej krajów.

– Aby potem wydać wyrok?

– Aby zaznać też wiele miłych wrażeń, mam nadzieję!

– Otóż to! Osądzanie dostarcza pani najprzyjemniejszych

wrażen. Nie mogę pojąć, do czego pani naprawdę zmierza – powiedział Warburton. – Wydaje mi się, że pani ma jakieś tajemnicze zamiary, wielkie plany.

– Pochlebia mi, że pan buduje takie teorie wokół mojej osoby, ale myli się pan. Cóż jest tajemniczego w zamiarach, jakie co roku urzeczywistnia kilkadziesiąt tysięcy moich rodaków, podróżując po różnych krajach, żeby wzbogacić swoje umysły?

– Pani umysł nie wymaga wzbogacenia. Jest już imponujący. Każe pani patrzeć na nas wszystkich z góry i gardzić nami.

– Gardzić? Pan żartuje ze mnie – poważnie odparła Isabel.

– Uważa nas pani za dziwaków, a to już ma w sobie coś pogardliwego. Zresztą nie chcę być uważany za dziwaka, bo nie jestem dziwakiem. Protestuję!

– Ten protest jest najdziwaczniejszą rzeczą, jaką w życiu spotkałam – powiedziała Isabel z uśmiechem.

Lord Warburton przez dłuższą chwilę milczał.

– Pani nam się przygląda z zewnątrz – rzekł wreszcie. – Nie obchodzimy pani, służymy tylko do zabawy.

Znów usłyszała w jego głosie tę samą niepokojącą nutę, ale teraz zabarwioną wyraźnie goryczą, goryczą tak dojmującą i niewytłumaczalną, że Isabel złękła się, czy go czymś boleśnie nie uraziła. Często mówiono jej, że Anglicy są ekscentryczni, a nawet czytała w książce jakiegoś pełnego inwencji autora, że to naród w głębi duszy bardziej romantyczny niż inne. Czyżby lord Warburton miał okazać się romantykiem i zrobić jej scenę w swoim własnym domu, i to za trzecim ledwie spotkaniem? Uspokoila się prędko, przypominając sobie o jego doskonałych manierach, i nie przestała na nie liczyć, chociaż o mało nie przekroczył granic dobrego smaku, wyrażając tak otwarcie uwielbienie młodej damie, która zaufała jego gościnności. Nie zawiodła się, polegając na dobrym wychowaniu lorda Warburtona, bo natychmiast z cichym śmiechem i tonem całkowicie pozbawionym owej niepokojącej ją nuty powiedział:

– Nie znaczy to, żebym panią posądzał o bawienie się błahostkami. Wybiera pani tematy bardzo poważne: słabostki i



ułomności natury ludzkiej i przywary narodowe...

– Gdyby tak było, znalazłabym we własnej ojczyźnie dość materiału do zabawy na całe życie – odparła. – Ale mamy przed sobą daleką drogę do Gardencourt, ciocia zapewne zechce wkrótce wyruszyć.

Zawróciła, by połączyć się z całym towarzystwem, a lord Warburton szedł obok niej, milcząc. Lecz zanim znaleźli się w większym gronie, oznajmił:

– Przyjadę do Gardencourt w przyszłym tygodniu.

Isabel przed chwilą doznała wstrząsu, ale ochłonawszy, nie okłamywała się udawaniem, że ta niespodzianka nie sprawia jej pewnej przyjemności. Odpowiedziała jednak dość oziębło:

– Jak pan sobie życzy.

Jej chłód nie wypływał ze świadomego dążenia do określonych efektów; była o wiele mniej skłonna do prowadzenia takiej wyrachowanej gry, niż podejrzewali nieżyczliwi obserwatorzy. Isabel po prostu trochę się zlekła.

## ROZDZIAŁ X

Nazajutrz po wizycie w Lockleigh dostała liścik od swojej przyjaciółki, panny Stackpole; na widok koperty ze stemplem poczty w Liverpoolu i zaadresowanej znajomym energicznym pismem Henrietty serce zabiło żywiej w jej piersi.

*A więc jestem na tej wyspie, moja miła – pisała panna Stackpole. – Nareszcie! Zdecydowałam się dopiero w wigilię wyjazdu z Nowego Jorku, gdy „Interviewer” w końcu zgodził się na postawione przeze mnie warunki. Jak stary dziennikarski wyga wrzuciłam trochę rzeczy do walizki i omnibusem pojechałam do portu. Gdzie się obracasz? Gdzie się spotkamy? Przypuszczam, że bawisz w jakimś zamczysku i że już nabrałaś nieskazitelnego angielskiego akcentu. A może nawet poślubiłaś jakiegoś lorda? Prawie cieszyłabym się z tego, bo potrzebuję znajomości, które by mi ułatwiły dostęp do najważniejszych osób, i liczę na Twoją pomoc. „Interviewer” życzy sobie obrazków z życia wyższych sfer. Moje pierwsze wrażenia (z obserwacji tutejszych zwykłych ludzi) są niezbyt różowe, ale chcę z Tobą o nich podyskutować; wiesz, że chociaż mam wiele innych wad, nie jestem skłonna do powierzchownych sądów. Mam Ci też do powiedzenia różne ciekawe rzeczy. Naznacz termin i miejsce naszego spotkania i możliwie jak najprędzej przyjeźdź do Londynu (marzę, żeby zwiedzać to miasto razem z Tobą) albo też daj znać, czy mogłabym do Ciebie pospieszyć, gdziekolwiek przebywasz. Zrobiłabym to z przyjemnością, bo – jak wiesz – wszystko mnie interesuje i chcę w miarę możliwości przeniknąć jak najgłębiej w tutejsze życie.*

Isabel wolała nie pokazywać tego listu wujowi, ale przekazała mu jego treść, a pan Touchett nie zawiódł jej nadziei,

bo natychmiast polecił siostrzenicy zapewnić w jego imieniu pannę Stackpole, że będzie mile widzianym gościem w Gardencourt.

– Chociaż panna Stackpole także wojuje piórem – powiedział – mam nadzieję, że jako Amerykanka nie zdemaskuje mnie tak jak ta literatka, o której wspominałem. Zna z pewnością więcej ludzi do mnie podobnych.

– Na pewno nie spotkała w życiu nikogo równie miłego! – odparła Isabel; wcale jednak nie była gotowa ręczyć za dziennikarskie instynkty Henrietty, które najmniej lubiła ze wszystkich cech charakteru swojej przyjaciółki. Napisała w każdym razie do panny Stackpole, zapewniając ją w imieniu pana Touchetta, że jest oczekiwana w jego domu, a Henrietta skwapliwie skorzystała z zaproszenia i zapowiedziała swój rychły przyjazd. Była już w Londynie i stamtąd zaraz wyruszyła w drogę pociągiem, aby wysiąść na stacji położonej najbliższej siedziby pana Touchetta. Tam też na jej spotkanie przyjechała Isabel w towarzystwie Ralpa.

– Czy ją pokocham, czy też znienawidzę? – spytał Ralph, gdy już oboje szli wzdłuż peronu.

– Tak czy inaczej nie wzruszysz Henrietty – odparła Isabel. – Jest jej zupełnie obojętne, co myślą o niej mężczyźni.

– A więc jako mężczyzna nie mogę jej polubić. To potwór! Czy jest bardzo brzydka?

– Nie, jest niewątpliwie ładna.

– Dziennikarka, reporter w spódnicy! Bardzo jestem ciekawy – przyznał się Ralph.

– Łatwo z niej żartować, ale trudno jej dorównać dzielnością.

– Chętnie wierzę; brutalne ataki i napaści osobiste wymagają niemałej odwagi. Czy myślisz, że zechce przeprowadzić wywiad ze mną?

– Nigdy w życiu! Nie będziesz w jej oczach dostatecznie ważną osobą.

– Zobaczysz – rzekł Ralph. – Opisz nas wszystkich, nie wyłączając naszego foksteriera, w swojej gazecie.

– Poproszę ją, żeby tego nie robiła – powiedziała Isabel.

– Przypuszczasz, że naprawdę byłaby do tego zdolna?  
– O, tak, z pewnością.  
– I mimo to wybrałaś ją na swoją przyjaciółkę od serca?  
– Nie jest moją przyjaciółką od serca, ale ją lubię pomimo jej wad.

– Obawiam się, że nie polubię jej pomimo jej wszystkich zalet – odparł Ralph.

– Prawdopodobnie za trzy dni będziesz w niej zakochany.  
– Żeby ujrzeć swoje listy miłosne wydrukowane na łamach „Interviewera”! – wykrzyknął Ralph. – Przenigdy!

Tymczasem nadjechał pociąg, a panna Stackpole, która z niego wysiadła, okazała się, zgodnie z zapowiedzią swojej przyjaciółki, młodą osobą, bardzo ładną, chociaż w nieco prowincjonalnym stylu. Średniego wzrostu, pulchna, zgrabna, jasna szatynka, miała okrągłą twarz, drobne usta, delikatną cerę, jasnobrązowe loczki wymykające się z wężła upiętego na karku i niezwykle szczerze, trochę zdziwione oczy. Szczególnie uderzająca była uporczywość tych oczu, które zatrzymywały na każdym napotkanym przedmiocie spojrzenie bez zuchwalstwa czy natarczywości, lecz tak jak gdyby korzystały świadomie ze swoich naturalnych praw. W ten właśnie sposób wzrok panny Stackpole spoczął na twarzy Ralph, nieco zaskoczonego wdzięczną i przyjemną powierzchownością dziennikarki, co musiało mu nasunąć myśl, że wbrew przewidywaniom wcale niełatwo będzie mu ją krytykować. Szeleściła i migotała w lekkiej jasnopopielatej sukni i Ralph od jednego rzutu oka musiał dostrzec, że jest świeża, nowa, nieskazitelna jak numer gazety prosto spod prasy, prawdopodobnie bez błędów drukarskich od pierwszego do ostatniego wiersza. Mówiła dobitnym, wysokim głosem, niezbyt dźwięcznym, ale donośnym; gdy wszakże we troje siedzieli w powozie pana Touchetta, nie kojarzył już jej z grubą czcionką krzykliwych nagłówków, jak z początku oczekiwał. Odpowiadała na pytania, zadawane przez Isabel, a Ralph starał się uczestniczyć w rozmowie, wtrącając liczne, bystre uwagi; później w bibliotece domu w Gardencourt panna Stackpole, przedstawiając się panu

Touchett (jego żona nie uznała za stosowne pojawić się przy tej okazji), znalazła jednakże sposobność, by dać dowody wiary we własne siły.

– Na wstępie muszę zapytać, czy panowie uważają się za Amerykanów, czy za Anglików – powiedziała. – Od tego zależy, jak będę z panami rozmawiała.

– Niech pani z nami rozmawia, jak zechce, w każdym wypadku będziemy wdzięczni – wspaniałomyślnie odpowiedział Ralph.

Zwróciła na niego spojrzenie i z jakiejś nieuchwytej przyczyny oczy jej wydały mu się podobne do dwóch dużych polerowanych guzików; miał wrażenie, że w źrenicach widzi odbicie przedmiotów znajdujących się dokoła. Na ogół guzikom nie przypisuje się zdolności do wyrażania ludzkich emocji, ale we wzroku panny Stackpole było coś takiego, że Ralph, człowiek bardzo skromny, poczuł się dziwnie zakłopotany i nie tak nietykalny i szanowny, jak by tego pragnął. Trzeba dodać, że gdy spędził kilka dni w towarzystwie młodej dziennikarki, kłopotliwe wrażenie znacznie osłabło, lecz nigdy nie zniknęło całkowicie.

– Nie zechce mnie pan chyba przekonywać, że jest Amerykaninem – powiedziała.

– Na pani życzenie gotów bym stać się Anglikiem, a nawet Turkiem!

– Bardzo mnie to cieszy, że pan potrafiłby się tak do woli zmieniać – odparła panna Stackpole.

– Pani z pewnością wszystko rozumie i różnice narodowości nie stanowią dla pani bariery!

Panna Stackpole nie spuszczała z niego wzroku.

– Ma pan na myśli obce języki? – spytała.

– Języki to drobiazg, chodzi o ducha, o geniusz każdego narodu.

– Obawiam się, że niezupełnie pana rozumiem – odparła korespondentka amerykańskiej gazety. – Ale mam nadzieję, że zrozumie, zanim stąd odjadę.

– Ralph jest, jak to się mówi, kosmopolitą – spróbowała

wyjaśnić Isabel.

– To znaczy wszystkim po trosze, a niczym naprawdę. Muszę wyznać, że moim zdaniem patriotyzm, tak samo jak miłosierdzie, powinien się zaczynać od własnego kraju.

– Ale gdzie się zaczyna własny kraj?

– Nie wiem, ale nie mam wątpliwości, gdzie się kończy: kończy się dla mnie dość daleko od tej wyspy.

– Nie podoba się pani tutaj? – spytał starym, niewinnym głosem pan Touchett.

– Właściwie, proszę pana, jeszcze nie jestem zdecydowana, jakie zajmę stanowisko. Czuję się tu jakby skrępowana.

Uprzytomniłam to sobie w drodze z Liverpoolu do Londynu.

– Może trafiła pani do zatłoczonego wagonu? – spytał Ralph.

– Tak, ale był to tłum przyjaciół, Amerykanów, których poznałam na statku, przemiła grupa z Little Rock, ze stanu Arkansas. Mimo to czułam się skrępowana, jakby pod wpływem jakichś zewnętrznych sił, trudno mi to określić. Od pierwszej chwili wydawało mi się, że nie potrafię dostosować się do tutejszej atmosfery. Ale mam nadzieję, że wytworzę swoją własną. To najlepszy sposób, żeby oddychać swobodnie. W Gardencourt jest bardzo pięknie.

– O, my też jesteśmy przemiłą grupką – oznajmił Ralph. – Proszę cierpliwie poczekać, a sama się pani przekona.

Panna Stackpole okazała gotowość cierpliwego czekania, najwidoczniej zamierzała spędzić dłuższy czas w Gardencourt. Ranki poświęcała pracy literackiej, ale nie przeszkadzało to Isabel prowadzić wielogodzinnych rozmów z przyjaciółką, która po dopełnieniu codziennego obowiązku nie szukała samotności, a nawet, przeciwnie, starała się jej unikać. Isabel wkrótce miała okazję poprosić pannę Stackpole, żeby powstrzymała się od sławienia w druku uroków miejsca ich wspólnego pobytu; rankiem bowiem drugiego dnia wizyty Henrietty zastała ją piszącą artykuł dla „Interviewera” i zobaczyła tytuł wykaligrafowany niezwykle regularnym i czytelnym pismem (znanym naszej bohaterce i niezmiennym od lat szkolnych), a brzmiący: *Amerykanka w*

*epoce Tudorów. Obrazki z Gardencourt.* Panna Stackpole w jak najlepszej wierze zaproponowała, że przeczyta jej swoją korespondencję, a wtedy Isabel mogła natychmiast zaprotestować.

– Moim zdaniem nie powinnaś tego robić. Moim zdaniem nie powinnaś opisywać tego domu.

Henrietta swoim zwyczajem utkwiła wzrok w twarzy przyjaciółki.

– Ależ publiczność takie rzeczy najchętniej czyta, a ten dom jest czarujący.

– Zanadto czarujący, żeby go włóczyć po gazetach. Mój wuj z pewnością tego sobie nie życzy.

– Nie wierz w to! – krzyknęła Henrietta. – Oni zawsze potem są uszczęśliwieni.

– Wuj nie będzie uszczęśliwiony... ani mój kuzyn. Uznają to za nadużycie gościnności.

Panna Stackpole nie zmieszała się wcale; po prostu wytarła pióro w schludny, elegancko złożony mały kawałek flanelki, który specjalnie do tego celu miała zawsze pod ręką, i schowała swój rękopis do szuflady.

– Oczywiście jeśli jesteś temu przeciwna, zastosuję się do twojej woli. Ale tracę świetny temat.

– Jest mnóstwo innych dokoła. Pojeździmy po okolicy i pokażę ci przepiękne krajobrazy.

– Pejzaże nie są moją specjalnością. Szukam z reguły spraw ludzkich. Wiesz przecież, Isabel, że głęboko interesują mnie ludzie. Zawsze taka byłam – odparła panna Stackpole. – Zamierzałam sportretować twojego kuzyna, bo to typowy wyobcowany Amerykanin. Jest wielki popyt na wyobcowanych Amerykanów, a twój kuzyn wydaje mi się wspaniałym okazem tego gatunku. Potraktowałabym go surowo.

– Ralph by tego nie przeżył! – wykrzyknęła Isabel. – Nie surowość twoich sądów, ale reklama byłaby dla niego nie do zniesienia.

– A wiesz, z przyjemnością bym nim trochę wstrząsnęła. Z większą jeszcze satysfakcją odmalowałabym twojego wuja, typ

szlachetniejszy, Amerykanin, który jeszcze dochowuje wierności. Wspaniały człowiek, nie rozumiem, dlaczego miałyby gniewać się na mnie, gdybym przedstawiła go z całym szacunkiem, na jaki zasługuje.

Isabel patrzyła na przyjaciółkę w oszołomieniu: zdumiewało ją, że osoba, w której jest tyle zalet godnych podziwu, ma zarazem tak wiele skaz.

– Moja biedna Henrietto! – powiedziała. – Ty przecież nie masz pojęcia o dyskrecji.

Henrietta zaczerwieniła się gwałtownie i na chwilę oczy jej zaszkliły się od łez, a Isabel stwierdziła w duchu, że jej przyjaciółka jest bardziej niż kiedykolwiek niekonsekwentna.

– Bardzo niesprawiedliwie mnie osądzasz – powiedziała panna Stackpole z oburzeniem. – Nigdy nie napisałam ani słowa o sobie.

– Co do tego nie mam wątpliwości. Ale tak samo powściągliwie jak o sobie należy pisać o innych ludziach.

– Świetnie to sformułowałaś! – zawołała panna Stackpole, chwytając znów za pióro. – Muszę tę myśl zanotować, żeby ją wykorzystać w jakimś artykule. – Z natury dobroduszną, w pół godziny później była już w świetnym nastroju, jak przystało dziennikarce w poszukiwaniu tematu.

– Obiecałam korespondencję z wyższych sfer – zwierzyła się pannie Archer. – Ale jak to zrobić, nie mając odpowiedniego materiału? Jeżeli nie pozwalasz mi opisać tego domu, może znasz inne, które mogłabym odmalować?

Isabel przyrzekła, że coś dla niej wymyśli, a nazajutrz, rozmawiając z przyjaciółką, napomknęła o swej wizycie w starej siedzibie lorda Warburtona.

– Ach, musisz mnie tam wprowadzić! – zapaliła się natychmiast panna Stackpole. – Muszę zobaczyć angielską arystokrację.

– Wprowadzić cię tam nie mogę – odparła Isabel – ale lord Warburton bywa tutaj, będziesz więc miała sposobność poznać go i przyjrzeć mu się dobrze. Jeżeli jednak zamierzasz ogłosić w



gazecie to, co usłyszysz od niego w prywatnej rozmowie, będę musiała go przed tobą ostrzec.

– Och, nie rób tego! – błagała panna Stackpole. – Chcę go obserwować, gdy będzie zachowywał się naturalnie.

– Anglik jest najbardziej naturalny właśnie wtedy, kiedy trzyma język za zębami – powiedziała Isabel.

Nic nie wskazywało, żeby Ralph, zgodnie z prorocstwem swej kuzynki, był po trzech dniach zakochany w pannie Stackpole, ale spędzał wiele czasu w jej towarzystwie. Spacerowali po parku, przesiadywali w cieniu drzew, a w letnie popołudnia, gdy najprzyjemniej było pływać po Tamizie, Henrietta zajmowała często miejsce w łodzi, którą przedtem zdołała swoją obecnością tylko jedna młoda dama. Ralph, nieco zdezorientowany łatwością, z jaką Isabel poddała się jego analizie, myślał, że przyjaciółkę jej trudniej będzie zmiękczyć i rozłożyć na składniki, ale okazała się mniej twarda, niż oczekiwał; korespondentka amerykańskiej gazety pobudzała go do wesołości, a od dawna postanowił, że wybuchy śmiechu będą muzyką jego policzonych dni. Isabel pomyliła się też, twierdząc, że Henrietta jest całkowicie obojętna na sądy mężczyzn; Ralph był w oczach panny Stackpole problemem mocno irytującym i wydawało jej się, że postąpiłaby prawie niemoralnie, gdyby się nim nie zajęła.

– Czym on się trudni? – spytała przyjaciółkę pierwszego wieczoru po przyjeździe. – Czy po całych dniach kręci się tylko z rękami w kieszeniach?

– Nic nie robi – uśmiechnęła się Isabel. – Jest bardzo zamożnym dżentelmenem.

– Ależ to oburzające! Tymczasem ja haruję jak konduktor kolejowy! – wykrzyknęła panna Stackpole. – Muszę mu powiedzieć parę słów prawdy!

– Zdrowia nie ma, nie jest zdolny do pracy – usprawiedliwiała kuzyna Isabel.

– Ba! Nie wierz w to! Ja pracuję, nawet kiedy czuję się chora! – krzyknęła panna Stackpole. Później, wsiadając pewnego dnia do łodzi, żeby uczestniczyć w spacerze po rzece, zwróciła się

do Ralpa, wyrażając przypuszczenie, że pewno jej nienawidzi i chętnie by ją utopił.

– O, nie! – zaprzeczył. – Daruję życie moim ofiarom, żeby poddawać je powolnym torturom, a pani byłaby niezwykle interesującym przedmiotem mojego okrucieństwa.

– Owszem, torturuje mnie pan, przyznaję. Ale mam tę satysfakcję, że wytykam wszystkie pana przesady.

– Jakie przesady? Jestem z nich doszczętnie wyzuty. Ma pani w mojej osobie przykład całkowitego ubóstwa umysłowego!

– Tym bardziej powinien się pan wstydzić. Ja mam kilka szalenie miłych przesądów. Zakłóćę panu flirt... czy jak tam to nazwać... z kuzynką, ale oddam jej cenną przysługę, demaskując pana. Wkrótce przekona się o pańskiej słabości.

– Tak, tak, niech mnie pani zdemaskuje! – wykrzyknął Ralph.  
– Tak mało ludzi zadaje sobie trud studiowania mojego charakteru!

Panna Stackpole, dążąc do celu, nie szczędziła fatygi; głównie jednak posługiwała się przy każdej sposobności najprostszym środkiem: brała go na spytki. Następnego dnia pogoda się zepsuła, więc młody człowiek, aby ją zabawić pod dachem, zaproponował, że pokaże jej obrazy. Henrietta szła z wolna w jego asyście przez długą galerię, a Ralph wskazywał najświetniejsze ozdoby kolekcji, wymieniał nazwiska malarzy i objaśniał znaczenie ich dzieł. Panna Stackpole oglądała obrazy w milczeniu, powstrzymując się od ocen, a Ralph był jej wdzięczny, że nie szafuje konwencjonalnymi formułkami zachwytu, jakimi hojnie obdarzała go większość gości zwiedzających Gardencourt. Trzeba oddać sprawiedliwość Henriecie, że bardzo rzadko uciekała się do wyświechtanych szablonów; jej wypowiedzi, poważne i często oryginalne, wygłaszane z namysłem, brzmiały niekiedy tak, jak gdyby była kulturalną cudzoziemką posługującą się obcym językiem. Ralph dopiero później dowiedział się, że panna Stackpole w swoim czasie pełniła funkcje krytyka sztuki w redakcji pewnego pisma na drugiej półkuli; mimo to, jak się zdaje, nie rozmieniała podziwu na drobne. Właśnie starał się skierować jej uwagę na uroczy pejzaż Constable'a, gdy nagle odwróciła się i

patrząc na niego zamiast na obraz, spytała:

- Czy pan zawsze w ten sposób spędza czas?
- Rzadko tak przyjemnie jak w tej chwili.
- Rozumie pan doskonale, o co mi chodzi. Czy nie ma pan żadnego stałego zajęcia?
- Ach! – odparł Ralph. – Jestem najgorszym próżniakiem pod słońcem.

Panna Stackpole już znów przyglądała się pejzażowi Constable'a. Ralph poprosił ją, żeby spojrzała na wiszący obok mały obraz Lancreta, na którym młody mężczyzna w różowym kaftanie z krezą i w krótkich spodniach, wsparty o cokół posągu nimfy, przygrywał na gitarze dwóm damom siedzącym na trawie w ogrodzie.

- Tak wyobrażam sobie idealne stałe zajęcie – oświadczył.
- Panna Stackpole raz jeszcze zwróciła się ku niemu, a chociaż wzrok jej zatrzymał się przez chwilę na obrazie Lancreta, najoczywściej nie przyjęła do wiadomości jego treści. Myślała o jakiejś znacznie ważniejszej sprawie.

- Nie pojmuję, jak pańskie sumienie może się na to godzić.
- Ależ, proszę pani, ja nie mam sumienia!
- Radziłabym panu wyrobić je w sobie. Będzie panu potrzebne, gdy następnym razem odwiedzi pan Amerykę.
- Prawdopodobnie nigdy już tam nie pojedę.
- Wstydzi się pan pokazać w Ameryce?

Zastanawiał się chwilę, nim z lekkim uśmiechem odpowiedział:

- Człowiek bez sumienia chyba nie zna też wstydu.
- Bardzo pan jest pewny siebie – zgromiła go Henrietta. – Czy pan uważa, że postąpił słusznie, wyrzekając się ojczyzny?
- Nikt, proszę pani, nie może wyrzec się ojczyzny, tak samo jak rodzonej babki. Ani jednej, ani drugiej nie wybieramy sobie, stanowią część naszej osobowości i nie sposób ich się pozbyć.
- O ile dobrze rozumiem, próbował pan pozbyć się ojczyzny, ale okazało się to niemożliwe. Co myśleli o panu tamtejsi ludzie?
- Byli mną oczarowani.

- Prawdopodobnie dlatego, że im pan schlebiał.
  - Niechże pani chociaż odrobinę zasługi przyzna mojemu wrodzonemu wdziękowi – westchnął Ralph.
  - Nic mi nie wiadomo o pańskim wrodzonym wdzięku. Jeśli pan ma jakiś wdzięk, to nie wrodzony, ale nabyty... mówiąc ściślej, stara się pan go nabyć, mieszkając w Anglii. Nie powiedziałabym, że to się panu udało. Na mnie ten rodzaj wdzięku nie działa. Niech pan zajmie się czymś użytecznym, a wtedy pogadamy.
  - Może pani pouczy mnie, co mam robić – odparł Ralph.
  - Przede wszystkim wrócić do kraju.
  - Aha! I co dalej?
  - Niech się pan do czegoś weźmie.
  - Do czego?
  - Wszystko jedno, byle gorliwie. Niech się pan chwyci jakiejś nowej idei, jakiegoś wielkiego dzieła.
  - A czy to bardzo trudne? – spytał Ralph.
  - Nie, jeśli włoży się w to całe serce.
  - O, serce! – westchnął Ralph. – Jeśli to zależy od mojego serca...
  - Czyżby pan nie miał serca?
  - Jeszcze parę dni temu miałem, ale je straciłem.
  - Wciąż jest pan niepoważny. I chyba nigdy pan nie spoważnieje.
- Nie zraziła się jednak i w parę dni później znów pozwoliła, żeby skupił na swojej osobie całe jej zainteresowanie, ale tym razem, chociaż z równie zagadkową przewrotnością, zaatakowała go z innego powodu.
- Przejrzałam pana wreszcie – powiedziała. – Pan ma za dobre o sobie mniemanie, żeby się ożenić.
  - Tak, ale odkąd panią poznałem, zmieniłem nagle opinię.
  - Och, znowu bzdury! – jęknęła Henrietta.
  - Teraz mam o sobie zanadto złe mniemanie.
  - Małżeństwo mogłoby pana poprawić. A zresztą to jest obowiązek.

– Ach! – wykrzyknął Ralph. – Tak wiele mamy obowiązków!  
A więc małżeństwo też do nich należy?

– Oczywiście. Nie wiedział pan tego? Każdy powinien wstąpić w związki małżeńskie.

Ralph zamyślił się na chwilę – był rozczarowany. Panna Stackpole miała pewne cechy, za które już zaczynał ją lubić; nie była jego zdaniem czarującą kobietą, ale bądź co bądź wydawała się dziewczyną na wskroś uczciwą. Brakowało jej dystynkcji, ale, jak słusznie mówiła Isabel, była dzielna: wchodziła do klatki i wymachiwała batem jak pogromczynie lwów w błyszczącym kostiumie. Nie podejrzewał Henrietty o zdolność do wulgarnej kokieterii, ale w jej ostatnich słowach dosłyszał fałszywą nutę. Gdy panna na wydaniu zachęca młodego nieżonatego mężczyznę do małżeństwa, narzuca się oczywiście myśl, że nie działa bezinteresownie.

– O tym można by długo dyskutować – powiedział.

– Zapewne, ale chodzi o zasadę. Mnie się to wydaje pychą, jeśli ktoś upiera się przy samotności, jak gdyby w całym świecie nie widział godnej siebie kobiety. Czy pan ma się za kogoś o wiele lepszego od innych ludzi? W Ameryce panuje taki obyczaj, że wszyscy się żenią.

– Ten, jak pani twierdzi, obowiązek dotyczy w równym stopniu mnie, jak i pani, czy tak?

Szeroko otwarte oczy panny Stackpole błysnęły w słońcu.

– Czy pan pociesza się nadzieją, że mnie przyłapie na błędzie w rozumowaniu? Oczywiście mam prawo do małżeństwa, jak każda istota ludzka.

– A więc – odparł Ralph – przyznam się, że wcale nie irytuje mnie pani wolny stan. Przeciwnie, cieszę się z niego.

– Pan znowu jest niepoważny. Nigdy pan nie spoważnieje.

– Czy pani nie uwierzy w moją powagę nawet wtedy, gdy powiem, że postanowiłem skończyć z kawalerskim życiem?

Panna Stackpole patrzyła na niego chwilę, jakby chciała dać mu odpowiedź, którą można by nazwać „zachęcającą”. Ale ku jego zdumieniu wyraz jej twarzy nagle zmienił się, tak że mógł

wyczytać z niej tylko niepokój czy może nawet urazę.

– Nie uwierzyłabym z pewnością – odpowiedziała oschle. Po czym odeszła.

– Nie zapalałem miłością do twojej przyjaciółki – oznajmił Ralph tego wieczoru kuzynce – chociaż dziś rano rozmawiałem z nią dość długo o tego rodzaju sprawach.

– Powiedziałeś jej coś, co jej się nie spodobało – odparła Isabel.

Ralph spojrział na nią zaskoczony.

– Czy skarżyła się na mnie?

– Zwierzyła mi się, że ton, jakim Europejczycy rozmawiają z kobietami, wydaje się jej nikczemny.

– Czy zalicza mnie do Europejczyków?

– I to do najgorszych! Twierdziła, że żaden Amerykanin nigdy nie ośmieliłby się powiedzieć jej tego co ty. Ale nie powtórzyła mi, co właśnie mówiłeś.

Ralph pozwolił sobie na wybuch śmiechu.

– Cóż to za niezwykła mieszanina ta twoja panna Stackpole! Czy wyobraziła sobie, że staram się podbić jej serce?

– Nie, to przecież robią także Amerykanie. Zgaduję, że fałszywie zrozumiałeś jej intencje i wysnułeś z jej słów złośliwe wnioski.

– Zrozumiałem, że proponuje mi małżeństwo, i przyjąłem jej ofertę. Czy to złośliwość?

Isabel uśmiechnęła się lekko.

– Złośliwość w stosunku do mnie. Wcale sobie nie życzę, żebyś się żenił.

– Kuzynko najmilsza, nie wiem, co robić, żeby was obie zadowolić! Panna Stackpole uważa, że moim obowiązkiem jest ożenek, a jej obowiązkiem jest dopilnować, abym się od tego nie wymigiwał.

– Henrietta ma silne poczucie obowiązku – powiedziała Isabel poważnym tonem. – Wszystko, co mówi, z tego właśnie wypływa. I za to ją lubię. Sądzi, że postępujesz niegodnie, zatrzymując wyłącznie dla siebie samego tak wiele skarbów. O to

tylko jej chodziło. Jeżeli przypuszczasz, że próbowała... kokietować cię... to grubo się mylisz.

– Rzeczywiście obrała metodę dość niezwykłą, ale miałem wrażenie, że chce mnie uwieść. Wybacz moją przewrotność!

– Jesteś okropnie zarozumiała. Henrietta udzielała ci bezinteresownych rad i nie przyszło jej do głowy, że możesz ją posądzić o jakieś osobiste zamiary.

– Widzę, że trzeba wielkiej skromności, by rozmawiać z taką kobietą – pokornie stwierdził Ralph. – Ale to dziwny typ. Mówi o moich sprawach bardzo osobistych, ale obraża się, że w odpowiedzi dotknąłem jej osobistych spraw. Wchodzi, nie pukając.

– Tak – przyznała mu rację Isabel. – Henrietta nie uznaje kołatek u drzwi, może nawet uważa je za niepotrzebną pretensjonalną ozdobę. Myśli, że każde drzwi powinny być stale szeroko otwarte. Mimo wszystko lubię ją niezmiennie.

– A ja niezmiennie sędzę, że jest niedyskretna – odparł Ralph, oczywiście trochę zakłopotany, że podwójnie omylił się co do panny Stackpole.

– A wiesz – uśmiechnęła się Isabel – ja ją właśnie za to lubię, że jest nieco wulgarna.

– Nie pochlebiłyby jej motywy twojej sympatii, gdyby je знаła.

– Gdybym jej to chciała powiedzieć, znalazłabym delikatniejszą formułkę. Na przykład, że lubię ją za ten jakiś „ludowy” pierwiastek w jej naturze.

– Cóż panna Stackpole ma wspólnego z ludem? Albo i ty!

– Henrietta dość dobrze zna lud, a ja wiem o nim wystarczająco dużo, żeby w mojej przyjaciółce rozpoznać niejako ducha wielkiej demokracji, całego kontynentu, kraju i narodu. Nie twierdę, że ona wszystko to ucieleśnia, nie można od niej za wiele wymagać. Ale wywołuje to skojarzenia, żywo to wszystko przypomina.

– A więc lubisz ją z pobudek patriotycznych. Niestety, ja z tych samych powodów mam jej dużo do zarzucenia.

– Ach! – dziwnie wesoło westchnęła Isabel. – Lubię takie

mnóstwo różnych rzeczy! Gotowa jestem pochwalać wszystko, w czym wyczuwam tętniące mocno życie. Nie chcę się chełpić, ale jestem chyba dość wszechstronna. Lubię też osoby zupełnie inne niż Henrietta... na przykład takie jak siostry lorda Warburtona. Kiedy widzę panny Molyneux, wydaje mi się, że spełniają wszelkie wymagania pewnego ideału. Potem zjawia się Henrietta i natychmiast jej przyznaję pierwsze miejsce, nie ze względu na nią samą, lecz z szacunku dla tego, co stoi za nią.

– A więc podoba ci się od strony pleców? – domyślił się Ralph.

– Henrietta ma rację, kiedy mówi, że ty nigdy niczego nie traktujesz poważnie – odparła Isabel. – Lubię szerokie przestrzenie, rzeki i prerie, kwitnącą, pogodną krainę, która ciągnie się aż do wybrzeża zielonego Pacyfiku! Czuję bijący od tych przestrzeni mocny, słodki i rześki zapach... Wybacz mi to porównanie, ale Henrietta w fałdach sukni przynosi trochę tego aromatu. – Isabel zarumieniła się nieco, kończąc tę tyradę, i tak jej było ładnie z tym rumieńcem i uniesieniem, jakie ją przelotnie ogarnęło, że Ralph z uśmiechem przyglądał się jej przez długą chwilę, gdy umilkła.

– Nie jestem pewny – powiedział wreszcie – czy Pacyfik jest rzeczywiście zielony, ale wiem, że masz bardzo żywą wyobraźnię. Co do Henrietty, to wnosi ze sobą zapach przyszłości, i to tak mocny, że prawie zwala człowieka z nóg.



## ROZDZIAŁ XI

Po tym incydencie Ralph postanowił ostrożniej interpretować słowa panny Stackpole, nawet gdyby wyraźnie uderzała w struny najbardziej osobiste. Myślał, że w jej oczach każdy człowiek jest prostym i jednolitym organizmem, on zaś stanowi zbyt przewrotny okaz natury ludzkiej, aby w stosunkach z nią rościć sobie prawo do skrupulatnej wzajemności. Dotrzymywał tego postanowienia bardzo taktownie, toteż Henrietta w następnych z nim rozmowach nie natrafiła na żadne przeszkody, gdy puszczała wodze swojej śmiałej dociekliwości i w ogóle dawała dowody pewności siebie. Ceniona, jak wiemy, przez Isabel, sama też ceniąc swobodne dyskusje z przyjaciółką, która – dzięki inteligencji – zasługiwała na miano „bratniej duszy”, i ze starym panem Touchett, który był tak uprzejmy, a zarazem szacowny, a przy tym, jak mówiła Henrietta, bardzo szlachetny w tonie, dzięki czemu zyskał jej pełną sympatię – czułaby się w Gardencourt doskonale, gdyby nie nękała jej niczym niedająca się rozproszyć nieufność do drobnej starszej damy, którą, jak wyobrażała sobie z początku, wypadało „darzyć pewnymi względami” jako panią domu. Wkrótce odkryła, że pani Touchett z tego tytułu nie wymaga wielkich względów i że zupełnie jej nie interesuje, jak spędza czas panna Stackpole. Pani Touchett w rozmowie z siostrzenicą określiła pannę Stackpole jako poszukiwaczkę przygód i nudziarkę – chociaż dwie te cechy na ogół nie chodzą w parze; wyraziła zdziwienie, że siostrzenica taką osobę wybrała na przyjaciółkę, ale co prędzej dodała, że jest to oczywiście nie jej sprawa, że nigdy nie zobowiązywała się lubić wszystkich przyjaciół swojej siostrzenicy, ale też nie zamierzała narzucać jej innych, przez siebie aprobowanych.

– Gdybyś miała przestawać wyłącznie z ludźmi, których lubię, moja droga, miałabyś bardzo małe grono znajomych – szczerze przyznała pani Touchett. – Żadna chyba osoba w świecie nie podoba mi się tak, żebym miała ochotę polecać ją tobie.

Polecenie kogokolwiek to za poważna odpowiedzialność. Nie lubię panny Stackpole, nic mi się w niej nie podoba, mówi o wiele za głośno, a patrzy na każdego tak, jakby była pewna, że on ją z przyjemnością ogląda, w czym się myli. Na pewno spędzała życie w pensjonatach, a ja nie cierpię pensjonatowych obyczajów i poufałych stosunków, jakie w tego rodzaju instytucjach panują. Jeśli mnie zapytasz, czy wolę swoje własne maniery, które niewątpliwie wydają ci się okropne, odpowiem ci, że tak, sto razy tak. Panna Stackpole wie, że nie cierpię pensjonatowej cywilizacji, i nienawidzi mnie za to, że jej nienawidzę, bo dla niej to jest najwspanialszy styl życia. Gardencourt podobałby jej się znacznie bardziej, gdyby ten dom był pensjonatem. Ja uważam, że jest zanadto podobny do pensjonatu! Nigdy więc nie dojdziemy do porozumienia i nie warto nawet tego próbować.

Pani Touchett słusznie twierdziła, że Henrietta jest jej niechętna, ale niezupełnie trafnie odgadła przyczynę. Pierwszego czy drugiego dnia po przybyciu panny Stackpole do Gardencourt pani domu pozwoliła sobie na jakąś krytyczną uwagę o amerykańskich hotelach, wywołując gorącą replikę korespondentki „Interviewera”, która, z racji swojego zawodu, miała sposobność zapoznać się z każdym zajazdem na zachodniej półkuli. Henrietta oświadczyła, że amerykańskie hotele są ze wszystkich w świecie najlepsze, a pani Touchett, mając w pamięci świeże wspomnienia swoich utarczek z tymi instytucjami, orzekła z przekonaniem, że są najgorsze. Ralph ze zwykłą skwapliwością do eksperymentów spróbował przerzucić most nad przepaścią, sugerując, że prawda leży gdzieś pomiędzy dwoma biegunami i że najsłuszniej można by te hotele uznać za średnie. Ale panna Stackpole zignorowała jego głos w tej dyskusji. Średnie! Albo najlepsze, albo najgorsze, nie ma nic przeciętnego w amerykańskich instytucjach!

– Jasne jest, że je oceniamy z dwóch różnych punktów widzenia – powiedziała pani Touchett. – Ja lubię być traktowana jako indywidualna osoba, pani – jako „zbiorowość”.

– Nie wiem, co pani ma na myśli – odparła Henrietta. – Chcę być traktowana jak amerykańska dama.

– Biedne amerykańskie damy! – zawołała pani Touchett ze śmiechem. – Niewolnice niewolników!

– Towarzyszki życia wolnych mężczyzn! – odparła Henrietta.

– Towarzyszki własnych sług, irlandzkich pokojówek i murzyńskich kelnerów. Biorą na siebie część ich obowiązków.

– Czy pani nazywa amerykańską służbę domową niewolnikami? – spytała panna Stackpole. – Jeżeli pani tak się do tych ludzi odnosi, nic dziwnego, że nie podoba się pani Ameryka.

– Bez dobrej służby żyje się nędznie – stwierdziła niewzruszona pani Touchett. – Służba w Ameryce jest okropna, ale we Florencji mam pięcioro doskonałych służących.

– Nie pojmuję, na co pani aż pięcioro! – Henrietta nie mogła powstrzymać się od tego wykrzyknika. – Przypuszczam, że czułabym się bardzo źle otoczona przez tyle osób podrzędnej kondycji.

– A ja wolę ludzi tej kondycji od innych – z naciskiem stwierdziła pani Touchett.

– Czy lubiłabyś mnie bardziej, gdybym był twoim lokajem, kochanie? – spytał pan Touchett.

– Nie sądzę. Nie miałbyś właściwego stylu.

– Towarzyszki życia wolnych mężczyzn! Ładnie to pani powiedziała – rzekł Ralph. – Przepiękne określenie.

– Mówiąc o wolnych mężczyznach, nie pana miałam na myśli!

Oto jedyna nagroda, jakiej doczekał się Ralph za swój komplement. Panna Stackpole była zbита z tropu; najoczywiściej węszyła jakąś zdradę w sądach pani Touchett o klasie, którą sama w głębi serca uważała za tajemniczy przeżytek feudalizmu.

Zamęt, jaki te wyobrażenia wprowadziły do jej umysłu, był zapewne powodem, że dopiero w kilka dni później znalazła sposobność, by powiedzieć do przyjaciółki:

– Zastanawiam się, droga Isabel, czy nie jesteś niewierna.

– Niewierna? Tobie?

– Och, nie, to byłoby dla mnie bardzo bolesne, ale nie o tym myślałam.

– A więc w stosunku do ojczystego kraju?  
– Do tego, mam nadzieję, nigdy nie dojdzie. W liście z Liverpoolu wspomniałam, że mam dla ciebie pewną szczególnie interesującą wiadomość. Dotychczas nie spytałaś, co to za nowina. Czy dlatego, że coś podejrzewasz?

– Co takiego? Zdaje mi się, że nie jestem z natury podejrzliwa – odparła Isabel. – Przypominam sobie to zdanie w twoim liście, ale przyznam się, że wcale o tym nie myślałam. Cóż więc masz mi do powiedzenia?

Henrietta doznała zawodu, można było to wyczytać z jej uporczywego spojrzenia.

– Pytasz takim tonem, jakbyś nie przywiązywała do tego żadnej wagi. Zmieniłaś się, Isabel, myślisz o innych sprawach.

– Powiedz mi swoją nowinę, a może zacznę myśleć o niej.

– Czy naprawdę pomyślisz? Chciałabym się co do tego z góry upewnić.

– Nie panuję całkowicie nad swoimi myślami – odparła Isabel – ale obiecuję ci, że będę się starała. – Henrietta długo przyglądała się jej w milczeniu, aż w końcu nasza bohaterka zniecierpliwiona spytała: – Może chciałaś mi powiedzieć, że wybierasz się za mąż?

– Nie zrobię tego, dopóki nie zwiedzę Europy – odparła panna Stackpole. – Z czego się śmiejesz? Chciałam ci powiedzieć, że tym samym statkiem co ja przybył pan Goodwood.

– Aaa! – westchnęła Isabel.

– Teraz uderzyłaś we właściwy ton. Wiele z nim rozmawiałam. On tutaj przyjechał dla ciebie.

– Czy tak ci powiedział?

– Nie, nic o tym nie mówił i właśnie dlatego wiem na pewno, że tak jest – odparła chytrze panna Stackpole. – Prawie słowem nie wspomniał o tobie, ale ja za to mówiłam dużo.

Isabel czekała. Na dźwięk nazwiska Goodwooda poblądła nieco.

– Bardzo mi przykro, że mówiłaś z nim o mnie – powiedziała wreszcie.

– Ale mnie było przyjemnie i podobał mi się sposób, w jaki pan Goodwood mnie słuchał. Mogłabym mówić godzinami, mając takiego słuchacza, milczącego i skupionego, on po prostu chłonał każde moje słowo.

– Co mu o mnie powiedziałaś? – spytała Isabel.

– Że nie znam szlachetniejszej od ciebie istoty.

– Źle się stało. On i tak mnie przecenia. Nie należy go bardziej jeszcze zachęcać.

– Ależ on łaknie jakiejś zachęty! Mam w oczach jego twarz, napiętą z przejęcia, kiedy mówiłam o tobie. Nigdy w życiu nie widziałam, żeby brzydki mężczyzna tak wypiękniał pod wpływem silnego wzruszenia.

– Jest prostolinijny – powiedziała Isabel – i wcale niebrzydki.

– Nic nie jest tak prostolinijne jak wielka namiętność.

– Ależ nie ma mowy o wielkiej namiętności, na pewno nie!

– Jednakże mówisz to bez przekonania.

Isabel uśmiechnęła się dość chłodno.

– Powiem to bardziej stanowczym tonem samemu panu Goodwoodowi.

– Wkrótce dostarczy ci okazji – stwierdziła Henrietta z wielką pewnością siebie, ale Isabel pozostawiła bez komentarza tę zapowiedź. – Zauważy, że się zmieniłaś. Nowe otoczenie wywarło na ciebie wielki wpływ.

– Może. W ogóle stałam się bardzo wrażliwa na wszystko dokoła.

– Ale nie na prośby pana Goodwooda! – wykrzyknęła panna Stackpole z nieco szorstką wesołością.

Isabel nie zareagowała nawet uśmiechem i odezwała się dopiero po dłuższej chwili:

– Czy on cię prosił, żebyś mnie zawiadomiła o jego przyjeździe?

– Nie w słowach. Ale oczyma błagał, a także uściskiem ręki, kiedy się żegnaliśmy.

– A więc dziękuję ci – powiedziała, odwracając się, Isabel.

– Tak, zmieniłaś się, nasiąkłaś tutaj jakimiś nowymi

poglądami – stwierdziła Henrietta.

– Mam nadzieję, że tak – odparła Isabel. – Człowiek powinien przyswajać sobie coraz to nowe myśli.

– Racja, ale pod warunkiem, że te nowe nie są sprzeczne ze starymi, które były słuszne.

Isabel zwróciła się znów do przyjaciółki.

– Nie przypuszczasz chyba, że przedtem miałam określone zamiary w stosunku do pana Goodwooda... – Głos jej się załamał pod nieubłaganym wzrokiem panny Stackpole.

– Ależ ty sama, moje dziecko, bez wątpienia go zachęcałaś.

W pierwszym odruchu Isabel gotowa była wyprzeć się winy, ale po krótkim namyśle przyznała:

– Prawda. Zachęcałam go. – Potem spytała przyjaciółkę, czy pan Goodwood zwierzył jej się ze swoich planów. Uległa ciekawości, chociaż nie miała ochoty przedłużać tej rozmowy i uważała, że Henrietta zachowała się niedelikatnie.

– Owszem, pytałam go i on powiedział, że nie ma żadnych. Ale ja w to nie wierzę – oznajmiła Henrietta. – Nie jest typem mężczyzny, który by czekał z założonymi rękami. To człowiek czynu, śmiały i energiczny. Cokolwiek mu się zdarzy, zawsze będzie działał i zawsze obierze najszlachetniejszą drogę.

– Tak, to prawda! – powiedziała Isabel. Henrietta była niedelikatna, ale te jej słowa mimo wszystko poruszyły pannę Archer.

– A więc jednak nie jest ci obojętny! – wykrzyknęła dziennikarka.

– Zawsze obierze słuszną drogę – powtórzyła Isabel. – Cóż dla tak nieomylnego człowieka mogą znaczyć cudze uczucia?

– Znaczą wiele, jeśli nie dla niego, to dla innych osób.

– Nie będziemy dyskutowały o stanie moich uczuć – odparła z zimnym uśmiechem Isabel.

Tym razem panna Stackpole przybrała ton poważny:

– Tak czy inaczej, bardzo się zmieniłaś. Nie jesteś tą dziewczyną, którą byłaś parę tygodni temu, i pan Goodwood oczywiście to spostrzeże. Myślę, że zjawi się tutaj lada dzień.

– Miejmy nadzieję, że mnie znienawidzi – powiedziała Isabel.

– Nie wierzę, żeby on był zdolny znienawidzić cię.

Isabel już nie replikowała, pogrążona w niepokoju, jaki wzbudziła w niej wiadomość, że Goodwood może lada chwila zjawić się w Gardencourt. Starła się jednak wmówić sobie, że jest to niemożliwe, a później podzieliła się tym przekonaniem z Henriettą. Mimo to przez następnych czterdzieści osiem godzin nieustannie czekała, że z ust lokaja anonsującego gości usłyszy nazwisko swojego amerykańskiego wielbiciela. Męczyło ją to napięcie i miała wrażenie, że atmosfera stała się duszna jak przed zmianą pogody, a przecież klimat – w sensie towarzyskim – był od początku jej wizyty w Gardencourt tak przyjemny, że każda zmiana oznaczałaby tylko pogorszenie. Po dwóch dniach wreszcie zaczęła oddychać lżej. Wyszła do ogrodu w asyście przyjaznego foksteriera i czas jakiś przechadzała się, roztargniona i niespokojna, aż w końcu usiadła na ławce pod rozłożystym bukiem nieopodal domu, stanowiąc w swej białej, czarnymi wstążkami ozdobionej sukni wdzięczny i harmonijny obrazek wśród migotliwej gry światła i cieni. Chwilę próbowała zabawiać się rozmową z pieskiem; na mocy zawartej pierwszego dnia ugody z kuzynem, Bunchie stał się ich wspólną własnością i dzielili się jego towarzystwem o tyle sprawiedliwie, o ile na to pozwalały nieco kapryśne i niestałe nastroje samego przedmiotu tej umowy. Tego dnia jednak Isabel po raz pierwszy spostrzegła granice inteligencji foksteriera, chociaż dotychczas zachwycała się raczej jej szerokim zasięgiem. Przyszło jej do głowy, że powinna zająć się jakąś lekturą; dawniej, ilekroć na sercu ciążyła jej troska, umiała za pomocą mądrze dobranej książki zapomnieć o tym, skupiając świadomość na sprawach intelektualnych, zamiast ją ogniskować w sferze uczuć. Jednak ostatnio literatura straciła w jej oczach nieco blasku i panna Archer, chociaż pamiętała, że w bibliotece wuja znajdują się wszystkie dzieła, których nie może zabraknąć w księgozbiorniku dżentelmena, siedziała w dalszym ciągu beczynnym, z pustymi rękami i ze wzrokiem wbitym w

chłodną, soczystą zieleń trawnika. Zadumę jej przerwał wreszcie służący, który nadszedł z listem na tacy. Koperta z londyńską pieczętką zaadresowana była znanym pannie Archer charakterem pisma człowieka, który zaprzętał jej myśli, którego obraz stanął jej teraz żywo przed oczyma i którego głos zabrzmiał w jej uszach, gdy czytała list od niego. List był dość krótki i możemy go w całości przytoczyć.

*Droga Panno Isabel!*

*Nie wiem, czy doszła już do Pani wiadomość o moim przyjeździe, ale w każdym razie nie może to być dla Pani niespodzianką. Z pewnością nie zapomniała Pani, że przed trzema miesiącami w Albany, gdy mnie Pani odprawiła, nie przyjąłem odmowy. Zaprotestowałem i miałem wrażenie, że Pani zaakceptowała mój protest, przyznając mi słuszność. Przyjechałem wtedy do Pani z nadzieją, że zdołam Panią przekonać; miałem wszelkie podstawy do nadziei, lecz Pani ją zgasła. Zastałem Panią zmienioną, ale nie umiała Pani wyjaśnić mi przyczyn tej zmiany. Przyznała Pani, że jej decyzja nie da się rozsądnie uzasadnić, i to było jedyne ustępstwo z Pani strony, lecz niewiele warte, skoro działała Pani niezgodnie ze swoją naturą. Nie, Pani nie jest i nigdy nie będzie kapryśna i arbitralna. Dlatego ufam, że zechce Pani spotkać się ze mną znowu. Powiedziała Pani, że nie jestem Jej niemiły, i wierzę w to, bo nie widzę powodu, aby miało być inaczej. Zawsze będę o Pani myślał i nigdy nie pomyślę o innej. Przyjechałem do Anglii po prostu dlatego, że Pani tu jest; nie mogłem zostać w kraju po Pani wyjeździe: zniecierpliwienie kraj, ponieważ Pani tam nie ma. Jeśli ta wyspa podoba mi się, to jedynie dlatego, że Pani na niej się znalazła. Bywałem już nieraz w Anglii, ale nigdy dotychczas nie pociągała mnie. Czy wolno mi będzie złożyć w Gardencourt choćby półgodzinną wizytę i porozmawiać z Panią? W tej chwili jest to jedyne i najgorętsze pragnienie, które żywi wiernie Pani oddany*

*Caspar Goodwood*



Isabel czytała ten list z tak skupioną uwagą, że nie słyszała zbliżających się po miękkiej trawie kroków. Dopiero gdy składając odruchowo arkusik papieru, podniosła wzrok, zobaczyła przed sobą lorda Warburtona.

## ROZDZIAŁ XII

Wsunęła list do kieszeni i z uśmiechem przywitała gościa, nie zdradzając wzburzenia i sama dziwiąc się swojej zimnej krwi.

– Powiedziano mi, że pani jest w ogrodzie – tłumaczył lord Warburton – w salonie nikogo nie zastałem, a ponieważ przyjechałem właściwie tylko po to, żeby się z panią zobaczyć, pozwoliłem sobie bez żadnych ceremonii przyjść tutaj.

Isabel wstała – nie chciała w tym momencie, żeby usiadł przy niej.

– Właśnie zamierałam już wrócić do domu.

– Proszę, niech pani tego nie robi, tu jest o wiele przyjemniej. Odbyłem drogę z Lockleigh konno, rozkoszując się dzisiejszą pogodą.

Uśmiechał się przyjaźnie i miło, zdawało się, że cała jego postać tchnie zdrowiem i zadowoleniem – tym właśnie, co przy pierwszym zetknięciu oczarowało pannę Archer. Otaczała go aura słonecznego czerwcowego dnia.

– A więc przejdźmy się po parku – powiedziała. Nie mogła pozbyć się wrażenia, że Warburton przyszedł w jakimś określonym zamiarze, i nie chciała dopuścić do urzeczywistnienia tych intencji, ale jednocześnie korciło ją, aby je poznać i zaspokoić własną ciekawość. Już raz przedtem błysnęła przed jej oczyma ta sama wizja – i wówczas, jak nam wiadomo, panna Archer przestraszyła się trochę. Lęk ten składał się z wielu różnych składników i nie wszystkie z nich były przykre; Isabel poświęciła kilka dni ich analizie i udało jej się oddzielić miłe aspekty rzekomych „umizgów” lorda Warburtona od nieprzyjemnych. Niektórzy czytelnicy gotowi są zapewne pomyśleć, że nasza bohaterka była dziewczyną zbyt pochopną i jednocześnie niezrozumiałą grymaśną, ale ten drugi zarzut, gdyby okazał się uzasadniony, mógłby ją może oczyścić z pierwszego. Nie była skora do wmawiania sobie, że jej wdzięki podbiły magnata – słyszała, jak

nazywano tak lorda Warburtona – właściciela wielkich dóbr ziemskich. Oświadczyzny takiego człowieka nasunęłyby mnóstwo wątpliwości, z których wielu nie umiałaby może rozstrzygnąć. Była pod silnym wrażeniem „osobistości”, za jaką go uważała, i pilnie zastanawiała się nad wszystkim, co się z tym pojęciem kojarzyło. Ryzykując, że wzmocnimy nowymi dowodami oskarżenie naszej bohaterki o zarozumialstwo, musimy stwierdzić, że chwilami myśl, iż taki ktoś mógłby ją uwielbiać, oburzała ją jak akt agresji, obraźliwy lub co najmniej niewygodny. Panna Archer nigdy dotychczas nie знаła żadnej ważnej osobistości, nie było takich ludzi w jej środowisku, a może nawet w całym jej ojczystym kraju. Jeśli uznawała kogoś za człowieka niepospolitego, to ze względu na zalety charakteru i umysłu, które z przyjemnością odkrywała w jego poglądach i sposobie ich wyrażania. Sama była niepospolitą indywidualnością, nie mogła o tym nie wiedzieć. Dotychczas jej wyobrażenia o tym, czym jest człowiek w pełni świadomy, obejmowały głównie obrazy natury moralnej i skłaniały do rozważania spraw, które mogłyby sprawić radość jej wzniosłej duszy. Lord Warburton ukazywał się jej wyobraźni jako postać wielka i olśniewająca, obdarzona atrybutami i przywilejami, których nie mogła oszacować, stosując dotychczasowe proste reguły; tu były potrzebne zupełnie inne kryteria oceny, a Isabel, przyzwyczajona wydawać sądy doraźne i swobodne, nie miała cierpliwości, aby podjąć ten trud. Czuła, że lord Warburton żąda od niej czegoś, czego nikt inny dotychczas nie ośmielił się wymagać; miała wrażenie, że ten wielki właściciel ziemski, magnat zajmujący wysoką pozycję w świecie politycznym i towarzyskim, zamierza wciągnąć ją w środowisko, w którym sam się poruszał. Jakiś instynkt, przekonujący, choć niebędący rozkazem, skłaniał pannę Archer do oporu, podszeptował jej, że przecież ma swój własny świat i własną orbitę. Podsuwał jej też inne myśli – sprzeczne ze sobą i jednocześnie wspierające się nawzajem: na przykład, że zrobiłaby nie najgorszy wybór, powierzając swój los takiemu człowiekowi, i że byłoby interesujące przyjrzeć się systemowi, do którego on

należy, z jego punktu widzenia; jednakże system ten narzuciłby jej pewne formy, które uważała za niepotrzebną komplikację codziennego życia, a w całości wydawał jej się zbyt sztywny, nawet głupi, i z pewnością krępowałby jej swobodę. Poza tym nie mogła zapomnieć o młodym mężczyźnie, który właśnie przybył z Ameryki; ten nie reprezentował żadnego systemu, ale miał niezwykle charakter; daremnie próbowała sobie wmawiać, że siła jego indywidualności nie pozostawiła w jej duszy trwałego wrażenia. List szeleszczący w jej kieszeni wystarczał, aby jej przypomnieć prawdę. Nie śmieście się jednak – pozwolę sobie raz jeszcze prosić czytelników – z naiwnej dziewczyny z Albany, zastanawiającej się, czy przyjąć oświadczenia angielskiego arystokraty, który wcale jeszcze jej się nie oświadczył, i skłonnej wierzyć, że mogłaby znaleźć w życiu coś lepszego. Działała naprawdę w najlepszej wierze, a jeśli w jej mądrości było dużo szaleństwa, mogę zapewnić surowych krytyków, że będą mieli satysfakcję, Isabel bowiem za swój późniejszy, niezłomny rozsądek zapłaci takim szaleństwem, że wzbudzi ono niemal litość.

Lord Warburton zdawał się gotowy spacerować, siedzieć, spełniać każde jej życzenie; zapewnił ją o tym swoim charakterystycznym tonem, jak gdyby praktykowanie towarzyskich cnót sprawiało mu przyjemność. Jednakże niezupełnie panował nad wzruszeniem, idąc bowiem u jej boku przez chwilę w milczeniu, zerkał wciąż ukradkiem na nią, a wyraz jego oczu i śmiech nie w porę zdradzały zakłopotanie. Tak, niewątpliwie – skoro już raz zahaczyliśmy ten temat, możemy do niego powrócić – Anglicy są najbardziej romantycznymi ludźmi w świecie, a lord Warburton miał właśnie dać temu świadectwo. Powziął decyzję, która zadziwi wszystkich jego przyjaciół i przez wielu z nich będzie przyjęta z niezadowoleniem, decyzję, która z pozoru była niczym nieusprawiedliwiona.

Młoda dama idąca obok niego przybyła z dziwnego zamorskiego kraju, o którym dość dużo wiedział; o jej pochodzeniu i środowisku miał zaś dość mgliste wyobrażenie, wiedział jedynie, że są nieświetne i że to dla niego nic nie znaczy.

Panna Archer nie miała majątku ani urody tak olśniewającej, by wszyscy rozgrzeszyli mężczyznę, który dla niej stracił głowę; obliczył też, że w sumie spędził w jej towarzystwie około dwudziestu sześciu godzin. Zdawał sobie sprawę z pierwotności tego uczucia, które nigdy przedtem nie zbudziło się w nim mimo okoliczności bardziej sprzyjających, gdy mógł mu ulec bez przeszkód, i z tego, co o tym powie świat, zwłaszcza jego piękniejsza i bardziej skora do surowych sądów połowa; rozważył te względy i odtrącił je. Nie obchodziły go więcej niż kwiatek, który nosił w butonierce. Człowiek, który przez większą część życia umiał bez wysiłku podobać się swoim przyjaciółom, ma w chwili, gdy chce zrobić coś niewłaściwego, tę przewagę, że nie obciążają go irytujące skojarzenia.

– Mam nadzieję, że konna przejażdżka była przyjemna – powiedziała Isabel, spostrzegłszy zakłopotanie lorda Warburtona.

– O, tak, choćby dlatego, że mnie tutaj zaprowadziła.

– Pan tak bardzo lubi Gardencourt? – spytała, utwierdzając się coraz mocniej w przekonaniu, że lord Warburton zamierza ją o coś prosić; nie chciała go zachęcać, jeśli jeszcze się waha, ale postanowiła zachować trzeźwą głowę, jeśli on to zrobi. Nagle uprzytomniła sobie, że jeszcze kilka tygodni temu sytuacja wydawałaby jej się ogromnie romantyczna: park starej angielskiej rezydencji wiejskiej, a na pierwszym planie „wspaniały” (jak myślała) arystokrata oświadczający miłość młodej damie, która, przy uważnej obserwacji, okazywała się uderzająco podobna do niej samej. A chociaż teraz rzeczywiście grała w tej scenie rolę heroiny, umiała patrzeć na nią jak gdyby z widowni.

– Nie, nic mnie nie obchodzi Gardencourt – odparł lord Warburton. – Przyjechałem do pani.

– Za krótko się znamy, aby miał pan prawo to powiedzieć, nie wierzę, aby pan mówił serio.

Isabel sama nie była całkowicie szczerą, bo w głębi serca nie wątpiła o jego szczerości. Po prostu spłaciła dług konwenansom, świadoma, że jego oświadczenia zadziwiłyby ludzi pospolitych. W dodatku, gdyby już wcześniej nie była pewna, że lord Warburton

nie zwykł rzucać słów na wiatr, przekonałaby ją jego odpowiedź i ton, jakim ją wygłosił:

– W takich sytuacjach o prawach decyduje nie czas, lecz uczucie. Nic by się nie zmieniło, gdybym czekał trzy miesiące: nie mógłbym być bardziej niż dzisiaj pewny swojej decyzji. Rzeczywiście niewiele czasu z panią spędziłem, ale wystarczyła pierwsza godzina. Nie traciłem czasu, od razu zakochałem się w pani. To miłość od pierwszego wejrzenia, jak w powieści, zrozumiałem, że to nie jest frazes, i odtąd wyżej cenię powieściopisarzy. Moja dwudniowa wizyta w Gardencourt przypieczętowała sprawę, nie wiem, czy pani to spostrzegła, ale przez cały czas nie spuszczałem pani z oczu... oczywiście w sensie przenośnym. Nic z tego, co pani mówiła czy robiła, nie uszło mojej uwagi. Kiedy później odwiedziła pani Lockleigh, a raczej gdy je pani opuściła, byłem już zupełnie pewny. Jednakże postanowiłem raz jeszcze wszystko przemyśleć, zanalizować swoje uczucia jak najwnikliwiej. Tak też zrobiłem, przez kilka ostatnich dni tym wyłącznie byłem pochłonięty. Nie popełniam w tego rodzaju sprawach omyłek, myślę bardzo trzeźwo. Niełatwo ulegam uczuciu, ale gdy raz pokochałem, to już na całe życie. Tak, proszę pani: na całe życie, na całe życie – powtórzył najłagodniejszym, najtkliwszym, najmiłszym głosem, jaki zdarzyło się pannie Archer słyszeć; patrzył przy tym na nią oczyma rozjarzonymi ogniem miłości wolnej od wszystkich przyziemnych domieszek – oczyszczonej z brutalnej żądz, z gorączki i szaleństwa – czystej i niezachwianej jak płomień lampy w bezwietrznym pokoju.

Kiedy mówił, oboje, jakby za milczącym porozumieniem, zwolnili kroku, aż wreszcie przystanąli i lord Warburton ujął rękę panny Archer.

– Ach, jakże mało mnie pan zna! – powiedziała, uwalniając łagodnie, bardzo łagodnie, dłoń z jego uścisku.

– Niechże mi pani tego nie wypomina, i tak dręczy mnie myśl, że za mało panią znam, to przecież dla mnie ogromna strata. Ale pragnę to naprawić i myślę, że obrałem najwłaściwszą drogę do celu. Gdy pani zostanie moją żoną, poznam panią naprawdę i

nie będzie pani mogła już mówić, że mój zachwyty wynika z niewiedzy.

– Pan mnie za mało zna, a ja jeszcze mniej znam pana – odparła Isabel.

– A ja, w przeciwieństwie do pani, mogę stracić na bliższym poznaniu? Czy to ma pani na myśli? Tak, bardzo prawdopodobne, że tak. Ale proszę się zastanowić, czy moja dzisiejsza deklaracja nie jest dowodem, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby pani nie zawieść. Pani przecież ma dla mnie sympatię, prawda?

– Nawet wielką! – przyznała i w tym momencie istotnie lubiła go bardzo.

– Dziękuję, to już wiele, że nie traktuje mnie pani jak natręta. Myślę, że wszystkie dotychczasowe obowiązki wobec ludzi wypełniałem w sposób zadowalający, ufam więc, że tym lepiej wywiążę się z roli, którą, jeśli pani się zgodzi, pragnąłbym wobec pani odegrać, bo w tym wypadku bardziej niż we wszystkich innych zależy mi, żeby okazać się godnym zaufania. Niech pani spyta ludzi, którzy mnie dobrze znają, na pewno za mnie zaręczą.

– Wiem o tym bez niczyich rekomendacji – powiedziała Isabel.

– O, jak miło to słyszeć! Ufa mi pani?

– Bez zastrzeżeń! – oznajmiła Isabel i poczucie ufności naprawdę wypełniło jej serce miłym ciepłem.

Blask w oczach jej wielbiciela przeobraził się w uśmiech, a z jego piersi wydobyło się przeciągłe westchnienie szczęścia.

– Niech stracę wszystko, co mam, jeśli panią zawiodę!

W pierwszej chwili przemknęła jej przez głowę myśl, że chciał w ten sposób przypomnieć o swoim bogactwie, ale natychmiast odrzuciła to podejrzenie. Lord Warburton te sprawy pomijał – jak sam by się wyraził – i rzeczywiście mógł liczyć, że pamiętają o tym wszyscy, a tym bardziej młoda kobieta, której proponował małżeństwo. Isabel przedtem modliła się, żeby zdołała opanować podniecenie; nawet słuchając go, nawet zastanawiając się, co powinna odpowiedzieć, zachowała dość trzeźwości umysłu, by mogła w nim zaświtać ta krytyczna, choć przelotna wątpliwość.

Co powinna odpowiedzieć? Przede wszystkim pragnęła odwzajemnić mu, w miarę możliwości, miłe słowa, którymi on ją obdarzył i które brzmiały tak przekonująco; nie mogła wątpić, że w jakiś tajemniczy sposób stała mu się naprawdę droga.

– Nie wiem, jak panu dziękować – odparła wreszcie. – Czuję się naprawdę zaszczycona pana propozycją.

– Niechże pani tego nie mówi! – wykrzyknął. – Bałem się, że pani coś takiego powie. To zupełnie w pani ustach niewłaściwe. Za cóż pani miałaby mi dziękować? To ja jestem nieskończenie wdzięczny, że pani była łaskawa wysłuchać mnie, człowieka tak mało pani znanego, który ośmielił się nagle rzucić pani pod stopy taką bombę! Oczywiście chodzi o sprawę bardzo poważną, wyznam, że wolę być tym, który zapytał, niż tym, który musi dać odpowiedź. Ale łaskawość, z jaką mnie pani wysłuchała, a nawet sam fakt, że zgodziła się pani słuchać, daje mi trochę nadziei.

– Niech pan nie spodziewa się za wiele – powiedziała Isabel.

– Och, panno Isabel – szepnął, uśmiechając się mimo powagi znowu, jak gdyby chciał w tym ostrzeżeniu widzieć tylko miły żart, wyraz wielkiego radosnego uniesienia.

– Czy byłby pan bardzo zaskoczony, gdybym poprosiła, żeby się pan w ogóle wyrzekł nadziei? – spytała Isabel.

– Zaskoczony? Nie wiem, co pani ma na myśli. To byłoby coś znacznie gorszego niż zaskoczenie.

Isabel szła obok niego, milcząc długą chwilę.

– Jestem pewna, że chociaż cenię pana bardzo wysoko, ceniłabym jeszcze wyżej, gdybyśmy poznali się lepiej. Ale nie jestem wcale pewna, czy pan by się nie rozczarował. Nie mówię tego przez fałszywą skromność, naprawdę tak myślę.

– Nie boję się tego ryzyka – odparł lord Warburton.

– Sam pan przyznał, że to ważna sprawa. I bardzo trudna.

– Nie spodziewam się oczywiście, że pani odpowie mi zaraz.

Proszę namyślać się tak długo, jak pani uzna za stosowne. Jeśli mogę na czekaniu coś zyskać, będę czekał cierpliwie. Ale niech pani pamięta, że od ostatecznej odpowiedzi zależy moje upragnione szczęście.



– Byłoby mi niezmiernie przykro, gdybym pana trzymała długo w niepewności.

– O, proszę nie mieć skrupułów. Wolę usłyszeć dobrą nowinę za kilka miesięcy niż złą dzisiaj.

– Bardzo jednak możliwe, że nawet za pół roku nie będę mogła odpowiedzieć panu tak, jak pan by sobie życzył.

– Dlaczego? Skoro pani mnie lubi naprawdę?

– O tym niech pan nigdy nie wątpi.

– Nie rozumiem, czego więcej pani żąda?

– Nie chodzi o to, czego żądam, ale co mogę nawzajem ofiarować. Nie sądzę, żebym była stosowną żoną dla pana. Mówię szczerze.

– Tym proszę się nie przejmować. Niech pani tę troskę mnie pozostawi. Nie trzeba być monarchistką gorliwszą od samego króla.

– To jeszcze nie wszystko – powiedziała Isabel. – Nie wiem, czy chciałabym w ogóle wyjść za mąż.

– Możliwe, że pani nie ma na to ochoty. Myślę, że wiele młodych kobiet z początku odnosi się niechętnie do małżeństwa – odparł Warburton; trzeba jednak wyjaśnić, że nie wierzył w teorię, którą stworzył sobie na pociechę, bo już był zaniepokojony. – Ale często później dają się przekonać – dodał.

– Ponieważ w rzeczywistości pragną, aby je przekonano! – zaśmiała się lekko Isabel.

Twarz jej wielbiciela przygasła; długą chwilę patrzył na pannę Archer w milczeniu.

– Pani zapewne waha się dlatego, że jestem Anglikiem – rzekł w końcu. – Wiem, że zdaniem pana Touchetta powinna pani wyjść za mąż w swoim kraju.

Isabel zainteresowała się tym argumentem. Nie przypuszczała, że starszy pan dyskutował o jej matrymonialnych szansach z lordem Warburtonem.

– Wuj panu to powiedział?

– Pamiętam, że coś takiego mówił, ale może miał na myśli Amerykanki w ogóle.

– Sam, jak się zdaje, z przyjemnością mieszka w Anglii! – Zdanie to zabrzmiało nieco przewrotnie, ale Isabel chciała w nim wyrazić jednocześnie swoją stanowczą ocenę warunków, w jakich żyje wuj, i swoją ogólną niechęć do ciasnoty poglądów.

Z rozbudzoną na nowo nadzieją Warburton zawołał żywo:

– Ach, droga pani, stara Anglia to naprawdę wspaniały kraj, a będzie jeszcze lepszy, jak go trochę odnowimy!

– Och, nie, niech pan jej nie odnawia, lepiej zostawić ją taką, jaka jest. Podoba mi się bardzo.

– Skoro ten kraj pani się podoba, tym trudniej mi zrozumieć pani zastrzeżenia wobec mojej prośby.

– Nie umiem panu tego wytłumaczyć.

– Niech pani jednak spróbuje. Jestem dość bystry. Może pani boi się... boi się klimatu? Moglibyśmy mieszkać gdzieś indziej. Proszę wybierać, cały świat ma pani do dyspozycji.

Powiedział to z zapalem szczerym jak uścisk mocnych ramion; zdawało jej się, że owiał ją zapach nieznanych ogrodów, podmuch wonnego powietrza. Dużo by dała za to, gdyby mogła odpowiedzieć impulsywnie: „Tak, nigdy nie znajdę nic cudowniejszego na tym wspaniałym świecie i z wdzięcznością powierzam swój los pana lojalności”. Mimo olśnienia blaskiem tej pięknej wizji umiała jednak wycofać się w najciemniejszą jej głąb, jak dzikie schwyte zwierzę w kąt wielkiej klatki. Schronienie, które jej ofiarowywał, chociaż świetne, nie było najwspanialszą przyszłością, jaką mogła sobie wyobrazić. Gdy wreszcie sformułowała odpowiedź, wyraziła w niej coś zupełnie innego: chęć odroczenia momentu, gdy będzie musiała ostatecznie rozstrzygnąć.

– Niech pan nie weźmie mi za złe, że poproszę, byśmy już dziś nie mówili więcej na ten temat.

– Oczywiście, oczywiście! – wykrzyknął. – Za nic nie chciałbym naprzykrzać się pani.

– Wszystko, co od pana usłyszałam, wymaga przemyślenia, i obiecuję, że rozważę sprawę, jak na to zasługuje.

– O to jedynie panią proszę... ale niech pani pamięta, że

wyłącznie od pani zależy całe moje szczęście.

Wysłuchała tych słów z głębokim szacunkiem, lecz po chwili powiedziała:

– Muszę panu wyjaśnić, że będę myślała właściwie tylko o tym, jak pana przekonać, że pańska propozycja nie jest możliwa do urzeczywistnienia... jak pana przekonać, nie zadając bólu.

– Nie ma takiego sposobu! Nie mówię, że pani zabije mnie swoją odmową, nie, nie umrę od tego. Ale życie straci dla mnie sens.

– Znajdzie pan żonę lepszą ode mnie.

– Proszę tak nie mówić. To dla nas obojga niesprawiedliwe.

– A więc znajdzie pan gorszą!

– Jeżeli nawet istnieją kobiety od pani lepsze, wolę tę gorszą. To wszystko, co mogę powiedzieć – odparł wciąż bardzo serio. – Wyboru serca nie da się uzasadnić.

Udzieliła jej się jego powaga i równie serio powtórzyła prośbę, by na razie skończyć z tym tematem.

– Sama do pana się odezwę, i to wkrótce. Może napiszę.

– Zostawiam to do pani uznania. Każdy dzień będzie mi się dłużył, ale muszę się z tym pogodzić.

– Nie będę pana trzymała w niepewności, chcę tylko trochę zebrać myśli.

Westchnął melancholijnie i chwilę stał z rękoma splecionymi za plecami, patrząc na nią, i nerwowym, urywanym gestem potrząsał szpicrutą.

– Wyznam, że bardzo się boję tego pani niepospolitego intelektu.

Biograf naszej heroiny nie umie wyjaśnić, dlaczego na te słowa wzdrygnęła się i zaczerwieniła gwałtownie. Przez chwilę patrzyła na lorda Warburtona, potem takim tonem, jak gdyby odwoływała się do jego litości, wykrzyknęła nieoczekiwanie:

– Ja także, proszę pana!

Nie zdołała jednak wzbudzić w nim współczucia; całą litość, na jaką było go stać, musiał skupić na własnej sytuacji.

– Niech pani będzie miłosierna! – szepnął.

– Myślę, że teraz powinniśmy się już rozstać – powiedziała Isabel. – Wkrótce dostanie pan ode mnie list.

– Cokolwiek pani w nim napisze, przyjadę tutaj – odparł.

Stał jeszcze chwilę w zamyśleniu, z oczyma skierowanymi na foksteriera, który obserwował uważnie tę scenę, jakby rozumiał wszystko, co mówili oboje, i zawstydzony popełnioną niedyskrecją udawał teraz, że interesują go wyłącznie korzenie starego dębu.

– Jeszcze coś – dodał lord Warburton. – Jeżeli pani nie podoba się Lockleigh, jeśli pani wydaje się, że tam jest wilgoć na przykład, nie musiałaby pani zbliżać się do tego miejsca.

Nawiasem mówiąc, nie ma tam wilgoci, kazałem ekspertom zbadać skrupulatnie ten dom i orzekli, że jest bezpieczny i suchy. Ale gdyby pani nie przypadł do gustu, nikt by pani nie namawiał do mieszkania w Lockleigh. Nie byłoby żadnych trudności, domów nie brak. Wspominam o tym, bo wiem, że nie wszyscy lubią fosy. A teraz już do widzenia!

– Uwielbiam fosy – odparła Isabel. – Do widzenia.

Podawała mu rękę, którą on przez chwilę zatrzymał i złożył na niej pocałunek, schylając kształtną głowę. Potem, starając się panować nad wzruszeniem i wciąż lekko wymachując szpicrutą, odszedł szybkim krokiem. Był niewątpliwie wstrząśnięty.

Isabel także była wstrząśnięta, ale nie tak, jak można by oczekiwać w tych okolicznościach. Nie czuła ciężaru odpowiedzialności, rozterki trudnego wyboru, bo zdawało jej się, że żadnego wyboru nie ma. Nie może wyjść za lorda Warburtona; takie małżeństwo nie sprzyjałoby swobodnej eksploracji życia, o jakiej zawsze marzyła i jakiej wciąż jeszcze pragnęła. Niepokoiło ją, to znaczy zdumiewało, coś innego, a mianowicie, że tak mało kosztowało ją odrzucenie tej wspaniałej szansy. Jakiegokolwiek można by wysunąć zastrzeżenia, możliwości ofiarowane przez lorda Warburtona były na pewno ogromne; sytuacja może miałaby pewne złe strony, może nie byłaby wolna od pewnych uciążliwych obowiązków, może w jakiś sposób ograniczałaby swobodę, może pociągnęłaby za sobą ogłupiającą błogą drętwość. Isabel jednak nie krzywdziła przedstawicielek swojej płci, sądząc, że na dwadzieścia

dziewiętnaście chętnie i bez żalu przystosowałyby się do wymagań tej pozycji w świecie. Dlaczego jej ta perspektywa nie pociągała tak nieodparcie? Kim jest, czym jest, że uważa się za istotę wyższą? Jakież widzi inne perspektywy, o jakie zamiary wobec swej osoby podejrzewa przeznaczenie, jak wyobraża sobie szczęście, jeśli te ogromne, bajeczne możliwości wydają jej się za małe? Jeśli je odtrąca, zobowiązuje się niejako dokonać czegoś wielkiego, osiągnąć coś wspanialszego niż to, czym wzgardziła. Biedna Isabel nie bez powodu musiała od czasu do czasu wyrzucać sobie skłonności do pychy i bardzo szczerze modliła się o ocalenie od jej niebezpieczeństw – wyobcowanie i samotność, na jakie człowieka skazuje pycha, przerażały ją niby złowroga pustynia. Jeśli to duma przeszkodziła jej przyjąć oświadczyzny lorda Warburtona, bardzo nie w porę pojawiła się ta *bêtise*. Lord Warburton naprawdę jej się podobał, uświadomiła to sobie jasno i wreszcie spróbowała uwierzyć, że to właśnie tkliwość i subtelna sympatia wpłynęły na jej decyzję. Za bardzo go lubi, żeby za niego wyjść za mąż – oto prawdziwy powód; instynkt przestrzegł ją, że w olśniewającej logice jego propozycji, w jego wyobrażeniu o ich wspólnym życiu tkwi jakiś błąd, błąd subtelny, którego nie mogła dokładnie zidentyfikować; narzucić człowiekowi, który tak wiele ofiarowuje, żonę skłoną do krytyki – to byłby postęp niegodziwy. Obiecała mu, że rozważy jego prośbę, a gdy odszedł, wróciła na tę samą ławkę, na której ją przedtem zastał, i pograżyła się w myślach; można by sądzić, że spełnia obietnicę, ale to były tylko złudne pozory. Zastanawiała się, czy nie jest zimną, oschłą pedantką, a kiedy w końcu wstała i ruszyła szybkim krokiem w stronę domu, drżała – jak wyznała przyjaciółce – z lęku przed samą sobą.

## ROZDZIAŁ XIII

Pod wpływem tego lęku – nie w poszukiwaniu rady, bo żadne rady nie były jej potrzebne – zdecydowała się powiedzieć wujowi, co zaszło tego dnia. Chciała się komuś zwierzyć, żeby poczuć się bardziej naturalna i ludzka, a wuj lepiej nadawał się do roli powiernika niż ciotka albo Henrietta; był oczywiście Ralph, ale musiałaby zadać sobie gwałt, żeby ten szczególny sekret wyjawić kuzynowi. Nazajutrz więc po śniadaniu postarała się o sposobność do rozmowy z wujem. Starszy pan nigdy przed południem nie opuszczał swoich apartamentów, ale chętnie przyjmował tam, jak mówił, „kumpli”. Isabel została zaliczona do określonego tym terminem grona wybrańców, do którego należeli oprócz Ralpha stały lekarz pana Touchetta, jego osobisty służący, a nawet panna Stackpole. Pani Touchett nie figurowała na tej liście; tym łatwiej było naszej bohaterce znaleźć chwilę, gdy mogła zostać z wujem sam na sam. Starszy pan siedział w skomplikowanym inwalidzkim fotelu przy otwartym oknie wychodzącym na zachód, skąd mógł widzieć park i rzekę, a obok niego na stoliku piętrzył się stos gazet i korespondencji; świeżo po pieczołowitych rannych zabiegach toaletowych, miał na gładko wygolonej, rozumnej twarzy wyraz dobrotliwego zainteresowania.

Isabel bez żadnych wstępów oznajmiła po prostu:

– Należy się wujowi, jak sądzę, informacja, że lord Warburton oświadczył mi się wczoraj. Może powinnam to powiedzieć cioci, ale wolałam zacząć od wuja.

Starszy pan nie zdradził zdziwienia, podziękował jej tylko za okazane zaufanie.

– Może zechcesz mi także powiedzieć, czy go przyjąłeś? – spytał.

– Nie dałam mu ostatecznej odpowiedzi, poprosiłam o trochę czasu do namysłu, bo wydawało mi się, że tak będzie delikatniej. Ale nie zamierzam przyjąć jego propozycji.

Pan Touchett pozostawił tę nowinę bez komentarzy; zachowaniem swoim dawał do zrozumienia, że sprawa interesuje go jako ewenement życia towarzyskiego, lecz nie ma prawa głosu w tej kwestii.

– Ano widzisz, mówiłem ci, że będziesz miała tutaj wielkie powodzenie. Amerykanki są wysoko cenione.

– Rzeczywiście bardzo wysoko – odparła Isabel – ale, choćbym miała narazić się na zarzut, że jestem niewdzięczna i mam w dodatku zły gust, nie mogę wyjść za lorda Warburtona.

– Stary człowiek nie może oczywiście rozstrzygać za młodą dziewczynę – powiedział pan Touchett – toteż cieszę się, że nie pytałaś mnie o zdanie, zanim sama powzięłaś decyzję. Muszę ci jednak powiedzieć – dodał z wolna i takim tonem, jakby chodziło o rzecz małej wagi – że wiedziałem już od trzech dni o tej sprawie.

– O uczuciu lorda Warburtona dla mnie?

– O jego poważnych zamiarach, jak się to mówi. Poinformował mnie bardzo miłym listem. Może chciałabyś ten list przeczytać?

– Nie, dziękuję, nie jestem go ciekawa. Ale cieszy mnie, że lord Warburton do wuja o tym napisał. Wypadalo tak zrobić, a on zawsze umie postąpić jak należy.

– Widzę, że go lubisz – stwierdził pan Touchett. – Nie wypieraj się, moja droga!

– Lubię go bardzo, chętnie się do tego przyznaję. Ale na razie w ogóle nie chcę wychodzić za mąż.

– Myślisz, że kiedyś spotkasz kogoś, kto ci się jeszcze bardziej spodoba. To zupełnie prawdopodobne – rzekł pan Touchett, jakby chciał okazać siostrzenicy życzliwość, ujmując niejako wagi jej decyzji i podsuwając optymistyczne uzasadnienie.

– Nie zależy mi na spotkaniu kogoś takiego. Lord Warburton podoba mi się dostatecznie! – Pozornie zmieniła nagle stanowisko, jak to robiła często, ku zaskoczeniu czy nawet oburzeniu partnerów dyskusji.

Pan Touchett jednak nie odpowiedział żadnym z tych uczuć.

– Niezwykle sympatyczny człowiek – powiedział tonem,

który można by nazwać zachęcającym. – Od dawna nie dostałem listu tak miłego jak ten sprzed trzech dni od niego. Pewnie dlatego czytałem ten list z taką przyjemnością, że odnosił się do ciebie, z wyjątkiem kilku zdań, w których lord Warburton pisał o sobie. Myślę, że powiedział ci to wszystko?

– Powiedziałyby mi niewątpliwie wszystko, gdybym go spytała – odparła Isabel.

– Ale nie byłaś ciekawa?

– Byłaby to czcza ciekawość, skoro postanowiłam odrzucić jego propozycję.

– Wydała ci się nie dość ponętna? – spytał pan Touchett.

Przez chwilę milczała.

– Chyba tak – wyznała wreszcie. – Ale nie wiem dlaczego.

– Na szczęście nie wymaga się od dam, żeby wyjaśniały powody – odparł pan Touchett. – Z pewnością można w tej perspektywie dostrzec wiele uroków. Ale nie rozumiem, czemu Anglicy chcą nas wywabiać z naszej ojczyzny. My słusznie namawiamy ich, żeby się do nas przynosili, ponieważ Ameryka ma wciąż jeszcze za mało ludności. A tutaj, jak wiadomo, jest i bez nas trochę ciasno! Oczywiście dla uroczych młodych dam wszędzie znajdzie się miejsce.

– Dla wuja znalazło się tutaj sporo miejsca! – powiedziała Isabel, obejmując spojrzeniem rozległą przestrzeń parku.

Pan Touchett uśmiechnął się chytrze, lecz z odrobiną zakłopotania.

– Zawsze jest miejsce dla człowieka, który może zapłacić. Czasem myślę, że cena była za wysoka. Może ty też będziesz musiała drogo zapłacić.

– Może – zgodziła się Isabel.

Uwaga wuja dostarczyła jej punktu oparcia pewniejszego niż te, które dotychczas znajdowała we własnych myślach, a łagodna przenikliwość, z jaką starszy pan potraktował jej dylemat, wydała się dowodem, że w grę wchodzi naturalne i zrozumiałe uczucia, a nie tylko zbyt wyrafinowany intelekt i wybujałe niejasne ambicje – ambicje sięgające poza wspańnię horyzonty ofiarowane przez



lorda Warburtona, ku jakimś celom nienazwanym i może wcale niechwalebny. Jakikolwiek wszakże nieuchwytny motyw kierowały postępowaniem Isabel w tym momencie jej życia, nie były to marzenia, choćby nieświadome, o związku z Casparem Goodwoodem; oparła się wyciągniętym mocnym i spokojnym ręką angielskiego wielbiciela, lecz nie znaczyło to, że jest bardziej skłonna ulec zaborczym planom adoratora z Bostonu. Po przeczytaniu listu Caspara osłoniła się przed wzruszeniem tarczą krytyki, bo miała mu za złe ten przyjazd do Anglii; jego wpływ na nią polegał częściowo na tym, że odbierał jej poczucie wolności. Miała przykre wrażenie, że zjawiając się przed nią, popycha ją w jakimś kierunku, przytłacza swoją obecnością. Narzucał się jej wyobraźni i czasem przyłapywała się na tym, że z lękiem myśli, czy Caspar Goodwood nie skrytykuje jakiegoś jej postępu; z niczyją opinią nie liczyła się do tego stopnia, ale często zastanawiała się, jak on ją osądzi. Trudność polegała na tym, że bardziej niż biedny lord Warburton (zaczęła już obdarzać jego lordowską mość tym epitetem) Goodwood był dla niej uosobieniem woli, której siłę już poznała i która wydawała się nieodłączną częścią jego charakteru. Nie zawdzięczał tej energii przywilejom swej pozycji, lecz duchowi, który wyzierał z jego jasnych, błyszczących oczu niby niestrudzony wartownik z okna. Czy się to pannie Archer podobało, czy nie, narzucał jej swoją wolę samym swoim ciężarem i swoją siłą; wyczuwała to nawet w najzwyczajniejszych towarzyskich spotkaniach. Myśl o ograniczeniu wolności była dla niej tym bardziej przykra teraz, gdy nadała bardzo osobisty akcent swojej niezależności: trzeźwo oceniała podsuniętą przez lorda Warburtona przynętę i mimo wszystko umiała ją odtrącić. Niekiedy myślała, że Goodwood jest narzędziem jej przeznaczenia i najbardziej upartym faktem w jej życiu; w takich chwilach mówiła sobie, że jeśli nawet zdoła mu się wymknąć na jakiś czas, w końcu będzie musiała zawrzeć z nim pakt, którego warunki z pewnością jemu zapewnią większe korzyści. Instynktownie pragnęła uzbroić się w jakiś oręż, który by pomógł jej uchylić się od takich zobowiązań; ten wzgląd w dużym

stopniu przyczynił się do zapału, z jakim przyjęła zaproszenie pani Touchett; ciotka zjawiała się właśnie w momencie, gdy Isabel spodziewała się wizyty pana Goodwooda i z góry wiedziała, co od niego usłyszy, ucieszyła się więc, że będzie miała gotową odpowiedź. Kiedy tego samego dnia wieczorem po odejściu pani Touchett powiedziała mu, że nie jest zdolna do rozmowy o ważnych i trudnych sprawach, oszołomiona wspaniałą nieoczekiwaną perspektywą podróży do Europy, Caspar Goodwood odparł, że nie może uznać jej słów za odpowiedź; teraz doścignął Isabel za oceanem, żeby się o nią upomnieć; młodej dziewczynie obdarzonej bujną wyobraźnią wystarczało, że przedstawiała go sobie jako wysłannika posępnego losu, aby prawie wszystko w jego osobie wydawało się naturalne. Czytelnikowi jednak należą się dokładniejsze o nim informacje.

Goodwood był synem właściciela znanej w Massachusetts przędzalni bawełny, który dorobił się na tym przemyśle znacznego majątku. Obecnie fabryką kierował Caspar, a czynił to tak mądrze i energicznie, że interesy rozwijały się coraz pomyślniej mimo ostrej konkurencji i okresu zastoju gospodarczego. Kształcił się głównie na Uniwersytecie Harvarda, gdzie jednak zbierał laury raczej za wyczyny w lekkiej atletyce i wioślarstwie niż na niwie naukowej. Później zrozumiał, że wyćwiczona inteligencja także zdolna jest do skoków, podnoszenia ciężarów i wyciskania, a nawet bicia rekordów i osiągnięcia wyjątkowych sukcesów. Odkrył w sobie bystrość wzroku przenikającą tajemnice mechaniki i wynalazł udoskonaloną metodę przędzenia bawełny, rozpowszechnioną potem i nazwaną od jego nazwiska; spotykało się je często w gazetach skojarzone z usprawnioną maszyną. Na dowód pokazał panie Archer długi artykuł w nowojorskim „Interviewerze” sławiący wynalazek Goodwooda; artykuł ten nie wyszedł spod pióra panny Stackpole, chociaż młoda dziennikarka nie tała, że sprzyja uczuciom dzielnego przemysłowca dla swojej przyjaciółki. Goodwood czuł się w swoim żywiole wśród spraw zawiłych i szorstkich; lubił organizować, zarządzać, współzawodniczyć, umiał naginać do swojej woli ludzi, którzy chętnie w niego

wierzyli, maszerowali pod jego komendą i usprawiedliwiali jego wiarę w siebie. Posiadł, jak mówiono, sztukę rządzenia ludźmi, sztukę – jeśli o niego chodzi – opartą na głębszej, śmiałej, lecz jeszcze utajonej ambicji. Ci, co go lepiej znali, twierdzili, że mógłby podjąć zadania większe niż kierowanie przędzalnią bawełny; nie było w nim nic z miękkości bawełnianego puchu, a przyjaciele nie wątpili, że Goodwood kiedyś zapisze się w jakiejś kronice wielkimi literami. Ale zdawało się, że porwać go musiałaby jakaś idea wielka i zawikłana, posępna i złowieszcza. Nie był w gruncie rzeczy stworzony do wygodnego spokoju, do chciwej pogoni za zyskiem, do systemu, w którym wszechobecna reklama jest nieodzowna do życia jak powietrze. Isabel chętnie wyobrażała go sobie na koniu, w galopie, mknącego prosto w wir jakiejś straszliwej bitwy – na przykład takiej jak wojna domowa, której cień padł na jej dzieciństwo i na jego lata chłopięce.

W każdym razie pannie Archer podobało się, że Caspar Goodwood jest urodzonym przywódcą; wołała w nim tę cechę charakteru od kilku innych, a także od pewnych szczegółów jego powierzchowności. Nie interesowała jej przędzalnia, a patent Goodwooda nie przemawiał do jej wyobraźni. Nie chciałyby, żeby stracił choćby odrobinę męskości, ale czasem myślała, że byłby miłszy, gdyby wyglądał trochę inaczej. Szczękę miał nieco zanadto kanciastą i twardą, trzymał się zbyt prosto i sztywno; nasuwało to podejrzenie, że nie umie się łatwo dostroić do głębszego rytmu życia. Zastrzeżenia budził też w Isabel jego sposób ubierania się, zanadto monotony; nie nosił oczywiście wciąż tych samych rzeczy, przeciwnie, ubrania Caspara wydawały się aż zbyt nowe, ale wszystkie jak gdyby uszyte z tej samej sztuki materiału i podobnie skrojone, okropnie banalne. Isabel nieraz wypominała sobie małostkowość tego zarzutu wobec człowieka tej miary co Caspar; znalazła jednak usprawiedliwienie: zarzut można by uznać za zbyt błahy, gdyby kochała się w Goodwoodzie. Skoro nie jest w nim zakochana, ma prawo krytykować zarówno drobne, jak i wielkie jego wady; te wielkie określała ogólnikowo jako zbytnią powagę, a raczej – bo przecież powagi nigdy nie za dużo –

myślała, że Goodwood zanadto ją manifestuje. Zbyt bezpośrednio i otwarcie okazywał swoje apetyty i zamiary; w cztery oczy z nią za dużo mówił na ten sam wciąż temat, a w większym towarzystwie za mało mówił na wszelkie inne tematy. Był jednak wyjątkowo silny i prostolinijny, a to przecież bardzo ważne; wydawało jej się, że różne elementy są w nim tak dokładnie do siebie dopasowane i spojone ze sobą jak części rycerskich zbroi ze stalowej, złotem inkrustowanej blachy, które widywała w muzeach i na starych portretach. Dziwna rzecz... czy istnieje jakaś namacalna więź pomiędzy wrażeniem, jakie na niej robi dany człowiek, a jej decyzjami? Caspar Goodwood nigdy nie odpowiadał jej wyobrażeniu o czarującym mężczyźnie, myślała więc, że dlatego ocenia go tak krytycznie. Ale lord Warburton nie tylko spełniał warunki, jakie stawiała temu ideałowi, lecz wzbogacał jego obraz dodatkowymi przymiotami budzącymi jej podziw, i mimo to nie mógł jej w pełni zadowolić. Doprawdy dziwne!

Poczucie własnej niekonsekwencji nie ułatwiało zredagowania odpowiedzi na list pana Goodwooda, toteż Isabel zdecydowała się odłożyć to na później. Skoro odważył się ją ścigać, musi ponosić przykre skutki swojej natarczywości; przede wszystkim trzeba dać mu do zrozumienia, że panny Archer nie zachwyca perspektywa jego wizyty w Gardencourt. Jest tutaj wystawiona już i tak na ataki jednego wielbiciela, a chociaż przyjemnie było wiedzieć, że znajduje równe uznanie na obu półkulach, wydawało się niedelikatnością prowadzenie gry jednocześnie z dwoma namiętnymi zalotnikami, nawet jeśli obu postanowiła odprawić z niczym. Nie odpowiedziała więc wcale panu Goodwoodowi, lecz po trzech dniach napisała do lorda Warburtona, a list ten stanowi dokument w naszej historii:

*Szanowny Panie!*

*Wiele i bardzo poważnie myślałam o propozycji, którą Pan zaszczyił mnie przed paru dniami, ale nie zmieniłam zdania. Doprawdy, szczerze i uczciwie, nie potrafię w Panu widzieć*

*towarzysza swojego życia ani też w Pana domu – czy domach – stałego miejsca dla siebie na resztę moich dni. Nie da się tych spraw wytłumaczyć żadnymi rozsądnymi racjami, bardzo więc Pana proszę: nie wracajmy do tego tematu, który już przedyskutowaliśmy tak wyczerpująco. Każdy patrzy na swoje życie z własnego punktu widzenia: to prawo przysługuje nawet najskromniejszym i najsłabszym istotom, a ja nigdy nie będę mogła wyobrazić sobie swojego losu w tej postaci, jaką Pan mi ofiarowuje. Bardzo proszę, niech Pan zadowolony się tymi argumentami i nie krzywdzi mnie przypuszczeniem, że nie dość głęboko zastanawiałam się nad Pańską propozycją i nie poświęciłam jej tyle szacunku i uwagi, na ile zasługuje. Ten głęboki szacunek i najszczerzą przyjaźń zachowa dla Pana zawsze*

*Isabel Archer*

Gdy autorka tego listu po długim namyśle zdecydowała się go wysłać do Lockleigh, Henrietta Stackpole wprowadzała w czyn inną decyzję, którą powzięła bez wielkich skrępowań. Zaprosiła Ralpha na wspólny spacer po parku, a gdy spełnił jej życzenie ze skwapliwością, mającą niejako świadczyć o jego wciąż niewygasłych nadziejach, powiedziała, że chce prosić go o wielką przysługę. Trzeba przyznać, że usłyszawszy te słowa, Ralph wzdrygnął się, ponieważ, jak wiadomo, uważał pannę Stackpole za osobę zdolną wykorzystywać dość bezwzględnie swoją przewagę. Był to jednak lęk tylko instynktowny, bo Ralph, chociaż jasno rozpoznał szeroki zasięg jej niedyskrecji, nie wiedział nic o jej przepastnej głębi i bardzo grzecznie odpowiedział, że jest zawsze do usług pięknej damy. Bał się jej i przyznał się do tego:

– Kiedy pani patrzy na mnie w pewien sposób, kolana mi się trzęsą, a myśli mącą w głowie. Cały drżę i modłę się o siły, żebym mógł spełnić pani rozkazy. Nie spotkałem w życiu kobiety o takim jak pani sposobie bycia.

– Gdybym nie wiedziała już od dawna, że pan lubi mnie

peszyć, przekonałabym się o tym teraz – powiedziała bynajmniej tym nieurazona Henrietta. – Oczywiście jestem łatwą ofiarą, wychowałam się w zupełnie innych obyczajach i poglądach. Nie mogę oswoić się z dowolnością waszych norm i nigdy w Ameryce nikt nie rozmawiał ze mną takim językiem jak pan. Gdyby Amerykanin powiedział mi coś takiego, nie wiedziałabym, jak interpretować te słowa. My tam, za oceanem, bardziej naturalnie traktujemy wiele spraw, no i o wiele prościej. Przyznaję, sama też jestem pełna prostoty. Jeśli panu podoba się wyśmiewać mnie z tego powodu, proszę bardzo, nie obrażam się, ale w gruncie rzeczy wolę być taka, jaka jestem, niż taka jak pan. Cieszę się, że jestem sobą, nie pragnę się zmienić. Mnóstwo ludzi ceni mnie taką, jaką jestem. Co prawda są to sympatyczni, wolno urodzeni Amerykanie! – Henrietta ostatnio zaczęła uderzać w ton uciśnionej niewinności i istoty gotowej do wielkich ustępstw. – Chcę prosić, żeby mi pan pomógł – ciągnęła dalej. – Jeśli przy tej okazji zabawi się pan moim kosztem, nie mam nic przeciwko temu, a nawet będę się cieszyła, bo to będzie jakby nagroda za przysługę. Chciałabym, żeby mi pan pomógł w sprawie Isabel.

– Czy Isabel zrobiła pani jakąś przykrość? – spytał Ralph.

– Gdyby o to chodziło, nie przejmowałabym się i na pewno nie poskarżyłabym się panu. Obawiam się czegoś gorszego: że Isabel sama sobie wyrządzi szkodę.

– Tak, to bardzo możliwe – stwierdził Ralph.

Panna Stackpole przystanęła na ścieżce, wbijając w jego twarz jedno z tych spojrzeń, które go tak przerażały.

– Pana zapewne to także by ubawiło! Jakim tonem pan o tym mówi! Nigdy w życiu nie spotkałam podobnej obojętności!

– Wobec Isabel? Nigdy w świecie! – wykrzyknął Ralph.

– No, mam nadzieję, że się pan w niej nie kocha?

– Jakżebym mógł, skoro kocham się w innej?

– Ta inna to pan sam, pan jest w sobie zakochany – powiedziała panna Stackpole. – I cóż panu z tego przyjdzie? Jeżeli zechce pan raz w życiu być poważny, daję panu w tej chwili szansę, a jeżeli pan naprawdę dobrze życzy swojej kuzynce, ma

pan sposobność udowodnić to. Nie spodziewam się, że pan ją zrozumie, to byłoby zbyt wielkie wymaganie. Ale nie rozumiejąc, może pan oddać mi cenną przysługę. Niezbędnych wyjaśnień ja panu dostarczę.

– Cieszę się szalenie! – wykrzyknął Ralph. – Będę Kalibanem, a pani – Arielem.

– Nie przypomina pan Kalibana, on nie był sofistą. Ale nie mówmy o tworach imaginacji, chodzi o Isabel, postać jak najbardziej rzeczywistą. Muszę panu powiedzieć, że ona się, moim zdaniem, okropnie zmieniła.

– Od dnia pani przyjazdu?

– W tym czasie i przedtem. Nie jest tą cudowną istotą, którą od lat znałam.

– I którą była w Ameryce?

– Tak, w Ameryce. Panu przecież wiadomo, że stamtąd przyjechała. Czy jej się to podoba, czy nie, to fakt.

– Pani chciałaby ją odmienić z powrotem?

– Oczywiście, i chciałabym, żeby mi pan w tym dopomógł.

– Ach! – westchnął Ralph. – Jestem tylko Kalibanem, a nie Prosperem.

– Miał pan dość talentów Prospera, żeby z niej zrobić to, czym się teraz stała. Pan wywierał na nią silny wpływ od pierwszej chwili, kiedy się tutaj zjawiała.

– Droga pani! Nic podobnego! Isabel Archer wywiera wpływ na mnie i na wszystkich dokoła. Ale ja zachowywałem się zupełnie biernie.

– Może więc zawinił pan właśnie biernością. Niech się pan otrząśnie i otworzy oczy. Isabel zmienia się z każdym dniem, daje się unosić prądowi dalej od brzegu, na pełne morze. Obserwuję ją i widzę to. To już nie jest ta bystra amerykańska dziewczyna, jaką znałam. Nasiąka innymi poglądami, głosi inne hasła, odwraca się od własnych dawnych ideałów. Chcę ocalić te ideały, i tu się zaczyna pańska rola.

– Czyżbym miał wystąpić w roli ideału?

– Broń Boże! – wykrzyknęła Henrietta. – Drzę ze strachu, że

Isabel wyjdzie za któregoś z tych okropnych Europejczyków. Muszę temu zapobiec.

– Rozumiem! – zawołał Ralph. – Żeby temu nieszczęściu zapobiec, chciałaby pani, żebym ja się z nią ożenił?

– Nie, lekarstwo byłoby nie lepsze od choroby. Pan reprezentuje właśnie ten okropny typ Europejczyka, od którego chcę ją ustrzec. Nie. Pragnę zainteresować pana kimś innym, pewnym młodym człowiekiem, któremu Isabel dawniej okazywała wyraźną przychylność, a który teraz wydaje się jej już niegodny względów. To jest wspaniały człowiek i mój serdeczny przyjaciel. Bardzo by mnie pan zobowiązał, zapraszając go tutaj, do Gardencourt.

Prośba ta mocno zaintrygowała Ralpha; niezbyt dobrze świadczy zapewne o czystości jego myśli, że w pierwszej chwili nie wydała mu się naturalna i jednoznaczna. Dopatrywał się w niej podstęp, ukrytej innej intencji; błąd Ralpha polegał na tym, że nieco wątpił, czy istnieją w świecie działania tak bezinteresowne jak plan wyjawiony mu przez pannę Stackpole. Młoda kobieta domagała się, żeby mężczyźnie, którego nazwała swoim serdecznym przyjacielem, ułatwić podbój serca innej młodej kobiety, która przestała się interesować dawnym wielbicielem i która miała znacznie więcej uroku niż przyjaciółka. To zdawało się tak niezwykle, że Ralph na razie daremnie wysiłał inteligencję, aby znaleźć wyjaśnienie zagadki. Łatwiej mu było czytać między wierszami, niż po prostu przyjąć dosłownie tekst, a podejrzenie, że panna Stackpole pragnie ściągnąć owego młodego człowieka do Gardencourt we własnym interesie, było wytworem nie tyle przyziemnej, ile zbitej z tropu wyobraźni. Jednakże nawet od tak powszedniego grzechu Ralph został ocalony, i to przez tajemniczą siłę, której nie umiem nazwać inaczej niż natchnieniem. Nie otrzymał żadnych nowych informacji o tej sprawie, a jednak nagle przeniknęła go pewność, że skrzywdziłyby korespondentkę „Interviewera”, przypisując jakiemukolwiek jej uczynkowi niezbyt szlachetne motywy. Pewność ta olśniła go jak błyskawica; prawdopodobnie źródłem jej była szczerłość promieniująca z



niewzruszonego spojrzenia młodej Amerykanki. Przez chwilę rozważał już świadomie jej prośbę, walcząc z chęcią zmrużenia oczu, z odruchem tak naturalnym, gdy znajdziemy się w blasku jakiegoś potężnego światła.

– O kim pani mówi? – spytał.

– O panu Casparze Goodwoodzie z Bostonu. Był bardzo poważnie zajęty pańską kuzynką. Przyjechał za nią do Anglii i jest teraz w Londynie. Nie znam jego adresu, ale łatwo mogę się dowiedzieć.

– Nic o nim nie słyszałem – stwierdził Ralph.

– No cóż, nie mógł pan słyszeć o wszystkich. Pan Goodwood zapewne nic nie słyszał o panu. To nie powód, żeby Isabel nie miała wyjść za niego.

Cichy śmiech Ralpha zabrzmiał trochę dwuznacznie.

– Pani ma istną manię swatania ludzi! Przed kilku dniami mnie pani namawiała do ożenku, pamięta pani?

– Co do pana – skapitulowałam. Pan nie traktuje tych spraw jak należy. Co innego Goodwood! Dlatego właśnie go lubię. To wspaniały człowiek i dżentelmen bez skazy, Isabel dobrze o tym wie.

– Czy ma dla niego wielką sympatię?

– Nie wiem, ale powinna mieć. On po prostu świata za nią nie widzi!

– I pani chce, żebym go zaprosił do Gardencourt? – w zamyśleniu spytał Ralph.

– Okazałby pan w ten sposób prawdziwą gościnność.

– Caspar Goodwood – powiedział Ralph. – To brzmi oryginalnie.

– Mniejsza o nazwisko. Mógłby się nazywać Ezekiel Jenkins i nie zmieniałbym mojej opinii o nim. To jedyny mężczyzna godny zostać mężem Isabel, drugiego w każdym razie dotychczas nie spotkałam.

– Pani jest bardzo lojalną przyjaciółką – stwierdził Ralph.

– Oczywiście! Jeśli pan mówi to, żeby mnie zmiażdżyć pogardą, trudno, nie będę płakała.

– Nie zamierzam pani miażdżyć pogardą, podziwiam panią.  
– Jest pan bardziej jeszcze niż zwykle sarkastyczny. Ale nie radzę kpić z pana Goodwooda.  
– Zapewniam panią, że mówię poważnie, dziwię się, że pani tego nie wyczuwa – odparł Ralph.  
Wyczuła to rzeczywiście.  
– Wierzę panu, ale stał się pan z kolei zanadto poważny.  
– Trudno panią zadowolić!  
– O, tak, jest pan bardzo poważny. Nie chce pan zaprosić pana Goodwooda.  
– Sam nie wiem – odparł Ralph. – Bywam zdolny do różnych dziwnych wybryków. Proszę mi powiedzieć coś więcej o tym panu. Co to za człowiek?  
– Zupełne przeciwieństwo pana. Kieruje przedsiębiorstwem świetnie prosperującym.  
– Czy jest miły w towarzystwie?  
– Ma doskonałe maniery... w amerykańskim stylu.  
– Czy byłby miłym nabytkiem dla naszego małego kółka?  
– Przypuszczam, że nic by go nie obchodziło nasze małe kółko. Całą uwagę poświęciłby pańskiej kuzynce.  
– A czy Isabel cieszyłaby się z tego?  
– Zapewne nie. Ale wyszłoby jej to na zdrowie. Ściągnęłoby jej myśli z powrotem.  
– Ściągnęłoby? Skąd?  
– Z obcych krajów i niewłaściwych sfer. Przed trzema miesiącami Isabel dała panu Goodwoodowi prawo do nadziei, że jego oświadczenia będą życzliwie przyjęte, a dziewczyna z jej charakterem nie zrywa z dawnymi, prawdziwymi przyjaciółmi tylko dlatego, że znalazła się w innym otoczeniu. Ja też znalazłam się w nowym otoczeniu, ale wywarło to na mnie jedynie taki wpływ, że bardziej niż przedtem doceniam swoje rodzime środowisko. Jestem głęboko przekonana, że im prędzej Isabel stanie się znów taka, jaką zawsze dawniej była, tym dla niej lepiej. Znam ją dobrze i wiem, że nigdy tutaj nie będzie w pełni szczęśliwa, toteż życzę jej, żeby jakaś silna więź z Ameryką

ustrzegła ją od tego losu.

– Czy pani nie zanadto się spieszy? – spytał Ralph. – Czy nie sądzi pani, że trzeba jej zostawić trochę czasu na poznanie biednej starej Anglii?

– I dać jej szansę zmarnowania młodego, świetnie zapowiadającego się życia? Nigdy nie dość pośpiechu, gdy chodzi o ratowanie cennej ludzkiej istoty, która tonie!

– Jeśli dobrze rozumiem – rzekł Ralph – pani chce, żebym zepchnął pana Goodwooda za burtę w ślad za nią. Czy pani wie – dodał – że nigdy z jej ust nie słyszałem jego nazwiska?

Henrietta uśmiechnęła się promiennie.

– Bardzo się z tego cieszę! To dowód, że wiele o nim myśli.

Ralph, jak się zdawało, przyznał trochę słuszności temu rozumowaniu i milczał, pogrążony w myślach, a panna Stackpole wpatrywała się w niego pytającym wzrokiem.

– Jeśli zaproszę pana Goodwooda – odpowiedział wreszcie – to po to, żeby się z nim sprzeczać.

– Niech pan tego nie ryzykuje, z nim przegrałby pan każdy spór.

– Doprawdy, pani robi, co może, żeby mi go obrzydzić! Nie, chyba go nie zaproszę. Boję się, że byłbym dla tego gościa niegrzeczny.

– Ano trudno – powiedziała Henrietta. – Nie wiedziałam, że pan jest także w niej zakochany.

– Pani naprawdę tak myśli? – spytał, podnosząc brwi.

– Po raz pierwszy odezwał się pan tonem naturalnym.

Oczywiście, że myślę to, co powiedziałam – odparła chytrze panna Stackpole.

– A więc dowiodę, że się pani myli. Zaproszę go! Rozumie się, jako pani przyjaciela.

– Ale pan Goodwood nie dla mnie tu przyjedzie. A pan nie mnie, lecz sobie chce udowodnić, że ja się mylę.

Te ostatnie słowa panny Stackpole (na których skończyła się rozmowa) zawierały trochę prawdy i Ralph musiał to w duchu przyznać; ostrze tej prawdy tak jednak było przytępione, że Ralph

– chociaż przypuszczał, że dotrzymując obietnicy, bardziej się skompromituje, niż gdyby ją złamał – napisał do pana Goodwooda, oznajmiając w kilku linijkach, że starszy pan Touchett chętnie powitałby w Gardencourt amerykańskiego gościa w gronie bawiących tam osób, do których należy tak przez wszystkich ceniona panna Stackpole. Wysłał list, zgodnie z radą Henrietty, do wskazanego przez nią banku i nie bez napięcia czekał na odpowiedź. Po raz pierwszy z ust panny Stackpole usłyszał nazwisko tego groźnego człowieka; pani Touchett wprowadziła zaraz po przyjeździe wspomniała synowi, że Isabel podobno zostawiła w kraju jakiegoś wielbiciela, ale było to określenie niezbyt konkretne, a Ralph wolał nie trudzić się stawianiem pytań, na które mógłby dostać tylko niejasne i może niemiłe odpowiedzi. Teraz amerykański wielbiciel kuzynki objawił się w realnym kształcie człowieka, który przybył w ślad za nią do Londynu, prowadził przędzalnię bawełny i miał doskonałe maniere w stylu amerykańskim. Ralph ukuł sobie na temat tego intruza dwie hipotezy: albo jego miłość jest wytworem sentymentalnej wyobraźni panny Stackpole (między kobietami istnieje milczące porozumienie, oparte na solidarności płci, na mocy którego jedna dla drugiej wynajduje czy też zmyśla adoratorów), a w takim razie Caspar Goodwood nie jest niebezpieczny i prawdopodobnie zaproszenia nie przyjmie; albo też przyjedzie i okaże się człowiekiem tak nierozsądnym, że nie będzie warto dłużej nim się interesować. Ta alternatywa rozważana przez Ralpa może się wydać nielogiczna, ale polegała na przeświadczeniu, że pan Goodwood – jeśli naprawdę tak poważnie, jak twierdzi panna Stackpole, kocha Isabel – nie zechce stawić się w Gardencourt na wezwanie inspirowane nie przez pannę Archer, lecz przez jej przyjaciółkę. „Jeśli przyjąć tę drugą – myślał Ralph – musi uważać pannę Stackpole za kolec na łodydze swojej róży, a jej pośrednictwo za brak taktu”. W dwa dni po wysłaniu zaproszenia dostał bardzo krótką odpowiedź; Caspar Goodwood dziękował i ubolewał, że inne zobowiązania nie pozwalają mu złożyć wizyty w Gardencourt. Załączył wyrazy szacunku dla panny Stackpole.

Ralph pokazał jej list pana Goodwooda, a Henrietta, przeczytawszy go, wykrzyknęła:

– W życiu nie widziałam bardziej oschłej odpowiedzi!  
– Obawiam się, że nie zależy mu na mojej kuzynce tak bardzo, jak się pani zdawało – rzekł Ralph.

– Nie, musi być inna, bardziej subtelna przyczyna. To człowiek skryty. Ale ja przeniknę jego sekrety, napiszę do niego i dowiem się, dlaczego odmówił.

Fakt, że pan Goodwood odrzucił jego propozycję, zbił Ralpha z tropu. Nieznajomy Amerykanin, odkąd odmówił przyjazdu do Gardencourt, nabrał w jego oczach większego znaczenia. Ralph zadawał sobie pytanie, dlaczego obchodzi go, czy wielbiciele kuzynki są desperatami, czy fajtłapami; nie mógł ich przecież uważać za swoich rywali, nie powinno go interesować, jaką stosują taktykę. A jednak z wielką ciekawością czekał na wynik śledztwa, które panna Stackpole obiecywała przeprowadzić, by wyjaśnić motywy oschłości pana Goodwooda; ciekawość ta nie została zaspokojona, a gdy w trzy dni później spytał Henriette, czy napisała do Londynu, wyznała, że zrobiła to bez rezultatu: pan Goodwood nie odpowiedział na jej list.

– Przypuszczam, że chce się namyślić – mówiła. – Pan Goodwood niczego nie robi bez namysłu. Nie jest w gruncie rzeczy porywczy. Ale zwykle ludzie odpowiadają mi na listy tego samego dnia.

W każdym razie panna Stackpole zaproponowała wówczas przyjaciółce wspólną wycieczkę do Londynu.

– Szczerze mówiąc – powiedziała – tutaj niewiele zobaczyłam, a ty, jak myślę, także. Nie widziałam nawet tego twojego arystokraty... jak mu tam?... lorda Warburtona. Coś mi się zdaje, że on cię mocno zaniedbuje.

– Lord Warburton przyjedzie tu jutro – odparła Isabel, która w odpowiedzi na swój list dostała bilecik od pana na Lockleigh. – Będziesz miała sposobność przejrzeć go na wylot.

– Lord wystarczy może na jedną korespondencję, ale cóż mi po tym, jeśli muszę napisać pół setki artykułów. Odmalowałam już

wszystkie okoliczne pejzaże, entuzjasmowałam się urokiem starych wieśniaczek i osiołków. Mów, co chcesz, moim zdaniem opisy przyrody nie są dobrym tematem dla dziennikarza. Muszę wrócić do Londynu, tam można podpatrzeć trochę prawdziwego życia. Spędziłam w Londynie zaledwie trzy dni przed przyjazdem do Gardencourt, a to za krótki czas, żeby nawiązać jakieś kontakty.

Isabel w drodze z Nowego Jorku do Gardencourt jeszcze krócej zatrzymała się w stolicy Wielkiej Brytanii, toteż z radością przyjęła projekt Henrietty, żeby wybrały się we dwie do tego miasta. Pomysł zachwycił pannę Archer, ciekawą wszelkich tajemnic Londynu, który od dawna fascynował jej wyobraźnię ogromem i bogactwem. Dwie przyjaciółki snuły więc z zapałem plany i obiecywały sobie mnóstwo romantycznych wrażeń. Zamieszkają w jakiejś starej malowniczej gospodzie – jednej z tych, które znały z powieści Dickensa – będą jeździły po mieście uroczymi londyńskimi dorożkami. Henrietta była dziennikarką, a zawód ten pozwala kobiecie docierać wszędzie i robić, co zechce. Będą jadały obiady w restauracjach i chodziły do teatrów, zwiedzą opactwo westminsterskie i Muzeum Brytyjskie, odnajdą domy, w których mieszkali doktor Johnson, Goldsmith i Addison. Isabel, zapaliwszy się do tych projektów, zwierzyła te cudowne marzenia Ralphowi, spodziewając się, że kuzyn podzieli jej entuzjazm, ale Ralph wybuchnął śmiechem, który wyrażał zupełnie inne uczucia.

– Cudowny pomysł! – wykrzyknął. – Radzę wam nie omijać wesołego staroświeckiego lokalu Duke's Head w Covent Garden i dam wam list polecający do mojego klubu.

– Uważasz, że to nie wypada? – spytała Isabel. – Co w końcu wypada w tym kraju? Z pewnością pod opieką Henrietty mogę wszędzie chodzić, ona nie uznaje takich ograniczeń. Podróżowała po całym amerykańskim kontynencie, tym bardziej nie zabłądzi na tej małej wyspie.

– Pozwól więc, że skorzystam także z jej opieki i pojedę razem z wami – odparł Ralph. – Może nigdy już po raz drugi nie trafi mi się okazja równie bezpiecznej podróży.



## ROZDZIAŁ XIV

Panna Stackpole chciała natychmiast wyruszyć do stolicy, lecz Isabel, której, jak już wiemy, lord Warburton zapowiedział swoją wizytę, uznała, że powinna poczekać i nie uchylać się od rozmowy z nim. Przez kilka dni nie odpowiadał na jej list, wreszcie napisał bardzo zwięźle, że przyjedzie do Gardencourt na lunch za dwa dni. Ten brak pośpiechu i odroczenie wizyty wzruszyły pannę Archer jako dowód, że lord Warburton pragnie okazać się delikatny i cierpliwy, nie chce nalegać zbyt brutalnie; delikatność ta wzruszyła ją tym bardziej, że nie wątpiła o szczerym uczuciu, jakie dla niej żywił. Powiedziała wujowi, że pisała do lorda Warburtona, i uprzedziła o jego wizycie; starszy pan w oznaczonym dniu wcześniej niż zwykle opuścił swoje apartamenty, żeby o drugiej po południu zasiąść wraz z całym towarzystwem do stołu. Nie powodowała nim przezorność, lecz życzliwe przeświadczenie, że jego obecność może ułatwić sytuację, gdyby Isabel zechciała znaleźć się sam na sam z arystokratycznym gościem i raz jeszcze wysłuchać jego argumentów. Lord Warburton przyjechał i przywiózł ze sobą starszą z sióstr, kierując się prawdopodobnie tymi samymi co pan Touchett intencjami. Dwoje gości przedstawiono przy tej okazji pannie Stackpole, której przy stole wypadło siedzieć obok Warburtona. Isabel, zdenerwowana i zakłopotana perspektywą wznowienia dyskusji, tak nie w porę przez jej wielbiciela rozpoczętej, musiała jednak podziwiać jego sposób bycia i opanowania, doskonale maskujące emocje, jakie niewątpliwie przeżywał, spotykając ją znowu w tych okolicznościach. Nie patrzył na nią i nie odzywał się do niej, jedynym przejawem wzruszenia było chyba tylko to, że unikał skrzyżowania z nią spojrzeń. Z innymi osobami rozmawiał żywo, jadł z apetytem; lunch, jak się zdawało, smakował mu. Panna Molyneux, która wyglądała trochę jak mniszka, z gładko szczesanymi z czoła włosami i dużym srebrnym krzyżykiem na



szy, była zafascynowana osobą panny Stackpole; niemal nie odrywała od niej oczu, wyrażających wahanie między głęboką niechęcią a nieco zazdrosnym podziwem. Z dwóch sióstr Warburtona ta bardziej podobała się pannie Archer; był w niej jakiś odziedziczony po wielu pokoleniach niezmacony spokój. Isabel przypuszczała, że odsłonięte pogodne czoło panny Molyneux i srebrny krzyżyk na jej piersi mają związek z jakąś osobliwą anglikańską tradycją, może z wskrzeszoną dziwną i uroczą regułą panien kanoniczek. Zastanawiała się, co myślałaby panna Molyneux, gdyby wiedziała, że odmówiła ręki jej bratu; była jednak pewna, że lord Warburton nie zwierzał się siostrze ze swoich spraw; kochał ją, był dla niej miły, ale niewiele jej mówił. Taką przynajmniej teorię ukuła sobie Isabel, która przy stole, jeśli nie uczestniczyła w ogólnej rozmowie, bawiła się snuciem różnych teorii na temat współbiesiadników. Myślała, że panna Molyneux, gdyby kiedykolwiek dowiedziała się, co zaszło pomiędzy panną Archer a lordem Warburtonem, byłaby oburzona, że młoda Amerykanka nie doceniła ofiarowanego jej zaszczytu; a może – do takiego wniosku doszła ostatecznie Isabel – wytłumaczyłaby sobie, że taka dziewczyna słusznie czuła się tego zaszczytu niegodna.

Isabel odrzuciła wielką szansę, ale Henrietta nie zamierzała zmarnować okazji, jaka jej się teraz nawinęła.

– Czy pan wie, że jest pan pierwszym lordem, jakiego w życiu spotkałam – powiedziała co prędzej sąsiadowi. – Wydam się panu zapewne okropnie nieobyta w świecie.

– Uniknęła pani spotkania z ludźmi często bardzo niesympatycznymi – odpowiedział, wodząc nieco roztargnionym wzrokiem wokół stołu.

– Czy są tacy niesympatyczni? W Ameryce wmawia się nam, że wszyscy lordowie są piękni i dostojni, że noszą wspaniałe szaty i korony.

– Wspaniałe szaty i korony dawno wyszły z mody – odparł Warburton – podobnie jak u was tomahawki i pistolety.

– Bardzo tego żałuję, arystokracja powinna olśniewać – oznajmiła Henrietta. – Bez blasku – jakie może mieć znaczenie?

– Och, nawet w najlepszych przypadkach niewiele znaczy – odparł lord Warburton. – Pozwoli pani trochę kartofli?

– Nie lubię europejskich kartofli. Gdybym nie wiedziała, nie odróżniłabym pana od zwykłego amerykańskiego dżentelmena.

– Niech mnie pani traktuje, jakbym właśnie był takim amerykańskim dżentelmenem... Nie rozumiem, jak pani może obywać się bez kartofli, pewno pani nic nie smakuje, co my w tym kraju jadamy?

Henrietta na chwilę umilkła; nie mogła wyzbyć się podejrzenia, że lord Warburton nie jest z nią szczerzy.

– Od przyjazdu do Anglii nie mam apetytu – powiedziała wreszcie – więc kuchnia mało mnie obchodzi. Wie pan, ja nie aprobuję pana, sądzę, że powinnam to panu otwarcie powiedzieć.

– Nie aprobuje mnie pani?

– Tak, zapewne nikt jeszcze nigdy panu czegoś takiego nie mówił. Nie aprobuję lordów jako instytucji. Moim zdaniem świat wyrósł z tego, i to już od dawna.

– Ależ ja jestem tego samego zdania! Sam siebie nie aprobuję ani trochę! Czasem myślę o tym, jak bardzo byłbym sobie przeciwny, gdybym nie był sobą. Uwierzy pani? Mówiąc nawiasem, trzeba mi policzyć jako zaletę, że nie chełpię się swoją pozycją.

– Dlaczego więc pan się jej nie zrzeka? – spytała panna Stackpole.

– Zrzec się? Czego? – spytał lord Warburton, ale w przeciwieństwie do Henrietty tonem bardzo łagodnym.

– No, lordostwa!

– Och, jestem takim skromnym lordem! Można by doprawdy o tym nie pamiętać, gdyby ci nieznośni Amerykanie ciągle nie przypominali. Jednakże myślę o zrzeczeniu się nawet tej małej części lordowskiej godności, jaka się do dziś zachowała, i zrobię to kiedyś.

– Chciałabym to zobaczyć! – wykrzyknęła dość groźnie Henrietta.

– Zaproszę panią na tę uroczystość, uczcimy ją proszonym

obiadem i balem.

– Lubię oglądać każdy medal z obu stron – powiedziała panna Stackpole. – Nie uznaję klas uprzywilejowanych, ale chętnie słucham, co mają na swoje usprawiedliwienie.

– Bardzo niewiele, jak się pani przekonała!

– Chciałabym wycisnąć z pana coś więcej, ale pan wciąż odwraca wzrok – mówiła Henrietta. – Boi się pan spojrzeć mi w oczy. Widzę, że pan próbuje mi się wymknąć.

– Nie, rozglądam się tylko za wzgardzonymi przez panią kartoflami.

– Proszę mi wytłumaczyć, jak to jest z pana siostrą. Czy to lady?

– Najpocziwsza dziewczyna na świecie.

– Nie podoba mi się ta odpowiedź; mam wrażenie, że pan chciałby zmienić temat. Czy siostra ma niższą pozycję niż pan?

– Właściwie żadne z nas nie ma wielkiej pozycji. Siostrze przypadł szczęśliwy los, bo nie ma tylu kłopotów co ja.

– Rzeczywiście nie wygląda na osobę mającą jakiegokolwiek kłopoty. Chciałabym żyć tak beztrosko. Trzeba wam przyznać, że w tym kraju hodujecie spokojnych ludzi.

– Ach, wie pani, nie przejmujemy się bardzo niczym – odparł lord Warburton. – Poza tym jesteśmy tępi. Umiemy być okropnie tępi, jeśli chcemy.

– Radziłabym panu chcieć czegoś lepszego. Nie mam pojęcia, o czym mogłabym rozmawiać z pana siostrą, wydaje mi się taka inna. Czy ten srebrny krzyżyk to jakaś odznaka?

– Odznaka?

– Symbol rangi.

Wzrok lorda Warburtona, przedtem błędzący wokół stołu, teraz spotkał się ze spojrzeniem sąsiadki.

– O, tak – powiedział po dłuższej pauzie. – Kobiety lubią takie rzeczy. Srebrny krzyżyk noszą najstarsze córki wicehrabiów.

Była to niewinna zemsta za to, że w Ameryce nieraz nadużyto jego łatwowierności. Po lunchu zaproponował pannie Archer przechadzkę po galerii i obejrzenie obrazów; chociaż

wiedziała, że lord Warburton oglądał już tę kolekcję dwadzieścia razy, zgodziła się, nie kwestionując pretekstu. Sumienie miała teraz zupełnie spokojne; odkąd wysłała do Lockleigh list, było jej dziwnie lekko na duszy. Lord Warburton wolnym krokiem przeszedł w drugi koniec galerii, przyglądając się obrazom; nagle powiedział:

– Miałem nadzieję, że nie napisze pani takiego listu.

– Nie mogłam nic innego pisać. Niech pan zechce mi uwierzyć.

– Gdybym mógł uwierzyć, oczywiście nie naprzykrzałbym się pani, ale nie sposób wierzyć na rozkaz woli, po prostu nie rozumiem. Rozumiałbym, gdyby pani nie lubiła mnie, to mógłbym doskonale zrozumieć. Ale pani sama przyznała...

– Co przyznałam? – przerwała mu Isabel, blednąc.

– Że mnie pani uważa za sympatycznego człowieka. Czy nie? – Milczała, więc dodał: – Wydaje się, że pani odmawia bez żadnej określonej przyczyny, dlatego odczuwam to jako niesprawiedliwość.

– Jest określona przyczyna – powiedziała tonem, od którego serce mu się ścisnęło.

– Bardzo chciałbym ją poznać.

– Kiedyś panu powiem, jak będę miała mocniejsze dowody swojej racji.

– Wybacz pani, że tymczasem pozwolę sobie wątpić o tej racji.

– Pan mnie bardzo zasmuca – odparła Isabel.

– Nie budzi to we mnie skruchy. Może dzięki temu zrozumie pani lepiej, co czuję. Czy raczy pani odpowiedzieć mi na jedno jeszcze pytanie? – Nie skinęła głową, ale wyraz jej oczu ośmielił go, ciągnął więc dalej: – Czy jest ktoś inny, kogo pani woli ode mnie?

– Na to pytanie wolałabym nie odpowiadać.

– A więc jest ktoś taki – szepnął z goryczą.

Ta gorycz wzruszyła ją, Isabel krzyknęła więc:

– Nie, pan się myli!

Bezceremonialnie ciężko usiadł na sofie, jak człowiek strapiony; oparł łokcie o kolana i wbił wzrok w podłogę.

Po długiej chwili, prostując się, rzekł wreszcie:

– Nawet to nie jest dla mnie pociechą. Byłoby przynajmniej jakieś usprawiedliwienie.

Isabel ze zdziwieniem podniosła brwi.

– Usprawiedliwienie? Czy ja muszę się usprawiedliwiać?

Nie odpowiedział na to. Inna myśl zaświtała mu w głowie.

– Może chodzi o moje przekonania polityczne? Pani sądzi, że jestem zanadto radykalny?

– Nie mogę mieć panu za złe pańskich poglądów, bo ich nie rozumiem.

– Pani jest obojętne, co myślę! – wykrzyknął, wstając. – Nic to panią nie obchodzi!

Isabel przeszła na drugą stronę galerii i zatrzymała się, odwrócona do niego plecami, tak że widział jej wdzięczną smukłą postać, długą, białą szyję, pochyloną głowę i upięte bujne, ciemne włosy. Stała przed małym obrazkiem, jakby chciała mu się przyjrzeć uważnie, i było w tej pozie coś tak dziewczęcego i swobodnego, jak gdyby nawet giętkość jej ciała drwiła z odrażonego wielbiciela. Nic jednak nie widziała, bo nagle łyż przesłoniły jej wszystko. Zdażyła je otrzeć, zanim lord Warburton podszedł, i kiedy odwróciła się ku niemu, twarz miała bladą, a w oczach wyraz dziwnie żalony.

– Nie chciałam panu wyjawic przyczyny, ale w końcu powiem: Nie mogę uniknąć swojego losu.

– Nie rozumiem?

– Gdybym wyszła za pana, byłaby to próba ucieczki przed przeznaczeniem.

– Wciąż nic nie rozumiem. Dlaczego to małżeństwo nie może być pani przeznaczeniem równie dobrze jak każde inne?

– Bo nie jest – z kobiecą logiką odparła Isabel. – Wiem, że nie jest. Nie jest moim przeznaczeniem wyrzekać się... Wiem na pewno.

Lord Warburton patrzył na nią szeroko otwartymi oczyma, w

których błyszczał wielki znak zapytania.

– Małżeństwo ze mną wymagałoby od pani wyrzeczeń?

– Nie w sensie, jaki się temu pojęciu na ogół nadaje. Bardzo, bardzo dużo bym zyskała. Ale musiałabym wyrzec się innych możliwości.

– Jakich?

– Nie mam na myśli innego zamążpójścia – powiedziała, rumieniąc się gwałtownie, Isabel. Umilkła, spuściła wzrok i spochmurniała, jakby przytłaczała ją beznadziejność wszelkich prób wyjaśnienia swoich myśli.

– Nie jestem chyba zbyt zarozumiała, sądząc, że więcej by pani zyskała, niż straciła.

– Nie mogę uniknąć nieszczęścia – odparła Isabel – a wychodząc za pana, próbowałabym od tego uciec.

– Nie wiem, czy pani by próbowała, ale z pewnością ja bym panią od nieszczęścia uchronił, to muszę otwarcie stwierdzić! – zawołał, śmiejąc się nerwowo.

– Nie powinnam! Nie mogę! – krzyknęła.

– Ano przypuścmy, że pani stanowczo postanowiła być nieszczęśliwa, ale dlaczego chce pani także mnie unieszczęśliwić? Może pani widzi jakieś uroki w zmarnowanym życiu, ale mnie to wcale nie nęci.

– Nieszczęście mnie też nie pociąga – odparła Isabel. – Zawsze bardzo mocno postanawiałam sobie, że będę szczęśliwa, i często zdawało mi się, że to się uda osiągnąć. Mówiłam o tym, proszę spytać moich przyjaciół. Ale wciąż narzuca mi się natrętnie myśl, że nie mogę być szczęśliwa, wybierając jakąś niezwykłą drogę, odwracając się, odgradzając...

– Od czego?

– Od życia. Od zwyczajnych życiowych szans i niebezpieczeństw, od tego wszystkiego, co jest udziałem większości ludzi, co oni znoszą.

Lord Warburton uśmiechnął się niemal z nadzieją.

– Ależ, droga pani! – zaczął tłumaczyć gorliwie i rozsądnie. – Nie mogę pani uwolnić od wszelkich ciężarów życia, od jego

ryzyka i niebezpieczeństw. Żałuję, że to niemożliwe, może mi pani wierzyć, że pragnąłbym tego dokonać. Za kogo pani mnie uważa? Bóg świadkiem, nie jestem cesarzem chińskim! Ofiarowuję pani tylko szansę dzielenia wspólnej ludzkiej doli w możliwie wygodnych warunkach. Wspólna ludzka dola? Ja przecież o nią troszczę się całym sercem! Niech pani zawrze ze mną sojusz, obiecuję, że będzie pani w niej miała jak najpełniejszy udział. Od niczego nie będzie pani odgradzona, nawet od swojej przyjaciółki, panny Stackpole.

– Henrietta nigdy by mi tego nie wybaczyła – powiedziała Isabel, siląc się na uśmiech, próbując wykorzystać okazję do skierowania rozmowy na ten boczny tor i jednocześnie zła na siebie, że tak robi.

– Czy mamy rozmawiać o pannie Stackpole? – ze zniecierpliwieniem spytał Warburton. – Nigdy w życiu nie spotkałem osoby, która by wszystko osądzała z tak ściśle teoretycznego punktu widzenia.

– Teraz, zdaje się, mówi pan o mnie – pokornie zauważyła Isabel i odwracając się, spostrzegła pannę Molyneux, która właśnie wchodziła do galerii w towarzystwie Henrietty i Ralpha.

Panna Molyneux trochę nieśmiało przypomniała bratu, że muszą wrócić do domu na podwieczorek, bo zaprosiła na tę porę gości. Lord Warburton nie odpowiedział, prawdopodobnie wcale nie słyszał słów siostry, ze zrozumiałych względów zaprzątnięty innymi myślami. Panna Molyneux stała przed nim jak dama dworu w obliczu monarchy.

– W głowie mi się to nie mieści! – wykrzyknęła panna Stackpole. – Gdybym ja chciała wyjechać, to pan musiałby zrobić to, czego sobie życzę. Mój brat musiałby mnie słuchać.

– Och, mój brat też spełnia wszystkie nasze życzenia – z nieśmiałym uśmiechem wtrąciła panna Molyneux. – Jakie mnóstwo obrazów ma pan tutaj! – zwróciła się do Ralpha.

– Wydaje się, że jest ich dużo, bo wiszą wszystkie razem – odparł Ralph. – To nie jest dla nich korzystne.

– Ach, mnie się to właśnie podoba! Szkoda, że w Lockleigh

nie ma galerii. Ogromnie lubię obrazy. – Panna Molyneux wyraźnie mówiła tylko do Ralpa, jak gdyby się bała, że panna Stackpole znowu ją zagadnie. Henrietta jednocześnie fascynowała ją i przerażała.

– Tak, obrazy to stosowna ozdoba – rzekł Ralph, najwidoczniej wiedząc, jaki styl konwersacji może spodobać się młodej damie.

– Przyjemne urozmaicenie w dni deszczowe – stwierdziła panna Molyneux – a w ostatnich dniach często padało.

– Żałuję, że pan już odjeżdża – zwróciła się Henrietta do lorda Warburtona. – Chciałabym się jeszcze wielu rzeczy dowiedzieć od pana.

– Jeszcze nie odjeżdżam – odparł.

– Pańska siostra mówi, że muszą już państwo wracać do domu. W Ameryce dżentelmeni stosują się do życzeń pań.

– Zaprosiłam kilka osób na herbatę – wyjaśniła, patrząc na brata, panna Molyneux.

– A więc dobrze, kochanie, jedziemy.

– Miałam nadzieję, że pan odmówi! Byłam ciekawa, co by wtedy zrobiła pańska siostra.

– Nigdy o niczym sama nie decyduję – odparła panna Molyneux.

– Zdaje się, że w pani sytuacji to wystarcza do życia – powiedziała Henrietta. – Chciałabym panią zobaczyć w jej własnym domu.

– Bardzo proszę, niech pani znów odwiedzi nas w Lockleigh – słodko zwróciła się panna Molyneux do Isabel, ignorując słowa jej przyjaciółki.

Isabel spojrzała w jej niezmacone oczy i przez chwilę zdawało jej się, że widzi w ich szarej głębi odbicie tego wszystkiego, co odtrąciła, odmawiając ręki jej bratu: spokój, łagodność, zaszczyty, majątek, głębokie poczucie bezpieczeństwa i przynależności do elity. Ucałowała pannę Molyneux i powiedziała:

– Niestety, już nigdy, jak myślę, nie zobaczę Lockleigh.

– Już nigdy?



– Wkrótce wyjadę z tych stron.  
– Och, jakże żałuję! – westchnęła panna Molyneux. – Myślę, że pani tego nie powinna robić.

Warburton śledził pilnie tę wymianę zdań, potem odwrócił się i zapatrzył w jakiś obraz. Ralph, oparty o barierę, z rękami w kieszeniach, obserwował go przez chwilę.

– Bardzo bym chciała zobaczyć pana w jego domu – powiedziała Henrietta, kiedy lord Warburton znalazł się obok niej.  
– Chciałabym jeszcze porozmawiać z panem godzinę, jest mnóstwo pytań, które chciałabym panu zadać.

– Będzie mi bardzo miło widzieć panią w Lockleigh – odparł właściciel zamku – ale z pewnością nie będę mógł odpowiedzieć na wiele pani pytań. Kiedy możemy oczekiwać pani wizyty?

– Nie wiem, kiedy panna Archer zechce mnie tam wziąć ze sobą. Wybieramy się do Londynu, ale potem odwiedzimy Lockleigh. Stanowczo muszę coś z pana wydobyć.

– Jeżeli zależy to od panny Archer, to, niestety, nic z tego! Nie zgodzi się nas odwiedzić, nie lubi Lockleigh.

– Ależ mówiła mi, że to urocza rezydencja! – wykrzyknęła Henrietta.

Lord Warburton zawahał się, nim odpowiedział:

– Mimo to nie przyjedzie do nas. Lepiej niech pani sama się wybierze do Lockleigh – dodał.

Henrietta zeszywniała i szerzej otworzyła oczy.

– Czy zrobiłby pan taką propozycję Angielce? – spytała nieco urażonym tonem.

Lord Warburton patrzył na nią ze zdumieniem.

– Oczywiście, gdybym miał dla niej dość sympatii.

– Obawiam się, że byłby to dowód braku prawdziwej sympatii. Jeżeli panna Archer nie zgadza się złożyć raz jeszcze wizyty w Lockleigh, to dlatego, że nie chce mnie tam zabrać ze sobą. Wiem, co myśli o mnie, i przypuszczam, że pan podziela jej opinię: że nie powinnam opisywać osób prywatnych. – Lord Warburton, który nie wiedział nic o zawodzie panny Stackpole, nie mógł zrozumieć tych aluzji i zdawał się oszołomiony. – Panna

Archer zapewne ostrzegła pana przede mną – dodała Henrietta.

– Nie pojmuję...

– Czyż nie po to wyszła z panem do galerii? Żeby pana przestrzec?

– Och, nie! – odparł zaczepnie. – Nasza rozmowa nie miała aż tak uroczystego charakteru.

– A jednak pan był przez cały czas bardzo ostrożny. Zapewne leży to w pańskiej naturze, a ja właśnie chciałam poznać. Pańska siostra także uważała, żeby z niczym się nie zdradzić. – Henrietta zwróciła się teraz do panny Molyneux: – Panią ktoś niewątpliwie ostrzegł, ale w pani przypadku nie było to doprawdy potrzebne.

– Ja też tak myślę – wymijająco odpowiedziała panna Molyneux.

– Panna Stackpole notuje swoje spostrzeżenia – pojednawczo wyjaśnił Ralph. – Uprawia satyrę. Przejrzała nas wszystkich na wylot i opisze w gazecie.

– Muszę wyznać, że nigdy nie trafiła mi się tak trudna grupa – oświadczyła Henrietta, spoglądając kolejno na Isabel, lorda Warburtona, jego siostrę i Ralpha. – Wszyscy jesteście jacyś dziwni, macie takie zgnębione miny, jak po otrzymaniu telegramu z wiadomością o katastrofie.

– Pani rzeczywiście widzi nas na wylot! – przyciszonym głosem powiedział Ralph i porozumiewawczo skinął głową do panny Stackpole, wyprowadzając całe towarzystwo z galerii. – Wszyscy dzisiaj czujemy się nieswojo.

Isabel szła tuż za tą parą, a panna Molyneux, która najwidoczniej darzyła ją ogromną sympatią, wsunęła rękę pod jej ramię, idąc obok po lśniącej posadzce. Lord Warburton asystował pannie Archer z drugiej strony z założonymi na plecach rękami i spuszczonego wzrokiem. Milczał chwilę, potem zapytał:

– A więc pani wyjeżdża do Londynu?

– Tak, jest taki projekt.

– Kiedy pani wróci?

– Za kilka dni, ale chyba na bardzo krótko. Ciocia zabiera mnie do Paryża.

– Kiedy znów panią zobaczę?  
– Nieprędko – odparła Isabel – ale mam nadzieję, że się jeszcze spotkamy.

– Naprawdę tego pani sobie życzy?

– Bardzo!

Kilka kroków zrobili w milczeniu, potem lord Warburton zatrzymał się i wyciągnął do niej rękę.

– Do widzenia.

– Do widzenia – odrzekła.

Panna Molyneux raz jeszcze pocałowała ją; Isabel czekała, aż lord Warburton wraz z siostrą odjadą; nie poszła za Henriettą i Ralphem, lecz wycofała się do swojego pokoju. Tam też zastała ją pani Touchett, gdy wstąpiła po drodze przed zejściem do jadalni na obiad.

– Wolę ci od razu powiedzieć – oznajmiła – że mąż poinformował mnie o twojej historii z Warburtonem.

– Nie było żadnej historii – odparła Isabel po krótkim namyśle. – To właśnie najdziwniejsze; widzieliśmy się zaledwie trzy czy cztery razy.

– Dlaczego zwierzyłaś się wujowi, a nie mnie? – beznamytnie spytała pani Touchett.

Panna Archer znów zawahała się, nim odpowiedziała:

– Bo wuj lepiej zna lorda Warburtona.

– Tak, ale ja lepiej znam ciebie.

– Nie jestem tego pewna – odparła z uśmiechem Isabel.

– Właściwie ja także, zwłaszcza kiedy masz taką zarozumiałą minę. Można by myśleć, że jesteś szalenie z siebie zadowolona, jakbyś wygrała wielki los na loterii. Przypuszczam, że mu odmówiłaś, ponieważ masz nadzieję znaleźć jeszcze lepszego kandydata.

– Wuj tego nie powiedział! – wykrzyknęła, wciąż z uśmiechem, Isabel.

## ROZDZIAŁ XV

Postanowiono, że dwie młode Amerykanki pojedą do Londynu, eskortowane przez Ralpa, chociaż projekt ten nie znalazł łaski w oczach pani Touchett. Oczywiście – stwierdziła – można było spodziewać się takiego pomysłu po panie Stackpole! I spytała, czy korespondentka „Interviewera” zamierza wraz z przyjaciółką mieszkać w stolicy w swoim ulubionym pensjonacie.

– Wszystko mi jedno, gdzie się zatrzymamy, byle to miejsce miało prawdziwie londyński koloryt. Po to właśnie tam jedziemy – odparła Isabel.

– No cóż, panna, która odmówiła ręki angielskiemu lordowi, może sobie na wszystko pozwolić – powiedziała ciotka. – Po takim wyczynie już nie warto zważać na błahostki.

– Ciocia byłaby zadowolona, gdybym za niego wyszła?

– Oczywiście!

– Zdawało mi się, że ciocia nie cierpi Anglików.

– Tak, ale tym bardziej trzeba korzystać z tego, co mogą ofiarować.

– Czy taki ma ciocia pogląd na małżeństwo? – I siostrzenica ośmieliła się dodać, że ciotka, o ile jej wiadomo, niewiele korzysta z tego, co mógłby jej ofiarować mąż.

– Mój mąż nie jest angielskim arystokratą – odparła pani Touchett. – Ale gdyby był, pewno też wybrałabym Florencję na stałą siedzibę.

– Czy ciocia myśli, że jako żona lorda Warburtona byłabym czymś lepszym, niż jestem teraz? – spytała Isabel z pewnym podnieceniem. – Co nie znaczy, że uważam się za kogoś nadzwyczajnego. Po prostu nie kocham go dostatecznie, żeby za niego wyjść.

– W takim razie słusznie mu odmówiłaś – powiedziała pani Touchett bezbarwnym, suchym tonem. – Miejmy nadzieję, że następny poważny kandydat będzie odpowiadał twoim wysokim

wymaganiom.

– O tym będzie czas mówić, jak się ten następny zjawi. Bardzo bym chciała, żeby nikt więcej nie oświadczał mi się w najbliższej przyszłości. To mnie rozstraja.

– Prawdopodobnie nikt nie zechce cię niepokoić takimi propozycjami, jeśli dłużej będziesz prowadziła życie w stylu cyganerii. Ale obiecałam Ralphowi, że nie będę waszych planów krytykowała.

– Będę się we wszystkim stosowała do wskazówek Ralpa – odparła Isabel. – Mam do niego bezgraniczne zaufanie.

– Jako jego matka muszę ci być za to wdzięczna – zaśmiała się cierpko pani Touchett.

– Myślę, że tak właśnie powinna ciocia to przyjąć! – porywczo zawołała Isabel.

Ralph zapewnił kuzynkę, że nie pogwałcą zasad przyzwoitości, jeżeli we troje spędzą kilka dni na zwiedzaniu Londynu; pani Touchett była jednak innego zdania. Jak wiele Amerykanek, które długie lata mieszkały w Anglii, zupełnie straciła wyniesiony z ojczyzny umiar w sądach o tych sprawach; protest, sam w sobie nieszkodliwy, przeciw zbytnej swobodzie dozwolanej młodym kobietom za oceanem, wyrodził się w nieuzasadnione i przesadne skrupuły. Ralph towarzyszył więc dwóm paniom w podróży do Londynu i ulokował je w spokojnym małym hotelu przy ulicy biegnącej pod kątem prostym od placu Piccadilly. Początkowo zamierzał je umieścić w domu, który ojciec jego miał przy Winchester Square, w przestronnych, posępnych apartamentach, o tej porze roku spowitych w ciszę i pokrowce z grubego płótna; rozmyślił się jednak, bo kucharkę zabrano do Gardencourt i w miejskim domu nie został nikt, kto by mógł dla gości przygotowywać posiłki; ostatecznie więc zawiózł panie do hotelu Pratta. Sam zakwaterował się w rodzinnym domu, gdzie miał swój ulubiony pokój; nurtowały go głębsze troski niż lęk przed zimną kuchnią. Korzystał zresztą z usług tego hotelu, zaczynając dzień od wizyty u kuzynki i jej przyjaciółki, dla których przy rannym śniadaniu sam pan Pratt w wykrochmalonej

białej kamizelce zdejmował pokrywki z naczyń zawierających gorące dania. Ralph, przychodząc rano, oznajmiał, że jest już po śniadaniu, i zajmowano się układaniem planu na cały dzień. Oblicze Londynu we wrześniu jest nieinteresujące, można ujrzeć na nim tylko ślady wcześniejszych wydarzeń; Ralph, takim tonem, jakby się usprawiedliwiał, przypomniał paniom, że po prostu nikogo teraz nie ma w mieście, na co panna Stackpole zareplikowała szyderczo:

– Chciał pan powiedzieć, że nie ma w mieście arystokratów! Trudno o lepszy dowód, że nikt nie odczułby ich braku, gdyby w ogóle zniknęli. Miasto wydaje się pełne po brzegi! Doprawdy, nie ma nikogo prócz trzech czy czterech milionów ludzi. Jak to wy ich nazywacie? Niższe warstwy klas średnich? Zwykli mieszkańcy Londynu, którzy się oczywiście nie liczą.

Ralph oświadczył, że nawet gdyby po arystokracji została w mieście wielka pustka, jemu wypełnia ją całkowicie obecność panny Stackpole i że nie ma na świecie człowieka bardziej zadowolonego niż on w tej chwili. Mówił prawdę, bo olbrzymie, na pół wyludnione miasto w te wrześniowe przyćmione dni miało urok drogiego kamienia owiniętego w kawałek zakurzonego sukna. Kiedy po wielu godzinach spędzonych w towarzystwie swoich przyjaciółek wrócił wieczorem do pustego domu przy Winchester Square, wszedł do wielkiej mrocznej jadalni, rozjaśnionej jedynie płomykiem świecy, którą wziął ze stolika w holu po otwarciu drzwi wejściowych. Cisza na ulicy, cisza we wnętrzu domu; gdy uchylił okno, żeby wpuścić trochę świeżego powietrza, usłyszał skrzypienie butów samotnego policjanta obchodzącego z wolna swój rewir. Jego własne kroki także zdawały się hałaśliwe i dudniły w pustce pokojów: zwinięto większą część dywanów, więc każdy ruch budził melancholijne echa. Usiadł w fotelu; wielki stół połyskiwał tu i ówdzie, odbijając płomyczek świecy; obrazy, wszystkie utrzymane w ciemnych tonach, majaczyły niewyraźnie na ścianach. Czuło się widmową obecność dawno spożytych obiadów i przebrzmiałych rozmów. Może ta odrobina niesamowitości w atmosferze podziałała na jego wyobraźnię,

uskrzydlaając ją, podczas gdy Ralph tkwił w fotelu, mimo że powinien był już od paru godzin leżeć w łóżku; siedział beczynnie, nawet nie sięgnął po wieczorną gazetę. Powiedziałem: „beczynnie”, i podtrzymuję to określenie, chociaż przez cały czas intensywnie myślał o Isabel. Myślenie o Isabel mogło być dla niego tylko czczym zajęciem, nieprowadzącym do niczego i nikomu nieprzynoszącym większego pożytku. Nigdy kuzynka nie wydała mu się tak urocza jak w tych dniach, gdy w roli turystów sondowali razem głębie i mielizny stolicy. Isabel pełna była założeń, wniosków i emocji. Przyjechała w poszukiwaniu lokalnego kolorytu i znajdowała go na każdym kroku. Stawiała tak dużo pytań, że Ralph nie mógł na wszystkie odpowiedzieć, wygłaszała śmiało teorie o historycznych przyczynach i społecznych skutkach, a kuzyn nie potrafił ani zgodzić się z wielu jej tezami, ani też im zaprzeczyć. Wielokrotnie zwiedzali Muzeum Brytyjskie i drugi, bardziej efektowny pałac sztuki, który zagarnął dla starożytnej różnorodności tak znaczną część jednostajnego przedmieścia; spędzili pewien ranek w opactwie westminsterskim i popłynęli spacerowym statkiem do Tower; oglądali obrazy w publicznych i prywatnych galeriach, odpoczywali w cieniu ogromnych drzew w Ogrodach Kensingtonskich. Henrietta okazała się niestrudzona w poszukiwaniu wrażeń, a w sądach łagodniejsza, niż Ralph mógł się spodziewać. Doznała wprawdzie wielu rozczarowań, Londyn mocno ucierpiał wskutek porównań z zaletami amerykańskich pomysłów urbanistycznych, przywoływanymi wciąż na pamięć, ale panna Stackpole zdobyła się na wyrozumiałość dla jego przybrudzonego dostojęstwa i czasem tylko wzdychała: „No, tak...”, lecz poprzestawała na tym, a rzucana w roztargnieniu formułka szybko była zapominana. Naprawdę chodziło o to, że panna Stackpole, jak sama przyznawała, nie była tu w swoim żywiole.

– Martwe przedmioty niewiele mi mówią – wyznała przyjaciółce w National Gallery. Wciąż cierpiała z powodu tego, że jak dotąd nie miała okazji, by podpatrzeć coś więcej z wewnętrznego życia Brytyjczyków. Pejzaże Turnera i asyryjskie

byki nie mogły jej zastąpić literackich obiadów, podczas których miała nadzieję poznać geniuszów i sławy tego kraju.

– Gdzie są wasi działacze, gdzie intelektualiści i intelektualistki? – spytała Ralpa pośrodku Trafalgar Square, jak gdyby spodziewała się, że na tym placu powinni spotkać chociaż kilka osób tego typu. – Jeden z nich, jak pan mówi, stoi na szczycie kolumny... lord Nelson. A więc on także był lordem? Czy nie jest dość wielki? Dlaczego wywindowaliście go na sto stóp pod niebo? To przeszłość, a mnie mało obchodzi przeszłość, chciałabym zobaczyć światowych ludzi dnia dzisiejszego. Nie mówię o przyszłości, bo nie bardzo wierzę w waszą przyszłość.

Biedny Ralph nie zaliczał do grona przyjaciół wielu przywódców narodu i rzadko miewał przyjemność poufnych rozmów z luminarzami; panna Stackpole ganiła go za ten brak przedsiębiorczości.

– U nas w Ameryce złożyłabym wizytę takiemu panu, niezależnie od tego, jakie zajmuje stanowisko, i powiedziałabym po prostu, że dużo o nim słyszałam i zapragnęłam poznać go osobiście. Ale z tego, co pan mówi, widzę, że tutaj nie jest to przyjęte. Macie tyle różnych bezsensownych zwyczajów, ale brak wśród nich takich, które by ułatwiały życie. My oczywiście dalej zaszliśmy w rozwoju. Obawiam się, że będę musiała w ogóle zrezygnować z tematów społecznych.

Henrietta, chociaż zwiedzała Londyn z przewodnikiem, notesem i ołówkiem w ręku i wysłała do redakcji „Interviewera” list o londyńskiej fortecy Tower (opisując ścięcie lady Jane Grey), miała smutne poczucie, że nie spełnia swojej misji.

Epizod, który poprzedził wyjazd z Gardencourt, zostawił bolesny ślad w umyśle panny Archer. Ilekroć, niby powracająca fala, przejmowało ją chłodem wspomnienie zawiedzionego wielbiciela, starała się stłumić te myśli i czekała, aż wizja nie zniknęła. Był to odruch niewątpliwie bardzo dyskretny, ale nie mogła się od niego powstrzymać; mimo wszystko wydawał się jej brzydki jak wysiłek fizyczny w niezgrabnej pozie i nie miała ochoty chlubić się nim. Z tym brakiem dumy łączyło się jednak



uczucie wolności, z natury swej przyjemne, i ono to chwilami, gdy Isabel wałęsała się po wielkim mieście w towarzystwie niedobranej pary przyjaciół, przejawiało się w nieoczekiwanych gestach. W Ogrodach Kensingtonskich zaczepiała dzieci (przeważnie z uboższych środowisk) bawiące się na trawnikach; pytała, jak im na imię, dawała sześć pensów na cukierki, a jeśli miały ładne buzie, nawet całowała je. Ralph zauważył tę osobliwą formę dobroczynności; nic z tego, co robiła Isabel, nie uchodziło jego uwagi. Pewnego popołudnia dla urozmaicenia zaprosił obie młode damy na herbatę do ojcowskiego domu przy Winchester Square, który postarał się doprowadzić na ich przyjęcie do jak najlepszego możliwego w tych okolicznościach porządku. Przedstawił im trzeciego gościa, sympatycznego starego kawalera i dawnego znajomego, który przypadkiem bawił w mieście i który od pierwszej chwili przystosował się do bezpośredniości panny Stackpole bez trudu i bez lęku. Postawny, gładki, uśmiechnięty czterdziestoletni pan Bantling ubierał się świetnie, był wszechstronnie poinformowany, skłonny bawić się każdą błahostką, śmiał się bez pohamowania z wszystkiego, co Henrietta mówiła, podawał jej herbatę, wraz z nią oglądał artystyczne drobiazgi, których Ralph miał sporą kolekcję; później, gdy gospodarz zaproponował spacer po skwerku i zabawę w *une fête champêtre*, pan Bantling u boku Henrietty okrążył kilkakrotnie ograniczoną sztachetami przestrzeń, starał się też nadażyć za nią, gdy w rozmowie przeskakiwała z tematu na temat, a gdy wspomniała, że jest ciekawa wewnętrznego życia Brytyjczyków, odpowiedział:

– Ach, rozumiem, w Gardencourt tryb życia wydał się pani monotony. Oczywiście nie może być inaczej, skoro tyle w rodzinie chorych. Ralph jest poważnie zagrożony, proszę pani, lekarze zabronili mu przebywania w Anglii, ale wrócił ze względu na ojca. Starszy pan, o ile się orientuję, cierpi na kilka różnych dolegliwości, mówi się o podagrze, ale z pewnego źródła wiem, że to jakaś groźna organiczna choroba, która musi skończyć się katastrofą, i to wkrótce. Rozumie się, że w tych okolicznościach

życie w Gardencourt jest okropnie nudne, dziwię się, że zapraszają gości, nie mogąc dostarczyć im rozrywek. W dodatku między panem Touchettem a jego żoną od dawna ciągną się jakieś spory, pani Touchett mieszka z dala od męża, traktuje go według jakiejś dziwnej waszej amerykańskiej mody. Jeśli pani lubi urozmaicone życie towarzyskie, mogę pani polecić dom mojej siostry lady Pensil, w Bedfordshire. Jutro do niej napiszę, na pewno z radością przyśle pani zaproszenie. Doskonale rozumiem, czego pani potrzeba: domu, gdzie wciąż urządza się przedstawienia amatorskie, pikniki i tym podobne imprezy. Moja siostra ma taki właśnie temperament, ustawicznie coś organizuje i cieszy się z gości, którzy jej umieją w tym pomóc. Z pewnością odpowie natychmiast, szalenie lubi wybitne osobistości i literatów, sama trochę pisze, ale nie wszystkie jej utwory znam. Przeważnie wiersze, poezje, a ja za poezją nie przepadam, chyba że Byron. Myślę, że Amerykanie bardzo wysoko cenią Byrona – ciągnął pan Bantling, rozkwitając w ciepłe przychylniej uwagi, z jaką panna Stackpole go słuchała, prędko wyrzucając zdanie po zdaniu i zręcznie zmieniając co chwila temat. Żonglując z wdziękiem słowami, nie tracił jednak z oczu pomysłu, którym olśnił Henriette, gdy jej obiecał dłuższą gościnę u lady Pensil w Bedfordshire. – Wiem, czego pani sobie życzy, pani chciałaby poznać styl autentycznej angielskiej zabawy. Touchettowie nie są przecież Anglikami, mają własne zwyczaje, własną kuchnię. Nawet jakąś inną religię, o ile mi wiadomo, starszy pan, jak słyszałem, uważa polowanie za niegodziwą rozrywkę. Trzeba, żeby pani zdążyła pojechać do mojej siostry przed sezonem teatralnym, z pewnością da pani jakąś rolę do zagrania, jestem przekonany, że pani ma także aktorskie zdolności, od razu poznałem się na pani wyjątkowej inteligencji. Moja siostra ma czterdzieści lat i siedmioro dzieci, co nie przeszkadza, że zagarnia dla siebie najlepsze role. Nie jest ładna, ale wszystko, do czegokolwiek się weźmie, robi znakomicie, to jej trzeba przyznać. Naturalnie, jeśli pani nie zechce, nie będzie pani musiała występować.

Tak przemawiał pan Bantling, gdy spacerowali na Winchester

Square po trawie, oprószonej wprawdzie londyńską sadzą, ale miękkiej pod ich stopami. Zażywny, wymowny stary kawaler był wrażliwy na kobiece wdzięki. Szerokie perspektywy, jakie przed nią roztaczał, podobały się pannie Stackpole; umiała też docenić okazję przez niego zaofiarowaną.

– Nie wiem, czy pojechałabym, gdyby mnie pańska siostra zaprosiła. Myślę, że powinnam to zrobić. Jak nazywa się ta pani?

– Pensil. Dziwaczne nazwisko, ale dość dobre.

– Dla mnie wszystkie nazwiska są równie dobre. A jaki ma tytuł?

– Jest żoną barona, to wygodna pozycja: nie za niska i nie za wysoka.

– Może nawet za wysoka dla mnie. Jak pan nazwał miejsce, gdzie mieszka?

– Bedfordshire. Moja siostra mieszka w północnym kącie tego hrabstwa. Okolica nudna, ale to pani nie będzie przeszkadzało. Postaram się tam zajrzeć podczas pani pobytu.

Wszystko to było bardzo miłe dla panny Stackpole i żałowała, że musi rozstać się już z uprzejmym bratem baronowej Pensil. Przypadek zdarzył, że poprzedniego dnia spotkała na Piccadilly znajome, których od roku nie widziała; dwie panny Climber z Wilmington w stanie Delaware, przygotowujące się po zwiedzeniu kontynentu do powrotu za ocean. Henrietta ucięła z nimi dość długą pogawędkę na chodniku Piccadilly, ale – chociaż trzy panie mówiły naraz – nie zdążyły sobie powiedzieć wszystkiego. Postanowiono więc, że Henrietta nazajutrz przyjdzie do nich o szóstej na obiad do pensjonatu przy Jermyn Street. Przypomniawszy sobie o tym, gotowa była wyruszyć, ale musiała najpierw pożegnać się z Isabel i Ralphem, którzy siedzieli na ogrodowych krzesłach w innej części skweru, zajęci – jeśli wolno to tak określić – wymianą uprzejmości mniej jednoznacznych niż te, którymi ozdobili swój rzeczowy dialog panna Stackpole i pan Bantling. Przyjaciółki ustaliły, że spotkają się o niezbyt późnej godzinie w hotelu, a Ralph zauważył, że panna Stackpole będzie musiała znaleźć dorożkę. Nie może piechotą iść aż na Jermyn

Street.

– Pan, jak myślę, chce przez to powiedzieć, że nie wypada mi samotnie chodzić po mieście! – wykrzyknęła Henrietta. – Na miłość boską, gdzie ja się znalazłam!

– Nie ma wcale konieczności, żeby pani samotnie wędrowała po ulicach miasta – wtrącił się wesoło pan Bantling. – Będę szczęśliwy, jeśli pani pozwoli sobie towarzyszyć.

– Po prostu uważam, że idąc pieszo, spóźniłaby się pani na obiad – wyjaśnił Ralph. – Te biedne panie gotowe pomyśleć, żeśmy pani nie chcieli z naszego grona wypuścić na resztę wieczoru.

– Tak, Henrietto, jedź lepiej dorożką – powiedziała Isabel.

– Proszę mi zaufać, znajdę dla pani dorożkę – dodał pan Bantling. – Pójdziemy kawałek, dopóki nie nawinie się jakiś wehikuł.

– Nie widzę powodu, żeby temu panu odmówić zaufania – zwróciła się Henrietta do przyjaciółki.

– A ja nie wyobrażam sobie, w jaki sposób pan Bantling mógłby cię zawieść – odparła Isabel – ale, jeśli chcesz, pójdziemy razem z wami, póki nie znajdziesz dorożki.

– Ach, nie warto, żebyście się trudzili, pójdziemy we dwoje. Chodźmy! Mam nadzieję, że mi pan znajdzie porządną dorożkę.

Pan Bantling zapewnił ją, że zrobi wszystko, co będzie w jego mocy, i pożegnali się, zostawiając Isabel z Ralphem na skwerze wśród zapadającego już pogodnego wrześnieowego zmierzchu. Było bardzo cicho, w żadnym z domów otaczających prostokątny plac nie rozbrły jeszcze światła w oknach zasłoniętych żaluzjami lub okiennicami; na chodnikach nie widziało się przechodniów i jeśli pominąć dwoje małych dzieci z pobliskiej rudery, które, zaciekawione niezwykłym ruchem na skwerze, wetknęły głowy pomiędzy zardzewiałe pręty ogrodzenia, jedynym ożywiającym elementem wśród pustki zdawała się być duża czerwona skrzynka pocztowa osadzona na słupku w południowo-zachodnim rogu placu.

– Henrietta zaprosi Bantlinga do dorożki i powiezie go aż na

Jermyn Street – powiedział Ralph. Zawsze mówił o panie Stackpole po imieniu.

– To bardzo prawdopodobne – zgodziła się Isabel.

– Może zresztą nie wystąpi pierwsza z zaproszeniem, ale on spyta, czy wolno, i wskoczy za nią – ciągnął dalej Ralph.

– To też bardzo prawdopodobne. Cieszę się, że tak od razu zaprzyjaźnili się ze sobą.

– Podbiła go. Uznał ją za kobietę niepospolitą. To może mieć poważny ciąg dalszy – powiedział Ralph.

Isabel po krótkim zastanowieniu odparła:

– Ja też uważam Henriettę za kobietę niepospolitą, ale myślę, że nie będzie dalszego ciągu. Nigdy nie poznają się nawzajem dobrze. Pan Bantling nie ma pojęcia, kim jest naprawdę Henrietta, a ona nie może go zrozumieć i słusznie ocenić.

– Wzajemny brak zrozumienia to najczęstsza podstawa związku małżeńskiego! Ale rozumieć Boba Bantlinga nie jest wielką sztuką – dodał Ralph. – To bardzo prosta psychika.

– Tak, ale Henrietta jest jeszcze prostsza. Powiedz lepiej, proszę cię, co ja mam ze sobą zrobić? – spytała Isabel, rozglądając się po umiejętnie zaplanowanym zieleńcu, który w gasnącym świetle dnia wydawał się większy i bardziej malowniczy. – Nie proponujesz mi chyba wspólnej przejażdżki dorożką przez londyńskie ulice.

– Możemy tutaj jeszcze trochę posiedzieć, jeśli nie masz nic przeciw temu. Jest ciepło, ciemności zapadną dopiero za pół godziny. Jeśli pozwolisz, zapalę papierosa.

– Rób, co chcesz – odparła Isabel – pod warunkiem, że będziesz mnie zabawiał do siódmej. Potem wrócę do hotelu i zjem samotnie skromną kolację – dwa jajka sadzone i bułkę.

– Nie mógłbym zjeść kolacji razem z tobą? – spytał Ralph.

– Nie, ty zjesz w swoim klubie.

Znowu usiedli na krzesłach pośrodku skweru i Ralph zapalił papierosa. Byłby szczęśliwy, gdyby kuzynka pozwoliła mu uczestniczyć w ascetycznej uczcie, jaką sobie zaplanowała, ale odmowa nie zrobiła mu przykrości. Na razie cieszył się ogromnie,

że jest z nią sam na sam w gęstniejącym stopniowo mroku wśród milionowego miasta: stwarzało to pozory, że Isabel jest od niego zależna i podlega jego władzy. Co prawda nie wyobrażał sobie jasno, jak mógłby tę swoją władzę wykorzystać; najlepszym jej zastosowaniem wydawała mu się uległość wobec decyzji kuzynki – co już samo przez się dostarczało mu pewnych emocji.

– Dlaczego nie zgadzasz się zjeść tych dwóch jajek w moim towarzystwie? – zagadnął po chwili milczenia.

– Bo nie mam na to ochoty.

– Pewno już ci się znudziłem.

– Nie, ale mógłbyś mi się znudzić za godzinę. Wiesz, mam dar przewidywania przyszłości.

– Och, postaram się być czarujący, póki ta godzina nie upłynie! – obiecał Ralph. Umilkł jednak, a Isabel także nie odezwała się i siedzieli czas jakiś w milczeniu, które zdawało się sprzeczne z jego zapowiedzią. Miał wrażenie, że Isabel jest czymś zatroskana, i próbował odgadnąć, o czym myśli; nasuwało się kilka prawdopodobnych przyczyn. W końcu zdecydował się spytać:

– Czy chcesz się mnie pozbyć dlatego, że dziś wieczorem oczekujesz innej wizyty?

Obróciła ku niemu twarz i jej jasne szczere oczy rozblęsnęły.

– Innej wizyty? Kogóż miałabym się spodziewać?

Nie mógł wymieniwać nazwiska prawdopodobnego gościa, wobec czego pytanie, które jej zadał, wydało się nie tylko głupie, lecz także niedelikatne.

– Masz wielu znajomych, o których nic nie wiem. Los złośliwie wykluczył mnie z całej twojej przeszłości.

– Zachował cię dla mojej przyszłości! Pamiętaj, że przeszłość została po drugiej stronie Atlantyku. Tu, w Londynie, nic z niej nie ma.

– I bardzo szczęśliwie, skoro przyszłość siedzi obok ciebie. Szalenie wygodnie mieć własną przyszłość w zasięgu ręki! – Ralph zapalił następnego papierosa. Wywnioskował ze słów kuzynki, że pan Caspar Goodwood wyjechał do Paryża i że Isabel w jakiś sposób o tym się dowiedziała. Przez chwilę palił w

milczeniu, wreszcie rzekł: – Obiecałem, że będę czarujący, ale, jak widzisz, przeliczyłem się z siłami, trzeba wielkiej odwagi, żeby podjąć się zabawiania osoby takiej jak ty. Czy moje nieudolne wysiłki mogą ci się podobać? Masz tak wzniosłe wyobrażenia, stawiasz tak wysokie wymagania! Powinien bym przynajmniej sprowadzić orkiestrę albo trupę wędrownych magików.

– Jeden magik wystarczy, a ty jesteś mistrzem w tej sztuce. Mów dalej, a za dziesięć minut na pewno zacznę się śmiać.

– Wierz mi, Isabel, mówię poważnie.

– Nie rozumiem, o co ci chodzi. Ja przecież niczego nie wymagam.

– I niczego nie przyjmujesz! – powiedział Ralph.

Zaczerwieniła się i nagle wydało jej się, że rozumie ukryty sens jego słów. Ale dlaczego porusza ten temat? Tymczasem Ralph po krótkim wahaniu ciągnął dalej: – Bardzo bym chciał ci coś powiedzieć. Chciałbym zadać ci pewne pytanie. Sądzę, że mam prawo, bo w jakimś sensie odpowiedź będzie też mnie dotyczyła.

– Pytaj, o co chcesz – łagodnie odparła Isabel. – Będę starała się odpowiedzieć jak najlepiej.

– Mam nadzieję, że nie pogniewasz się, gdy ci na wstępie wyznam, że Warburton zwierzył mi się z tego, co między wami zaszło.

Isabel omal nie wzdrygnęła się, zaskoczona, ale opanowała odruch. Siedziała, patrząc w swój otwarty wachlarz.

– No tak. To dość naturalne, że ci o tym powiedział.

– Upoważnił mnie do powiadomienia cię, że to zrobił. On jeszcze ma nadzieję.

– Ach, tak?

– Miał kilka dni temu.

– Nie sądzą, żeby ją do dziś jeszcze zachował – stwierdziła Isabel.

– W takim razie bardzo mu współczuję. To taki porządny człowiek.

– Czy prosił cię, żebyś ze mną porozmawiał?

– Nie. Powiedział mi, bo po prostu musiał; jesteśmy od

dawna przyjaciółmi, a on głęboko przeżywa ten zawód. Wezwał mnie listownie do Lockleigh, byłem tam w przeddzień jego przyjazdu z siostrą na lunch do Gardencourt. Był okropnie zgnębiony listem, który od ciebie właśnie wtedy dostał.

– Dał ci ten list do przeczytania? – spytała, sztywniejąc na mgnienie oka.

– Oczywiście nie! Ale powiedział, że odmówiłaś kategorycznie. Bardzo mu współczuję – powtórzył Ralph.

Isabel dość długo milczała.

– Czy wiesz, ile razy mnie widział? – spytała wreszcie. – Pięć czy sześć razy.

– Możesz się tym chlubić.

– Nie dlatego to mówię.

– Więc dlaczego? Chyba nie po to, żeby biednego Warburtona oskarżyć o lekkomyślność, z pewnością o to go nie podejrzewasz.

Isabel oczywiście nie mogła się przyznać, że takie właśnie jest jej zdanie. Powiedziała coś zupełnie innego:

– Jeżeli lord Warburton nie prosił cię o wstawiennictwo, to znaczy, że podjąłeś się go bezinteresownie albo może z zamiłowania do dyskusji.

– Nie chcę z tobą dyskutować. Nie próbuję cię przekonywać. Po prostu bardzo jestem ciekawy stanu twoich uczuć.

– Uprzejmie dziękuję! – wykrzyknęła Isabel i zaśmiała się nerwowo.

– Naturalnie uważasz, że wtrącam się w nie swoje sprawy. Czy nie możemy rozmawiać spokojnie, bez irytacji z twojej strony i zakłopotania z mojej? Czy jako twój kuzyn nie mam pewnych przywilejów? Czy nie należy mi się jakaś nagroda za to, że uwielbiam cię bez nadziei na wzajemność? Jestem chory, słaby, przypadła mi tylko rola widza w grze życia. Czy nie wolno mi przynajmniej oglądać z bliska spektaklu, skoro tak drogo płacę za wstęp? – I widząc, że Isabel słucha go z wznowioną uwagą, dodał: – Powiedz mi tylko jedno: co myślałaś, odrzucając lorda Warburtona?



- Co myślałam?
- Jak rozumowałam? Jak oceniałam swoją sytuację? Jaka logika podyktowała ci tak niezwykle postępek.
- Nie chciałam być jego żoną... jeśli to można nazwać logiką.
- Nie, to nie jest logika. I nie powiedziałaś mi nic nowego. Jak sobie samej to wytłumaczyłaś? Z pewnością znalazłaś inne argumenty?

Isabel zastanawiała się chwilę, a wreszcie odpowiedziała pytaniem:

- Dlaczego uważasz to za niezwykle postępek? Twoja matka też tak określiła moją decyzję.
- Warburton to naprawdę najlepszy w świecie człowiek, nie dostrzegłem w jego charakterze ani jednej skazy. A w dodatku, jak to się mówi, świetna partia. Ma ogromny majątek, jego żona będzie traktowana jak wybranka losu. Wartości wewnętrzne łączą się u niego z materialnymi.

Isabel śledziła kuzyna, ciekawa, jak daleko posunie się w zachwalaniu lorda Warburtona.

- A więc odmówiłam, ponieważ jest zanadto doskonały. Mnie wiele brakuje do doskonałości, lord Warburton ma dla mnie za dużo zalet. Poza tym irytowałyby mnie jego doskonałość.

– Argumenty bardziej pomysłowe niż szczere – stwierdził Ralph. – W głębi serca nie wierzysz, żeby cokolwiek mogło być dla ciebie zbyt doskonałe.

- Myślisz, że ja mam wszystkie zalety?
- Nie, ale masz wielkie wymagania, chociaż nie uzasadniasz ich przekonaniem o własnej wartości. Na dwadzieścia kobiet dziewiętnaście, nawet bardzo wymagających, zadowoliliby się takim mężem jak Warburton. Nawet nie wiesz, jak był ze wszystkich stron oblegany.

– Nie chcę nic o tym wiedzieć. Ale, jeżeli mnie pamięć nie myli – powiedziała Isabel – rozmawialiśmy kiedyś o nim i wtedy wytykałeś jego różne dziwactwa.

Ralph zamyślił się, ćmiąc papierosa.

– Mam nadzieję, że to, co wtedy mówiłem, nie miało wpływu na twoją decyzję; tego, co w nim krytykowałem, nie można uznać za wady, to są zwykłe właściwości jego pozycji. Gdybym przeczuł, że Warburton oświadczy się o twoją rękę, nigdy bym o tym nie wspomniał. Mówiłem, jak mi się zdaje, że Warburton odnosi się sceptycznie do własnego stanowiska w świecie. Ty byś mogła wzbudzić w nim wiarę.

– Nie sędzę. Nie rozumiem tych spraw i nie poczuwam się do misji tego rodzaju. Zrobiłam ci, jak widzę, wielki zawód – dodała, patrząc na kuzyna ze skruchą. – Cieszyłbyś się, gdybym tak świetnie wyszła za mąż.

– Ani trochę! Nie mam żadnych określonych życzeń w tej sprawie. Nie roszczę sobie prawa do udzielenia ci rad, pragnę tylko obserwować cię, i to z najgłębszym zainteresowaniem.

Isabel westchnęła z lekką przesadą.

– Szkoda, że dla siebie nie jestem taka interesująca jak dla ciebie.

– Znowu jesteś nieszczerą! Sobie wydajesz się ogromnie interesująca! – odparł Ralph. – Wyobraź sobie, że jeśli rzeczywiście dałaś Warburtonowi ostateczną odpowiedź, to nawet wolę, że jest to odpowiedź odmowna. Nie ze względu na ciebie, a tym mniej, oczywiście, na Warburtona. We własnym interesie.

– Czyżbyś ty także zamierzał mi się oświadczyć?

– O tym nie ma mowy! Byłaby to katastrofa z mojego punktu widzenia, który ci przedstawiłem; zabiłbym gęś dostarczającą mi surowca na moje niezrównane omlety. Oczywiście gęś symbolizuje szaleństwo mojej wyobraźni. Innymi słowy spodziewam się sensacyjnych wrażeń, obserwując, co dalej zrobi młoda dama, która odtrąciła lorda Warburtona.

– Twoja matka też na to liczy – powiedziała Isabel.

– Ach, widzów będzie mnóstwo! Nie spuścimy cię z oczu przez cały czas twojej kariery. Ja wprawdzie nie dotrвам do końca, ale zapewne zobaczę najciekawszy okres. Oczywiście gdybyś wyszła za naszego sąsiada, także miałabyś przed sobą dalszą karierę, bardzo przyzwoitą, nawet świetną. Ale w

porównaniu z innymi możliwościami byłaby to historia trochę prozaiczna, droga z góry wytyczona, bez niespodzianek. Wiesz, jak ja przepadam za niespodziankami, a teraz, kiedy zachowałam wszystkie atuty w rękę, z pewnością zobaczymy wielką grę.

– Nie bardzo rozumiem, o czym mówisz – powiedziała. – Ale jeżeli oczekujesz czegoś wielkiego, na pewno cię zawiodę.

– Musiałabyś jednocześnie siebie sama zawieść, a to byłby dla ciebie bolesny cios.

Na to nie odpowiedziała bezpośrednio – w jego słowach było sporo prawdy zasługującej na rozważenie. W końcu odparła krótko:

– Nie pojmuję, co w tym złego, że nie chcę się z nikim wiązać. Nie chcę zaczynać życia od wyjścia za męża. Kobieta ma wiele innych rzeczy do zrobienia.

– Ale niczego nie robi tak dobrze. Ty, naturalnie, jesteś wszechstronna.

– Wystarczy, że nie jestem jednostronna.

– I ze wszystkich stron prześliczna! – wykrzyknął kuzyn, ale zerknąwszy na nią, zaraz spoważniał, czego dowodem były jego dalsze słowa: – Chcesz poznać życie. Niech mi głowę utną, muszę użyć świata, jak mówią młodzi ludzie.

– Przypuszczam, że inaczej będę używała życia niż ci młodzi ludzie. Ale chciałabym się rozejrzeć w świecie.

– Wychylić do dna puchar, wszystkiego doświadczyć!

– Nie, tego pucharu nie tknę nawet, to trucizna. Chcę tylko zobaczyć wszystko własnymi oczyma.

– Zobaczyć, ale nie przeżyć sercem – zrozumiał Ralph.

– Dla kogoś, kto ma wrażliwe serce, nie istnieje takie rozróżnienie. Jestem podobna do Henrietty. Przed kilku dniami, kiedy ją spytałam, czy zamierza wyjść za męża, odpowiedziała: „Najpierw muszę poznać Europę”. Ja też chcę poznać Europę, zanim wyjdę za męża.

– Najwidoczniej spodziewasz się oczarować jakiegoś następcę tronu.

– Nie, to byłoby gorsze niż małżeństwo z lordem

Warburtonem. Ale robi się już ciemno – zauważyła Isabel – muszę wracać do hotelu.

Wstała, lecz Ralph nie ruszył się z krzesła i tylko patrzył na nią. Zatrzymała się więc w miejscu i wymienili spojrzenia, w których oboje – ale przede wszystkim Ralph – zawarli wiele treści tak niejasno sformułowanych, że nie dałyby się wyrazić w słowach.

– Odpowiedziałas na moje pytania – rzekł wreszcie. – Wiem już, co chciałem wiedzieć. Bardzo ci dziękuję.

– Mnie się zdaje, że powiedziałam niewiele.

– Powiedziałas coś najważniejszego: że jesteś ciekawa świata i chcesz się rzucić w jego wiry.

Jej oczy błysnęły srebrzyście w zapadającym zmierzchu.

– Nic takiego nie mówiłam.

– Ale taki był sens twoich słów. Nie wypieraj się, to piękny zamiar!

– Nie wiem, jakie zamiary próbujesz mi przypisać. Nie mam ani trochę awanturniczego ducha. Kobiety są inne niż mężczyźni.

Ralph z wolna wstał i razem podeszli do furtki skweru.

– Tak – powiedział – kobiety rzadko chełpią się odwagą.

Mężczyznom zdarza się to aż za często.

– Mają się czym pochwalić.

– Kobietom też nie brak odwagi. Ty masz jej bardzo dużo.

– Mam jej dość, żeby pojechać dorożką do hotelu, ale nic więcej.

Ralph otworzył furtkę, a kiedy przez nią wyszli, zamknął z powrotem.

– Znajdziemy dla ciebie dorożkę! – Skręcili w sąsiednią ulicę, gdzie poszukiwania mogły okazać się skuteczne, i wtedy raz jeszcze poprosił kuzynkę, żeby pozwoliła służyć sobie opieką w drodze do hotelu.

– Stanowczo nie! – odparła. – Jesteś bardzo zmęczony. Idź do domu i kładź się do łóżka.

Znaleźli dorożkę. Ralph pomógł kuzynce wsiąść i chwilę jeszcze stał przy drzwiczkach.

– Czasem przykro mi, kiedy ludzie zapominają o moim niedołęstwie – powiedział – ale jeszcze gorzej, gdy o nim pamiętają.

## ROZDZIAŁ XVI

Isabel nie pozwoliła Ralphowi odwiedzić się do hotelu bez żadnych ukrytych powodów; po prostu uprzytomniła sobie, że w ostatnich dniach zajęła mu niezwykle wiele czasu i jej niezależny duch uznał wreszcie, że nadmiar pomocy stwarza sytuację nieco sztuczną; dlatego postanowiła radzić sobie przez kilka godzin samodzielnie. Poza tym lubiła od czasu do czasu chwilę samotności, a niewiele miała takich okazji, odkąd bawiła w Anglii. W kraju rodzinnym zawsze stać ją było na ten luksus i teraz dotkliwie go jej brakowało. Tego wszakże wieczoru zdarzyło się coś, co krytycznemu obserwatorowi – gdyby taki istniał – dałoby argumenty do obalenia teorii, jakoby pragnienie samotności skłoniło pannę Archer do pozbycia się towarzystwa kuzyna. Około dziewiątej, gdy w słabo oświetlonym hotelowym pokoju przy blasku dwóch wysokich świec próbowała zagłębić się w lekturze książki, pożyczonej z biblioteki wuja, zamiast wydrukowanego tekstu odczytywała między wierszami słowa, które po południu usłyszała z ust Ralpha. Nagle służący dyskretnie zapukał w drzwi i ukazał się w progu, niosąc na tacce niby cenne trofeum bilet wizytowy. Przez chwilę ze wzrokiem wbitym w widniejące na bilecie nazwisko Caspara Goodwooda milczała, chociaż służący stał przed nią i czekał na polecenia.

– Czy mogę tego dżentelmena wprowadzić? – spytał wreszcie, jakby chciał ją ośmielić.

Isabel jeszcze wahała się, ale już spoglądała w lustro.

– Proszę, niech wejdzie – powiedziała w końcu i czekając na gościa, nie tyle przyglądała włosy, ile zbroiła się w odwagę.

W następnej chwili Caspar Goodwood ścisnął jej rękę, nic jednak nie mówił, dopóki służący nie zniknął za drzwiami.

– Dlaczego pani nie odpisała na mój list? – spytał szybko, głośno, nieco rozkazująco, tonem człowieka, który zwykł formułować pytania rzeczowo i domagać się na nie odpowiedzi.

Isabel, zamiast odpowiedzieć, spytała:

– Skąd pan dowiedział się, że tu jestem?

– Od panny Stackpole. Powiadomiła mnie, że pani dziś wieczorem będzie w hotelu sama i prawdopodobnie zechce mnie przyjąć.

– Gdzie pan się z nią spotkał?

– Nie widziałem się z nią, ale napisała do mnie.

Isabel milczała. Oboje nie usiedli, stali naprzeciw siebie, jakby gotowi do walki czy przynajmniej sporu.

– Henrietta nie wspominała ani słowa, że do pana pisała – oznajmiła w końcu Isabel. – To nieładnie z jej strony.

– Czy mój widok jest pani tak bardzo niemiły? – spytał.

– Nie oczekiwałam pańskiej wizyty. Nie lubię takich niespodzianek.

– Wiedziała pani, że jestem w Londynie, to chyba naturalne, że się spotkaliśmy.

– Pan to nazywa spotkaniem? Nie przewidywałam, że pana tu zobaczę. Miasto jest ogromne, więc wydawało mi się zupełnie możliwe, że tego uniknę.

– Nawet odpisać mi pani nie zechciała! – westchnął Goodwood.

Isabel nie usprawiedliwiała się, przejęta oburzeniem na Henriettę, której postępek w tej chwili uważała za zdradę.

– Henrietta doprawdy nie jest wzorem delikatności! – wykrzyknęła z goryczą. – Przekroczyła dozwolone granice!

– Ja też nie jestem wzorem ani tej cnoty, ani żadnej innej. Zawiniłem nie mniej niż panna Stackpole.

Isabel spojrzała na swego gościa i wydało jej się, że jego szczeka jest bardziej jeszcze niż kiedykolwiek kanciasta. Powinno ją to usposobić niechętnie, lecz wywołało zupełnie inną reakcję.

– Nie, pan nie zawinił tak ciężko jak ona. Pan po prostu nie mógł zachować się inaczej.

– Ma pani słuszość! – zakrzyknął z nieco wymuszonym śmiechem Goodwood. – A skoro przyszedłem, czy pozwoli mi pani zostać?

– Oczywiście, proszę, niech pan siada.

Wróciła na fotel, a Goodwood przysiadł na pierwszym z brzegu krześle, jak przystało człowiekowi, który nie zwraca uwagi na takie fizyczne podpory.

– Dzień po dniu czekam na pani odpowiedź. Mogła pani napisać chociaż kilka słów.

– Nie sprawiłoby mi trudności napisanie nawet czterech arkuszy. Wolałam odpowiedzieć milczeniem – odparła Isabel. – To wydało mi się najstosowniejsze.

Patrzył prosto w jej oczy, gdy mówiła, potem spuścił powieki i wbił wzrok w dywan, jakby mocując się ze sobą, żeby nie powiedzieć więcej, niż wypadało. Był silnym człowiekiem, który popełnił błąd i ma dość inteligencji, aby rozumieć, że bezkompromisowo manifestując siłę, pogorszyłby tylko i tak już fałszywą sytuację. Isabel nie należała do kobiet, które odmówiłyby sobie wykorzystania własnej przewagi nad tak niebezpiecznym przeciwnikiem, a chociaż nie miała zapewne ochoty drażnić go, mogłaby z satysfakcją, a nawet z tryumfem powiedzieć: „Pan dobrze wie, że nie powinien był do mnie pisać!”

Podniósł wzrok – szukał spotkania z jej oczyma, ale widział tylko ich błysk jakby zza spuszczonej przyłbicy. Miał własne poczucie sprawiedliwości i był gotów o każdej porze dnia i nocy, przez rok albo i dłużej dyskutować o słuszności swoich praw.

– Wiem, pani powiedziała, że ma nadzieję nigdy więcej mnie już nie widywać. Ale ja nie przyjąłem tego wyroku. Uprzedziłem panią, że wkrótce znowu będę do pani apelował.

– Nie powiedziałam: „nigdy” – sprostowała Isabel.

– A więc w ciągu pięciu, dziesięciu czy dwudziestu lat. Na to samo wychodzi.

– Tak pan sądzi? Mnie się zdaje, że to ogromna różnica. Wyobrażam sobie, że za dziesięć lat moglibyśmy prowadzić bardzo miłą korespondencję. Do tego terminu zapewne opanuję doskonale sztukę pisania listów.

Mówiąc to, odwróciła głowę, uświadamiając sobie, że replika nie jest godna powagi, jaka maluje się na twarzy partnera. Spotkała



znów jego spojrzenie, gdy zadawał dość nieoczekiwane pytanie:

– Czy przyjemnie spędza pani czas w domu swego wuja?

– Bardzo przyjemnie... – Urwała, lecz po krótkiej chwili podjęła na nowo: – Co pan się spodziewa osiągnąć tym uporem?

– To, że nie utracę pani.

– Nie może pan mówić o stracie czegoś, co do pana nigdy nie należało. Nawet z pańskiego punktu widzenia – dodała – powinien by pan rozumieć, że nadchodzi moment, gdy trzeba zrezygnować.

– Wydaję się pani bardzo odpychający – posępnie rzekł Caspar Goodwood, nie po to, żeby w niej wzbudzić współczucie dla mężczyzny świadomego swej klęski, lecz żeby ten nieszczęsny fakt jasno sobie uprzytomnić i nie spuszczać go z oczu, podejmując dalsze działania.

– Tak, nie jest mi pan miły, nie ma dla pana miejsca w mojej obecnej sytuacji, a co najgorsze, niepotrzebnie wystawia pan moje uczucia na tę próbę.

Nie był z natury miękki i byle ukłucie szpilki nie mogło z niego wycisnąć kropli krwi; od pierwszego dnia znajomości zmuszona bronić się przed nim, bo całą swoją postawą zdawał się mówić, że lepiej niż ona sama wie, czego jej do szczęścia potrzeba, doszła do przekonania, że najlepszym orężem jest bezwzględna szczerłość. Daremnie próbowałyby oszczędzać jego uczucia lub też wymykać się chyłkiem, jak mogłaby zrobić, gdyby zastąpił jej drogę słabszy człowiek; te metody byłyby próżnym trwonieniem energii wobec Goodwooda, który chwyciłby się kurczowo nawet słomki, gdyby mu ją podała. Nie był pozbawiony wszelkiej wrażliwości, ale czy to biernie, czy też czynnie, przeciwstawiał światu powierzchnię szeroką i twardą; niewątpliwie umiał sam w razie potrzeby opatrywać doznane rany. Toteż nawet w ocenie jego cierpienia i bólu Isabel znów oparła się na dawnym swoim przeświadczeniu, że Caspar Goodwood urodził się w stalowym pancerzu i jest z natury uzbrojonym napastnikiem.

– Nie mogę się z tym pogodzić – wyznał po prostu. Była w nim niebezpieczna wspaniałomyślność, bo Isabel dobrze wiedziała, jak łatwo mógłby przypomnieć, że nie zawsze zdawał jej się

odpychający.

– Ja też nie mogę się z tym pogodzić i nie tak powinny by się układać stosunki między nami. Gdyby tylko zechciał pan wygnać mnie ze swoich myśli na kilka miesięcy, wszystko znów wróciłoby do równowagi.

– Rozumiem. Gdybym przestał myśleć o pani na określony przeciąg czasu, okazałoby się, że tak już mam zachowywać się zawsze.

– Zawsze – to byłoby więcej, niż prosiłam. Więcej, niżbym pragnęła.

– Pani wie, że to niemożliwe – powiedział ze stanowczością, która ją zirytowała.

– Czy nie może pan zdobyć się na świadomy wysiłek? – spytała. – W innych okolicznościach umie pan być bardzo silny, dlaczego w tym przypadku jest pan słaby?

– Ku czemu ten świadomy wysiłek by zmierzał? – A gdy milczała, ciągnął dalej: – Kiedy chodzi o panią, na nic nie mogę się zdobyć. Po prostu jestem w pani do szaleństwa zakochany. Mocny człowiek tym mocniej kocha.

– W tym coś jest! – Rzeczywiście nasza bohaterka odczuła moc tych słów rzuconych w morze prawdy i poezji jak przynęta dla wyobraźni. Ale zaraz ochłonęła: – Niech więc pan nie myśli o mnie albo myśli, jak panu łatwiej, ale proszę zostawić mnie w spokoju.

– Jak długo?

– No, rok czy dwa.

– A więc rok czy dwa lata? To przecież ogromna różnica!

– Powiedzmy, dwa lata – odparła Isabel ze sztuczną skwapliwością.

– A co na tym zyskam? – spytał Goodwood, znosząc cios bez zmrużenia oczu.

– Moją wdzięczność.

– Jakiej mogę spodziewać się nagrody?

– Czy wspaniałomyślność trzeba nagradzać?

– Tak, jeśli wymaga wielkiej ofiary.

– Bez ofiar nie ma wspaniałomyślności. Mężczyźni takich rzeczy nie rozumieją. Jeśli pan złoży tę ofiarę, zyska pan mój podziw.

– Nie dałbym centa... Nawet źdźbła słomy za pani podziw, jeśli nic poza nim nie dostanę. Kiedy zostanie pani moją żoną? To jedno mnie obchodzi.

– Nigdy, jeżeli będzie pan we mnie budził takie uczucia jak teraz.

– Cóż więc wygram, jeżeli nie będę starał się tych pani uczuć zmienić?

– To samo, co by pan wygrał, zadreńczając mnie na śmierć. Caspar Goodwood znowu spuścił oczy i przez chwilę wpatrywał się w główkę swojego kapelusza. Ciemny rumieniec rozlał się na jego policzkach; Isabel już wiedziała, że ostrze jej surowości w końcu przebiło pancerz. Natychmiast oceniła klasyczną, romantyczną, odkupiającą – sama dobrze nie rozumiała, jaką jeszcze – wartość tego rumieńca; „mocny człowiek cierpiący” to wyobrażenie przemawiające do ludzkich uczuć, nawet jeśli wchodzi w grę ktoś tak pozbawiony uroku jak w tym przypadku.

– Dlaczego pan mnie zmusza do mówienia takich rzeczy?! – krzyknęła drżącym głosem. – Chciałabym być łagodna, szczerze życzliwa. To dla mnie nic przyjemnego, że muszę komuś, komu nie jestem obojętna, tłumaczyć, żeby przestał się moją osobą interesować. Ale inni ludzie powinni też okazać wobec mnie pewną delikatność, każdy przecież ma prawo decydować o swoich sprawach. Wiem, pan starał się być delikatny, o tyle, o ile było to możliwe, ma pan wiele na usprawiedliwienie swego zachowania. Ale ja nie chcę doprawdy wyjść za mąż ani nawet o tym na razie dyskutować. Może nigdy nie wyjdę za mąż, myślę, że nigdy. Mam prawo do takiej postawy i człowiek, który tak uparcie nalega, który próbuje kobietę wbrew jej woli przekonać, postępuje niepoczciwie. Jeżeli zraniłam pana, mogę tylko powiedzieć, że bardzo z tego powodu ubolewam. Nie moja wina, trudno, żebym zgodziła się być pana żoną tylko dlatego, by panu oszczędzić przykrości. Nie mówię, że zawsze pozostanę pańską przyjaciółką, bo takie

obietnice ze strony kobiety w podobnej sytuacji uchodzą za drwiny. Ale mam nadzieję, że kiedyś pan się przekona o mojej życzliwości.

Goodwood słuchał tego przemówienia z oczyma utkwionymi w nazwisko swojego kapelusznika; gdy Isabel umilkła, dopiero po dłuższej chwili podniósł wzrok. Ale wtedy widok zaróżowionej, ślicznej w tym uniesieniu twarzy panny Archer zmaćcił jego myśli tak, że daremnie próbowałby trzeźwo zanalizować jej słowa.

– Wrócę do kraju... odpłynę jutro... zostawię panią w spokoju – wykrztusił wreszcie. Ale dodał z wysiłkiem: – Cierpię na myśl, że stracę panią z oczu.

– Niech pan się nie obawia. Nie zrobię nic złego.

– Wyjdzie pani za kogoś innego, to jasne jak słońce – stwierdził.

– Czy pan sądzi, że to jest lojalny zarzut?

– Czemuż by nie? Mężczyźni będą panią oblegali.

– Przed chwilą powiedziałam panu, że nie myślę i prawie na pewno nigdy nie będę myślała o małżeństwie.

– Pamiętam, co pani mówiła; podoba mi się to „prawie na pewno”. Nie wierzę pani!

– Pięknie dziękuję. Czy oskarża mnie pan, że kłamię, byle się pana pozbyć? Miłe rzeczy mówi mi pan!

– Dlaczego nie miałbym tego powiedzieć? Pani się do niczego wobec mnie nie zobowiązała.

– Tego by jeszcze brakowało!

– Pani zapewne wierzy, że nic jej nie grozi, ponieważ pani w to chce wierzyć. Ale tak nie jest – ciągnął dalej Goodwood, jakby przygotowany na najgorsze.

– A więc dobrze. Przypuśćmy, że grożą mi jakieś niebezpieczeństwa. Nie będę się o to sprzeczała.

– Nie wiem jednak – powiedział Caspar – czy nawet nie tracąc pani z oczu, mógłbym temu zapobiec.

– Ach, tak? Pan mnie przeraża. Czy pan myśli, że tak łatwo jest zdobyć moje względy? – spytała nieoczekiwanie, zmieniając ton.

– Nie, tego nie myślę. Tym właśnie będę próbował się pocieszać. Ale niewątpliwie jest na świecie trochę mężczyzn zdolnych olśnić młodą dziewczynę, wystarczy, że pani jednego takiego człowieka spotka. Ci najbardziej olśniewający będą starali się panią zdobyć. Na innych oczywiście nawet pani nie spojrzy.

– Jeśli pan mówi o olśnieniu błyskotliwą inteligencją – odparła Isabel – a nie wyobrażam sobie, żeby mógł pan mieć coś innego na myśli, to nie jest mi potrzebny mądry mężczyzna, żeby mnie pouczył, jak żyć. Sama to odkryję.

– Odkryje pani, jak żyć samotnie? Cieszyłbym się, gdyby to się pani udało, bo może wtedy zechciałaby pani mnie nauczyć tej sztuki.

Patrzyła na niego chwilę, potem uśmiechnęła się nagle.

– Och, nie, pan powinien się ożenić.

Można by mu wybaczyć, gdyby w tym okrzyku dosłyszał nutę piekielnego szyderstwa, i nie sposób twierdzić, że jasne są pobudki, które skłoniły pannę Archer do użycia tej zatrutej strzały. Była jednak szczerze przeświadczona, że taki człowiek jak Caspar Goodwood nie powinien błądzić po świecie głodny i wychudły.

– Niech Bóg pani wybaczy – szepnął przez zaciśnięte zęby i odwrócił twarz.

Wprowadziła fałszywą nutę i poczuła się winna, toteż chciała co prędzej naprawić błąd, a najłatwiej było to zrobić, przerzucając winę na przeciwnika.

– Jest pan dla mnie bardzo niesprawiedliwy – powiedziała. – Mówi pan o sprawach, o których pan nic nie wie. Nie jestem łatwą ofiarą. Niedawno dałam tego dowód.

– Dla mnie rzeczywiście nie okazała się pani łatwą ofiarą.

– Dla innych także! – I po krótkiej chwili dodała: – W zeszłym tygodniu odmówiłam ręki komuś... kogo pan z pewnością zaliczyłby do mężczyzn zdolnych olśnić kobietę.

– Cieszy mnie to – powiedział poważnie.

– Była to propozycja, którą większość dziewczyn na moim miejscu przyjęłaby, propozycja pod każdym względem świetna. – Isabel nie zamierzała opowiedzieć mu tej historii, ale skoro raz

zaczęła, okazało się, że wspomnienie to i płynąca z niego chluba sprawia jej przyjemność. – Oświadczył mi się człowiek mający wysoką pozycję i wielki majątek, w dodatku człowiek, którego bardzo, bardzo lubię.

Goodwood patrzył na nią w napięciu.

– Anglik? – spytał.

– Angielski arystokrata.

Caspar Goodwood uczcił tę informację minutą milczenia, potem rzekł:

– Cieszę się, że ten pan doznał zawodu.

– A więc ma pan towarzysza w niedoli, może to panu dostarczy satysfakcji.

– Nie mogę nazwać go swoim towarzyszem – oznajmił posępnie.

– Dlaczego? Przecież odmówiłam mu stanowczo!

– To nie pasuje go jeszcze na mojego towarzysza. Zresztą jest Anglikiem.

– Czy Anglik to nie człowiek? – spytała Isabel.

– Ach, Anglicy! Nie należą do mojego gatunku ludzkiego i nic mnie ich losy nie obchodzą.

– Pan jest zagniewany – stwierdziła. – Dość już tej dyskusji.

– O, tak, jestem bardzo zagniewany, do tej winy przyznaję się szczerze.

Odwróciła się, podeszła do otwartego okna i przez chwilę spoglądała w mroczną pustkę ulicy, gdzie mętne światła gazowych latarni były jedynym sygnałem wielkomiejskiego życia. Przez czas jakiś żadne z nich nie odzywało się wcale; Caspar stał przy kominku i śledził dziewczynę posępnym wzrokiem. Dała mu jednoznacznie do zrozumienia, że powinien już odejść, wiedział to, ale ryzykując, że jej do reszty obrzydnie, trwał w uporze. Zbyt długo, zbyt gorąco jej pragnął, aby łatwo skapitulować, przepłynął ocean tylko po to, żeby wymusić na niej choćby strzępek obietnicy. Wreszcie Isabel odsunęła się od okna i stanęła przed swoim gościem.

– Wciąż traktuje mnie pan niesprawiedliwie, nawet po

zwierzeniu, które przed chwilą pan ode mnie usłyszał. Żałuję, że panu o tym powiedziałam, skoro tak mało przywiązuje pan wagi do tej sprawy.

– O! – wykrzyknął. – Jeżeli pani myślała o mnie, odmawiając tamtemu... – Urwał, przerażony, że Isabel zaprzeczy temu tak pocieszającemu przypuszczeniu.

– Trochę i o panu myślałam – odparła.

– Trochę? Nie rozumiem. Jeżeli świadomość, czym pani jest dla mnie, ma dla pani jakieś znaczenie, to „trochę” byłoby o wiele za mało!

Isabel potrząsnęła głową, jakby zirytowało ją to nieporozumienie.

– Odmówiłam najlepszemu, najszlachetniejszemu człowiekowi. Niechże pan to doceni.

– A więc dziękuję pani za to – poważnie odparł Goodwood. – Dziękuję z głębi serca.

– Teraz niech pan lepiej wróci do kraju.

– Czy nie będzie mi wolno zobaczyć pani raz jeszcze? – spytał.

– Lepiej nie. Powtarzałby pan znowu te same argumenty, a przekonał się pan, że to do niczego nie prowadzi.

– Przyrzekam, że nie powiem ani jednego słowa, które mogłoby pani być niemiłe.

Isabel zastanawiała się chwilę.

– Jutro czy pojutrze wracam do Gardencourt. Nie mogę pana tam zapraszać, to byłoby zanadto niekonsekwentne.

Caspar Goodwood także namyślał się, nim odpowiedział:

– Teraz pani nie chce być dla mnie sprawiedliwa. Przed tygodniem dostałem zaproszenie do Gardencourt i nie skorzystałem z niego.

Nie umiała ukryć zaskoczenia.

– Kto pana zapraszał?

– Pan Ralph Touchett, jak się domyślam, pani kuzyn. Nie skorzystałem, ponieważ pani nie upoważniła mnie do tego. O ile wiem, to panna Stackpole zaproponowała synowi gospodarza,

żeby mnie zaprosił.

– Z pewnością nie ja – odparła Isabel. – Henrietta doprawdy za wiele sobie pozwala.

– Niech pani nie będzie dla niej zbyt surowa, to mnie też obciąża.

– Nie, pan tej okazji nie wykorzystał, postąpił pan słusznie i dziękuję panu za to. – Zadrżała na myśl, że pan Warburton i pan Goodwood mogli się spotkać w Gardencourt: byłaby to sytuacja okropnie kłopotliwa dla lorda Warburtona.

– A po wyjeździe z domu wuja dokąd się pani wybiera? – spytał Goodwood.

– Z ciocią za granicę... do Florencji i w różne inne miejsca.

Spokój, z jakim to oznajmiła, zmroził serce Caspara; oczyma wyobraźni widział, jak nurt porywa ją w kręgi świata, do których on nie ma wstępu. Jednakże szybko zadał nowe pytanie:

– A kiedy wróci pani do Ameryki?

– Zapewne nieprędko. Tutaj czuję się doskonale.

– Pani zamierza wyrzec się rodzinnego kraju?

– Niechże pan nie będzie dziecinny!

– A więc rzeczywiście stracę panią z oczu – powiedział Goodwood.

– Nie wiem – odparła trochę wyniośle – świat tak wszędzie zagospodarowany, z tylu krajami stłoczonymi jeden obok drugiego, wydaje mi się dość mały.

– O wiele za duży dla mnie! – wykrzyknął Caspar z prostotą, którą może wzruszyłby pannę Archer, gdyby nie to, że postanowiła zachować kamienną twarz i nie ulec żadnej słabości. Postawa ta wynikała z przyjętej ostatnio teorii, żeby więc stosować ją konsekwentnie, Isabel powiedziała:

– Niech mi pan nie bierze za złe, jeśli wyznam, że właśnie to – umknięcie panu z oczu – bardzo mnie cieszy. Gdyby pan był w pobliżu, zawsze czułabym się śledzona, a tego nie cierpię, zanadto cenię sobie wolność. Jeśli na czymś w życiu naprawdę mi zależy – ciągnęła dalej i w głosie jej znowu odezwała się nieco wyniosła nuta – to właśnie na osobistej niezależności.



Ale nawet odrobina przesadnej dumy w jej słowach potęgowała tylko uwielbienie Caspara Goodwooda; nie raziło go nic w tej pozie istoty wyższej. Nigdy nie wątpił, że Isabel ma skrzydła i że trzeba jej szerokiej przestrzeni, pięknej swobody ruchów; miał długie ramiona i pewny krok, nie bał się jej siły. Jeżeli Isabel chciała go tym oświadczeniem odstraszyć, to chybiła celu – wywołała tylko uśmiech i przekonanie, że wreszcie znaleźli się na wspólnym gruncie.

– Czy jest w świecie człowiek, który by mniej niż ja pragnął ograniczyć pani wolność? Nie wyobrażam sobie większego szczęścia niż widok pani całkowicie niezależnej, robiącej, co jej się podoba. Właśnie dlatego chcę się z panią ożenić, żeby zapewnić pani taką niezależność.

– To piękny sofizmat – odparła Isabel z jeszcze piękniejszym uśmiechem.

– Kobieta niezamężna, dziewczyna w pani wieku nie jest niezależna. Nie wolno jej robić mnóstwa rzeczy. Krępuje się każdy jej krok.

– Tylko wtedy, kiedy sama tak sądzi – porywczo odparła Isabel. – Nie jestem już podlotkiem, mogę robić, co mi się podoba, należę do klasy całkowicie niezależnej. Nie mam ojca ani matki, jestem biedna i z natury poważna, nie jestem ładna. Nie muszę więc być nieśmiała i konwencjonalna, nie stać mnie na ten luksus. Poza tym staram się myśleć samodzielnie, uważam, że mniej wstydu przynosi błąd w ocenie niż brak własnego zdania. Nie chcę być tylko jedną z wielu owiec w stadzie. Chcę sama kierować swoim losem i dowiedzieć się o ludzkich sprawach czegoś więcej niż to, co inni uznają za stosowne mi wyjawić. – Umilkła na chwilę, zbyt krótką jednak, by Goodwood zdążył odpowiedzieć. Był, jak się zdawało, gotów to zrobić, lecz Isabel podjęła znowu: – Coś jeszcze panu powiem. Mówił pan o swoich obawach, że wyjdę za kogoś innego. Jeżeli dojdą do pana pogłoski o takich moich zamiarach – bo ludzie chętnie młodym dziewczynom przypisują plany matrymonialne – niech pan przypomni sobie, co dzisiaj powiedziałam o moim przywiązaniu do niezależności, i niech pan

ma odwagę nie dowierzać plotkom.

Gorące przekonanie, z jakim udzieliła mu tej rady, i szczerść bijąca z jej oczu pomogły Goodwoodowi uwierzyć w jej zapewnienia. W rezultacie uspokoił się, co można było wyczuć w jego głosie, kiedy z pewnym ożywieniem odpowiedział:

– Pani chce po prostu spędzić dwa lata na podróżach? Chętnie poczekam i oczywiście może pani robić, co jej się spodoba przez ten czas. Jeśli to jest wszystko, czego pani żąda, proszę mi jasno tak powiedzieć. Wcale nie pragnę, żeby pani przestrzegająca światowych konwencji, chyba pani mnie nie uważa za człowieka konwencjonalnego? Pani chce rozszerzyć swoje horyzonty umysłowe? Moim zdaniem niczego nie brakuje pani intelektowi, ale skoro ma pani ochotę rozejrzeć się po świecie i zobaczyć różne kraje, to byłbym szczęśliwy, gdybym mógł pani w tym dopomóc, w miarę moich możliwości.

– Jest pan bardzo wielkoduszny, to zresztą nie nowina dla mnie. Najlepiej mi pan pomoże, jeśli odgrodzi się ode mnie wielu milami oceanu.

– Można by myśleć, że pani zamierza popełnić coś okropnego! – wykrzyknął Goodwood.

– Może! W każdym razie chcę mieć swobodę i robić wszystko, na co mi przyjdzie fantazja.

– A więc wracam do kraju – powiedział, wyciągając do niej rękę i siląc się na minę człowieka zadowolonego i ufającego. Jednakże nie mógł zdobyć się na tak wielką ufność jak ta, którą Isabel go obdarzała. Nie podejrzewał wprawdzie, aby zdolna była do jakichś okropnych uczynków, lecz mimo wszystko wyczuwał coś złowieszczonego w tym upartym unikaniu jakichkolwiek zobowiązań. Isabel uścisnęła jego dłoń ze szczerym szacunkiem – wiedziała, jak bardzo mu na niej zależy, i podziwiała jego wspaniałomyślność. Stali chwilę, patrząc na siebie, złączeni uściskiem rąk, któremu Isabel dość chętnie się poddała.

– To dobrze – powiedziała łagodnie, prawie czule. – Nic pan nie straci na rozsądnym zachowaniu.

– Ale za dwa lata odnajdę panią, gdziekolwiek pani wtedy

będzie – odparł ze zwykłym swoim uporem.

Czytelnik już zauważył, że nasza bohaterka nie była konsekwentna; w tej chwili też zmieniła nagle ton:

– Proszę pamiętać, że niczego nie obiecałam, niczego! – I bardziej miękko, jak gdyby chcąc mu ułatwić pożegnanie, dodała:

– Proszę też pamiętać, że nie jestem łatwą ofiarą.

– Sprzykrzy się pani wkrótce niezależność.

– Możliwe, nawet bardzo prawdopodobne, że tak będzie. A kiedy ta godzina wybiję, chętnie się znowu z panem spotkam.

Z ręką na klamce drzwi prowadzących do jej sypialni czekała, żeby gość zdecydował się odejść. Ale Caspar Goodwood zdawał się być przykuty do miejsca; cała jego postawa wyrażała wciąż jeszcze sprzeciw, a spojrzenie – bolesny protest.

– Muszę już pana pożegnać – powiedziała Isabel; otworzyła drzwi i przeszła do sąsiedniego pokoju.

Było tam ciemno, lecz przez okno płynęło z hotelowego dziedzińca trochę światła, tak że widziała zarysy mebli, nikły połysk lustra i majaczące w mroku wielkie, osłonięte baldachimem łóżko. Chwilę nasłuchiwała, aż wreszcie do uszu jej dobiegł odgłos oddalających się kroków i zamykających się drzwi. Stała jeszcze czas pewien bez ruchu, potem jakiś nieodparty odruch kazał jej klęknąć przy łóżku i ukryć twarz w rękach.

## ROZDZIAŁ XVII

Nie modliła się jednak; drżała na całym ciele. Miała do tego skłonności, nerwy jej łatwo, niemal stale wibrowały i teraz dygotały wszystkie jak struny potraconej harfy. Pragnęła tylko ukryć się, osłonić i przewyciężyć podniecenie, a modlitewna poza sprzyjała temu. Cieszyła się, że Goodwood odszedł; pozbyła się go i sprawiało jej to taką satysfakcję, jakby trzymała w ręku ostemplowany kwit od dawna ciężącego na niej i wreszcie spleaconego długu. Ogarnęło ją radosne uczucie ulgi i schyliła niżej jeszcze głowę; ta radość tętniła w jej mózgu i sercu, stanowiła ważną część jej wzruszenia, ale była czymś wstydliwym, pospolitym i niestosownym. Dopiero po dziesięciu minutach wstała z klęczek, lecz nawet gdy wróciła do salonu, drzenie jeszcze nie ustało całkowicie. W istocie złożyły się na to dwie przyczyny: częściowo można je złożyć na karb długiej, trudnej rozmowy z Casparem, ale, niestety, znaczną rolę grało też rozkoszne poczucie władzy. Usiadła w tym samym fotelu i sięgnęła po książkę, ale nie otworzyła jej choćby dla pozorów. Oparła się wygodnie i z ust jej wydobyło się ciche mruknięcie czy też westchnienie, jakim przywykła reagować na zdarzenia, których jaśniejsza strona nie była widoczna dla powierzchownego obserwatora, i pograżyła się w przyjemnych refleksjach, że w ciągu dwóch tygodni odprawiła dwóch gorących wielbicieli. Umiłowanie wolności, które tak śmiało wyznała Goodwoodowi, było dotychczas uczuciem niemal wyłącznie teoretycznym; nie miała okazji, by je praktykować na większą skalę; zdawało jej się, że wreszcie coś osiągnęła: poznała jeśli nie smak bitwy, to przynajmniej smak zwycięstwa; wykonała wiernie swój plan. W blasku tej świadomości obraz smutnego Caspara wędrującego ciemnymi ulicami miasta ukazał jej się jak wyrzut sumienia, toteż gdy w tym momencie drzwi salonu otworzyły się, Isabel zerwała się z fotela, przerażona, że to on wraca. Ale to tylko Henrietta wróciła z wieczornej wizyty.

Panna Stackpole od jednego rzutu oka zgadła, że Isabel przeżyła coś ważnego podczas jej nieobecności; nietrudno zresztą było tego się domyślić. Podeszła do przyjaciółki, która nie powitała jej ani słowem. Radość, że udało jej się odesłać Goodwooda z powrotem do Ameryki, mogła oznaczać, że w pewnym sensie Isabel była zadowolona z jego wizyty, ale za dobrze pamiętała o pułapce, jaką na nią zastawiła Henrietta.

– Czy był tutaj? – z wyczekiwaniem w głosie spytała panna Stackpole.

Isabel odwróciła się i nie od razu jej odpowiedziała.

– Postąpiłaś bardzo źle – stwierdziła w końcu.

– Miałam najlepszą wolę. Spodziewałam się, że ty ją także okażesz.

– Nie do ciebie należy decyzja. Nie mogę ci ufać – powiedziała Isabel.

Słowa obraźliwe, ale Henrietta nie była egoistką i nie zważała na osobiste przykrości; zmartwiły ją tylko wnioski, jakie z tego wyciągnęła o zamiarach przyjaciółki.

– Isabel! – przemówiła równie surowo i uroczyście. – Jeżeli wyjdiesz za cudzoziemca, nigdy nie odezwę się już do ciebie.

– Z tą okrutną pogroźką zaczekaj, aż mi się któryś z nich oświadczy! – odparła Isabel. Nie pisnęła ani słówka Henriecie o propozycjach lorda Warburtona, nie miała też ochoty usprawiedliwiać się przed nią, wyjawiając, że już dała kosza angielskiemu arystokracie.

– O, z pewnością będziesz miała mnóstwo wielbicieli na kontynencie. Annie Climber, biedactwo, chociaż nieładna, znalazła we Włoszech aż trzech!

– Skoro Annie Climber oparła się tym pokusom, dlaczego ja bym miała im ulec?

– Przypuszczam, że o nią nikt bardzo gorliwie się nie starał, ale w twoim przypadku będą z pewnością natarczywi.

– Pochlebiasz mi – odparła spokojnie Isabel.

– Nie pochlebiam ci, mówię tylko prawdę! – wykrzyknęła panna Stackpole. – Nie powiesz mi chyba, że nie zostawiłaś panu

Goodwoodowi ani odrobiny nadziei?

– Nie widzę powodu, żeby ci cokolwiek mówić; jak już przed chwilą słyszałaś, nie mogę ci ufać. Ale jeśli tak bardzo interesuje cię pan Goodwood, nie będę przed tobą ukrywała, że wybiera się niezwłocznie z powrotem do Ameryki.

– To znaczy, że go odprawiłaś z niczym?! – niemal wrzasnęła Henrietta.

– Poprosiłam go, żeby mnie zostawił w spokoju, i ciebie o to samo proszę.

Panna Stackpole na chwilę zmieniła się na twarzy, potem przed lustrem wiszącym nad kominkiem zdjęła kapelusz.

– Mam nadzieję, że przyjemnie spędziłaś wieczór – powiedziała Isabel.

Henrietta nie dała się jednak wciągnąć w rozmowę o błahostkach.

– Czy wiesz, dokąd zmierzasz, Isabel? – spytała.

– Na razie do łóżka – odparła Isabel, wciąż lekkim tonem.

– Czy wiesz, dokąd cię to może zaprowadzić? – nalegała Henrietta delikatnie, trzymając w rękach kapelusz.

– Nie mam pojęcia, i to mi właśnie sprawia przyjemność. Karetka mknąca wśród ciemnej nocy, tętent czwórki koni na niewidocznej w mroku drodze – oto jak sobie wyobrażam szczęście.

– Pan Goodwood z pewnością nie nauczył cię wygłaszania takich zdań, godnych bohaterki niemoralnego romansu – powiedziała Henrietta. – To się skończy jakąś bardzo smutną pomyłką.

Isabel, chociaż rozdrażniona wścibstwem przyjaciółki, próbowała zastanowić się, czy w jej przestrojach nie kryje się trochę prawdy. Nie mogła jednak dostrzec w nich nic takiego, co by jej przeszkodziło stwierdzić:

– Bardzo mnie widać lubisz, jeżeli jesteś taka agresywna.

– Kocham cię bezgranicznie! – odparła z przejęciem panna Stackpole.

– A więc daj mi bezgraniczny spokój. O to prosiłam pana

Goodwooda i o to samo ciebie proszę.

– Strzeż się, Isabel, bo może zostaniesz aż nadto samotna.

– Pan Goodwood również tego się obawia. Powiedziałam mu, że gotowa jestem zaryzykować.

– Jesteś urodzoną ryzykantką! Drzę o ciebie! – zawołała panna Stackpole. – Kiedy pan Goodwood wyjeżdża do Ameryki?

– Nie wiem. Nie powiedział mi tego.

– Zapewne nie spytałaś go o to – ironicznie zauważyła zgorszona Henrietta.

– Nie spełniając jego nadziei, nie czułam się upoważniona do stawiania pytań.

Stwierdzenie to w pierwszym momencie zamknęło usta pannie Stackpole, która dopiero po chwili wykrzyknęła:

– Gdybym cię nie znała, Isabel, mogłabym pomyśleć, że nie masz serca!

– Uważaj! – odparła Isabel. – Wreszcie zepsujesz mnie nadmiarem komplementów.

– Boję się, że już to zrobiłam. Mam nadzieję – dodała panna Stackpole – że przynajmniej odbędzie podróż tym samym statkiem co Annie Climber.

Nazajutrz Isabel dowiedziała się od Henrietty, że ta nie zamierza wrócić do Gardencourt (gdzie, jak ją zapewnił pan Touchett, byłaby w dalszym ciągu mile widziana), lecz będzie w Londynie czekała na zaproszenie od lady Pensil, które jej obiecał brat tej damy, pan Bantling. Panna Stackpole szczerze powtórzyła przyjaciółce swoją rozmowę z sympatycznym znajomym Ralpa i wyraziła przeświadczenie, że tym razem uchwyciła nić, która zaprowadzi ją do celu. Po otrzymaniu listu od lady Pensil – a pan Bantling niemal ręczył, że takie pismo wkrótce nadejdzie – wyjedzie niezwłocznie do Bedfordshire, a jeśli Isabel będzie ciekawa jej wrażeń z tej wizyty, znajdzie je bez wątpienia na łamach „Interviewera”. Najwyraźniej Henrietta zamierzała tym razem przeniknąć do elity.

– Czy wiesz, dokąd cię to może zaprowadzić, Henrietto Stackpole? – spytała Isabel, przedrzeźniając pytanie, jakie

przyjaciółka zadała jej poprzedniego dnia.

– Do wysokiej pozycji – królowej amerykańskiego dziennikarstwa! Zjem szmatkę do wycierania stalówek, jeśli mojej najbliższej korespondencji nie przedrukują wszystkie gazety Zachodu!

Umówiła się z panną Annie Climber – tą samą, która na kontynencie miała aż trzech konkurentów – że pomoże jej w zakupach, którymi ta młoda osoba pragnęła ukoronować pobyt w części świata, gdzie wreszcie ludzie się na niej poznali. Panna Stackpole pospieszyła więc na Jermyn Street do swej rodaczki. Wkrótce po jej odejściu służący zaanonsował Ralphi Touchetta, który, jak Isabel od razu spostrzegła, był czymś szczególnie zatroskany. Podzielił się też z kuzynką złą nowiną. Dostał od matki telegram z wiadomością, że ojciec uległ nowemu ostremu atakowi nękającej go od dawna choroby; pani Touchett, bardzo zaniepokojona, prosiła syna o natychmiastowy powrót do Gardencourt. W tym przypadku nikt nie myślał krytykować upodobań pani Touchett do korespondencji za pośrednictwem telegrafu.

– Uznałem za stosowne porozumieć się przede wszystkim ze znakomitym lekarzem, sir Matthew Hope'em. Szczęśliwym trafem jest on właśnie w mieście. Przyjmie mnie o wpół do dwunastej i poproszę go o przyjazd do Gardencourt, zrobi to tym chętniej, że już kilka razy badał ojca i tam, i w Londynie. O drugiej czterdzieści pięć odchodzi ekspres, pojedę tym pociągiem, ty możesz jechać ze mną albo zostać tutaj na kilka dni, jak wolisz.

– Oczywiście jadę z tobą – powiedziała Isabel. – Nie przypuszczam, żebym mogła wujowi w czymś pomóc, ale skoro jest chory, chcę przynajmniej być blisko niego.

– Polubiłaś go! – stwierdził Ralph i nieśmiały wyraz radości rozjaśnił mu twarz. – Umiałaś go ocenić, a nie wszyscy na nim się poznają. Jego zalety są zbyt subtelne dla wielu osób.

– Uwielbiam go! – wyznała po namyśle Isabel.

– To świetnie. Bo on jest – zaraz po swoim synu – największym twoim wielbicielem.



Ucieszyło ją to, ale w skrytości serca westchnęła z ulgą na myśl, że ten wielbiciel z pewnością nie oświadczy się o jej rękę. Głośno powiedziała jednak coś innego. Przyznała się Ralphowi, że są jeszcze dodatkowe przyczyny, dla których nie ma ochoty zostawać dłużej w Londynie. Zmęczyło ją to miasto, pragnie je już opuścić. Poza tym Henrietta też nie będzie tu siedziała, wybiera się do Bedfordshire.

– Do Bedfordshire?

– Do domu lady Pensil, siostry pana Bantlinga, który przyrzekł wyjednać dla Henrietty zaproszenie.

Ralph, mimo niepokoju o ojca, parsknął śmiechem. Zaraz jednak spoważniał znowu.

– Odważny człowiek z tego Bantlinga! Ale co będzie, jeżeli odpowiedź pani Pensil zagubi się gdzieś po drodze?

– Słyszałam, że brytyjska poczta jest niezawodna.

– Zaczny Homer czasem się zdrzemnie – odparł Ralph. I z ożywieniem dodał: – Ale zacnemu Bantlingowi nigdy się to nie zdarza i w każdym razie nie zostawi Henrietty bez opieki.

Ralph poszedł na wyznaczoną godzinę do sławnego lekarza, a Isabel zajęła się przygotowaniami do opuszczenia hotelu Pratta. Bardzo się przejęła niebezpieczeństwem grożącym wujowi i kiedy stała nad otwartą walizką, rozglądając się z roztargnieniem wkoło i zastanawiając, co pakować, oczy jej nagle wypełniły się łzami. Może dlatego nie była jeszcze całkowicie spakowana, gdy o drugiej zjawił się Ralph, żeby ją zabrać na dworzec. Zastał w salonie samą pannę Stackpole, która właśnie skończyła lunch i natychmiast wyraziła ubolewanie z powodu choroby starszego pana.

– Wspaniały człowiek – powiedziała. – Wierny do ostatniej godziny! Jeśli rzeczywiście ta godzina się zbliża... proszę mi wybaczyć, że o tym mówię, ale pan przecież musi się liczyć z taką możliwością... żałuję, że nie będę wtedy w Gardencourt.

– Będzie się pani lepiej bawiła w Bedfordshire.

– Byłoby mi przykro bawić się w takich chwilach – taktownie odparła panna Stackpole. Natychmiast jednak dodała: –

Chętnie uwieczniłabym ostatnią scenę.

– Ojciec może jeszcze długo pożyje – z prostotą stwierdził Ralph. I próbując skierować rozmowę na mniej smutne tematy, spytał pannę Stackpole o jej plany na najbliższą przyszłość.

Ponieważ miał teraz tak wielkie zmartwienie, zwracała się do niego bardziej niż zwykle pobłażliwym tonem i przyznała, że jest mu wdzięczna za zapoznanie jej z panem Bantlingiem.

– Powiedział mi różne rzeczy, których byłam ciekawa – mówiła. – O życiu towarzyskim i o rodzinie królewskiej. Nie wydaje mi się, żeby to, co mi opowiadał, przynosiło rodzinie królewskiej chlubę, ale pan Bantling tłumaczy, że to kwestia mojego odmiennego punktu widzenia. Zresztą chcę od niego tylko faktów, sama je będę umiała szybko podsumować, byleby mi dostarczono materiału.

Dodała też, że pan Bantling w swej uprzejmości obiecał przyjść po nią i asystować jej w popołudniowym zwiedzaniu miasta.

– Dokąd się państwo wybierają?

– Do pałacu Buckingham. Pan Bantling oprowadzi mnie po pałacu, żebym mogła nabrać wyobrażenia o życiu rodziny królewskiej.

– O, widzę, że zostawiamy panią w dobrych rękach. Nie zdziwię się, jeśli zaproszą panią do zamku w Windsor.

– Gdyby mnie zaproszono, pojechałabym oczywiście. Jak raz podejmę jakieś zadanie, nic mnie nie może odstraszyć. Ale mimo wszystko – dodała po chwili – nie jestem zadowolona. Niepokoi mnie Isabel.

– Cóż znowu zbroiła moja kuzynka?

– No, mówiłam panu już kiedyś o tej sprawie, mogę więc bez skrupułów poinformować pana, jaki był dalszy ciąg. Zawsze kończę raz zaczęty wątek. Pan Goodwood był tutaj wczoraj wieczorem.

Ralph szerzej otworzył oczy, a nawet zaczerwienił się z lekka; rumieniec świadczył u niego o silnym wzruszeniu. Pamiętał, że Isabel, rozstając się z nim na Winchester Square, zaprzeczyła,

gdy wyraził podejrzenie, że chce się go pozbyć, bo oczekuje jakiejś wizyty w hotelu; zabolalo go, że oto przyłapuje ją na kłamstwie. Zaraz jednak zreflektował się, że nie powinno go obchodzić, jeśli Isabel umówiła się na wieczór z dawnym wielbicielem. Czyż od wieków nie uważa się, że takie sekrety młodych dziewcząt mają wiele wdzięku? Odpowiedział więc panie Stackpole dyplomatycznie:

– Pamiętając, co pani kiedyś na ten temat mówiła, sądziłem, że wizyta tego pana raczej panią ucieszy.

– Jego wizyta? Oczywiście, nie o to mi chodzi. To była moja niewinna intryga. Dałam mu znać, że jesteście w Londynie, a kiedy już wiedziałam, że wczorajszy wieczór spędzę u znajomych, posłałam mu słówko, wie pan, w myśl przysłowia, że mądrej głowie i tak dalej. Miałam nadzieję, że zastanie ją samą. Nie wypieram się, liczyłam, że pana tu nie będzie. Przyszedł więc, ale jak się okazuje, lepiej byłoby, żeby nie przychodził.

– Isabel potraktowała go okrutnie? – Ralph rozjaśnił się, stwierdzając, że kuzynka nie próbowała go oszukać.

– Nie wiem dokładnie, co między nimi zaszło. W każdym razie nie spełniły się jego nadzieje. Wyprawiła go z powrotem do Ameryki.

– Biedny pan Goodwood! – westchnął Ralph.

– Ona po prostu chciała się go pozbyć – ciągnęła dalej Henrietta.

– Biedny pan Goodwood! – powtórzył Ralph. Trzeba wyjaśnić, że nie był to okrzyk spontaniczny i nie wyrażał ściśle jego myśli, które były zajęte czym innym.

– Mówi pan to, byle mówić. Nie wierzę, żeby pan mu naprawdę współczuł.

– Och, proszę pamiętać, że nie znam tego interesującego człowieka – odparł Ralph. – Nigdy w życiu go nie widziałem.

– Ale ja go zobaczę i powiem mu, żeby nie rezygnował. Gdybym nie spodziewała się, że Isabel zmieni zdanie, to... to sama bym... zrezygnowała z jej przyjaźni!



## ROZDZIAŁ XVIII

Ralph domyślił się, że w tych okolicznościach pożegnalna scena między dwiema przyjaciółkami będzie zapewne dość kłopotliwa, zszedł więc wcześniej na dół i w holu hotelowym czekał na Isabel, która zjawiała się w jakiś czas potem; miał wrażenie, że w oczach jej dostrzega ślady buntu przeciw wysłuchanemu dopiero co kazaniu. Jechali do Gardencourt niemal cały czas w milczeniu. Oczekujący ich na stacji służący nie mógł im powiedzieć nic dobrego o stanie zdrowia pana Touchetta, toteż Ralph raz jeszcze powinszował sobie, że udało mu się skłonić znakomitego lekarza do odwiedzenia chorego; sir Matthew Hope miał wyjechać z Londynu pociągiem odchodzącym o piątej po południu i przenocować w Gardencourt. W domu od razu na wstępie dowiedzieli się, że pani Touchett spędza całe dni w pokoju męża i w tej chwili także jest przy nim; słysząc to, Ralph powiedział sobie, że jego matka takich właśnie okazji potrzebuje – najszlachetniejsze charaktery objawiają się w godzinach ciężkich prób. Isabel poszła do swego pokoju; dom wydał jej się dziwnie cichy, zastygły w oczekiwaniu katastrofy. W godzinę później postanowiła jednak odszukać ciotkę, żeby od niej dowiedzieć się, jak się miewa starszy pan. Nie zastała pani Touchett w bibliotece, a że pogoda zepsuła się i dzień był chłodny i wietrzny, nie sądziła, by ciotka wybrała się na swój zwykły spacer. Już chciała zadzwonić na służbę i posłać kogoś z zapytaniem do sypialni pani Touchett, lecz w ostatniej chwili zmieniła zamiar, gdyż z salonu dobiegły ją nieoczekiwane dźwięki cichej muzyki. Wiedziała, że ciotka nigdy nie zbliża się do fortepianu, mógł więc to być tylko Ralph, który czasem grywał dla własnej przyjemności. Jeśli w tym momencie zabawiał się muzyką, znaczyło to, że stan chorego poprawił się i nie budzi już niepokoju syna. Isabel skierowała się ku źródłu dźwięku, niemal podniesiona na duchu. Salon w Gardencourt był ogromny, a fortepian stał w jego części

najbardziej odległej od drzwi, toteż osoba siedząca przed klawiaturą nie zauważyła zrazu, że ktoś wszedł. Osobą tą nie był Ralph ani jego matka, lecz jakaś pani, którą Isabel widziała po raz pierwszy w życiu – nie miała co do tego wątpliwości, chociaż nieznajoma odwrócona była do niej plecami. Plecy te – szerokie i okryte wytworną suknią – intrygowały naszą bohaterkę. Nikt ze służby – nawet pokojówka pani Touchett, z którą Isabel zdążyła zamienić kilka słów – nie wspominał, że w czasie gdy panna Archer bawiła w Londynie, jakiś nowy gość przybył do Gardencourt. Isabel jednak zdążyła już zaobserwować, jak powściągliwi są angielscy służący, ograniczający się do przyjmowania poleceń; zwłaszcza panna służąca ciotki odnosiła się oschle do młodej Amerykanki, która dość nieufnie zrezygnowała z jej usług i wymykała się z jej rąk, bez najmniejszej zresztą szkody dla swoich lśniących piórek. Sam fakt pojawienia się jednej więcej osoby w Gardencourt nie był dla Isabel przykry: nie wyzbyła się jeszcze młodzieńczej wiary, że każda nowa znajomość może odegrać w jej życiu jakąś doniosłą rolę. Snując te refleksje, uprzytomniła sobie, że nieznajoma jest bardzo dobrą pianistką. Isabel rozpoznała muzykę Schuberta, ale nie umiała zidentyfikować utworu. Dama ledwo muskała klawisze. Grała biegle i z uczuciem. Panna Archer usiadła bezszelestnie na najbliższym krześle i czekała, póki nie przebrzmiały ostatnie tony. Wtedy dopiero wstała, pragnąc podziękować za niespodziewany koncert, a pianistka w tym samym momencie odwróciła się szybko, jakby nareszcie spostrzegła czyjąś obecność.

– To bardzo piękne, a jeszcze piękniejsze dzięki pani wykonaniu – powiedziała Isabel z młodzieńczym żarem, z jakim zwykle wyrażała szczyry zachwyt.

– A więc nie sądzi pani, że zakłóciłam spokój chorego? – spytała nieznajoma z uprzejmością, na jaką zasługiwał komplement. – Dom jest taki wielki, pokój pana Touchetta tak daleko stąd, że ośmieliłam się zagrać, ale tylko *du bout des doigts*.

„Francuzka – pomyślała Isabel. – Mówi jak rodowita Francuzka”. I przypuszczenie to dodało jeszcze nieznajomej uroku

w oczach naszej bohaterki.

– Mam nadzieję, że wuj nie czuje się bardzo źle – powiedziała Isabel. – Wydaje mi się, że taka śliczna muzyka może tylko pomóc choremu.

Nieznajoma uśmiechnęła się, ale nie podzielała tych złudzeń.

– Niestety, są w życiu chwile, gdy nawet Schubert nie może nas wzruszyć. Trzeba jednak przyznać, że są to najgorsze momenty.

– Ale ja nie przeżywam teraz takiej najgorszej chwili – odparła Isabel. – Przeciwnie, bardzo bym chciała, żeby pani coś jeszcze zagrała.

– Chętnie, jeśli to pani sprawi przyjemność! – I uczynna dama zwróciła się znów do klawiatury, by uderzyć kilka akordów, a Isabel usiadła bliżej fortepianu. Ale pianistka, nie odejmując palców z klawiszy, spojrzała na nią przez ramię. Miała około czterdziestu lat i nie była ładna, lecz jej wyrazista twarz ujmowała wdziękiem.

– Przepraszam, że pytam... Czy pani jest tą siostrzenicą... młodą Amerykanką?

– Jestem siostrzenicą ciotki – wyjaśniła naiwnie Isabel.

Dama siedziała jeszcze przez chwilę bezczynnie przy fortepianie, zerkając z ciekawością za siebie.

– To świetnie! Jesteśmy rodaczkami – oznajmiła i zaczęła grać.

„A więc nie Francuzka” – stwierdziła w duchu Isabel. Skoro pierwsza hipoteza zdobyła nieznajomą romantycznym urokiem, można by się spodziewać, że to wyjaśnienie rozczaruje pannę Archer. Stało się przeciwnie: Amerykanka tak niezwykle interesująca była dla niej zjawiskiem jeszcze bardziej egzotycznym niż Francuzka.

Dama grała tak samo jak poprzednio, cichutko i uroczyście, a tymczasem cienie gęstniały w salonie. Zapadał jesienny zmierzch; Isabel ze swojego miejsca widziała, jak deszcz, teraz już rześisty, splukuje zimną zieleń trawników, a wiatr targa ogromnymi drzewami. Wreszcie muzyka umilkła, nieznajoma wstała od

fortepianu, zbliżyła się i zanim Isabel zdążyła jej podziękować, oznajmiła z uśmiechem:

– Cieszę się, że pani wróciła. Tyle się o pani nasłuchałam!

Wydała się naszej bohaterce niezmiernie sympatyczna, mimo to Isabel nieco szorstko spytała:

– Od kogo pani o mnie słyszała?

Nieznajoma wahała się przez mgnienie oka, potem odparła:

– Od pani wuja. Jestem tu od trzech dni; pierwszego dnia pozwolono mi odwiedzić pana Touchetta w jego pokoju i rozmawialiśmy. Mówił wciąż o pani.

– Pani nie знаła mnie, więc musiało to panią nudzić.

– Zaciekawilo mnie tak, że pragnęłam panią poznać. Tym bardziej że później – ponieważ pani Touchett nie odstępował prawie chorego męża – spędzałam czas samotnie i znudziłam się sobą. Nie w porę wybrałam się tutaj w odwiedziny.

Służący wniósł zapalone lampy, a w ślad za nim inny zastawę do podwieczorku. Pani Touchett, widocznie zawiadomiona, że podano herbatę, nadeszła zaraz potem i zajęła się obowiązkami pani domu. Przywitała siostrzenicę z taką samą miną, z jaką uniosła pokrywkę imbryka, żeby zajrzeć do wnętrza: w obu przypadkach nie wypadało okazać zaciekawienia. Spytana o męża, nie mogła niestety udzielić pocieszających nowin; przy chorym czuwał miejscowy lekarz i wiele sobie obiecywano po jego konsultacji ze znakomitym specjalistą z Londynu.

– Przypuszczam, że panie już zawarły znajomość – dodała pani Touchett. – Jeśli nie, to radzę wam zrobić to jak najprędzej, bo dopóki my – Ralph i ja – przesiadujemy w pokoju chorego, panie będą musiały wzajemnie dotrzymywać sobie towarzystwa.

– Nic nie wiem o pani prócz tego, że jest pani niezwykle muzykalna.

– A warto o niej wiedzieć mnóstwo innych jeszcze rzeczy – swoim zwykłym oschłym tonem stwierdziła pani Touchett.

– Z pewnością bardzo mało takich, które mogłyby zainteresować pannę Archer – z cichym śmiechem odparła dama. – Od dawna przyjaźnimy się z pani ciotką. Mieszkałam dość długo



we Florencji. Jestem madame Merle. – Przedstawiła się tak, jakby chodziło o kogoś, kto cieszy się pewną ustaloną reputacją. Pannie Archer nazwisko to jednak nic nie mówiło; w każdym razie madame Merle wydawała jej się osobą o wyjątkowo ujmującym sposobie bycia.

– Pomimo obcego nazwiska pani Merle nie jest cudzoziemką – wyjaśniła pani Touchett. – Urodziła się... zawsze zapominam, gdzie ty się właściwie urodziłaś.

– A więc nie warto, żebym ci udzielała tej informacji!

– Przeciwnie – powiedziała pani Touchett, jak zawsze logiczna – nie potrzebowałabyś mnie informować, gdybym pamiętała.

Pani Merle spojrzała na Isabel z uśmiechem światowym, niezależnym od granic.

– Urodziłam się w cieniu narodowego sztandaru.

– Ona ogromnie lubi być tajemnicza – zauważyła pani Touchett. – To jej najgorsza wada.

– Ach! – wykrzyknęła madame Merle. – Mam mnóstwo wad, ale ta na pewno nie jest najgorsza. Przyszłam na świat w brooklińskim Arsenale Marynarki. Mój ojciec był oficerem wysokiej rangi, służył w marynarce wojennej Stanów Zjednoczonych i tam podówczas zajmował odpowiedzialne stanowisko. Powinna bym kochać morze, ale w rzeczywistości nie cierpię go. Dlatego nie wracam do Ameryki. Kocham ląd, a najważniejsze, żeby coś przecież kochać.

Isabel, jako bezstronny świadek, nie mogła przyznać, że ciotka trafnie scharakteryzowała swoją przyjaciółkę, której wyrazista, otwarta i żywo reagująca twarz nie godziła się z wyobrażeniem, jakie miała panna Archer o ludziach z natury skrytych. Twarz ta odzwierciedlała szeroką gamę uczuć, była ożywiona i ruchliwa, a chociaż nie odznaczała się regularnością rysów, ujmowała wdziękiem i budziła zainteresowanie. Madame Merle była wysoką, starannie wypielegnowaną blondynką; wszystko w niej zdawało się krągłe i dorodne, ale nie robiła wrażenia otyłej i ciężkiej; rysy miała dość grube, lecz

proporcjonalne i harmonijne, a cerę jasną i świeżą. Szare, co prawda nieduże, oczy jaśniały inteligencją i z pewnością nie miały głupiego wyrazu – a jak twierdzili niektórzy znajomi pani Merle – niezdolne były do łez; miała dość duże, pełne wargi i w uśmiechu lewy ich kącik podnosił się niesymetrycznie, co niektórzy uważali za bardzo osobliwe, inni za nienaturalne, a nieliczni – za dodatkowy wdzięk. Tę ostatnią opinię podzielała Isabel. Gęste jasne włosy nosiła madame Merle ułożone w jakąś „klasyczną” koafiurę, tak że wyglądała zdaniem Isabel niby popiersie Junony czy też Niobe. Duże białe dłonie miały kształt doskonały, toteż ich właścicielka wolała obywać się bez pierścionków, które nie mogłyby niczego dodać tej piękności. Isabel, jak już wiemy, w pierwszej chwili wzięła ją za Francuzkę, ale madame Merle, przy bystrzejszej obserwacji, wyglądała raczej na Niemkę, na Niemkę z wyższych sfer, może Austriaczkę, baronową, hrabinę czy księżnę. Nikt by z pozorów nie odgadł, że urodziła się w Brooklynie, chociaż nie sposób twierdzić, że wielka dystynkcja cechująca całą jej powierzchowność nie da się pogodzić z tym miejscem urodzenia. Rzeczywiście flaga narodowa powiewała tuż nad jej kołyską i może tchnienie wolności gwiaździstego sztandaru wywarło pewien wpływ na ukształtowanie postawy życiowej; a jednak nic w niej nie przypominało trzepoczącej się, rozwianej na wietrze chorągiewki: całe jej zachowanie tchnęło spokojem i pewnością – a są to owoce wielkiego doświadczenia. Ale doświadczenie nie ugasiło żaru młodości, wzbogaciło ją tylko wyrozumiałością i nadało jej giętkość. Słowem, madame Merle była kobietą o bardzo silnych impulsach wspaniale trzymany w ryzach. Isabel uważała to połączenie za ideał.

Takie refleksje snuła Isabel, gdy trzy panie siedziały przy herbacie; ceremoniał ten zakłóciło wkrótce wejście służącego, który zameldował o przybyciu znakomitego londyńskiego lekarza i w chwilę potem wprowadził go do salonu. Sir Matthew przeszedł z panią Touchett do biblioteki, żeby porozmawiać z nią na osobności, a madame Merle i panna Archer rozstały się, obiecując sobie ponowne spotkanie przy obiedzie. Nadzieja na bliższą

znajomość z interesującą osobą łagodziła smutek, jakim atmosfera panująca teraz w Gardencourt wypełniła serce naszej bohaterki.

Kiedy przed obiadem Isabel zeszła do salonu, nie zastała tam nikogo, po chwili jednak zjawił się Ralph, nieco rozpogodzony, bo sir Matthew Hope ocenił stan chorego mniej pesymistycznie niż on. Lekarz zalecił, żeby przez kilka następnych godzin zostawić pacjenta samego pod opieką pielęgniarki, zarówno więc pani Touchett, jak i znakomity londyński gość będą mogli zasiąść do wspólnego stołu. Rzeczywiście zaraz potem nadeszli oboje. Madame Merle stawiała się ostatnia.

Przed jej nadejściem Isabel zagadnęła o nią Ralpha, gdy rozmawiali, stojąc przy kominku.

– Powiedz mi, proszę, kto to jest?

– Najinteligentniejsza kobieta, jaką znam, nie wyłączając ciebie – odparł Ralph.

– Wydała mi się bardzo miła.

– Byłem pewny, że zrobi na tobie takie wrażenie.

– Czy dlatego ją zaprosiłeś?

– Nie zapraszałem jej, jadąc z Londynu, nie wiedziałem, że ją tu zastanę. Nikt jej nie zaprosił. Od dawna przyjaźni się z moją matką, która w czasie naszego pobytu w mieście dostała od niej liścik; zawiadamiała, że znalazła się w Anglii – mieszka stale za granicą, ale sporo czasu spędza tutaj – i pytała, czy może na kilka dni przyjechać do Gardencourt. Należy do osób, które mogą śmiało pozwalać sobie na takie projekty, bo jest zawsze mile witana, gdziekolwiek się pokaże. Tym bardziej mogła z tym zwrócić się do mojej matki, która ją jedną chyba na świecie podziwia bez zastrzeżeń. Matka, gdyby nie była sobą – co jej oczywiście najbardziej odpowiada – chciałaby właśnie być taka jak madame Merle. To znaczy zupełnie inna, niż jest!

– Madame Merle jest czarująca – powiedziała Isabel. – I pięknie gra na fortepianie.

– Wszystko robi pięknie. Jest doskonała.

Isabel przyjrzała się kuzynowi.

– Ty jej nie lubisz – stwierdziła.

– Wprost przeciwnie. Kiedyś nawet się w niej kochałem.  
– Zapewne bez wzajemności i dlatego teraz jej nie lubisz.  
– Jakże można dyskutować o tym? Wówczas pan Merle żył jeszcze.

– Umarł?

– Tak mówi madame.

– Nie wierzysz jej?

– Wierzę, bo fakt wydaje się bardzo prawdopodobny.

Małżonek tej damy mógł rzeczywiście przenieść się na tamten świat.

Isabel znów popatrzała na niego uważnie.

– Nie rozumiem, co masz na myśli. Coś takiego, jak się zdaje, czego sam nie bierzesz serio. Kim był pan Merle?

– Mężem pani Merle.

– Wstrętny jesteś. Czy mieli dzieci?

– Na szczęście ani jednego.

– Na szczęście?

– Na szczęście dla dziecka. Zepsułaby je bez wątpienia.

Isabel już otwierała usta, żeby po raz trzeci powiedzieć kuzynowi, że jest wstrętny, lecz w tym momencie do salonu weszła osoba, o której mówili. Weszła prędko, z szumem spódnicy, dopinając w pośpiechu bransoletkę, i przeprosiła za spóźnienie. W wycięciu ciemnogrnatowej atlasowej sukni białął dekolt, niezbyt skutecznie przysłonięty oryginalnym srebrnym naszyjnikiem. Ralph podał jej ramię z przesadną galanterią mężczyzny, który już nie jest zakochany.

Jednakże nawet gdyby uczucia jego nie ostygły, miał głowę zaprzątniętą innymi sprawami. Znakomity lekarz, po nocy spędzonej w Gardencourt, przed wyjazdem do Londynu raz jeszcze odbył naradę z miejscowym doktorem i na prośbę Ralpha przyrzekł nazajutrz znowu odwiedzić pacjenta. Zjawił się więc po raz drugi w Gardencourt i musiał zmienić swoje tak przedtem pomyślnie prognozy, ponieważ stan chorego znacznie pogorszył się w ciągu tej doby. Starszy pan był bardzo osłabiony, i synowi, który nie odstępował jego łóżka, kilkakrotnie zdawało się, że ojciec już

umiera. Miejscowy lekarz, człowiek rozumny, któremu Ralph w głębi serca ufał bardziej niż jego sławnemu koledze, stale czuwał nad pacjentem, a sir Matthew Hope przyjeżdżał co parę dni. Starszy pan prawie wciąż był nieprzytomny, wiele spał, rzadko się odzywał. Isabel gorąco pragnęła jakoś mu usłużyć i pozwolono jej czuwać przy nim w godzinach, gdy inne pielęgnujące go osoby (wśród których pani Touchett nie ustępowała nikomu w gorliwości) odpoczywały. Wuj, jak się zdawało, nie poznawał jej i często Isabel zadawała sobie pytanie: „Co zrobię, jeśli umrze przy mnie?” – i ten lęk pobudzał ją, nie dając się zdrzemnąć. W pewnej chwili chory otworzył oczy i popatrzył na nią przytomnie, ale kiedy zbliżyła się w nadziei, że ją poznał, spuścił znów powieki i zapadł w odrętwienie. Następnego wszakże dnia ocknął się na dłuższy czas, ale wtedy był przy nim tylko Ralph. Starszy pan przemówił, ku uszczęśliwieniu syna, który próbował go zapewnić, że wkrótce będzie mógł dźwignąć się i usiąść w fotelu.

– Nie, synu – odparł pan Touchett – chyba że zechcecie pochować mnie w pozycji siedzącej, jak to robiły niektóre ludy starożytne... jeśli się nie mylę...

– Nie mów takich rzeczy, tato – szepnął Ralph. – Nie możesz zaprzeczyć, że dzisiaj czujesz się lepiej.

– Nie będę musiał zaprzeczać, jeśli przestaniesz mi to wmawiać – odparł starszy pan. – Nigdy się nie okłamywaliśmy, nie zaczynamy więc w ostatnich godzinach. Kiedyś trzeba umrzeć, a lepiej, jeśli to stanie się, gdy człowiek cierpi, a nie wtedy, kiedy mu życie sprawia przyjemność. Czuję się bardzo źle, gorzej już nie można. Chyba nie spróbujesz mnie pocieszać obietnicami, że będzie jeszcze gorzej? To byłaby doprawdy przesada. Milczysz? Więc nie sprzecajmy się dłużej.

I zamknąwszy synowi usta tak przekonującym argumentem, pan Touchett także umilkł. Ale podczas następnego dyżuru syna znowu zaczął z nim rozmowę. Pielęgniarka poszła zjeść kolację i Ralph był sam z chorym, zastąpiwszy matkę, która siedziała przy łóżku męża od obiadu. Pokój oświetlały tylko migotliwe płomyki ognia, bo ostatnio trzeba już było palić na kominku, i długi cień

Ralpa rysował się na ścianie i suficie, zmieniając ustawicznie kształt, ale wciąż dość groteskowy.

– Kto jest przy mnie? – spytał pan Touchett. – Mój syn?

– Syn, tato.

– Ktoś jeszcze?

– Nie, nikogo nie ma prócz mnie.

Pan Touchett ucichł, ale po długiej chwili znów podjął:

– Chciałbym z tobą porozmawiać trochę.

– Czy to cię nie zmęczy? – zatroskał się syn.

– Nawet jeśli zmęczy, nie ma to już znaczenia. Czeka mnie długi odpoczynek. Chcę pomówić o tobie.

Ralph przysunął się bliżej, schylił nad łóżkiem i położył dłoń na ręce ojca.

– Mógłbyś wybrać weselszy temat, tato.

– Ty zawsze byłeś wesoły, byłem dumny z twojej wesołości.

Chciałbym, żebyś się czymś zajął.

– Jeśli opuścisz nas, nie zajmę się niczym, tylko będę do ciebie tęsknił.

– Tego właśnie wcale nie chcę. Dlatego muszę z tobą pogadać. Trzeba, żebyś się czymś nowym zainteresował.

– Tyle mam starych zainteresowań, tato, że nie wiem, co z nimi zrobić. Po co mi nowe?

Starszy pan patrzył na syna; w twarzy umierającego błyszcząły oczy dawnego Daniela Touchetta. Zdawało się, że rozważa zainteresowania swojego syna.

– Oczywiście masz matkę – powiedział wreszcie. – Będziesz się nią opiekował.

– Matka zawsze sama będzie umiała opiekować się sobą – odparł Ralph.

– Hm... Starzejąc się, będzie jednak potrzebowała czyjejś pomocy.

– Tego nie doczekam. Matka mnie przeżyje.

– Bardzo prawdopodobne, ale to nie jest argument... – Pan Touchett urwał i westchnął bezradnie, ale nie było w tym protestu. Leżał znów w milczeniu.

– O nas nie martw się, tato – powiedział Ralph. – Żyjemy z matką w zgodzie.

– W zgodzie, bo z daleka. To nienaturalne.

– Jak ciebie zabraknie, może będziemy widywali się z matką częściej.

– Ech – z pewnym roztargnieniem, zmieniając temat, odparł pan Touchett. – Trudno przypuszczać, że moja śmierć wprowadzi jakąś zmianę w życie twojej matki.

– Zapewne odczuje ją boleśniej, niż myślisz.

– Będzie miała jeszcze więcej pieniędzy – stwierdził pan Touchett. – Zostawiam jej część należną dobrej żonie, tak jak gdyby była dobrą żoną.

– Była, tato, tylko że według własnego wyobrażenia. Nigdy ci nie sprawiała kłopotów.

– Niektóre kłopoty są przyjemne – szepnął pan Touchett. – Na przykład te, które miałem z twojego powodu. Ale twoja matka mniej... jak by to określić?... mniej usuwała się z mojej drogi, odkąd choruję, chyba wie, że to zauważyłem.

– W każdym razie ja jej to powiem. Cieszę się, że o tym wspomniałeś.

– Dla niej to nie będzie miało znaczenia. Postępuje tak nie dlatego, że chciałyby zrobić mi przyjemność. Chce się spodobać... spodobać sobie... – zamyślił się, szukając wytłumaczenia postępku swojej żony. – Ponieważ to uważa za stosowne. Ale nie o niej chcę mówić. Chodzi o ciebie. Będziesz bogaty.

– Tak. Wiem – przyznał Ralph. – Ale mam nadzieję, że nie zapomniłeś naszej rozmowy sprzed roku, kiedy ci powiedziałem, ile pieniędzy mi wystarczy, i prosiłem, żebyś resztę przeznaczył na jakiś bardziej pożyteczny cel.

– Tak, tak, pamiętam. Spisałem w kilka dni potem nowy testament. Myślę, że to pierwszy przypadek, kiedy młody spadkobierca domaga się zmiany testamentu na własną szkodę.

– Nie! – odparł Ralph – szkodę poniósłbym, gdybym miał wielki majątek, którym musiałbym administrować. Człowiek w takim stanie zdrowia jak ja nie ma na co wydać większych sum, a

lepiej żyć spokojnie, niż hulać.

– Będziesz i tak miał dość na spokojne życie, a nawet trochę więcej. Wystarczy z nawiązką dla jednej osoby, wystarczyłoby doskonale dla dwojga.

– Tyle mi nie trzeba – odparł Ralph.

– Nie mów tak. Najlepiej zrobiłbyś, gdybyś po moim zniknięciu ożenił się wkrótce.

Ralph oczekiwał tej rady od ojca, słyszał ją zresztą z jego ust nie po raz pierwszy. Od dawna pan Touchett w ten sposób utwierdzał się w nadziei, że syn ma jeszcze życie przed sobą. Ralph zazwyczaj zbywał takie marzenia żartami, ale w tych okolicznościach nie było to możliwe. Wyprostował się więc w fotelu i spojrzał błagalnie na ojca.

– Jeśli ja, z żoną, która nie bardzo mnie lubiła, byłem szczęśliwy – ciągnął starszy pan dalej, niezrażony – jakże przyjemne życie ty mógłbyś mieć, gdybyś ożenił się z osobą innego usposobienia niż twoja matka. Więcej jest na świecie kobiet różniących się od niej niż do niej podobnych. – Ralph wciąż milczał, więc ojciec po chwili spytał: – Co myślisz o swojej kuzynce?

Ralph drgnął i odpowiedział z wymuszonym uśmiechem:

– Czyżby tata mnie namawiał na ożenek z Isabel?

– Ano tak to w końcu można by określić. Czy ona ci się nie podoba?

– Ach, podoba mi się, nawet bardzo! – Ralph wstał i podszedł do kominka. Po chwili schylił się i poprawił ogień. – Isabel bardzo mi się podoba – powtórzył.

– Wiem, że ona cię lubi – powiedział starszy pan. – Mówiła mi, że cię bardzo lubi.

– Czy mówiła, że wyszłaby za mnie?

– Nie, ale nie może mieć nic przeciw twojej kandydaturze. To najmilsza dziewczyna, jaką w życiu spotkałem. Na pewno byłaby dobra dla ciebie. Dużo o tym myślałem.

– Ja też – przyznał się Ralph, wracając na fotel przy łóżku. – To mogę ojcu szczerze powiedzieć.



– A więc kochasz się w niej? Tego się spodziewałem. Jakby ją po to los do nas sprowadził.

– Nie, ja się nie Kocham w niej, ale kochałbym się, gdyby... gdyby sytuacja była pod pewnymi względami inna.

– Ach, sytuacja zawsze jest nie taka, jak byśmy chcieli – powiedział starszy pan. – Jeśli zechcesz czekać, aż się zmieni, nigdy nic nie zrobisz. Nie wiem, czy rozumiesz, dlaczego nie wydaje mi się nietaktem poruszanie tego tematu w takiej chwili; przed kilku dniami ktoś oświadczył się twojej kuzynce i odmówiła mu.

– Wiem, że dała kosza Warburtonowi, on sam mi to powiedział.

– A więc to dowodzi, że ktoś inny miałby szansę.

– Ktoś inny próbował szczęścia przed paru dniami w Londynie i też odszedł z kwitkiem.

– Ty? – spytał pan Touchett.

– Nie, jej znajomy z dawnych lat, biedny człowiek, który przepłynął ocean wyłącznie po to, żeby ją poprosić o rękę.

– Kimkolwiek jest, współczuję mu. Ale to potwierdza moją tezę, że droga jest otwarta dla ciebie.

– Gdyby tak było, Kochany tato, tym gorszy żal, że nie mogę na tę drogę wejść. Niewiele mam zasad, ale kilku trzymam się niezłomnie. Jedna z nich głosi, że niewskazane są małżeństwa między kuzynami. Druga – że człowiek z daleko posuniętą chorobą płuc nie powinien się żenić.

Starszy pan podniósł osłabłą rękę i przesunął ją przed swoją twarzą.

– O co ci chodzi? Masz dziwny punkt widzenia, z którego wszystko wygląda źle. Cóż to za pokrewieństwo, jeżeli nie widziałeś dziewczyny ani razu w ciągu pierwszych dwudziestu lat jej życia. Wszyscy jesteśmy w jakimś stopniu skuzynowani; gdybyśmy na to zważali, rodzaj ludzki wkrótce by wymarł. Tak samo fałszywie rozumujesz w sprawie swoich płuc. Jest z tobą teraz znacznie lepiej, niż było przed kilku laty. Trzeba tylko, żebyś prowadził normalny tryb życia. O wiele bardziej naturalne byłoby

małżeństwo z piękną młodą kobietą, którą kochasz, niż samotność uzasadniana fałszywymi argumentami.

– Nie jestem w Isabel zakochany – oświadczył Ralph.

– Powiedziałeś przed chwilą, że kochałbyś ją, gdybyś nie uważał, że nie masz do tego prawa. Próbuję cię przekonać, że masz to prawo.

– Zmęczysz się tylko tą dyskusją – powiedział Ralph, zdumiony, że ojciec znalazł dość siły, by tak nalegać. – I cóż wtedy będzie z nami?

– Cóż będzie z tobą, jeśli nie zabezpieczę ci przyszłości? Nie chcesz mieć nic do czynienia z bankiem, mną już nie będziesz mógł się opiekować. Twierdzisz, że masz mnóstwo zainteresowań, ale ja nic takiego nie widzę!

Ralph rozparł się głębiej w fotelu i skrzyżował ramiona na piersiach. Z oczyma utkwionymi w jeden punkt pogrążył się w myślach. Wreszcie z miną człowieka, który z trudem zdobywa się na odwagę, powiedział:

– Isabel bardzo mnie interesuje, ale w innym sensie, niż ty byś, tato, pragnął. Nie mam wielu lat przed sobą, ale nie tracę nadziei, że dotrwam dość długo, by zobaczyć, co Isabel robi ze swojego życia. Jest zupełnie ode mnie niezależna, nie mogę wywierać większego wpływu na jej wybór. Ale chciałbym jej w jakiś sposób pomóc.

– Co chciałbyś dla niej zrobić?

– Stworzyć pomyślny wiatr dla jej żagli.

– Jak mam to rozumieć?

– Chciałbym jej ułatwić spełnienie pewnych marzeń. Na przykład pragnie zwiedzić trochę świata. Chciałbym na ten cel włożyć dość pieniędzy do jej sakiewki.

– Cieszę się, żeś o tym wspomniał – odparł starszy pan. – Ale ja też o tym pomyślałem. Zapisałem jej pięć tysięcy funtów.

– Wspaniale! Jesteś niezawodny, tato. Ale ja chciałbym zrobić więcej.

Ślad tej zamaskowanej czujności, z jaką Daniel Touchett przywykł w ciągu całego życia słuchać propozycji finansowych,

pojawił się na twarzy starszego pana i na chwilę człowiek interesów wziął górę nad ciężko chorym.

– Chętnie rozważę twoje życzenie – powiedział cicho.

– Isabel jest uboga! Matka mówiła mi, że dziewczyna ma ledwie paręset dolarów rocznego dochodu. Chciałbym z niej zrobić bogaczkę.

– Co nazywasz bogactwem?

– Bogaty w moim pojęciu jest ten, kogo stać na zaspokojenie własnych fantazji. Isabel ma bardzo bujną wyobraźnię.

– Ty także, synu – odparł pan Touchett, słuchając z uwagą, ale trochę zbity z tropu.

– Powiedziałeś, że będę miał dość pieniędzy dla dwojga. Chcę cię prosić, żebyś mnie łaskawie uwolnił od tej nadwyżki i przelał ją na Isabel. Podziel moje dziedzictwo na dwie połowy i jedną z nich zapisz jej.

– Do jej dyspozycji?

– Tak, niech z tym zrobi, co chce.

– Bez żadnego warunku?

– Jakiż tu można by postawić warunek?

– Ten, o którym przedtem wspominałem.

– Pod warunkiem, że wyjdzie za określonego człowieka?

Przecież mnie właśnie o to chodzi, żeby ją od tego rodzaju zobowiązań uwolnić! Mając własne duże dochody, nie będzie musiała szukać w małżeństwie materialnego zabezpieczenia. Obmyśliłem ten sprytny plan, żeby ją od takich konieczności uchronić. Pragnie być niezależna i ten twój wspaniały dar zapewni jej niezależność.

– Widzę, że przemyślałeś całą tę sprawę dokładnie. Ale nie rozumiem, dlaczego zwróciłeś się do mnie. To będą twoje pieniądze i będziesz mógł sam podzielić się nimi z Isabel.

Ralph nie ukrywał oszołomienia:

– Ależ, tato, ja nie mogę oczywiście ofiarować jej pieniędzy!

Starszy pan jęknął.

– I ty próbujesz mi wmawiać, że nie jesteś w niej zakochany! Chcesz, żeby dla mnie tylko czuła wdzięczność?

– Otóż to. Chciałbym, żebyś zamieścił odpowiednią klauzulę w swoim testamencie, nie wspominając ani słówkiem o mojej ingerencji.

– Mam sporządzić nowy testament?

– Sądzę, że wystarczy kilka słów. Załatwisz to, jak będziesz czuł się lepiej.

– W takim razie wezwij telegraficznie pana Hilary. Nie zrobię nic bez mojego adwokata.

– Jutro pan Hilary stawi się u ciebie.

– Będzie przekonany, że się pokłóciliśmy – stwierdził pan Touchett.

– Prawdopodobnie. Cieszy mnie, że będzie tak myślał – z uśmiechem odparł Ralph. – Uprzedzam cię, tato, że – aby go utwierdzić w podejrzeniach – postaram się zachować szorstko, oziębło i arogancko wobec ciebie.

Pomysł tej komedii zabawił, jak się zdawało, starszego pana, chwilę milczał, rozmyślając o propozycji syna.

– Zrobię wszystko, czego sobie życzysz – powiedział w końcu. – Ale nie jestem pewny, czy masz rację. Mówisz, że to będzie wiatr w jej żagle; czy nie boisz się, że trochę za silny?

– Z przyjemnością będę obserwował, jak mknie śmiało naprzód – odparł Ralph.

– Mówisz tak, jakby chodziło o twoją zabawę.

– Bo tak w dużym stopniu to traktuję.

– Nie rozumiem cię – westchnął pan Touchett. – Dzisiejsi młodzi mężczyźni bardzo różnią się od mojego pokolenia. Ja, za młodu, jeśli kochałem dziewczynę, nie poprzestawałem na samym obserwowaniu jej losu. Masz skrupuły, których ja bym nie miał, i pomysły, które mnie by nie przyszły do głowy. Twierdzisz, że Isabel pragnie wolności i że majątek uchroni ją od wyjścia za mąż dla pieniędzy. Czy sądzisz, że Isabel byłaby zdolna tak postąpić?

– Nigdy w świecie! Ale ma mniej pieniędzy niż dotychczas. Za życia ojca niczego jej nie brakowało, bo pan Archer czerpał z kapitału. Zostały z tego ledwie okruchy, Isabel nie zdaje sobie sprawy, że tak mało, nie zdążyła jeszcze przekonać się, że nie ma

za co żyć, matka mi to powiedziała, ale Isabel dowie się dopiero wtedy, kiedy spróbuje samodzielnie utrzymać się na powierzchni. Boli mnie myśl o tej chwili, kiedy zrozumie, że wielu swoich pragnień nie może urzeczywistnić.

– Zapisałem jej pięć tysięcy. Za tę sumę można mieć dość dużo rzeczy.

– Oczywiście. Ale tę sumę chyba wydałaby przed upływem dwóch, trzech lat.

– Myślisz, że byłaby rozrzutna?

– Na pewno! – ze spokojnym uśmiechem przytaknął Ralph.

W głowie biednego pana Touchetta czujność ustąpiła błyskawicznie miejsca całkowitemu oszołomieniu.

– A więc strwoni również większą sumę, to tylko kwestia czasu?

– Nie... chociaż z początku prawdopodobnie będzie rozrzucała pieniądze garściami, przypuszczam, że zechce wyposażyć obie siostry. Potem jednak otrzeźwieje, przypomni sobie, że ma całe życie przed sobą, i będzie gospodarowała gotówką rozsądnie.

– Rzeczywiście wszystko przewidziałeś – rzekł starszy pan. – Widzę, że naprawdę interesujesz się swoją kuzynką.

– Nie byłbyś konsekwentny, oskarżając mnie, że posuwam się za daleko. Chciałeś przecież, żebym zrobił o wiele więcej.

– Nie wiem – powiedział pan Touchett. – Nie mogę wczuć się w twoje zamiary. Wydają mi się niemoralne.

– Niemoralne, tato?

– Nie sądzę, żeby takie ułatwianie komuś życia było słuszne.

– Zależy komu. Jeśli w grę wchodzi osoba na wskroś szlachetna, ułatwiamy jej praktykowanie cnót. Czy może być lepszy uczynek niż pomoc w urzeczywistnianiu najlepszych porywów?

Dość trudno było pojąć tę logikę i pan Touchett zastanawiał się przez chwilę. Wreszcie powiedział:

– Isabel jest uroczą dziewczyną, ale czy myślisz, że jest aż tak niezwykle szlachetna?

– Z pewnością zasługuje na to, żeby jej dać największe szanse.

– Sześćdziesiąt tysięcy funtów niewątpliwie może jej dać wielkie szanse – stwierdził pan Touchett.

– I z pewnością dobrze je wykorzysta.

– Naturalnie zrobię wszystko, czego sobie życzysz – powiedział starszy pan – ale chciałbym cię chociaż trochę rozumieć.

– Czy wciąż jeszcze nie rozumiesz, tato? – czule spytał syn. – Jeżeli nie, dajmy spokój tej sprawie. Nie będę cię dłużej męczył.

Starszy pan długo leżał w milczeniu. Ralph przypuszczał, że ojciec zrezygnował z dalszej dyskusji, ponieważ trudno mu skupić myśli. Ale po jakimś czasie chory zupełnie przytomnie odezwał się znowu:

– Chcę się od ciebie najpierw dowiedzieć, czy nie przyszło ci do głowy, że panna mająca sześćdziesiąt tysięcy funtów może się stać ofiarą łowców posagów?

– W najgorszym razie będzie łupem tylko jednego takiego pana.

– O jednego za wiele!

– Oczywiście. To niebezpieczeństwo istnieje i brałem je w rachubę. Trzeba się z tym liczyć, ale myślę, że ryzyko jest małe. Gotów jestem je podjąć.

Poprzednio czujność w umyśle pana Touchetta ustąpiła miejsca oszołomieniu, teraz zamęt przerodził się w podziw.

– Ależ ty gruntownie całą sprawę przemyślałeś, synu! – powtórzył. – Wciąż jednak nie pojmuję, jakiego pożytku oczekujesz dla siebie.

Ralph schylił się nad poduszką i delikatnie wygładził ją pod głową ojca; wiedział, że rozmowa przedłużyła się nad miarę.

– Mówiłem ci, jakiego spodziewam się pożytku dla Isabel: dam jej środki, by mogła zaspokoić wymagania swojej fantazji. Tego samego pragnę dla siebie. Ale to oburzające, że tak nadużywam twojej dobroci, tato.



## ROZDZIAŁ XIX

Pani Touchett trafnie przewidziała, że Isabel i madame Merle będą zdane na siebie w okresie choroby pana domu; musiałyby uchybić zasadom dobrego wychowania, gdyby nie dotrzymały sobie nawzajem towarzystwa. Były doskonale wychowane, a w dodatku bardzo sobie przypadły do gustu. Przesadzilibyśmy, mówiąc, że ślubowały wieczną przyjaźń, lecz, nie formułując wyraźnie takich zobowiązań, ufnie patrzyły w przyszłość. Isabel czyniła to z całą świadomością, chociaż zawahałaby się przed wyznaniem, że łączy ją z nową przyjaciółką bliska zażyłość we wzniosłym sensie, jaki w głębi serca nadawała temu określeniu. Często zastanawiała się, czy z kimkolwiek łączył ją w życiu lub połączy kiedyś tak ścisły związek. Ukształtowała sobie pewien ideał przyjaźni, podobnie jak wszelkich innych uczuć, i wydawało jej się, że w tym wypadku – w innych nie nasuwała jej się nawet taka myśl – rzeczywistość niezupełnie odpowiada ideałowi. Nieraz jednak myślała, że z natury swej ideał nie może nigdy urzeczywistnić się w całej pełni. Jest czymś, co się wyznaje, lecz czego się nie widzi, kwestią wiary, a nie doświadczenia. Doświadczenie może nam tylko podsuwać jego wiarygodne imitacje, a mądrość na tym polega, by je jak najlepiej spożytkować. Oczywiście Isabel nigdy dotąd nie spotkała równie miłej i interesującej osoby jak madame Merle; nie zetknęła się z nikim, kto by tak wolny był od wady stanowiącej główną trudność w przyjaźni: z madame Merle nie miała wrażenia, że odnajduje najbardziej irytujące, nudne, za dobrze znane cechy własnego charakteru. Bramy zwierzeń otwały się szerzej niż kiedykolwiek i nasza bohaterka mówiła nowej, miłej słuchaczce rzeczy, których nigdy jeszcze nikomu innemu nie wyjawiała. Czasem przerażała ją własna szczerłość, jak gdyby osobie właściwie obcej wręczyła kluczyk do kasetki z biżuterią. Duchowe klejnoty były jedynym bogactwem panny Archer, ale dlatego właśnie wydawało jej się, że



powinna ich strzec jak oka w głowie. Później wszakże pamiętała zawsze, że nie wolno żałować błędów wielkoduszności, a jeżeli madame Merle nie miała tych zalet, które jej przypisywała – tym gorzej dla madame Merle. Zresztą wiele jej zalet nie ulegało wątpliwości: była urocza, życzliwa, inteligentna i kulturalna, co więcej – bo los nie skrzywdził naszej bohaterki i spotkała wiele przedstawicielek płci pięknej, o których mogła powiedzieć to samo – madame Merle była jedyna w swoim rodzaju, niezwykła i imponująca. Wiele jest pod słońcem osób miłych, ale madame Merle niczym nie przypominała pospolitych zacnych kobiet ani też dam nieustannie dowcipnych. Umiała myśleć, a to jest rzadka u kobiet umiejętność, i myślała skutecznie. Oczywiście nie brakowało jej też zdolności do uczuć, Isabel po tygodniu obcowania z nią nie mogła o tym wątpić. To był doprawdy najcenniejszy talent, szczególny dar. Życie nieraz dało jej się we znaki i dobrze zapamiętała jego lekcje; rozmowy z madame Merle między innymi dlatego sprawiały tyle satysfakcji, że kiedy Isabel poruszała tematy, jak je określała, „poważne”, starsza przyjaciółka w lot wszystko rozumiała. Co prawda wzruszenia jej miały charakter niejako historyczny; nie ukrywała faktu, że źródło namiętności, eksploatowane niegdyś dość intensywnie, teraz już nie tryska tak obficie jak niegdyś. Zresztą postanowiła stłumić w sobie uczucia i miała nadzieję, że to osiągnie; szczerze przyznawała się, że była za młodu trochę szalona, teraz jednak – jak twierdziła – jest zupełnie rozsądna.

– Częściej dziś pozwalam sobie osądzać innych ludzi – powiedziała do panny Archer – ale wydaje mi się, że nabyłam do tego prawo. Nie trzeba sądzić bliźnich, póki się nie dożyje do czterdziestki, w młodszym wieku jesteśmy zbyt pochopne, surowe, nawet okrutne, a na domiar złego nic nie wiemy. Żal mi ciebie, że tak długo będziesz musiała jeszcze czekać, nim skończysz czterdzieści lat. No, ale każdy zysk jest w pewnym sensie stratą. Myślę nieraz, że po czterdziestce niczego już się nie odczuwa naprawdę. Znika świeżość i żywość uczuć. Ty zachowasz te zdolności dłużej niż przeciętni ludzie, z góry cieszę się na to, że

zobaczę cię za kilka lat, ciekawa jestem, jak ci się życie ukształtuje. Wiem jedno: nie zepsuje cię na pewno. Może będzie cię okropnie szarpało, ale nigdy nie złamie, za to ręczę.

Isabel przyjęła tę zapowiedź, jak młody żołnierz – jeszcze zdyszany po pierwszej z honorem stoczonych potyczce – przyjąłby gest swego pułkownika, który go klepie po ramieniu. Pochwały są cenne, gdy wypowiada je niewątpliwy autorytet. Każde słówko miało wartość, gdy padało z ust osoby, która na wszystkie niemal zwierzenia panny Archer odpowiadała: „Ach, znam to, przeżyłam to także, ale to minie, wszystko mija”. Wiele innych osób madame Merle mogłaby irytować; niezwykle trudno było ją czymś zadziwić. Ale naszej bohaterki, chociaż lubiła oczywiście imponować, ten zwyczaj nowej przyjaciółki wcale nie drażnił. Zbyt szczerze interesowała się tą niezwykle rozumną damą. Zresztą madame Merle nigdy nie mówiła tego z tryumfem, nie chełpiła się doświadczeniem, po prostu przyznawała się do niego tonem rzeczowym.

Pogoda tymczasem zepsuła się już na stałe, a dni były coraz krótsze i skończyły się uroczem zebrania przy herbacie na trawniku. Isabel wypełniała sobie czas długimi rozmowami z madame Merle; chodziły też często razem na spacer, nie zważając na deszcz, uzbrojone przeciw niemu w te wszystkie rekwizyty, które geniusz angielski, natchniony przez angielski klimat, doprowadził do wielkiej doskonałości. Madame Merle była zadowolona z wszystkiego, nie wyłączając angielskiego deszczu.

– Nieustannie troszkę pada, ale nigdy nie leje – stwierdziła. – Nie przenika pod ubranie, a pachnie bardzo przyjemnie.

Jej zdaniem Anglia dostarczała szczególnie wielu wrażeń zmysłowi węchu; powietrze tej niezrównanej wyspy zawiera mieszaninę mgły, piwa i sadzy, a chociaż z pozoru wydaje się to nieprawdopodobne, wytworzony z tych składników narodowy aromat miło łaskocze nozdrza. Często podnosiła rękaw swojego brytyjskiego palta i zagłębiając w niego nos, wdychała czystą, szlachetną woń wełny. Biedny Ralph Touchett, odkąd nastąpiła jesienna słota, żył niemal jak więzień, w dni takiej złej pogody nie

mógł wychodzić z domu; czasem stał przy oknie z rękoma w kieszeniach, z miną na pół kpiącą, i śledził dwie panie, które pod parasolami wędrują aleją. Drogi w okolicy Gardencourt nawet podczas słoty pozostawały twarde, toteż Isabel i madame Merle wracały zarumienione i oglądając podeszwy swoich zgrabnych, mocnych trzewików, stwierdzały, że przechadzka znakomicie służy ich zdrowiu. Przed lunchem madame Merle była zawsze czymś zajęta, a Isabel z pewną zazdrością podziwiała rygorystyczny program jej poranków. Sama uchodziła za osobę, która umie wypełniać sobie czas pożytecznie i przyjemnie, chlubiła się tą umiejętnością, ale miała wrażenie, że błąka się po drugiej stronie muru opasującego prywatny ogród, w którym kwitną talenty, dzieła i możliwości nowej przyjaciółki. Zapragnęła z nią współzawodniczyć, choć pod wieloma względami madame Merle wydawała jej się niedościgłym wzorem. „Jakże chciałabym być taka jak ona!” – wzdychała w duchu Isabel, ilekroć jakaś nowa zaleta tej damy wychodziła na jaw; wkrótce Isabel zdawała już sobie sprawę, że nauczyła się wiele, i to od prawdziwej mistrzyni. Zrozumiała też, że – jak się to mówi – ulega jej wpływowi. „Cóż to szkodzi? – myślała – skoro jest to wpływ dobry? Pod dobrym wpływem stanę się lepsza. Trzeba tylko uważać i każdy krok stawiać świadomie. A tak będę z pewnością zawsze postępowała. Nie powinnam lękać się, że nabiorę za wielkiej giętkości, przecież właśnie jej brak stanowi moją główną wadę”. Słusznie mówi się, że najbardziej przekonującym pochlebstwem jest naśladowanie; Isabel czasem wpatrywała się w swoją niezwykłą przyjaciółkę, marząc, by się do niej upodobnić, i wątpiąc, czy to jest osiągalne; nie tyle pragnęła sama zabłysnąć, ile podziwiać blask madame Merle. Lubiała ją bardzo, ale ta kobieta raczej olśniewała ją, niż pociągała. Niekiedy zastanawiała się, co powiedziałyby Henrietta Stackpole o jej zachwytach dla tej wyrodnej córki ich wspólnej ojczyzny, i przewidywała, że sąd Henrietty byłby surowy. Henriecie nie wszystko by się w madame Merle podobało; Isabel nie umiała wytłumaczyć, dlaczego jest tego pewna. Ale równie pewna była, że nowa przyjaciółka, jeśli zdarzy się okazja,

życzliwie oceni dawną. Madame Merle, bystra obserwatorka obdarzona poczuciem humoru, niewątpliwie pozna się na Henriecie, a jeśli się ze sobą zetkną, da dowody wielkiego taktu, w czym panna Stackpole z pewnością nie mogłaby jej dorównać. Madame Merle ma w skarbcu doświadczenia kamień probierczy, niezawodny w każdym przypadku, a w pojemnej kieszeni pamięci znajdzie klucz, by rozszyfrować zalety panny Stackpole.

„Szczęśliwy człowiek – myślała z powagą Isabel – który znalazł się w takiej pozycji, że może lepiej oceniać innych ludzi niż oni jego”. I po tej refleksji doszła do wniosku, że na tym polega właśnie przywilej arystokracji. To mając na uwadze – jeśli nie z innych względów – warto dążyć do znalezienia się w tym uprzywilejowanym kręgu.

Nie będę wyliczał wszystkich ogniw rozumowania, które doprowadziły naszą bohaterkę do wniosku, że madame Merle należy do arystokracji, chociaż ona sama nigdy nie dała tego do zrozumienia swojej młodej przyjaciółce. Znała wielkie sprawy i wielkich ludzi, ale nigdy nie grała wielkiej roli. Zaliczała się do maluczkich w tym świecie, nie urodziła się do zaszczytów, za dobrze znała świat, by żywić złudzenia co do własnego miejsca w jego hierarchii. Spotykała na swojej drodze wybrańców losu i jasno dostrzegała różnice między ich sytuacją a tą, która jej przypadła w udziale. Wiedząc to wszystko, nie uważała się za postać z wielkiej sceny, ale w oczach Isabel nosiła aureolę wielkości. Kobieta tak kulturalna, tak ucywilizowana, tak mądra i swobodna zarazem, lekko traktująca te swoje przymioty, zasługiwała według panny Archer na miano wielkiej damy, zwłaszcza gdy miała postawę i sposób bycia madame Merle. Można by myśleć, że ściągą daninę z całej elity towarzyskiej i przejęła wszystkie jej sztuczki i uprzejme formy – albo też że czyniła z tych praktyk po swojemu jakiś czarujący użytek i gdziekolwiek się znalazła, oddawała subtelne przysługi dalekiemu, wzywającemu ją światu. Po śniadaniu pisała kilka listów, a otrzymywała ich co dzień mnóstwo; obfitość tej korespondencji zdumiewała pannę Archer, gdy czasem towarzyszyła przyjaciółce

w wyprawie do miasteczka na pocztę, skąd madame Merle wysyłała płody swego pióra. Miała za wiele znajomych, jak wyznała pannie Archer, nie mogła się po prostu od nich opędzić; zawsze też zdarzało się coś, co wymagało opisanie w liście. Madame Merle bardzo lubiła malować, a rysowała z taką samą łatwością, z jaką zdejmowała rękawiczki. W Gardencourt korzystała z każdej słonecznej godziny, by ze składanym krzeselkiem i pudłem akwarel wychodzić do parku. O jej muzycznym talencie już wspominaliśmy; kiedy co wieczór siadała do fortepianu, wdzięczni słuchacze bez protestu rezygnowali na pewien czas z przyjemności rozmawiania z nią. Isabel, odkąd ją poznała, wstydziła się własnych zdolności muzycznych, które teraz wydawały jej się mizerne; w kraju uchodziła wprawdzie za wspaniałą pianistkę, ale gdy siadała na taborecie przed klawiaturą i odwracała się plecami do zebranego w salonie towarzystwa, wszyscy trochę żalowali, że ją tracą, bo rozmowa z nią bawiła ich bardziej niż jej muzyka. Madame Merle, jeśli nie pisała ani nie malowała, ani nie przebierała palcami po klawiaturze, zajmowała się haftem – wyszywała poduszki, kotary, serwetki do ozdobienia parapetu kominka – i okazywała w tej sztuce śmiałą, swobodną pomysłowość nie mniej godną uwagi niż sama zręczność w posługiwaniu się igłą. Nigdy nie siedziała beczynnienie; jeśli nie była zajęta w żaden z wymienionych przed chwilą sposobów, to czytała (Isabel miała wrażenie, że madame Merle zna wszystkie „liczące się” książki) albo spacerowała czy też stawiała pasjanse lub prowadziła z kimś rozmowę. A wszystko to robiła z wielkim taktem, nigdy manifestacyjnie nie wycofywała się ani też nie narzucała swojej obecności. Każde z tych zajęć przerywała równie swobodnie, jak je podejmowała; haftując, rozmawiała, jak gdyby nie przywiązywała wagi do swoich robótek; rozdawała w prezencie obrazki i hafty; siadała do fortepianu albo wstawała, zależnie od życzeń słuchaczy, które zgadywała nieomylnie. Krótko mówiąc, madame Merle była najłatwiejszą we współżyciu, pożyteczną i miłą osobą. Jeśli Isabel mogła jej coś zarzucić, to chyba tylko nienaturalność. Nie znaczy to, że zachowywała się

sztucznie czy pretensjonalnie, bo tych wulgarnych skaz nikt by w niej się nie dopatrzył, ale natura jej zniknęła pod powłoką świetnych manier, które zaokrągliły wszystkie kandy. Stała się zbyt giętka, zbyt uprzejma, zbyt dojrzała, jakby już raz na zawsze ukształtowana. Słowem, była zanadto doskonałym zwierzęciem towarzyskim, jakim rzekomo powinien być człowiek; wyzbyła się doszczętnie śladów tej pierwotnej, ożywczej dzikości, którą prawdopodobnie przejawiali najpoczątkowi nawet ludzie, dopóki nie weszły w modę wiejskie rezydencje i panujące w nich obyczaje. Isabel nie mogła jej sobie wyobrazić samotnej i oderwanej od tła – madame Merle istniała jedynie w bezpośrednich lub pośrednich powiązaniach z innymi osobami. Nie sposób odgadnąć, czy kiedykolwiek rozmawiała sam na sam z własną duszą. W końcu jednak trzeba pamiętać, że czarująca powierzchnia nie jest dowodem kryjącej się pod nią płycizny, takim złudzeniem może karmić się tylko bardzo naiwna pierwsza młodość. Madame Merle na pewno nie była osobą płytką, przeciwnie, bardzo głęboką, a prawdziwa jej natura odzwierciedlała się w zachowaniu, chociaż przemawiała konwencjonalnym językiem. „Czyż język z istoty swej nie jest konwencją? – myślała Isabel. – Madame Merle daje dowód dobrego smaku, nie siląc się, jak niektórzy inni moi znajomi, na oryginalny styl”.

– Ty chyba wiele w życiu przecierpiałaś – powiedziała Isabel, gdy jakaś aluzja przyjaciółki nasunęła jej takie podejrzenie.

– Skąd ci to przyszło do głowy? – spytała madame Merle z uśmiechem osoby bawiącej się jakąś grą towarzyską, która polega na zgadywaniu. – Mam nadzieję, że nie wyglądam na kobietę niezrozumianą?

– Nie, ale czasem mówisz coś, czego nie wymyśliłby człowiek mający za sobą wyłącznie szczęśliwe dni.

– Nie zawsze byłam szczęśliwa – odparła madame Merle, wciąż z uśmiechem, ale z drwiącą powagą, jak dorosła osoba, gdy wyjawia sekret dziecku. – To bardzo dziwne!

Isabel odpowiedziała z nie mniejszą ironią:

– Wiele ludzi robi na mnie wrażenie, jakby nigdy niczego ani

przez chwilę nie odczuli naprawdę.

– Masz rację, niewątpliwie jest więcej żelaznych garnków niż delikatnej porcelany. Możesz jednak być pewna, że każdy nosi na skórze jakieś blizny, nawet najtrwalszy żelazny garnek ma jakąś skazę, jakąś rankę. Pochlebiam sobie, że jestem odporna, ale, szczerze mówiąc, mocno mnie obtluczono i poszczerbiono. Nadaję się mimo to do użytku, bo załatałam zręcznie uszkodzenia; staram się, o ile możliwości, nie wychylać z kredensu, z cichej, zakurzonej szafki pachnącej zwietrzałymi przyprawami. Ale kiedy wysunę się stamtąd na jaskrawe światło dzienne, wyglądam potwornie, moja miła!

Może przy tej okazji, a może w innej rozmowie, madame Merle napomknęła, że kiedyś opowie całą swoją historię. Isabel natychmiast zapewniła ją, że gotowa jest wysłuchać z najwyższym zainteresowaniem, a później wiele razy przypomniała tę obietnicę, madame Merle zawsze jednak odraczała jej spełnienie, aż wreszcie pewnego dnia otwarcie wyjaśniła, że przedtem muszą się nawzajem lepiej poznać. Kiedyś na pewno to osiągną, mają przed sobą wiele lat przyjaźni. Isabel zgodziła się z tym zdaniem, ale zapytała, czy madame Merle nie ufa jej, czy sądzi, że byłaby zdolna zdradzić jej zaufanie.

– Nie tego się obawiam, że mogłabyś komuś moją opowieść powtórzyć – odparła madame Merle – lecz przeciwnie, tego, że za głęboko ten sekret w sobie zagrzebiesz. Osądzisz mnie zbyt surowo, nie wyrosłaś jeszcze z wieku okrucieństwa. – Na razie wołała z Isabel rozmawiać o Isabel; okazywała żywe zainteresowanie dla jej historii, sentymentów, poglądów i planów na przyszłość. Zachęcała młodą przyjaciółkę do zwierzeń i słuchała z nieopisaną dobrocią. Było to dla Isabel pochlebne i wzruszające, tym bardziej że – jak wiedziała od ciotki – jej nowa przyjaciółka miała rozległe stosunki w najlepszym towarzystwie i była częstym gościem w domach europejskiej elity. Isabel zaczęła wyżej oceniać siebie, skoro pozyskała łaski osoby mającej tak szerokie możliwości porównywania ludzi. Może częściowo w nadziei, że na takich porównaniach zyska, często namawiała

starszą przyjaciółkę, by dzieliła się z nią wspomnieniami. Madame Merle wiele czasu spędziła w różnych krajach i wszędzie miała znajomości.

– Nie mogę pochwalić się wielkim wykształceniem – mówiła – ale Europę znam jak własną kieszeń.

Któregoś dnia powiedziała, że wybiera się do Szwecji, gdzie zaprasza ją dawna przyjaciółka, kiedy indziej wspomniała, że ma ochotę pojechać na Malte, żeby podtrzymać świeżo zadziergnięte miłe stosunki; w Anglii przebywała bardzo często, czuła się tu niemal jak u siebie, toteż Isabel wiele skorzystała z jej informacji o przyjętych na wyspie zwyczajach i o ludziach, wśród których – jak wyraziła się madame Merle – „mimo wszystko” żyje się łatwiej niż gdziekolwiek w świecie.

– Nie dziw się, że madame Merle siedzi w Gardencourt w takich ciężkich dniach, kiedy twój wuj umiera – powiedziała do siostrzenicy żona umierającego. – Nigdy nie popełnia błędów, nie znam osoby równie taktownej jak ona. Robi to na moją prośbę, dla mnie przesunęła terminy wizyt w kilku najznakomitszych domach – wyjaśniła pani Touchett, która ani na chwilę nie zapomniała, że jej własna pozycja spadła w Anglii o kilka szczebli niżej w hierarchii towarzyskiej. – Nie brak jej zaproszeń, może w nich przebierać. Ale prosiłam ją, żeby została, bo chciałam, żebyś z nią poznała się bliżej. Myślę, że wiele na tym skorzystasz. Serena Merle to dama bez skazy.

– Gdybym nie zdążyła już jej polubić, przeraziłby mnie ten portret – odparła Isabel.

– Jest niezawodna. Przywiozłam cię tutaj i chcę zrobić dla twojego dobra wszystko co w mojej mocy. Lily, twoja siostra, wyraziła nadzieję, że otworzę przed tobą różne możliwości. Otóż daję ci wielką szansę obcowania z madame Merle, która należy do najświetniejszych dam Europy.

– Ale ja wolę ją samą od tego jej portretu – z uporem powtórzyła Isabel.

– Czy pochlebiasz sobie, że kiedykolwiek odkryjesz w niej coś do skrytkowania? Mam nadzieję, że zawiadomisz mnie, jeśli



to ci się uda!

– Byłoby to zbyt przykre... dla cioci – odparła Isabel.

– O mnie się nie martw. Nie znajdziesz w niej żadnej wady.

– Może. Ale jeśli ma jakąś wadę, to ja ją dostrzegę.

– Madame Merle wie wszystko, co kobieta może o świecie wiedzieć! – stwierdziła pani Touchett.

Isabel spytała później swoją przyjaciółkę, czy wie, że pani Touchett uważa ją za istotę doskonałą, wolną od najlżejszej bodaj plamki.

– Dziękuję – powiedziała na to madame Merle – obawiam się jednak, że twoja ciotka myśli, a przynajmniej mówi tylko o takich odchyleniach, które można dostrzec na tarczy zegara.

– Czy to znaczy, że przyznajesz się do jakiejś szorstkiej podszewki, której ciocia nie zna?

– Och, nie, moja podszewka jest gładsza niż wierzch.

Chciałam powiedzieć, że istotą bez skazy jest w pojęciu twojej cioci ktoś, kto nigdy nie spóźnia się na obiad, zwłaszcza w jej domu. Nawiasem wspomnę, że nie spóźniłam się tego wieczoru, kiedy przyjechałaś z Londynu: weszłam do salonu z wybicciem ósmej godziny, to raczej reszta towarzystwa stawiała się przedwcześnie. A więc bez skazy jest osoba odpisująca tego samego dnia na otrzymany list, przyjeżdżająca, jeśli jest zaproszona, bez zbyt ciężkich bagaży i niepozwalająca sobie chorować podczas wizyty pod gościnnym dachem. Pani Touchett wyobraża sobie, że te cechy składają się na doskonałość; jakże to wygodnie, że można ją sprowadzić do tak prostych elementów!

Jak widać, madame Merle śmiało i swobodnie wypowiadała o innych osobach krytyczne uwagi, które jednak mimo swej jednoznaczności nie wydawały się pannie Archer złośliwe. Isabel nie pomyślała na przykład, że idealny gość nie powinien wyrażać się niepochlebnie o pani domu. Nie przyszło to do głowy naszej bohaterce z kilku przyczyn. Po pierwsze, sama widziała niedoskonałości ciotki, po drugie, madame Merle dawała do zrozumienia, że o jej własnych wadach można by coś więcej powiedzieć, a po trzecie, mówiąc tak bezceremonialnie o bliskiej

krewniej przyjaciółki, podkreślała intymność łączących je stosunków. Oznaki głębokiego wzajemnego zaufania mnożyły się z każdym dniem, a żadna nie była miłsza dla Isabel niż okazywane przez madame Merle zainteresowanie jej osobą. Wprawdzie dama ta często wspominała jakieś epizody z własnego życia, lecz nigdy nie zatrzymywała się dłużej przy tym temacie; nikt nie mógł jej oskarżyć o egocentryzm tak samo jak o pospolite plotkarstwo.

– Jestem stara, zwietrzała i wypłowiła – mówiła – nieinteresująca jak gazeta sprzed tygodnia. Ty jesteś młoda, świeża, dzisiejsza, masz wielki atut: aktualność. Ja go też kiedyś miałam, każdy cieszy się nim tylko przez krótki czas. Ale ty zachowasz go dłużej niż większość ludzi. Mówmy więc o tobie; wszystko, co powiesz, będzie dla mnie ciekawe. To też dowód starości, że tak lubię rozmawiać z młodszymi. Znajduję w tym ogromną satysfakcję. Skoro nie możemy zatrzymać młodości w sobie, cieszymy się jej obecnością przy nas, doprawdy zdaje mi się, że ją wtedy jaśniej widzimy i głębiej odczuwamy. Oczywiście pod warunkiem, że się do niej odnosimy życzliwie, ale to nigdy dla mnie nie będzie trudne. Nie wiem, czy nie będą kiedyś mnie irytowali starzy ludzie, mam nadzieję, że nie, dla młodych, choćbym chciała, nie potrafię być niedobra, za bardzo wzruszają mnie i pociągają. Daję ci więc *carte blanche*, możesz mnie nawet traktować arogancko, jeśli masz ochotę, wszystko ci wybaczę, jestem gotowa rozpieścić cię najokropniej. Mówię, jakbym miała sto lat? Ależ mam sto lat! Urodziłam się przed rewolucją francuską. Ach, moja droga, *je viens de loin!* Należę do starego, bardzo starego świata. Ale nie o tym chciałam mówić. Mówmy o świecie nowym. Opowiedz mi coś więcej o Ameryce, nigdy mi nie dość tych wiadomości. Żyję po tej stronie, odkąd mnie przywieziono jako bezradne dziecko, to śmieszne, wręcz gorszące, że tak mało wiem o tym wspaniałym, okropnym, dziwacznym kraju, z pewnością największym i najzabawniejszym ze wszystkich. Takich jak ja wielu jest tutaj i myślę, że to gromada rozbitków. Człowiek powinien mieszkać w rodzinnym kraju, gdziekolwiek on leży, to jest jego naturalne miejsce. Nie jesteśmy

dobrymi Amerykanami, ale też nie staliśmy się naprawdę Europejczykami, nie mamy już nigdzie własnego, naturalnego miejsca. Pasożyty pełzające po powierzchni, niewrośnięte w głąb! Trzeba przynajmniej zdawać sobie z tego sprawę, nie wolno się łudzić. Kobiecie łatwiej się przystosować, kobieta właściwie nie ma nigdy własnego naturalnego miejsca na ziemi, gdziekolwiek się znajdzie, zostaje na powierzchni i musi, mniej lub bardziej pokornie, pełzać. Protestujesz, kochanie? Ty nigdy nie będziesz pełzała? To prawda, nie wyobrażam sobie ciebie pełzającej, trzymasz się prosto, prościej niż wiele innych biednych istot. A więc zgoda, ja też w końcu myślę, że nie będziesz nigdy pełzała. Ale mężczyźni, Amerykanie, *je vous demande un peu*, co oni robią po tej stronie? Nie zazdroszczę im, patrząc, jak próbują urządzić się tutaj. Taki na przykład Ralph Touchett: jak określić jego rolę? Szczęściem ma gruźlicę, mówię: „szczęściem”, bo dzięki temu ma coś do roboty. Gruźlica zastępuje mu karierę życiową. Można powiedzieć: „Pan Ralph Touchett pielęgnuje swoje płuca, zna się doskonale na sprawach klimatu”. Gdyby nie to, cóżby swoją osobą reprezentował? „Pan Ralph Touchett, Amerykanin mieszkający w Europie”. To przecież nic nie znaczy, trudno powiedzieć o kimś coś mniej znaczącego. „Jest bardzo kulturalny – mówią ludzie – ma niezłą kolekcję staroświeckich tabakierek”. Już tylko tej kolekcji brakowało w tym żalonym obrazie! Ziewam na sam dźwięk tego słowa, to przecież śmieszne! Jego biedny chory ojciec jest w innej sytuacji: ten człowiek nie stracił tożsamości, to silna indywidualność. Reprezentuje potężny bank, a to w naszych czasach daje pozycję nie gorszą od innych. Jak na Amerykanina w każdym razie wystarczająco poważną. Ale nie mogę uwolnić się od podejrzeń, że dla twojego kuzyna chroniczna choroba jest darem losu, pod warunkiem oczywiście, że go nie zabije. To o wiele lepsze niż tabakierki. Powiadasz, że gdyby nie był chory, zająłby się jakąś pracą? Przejąłby po ojcu kierownictwo banku? Wątpię, moje dziecko. Nie sądzę, aby go pociągał zawód bankiera. No, ale ty lepiej go znasz niż ja, chociaż kiedyś znaliśmy się dość blisko. Wątpliwości trzeba interpretować na korzyść podsądnego.

Najgorszym okazem jest pewien nasz rodak, który mieszka we Włoszech (przywieziono go, zanim dorósł do wieku, kiedy by miał prawo wyboru), najmilszy zresztą człowiek pod słońcem. Chciałabym, żebyś go poznała. Nazywa się Gilbert Osmond, mieszka we Włoszech – to wszystko, co się da o nim powiedzieć. Jest wyjątkowo inteligentny, stworzony, by się wybić, ale powiedziałam o nim wszystko, mówiąc, że się nazywa Gilbert Osmond i mieszka *tout bêtement* we Włoszech, nic się nie da do tego dodać. Nie ma zawodu, sławy, pozycji, majątku ani przeszłości, ani przyszłości... Ach, tak: maluje, owszem, akwarelą, tak jak i ja, lepiej ode mnie, ale nieświetnie, właściwie to mnie nawet cieszy. Na szczęście jest nieprawdopodobnie bierny, indolencja doprowadzona do tego stopnia daje człowiekowi coś w rodzaju pozycji w świecie. Powie ci: „Nic nie robię, jestem okropnie leniwy, a dziś, żeby cokolwiek zrobić, trzeba wstawać o piątej rano”. Tym sposobem staje się wyjątkiem, wydaje nam się, że mógłby wiele zdziałać, gdyby zrywał się o świcie. Nigdy nie mówi o swoim malarstwie – przynajmniej obcym ludziom. Chroni go od tego błędu inteligencja. Ale ma córeczkę, bardzo miłe dziewczętko, i o niej dużo mówi. Kocha ją naprawdę i gdyby przykładne ojcostwo było zawodem, miałby zapewnione wysokie miejsce w jego hierarchii. Obawiam się jednak, że to niewiele lepsze, może nawet gorsze niż kolekcja tabakierok. Opowiedz mi, czym się zajmują ludzie w Ameryce – prosiła madame Merle. W nawiasie trzeba wyjaśnić, że wszystkich tych myśli nie wypowiedziała jednym tchem; zebraliśmy je w całość dla wygody czytelnika. Mówiła o Florencji, gdzie mieszkał Gilbert Osmond i gdzie pani Touchett zajmowała średniowieczny pałac; o Rzymie, gdzie sama miała skromne *pied-à-terre*, a w nim trochę cennych starych adamaszków. Mówiła o miastach, domach, ludziach, a nawet o tak zwanych szerszych sprawach. Od czasu do czasu wspominała o zacnym chorym panu Touchett i zastanawiała się nad szansami jego powrotu do zdrowia. Od początku nie rokowała większych nadziei; zadziwiała młodą przyjaciółkę stanowczością, jasnością i kompetencją w ocenie czasu, jaki biednemu panu

Touchettowi pozostał do życia. Któregoś wieczoru oświadczyła już z całą pewnością, że zbliża się koniec.

– Sir Matthew Hope powiedział mi to o tyle wyraźnie – stwierdziła – o ile mógł bez przekroczenia konwenansów, gdy przed obiadem rozmawialiśmy chwilę, stojąc przy kominku. Ten wielki lekarz umie być bardzo miły. Oczywiście nie ma to nic wspólnego z informacją, jakiej mi udzielił. Ale potrafi o tych rzeczach mówić bardzo taktownie. Zwierzyłam mu się, że mam skrupuły, pozostając tutaj w takich okolicznościach, boję się, że jestem intruzem, skoro nie nadaję się na pielęgniarkę. „Niech pani nie wyjeżdża – odpowiedział – będzie pani potem miała misję do spełnienia”. Czyż w ten oględny sposób nie dał mi do zrozumienia jednocześnie, że biedny pan Touchett opuści nas i że mogę stać się użyteczna w roli pocieszycielki? Zresztą myli się, nie przydałabym się na nic. Twoja ciotka sama się pocieszy, i tylko ona sama wie, ile pociechy będzie jej trzeba. Osoba postronna nie mogłaby odmierzyć właściwej dawki. Inna sprawa z twoim kuzynem, odczuje bardzo boleśnie odejście ojca. Nigdy bym jednak nie ośmieliła się okazać współczucia panu Ralphowi, nie jestem z nim na tak poufalej stopie. – Madame Merle często czyniła mgliste aluzje do jakiegoś rozdźwięku między nią a Ralphem, Isabel skorzystała więc z okazji, by ją wreszcie zapytać, czy nie są w przyjaznych stosunkach.

– Jesteśmy w jak najlepszych stosunkach, ale Ralph mnie nie lubi.

– Coś ty mu zrobiła?

– Nic a nic. W takich sprawach nie trzeba powodów.

– Żeby ciebie nie lubić? Myślę, że trzeba mieć bardzo poważne powody.

– Jesteś bardzo łaskawa dla mnie. Ale z pewnością znajdziesz powód, jeśli kiedyś zaczniesz tracić dla mnie sympatię.

– Nie, nigdy.

– Daj Boże, bo gdybyś zaczęła, nie zatrzymałabyś się w pół drogi. Taki sam jest też twój kuzyn, nie przebacza. Po prostu sprzeczność charakterów, chociaż nie wiem, czy można to tak

nazwać, bo antypatia jest jednostronna. Ja nie mam do niego urazy nawet o to, że nie oddaje mi sprawiedliwości. A niczego ponadto nie wymagam. Mimo wszystko uważam go za dżentelmena, niezdolnego do nieprzyjaznych manewrów za moimi plecami. *Cartes sur la table!* – I po pauzie madame Merle zakończyła: – Nie boję się go.

– Ja myślę! – wykrzyknęła Isabel i dodała coś o wyjątkowej dobroci swojego kuzyna. Pamiętała jednak, że kiedy po raz pierwszy spytała go o madame Merle, powiedział kilka zdań, które jej przyjaciółka mogłaby uznać za obraźliwe, chociaż nie zawierały konkretnych zarzutów. „Coś między nimi musiało zajść” – myślała Isabel, ale nie próbowała już więcej rozmawiać na ten temat. Jeśli sprawa była poważna, sekret zasługuje na uszanowanie, a jeśli błaha – nie jest godna ciekawości. Isabel, chociaż tak gorąco pragnęła wszystko wiedzieć, instynktownie wzdragała się przed uchylaniem zasłon i zaglądaniem w mroczne kąty. Miłość wiedzy współhistniała w jej psychice z najszlachetniejszym darem dyskrecji.

Ale madame Merle czasem mówiła rzeczy zaskakujące, tak że Isabel, słuchając ich, podnosiła brwi i długo potem rozważała słowa przyjaciółki w pamięci.

– Dużo bym dała, żeby znów być w twoim wieku! – wykrzyknęła kiedyś madame Merle z goryczą przebijającą spod gładkiej powierzchni jej zwykłej towarzyskiej swobody. – Ach, gdybym mogła raz jeszcze zacząć od początku, gdybym miała życie przed sobą!

– Masz życie przed sobą – odparła Isabel łagodnie, trochę przerażona tym wybuchem.

– Nie, najlepsza część już minęła, i to roztrwoniona.

– Nie, z pewnością nie na marne! – zaprotestowała Isabel.

– A cóż osiągnęłam? Nie mam męża ani dziecka, majątku ani pozycji, nawet resztek urody, bo jej nigdy nie miałam.

– Masz wielu przyjaciół.

– Wcale nie jestem tego pewna! – wykrzyknęła madame Merle.

– Mylisz się bardzo! Masz wspomnienia, wdzięk, talenty...  
Ale madame Merle przerwała jej:

– Cóż mi dały te talenty? Nic prócz przymusu uprawiania ich w dalszym ciągu, możliwości zabijania z ich pomocą godzin, lat, oszukiwania samej siebie pozorami działalności, tłumienia myśli... O wdzięku i wspomnieniach lepiej nie mówmy! Będziesz moją przyjaciółką, dopóki nie znajdziesz kogoś lepszego.

– A więc postaraj się, żebym nic lepszego nie mogła znaleźć.

– Owszem, gotowa jestem na wielkie wysiłki, żeby ciebie zatrzymać – madame Merle poważnie spojrzała w oczy młodej przyjaciółki. – Kiedy mówię, że chciałabym być w twoim wieku, mam na myśli, że chciałabym mieć twoje zalety: otwartość, wspaniałomyślność, szczerłość. Z takim charakterem lepiej ułożyłabym sobie życie.

– Nie udało ci się osiągnąć tego, czego pragnęłaś?

Madame Merle wzięła do ręki nuty – siedziała przy fortepianie; rozpoczęła tę rozmowę, odwracając się razem z obrotowym taborettem – i odruchowo przerzucała kartki.

– Jestem bardzo ambitna! – wyznała w końcu.

– I twoje ambicje nie zostały zaspokojone? Musiały być wielkie!

– Tak wielkie, że ośmieszyłabym się, mówiąc o nich.

Przez głowę Isabel przemknęła myśl, że madame Merle marzyła może o koronie.

– Nie wiem, jak ty wyobrażasz sobie sukces, ale w moim pojęciu osiągnęłaś go w życiu. Dla mnie jesteś po prostu uosobieniem sukcesu.

Madame Merle odłożyła nuty z uśmiechem.

– A jak ty wyobrażasz sobie sukces?

– Widzę, że spodziewasz się bardzo banalnej odpowiedzi. Za sukces uważam urzeczywistnienie marzeń młodości.

– O! – krzyknęła madame Merle. – To mi się nie udało! Ale moje marzenia były tak wielkie, po prostu niedorzeczne. Niech mi Bóg wybaczy, przecież ja się znowu rozmarzam! – Obróciła się ku klawiaturze i zaczęła grać z przejęciem.

Nazajutrz powiedziała młodej przyjaciółce, że jej definicja sukcesu jest piękna, ale bardzo smutna. Według tej miary ktoś mógłby się poszczycić zwycięstwem? Marzenia młodości są tak czarowne, tak nieziemskie. Któż widział je kiedykolwiek urzeczywistnione w życiu?

– Choćby ja – odparła Isabel. – Niektóre już mi się spełniły.

– Już się spełniły? Musiały to być rzeczy wymarzone wczoraj!

– Zaczęłam marzyć bardzo wcześnie – z uśmiechem powiedziała Isabel.

– Ach, mówisz o marzeniach dzieciennych, o różowej kokardzie czy o lalce, która zamyka oczy!

– Nie, nie o tym mówię.

– Może o marzeniu, żeby młody człowiek z eleganckimi wąsikami padł przed tobą na kolana?

– Nie, także nie o tym – zaprzeczyła Isabel z większą jeszcze stanowczością.

Madame Merle spostrzegła gorliwość tego protestu.

– Podejrzewam, że właśnie to miałaś na myśli. Każda z nas miała swojego młodego eleganta z wąsikami. To nieuchronne, ale bez znaczenia.

Isabel chwilę milczała, potem z charakterystycznym dla niej brakiem konsekwencji spytała:

– Dlaczego nieważne? Są różni młodzi ludzie.

– A ten twój był ideałem, czy tak? – spytała ze śmiechem madame Merle. – Jeżeli jest rzeczywiście taki, jakiego sobie wymarzyłaś, to osiągnęłaś sukces i wieszuję ci szczerze. Ale w takim razie dlaczego nie pofrunęłaś z nim do jego zamku w Apeninach?

– On nie ma zamku w Apeninach.

– A cóż ma? Brzydką kamienicę na Czterdziestej Ulicy? Nie wierzę, to nie byłoby godne ideału.

– Nic mnie nie obchodzi jego dom – oznajmiła Isabel.

– Mówisz nieroztropnie. Jak pożyjesz tyle lat co ja, zrozumiesz, że każda ludzka istota ma swoją skorupę i musisz tę



skorupę brać pod uwagę. Mam na myśli wszystkie okoliczności tworzące otoczkę człowieka. Nikt z nas, mężczyzna czy kobieta, nie istnieje w oderwaniu od otaczającej go rzeczywistości. Każdy tkwi w jakiejś własnej oprawie. Co nazwać osobowością? Gdzie ona się zaczyna? Gdzie kończy? Obejmuje wszystko, co do nas należy, i na odwrót, te zewnętrzne rzeczy w nią przenikają. Wiem, że znaczna część mojej osobowości jest w sukniach, które sobie wybieram. Z dużym szacunkiem odnoszę się do tak zwanych rzeczy. Nasza osobowość – dla innych ludzi – jest tym, w czym się wyraża. A nasz dom, meble, ubrania, które nosimy, książki, które czytamy, towarzystwo, w którym się obracamy – to wszystko są środki ekspresji naszego ja!

Były to metafizyczne wywody, nie bardziej jednak metafizyczne od wielu innych zdań, wcześniej wygłaszanych przez madame Merle. Isabel lubiła metafizykę, ale w tym przypadku śmiała analiza ludzkiej osobowości, proponowana przez madame Merle, nie przekonywała jej.

– Nie zgadzam się z tobą, mam zupełnie inne poglądy. Nie wiem, czy potrafię wyrazić swoją osobowość, ale wiem, że nic innego nie może stać się jej wyrazem: rzeczy, które do mnie należą, nie są miarą mojej osobowości, przeciwnie, są dla niej ograniczeniem, narzuconą arbitralnie barierą. Suknie, chociaż, jak powiadasz, wybieram je, doprawdy nie wyrażają mojej osobowości, i niech Bóg broni, żeby tak było!

– Ubierasz się bardzo dobrze – lekko zauważyła madame Merle.

– Przypuśćmy, nie chcę jednak być sądzona po moich sukniach. Może świadczą o mojej krawcowej, ale z pewnością nie o mnie. Zresztą wcale ich nie wybrałam, to społeczeństwo mi je narzuca.

– Wolałabyś obywać się bez tych osłon? – spytała madame Merle tonem, który położył kres dalszej dyskusji.

Szczegół ten może rzuci pewien cień na obraz młodzieńczej lojalności naszej bohaterki w stosunku do znakomitej starszej przyjaciółki, jaki starałem się odmalować, muszę jednak wyjaśnić,

że Isabel nie powiedziała jej ani słowa o lordzie Warburtonie; równie powściągliwa była w relacjach o swoim bostońskim wielbicielu. Nie ukrywała jednak faktu, że miała okazje do zamążpójścia i że chodziło o świetne partie. Lord Warburton wyjechał z Lockleigh do Szkocji, zabierając siostry ze sobą; wprawdzie kilka razy pisał do Ralphi, pytając o stan zdrowia jego ojca, lecz Isabel nie była narażona na kłopotliwe sytuacje, jakie mogłyby się wytworzyć, gdyby sąsiad, przebywając w pobliżu, uznał za stosowne przyjeżdżać po te wiadomości osobiście. Warburton miał doskonale maniery, ale gdyby zjawił się w Gardencourt i zetknął się z madame Merle, zapewne polubiłby ją i mógłby się przed nią zdradzić ze swojej miłości do jej młodej przyjaciółki. Tak się złożyło, że podczas wcześniejszych wizyt tej damy w Gardencourt – krótszych niż obecna – albo lorda Warburtona nie było w sąsiedztwie, albo też nie odwiedzał w tym okresie pana Touchetta. Toteż madame Merle знаła go tylko ze słyszenia i reputacji pierwszego ziemianina w hrabstwie i nie mogła przypuszczać, że starał się o rękę świeżo sprowadzonej z Atlantyku siostrzenicy pani Touchett.

– Masz jeszcze mnóstwo czasu – powiedziała kiedyś po wysłuchaniu ocenzurowanych zwierzeń, jakie czyniła jej Isabel, niepełnych, jak już wiemy, chociaż pannę Archer chwilami nękał niepokój, czy nie za wiele swoich sekretów ujawniła. – Cieszę się, że jeszcze klamka nie zapadła, że masz przed sobą tę decyzję. Panna zyskuje na tym, gdy wiadomo, że odrzuciła kilka dobrych partii, pod warunkiem, oczywiście, że nie były to najlepsze, jakich może się w życiu spodziewać. Przepraszam, jeśli ci się wydaję okropnie zepsuta, ale trzeba czasem spojrzeć na sytuację ze światowego punktu widzenia. Strzeż się jednak odmawiać dla samej przyjemności odmawiania. Owszem, to daje miłe poczucie władzy, ale, w końcu, przyjmując, także korzystasz ze swojej władzy. Zawsze istnieje niebezpieczeństwo, że odmówi się o jeden raz za wiele. Co do mnie uniknęłam tego, przeciwnie, nie odmówiłam, gdy należało to zrobić. Jesteś uroczą istotą i chciałabym, żebyś wyszła za premiera. Ale mówiąc ściśle, wiesz,

premier nie uchodzi za tak zwaną dobrą partię. Jesteś bardzo ładna i wyjątkowo inteligentna, w ogóle wyjątkowa. Masz, jak się zdaje, dość mgliste pojęcie o swoich ziemskich dobrach, ale, o ile się orientuję, nie jesteś obciążona większymi dochodami. Szkoda, że nie masz choć trochę pieniędzy.

– Szkoda! – po prostu zgodziła się Isabel, zapominając przez chwilę, że jej ubóstwo nie zraziło dwóch rycerskich konkurentów.

Mimo życzliwej rady znakomitego lekarza madame Merle nie została w Gardencourt do końca – bo tak już teraz otwarcie nazywano przewidywany wynik choroby pana Touchetta. Musiała wreszcie dotrzymać zobowiązań wobec innych osób; opuściła Gardencourt, zapewniwszy panią Touchett, że zobaczą się jeszcze, czy to na wsi, czy w Londynie przed wyjazdem z Anglii. Żegnając się z Isabel, jeszcze wyraźniej niż przy pierwszym z nią spotkaniu podkreśliła, że przyjaźń między nimi dopiero się zaczęła.

– Będę kolejno w sześciu różnych domach, ale nigdzie nie znajdę osoby, którą bym bardziej lubiła niż ciebie. Wszystko to są jednak dawni przyjaciele, w moim wieku nie zawiera się już nowych przyjaźni. Dla ciebie zrobiłam wielki wyjątek. Pamiętaj o tym i myśl o mnie w miarę możliwości dobrze. Musisz mi to odplacić zaufaniem.

Zamiast odpowiedzieć, Isabel pocałowała ją, a chociaż niektóre kobiety szafują łatwo tym czułym gestem, pocałunek pocałunkowi nierówny, i madame Merle mogła być zadowolona. Po jej wyjeździe nasza młoda bohaterka spędziła wiele czasu samotnie; ciotkę i kuzyna widywała tylko przy posiłkach i odkryła, że pani Touchett jedynie małą część czasu, gdy jest niewidzialna, przesiaduje przy chorym mężu, a najczęściej zamyka się we własnym pokoju, gdzie nikt, nie wyłączając siostrzenicy, nie miał prawa wstępu, i oddaje się jakimś tajemniczym, niemożliwym do odgadnięcia zajęciom. Przy stole milczała surowo, a Isabel wiedziała, że nie jest to poza, lecz prawdziwe skupienie. Isabel zastanawiała się, czy ciotka nie wyrzuca sobie, że tak uparcie chodziła w życiu własnymi drogami. Nie zdradzała jednak niczym skruchy, nie płakała, nie wzdychała, nie przesadzała w gorliwości,

jak zawsze przekonana, że jest w porządku. Może pani Touchett po prostu czuła potrzebę zastanowienia się i podsumowania bilansu: prowadziła moralną księgę rachunkową – z równiutko wpisanymi kolumnami cyfr, zamkniętą na ostrą stalową klamrę, wzorowo dokładną. Jeśli się odzywała, to z reguły bardzo rzeczowo.

– Gdybym przewidziała tę sytuację – powiedziała do Isabel po wyjeździe madame Merle – nie zaprosiłabym cię do Europy. Poczekałabym z tym do przyszłego roku.

– Ale w takim razie nie poznałabym wuja. Bardzo się cieszę, że przyjechałam już w tym roku.

– To bardzo szczęśliwie. Ale nie po to cię przywiozłam, żebyś mogła poznać wuja.

Słowa zgodne z prawdą, ale, jak się wydało siostrzenicy, nie w porę wypowiedziane. Isabel miała teraz dużo czasu, żeby rozmyślać o tym i o różnych innych sprawach. Co dzień chodziła na spacer i spędzała długie godziny w bibliotece, przeglądając książki. Między innymi głowę jej zaprzętały przygody panny Stackpole, z którą regularnie korespondowała. Te listy przyjaciółki wydawały się panie Archer ciekawsze od jej artykułów; myślała, że styl korespondencji pisanych dla „Interviewera” byłby lepszy, gdyby nie były przeznaczone do druku. Henriecie jednak w sprawach zawodowych nie wiodło się tak, jak by należało jej życzyć, choćby dla osobistego zadowolenia; panna Stackpole wciąż jeszcze nie przeniknęła w wewnętrzne życie angielskiego towarzystwa, którego wizja wymykała jej się ustawicznie niby zwodniczy błędny ogień. Z jakichś zagadkowych przyczyn nie dostała zaproszenia od lady Pensil; biedny pan Bantling, mimo swojej życzliwej pomysłowości, nie umiał wyjaśnić, dlaczego list – niezawodnie wysłany – nie doszedł do rąk adresatki. Bez wątplenia sprawy Henrietty leżały mu na sercu i sądził, że winien jej jest jakieś zadośćuczynienie za złudną obietnicę wizyty w Bedfordshire.

*Mówi, że powinnam wybrać się na kontynent – pisała*

*Henrietta – zamierza także tam pojechać, myślę, że mi to doradza szczerze. Zapytuje, dlaczego nie miałabym przyjrzeć się życiu we Francji; rzeczywiście bardzo pragnę zobaczyć nową Republikę. Pan Bantling co prawda nie pochwała Republiki, ale chętnie odwiedziłby Paryż. Muszę przyznać, że okazuje mi wiele względów, a więc znalazłam przynajmniej jednego grzecznego Anglika! Często mówię mu, że powinien być Amerykaninem, nie wyobrażasz sobie, jak go ten komplement cieszy. Za każdym razem tak samo wykrzykuje: „Och, doprawdy, pani chyba żartuje!”.*

W kilka dni później Henrietta zawiadomiła przyjaciółkę, że zdecydowała się pod koniec tygodnia wyruszyć do Paryża; pan Bantling przyrzekł odwieźć ją na dworzec, a może nawet aż do Dover. W Paryżu będzie oczekiwała przybycia Isabel. Pisała tak, jakby Isabel miała odbywać podróż na kontynent samotnie, ani słówkiem nie wspomniała o pani Touchett.

Pamiętając, jak Ralph interesował się panną Stackpole, Isabel czytała fragmenty jej listów kuzynowi, który z uwagą, niemal z zapartym tchem śledził rozwój kariery młodej dziennikarki.

– Dobrze robi, że jedzie do Paryża razem z tym ekslansjerem – powiedział. – Jeśli brak jej tematów, niech opisze tę eskapadę.

– Masz rację, to Henrietta łamie pewne konwenanse – przyznała Isabel – ale jeżeli myślisz, że ta eskapada nie jest najniewinniejsza w świecie – przynajmniej w jej intencjach – to grubo się mylisz. Nigdy nie zrozumiesz Henrietty.

– Wybacz, ale rozumiem ją doskonale. Nie rozumiałem z początku, później jednak wyrobiłem sobie jasny pogląd. Obawiam się tylko, że Bantling jest mniej bystry ode mnie. Prawdopodobnie czekają go niespodzianki. O, tak, ja rozumiem Henriettę, jakbym ją sam wymyślił.

Isabel wcale nie była tego pewna, ale usposobiona w tym okresie miłosiernie do kuzyna, powstrzymała się od wyrażenia wątpliwości.

Pewnego popołudnia, w niespełna tydzień po wyjeździe

madame Merle, Isabel była w bibliotece i trzymała w ręku książkę, która jednak nie potrafiła przykuć jej uwagi. Siedziała na sofie w głębokim wykuszu okiennym i patrzyła na szary, wilgotny park, ponieważ zaś biblioteka znajdowała się w skrzydle prostopadłym do fasady domu i frontowego wejścia, widziała powóz lekarza czekający od dwóch godzin przed drzwiami. Zdziwiło ją, że sir Matthew Hope tak przedłużył wizytę, w końcu jednak zobaczyła go, jak wyszedł, przystanął na ganku, z wolna wciągając rękawiczki i patrząc na nogi swojego konia, a potem wsiadł do powozu i odjechał. Isabel przez następne pół godziny nie ruszyła się ze swego miejsca przy oknie; w domu panowała głucha cisza. Cisza tak głęboka, że Isabel drgnęła gwałtownie, kiedy w pewnej chwili usłyszała powolne kroki, tłumione przez gruby dywan. Odwróciła się od okna i zobaczyła Ralpha; ręce jak zwykle trzymał w kieszeniach, na twarzy brakowało charakterystycznego uśmiešku.

Isabel wstała, a gest ten i jej spojrzenie wyrażały pytanie.

- Skończyło się – powiedział Ralph.
- A więc wuj...?
- Mój ukochany ojciec zmarł przed godziną.
- Och, biedny, drogi Ralphie! – zapłakała cicho, wyciągając obie ręce do kuzyna.

## ROZDZIAŁ XX

Mniej więcej w dwa tygodnie potem madame Merle zajechała dorożką przed dom na Winchester Square. Wysiadając z pojazdu, zobaczyła między oknami jadalni wiszącą dużą schludną drewnianą tablicę, a na świeżo powleczonym czarną farbą tle białe litery głoszące: *Okazała rezydencja na sprzedaż*; poniżej widniało nazwisko i adres agenta, do którego mieli się zwracać ewentualni nabywcy. „No, no, nie tracą czasu” – pomyślała. Szarpnęła wielką brązową kołatką i czekając na otwarcie drzwi, dodała w duchu: „Praktyczny kraj!”.

Idąc po schodach do salonu, zauważyła liczne oznaki abdykacji: obrazy zdjęte ze ścian i leżące na kanapach, okna bez zasłon, nagie posadzki. Pani Touchett zjawiała się natychmiast i na wstępie poprosiła krótko, by gość nie trudził się formułowaniem kondolencji.

– Wiem, co mogłabyś powiedzieć: był bardzo dobrym człowiekiem. Ale ja sama wiem o tym lepiej niż ktokolwiek, bo dałam mu najwięcej sposobności do okazania dobroci. W tym sensie można mnie uznać za dobrą żonę. – Dodała, że jej mąż w ostatnim okresie życia widocznie to zrozumiał. – Potraktował mnie hojnie. Nie twierdzę, że hojniej, niż się spodziewałam, bo w ogóle o tym nie myślałam. Znasz mnie, nigdy niczego się nie spodziewam. Mój mąż, jak sądzę, uznał fakt, że chociaż przebywałam długo za granicą i uczestniczyłam tam – można by powiedzieć: swobodnie – w życiu towarzyskim, nigdy nie dałam najmniejszego pretekstu do podejrzeń, że wolę kogoś innego.

„Zawsze wołałaś tylko siebie” – odpowiedziała w duchu madame Merle, ale była to replika niedosłyszalna.

– Nigdy nie poświęciłam męża dla kogoś innego – ciągnęła dalej pani Touchett z właściwą sobie zwięzłością.

„O, nie! – pomyślała madame Merle – nigdy nie poświęciłaś nic dla nikogo!”.

W tych bezgłośnych komentarzach było trochę cynizmu, który zasługuje na wyjaśnienie, tym bardziej że wydaje się niezgodny zarówno z naszkicowaną poprzednio – dość zresztą powierzchowną – charakterystyką tej damy, jak i ze znanymi faktami z życia pani Touchett; tym bardziej więc madame Merle nie miała podstaw, by dopatrywać się w słowach przyjaciółki zawołanych wycieczek osobistych. Otóż madame Merle, z chwilą gdy przestąpiła próg domu na Winchester Square, wyczuła, że śmierć starszego pana wywołała pewne subtelne skutki korzystne dla małego kręgu ludzi, do którego ona sama nie należy. Było rzeczą naturalną, że takie zdarzenie pociągnie za sobą pewne konsekwencje. Madame Merle podczas swojej wizyty w Gardencourt nieraz się nad nimi zastanawiała. Co innego jednak wyobrazić sobie jakąś sytuację, a co innego zetknąć się z jej materialną rzeczywistością. Myśl o podziale majątku – chciałoby się powiedzieć: łupów – przytłaczała ją niemal fizycznie i drażniła, budząc poczucie wykluczenia. Nie chciałbym jej przedstawić jako istoty pazernej i zazdrosnej – jakich nie brak w pospolitym stadzie – ale wiemy już, że madame Merle żywiła pewne niezaspokojone pragnienia. Gdyby ją spytano, przyznałaby oczywiście – i to z dumnym uśmiechem – że nie ma żadnego tytułu do udziału w spadku po panu Touchett. „Nigdy mnie nic nie łączyło – powiedziałyby – z tym biednym człowiekiem, ani tycio!” – i zilustrowałyby słowa gestem, zbliżając środkowy palec do kciuka. Spieszę też dodać, że chociaż w tym momencie nie mogła obronić się od przelotnego skurczu irracjonalnego żalu, nie zdradziła go niczym. Współczuła w końcu pani Touchett zarówno w jej stratach, jak i zyskach.

– Zostawił mi ten dom – oznajmiła świeżo osierocona wdowa – ale oczywiście nie zamierzam tutaj mieszkać, mam lepszy we Florencji. Testament otwarto ledwie trzy dni temu, wystawiłam jednak już ten dom na sprzedaż. Mam też pewne udziały w banku, nie orientuję się jeszcze, czy jestem zobowiązana je zatrzymać w swoim ręku. Jeśli nie, to pozbędę się ich naturalnie. Ralph, rozumie się, dostał Gardencourt; nie jestem pewna, czy go będzie



stać na utrzymanie tej posiadłości. Oczywiście ma spory majątek, ale jego ojciec porozdawał masę pieniędzy, przewidział legaty nawet dla dalekich krewnych z Vermontu. Co prawda Ralph jest bardzo przywiązany do Gardencourt, wyobrażam sobie, że mógłby tam mieszkać – w letnich miesiącach – poprzestając na jednej służącej do wszystkiego i młodszym ogrodniku. W testamencie mojego męża jest też pewna bardzo interesująca klauzula – dodała pani Touchett. – Moja siostrzenica odziedziczyła prawdziwą fortunę.

– Fortunę! – powtórzyła półgłosem madame Merle.

– Isabel będzie miała około siedemdziesięciu tysięcy funtów.

Madame Merle splecione ręce podniosła na wysokość biustu, oczy zaś, z nieco rozszerzonymi źrenicami, utkwiała w oczach pani Touchett.

– Ach! – wykrzyknęła. – Mądra dziewczyna!

Pani Touchett zmierzyła ją szybkim spojrzeniem.

– Co masz na myśli?

Madame Merle na sekundę zarumieniła się i spuściła wzrok.

– To z pewnością dowód mądrości, jeśli ktoś osiąga taki sukces, wcale się o niego nie starając.

– To pewne, że się nie starała. Ale nie nazywaj tego jej sukcesem.

Madame Merle rzadko grzeszyła niezręcznością, jaką jest odwoływanie wypowiedzianych nieopatrznie słów, stosowała rozsądniejszą metodę, podtrzymując je, ale nadając im sens bardziej pożądany.

– Ależ, moja droga, Isabel nie dostałaby siedemdziesięciu tysięcy, gdyby nie była tak urocza, a część jej uroku polega na wybitnej inteligencji.

– Jestem przekonana, że nie śniło jej się nawet o jakimś zapisie od mojego męża. Mnie też nie przychodziło to do głowy, bo nigdy nie wspominał o tych zamiarach – powiedziała pani Touchett. – Nie miała żadnego tytułu, żeby po nim cokolwiek dziedziczyć, jest moją siostrzenicą, ale to nie mogło w jego oczach wiele pomóc. Cokolwiek osiągnęła, nie starała się o to świadomie.

– Ach! – odparła madame Merle – to są właśnie największe zwycięstwa!

Pani Touchett powstrzymała się od wyrażenia opinii.

– Los uśmiechnął się do dziewczyny, temu nie przeczę. Na razie Isabel jest po prostu oszołomiona.

– Czy to znaczy, że nie wie, co zrobić z pieniędzmi?

– Sądzę, że nad tym jeszcze się nawet nie zastanawiała. W ogóle nie wie, co myśleć o całej tej sprawie. Nie upłynęły trzy dni od wizyty głównego wykonawcy testamentu, który przyszedł osobiście, żeby ją zawiadomić. Mówił mi później, że kiedy powiedział, co należało, dziewczyna niespodziewanie wybuchnęła płaczem. Kapitał ma pozostać w banku, Isabel będzie otrzymywała dywidendy.

Madame Merle pokiwała głową z roztropnym i teraz już zupełnie dobrotliwym uśmiechem. „Czarujące! Za drugim i trzecim razem oswoi się z pewnością”. Po chwili milczenia spytała żywo:

– A cóż na to twój syn?

– Wyjechał z Anglii przed otwarciem testamentu, wyczerpany trudami i smutkiem, uciekł na południe. Jest w drodze na Riwierę, nie miałam jeszcze od niego wiadomości. Ale nie przypuszczam, żeby mógł wysuwać jakiegokolwiek zastrzeżenia co do woli ojca.

– Wspomniałaś, zdaje się, że jego część spadku została uszczuplona?

– Na jego własne życzenie. Wiem, że nakłaniał ojca, aby zaopatrzył amerykańskich krewniaków. Ralph nie należy do ludzi myślących zawsze w pierwszej osobie.

– Zależy, kto jest dla niego pierwszą osobą! – uśmiechnęła się madame Merle. Chwilę siedziała zamyślona, patrząc w podłogę. – Czy będę mogła zobaczyć twoją szczęśliwą siostrzenicę? – spytała, podnosząc wreszcie wzrok.

– Możesz ją zobaczyć, ale przekonasz się, że nie wygląda na istotę uszczęśliwioną. Od trzech dni ma uroczysty wyraz twarzy madonny Cimabuego! – Mówiąc to, pani Touchett zadzwoniła na

służącego.

Isabel, po którą wysłano lokaja, zjawiała się w chwilę później; na jej widok madame Merle musiała przyznać, że pani Touchett znalazła trafne porównanie. Isabel była blada i poważna, co podkreślała jeszcze żałobna suknia, ale promienny uśmiech rozjaśnił jej twarz, gdy przyjaciółka, wychodząc na jej spotkanie, wyciągnęła do niej ramiona; popatrzyła na nią i ucałowała ją, jak gdyby oddawała pocałunek, którym została obdarzona przy pożegnaniu w Gardencourt. To była jedyna aluzja do niespodziewanego spadku, na jaką pozwoliła sobie taktowna madame Merle.

Pani Touchett nie widziała powodu, żeby czekać w Londynie na sprzedaż domu. Wybrała z jego urządzeń trochę rzeczy, które chciała przewieźć do swojej florenckiej siedziby, resztę poleciła sprzedać na licytacji i wyruszyła na kontynent. Siostrzenica oczywiście towarzyszyła jej w podróży; Isabel teraz miała dużo czasu, żeby ocenić niespodziewany dar losu. Często myślała o swojej nieoczekiwanej zamożności i zastanawiała się nad nią z wielu różnych punktów widzenia; nie będziemy jednak próbowali teraz śledzić biegu jej myśli ani wyjaśniać dokładnie, dlaczego świadomość, że sytuacja zmieniła się, początkowo przygnębiała ją. W pierwszych dniach nie mogła po prostu cieszyć się, ale z czasem doszła do wniosku, że majątek jest rzeczą pożądaną, ponieważ umożliwia działanie, a działanie to rozkosz, urocze przeciwieństwo głupiej słabości – zwłaszcza w jej żeńskiej odmianie. Słabość może dodawać wdzięku delikatnej młodej kobiecie, ale, zdaniem panny Archer, istnieją wdzięki od tego cenniejsze. Co prawda po wysłaniu czeków siostrom: Lily i biednej Edith, nie miała na razie szerszego pola do działania. Chętnie godziła się z perspektywą cichego trybu życia, jakie miała przez najbliższe miesiące prowadzić u boku pani Touchett ze względu na żałobę i świeże wdowieństwo ciotki. Osiągnąwszy nowe możliwości, nabrała też nowej powagi; zastanawiała się z jakąś tkliwą zawziętością nad tą swobodą, której nie kwapiła się używać. Sposobność do tego nadarzyła się dopiero podczas kilkutygodniowego pobytu z ciotką

w Paryżu, ale w dziedzinie, która musi wydawać się bardzo błaha. Chodzi o te okazje, które narzucają się w sposób naturalny w mieście słynącym na cały świat ze swoich sklepów; pani Touchett, z surowym realizmem traktując przeobrażenie się siostrzenicy z panny biednej w bogatą, radziła korzystać z tej okazji bez ograniczeń. „Jesteś teraz majątną młodą osobą i musisz się tej roli nauczyć, żeby ją dobrze zagrać”, powiedziała stanowczo; dodała, że wszystkie rzeczy należące do panny Archer powinny być wytworne, to obowiązek. „Nie umiesz jeszcze dbać o swoje rzeczy, musisz się tego nauczyć”, ciągnęła dalej – to był drugi z kolei obowiązek. Isabel podporządkowała się radom ciotki, ale nie rozpały one jej wyobraźni. Marzyła o pełni życia, lecz nie o takich powierzchownych sprawach.

Pani Touchett nie zwykła zmieniać raz ułożonych planów, a skoro przed śmiercią męża postanowiła spędzić część zimy w Paryżu, nie widziała powodu, żeby siebie, a tym bardziej siostrzenicę, pozbawiać tej przyjemności. Oczywiście trzymały się z dala od światowego życia, ale mogła nieoficjalnie wprowadzić Isabel do małego grona rodaków osiadłych wokół Pól Elizejskich. Z wielu członkami tej amerykańskiej kolonii pani Touchett była w bliskich stosunkach: rozumiała ich ekspatriację, podzielała poglądy, rozrywki i nudę. Isabel poznała te osoby, bardzo skwapliwie odwiedzające jej ciotkę w hotelu, i wydawała o nich sądy, których surowość wypada niewątpliwie złożyć na karb przejściowej egzaltacji i wygórowanego pojęcia o obowiązkach człowieka. Doszła do przekonania, że ludzie ci prowadzą życie wprawdzie zbyt kłopotliwe, lecz jałowe, i zraziła nieco do siebie całe towarzystwo, wygłaszając taką opinię pewnego pięknego niedzielnego popołudnia, w którym amerykańscy paryżanie jak zwykle składali sobie wzajemnie wizyty. Słuchacze jej należeli do ludzi, o których dobry humor dbają kucharze i krawcy, lecz paru z nich pomyślało, że inteligencja panny Archer – chociaż ogólnie uznana – nie dorównuje jednak błyskotliwością najnowszym sztukom teatralnym. „Wszyscy tutaj pędzicie taki tryb życia, ale do czego to prowadzi? – pytała. – Zdaje mi się, że nie prowadzi do

niczego, i sędzę, że powinno to państwa nudzić”.

Pani Touchett uważała, że jest to zdanie godne Henrietty Stackpole. Nasze damy zastały bowiem Henriettę w Paryżu i Isabel bardzo często się z nią spotykała. Pani Touchett miała wiele okazji do stwierdzenia, że gdyby jej siostrzenica nie była taka bystra i zdolna do samodzielnych opinii, można by podejrzewać, że przejmuje styl swojej przyjaciółki – dziennikarki. Po raz pierwszy Isabel wyraziła tego rodzaju myśli w salonie pani Luce, dawnej przyjaciółki pani Touchett, jedynej w Paryżu osoby, której dom świeża wdowa teraz odwiedzała. Pani Luce osiadła w Paryżu jeszcze za czasów Ludwika Filipa i mawiała żartem, że zalicza się do pokolenia z 1830 roku, a że nie każdy rozumiał puentę dowcipu, wyjaśniała: „Tak, tak, jestem romantyczką!”.

Francuszczyzna pani Luce pozostawiała wiele do życzenia. W każdą niedzielę przyjmowała i zwykle salon jej wypełniali w te popołudnia zaprzyjaźnieni rodacy, prawie zawsze ci sami. Prawdę mówiąc, można było zastać ją w domu również w dni powszednie; w miękko wyścielonym własnym kąciku europejskiej metropolii odtwarzała wiernie atmosferę rodzinnego miasta – Baltimore.

Wskutek tego pan Luce, godny jej małżonek, wysoki, szczupły, szpakowaty, starannie ubrany dżentelmen, który nosił monokl w złotej oprawie i nieco zanadto zsunięty z czoła kapelusz, musiał zadowalać się platonicznym uwielbieniem dla paryskich „rozrywek” – jak lubił je nazywać – nikt bowiem nie mógł zgadnąć, od jakich kłopotów uciekał, goniąc za owymi rozrywkami. Jedna z nich polegała na codziennych odwiedzinach w amerykańskim banku, gdzie biuro pocztowe było miejscem spotkań towarzyskich i plotek, niewiele gorszym od poczty w typowym amerykańskim prowincjonalnym miasteczku. Każdego dnia godzinę siedział na Polach Elizejskich (jeśli pogoda sprzyjała), a jadał wyjątkowo dobrze we własnym domu, którego posadzki stanowiły chlubę pani Luce, przekonanej, że nie ma w stolicy Francji parkietu równie doskonale wywoskowanego. Od czasu do czasu pan Luce wybierał się z przyjacielem lub dwoma przyjaciółmi na kolację do Café Anglais i wtedy umiejętnością

wyboru dań uszczęśliwiał współbiesiadników, a imponował nawet starszemu kelnerowi. O innych zajęciach pana Luce nic nie wiemy, ale to pewne, że umilały mu przeszło pół stulecia i niewątpliwie usprawiedliwiały częste w jego ustach twierdzenie, że „nie ma to jak Paryż!”. Rzeczywiście nigdzie indziej pan Luce, spędzając w ten sposób czas, nie mógłby sobie pochlebiać, że używa życia. Nie ma to jak Paryż, ale trzeba zastrzec, że w oczach pana Luce ten ogród rozkoszy stracił ostatnio nieco blasku w porównaniu z dawnymi dobrymi czasami. Wyliczając rozrywki tego dżentelmena, nie wolno pominąć rozważań o polityce, które mu wypełniały wiele godzin, z pozoru, jak się mogło wydawać, całkiem pustych. Podobnie jak większość paryskich Amerykanów, pan Luce żywił poglądy wysoce, a raczej głęboko konserwatywne i nie popierał wprowadzonego niedawno we Francji ustroju. Nie wierzył w jego trwałość i od lat wróżył mu rychły upadek. „Oni lubią być trzymeni w ryzach, trzymeni w ryzach, proszę pana! Twarda ręka, żelazny but, oto czego im trzeba!” – mawiał o narodzie francuskim; dla niego ideałem było piękne, okazałe i mądre, teraz obalone Drugie Cesarstwo. „Paryż jest teraz o wiele mniej atrakcyjny niż za dni cesarza; on umiał dodać miastu uroku” – powtarzał pan Luce w rozmowach z panią Touchett, która była tego samego co on zdania i pytała retorycznie, po co by kto przeprowadzał się przez ten okropny Atlantyk do Europy, jeśli nie w nadziei, że ucieknie od republiki.

– Tak, tak, proszę pani, siedząc na Polach Elizejskich naprzeciw Pałacu Przemysłu, widywałem karety dworskie z Tuileries, przejeżdżające tam i z powrotem, czasem siedem razy dziennie. Pamiętam wypadek, kiedy doliczyłem się do dziewięciu! A co teraz można zobaczyć? Nie ma o czym mówić, cały sztyk przepadł. Napoleon rozumiał, czego pragnie lud francuski, a nad Paryżem, naszym Paryżem, czarna chmura będzie wisiała, póki nie przywrócą Cesarstwa.

Wśród niedzielnych popołudniowych bywalców znalazł się pewien młody człowiek, z którym Isabel chętnie rozmawiała, odkrywając w nim źródło wielu cennych wiadomości. Nazywał się

Edward Rosier – dla bliższych znajomych Ned – urodził się w Nowym Jorku, ale wychował w Paryżu pod okiem ojca, który od młodości przyjaźnił się ze zmarłym ojcem panny Archer. Edward pamiętał Isabel jako małą dziewczynkę, to właśnie jego ojciec wyratował z opresji małe panny Archer w Neuchâtel (przypadkiem znalazł się wówczas w ich hotelu, podróżując z synkiem), kiedy guwernantka opuściła je, uciekając z rosyjskim księciem, a pana Archera nie było od kilku dni i nie zostawił adresu. Isabel doskonale pamiętała eleganckiego chłopczyka z włosami pachnącymi ślicznie jakąś pomadą i z guwernantką, która na pewno nie dałaby się nikomu skusić i ani na chwilę nie spuszczała z oka wychowanka. Isabel z Edwardem i jego opiekunką spacerowała nad jeziorem i chłopczyk wydał jej się piękny jak anioł – a nie było to tylko banalne porównanie, bo miała wówczas bardzo jasno określoną wizję rysów, w jej pojęciu anielskich, i mały Edward ucieleśniał ten właśnie ideał. Drobną rumianą twarzyczką pod niebieskim aksamitnym kapeluszem, podkreślona sztywnym haftowanym kołnierzykiem, długo potem nawiedzała jej dziecinne sny i przez pewien czas wierzyła święcie, że goście niebiańscy rozmawiają ze sobą, wyrażając najczystsze uczucia, takim właśnie dziwnym francusko-angielskim dialektem, jakim Edward poinformował ją, że bona „broni go, kiedy chciałby zbliżyć się do brzegu jeziora”, i że każdy musi słuchać swojej panny. Ned Rosier teraz mówił lepiej po angielsku, w każdym razie trochę mniej z francuska. Ojciec jego już nie żył, bonę dawno odprawiono, ale młody człowiek w dalszym ciągu przestrzegał ich nauk i nie zbliżał się nigdy nad brzeg jeziora. Wciąż pachnący, grzeczny, pełen wdzięku, miał, jak się to mówi, kulturalne upodobania, znał się na starej porcelanie, dobrym winie, oprawach książek, orientował się w Almanachu Gotajskim, w randze sklepów i hoteli, a także w kolejowym rozkładzie jazdy. Umiał zadysponować obiadem prawie tak dobrze jak pan Luce i można było przepowiedzieć, że gdy z czasem nabierze doświadczenia, stanie się godnym następcą tego dżentelmena; wygłaszał te same złowieszcze teorie polityczne, co prawda

łagodnym i niewinnym tonem. Miał w Paryżu urocze mieszkanie, udekorowane hiszpańskimi kościelnymi koronkami, których zazdrościły mu znajome damy, twierdząc, że parapet jego kominka ustrojony jest wspanialej niż ramiona niejednej diuszessy. Zazwyczaj spędzał większą część zimy w Pau, a kiedyś bawił przez parę miesięcy w Ameryce.

Zainteresował się żywo panną Archer i dobrze pamiętał spacer w Neuchâtel, gdy mała Isabel uparcie ciągnęła go nad sam brzeg jeziora. Wydało mu się, że rozpoznaje tę samą skłonność w jej przewrotnym pytaniu, które cytowałem przed chwilą, i odpowiedział naszej bohaterce grzeczniej może, niż zasługiwała:

– Do czego to prowadzi, panno Archer? Ależ Paryż prowadzi wszędzie. Dokądkolwiek zmierzamy, trzeba zacząć od Paryża. Każdy, przybywając do Europy, musi jechać przez Paryż. Pani chyba mówi o tym w innym sensie? Chce pani wiedzieć, co to człowiekowi da? Czyż można przewidzieć przyszłość? Jak zgadnąć, co nas czeka jutro? Jeśli droga jest przyjemna, nic mnie nie obchodzi, dokąd prowadzi. Lubię tę drogę, lubię kochany znajomy asfalt. Nie sposób nim się znudzić, choćby się chciało, wciąż spotyka się coś nowego, świeżego. Na przykład Hôtel Drouot! Aukcje odbywają się tam trzy, cztery razy tygodniowo. Gdzie pani znajdzie takie rzeczy jak tam? Niech ludzie mówią, co chcą, a ja wiem, że Paryż jest tańszy od innych miast, byle znać właściwe adresy. Ja znam ich sporo, ale zatrzymuję te informacje przy sobie, z panią chętnie podzielę się nimi, dla pani mogę zrobić wyjątek, ale pod warunkiem, że pani nikomu tego nie powie. Niech pani nigdzie nie wybiera się bez spytania mnie o radę, proszę mi to obiecać. Przede wszystkim trzeba unikać Bulwarów. Na Bulwarach nie ma czego szukać. Uczciwie mówię – *sans blague* – myślę, że nikt nie zna Paryża lepiej ode mnie. Koniecznie musi pani któregoś dnia z ciocią przyjść do mnie na lunch, pokażę paniom swoje rzeczy, *je ne vous dis que ça!* Ostatnio wiele się mówi o Londynie, w modę weszły zachwyty nad tym miastem, ale tam nic nie ma, nie warto nawet szukać, nic z Ludwika XV, nic z Pierwszego Cesarstwa, wiecznie tylko ta ich królowa Anna.



Królowa Anna dobra jest do sypialni czy do umywalni, ale do salonu się nie nadaje. Czy spędzam całe życie na aukcjach? – powtórzył wtrącone przez pannę Archer pytanie. – Och, nie, nie stać mnie na to. Żałuję, że nie mam na to środków. Pani sądzi, że jestem lekkoduchem! Czytam to z pani twarzy, ma pani niezwykle wyrazistą twarz, ufam, że nie obrazi się pani za tę uwagę, chciałbym panią ostrzec. Według pani powinienem coś zrobić, a ja zgadzam się z tym pod warunkiem, że nie będziemy próbowali bliżej określić, co mianowicie miałbym robić. Bo gdybyśmy zaczęli się zastanawiać, okazałoby się, że nic z tego. Nie mogę wrócić do kraju i zostać sklepikarzem. Myśli pani, że się nadaję do tego? Przecenia mnie pani. Owszem, umiem doskonale kupować, ale nie sprzedawać, warto mnie widzieć w sytuacji, kiedy staram się pozbyć czegoś z moich rzeczy. Trzeba znacznie większej zręczności, żeby skłonić kogoś innego do kupna, niż żeby samemu coś kupić. Pomyśleć, ile sprytu muszą mieć ludzie, którzy mnie chcą namówić do kupienia czegoś od nich! Ach, nie, nie mogę być kupcem, nie mógłbym też być lekarzem, to odrażający zawód, nie mógłbym być duchownym, brak mi religijnych przekonań, a poza tym nie jestem w stanie wymawiać poprawnie imion biblijnych, to okropnie trudne, zwłaszcza w Starym Testamencie. Nie mógłbym być adwokatem, bo nie rozumiem... jak to się nazywa?... ach, amerykańskiej procedury. Cóż jeszcze pozostaje? Nic, nie ma w Ameryce zajęcia stosownego dla dżentelmena. Chętnie służyłbym w dyplomacji, ale w amerykańskiej dyplomacji też nie ma miejsca dla dżentelmena. Z pewnością widziała pani naszego najnowszego mi...

Henrietta Stackpole, często obecna, gdy pan Rosier składał późnym popołudniem wizyty jej przyjaciółce i wygłaszał zdania podobne do wyżej przytoczonych, zazwyczaj przerywała mu w tym momencie, żeby palnąć kazanie o obowiązkach amerykańskiego obywatela. Uważała go za wyrodka, gorszego niż biedny Ralph Touchett. Henrietta była w tym okresie bardziej niż kiedykolwiek skora do krytykowania otaczających ją osób, ponieważ sprawy panny Archer na nowo zaniepokoiły jej

sumienie. Nie winszowała jej spadku, poprosiła przyjaciółkę o zwolnienie jej z tego obowiązku.

– Gdyby pan Touchett spytał mnie o radę, czy ma ci zapisać te pieniądze – wyznała otwarcie – powiedziałabym mu: Przenigdy!

– Ach, tak? – odparła Isabel. – Sądysz, że dobrodziejstwo może okazać się klęską? Może masz rację.

– Powiedziałabym mu: Niech pan zapisze te pieniądze komuś, kogo pan mniej lubi.

– Na przykład tobie? – żartem spytała Isabel. – Czy naprawdę myślisz, że pieniądze mnie zgubią? – dodała innym już tonem.

– Mam nadzieję, że nie, ale niewątpliwie utwierdzą cię w niebezpiecznych skłonnościach.

– Czy masz na myśli zamiłowanie do zbytku, rozrzutność?

– Nie, nie! – zaprzeczyła Henrietta – Myślę o ryzykanctwie w sferze moralnej. Co do zbytku, to nie mam nic przeciwko niemu, uważam, że powinniśmy być w miarę możliwości jak najbardziej eleganckie. Przypomnij sobie luksus naszych miast w zachodnich stanach. Nie widziałam po tej stronie Atlantyku nic, co by można z nimi porównać. Ufam, że nigdy nie popadniesz w wulgarny sensualizm, ale nie tego dla ciebie się boję. Najgorsze niebezpieczeństwo na tym polega, że zanadto żyjesz w świecie własnych marzeń. Nie masz bliskiego kontaktu z rzeczywistością, z trudem, wysiłkiem, cierpieniem, chciałoby się powiedzieć także: z grzechami otaczającego cię świata. Jesteś zbyt wybredna, za wiele masz pięknych złudzeń. Te świeżo nabyte tysiące odgrodzą cię jeszcze grubszym murem i zamkną w światku garstki samolubnych i pozbawionych serca osób, które we własnym interesie będą starały się zatrzymać cię w swoim zamkniętym kręgu.

Żrenice Isabel rozszerzyły się, gdy kontemplowała ten posępny obraz.

– Jakież to ja żywię złudzenia? – spytała. – Bardzo staram się nie mieć żadnych.

– Widzisz – odparła Henrietta – tobie się zdaje, że możesz

żyć tak, by podobać się sobie i jednocześnie innym ludziom. Kiedyś odkryjesz, że się myliłaś. Jakąkolwiek drogę wybierzesz w życiu, musisz w nią włożyć całe serce, inaczej niczego nie osiągniesz, ale z chwilą, kiedy jakiejś sprawie oddasz całe serce, życie przestanie być dla ciebie romanssem, możesz mi wierzyć, stanie się twardą rzeczywistością! I nie zawsze będziesz mogła robić to, co tobie się spodoba, czasem będziesz musiała z tego zrezygnować, żeby się podobać innym. To potrafisz, przyznaję, ale jest jeszcze coś, coś ważniejszego: często trzeba nie podobać się ludziom. Musisz być na to zawsze przygotowana i nie wolno ci się przed tym cofnąć nigdy. Wiem, to ci nie dogadza, za bardzo lubisz być uwielbiana, oceniana wysoko przez otoczenie. Myślisz, że można uchylić się od przykrych obowiązków, uciekając w krainę romantycznych marzeń, na tym polega najgorsze twoje złudzenie, moja droga. Ale to niemożliwe. Bądź przygotowana na liczne sytuacje w życiu, gdy nie będziesz podobała się nikomu, a nade wszystko sobie.

Isabel, zmieszana i wystraszona, ze smutkiem pokiwała głową.

– W takiej sytuacji ty się właśnie znalazłaś w tej chwili, Henrietto – powiedziała.

Panna Stackpole w Paryżu, gdzie pobyt okazał się z dziennikarskiego punktu widzenia o wiele bardziej owocny niż w Anglii, na pewno nie bujała w świecie marzeń. Pan Bantling wprawdzie już wrócił do kraju, lecz dotrzymywał jej towarzystwa przez pierwszy miesiąc, a ten dżentelmen w niczym nie przypominał marzyciela. Isabel dowiedziała się od przyjaciółki, że jej stosunki z panem Bantlingiem ułożyły się bardzo miło i że Henrietta dużo na tym skorzystała, ponieważ jej nowy przyjaciel znał Paryż doskonale. Wszystko jej wyjaśniał, wszystko pokazywał, był nieustrudzonym przewodnikiem i tłumaczem. Jadali razem lunche i obiady, chodzili do teatru i potem na kolacje, słowem, w pewnym sensie pędzili wspólne życie. Henrietta wielokrotnie zapewniała pannę Archer, że pan Bantling zasłużył na miano prawdziwego przyjaciela; nigdy nie spodziewała się, że tak

polubi bądź co bądź Anglika. Isabel, nie wiedząc sama dlaczego, widziała coś zabawnego w tym przymierzu między korespondentką „Interviewera” a bratem lady Pensil; nie przestawało jej ono śmieszyć, chociaż uważała, że dobrze świadczy o obojgu partnerach. Isabel nie mogła wyzbyć się podejrzania, że gra opiera się na jakimś grubym nieporozumieniu, a jej uczestnicy w prostocie ducha dali się wciągnąć w pułapkę. Jednakże naiwność ta przynosiła obu stronom zaszczyt. Ujmująca była wiara Henrietty, że panu Bantlingowi zależy na rozwoju dobrej żurnalistyki i na awansie korespondenta w spódnicy; ujmujące też było przekonanie pana Bantlinga, że gdyby sytuację poddać głębszej analizie (do czego nie czuł się zdolny), okazałoby się, iż jedyną przyczyną, dla której panna Stackpole łaknie dowodów życzliwości, jest sprawa „Interviewera” – pisma, o którym miał mgliste tylko wyobrażenie. Bądź co bądź dwoje samotnych i szukających po omacku ludzi znajdowało w sobie nawzajem to, czego każdemu z nich brakowało i czego każde z niecierpliwością pragnęło. Pan Bantling, z natury dość flegmatyczny i wielomówny, rozkoszował się towarzystwem żywej, bystrej, stanowczej dziewczyny, która czarowała go siłą spojrzenia błyszczących, wyzywających oczu i świeżością jakby „spod igły” i która działała jak pikantna przyprawa na umysł, karmiony dotychczas dietą bez soli. A Henrietta lubiła towarzystwo dżentelmena, który w jakiś luksusowy, skomplikowany, prawie nadprzyrodzony sposób zdawał się specjalnie na jej użytek ukształtowany; nawet jego próżniaczy tryb życia, chociaż w zasadzie naganny, ale stawiający go do całkowitej dyspozycji energicznej damy, był dla niej darem losu; w dodatku pan Bantling dostarczał gotowych, tradycyjnych, jakkolwiek niezupełnie wyczerpujących odpowiedzi we wszystkich kwestiach towarzyskich lub praktycznych, jakie się nasuwały. Henrietta często stwierdzała, że odpowiedzi pana Bantlinga są nadzwyczaj stosowne, a spiesząc się, żeby zdążyć na ekspedycję amerykańskiej poczty, dzieliła się nimi hojnie i efektownie z czytelnikami swego pisma. Zachodziła nawet obawa, że panna Stackpole stoczy się w

otchłań sofistyki – jak ją ostrzegała Isabel, pragnąc usłyszeć dobroduszną replikę. Ale niebezpieczeństwa czyhały tylko na pannę Archer, co do Henrietty nikt nie mógł się spodziewać, żeby na stałe przyjęła poglądy klasy obciążonej tylu starymi grzechami. Isabel jednak powtarzała dobrotliwie przestrogi; uprzejmy brat lady Pensil stał się częstym przedmiotem jej żartobliwych, bezceremonialnych aluzji. Nic wszakże nie mogło zmącić słodczy Henrietty w dyskusji na ten temat. Przyjmując ironiczny ton przyjaciółki za dobrą monetę, wyliczała z uniesieniem godziny, jakie spędziła u boku tego błyskotliwego światowca – termin ten nie miał już teraz w jej ustach obelżywego zabarwienia. W chwilę później zapominając, że rozmawiały żartobliwie, opowiadała ze szczerą powagą o wycieczce do Wersalu w asyście pana Bantlinga. Mówiła:

– Ach, wiem wszystko o Wersalu, byłam tam z panem Bantlingiem. Musiałam obejrzeć dokładnie pałac i ogrody, z góry zapowiedziałam panu Bantlingowi, że chcę wszystko porządnie zwiedzić. Zatrzymaliśmy się więc na trzy dni w hotelu. Pogodę mieliśmy piękną, prawie jak babie lato w Ameryce, ale oczywiście nie tak urocą. Po prostu mieszkaliśmy w tych ogrodach. Tak, tak, nie możesz mi powiedzieć o Wersalu nic, czego już bym nie wiedziała.

Ze zwierzeń Henrietty wynikało też, że umówiła się z szarmanckim panem Bantlingiem na spotkanie wiosną we Włoszech.

## ROZDZIAŁ XXI

Pani Touchett jeszcze przed przyjazdem do Paryża ustaliła datę wyjazdu i zgodnie z planem w połowie lutego wyruszyła na południe. Po drodze odwiedziła w San Remo syna, który na włoskim wybrzeżu Morza Śródziemnego spędzał nudną, pogodną zimę w cieniu poruszającego się z wolna białego parasola. Isabel oczywiście towarzyszyła ciotce, chociaż pani Touchett, ze swoją zwykłą prostą logiką, pozostawiła jej wybór innych możliwości.

– Teraz oczywiście masz całkowitą swobodę ruchów, jesteś wolna jak ptak. Nie znaczy to, że przedtem nie byłaś wolna, ale twoje położenie zmieniło się, brak majątku stanowi niejako barierę. Bogata dziewczyna może robić wiele rzeczy, które biednej świat miałby za złe. Możesz jeździć, gdzie chcesz, podróżować, mieć własny dom, oczywiście pod warunkiem, że weźmiesz sobie damę do towarzystwa, jakąś zubożałą osobę z dobrej rodziny w pocerowanych kaszmirach i z farbowanymi włosami, zajmującą się malowaniem na aksamicie. Nie uśmiecha ci się ten projekt? Naturalnie zrobisz, co zechcesz, tłumaczę ci tylko, w jakich granicach przysługuje ci swoboda. Mogłabyś rolę swojej *dame de compagnie* zaofiarować pannie Stackpole, skutecznie odstraszałaby ludzi. Myślę, że najlepiej zrobisz, zostając ze mną, ale nie jesteś do tego wcale zobowiązana. Byłoby to lepsze z różnych względów, niezależnie od tego, czy dla ciebie przyjemne, czy nie – zapewne nie – radzę ci jednak zdobyć się na takie poświęcenie. Oczywiście jeżeli z początku mogło cię bawić moje towarzystwo, choćby dlatego, że było czymś nowym, teraz już znasz mnie i wiesz, że jestem nudną, upartą starą kobietą o ciasnym umyśle.

– Nie, ciocia nigdy nie wydaje mi się nudna – odparła Isabel.

– Ale przyznajesz, że jestem uparta i mam ciasne poglądy, prawda? Mówiłam ci to sama! – powiedziała pani Touchett, bardzo zadowolona, że potwierdziły się jej przypuszczenia.

Isabel została z ciotką, ponieważ mimo ekscentrycznych zachcianek ogromnie dbała o pozory, a młoda kobieta wyrwana z otoczenia rodziny wydała się jej kwiatem odartym z listków. Rzeczywiście rozmowy z panią Touchett nie były już tak interesujące jak pierwszego dnia w Albany, gdy ciotka siedziała w nieprzemakalnym płaszczu i roztaczała przed siostrzenicą perspektywy, jakie młodej, obdarzonej dobrym smakiem dziewczynie otworzyć może Europa.

Isabel rozumiała, że częściowo sama jest temu winna – poznała ciotkę na tyle, że z góry umiała przewidzieć jej sądy i uczucia w różnych okolicznościach; pani Touchett natomiast brakowało wyobraźni, żeby mogła nawzajem przewidywać reakcje siostrzenicy. Miała wszakże pewną cenną zaletę: była na wskroś uczciwa. Jej pedanteria i stanowczość ułatwiały stosunki, wiedziało się zawsze, gdzie ją można znaleźć, unikało się przypadkowych spotkań i zderzeń. Była obecna i czynna w granicach własnego terytorium, nigdy nie zapuszczała się niedyskretnie na cudze. Isabel w końcu zaczęła w głębi serca litować się nad nią; smutny wydawał się los istoty niejako upośledzonej z natury, tak mało zdolnej do wzbogacania się przez kontakty z innymi ludźmi. Ani odrobina czułości czy sympatii nie mogła do niej przylgnąć, żaden z wiatrem przyniesiony kwiat czy choćby zwykły miękki nalot mchu. Innymi słowy, ukazywała zewnętrznemu światu tylko cząstkę swojej osobowości. Isabel mimo wszystko dostrzegала, że ciotka z biegiem czasu coraz częściej zdobywa się na ustępstwa wobec jakiegoś uczucia różniącego się w dość niejasny sposób od przyjętej konwencji, na ustępstwa większe, niż pozwalała jej teoria. Uczyła się poświęcać konsekwencję dla względów niższej rangi, wymagających usprawiedliwienia szczególnymi okolicznościami. Nie było zgodne z jej bezwzględną prostolinijnością, że pojechała do Florencji dalszą, okrężną drogą, żeby spędzić kilka tygodni z chorym synem, skoro przez wiele lat niezłomnie twierdziła, że Ralph, jeśli chce się z nią zobaczyć, zawsze może przyjechać do Palazzo Crescentini, gdzie ma zarezerwowane pokoje, nazywane apartamentem

*signorina.*

– Chciałabym cię o coś zapytać – powiedziała Isabel do kuzyna nazajutrz po przybyciu do San Remo. – Od dawna myślałam, żeby zapytać listownie, w końcu jednak nie mogłam się zdecydować. Ale gdy rozmawiamy twarzą w twarz, o wiele łatwiej mi postawić to pytanie. Czy wiedziałeś, że twój ojciec zamierza mi zapisać tak ogromną sumę?

Ralph wyciągnął przed siebie nogi i utkwiał wzrok nieruchomo w przestrzeni morza.

– Czy to ma jakieś znaczenie, moja droga? Ojciec był bardzo upartym człowiekiem.

– A więc wiedziałeś.

– Tak, powiedział mi. Nawet o tym rozmawialiśmy trochę.

– Dlaczego to zrobił? – szorstko spytała Isabel.

– No, miała to być pewna forma komplementu.

– Czym zasłużyłam na taki komplement?

– Tym, że jesteś wspaniale żywa.

– Za bardzo mnie polubił – stwierdziła dziewczyna.

– Jak my wszyscy.

– Gdybym w to wierzyła, byłabym bardzo zmartwiona. Na szczęście nie wierzę. Chcę być traktowana sprawiedliwie. Nic więcej.

– Słusznie. Pamiętaj jednak, że sprawiedliwość wobec uroczej młodej istoty zawsze bywa trochę zabarwiona sentymentem.

– Nie jestem uroczą istotą. Jak możesz określać mnie tak w chwili, kiedy zadaję ci takie okropne pytania. Z pewnością wydaję ci się bardzo niedelikatna.

– Wydajesz mi się zakłopotana.

– Zgadłeś.

– Czym?

Przez chwilę milczała, potem spytała:

– Czy myślisz, że takie nagłe wzbogacenie się będzie dla mnie dobre? Henrietta jest innego zdania.

– Do licha z Henriettą – zniecierpliwił się Ralph. – Jeśli o



mnie chodzi, szalenie się z tego cieszę.

– Czy dlatego twój ojciec to zrobił? Dla twojej przyjemności?

– Nie zgadzam się z opinią panny Stackpole – poważniejszym tonem odparł Ralph. – Uważam, że posiadanie pieniędzy wyjdzie ci na dobre.

Isabel spojrzała na niego z uwagą.

– Zastanawiam się, czy wiesz, co jest dla mnie dobre i czy cię to naprawdę obchodzi.

– Chyba wiem, co na pewno bardzo mnie obchodzi. Powiedzieć ci, co dla ciebie będzie najlepsze? Przestań sama siebie zadrećcać!

– Co znaczy, że mam nie dręczyć już dłużej ciebie.

– Mnie nic nie zaszkodziś, jestem odporny... Traktuj lżej te sprawy. Nie rozmyślaj wciąż, czy to albo tamto jest dla ciebie dobre. Nie roztrząsaj ustawicznie sumienia, bo rozstroi się jak nadużywany fortepian. Zachowaj je na większe okazje. Nie staraj się tak usilnie kształtować swojego charakteru; to tak, jakby ktoś przemocą otwierał zaciśnięty, delikatny pączek róży. Żyj, jak ci się podoba, a charakter sam rozwinie się w swoim czasie. Prawie wszystko jest dla ciebie dobre, wyjątki są nieliczne, a przyzwoite dochody do nich nie należą. – Ralph na chwilę przerwał i uśmiechnął się; Isabel słuchała go chciwie. – Zbyt intensywnie myślisz – dodał – i zbyt czule masz sumienie. Nie ma sensu dopatrywać się czegoś złego w tylu różnych rzeczach. Ureguluj zegarek, niech się tak nie spieszy. Lecz gorączkę lżejszą dietą. Rozprostuj skrzydła, wzbij się nad ziemię. W tym na pewno nie będzie nic złego.

Słuchała go – jak już mówiłem – chciwie i z właściwą sobie bystrością zrozumiała w lot.

– Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę ze znaczenia tych rad. Jeśli tak, to bierzesz na siebie wielką odpowiedzialność.

– Trochę mnie nastraszyłaś, ale myślę, że mam rację – odparł, nie tracąc humoru, Ralph.

– Swoją drogą, jest dużo prawdy w tym, co powiedziałeś.

Masz słuszość, za wiele się sobą zajmuję, patrzę na życie jak na receptę wystawioną przez lekarza. Po cóż zastanawiać się wciąż, co dla nas dobre, a co złe, jeśli nie leżymy chorzy w szpitalu? Jak gdyby dla świata było ważne, czy postępuję właściwie, czy nie.

– Warto ci udzielać rad! – stwierdził Ralph. – Już mnie prześcignęłaś we wnioskach.

Patrzyła na niego, jakby nie słyszała tej uwagi, chociaż to on popchnął jej myśli na tor, po którym teraz biegły.

– Staram się myśleć więcej o świecie niż o sobie, ale zawsze wracam do swoich spraw... A to dlatego, że się boję... – urwała; głos jej zadrżał lekko. – Tak, boję się, nie umiem ci powiedzieć, jak się boję. Wielki majątek daje wolność, a to mnie przeraża. Wolność to coś bardzo pięknego, człowiek powinien zrobić z niej dobry użytek. Inaczej okryłyby się hańbą. I trzeba wciąż myśleć o tym, męczy mnie ten nieustanny wysiłek, nie jestem pewna, czy bezsilność nie daje więcej szczęścia niż taka władza.

– Słabym ludziom z pewnością. Dla słabych nawet wysiłek, żeby nie zasłużyć na pogardę, musi być ciężki.

– Skąd wiesz, że nie jestem słaba? – spytała Isabel.

– Ach! – Ralph zarumienił się tak, że Isabel to zauważyła. – Jeżeli tak, to okropnie dałem się oszukać!

Urok śródziemnomorskiego wybrzeża działał coraz silniej na naszą bohaterkę, w miarę jak się z nim zapoznawała; tu znalazła się na progu Italii, w bramie skarbcza. Jeszcze nie obejmowała dobrze wzrokiem, ledwie przeczuwała tę ziemię obiecaną, gdzie swoją miłość piękna miała pogłębić niezliczonymi doświadczeniami.

Ilekcroć przechadzała się po wybrzeżu z kuzynem – a co dzień towarzyszyła mu w spacerach – spoglądała tęsknymi oczyma ponad morzem, w kierunku, gdzie, jak wiedziała, leży Genua. Mimo to rada była, że musi czekać na krawędzi wielkiej przygody; już samo przybliżanie się do niej przejmowało ją rozkosznym dreszczem. Było to jak gdyby spokojne interludium, gdy bębny i piszczałki milkną w marszu, a chociaż nic jak dotąd nie zwiastowało, że czeka ją burzliwa przyszłość, Isabel wyobrażała ją

sobie na miarę swoich nadziei, lęków, kaprysów, ambicji i upodobań, i w zwierciadle jej wyobraźni wszelkie osobiste przeżycia nabierały dość dramatycznych barw. Madame Merle przepowiedziała pani Touchett, że ich młoda przyjaciółka, gdy kilka razy sięgnie do kieszeni, pogodzi się z myślą, że zostały one napełnione przez hojnego wujaszka; rozwój zdarzeń, nie po raz pierwszy zresztą, potwierdził trafność przewidywań tej damy. Ralph Touchett pochwalił kuzynkę za psychiczną pobudliwość, czyli za to, że chwytała w lot podsuwane jej dobre rady. Możliwe, że jego rady przyczyniły się do tego, w każdym razie Isabel zdążyła oswoić się ze swoim nowym stanem majątkowym, zanim wyjechała z San Remo. Świadomość, że jest osobą zamożną, znalazła właściwe miejsce wśród wielu różnych wyobrażeń, jakie panna Archer miała o sobie, i okazała się zupełnie przyjemna. Łączyła się oczywiście z tysiącem najlepszych zamiarów. Isabel błąkała się w labiryncie marzeń, a szlachetne uczynki, dostępne kobiecie bogatej, niezależnej, wspaniałomyślniej, ogarniającej rozległe horyzonty ludzkich możliwości i zadań, zdawały się niezliczone – i wszystkie wzniosłe. Majątek stał się w jej rozumieniu częścią lepszego własnego ja; dodawał jej znaczenia, a nawet, jak sobie wyobrażała, szczególnej, idealnej piękności. Inna sprawa, jak wpływał na jej obraz w oczach bliźnich, nad tym będziemy musieli zastanowić się także we właściwym czasie. Wizje, o których wspomniałem, mieszały się z rozważaniami odmiennej nieco natury. Isabel wolała myśleć o przyszłości niż o przeszłości, ale chwilami, kiedy słuchała szumu fal, oglądała się też za siebie i wzrok jej zatrzymywał się na dwóch postaciach, które mimo odległości rysowały się dość wyraźnie; bez trudu rozpoznawała w nich Caspara Goodwooda i lorda Warburtona. Dziwne, jak szybko te tak mocne wrażenia przesunęły się na dalszy plan w życiu naszej bohaterki. Zawsze była skłonna wątpić o rzeczywistości nieobecnych, mogła co prawda w potrzebie wzbudzić w sobie na nowo wiarę, jednak nie bez wysiłku, i to często przykrego, nawet jeśli chodziło o wspomnienia w zasadzie miłe. Przeszłość była dla niej czymś martwym i wskrzeszona

ukazywała się w widmowym świetle sądnego dnia. Co więcej, nie była wcale przekonana, że jej obraz pozostał żywy w pamięci innych ludzi i że odcisnęła w niej ślad niezatarty. Mogła cierpieć, odkrywając, że o niej zapomniano, ale z wszystkich przywilejów wolności najwięcej słodczy dostarczało jej prawo do zapomnienia. Ani Casparowi, ani lordowi Warburtonowi nie ofiarowała – w walucie uczuć – ani grosza, mimo to uważała, że są jej dłużnikami. Naturalnie pamiętała, że z panem Goodwoodem nie zamknęła ostatecznie rachunków i ma go znów spotkać, ale dopiero za półtora roku, a w tym okresie wiele mogło się zdarzyć. Nie przychodziło jej do głowy, że młody Amerykanin znajdzie może w tym czasie inną dziewczynę, łatwiejszą do zdobycia; z pewnością nie brak na świecie takich kobiet, ale Isabel ani przez chwilę nie przypuszczała, że łatwość mogłaby pociągać tego człowieka. Ale nasuwała jej się myśl, że ona sama mogłaby ulec uspokajającej przemianie, znudzić się wszystkim, co nie jest Casparem (choć wydaje się, że nigdy nie wyczerpie różnorodnych możliwości), znaleźć ukojenie w tym właśnie, co może jej dać jego obecność, a co przedtem wydawało jej się przeszkodą niepozwalającą swobodnie oddychać. Mogła wyobrazić sobie, że ta przeszkoda kiedyś okaże się w rzeczywistości darem losu, cichą i jasną przystanią, osłoniętą mocnym granitowym falochronem. Ale jeśli taki dzień miałby nawet kiedyś nadejść, nie chciała na to czekać z założonymi rękoma. Co do lorda Warburtona, to szlachetna skromność czy też mądra duma nie pozwalała jej spodziewać się, że będzie on zawsze nosił w sercu jej niczym niezatarty obraz. Tak konsekwentnie starała się wymazać wszelkie ślady tego, co między nimi zaszło, że podobny wysiłek z jego strony uważała za usprawiedliwiony i słuszny. Nie było to, jak można by z pozoru sądzić, rozumowanie czysto teoretyczne i zabarwione sarkazmem. Isabel szczerze wierzyła, że lord Warburton przejdzie, jak to się mówi, do porządku dziennego nad doznany zawodem. Nie wątpiła o głębi jego uczucia, w dalszym ciągu przekonanie to stanowiło dla niej źródło satysfakcji, ale uważała za absurdalną myśl, że mężczyzna

tak inteligentny i odprawiony w sposób oszczędzający jego dumę mógłby zachować bliznę nieproporcjonalnie głęboką w stosunku do odniesionej rany. „W dodatku – myślała Isabel – Anglicy lubią urządzać się wygodnie, a cóż by przyszło lordowi Warburtonowi ze wspomnienia w nieskończoność zarozumiałej Amerykanki, którą znał tak mało”. Pochlebiała też sobie, że jeżeli kiedyś usłyszy o jego małżeństwie z jakąś panną z własnych stron, która lepiej zasłużyła na ten zaszczyt, przyjmie nowinę bez najlżejszego skurczu serca, a nawet bez zdziwienia. Byłby to dowód, że lord Warburton uwierzył w jej stanowczość, a przecież chciała, aby ją uważał za osobę stanowczą. Już to samo zadowalało jej dumę.

## ROZDZIAŁ XXII

Mniej więcej w pół roku po śmierci pana Touchetta, w pierwszych dniach maja, mała grupa, którą malarz określiłby jako dobrze skomponowaną, zebrała się w jednej z wielu sal starej willi, wieńczącej zarośnięty oliwkami pagórek za Bramą Rzymską. Był to długi, nieco surowy w wyrazie budynek, miał dach z wysuniętymi daleko okapami, które upodobała sobie Toskania i które na otaczających Florencję wzgórzach, gdy się na nie patrzy z pewnej odległości, tworzą tak harmonijne proste kąty ze skalistymi, ciemnymi, ostro zarysowanymi cyprysami, rosnącymi zazwyczaj w kępach po trzy lub cztery obok każdego domu. Front zwrócony był ku małej, porośniętej trawą, pustej wiejskiej *piazzy*, zajmującej część szczytu pagórka; do fasady, przebitej nielicznymi otworami okien, rozstawionymi w nieregularnych odstępach, przyległa w dole kamienna ława, w sam raz stosowne miejsce dla jednej czy dwóch osób, które przesiadują beczynnymi, z minami mniej lub bardziej sugerującymi jakieś niedocenione zasługi, bo taki wyraz z tych lub innych powodów zdobi we Włoszech każdego człowieka, który z ufnością trwa w pozie całkowitej bierności; ta starodawna, solidna, naznaczona przez czas, lecz imponująca fasada zdawała się niema; robiła wrażenie maski, a nie oblicza domu. Miała ciężkie powieki, ale oczu jej brakowało; dom bowiem spoglądał w inną stronę, tylną ścianą zwrócony ku wspaniałej otwartej przestrzeni i blaskowi popołudniowego światła. Ta część willi zawieszona była nad zboczem pagórka i długą doliną rzeki Arno, mieniącej się kolorami Italii. Ogród na tarasie wypełniały głównie krzewy dzikich róż i kamienne ławki, omszałe, nagrzone od słońca. Parapet tarasu miał wysokość najdogodniejszą do oparcia na nim ramion, a teren spod niego opadał wśród rozrzuconych na stoku gajów oliwnych i winnic. Lecz nie zewnętrzny widok interesuje nas najbardziej; w ten słoneczny ranek w pełni wiosny mieszkańcy słusznie woleli

ocienioną stroną domu. Okna parterowe, widoczne z *piazza*, szlachetne w proporcjach, były pięknym dziełem architekta, zdawało się jednak, że funkcja ich nie polega na łączeniu wnętrza z otaczającym je światem, lecz na obronie przed wzrokiem tego świata. Opatrzono je masywnymi poprzeczkami i umieszczono tak wysoko, by zniechęcić ciekawość, nawet wspinającą się na palce. W sali, do której światło dostawało się przez trzy takie skąpe otwory – w jednym z kilku odrębnych mieszkań, na które willę podzielono i które zajmowali przeważnie cudzoziemcy z różnych stron świata przybyli na dłuższy czas do Florencji – siedział mężczyzna w towarzystwie młodziutkiej dziewczyny i dwóch sióstr zakonnych. Pokój nie był jednak tak mroczny, jak można by z poprzedniego opisu sądzić, ponieważ szerokie i wysokie drzwi otwierały się w głębi na bujnie zarośnięty, zaniedbany ogród, a żelazne kraty przepuszczały o tej porze aż nazbyt wiele włoskiego słońca. Pokój był też urządzony wygodnie, a nawet zbyt kownie, wszystko w nim świadczyło o pieczołowitych staraniach i wyrafinowanym smaku – rozmaite splewiałe draperie z adamaszku, tapiserie, komody i skrzynie z rzeźbionego i wypolerowanego przez czas dębu, kanciaste postacie na obrazach oprawionych w wyszukane prymitywne ramy, perwersyjne w swych kształtach antyczne drobiazgi z mosiądzu czy też okazy ceramiki, słowem przedmioty, których niewyczerpaną wciąż jeszcze skarbnicą są od dawna Włochy. Rzeczy te współistniały zgodnie z nowoczesnymi meblami, przystosowanymi wyrozumiale do upodobań pokolenia lubiącego wygodę; uwagę zwracały zwłaszcza głębokie, miękko wyściełane fotele i stół do pracy, którego pomysłowa doskonałość nosiła znamię Londynu i dziewiętnastego wieku. Nie brakowało też mnóstwa książek, periodyków i gazet, a na ścianach kilku małych, dziwnych, starannie wykończonych malowideł, przeważnie akwarel. Jedno takie dziełko umieszczone było na salonowych sztalugach, a w chwili gdy odsłania się przed nami ta scena, przed sztalugami stoi wspomniana już wyżej młodziutka panienka. W milczeniu przygląda się obrazowi.

Reszta towarzystwa nie była wprawdzie pogrążona w całkowitym milczeniu, ale rozmowa toczyła się niezbyt gładko. Dwie zacne siostry przysiadły w fotelach, zachowanie ich wyrażało wielką powściągliwość, a twarze zdradzały napiętą czujność.

Były to kobiety niepiękne, tęgie, o miękkich rysach, pełne jakiejś rzeczowej skromności, podkreślonej jeszcze przez bezosobową sztywność płóciennych kornetów i sukiennych habitów, które zdawały się rozpięte na ramach. Jedna z nich, niemłoda, w okularach, z czerstwą cerą i pulchnymi policzkami, zdawała się roztropniejsza od swojej towarzyszki i ona to najwidoczniej ponosiła odpowiedzialność za jakąś misję, związaną, jak można było się domyślać, z osobą młodej dziewczyny. Panienska ta miała na głowie kapelusz, bardzo skromny, tak samo jak muślinowa suknia, za krótka na jej wiek, chociaż niewątpliwie „spuszczono” już cały obrębek. Dzentelmen, któremu przypadł obowiązek zabawiania sióstr rozmową, zdawał sobie chyba sprawę z trudności zadania, bo konwersacja z osobami niezwykle potulnymi bywa równie uciążliwa jak z wielkimi tego świata. Poza tym uwagę jego przykuwała przede wszystkim ich milcząca pupilka, odwrócona do niego plecami; nie odrywał poważnego spojrzenia od jej drobnej, szczupłej sylwetki. Był to mężczyzna lat około czterdziestu, z wydłużoną, lecz kształtną głową i krótko ostrzyżonymi gęstymi, przedwcześnie przyprószonymi siwizną włosami. Twarz miał delikatną, wąską, doskonale wymodelowaną i spokojną; jeśli można by jej coś zarzucić, to chyba tylko nieco zbyt wyostrenie rysów. Niemało przyczyniała się do tego efektu przycięta w klin broda, przypominająca szesnastowieczne portrety i uzupełniona jasnymi wąsami, na końcach podkręconymi ku górze, co nadawało ich właścicielowi wygląd cudzoziemski i staroświecki i nasuwało podejrzenie, że ten pan świadomie stylizował swą powierzchowność. Oczy jednak, czujne i ciekawe, roztargnione i zrazem przenikliwe, inteligentne i twarde, znamionujące bystrego obserwatora, a równocześnie marzyciela, świadczyły, że ten



człowiek dba o styl tylko w określonych granicach, a jeśli go szukał, to znalazł już wszystko, na czym mu zależało. Trudno byłoby zgadnąć jego pochodzenie, klimat i kraj rodzinny; brakowało w nim tych zewnętrznych znaków, dzięki którym odpowiedź na to pytanie jest często dziecinnie łatwa. Może miał w żyłach krew angielską, ale prawdopodobnie z domieszką francuskiej lub włoskiej; przypominał piękną złotą monetę bez emblematu mennicy, która wypuściła ją w obieg, czy też wykwintny, ozdobny medal, wybity na specjalną okazję. Sylwetkę miał lekką, szczupłą, ruchy trochę powolne, wzrost niezbyt wysoki, lecz nie za niski. Ubrany był jak dżentelmen, który nie troszczy się o strój, poza tym, że unika rzeczy wulgarnych.

– No i cóż o tym powiesz, kochanie? – zwrócił się do dziewczynki po włosku; mówił tym językiem zupełnie swobodnie, ale nie tak, by można było wziąć go za Włocha.

Dziewczynka z powagą przechyliła głowę najpierw w jedną, potem w drugą stronę.

– Bardzo ładny obrazek, papo. Czy sam go namalowałeś?

– Oczywiście! Czy nie wydaję ci się zręcznym malarzem?

– O, tak, papo! Ja też uczyłam się malować. – Odwróciła się, ukazując drobną, ładną twarzyczkę z przylepionym do ust bardzo słodkim uśmiechem.

– Trzeba było przywieźć jakąś próbkę talentu.

– Przywiozłam mnóstwo, są w kufrze.

– Pansy bardzo się przykładała do rysunków – oznajmiła po francusku starsza z zakonnicek.

– Cieszy mnie to! Czy siostra była jej mistrzynią w tej sztuce?

– Na szczęście nie – odparła, rumieniąc się lekko. – *Ce n'est pas ma partie*<sup>1</sup>. W ogóle nie prowadzę żadnych lekcji.

Pozostawiam to mądrzejszym ode mnie. Mamy znakomitego nauczyciela rysunku... pana... jakże on się nazywa? – spytała swej towarzyszki.

<sup>1</sup> *Ce n'est pas...* (franc.) – To nie moja dziedzina.

Druga zakonnica nie oderwała wzroku od dywanu.

– Ma niemieckie nazwisko – powiedziała po włosku, jak gdyby nazwisko wymagało przetłumaczenia.

– Tak – podjęła pierwsza. – Jest Niemcem, uczy na naszej pensji już od wielu lat.

Dziewczynka, niezainteresowana tą rozmową, odeszła w drugi koniec wielkiego salonu i stanęła w otwartych drzwiach, spoglądając na ogród.

– A siostra jest Francuzką? – spytał pan domu.

– Tak, proszę pana – grzecznie odpowiedziała zakonnica. – Rozmawiam z wychowankami w moim ojczystym języku. Nie znam innego. Mamy jednak siostry z różnych krajów, z Anglii, Niemiec, Irlandii. Każda mówi swoim językiem.

Pan domu uśmiechnął się lekko.

– Czy moja córka była może pod opieką Irlandki? – A widząc, że zakonnica podejrzewa jakiś żart, lecz go nie rozumie, dodał co prędzej: – Siostry mają, jak widzę, zespół dobrze skompletowany.

– O, tak! Mamy u nas wszystko, i to wszystko najlepsze!

– Jest nawet gimnastyka – pozwoliła sobie dorzucić siostra Włoszka. – Ale nic niebezpiecznego!

– Mam nadzieję. Czy to siostry specjalność? – Pytanie wywołało szczerą wesołość zakonnicy, a kiedy śmiech ucichł, pan domu, zerknąwszy na córkę, stwierdził, że urosła.

– Tak, ale myślę, że już większa nie urośnie. Zostanie taka... drobna – odparła siostra Francuzka.

– Nie szkodzi. Kobiety, podobnie jak powieści, lubię dobre i nie za długie! Ale nie rozumiem, dlaczego moja córka miałaby pozostać mała?

Zakonnica ledwo dostrzegalnie wzruszyła ramionami, jakby mówiła, że wielu rzeczy człowiek nie może rozumieć.

– W każdym razie cieszy się dobrym zdrowiem, a to najważniejsze.

– Tak, wygląda na zdrową dziewczynę – potwierdził ojciec, obserwując swoją córkę. – Co ty tam widzisz w ogrodzie? – zapytał po francusku.

– Dużo kwiatów – odpowiedziała słodkim głosem równie poprawną francuszczyzną.

– Dużo, ale mało między nimi pięknych. Trudno, skoro nie ma lepszych, zerwij kilka tych, jakie są, dla sióstr.

Dziewczynka zwróciła ku niemu twarz, rozjaśnioną teraz szczerym uśmiechem.

– Tatuś pozwala?

– Przecież sam ci to poleciłem – odparł.

Dziewczynka spojrzała na starszą z zakonnicy:

– Czy wolno, *ma mère*?

– Bądź posłuszna ojcu, dziecinko – odparła, rumieniąc się, zakonnica.

Dziewczynka, uspokojona w swoich skrupułach, przekroczyła próg i zniknęła w ogrodzie.

– Widzę, że siostry krótko trzymają swoje wychowanki – wesoło stwierdził ojciec.

– Wymagamy, żeby zawsze prosiły o pozwolenie. To nasza reguła. Na wiele pozwalamy, ale muszą pytać.

– Nie zamierzałem krytykować metody sióstr, nie wątpię, że jest znakomita. Powierzyłem siostrze córkę i czekałem, co siostry z niej zrobią. Miałem wiarę.

– Trzeba wierzyć – łagodnie odparła zakonnica, przyglądając mu się przez okulary.

– Czy moja wiara została wynagrodzona? Co siostry zrobiły z mojej córki?

Zakonnica na chwilę spuściła oczy.

– Dobrą chrześcijankę, proszę pana.

Pan domu także spuścił oczy, ale prawdopodobnie z innych pobudek.

– Tak. I co więcej?

Oczekiwał może od zakonnicy odpowiedzi, że kto jest dobrą chrześcijanką, ten już niczego więcej nie potrzebuje, ale siostra mimo całej swej prostoty nie była aż tak prymitywna.

– Uroczą panienkę... małą kobietę... córkę, która ojcu niezawodnie będzie sprawiała same radości.

– Wydaje się milutka – przyznał. – Jest doprawdy ładna.  
– Pansy to ideał. Nie ma wad.  
– Nie miała wad we wczesnym dzieciństwie, cieszę się, że nie nabyła ich też u sióstr.

– Bardzo ją kochałyśmy – z godnością oznajmiła zakonnica w okularach. – Nie mogła u nas nabyć wad, ponieważ my ich nie mamy. *Le couvent n'est pas comme le monde, monsieur*<sup>2</sup>.

Uważamy to dziecko niejako za naszą córkę. Przyszła do nas taka malutka!

*2 Le couvent n'est...* (franc.) – Klasztor nie jest taki jak świat, proszę pana.

– Ze wszystkich wychowanek, które nas opuszczają, tej najbardziej będzie nam brakowało – szepnęła nieśmiało młodsza zakonnica.

– O, tak, długo będziemy ją wspominały – potwierdziła starsza. – Będziemy ją stawiały za wzór nowym uczennicom. – W tym momencie zacna siostra musiała przetrzeć okulary, które zasły mgłą, a jej młodsza towarzyszka, po dość długich poszukiwaniach, wyciągnęła z kieszeni chustkę z solidnego płótna.

– Nie jest jeszcze przesądzone, czy siostry ją stracą – powiedział szybko gospodarz, nie takim tonem, jakby chciał powstrzymać ich łzy, lecz jakby udzielał wiadomości, która jemu samemu sprawia satysfakcję.

– Byłybyśmy szczęśliwe, gdyby do nas wróciła. Piętnaście lat to zbyt młody wiek na rozstanie z pensją.

– Och! – wykrzyknął pan domu, bardziej niż dotychczas ożywiony. – To nie ja pragnąłem ją od sióstr zabrać. Co do mnie, chciałbym, żeby ją siostry zatrzymały, choćby na zawsze.

– O, *monsieur*! – odparła z uśmiechem starsza zakonnica, wstając. – Mimo tylu cnót jest powołana do życia w świecie. *Le monde y gagnera*<sup>3</sup>.

*3 Le monde y gagnera* (franc.) – Świat na tym zyska.

– Gdyby wszyscy cnotliwi ludzie zamknęli się w klasztorach, jak wyglądałoby życie świata? – spytała cicho młodsza siostra, wstając za przykładem starszej.

Zacna siostrzyczka z pewnością nie zdawała sobie sprawy z szerszego sensu tego pytania; jej uzbrojona w okulary towarzyszka załagodziła sytuację, mówiąc pogodnie:

– Na szczęście wszędzie są osoby dobre.

– W tym domu będzie o dwie mniej, gdy siostry odejdą – szarmancko stwierdził gospodarz.

Pokorne zakonnice nie znalazły odpowiedzi na ten dość śmiały komplement, popatrzyły tylko na siebie z należyтым zgorszeniem; z kłopotu wybawiło je wejście dziewczynki niosącej dwa pęki róż, jeden czerwony, drugi biały.

– Proszę wybrać, *mère* Catherine – powiedziała. – Różnią się tylko kolorem, bo liczba kwiatów jest w obu wiązkach taka sama.

Dwie zakonnice, zwrócone ku sobie, uśmiechnięte, wahały się przez chwilę. „Które siostra woli?”. „Nie, nie, matka niech pierwsza wybierze!”.

– A więc biorę czerwone i dziękuję ci serdecznie – zdecydowała się matka Catherine. – Sama jestem przecież czerwona! Te kwiaty będą nas pocieszały w drodze do Rzymu.

– Niestety, zwiędną prędko! – zawołała dziewczynka. – Chciałabym dać siostrom jakąś trwalszą pamiątkę.

– Zostawiłaś nam dobre wspomnienie, moje dziecko, a ten podarunek przetrwa długo.

– Szkoda, że zakonnice nie noszą żadnych ozdób, dałabym siostrom moje niebieskie korale – powiedziała dziewczynka.

– Siostry dzisiaj wieczorem odjadą do Rzymu? – spytał gospodarz.

– Tak, wieczornym pociągiem. *Là-bas* czeka na nas wiele roboty.

– Nie są siostry zmęczone?

– Nigdy nie bywamy zmęczone.

– Ach, siostro, czasem jednak się to zdarza – szepnęła młodsza.

– W każdym razie nie dzisiaj. Odpoczęłyśmy tutaj doskonale. *Que Dieu vous garde, ma fille*<sup>4</sup>.

4 *Que Dieu vous...* (franc.) – Niech Bóg ma cię w opiece, córko.

Kiedy całowały na pożegnanie jego córkę, pan domu podszedł do drzwi, aby je przed odchodzącymi gośćmi otworzyć, ale uchyliwszy je, krzyknął z cicha i zatrzymał się, patrząc w głąb sklepionej sieni, wysokiej jak kaplica i wyłożonej czerwonymi kaflami. Do sieni tej bowiem służący, chłopak w podniszczonej liberii, wpuścił właśnie pewną damę i prowadził ją w stronę salonu, w którym rozgrywała się opisana wyżej scena. Dżentelmen, któremu w pierwszym momencie wyrwał się z ust cichy okrzyk, stał teraz na progu w milczeniu i w milczeniu też zbliżała się do niego dama. Nie powitał jej ani słowem, nie wyciągnął do niej ręki, usunął się jedynie z drogi, przepuszczając ją do salonu. Zawahała się w progu:

– Czy są jacyś goście? – spytała.

– Może pani wejść śmiało.

Weszła i znalazła się oko w oko z dwiema zakonnicami oraz ich pupilką, która idąc pomiędzy nimi, trzymała je pod rękę. Na widok gościa zatrzymały się, a dama także przystanęła.

Dziewczynka zawołała z cicha:

– O, madame Merle!

Dama wzdrygnęła się, ale natychmiast odpowiedziała jak najuprzejmiej:

– Tak, to ja, przyszedłam powitać cię w twoim rodzinnym domu.

Wyciągnęła obie ręce do dziewczynki, która podeszła i skwapliwie nadstawiła czoło do pocałunku. Madame Merle musnęła je wargami i z uśmiechem spojrzała na zakonnice. Odpowiedziały grzecznie na uśmiech, ale nie pozwoliły sobie podnieść wzroku, by zmierzyć nim wprost imponującą postać, która jak gdyby wniosła ze sobą trochę blasku zewnętrznego świata.

– Siostry były łaskawe odwieźć moją córkę do domu i zaraz wracają do Rzymu – wyjaśnił gospodarz.

– Ach, wracają siostry do Rzymu? Niedawno stamtąd

wyjechałam. Pięknie tam o tej porze roku – powiedziała madame Merle.

Zacne siostry, stojąc z rękami wsuniętymi w rękawy, przyjęły bezkrytycznie pochwałę Rzymu. Pan domu spytał, jak dawno madame Merle opuściła to miasto.

– Madame Merle odwiedzała mnie w klasztorze – oznajmiła dziewczynka, zanim madame Merle zdążyła odpowiedzieć.

– Nawet wiele razy, Pansy – odparła teraz. – Czyż nie byłam w Rzymie twoją wierną przyjaciółką?

– Najlepiej pamiętam ostatnią wizytę – powiedziała Pansy – bo wtedy pani uprzedziła mnie, że będę musiała opuścić klasztor.

– Pani ją o tym uprzedziła? – spytał ojciec.

– Nie bardzo pamiętam. Mówiłam jej to zapewne, myśląc, że się ucieszy. Jestem we Florencji od tygodnia. Spodziewałam się pańskich odwiedzin.

– Stawiłbym się z pewnością, gdybym wiedział, że pani przyjechała. Trudno w tych sprawach polegać na intuicji. Chociaż może należałoby ją mieć. Proszę, niech pani siada.

Toczyli ten dialog szczególnym tonem, głosem nieco przyciszonym i opanowanym, ale jak gdyby raczej z przyzwyczajenia niż z prawdziwej potrzeby. Madame Merle rozejrzała się, żeby wybrać fotel.

– Odprowadza pan siostry do bramy? Proszę mną się nie krępować. *Je vous salue, mesdames* – dodała po francusku, jakby odprawiając zakonnice.

– Madame Merle jest naszą dawną przyjaciółką, siostry zapewne widywały ją w klasztorze – powiedział pan domu. – Mamy wielkie zaufanie do jej mądrości, pomoże mi rozstrzygnąć, czy zatrzymać Pansy, czy też odesłać ją znowu do sióstr po wakacjach.

– Mam nadzieję, że pani rozstrzygnie na naszą korzyść, madame – ośmieliła się powiedzieć zakonnica w okularach.

– Pan Osmond żartował, ja tu o niczym nie decyduję – odparła madame Merle, ale także żartobliwie. – Pensja, którą siostry prowadzą, jest niewątpliwie znakomita, lecz przyjaciele

panny Osmond muszą pamiętać, że jej przeznaczone jest życie w świecie.

– To samo właśnie powiedziałam jej ojcu – stwierdziła matka Catherine. – Staramy się ją przygotować do takiego życia – szepnęła, spoglądając na dziewczynkę, która stała nieco dalej, oglądając uważnie wykwintny strój madame Merle.

– Słyszysz, Pansy? Twoim naturalnym przeznaczeniem jest życie światowe – powiedział pan Osmond.

Dziewczynka zwróciła na ojca czyste, dziecinne oczy.

– Czy nie powinnam żyć dla ciebie, papo?

Papa zaśmiał się lekko.

– Jedno drugiemu nie przeszkadza. Ja też należę do świata, moja Pansy.

– Pozwoli pan, że odejdziemy już – odezwała się matka Catherine. – A ty, moja córko, bądź zawsze dobra, rozumna i pogodna.

– Na pewno wrócę do sióstr i zobaczymy się jeszcze – odpowiedziała Pansy i znów zaczęły się pożegnalne uściski, przerwane chwilę przedtem pojawieniem się gościa.

– Zostań ze mną, dziecinko – rozkazała madame Merle. – Twój ojciec sam odprowadzi siostry do bramy.

Pansy, zawiedziona, spojrzała na nią szeroko otwartymi oczyma, ale nie zaprotestowała. Najwidoczniej wpojono jej przekonanie, że winna jest uległość każdemu, kto przemówi do niej władczym głosem; biernie przyglądała się, jak inni manipulowali jej losem.

– Czy nie wolno mi odprowadzić matki Catherine do powozu? – spytała jednak bardzo grzecznie.

– Wolę, żebyś została ze mną. Matka Catherine z pewnością też ci to powie, prawda?

Zakonnica skinęła głową i wyszła z salonu.

– Tak, zostanę chętnie – oznajmiła Pansy. Stała tuż obok madame Merle, wyciągając do niej rękę, którą tamta ujęła w swoje dłonie. Dziewczynka patrzyła w okno oczyma pełnymi łez.

– Cieszy mnie, że nauczyłaś się posłuszeństwa – stwierdziła



madame Merle. – Tak powinny zachowywać się dobrze wychowane panienki.

– O, tak, jestem posłuszną! – wykrzyknęła Pansy skwapliwie, niemal z dumą, jakby chwaliła się, że gra dobrze na fortepianie. Potem cichutko, ledwie dosłyszalnie westchnęła.

Madame Merle, wciąż trzymając dziewczynkę za rękę, przesunęła palcami po grzbiecie jej dłoni i przyjrzała jej się uważnie.

– Mam nadzieję, że twoje opiekunki pilnowały, żebyś nosiła stale rękawiczki – powiedziała wreszcie. – Dziewczynki zwykle tego nie lubią.

– Z początku nie lubiłam, ale teraz już lubię – odparła Pansy.

– To doskonale. Dostaniesz ode mnie w prezencie tuzin par.

– Dziękuję pani. A jakiego koloru? – z zainteresowaniem spytała dziewczynka.

Madame Merle namyślała się chwilę.

– W różnych praktycznych kolorach.

– Ale czy ładne?

– Bardzo lubisz ładne rzeczy?

– Tak... ale nie za bardzo – wyznała Pansy, pamiętając o zalecanej ascezie.

– A więc rękawiczki nie będą za ładne – roześmiała się madame Merle. Ujęła drugą rękę dziewczynki i przyciągnęła ją bliżej do siebie; przyglądała jej się chwilę, zanim zapytała: – Czy bardzo będziesz tęskniła za matką Catherine?

– Tak, zawsze, kiedy o niej pomyślę.

– Staraj się zatem nie myśleć o niej. Kiedyś może będziesz miała inną matkę – dodała madame Merle.

– Nie wydaje mi się to potrzebne – odparła Pansy i znowu westchnęła pojednawczo. – Mam w klasztorze trzydzieści kilka matek.

W sieni rozległy się kroki pana Osmonda i madame Merle wstała, uwalniając dziewczynkę. Pan Osmond wszedł, zamknął za sobą drzwi i nie patrząc na gościa, przestawił parę krzeseł z powrotem na właściwe miejsce. Madame Merle czekała, by

gospodarz pierwszy się odezwał, śledząc jego ruchy. Wreszcie powiedziała:

– Spodziewałam się pana zobaczyć w Rzymie. Myślałam, że zechce pan sam przyjechać po córkę.

– Przypuszczenia bardzo naturalne, ale nie pierwszy raz swoimi postępkami zawiodłem pani rachuby.

– Tak – przyznała madame Merle. – Pan jest bardzo przewrotny.

Pan Osmond krzątał się jeszcze po salonie przez jakiś czas – miał tam wiele przestrzeni umożliwiającej swobodne poruszanie się – i wyglądało to tak, jakby szukał pretekstów, by odwrócić uwagę od sytuacji, która mogłaby okazać się kłopotliwa. W końcu zabrakło pretekstów i nie mając innego wyboru – chyba że sięgnąłby po książkę – musiał przystanąć z rękoma założonymi za plecami i spojrzeć na małą Pansy.

– Dlaczego nie odprowadziłaś matki Catherine do powozu? – niespodziewanie zapytał po francusku.

Pansy wahała się, zerkając na madame Merle.

– Prosiłam ją, żeby została ze mną – oświadczyła madame Merle, która tymczasem usiadła znowu na innym miejscu.

– Ach tak, słusznie – przyznał pan Osmond. Osunął się na fotel i patrzył na gościa wychylony nieco do przodu, z łokciami opartymi na poręczach fotela i splecionymi dłońmi.

– Madame obiecała mi tuzin par rękawiczek w prezencie – pochwaliła się dziewczynka.

– Nie trzeba o tym opowiadać wszystkim dokoła – upomniała ją madame Merle.

– Jest pani bardzo dobra dla Pansy – rzekł pan Osmond – ale myślę, że moja córka ma wszystko, czego jej potrzeba.

– Sądzę, że dość już długo przebywała u zakonnic.

– Jeżeli mamy dyskutować o tym, niech Pansy lepiej wyjdzie z pokoju.

– Nie, niech zostanie – powiedziała madame Merle. – Będziemy rozmawiali o czymś innym.

– Jeżeli papa sobie życzy, mogę nie słuchać – zaofiarowała

się Pansy przekonująco niewinnym tonem.

– Możesz słuchać, aniołku, bo i tak nic nie zrozumiesz – odparł ojciec. Dziewczynka usiadła potulnie na krześle koło otwartych drzwi, tak żeby widzieć ogród, na który zwracała tęsknie dziecinne oczy. Pan Osmond tymczasem odezwał się nieoczekiwanie do madame Merle: – Wygląda pani świetnie.

– Myślę, że wyglądam zawsze tak samo.

– Jest pani zawsze taka sama. Nie zmienia się pani. Jest pani niezwykłą kobietą.

– Tak, ja też tak myślę.

– Czasem jednak zmienia pani swoje plany. Po powrocie z Anglii mówiła mi pani, że nie zamierza na razie opuszczać Rzymu.

– Cieszę się, że pan tak dobrze pamięta, co mówiłam. Rzeczywiście takie były moje zamiary. Ale wybrałam się do Florencji, ponieważ przyjechały tu niedawno moje przyjaciółki, których planów nie znałam dokładnie, kiedy rozmawiałam z panem.

– Bardzo charakterystyczny motyw. Pani zawsze poświęca się dla przyjaciół.

Madame Merle uśmiechnęła się, patrząc mu prosto w twarz.

– Motyw mniej charakterystyczny niż pańska interpretacja, całkowicie zresztą nieszczerą. Nie mam tego panu za złe – dodała.

– Nie wierzy pan w to, co pan mówi, ale słusznie, bo nie ma pan żadnych podstaw do wierzenia. Nie rujnuję się dla przyjaciół, nie zasługuję na tę pochwałę. Bardzo dbam o własne sprawy.

– Tak, ale do tych własnych zalicza pani mnóstwo cudzych. Nigdy nie spotkałem drugiej osoby, której życie splatałoby się wciąż z losami tak wielu innych ludzi.

– Co pan nazywa życiem? – spytała madame Merle. – Wygląd, ruchy, zobowiązania, krąg towarzyski?

– Jeśli chodzi o panią, życiem nazywam ambicję – odparł Osmond.

Madame Merle spojrzała na Pansy.

– Ciekawe, czy ona to rozumie – szepnęła.

– Przekonała się pani, że ta mała nie powinna słuchać naszej

rozmowy? – Ojciec dziewczynki uśmiechnął się niewesoło. – Idź do ogrodu, dziecinko, zerwij kilka kwiatów dla madame Merle – zwrócił się po francusku do córki.

– Właśnie miałam ochotę to zrobić! – wykrzyknęła Pansy, wstając szybko i wybiegając bezszelestnie. Ojciec odprowadził córkę do otwartych drzwi, chwilę stał w progu, wodząc za nią wzrokiem, potem wrócił w głąb salonu, lecz zamiast usiąść, zaczął przechadzać się tam i sam, jakby to umacniało go w poczuciu wolności, której nie byłby pewny, zachowując się inaczej.

– Moje ambicje głównie ciebie dotyczą – oznajmiła madame Merle, podnosząc na niego wzrok dość odważnie.

– A więc potwierdzasz moje zdanie. Stałem się częścią twojego życia, podobnie zresztą jak tysiące ludzi. Nie jesteś egoistką, tego ci nie mogę zarzucić. Gdybyś była egoistką, czymże byłbym ja? Jaki epitet mnie by się należał?

– Ty jesteś leniwy. To dla mnie najgorsza z twoich wad.

– A mnie się zdaje, że to moja największa zaleta.

– O nic nie dbasz – poważnie stwierdziła madame Merle.

– Rzeczywiście, niewiele spraw mnie obchodzi. Czy to uważasz za błąd? W każdym razie lenistwo było jedną z przyczyn, dla których nie pojechałem do Rzymu. Ale tylko jedną z wielu.

– Nie ma większego znaczenia – przynajmniej dla mnie – że nie przyjechałeś, chociaż oczywiście byłoby mi bardzo miło zobaczyć się z tobą. Dobrze się składa, że w tej chwili nie jesteś w Rzymie, bo gdybyś był wybrał się tam przed miesiącem, może, nawet z pewnością, siedziałbyś w stolicy po dziś dzień. Chcę cię prosić, żebyś zrobił coś dla mnie tutaj, we Florencji.

– Pamiętaj o moim lenistwie – odparł Osmond.

– Pamiętam, ale proszę cię, żebyś ty o nim na chwilę zapomniał. Zyskasz nie tylko cnotę, ale i nagrodę za nią. Nie będzie to wymagało wielkiego trudu, a może okazać się doprawdy korzystne. Od jak dawna nie zawarłeś żadnych nowych znajomości?

– Chyba od czasu, jak poznałem ciebie.

– Pora, żebyś poznał kogoś więcej. Chcę cię przedstawić

pewnej mojej przyjaciółce.

Pan Osmond w swych wędrówkach po salonie znalazł się w tym momencie znowu przy otwartych na ogród drzwiach i obserwował swoją córkę poruszającą się w ostrym słonecznym blasku.

– Cóż mi z tego przyjdzie? – spytał z żartobliwą bezpośredniością.

Madame Merle nie od razu odpowiedziała.

– Myślę, że to by cię zabawiło. – Replika nie była ani trochę spontaniczna, przeciwnie, dokładnie rozważona.

– Oczywiście wiesz, co mówisz, wierzę ci – odparł Osmond, zbliżając się do niej. – W pewnych sprawach ufam ci całkowicie. Nie wątpię na przykład, że odróżniasz dobre towarzystwo od złego.

– Ludzie w ogóle są źli.

– Wybacz! Nie miałem na myśli tego, co powszechnie wiadome. Ty swoją wiedzę zdobyłaś jedyną niezawodną metodą: przez doświadczenie; porównywałaś niezliczone mnóstwo ludzi mniej lub bardziej okropnych.

– Zachęcam cię, żebyś skorzystał z tej mojej wiedzy.

– Skorzystał? Czy jesteś pewna, że na tym skorzystam?

– Mam taką nadzieję. Reszta będzie zależała od ciebie.

Gdyby udało mi się skłonić cię do wysiłku!

– A więc wyszło szydło z worka. Przeczuwałem, że zażądasz ode mnie wysiłku. Cóż, u licha, może się zdarzyć takiego, co byłoby warte zachodu?

Madame Merle zaczerwieniła się, jakby urażona.

– Nie mów głupstw. Nikt lepiej od ciebie nie wie, co jest warte zachodu. Czyż nie pamiętam cię z dawnych dni?

– Owszem, cenię pewne wartości. Ale nie są one możliwe do osiągnięcia na tym nędznym świecie.

– Są osiągalne za cenę wysiłku.

– Może masz trochę racji. Kim więc jest ta twoja przyjaciółka?

– Przyjechałam do Florencji specjalnie, żeby się z nią

spotkać. To siostrzenica pani Touchett, której chyba nie zapomniałeś.

– Siostrzenica? Z tego określenia można wnioskować, że to ktoś młody i naiwny. Zaczynam rozumieć, do czego zmierzasz.

– Tak, młoda, ma dwadzieścia trzy lata. Bardzo się zaprzyjaźniłyśmy. Poznałam ją w Anglii kilka miesięcy temu i zawarłyśmy serdeczny sojusz. Lubię ją ogromnie, a co więcej – wiesz, że mi się to rzadko zdarza – podziwiam ją. Ty z pewnością też będziesz ją podziwiał.

– Postaram się nie ulec jej czarom.

– Ale ulegniesz, choćbyś nie chciał.

– Czy jest piękna, rozumna, bogata, olśniewająca, wszechstronnie inteligentna i bezprzykładnie szlachetna? Bo tylko pod tym warunkiem zgodzę się nawiązać z nią znajomość. Prosiłem cię już kiedyś, żebyś nigdy nie wspominała nawet o istotach nieodpowiadających tej charakterystyce. Znam już za dużo szarych istot, nie mam ochoty powiększać tego grona znajomych.

– Panna Archer nie jest szara, jaśniej blaskiem jak jutrzienka. Ma wszystkie wyliczone przez ciebie zalety, właśnie dlatego chcę, żebyś ją poznał. Spełnia doskonale warunki, jakie postawiłeś.

– Oczywiście w przybliżeniu.

– Nie, w pełni. Jest piękna, wykształcona, wielkodusza. Jak na Amerykankę pochodzi z dobrej rodziny. Jest inteligentna i ma spory majątek.

Pan Osmond słuchał w milczeniu, patrząc w twarz swej informatorki, i zdawało się, że rozważa jej słowa.

– Jakie masz zamiary co do tej panny? – spytał wreszcie.

– Jak widzisz, chcę, żeby się z tobą spotkała.

– Czy nie jest jej przeznaczony lepszy los?

– Nie zastanawiam się nad tym, jaki los przeznaczony jest ludziom, ale jak mogłabym ich użyć – oznajmiła madame Merle.

– Współczuję panie Archer – powiedział pan Osmond.

Madame Merle wstała.

– Jeśli to dowód, że już się nią zaczynasz interesować, przyjmuję twoje oświadczenie do wiadomości.

Stali naprzeciw siebie, madame Merle poprawiła mantylkę, spuszczać oczy.

– Wyglądasz świetnie – powtórzył Osmond, jeszcze bardziej nieoczekiwanie niż za pierwszym razem. – Usnułaś jakiś plan. Zawsze rozkwitasz, kiedy masz jakiś nowy pomysł. Jest ci z tym do twarzy.

Ilekcio tych dwoje ludzi spotykało się po dłuższej przerwie, zwłaszcza jeśli to działo się w obecności świadków, w ich zachowaniu przejawiała się dziwna powściągliwość i ostrożność, jak gdyby zbliżali się do siebie okrężną drogą i porozumiewali aluzjami. Każde z nich swoim sposobem bycia potęgowało nienaturalność partnera. Madame Merle oczywiście lepiej niż jej przyjaciel panowała nad zakłopotaniem, ale nawet ona w tych sytuacjach nie mogła osiągnąć efektu, jaki pragnęła wyrzucić – efektu doskonale zimnej krwi. Trzeba jednak powiedzieć, że ta niewidzialna bariera – czymkolwiek w istocie była – w pewnej chwili zawsze zniknęła, ustępując miejsca porozumieniu; czuli się wtedy sobie nawzajem niezwykle bliscy. Podobnie stało się teraz. Znali się na wylot i czerpali z tego satysfakcję, która wynagradzała niepokój płynący ze świadomości, że jest się dla drugiego człowieka przezroczystym.

– Szkoda, że nie masz serca – powiedziała madame Merle. – Zawsze na tym traciłeś w życiu i znowu możesz teraz stracić.

– Nie jestem tak nieczuły, jak myślisz. Od czasu do czasu coś mnie wzrusza, na przykład twoja odpowiedź przed chwilą, że wszystkie twoje ambicje mnie dotyczą. Nie rozumiem tego, nie pojmuję, jakim cudem, dlaczego tak jest, ale to mnie wzrusza.

– Prawdopodobnie z czasem będziesz coraz mniej to rozumiał. Pewnych rzeczy nigdy nie pojmiesz. Zresztą nie wydaje mi się to wcale potrzebne.

– Ty jednak jesteś naprawdę bardzo niezwykłą kobietą – stwierdził Osmond. – Nie spotkałem chyba nikogo, kto by ci dorównał. Zastanawia mnie, dlaczego sądzisz, że siostrzenica pani Touchett może odegrać w moim życiu tak wielką rolę, skoro... skoro... – urwał w pół zdania.

– Skoro ja odegrałam tak małą? – dokończyła madame Merle.

– Oczywiście nie to chciałem powiedzieć. Skoro znałem i oceniłem taką kobietę jak ty.

– Isabel Archer jest więcej warta ode mnie – odparła madame Merle.

Osmond parsknął śmiechem.

– Jakże musisz ją lekceważyć, jeżeli mówisz o niej w ten sposób!

– Czy sądzisz, że jestem zdolna do zazdrości? Proszę, odpowiedz mi na to pytanie.

– Kiedy o mnie chodzi? Nie, myślę, że nie.

– A więc złóż mi wizytę pojutrze. Mieszkam u pani Touchett, w Palazzo Crescentini, zastaniesz tam pannę Archer.

– Dlaczego nie zaprosiłaś mnie po prostu, nie opowiadając mi nic o tej dziewczynie? – spytał. – Mogłaś przecież postarać się i tak, żebym ją u ciebie spotkał.

Madame Merle patrzyła na niego z miną kobiety, której nikt żadnym pytaniem nie mógłby zaskoczyć.

– Chcesz wiedzieć dlaczego? Ponieważ jej opowiadałam o tobie.

Osmond zmarszczył brwi i odwrócił twarz.

– Wolalbym tego nie wiedzieć. – Po chwili wskazał małą akwarelę na sztalugach. – Widziałaś tę moją najnowszą pracę?

Madame Merle podeszła bliżej do sztalug i przyjrzała się obrazkowi.

– Alpy Weneckie, prawda? Według twoich zeszłorocznych szkiców?

– Tak. Wszystko zawsze umiesz odgadnąć.

Przyglądała się pejzażowi jeszcze chwilę, potem odwróciła się od sztalug.

– Wiesz, że nie podobają mi się twoje obrazki.

– Wiem, ale nie przestaję się temu dziwić. Są naprawdę lepsze od tego, co maluje wiele innych osób.

– Nie przeczę. Ale jako jedyny przedmiot twojej działalności



nie wystarczają. Chciałabym, żebyś robił coś więcej, mam większe ambicje w twoim imieniu.

– Mówiłaś mi to nieraz. Chciałaś rzeczy niemożliwych.

– Chciałam rzeczy niemożliwych – powtórzyła madame Merle. I zupełnie innym tonem dodała: – Z obiektywnego punktu widzenia twoja akwarela jest bardzo dobra. – Rozejrzała się po salonie: po antycznych komódkach, obrazach, tapiseriach, obiciach ze spłowiałego jedwabiu. – Mieszkanie bądź co bądź masz urządzone świetnie. Za każdym razem, kiedy tu jestem, zachwyca mnie to wnętrze na nowo. Nie widziałam nic lepszego. Na tych sprawach znasz się lepiej niż ktokolwiek. Masz niezawodny smak.

– Już mi ten mój niezawodny smak stoi kością w gardle – odparł Osmond.

– Jednakże musisz zaprosić pannę Archer i pokazać jej swoje skarby. O nich także jej opowiadałam.

– Chętnie pokazuję moje rzeczy każdemu, byle nie głupcom.

– Robisz to z wielkim wdziękiem. Jako przewodnik po swoim muzeum prezentujesz się w najkorzystniejszym świetle.

Pan Osmond skwitował komplement jeszcze bardziej oziębłym i czujnym wyrazem twarzy.

– Wspomniałaś, zdaje się, że ta panna jest bogata?

– Ma siedemdziesiąt tysięcy funtów.

– *En écus bien comptés?*<sup>5</sup>

<sup>5</sup> *En écus bien...* (franc.) – W talarach dokładnie przeliczonych.

– Nie ma najmniejszych wątpliwości co do jej majątku. Niemalże widziałam go na własne oczy.

– Skarb nie kobieta! Mam na myśli ciebie. Czy zastanę w Palazzo Crescentini także matkę panny Archer?

– Nie, ona już nie ma matki. Ani ojca.

– A więc ciotkę... Kto to jest? Mówiłaś, zdaje się, o pani Touchett?

– Łatwo mogę się postarać, żebyś pani Touchett nie spotkał.

– Nie mam nic przeciw niej, nawet ją dość lubię – odparł pan Osmond. – Staroświecki, już wymierający typ, silna

indywidualność. Ale ten jej laskonogi synalek... Czy i on jest we Florencji?

– Tak, ale nie będzie ci wchodził w drogę.

– To skończony osioł.

– Mylisz się, to bardzo inteligentny młody człowiek. Zwykle jednak znika ze sceny, kiedy ja jestem gościem jego matki. Nie lubi mnie.

– Najlepszy dowód, że to osioł. Jeśli się nie mylę, mówiłaś, że panna jest ładna?

– Tak, ale wolę nic więcej o jej urodzie nie mówić, żebyś się nie rozczarował. Przyjdź z wizytą, niczego ponadto na początek od ciebie nie wymagam.

– Na początek czego?

Madame Merle milczała przez chwilę.

– Oczywiście chcę, żebyś się z nią ożenił.

– A więc początek końca? No cóż, zobaczymy. Powiedziałaś jej o tym?

– Za kogo ty mnie masz? Ona nie jest aż tak prymitywna. Ani ja.

– Doprawdy – odezwał się po dłuższym namyśle Osmond – nie mogę zrozumieć twoich ambicji.

– Tę moją ambicję zrozumiesz zapewne, kiedy poznasz pannę Archer. Na razie zawieś werdykt. – Mówiąc to, madame Merle zbliżyła się do drzwi i przystanęła w progu, spoglądając w ogród. – Pansy wyrosła na bardzo ładną dziewczynkę – stwierdziła.

– Mnie się też tak zdaje.

– Ale już dość długo tkwiła u zakonnic.

– Nie wiem – powiedział Osmond. – Podoba mi się sposób, w jaki ją wychowały. Jest czarująca.

– To nie zasługa klasztoru, ale jej natury.

– Myślę, że połączenia jednego z drugim. Perła bez skazy.

– Dlaczego dotychczas nie wróciła z kwiatami w takim razie?

– spytała madame Merle. – Nie pilno jej, jak widać.

– Chodźmy po twój bukiet.

– Nie lubi mnie – szepnęła madame Merle, otwierając parasolkę i wychodząc do ogrodu.

## ROZDZIAŁ XXIII

Madame Merle, która przyjechała do Florencji na wieść o przybyciu tam pani Touchett i na jej zaproszenie – przyjaciółka ofiarowała jej na miesiąc gościnę w Palazzo Crescentini – roztropna madame Merle znów wspomniała pannie Archer o Gilbercie Osmondzie i wyraziła nadzieję, że się poznają; nie nalegała jednak tak jak w przytoczonej wyżej rozmowie z Osmondem, gdy zachwalała mu pannę Archer. Może dlatego, że Isabel nie stawiała najmniejszego oporu wobec sugestii swej starszej przyjaciółki. Dama ta miała we Włoszech, podobnie jak w Anglii, mnóstwo znajomych, zarówno wśród rodowitych Włochów, jak i wśród cudzoziemców odwiedzających ten kraj. Wyliczyła wiele osób, z którymi jej zdaniem warto nawiązać stosunki, przy czym było samo przez się zrozumiałe, że przed Isabel wszystkie drzwi są otwarte i tylko od niej zależy dobór towarzystwa, w jakim zechce się obracać; pana Osmonda umieściła madame Merle blisko szczytu swojej listy. Przyjaźniła się z nim od dawna, znali się od kilkunastu lat; to jeden z najinteligentniejszych i najsympatyczniejszych mężczyzn nie tylko we Włoszech, ale w Europie. Góruje znacznie nad przeciętnością, naprawdę ktoś. Nie zawodowy szarmant, broń Boże, wrażenie, jakie robi, zależy od stanu jego nerwów i humoru danego dnia; gdy jest w złym nastroju, niczym się nie wyróżnia, chyba jedynie urodą, bo wygląda wówczas trochę jak kapryśny książę na wygnaniu. Ale gdy chce, gdy go ktoś zainteresuje albo odpowiednio zachęci – oczywiście bardzo taktownie – Gilbert Osmond olśniewa intelektem i niepospolitą indywidualnością. Te właściwości nie wynikają, jak w przypadku wielu innych osób, z niechęci do podejmowania jakichkolwiek zobowiązań i ryzyka. Pan Osmond ma swoje dziwactwa – Isabel przekonała się, że mają je wszyscy mężczyźni godni zainteresowania – i nie dla każdego jednakowo błyszczą. Madame Merle jest jednak pewna, że pan

Osmond zechce błysnąć dla Isabel. Łatwo, zbyt łatwo go znudzić, nie znosi ludzi tępych, ale bystra, wykształcona dziewczyna, taka jak Isabel, dostarczy mu bodźca, którego dotkliwie brak w jego życiu. W każdym razie byłoby błędem pominąć takiego człowieka. Kto chciałby się zadomowić we Włoszech, powinien się zaprzyjaźnić z panem Osmondem, nikt bowiem nie wie tyle o tym kraju co on, z wyjątkiem paru niemieckich profesorów; ci mają może więcej wiadomości od niego, ale nie dorównują mu wrażliwością i smakiem, bo pan Osmond jest na wskroś artystą. Isabel przypominała sobie, że w momentach najbardziej poufnych rozmów w Gardencourt słyszała z ust madame Merle często nazwisko pana Osmonda i była ciekawa, jaka więź łączy te dwa górujące nad przeciętnością duchy. Wyczuwała, że każdy związek tej damy z innymi ludźmi ma swoją historię; wrażenie to potęgowało żywość zainteresowania, jakie budziła ta niepospolita kobieta. Jednakże o swoich stosunkach z panem Osmondem nie wyjawiała nigdy nic poza tym, że jest to dawna, wypróbowana i spokojna przyjaźń. Isabel odpowiedziała, że bardzo chciałaby poznać człowieka, który od wielu lat cieszy się pełnym zaufaniem jej przyjaciółki.

– Dobrze będzie, jeśli poznasz jak najwięcej mężczyzn – odparła madame Merle – żebyś się z nimi oswoiła.

– Mam się z nimi oswajać? – powtórzyła Isabel z powagą, która mogła świadczyć o poczuciu humoru. – Ależ ja ich się ani trochę nie boję, jestem z nimi na takiej stopie jak kucharz z chłopcem od rzeźnika.

– Chodzi o to, żebyś nauczyła się nimi gardzić. Większość na nic innego nie zasługuje. Wybierzesz tych nielicznych, którzy nie wzbudzą w tobie pogardy, i tylko tych dopuścisz do swego towarzystwa. – W głosie madame Merle dawało się wyczuć nutę cynizmu, na który ta dama rzadko sobie pozwalała; nie zaniepokoiło to jednak panny Archer, nigdy bowiem nie łudziła się, że dominującym uczuciem, jakie budzi świat przy bliższym poznaniu, jest szacunek. Jednakże dla piękna Florencji, która zgodnie z przepowiednią madame Merle niezmiernie jej się

spodobała, czuła właśnie respekt; sama nie umiałaby zapewne ocenić uroków tego miasta, znalazła jednak świątłych przewodników, niby kapłanów wprowadzających ją w misteria. Nie brakowało jej nauczyciela estetyki, bo Ralph, służąc za cicerone gorliwej młodej kuzynce, odnajdywał radość swoich wczesnych uniesień dla sztuki. Madame Merle zostawała w domu – wielokroć już oglądała skarby Florencji, a poza tym miała rozmaite inne zajęcia. W rozmowach dawała jednak dowody niezwykle żywej pamięci, wspominała prawy róg wielkiego obrazu Perugina i układ rąk świętej Elżbiety na sąsiadującym z nim płótnie. Miała własne zdanie o wielu słynnych dziełach sztuki, często odmienne niż Ralph, i dyskutowała z nim gorąco, broniąc własnej interpretacji wymownie, ale zarazem dobrotliwie. Isabel przysłuchiwała się tym sporom, zadowolona, że tak dużo może się od nich nauczyć, i stwierdzała w duchu, że to jeszcze jeden z wielu przywilejów, których nie zyskałaby nigdy, siedząc na przykład w Albany. W jasne majowe poranki przed lunchem – który w domu pani Touchett jadano o dwunastej w południe – wędrowała z kuzynem wąskimi, mrocznymi uliczkami Florencji, odpoczywając od czasu do czasu w gęstszym jeszcze cieniu historycznych kościołów lub sklepień opuszczonych klasztorów. Zwiedzała galerie i pałace, oglądała obrazy i rzeźby, które dotychczas były dla niej tylko wielkimi nazwiskami. Na wiedzę, często ściśle ograniczoną, wymieniała przeczucia, które zwykle okazywały się zwodnicze. W duchu biła czołem przed arcydziełami, jak to skłonne są czynić młodość i entuzjazm podczas pierwszej wizyty we Włoszech; serce jej biło w obliczu nieśmiertelnego geniuszu, łzy szczęścia przesłaniały oczy, gdy patrzyła na spłowiałe freski i szerniałe marmury. Ale powroty zdawały się jeszcze przyjemniejsze niż momenty wyruszenia na miasto, wracała bowiem co dzień na rozległy, monumentalny dziedziniec wielkiego domu, w którym pani Touchett osiedliła się przed laty, wracała do wysokich chłodnych pokoi, gdzie rzeźbione krokwie i bogate freski spoglądały z góry na pospolite sprzęty epoki reklamy. Pani Touchett mieszkała w zabytkowym pałacu przy ciasnej uliczce,

której nazwa upamiętniała walki średniowiecznych stronnictw; pociemniałą fasadę wynagradzała niskość czynszu i piękność ogrodu; roślinność zdawała się równie archaiczna jak krzepkie mury budynku, a światło i zapachy płynęły obficie do używanych na co dzień pokoi. Isabel, przebywając w tym domu, miała wciąż wrażenie, że trzyma przy uchu muszlę wyłowioną z mórz przeszłości. Niewyraźny wieczny szum nie pozwalał zasnąć wyobraźni.

Gilbert Osmond złożył wizytę madame Merle, która przedstawiła go swojej młodej przyjaciółce, siedzącej w głębi salonu. Isabel prawie nie brała udziału w rozmowie – nawet gdy tamtych dwoje zwracało na nią pytające spojrzenia, odpowiadała tylko uśmiechem; zachowywała się jakby w loży teatru, za którą drogo zapłaciła, żeby bez przeszkód oglądać przedstawienie. Pani Touchett nie pojawiła się, madame Merle i jej gość mieli więc pole do popisu. Mówili o florenckim, rzymskim, kosmopolitycznym świecie, jak ludzie z wysokich sfer towarzyskich grający komedię na cel dobroczynny. Dialog nie mógł toczyć się tak gładko bez wielu prób. Madame Merle zwracała się do panny Archer, jak gdyby ona także była na scenie, ale Isabel mogła milczeć i nie wygłaszać wyuczonego tekstu bez szkody dla całej sztuki, chociaż oczywiście zaprzeczała tym sposobem wszystkiemu, co madame Merle prawdopodobnie opowiadała o niej panu Osmondowi. Nic jej to w tym przypadku nie obchodziło, nawet poczucie obowiązku wobec przyjaciółki nie mogło jej skłonić do wysiłku, żeby zabłysnąć w tej rozmowie. W osobie pana Osmonda było coś, co zamykało jej usta i trzymało ją w niemym napięciu – wrażenie, jakie on wywierał, zdawało się ważniejsze od tego, które ona mogła na nim zrobić. Zresztą nie była zręczna w wywoływaniu efektów, jeśli wiedziała, że się ich od niej oczekuje; bardzo lubiła olśniewać, ale przekora nie pozwalała jej błyszczeć na zamówienie. Trzeba oddać sprawiedliwość panu Osmondowi, że nie zdradzał żadnych oczekiwań, jak przystało człowiekowi dobrze wychowanemu, i swobodnym spokojem maskował wszystko, nawet własne pierwsze popisy intelektualne. Należało to ocenić

tym wyżej, że twarz i głowę miał bardzo wyraziste, nie tyle był przystojny, ile wykwintny; przypominał rysunki z długiej Galerii Uffizi ponad mostem. Głos brzmiał też wykwintnie i co najdziwniejsze, bez słodyczy, chociaż bardzo czysto. Ta jego cecha przyczyniła się między innymi do małomówności panny Archer. Głos pana Osmonda wibrował jak szkło, a Isabel czuła, że gdyby trąciła to szkło palcem, zmieniłaby tonację i zepsuła koncert. Jednakże musiała odezwać się, zanim gość wyszedł.

– Madame Merle – powiedział pan Osmond – zgadza się któregoś dnia w przyszłym tygodniu odwiedzić mój pagórek i wypić herbatę w moim ogrodzie. Sprawiałyby mi pani wielką radość, gdyby zechciała przyjść z nią razem. Na wzgórzu jest dość ładnie, widać ze szczytu tak zwaną panoramę miasta. Ucieszyłyby pani moją córkę... a właściwie, ponieważ ona jest jeszcze za młoda, żeby odczuwać silniejsze emocje, ucieszyłyby pani bardzo mnie... – Pan Osmond urwał, z lekka zakłopotany, i nie dokończył zdania. – Byłbym ogromnie szczęśliwy, gdyby pani poznała moją córkę – podjął po chwili.

Isabel odpowiedziała, że z przyjemnością pozna pannę Osmond i że będzie bardzo wdzięczna, jeśli madame Merle zechce jej wskazać drogę na pagórek. Gość, zadowolony z tej obietnicy, pożegnał damy; Isabel spodziewała się, że madame Merle złaje ją za głupie milczenie podczas wizyty pana Osmonda, ale madame Merle, która nigdy nie schodziła na utarte ścieżki, zaskoczyła ją, mówiąc w chwilę później:

– Byłaś czarująca, moja droga. Zachowałaś się właśnie tak, jak marzyłam, nigdy nie sprawiasz mi zawodu.

Nagana może by ją zirytowała, chociaż bardziej prawdopodobne, że Isabel przyjęłaby krytykę z pokorą; pochwała, tak sformułowana, uraziła ją i po raz pierwszy opinia podziwianej sojuszniczki wywołała w niej odruch niechęci.

– Jeśli tak, to mimo woli – odparła chłodno. – O ile wiem, nie jestem obowiązana oczarować pana Osmonda.

Madame Merle zaczerwieniła się wyraźnie, ale, jak już nam wiadomo, nie miała zwyczaju odwoływać tego, co raz



powiedziała.

– Nie chodzi mi o biednego pana Osmonda, ale o ciebie, dziecinko. Oczywiście nie zależy mi na tym, czy mu się spodobaś, czy nie, to bez znaczenia. Zdawało mi się, że on tobie się spodobał.

– Tak – szczerze przyznała Isabel – ale wydaje mi się, że to także nie ma żadnego znaczenia.

– Wszystko, co ciebie dotyczy, ma znaczenie dla mnie – odparła madame Merle z niezmienną swoją wielkodusznością. – Tym bardziej, gdy w grę wchodzi ktoś z moich dawnych przyjaciół.

Isabel, chociaż wypierała się jakichkolwiek obowiązków wobec pana Osmonda, uznała je wszakże za dość pilne, by zasypać pytaniami o niego Ralpa. Wiedziała, że poglądy kuzyna są zabarwione goryczą ciężkich przeżyć, ale pochlebiała sobie, że umie już z nich wyłuskiwać prawdę.

– Czy go znam? – odparł kuzyn. – O, tak, nie za dobrze, ale wystarczająco. Nigdy nie szukałem jego towarzystwa, a on też nie potrzebuje mnie do szczęścia. Kim, czym jest? Nieokreślonym bliżej Amerykaninem, z niejasnych powodów zamieszkałym od trzydziestu lat mniej więcej we Włoszech. Dlaczego nazywam go bliżej nieokreślonym? Żeby ukryć niedostatki własnej wiedzy. Nie wiem nic o jego przeszłości, rodzinie, pochodzeniu. Nie wykluczam nawet, że jest przebrany za zwykłego śmiertelnika księciem, trochę wygląda na monarchę, który abdykował w momencie zniechęcenia i odtąd nie może się pozbyć niesmaku. Dawniej mieszkał w Rzymie, w ostatnich latach osiedlił się we Florencji. Słyszałem kiedyś, jak mówił, że Rzym stał się wulgarny. Ten pan okropnie brzydzi się wulgarnością, to jego główne zajęcie, o ile wiem, nie ma innego. Żyje z osobistych dochodów, które, jak podejrzewam, nie są wulgarnie wielkie. Ubogi, ale uczciwy dżentelmen – tak się sam określa. Ożenił się młodo i owdowiał, ma, zdaje się, córkę. Ma także siostrę, która wyszła za jakiegoś pomniejszego włoskiego hrabiego. Pamiętam ją, zetknąłem się z nią kiedyś przed laty. Jest sympatyczniejsza od brata, moim

zdaniem, ale skompromitowana. Krążą o niej skandaliczne pogłoski. Nie, nie mogę ci zalecić stosunków z tą panią. Ale dlaczego nie pytasz o tych ludzi swojej przyjaciółki? Madame Merle wie o nich dużo więcej niż ja.

– Spytałam ciebie, bo chciałam usłyszeć nie tylko jej opinię, ale również twoją.

– Figę warta moja opinia! Jeżeli zakochasz się w tym panu, cóż będzie znaczyła dla ciebie moja opinia?

– Niewiele, prawdopodobnie. Ale na razie ma jeszcze pewne znaczenie. Im więcej się wie o grożących nam niebezpieczeństwach, tym lepiej.

– Nie zgadzam się, niekiedy właśnie w ten sposób rzecz staje się niebezpieczna. Za dużo w dzisiejszych czasach wiemy o ludziach, za dużo słyszymy. Uszy, mózgi, usta mamy pełne rozmaitych osób. Nie zważaj na to, co ci ktokolwiek mówi o innych. Sama osądzaj wszystkich i wszystko.

– Staram się – odparła Isabel – ale uchodzi to za zarozumiałstwo.

– Nie zważaj na to, powtarzam. Nie przejmuj się tym, co ludzie mówią o tobie ani o twoich przyjaciółach i wrogach.

Isabel zastanawiała się chwilę.

– Myślę, że masz rację, ale nie umiem pewnych rzeczy znosić obojętnie. Na przykład, gdy ktoś atakuje moich przyjaciół albo kiedy chwali mnie.

– Oczywiście wolno ci też osądzać krytyków – powiedział Ralph – ale jako krytyków będziesz wszystkich w czambuł potępiała.

– W każdym razie przyjrę się panu Osmondowi własnymi oczyma – oznajmiła Isabel. – Obiecałam mu wizytę.

– Wizytę?

– Zaprosił mnie, żebym zobaczyła widok z jego pagórka, obrazy, córkę – i nie wiem co jeszcze. Pójdę w towarzystwie madame Merle, ona twierdzi, że u niego bywa wiele dam.

– Ach, pod opieką madame Merle możesz iść wszędzie *de confiance* – odparł Ralph. – Madame zna wyłącznie ludzi z

najlepszej sfery.

6 *De confiance* (franc.) – z całym zaufaniem.

Isabel nic więcej nie mówiła już o panu Osmondzie, ale powiedziała kuzynowi, że nie podoba jej się ton, jakim on zwykł mówić o madame Merle.

– Wygląda to na insynuacje – stwierdziła. – Nie wiem, co masz na myśli, ale jeżeli są jakieś powody, dla których jej nie lubisz, to powinieneś otwarcie je wyjawić albo też powstrzymać się od tych aluzji.

Ralph poczuł się dotknięty tym zarzutem poważniej, niż to było na ogół w jego zwyczaju.

– Mówię o madame Merle tak samo jak do niej. Zawsze z przesadnym szacunkiem.

– O tę przesadę właśnie chodzi. To ci mam za złe.

– Wynika to z przesadnych zalet tej pani.

– Kto przesadza? Ja w ich ocenie? Jeśli tak, wyrządzam jej niedźwiedzią przysługę.

– Nie, nie, ona sama przesadza.

– Muszę stanowczo zaprotestować! – wykrzyknęła Isabel. – Nie spotkałam osoby, która by mniej się chwaliła...

– Otóż to! – przerwał jej Ralph. – Jest przesadnie skromna. Dlaczego nie rości sobie prawa do pochwał? Przecież na nie zasługuje!

– A więc ma wielkie zalety. Sam sobie przeczysz.

– Ma olbrzymie zalety – powiedział Ralph. – Jest nad wszelki wyraz nieskazitelna, istna pustynia cnót, bezdroże. Jedyna kobieta, która nie daje nam żadnej okazji.

– Do czego?

– Do przyłapania jej na głupstwie. Nie znam kobiety, która nie miałaby żadnych wad prócz tej jednej, maleńkiej wady.

Isabel odwróciła się ze zniecierpliwieniem.

– Nie rozumiem, twoje paradoksy są zanadto skomplikowane dla mojego prostego umysłu.

– Pozwól, żebym ci wytłumaczył. Mówiąc o przesadzie, nie używam tego słowa w najpospolitszym sensie, nie chcę przez to

powiedzieć, że madame Merle chwali się, przecenia swoją osobę, podaje się za lepszą, niż jest. Mam na myśli dosłownie przesadę, ona za daleko posuwa się w dążeniu do doskonałości i wskutek tego jej zalety są napięte zbyt mocno. Jest za dobra, za uprzejma, za mądra, zanadto wykształcona, zanadto taktowna, w ogóle „za”. Słowem, zanadto doskonała. Wyznam ci, że ona działa mi na nerwy i odnoszę się do niej mniej więcej tak jak ów bardzo ludzki Ateńczyk do Arystydesa Sprawiedliwego.

Isabel bardzo uważnie przyglądała się kuzynowi, ale duch szyderstwa, zaczajony w jego słowach, nie objawił się w wyrazie twarzy.

– Chciałbyś skazać madame Merle na banicję?

– Nic podobnego! Jest tak cenna w towarzystwie! Przepadam za madame Merle – oświadczył najprościej w świecie Ralph.

– Okropny z siebie człowiek! – wykrzyknęła Isabel i spytała, czy kuzyn jej wie coś o madame Merle, co rzuca cień na tę tak niepospolitą osobę.

– Nic a nic. Czy nie rozumiesz, że właśnie to mam jej za złe? Na charakterze każdego innego człowieka można znaleźć jakąś choćby maleńką czarną plamkę, jeśli poświęcę pół godziny czasu, z pewnością i na tobie znajdę skazę. Co do mnie, to jestem oczywiście upstrzony plamami jak lampart. Ale madame Merle jest bez skazy.

– Ja też tak myślę – odparła Isabel, kiwając głową. – I dlatego tak bardzo ją lubię.

– Niezwykle pożyteczna dla ciebie znajomość. Jeżeli chcesz poznać świat, nie ma lepszej przewodniczki.

– Czy chcesz przez to powiedzieć, że jest osobą światową?

– Światową? Nie! Ona sama jest wcielonym wielkim światem.

Isabel omyliła się, podejrzewając kuzyna o złośliwą drwinę, gdy wyznał, że przepada za towarzystwem madame Merle. Ralph Touchett czerpał ożywczy nektar z każdego źródła, jakie napotykał, i nie darowałby sobie, gdyby ani trochę nie uległ czarom takiej mistrzyni towarzyskiego kunsztu. Istnieją głębokie

antypatie i sympatie, możliwe, że chociaż tak chętnie wymierzał jej sprawiedliwość, odczułby dotkliwą pustkę, gdyby madame Merle przestała bywać w domu jego matki. Przywykł z mniej lub bardziej zrozumiałych powodów być widzem, a jakież widowisko mogło mu dostarczyć bogatszych wrażeń niż rola odgrywana tak świetnie przez madame Merle? Delektował się drobnymi łykami, pozostawiał ją czasem w spokoju z uprzejmością, której nawet ona nie mogłaby prześcignąć. Chwilami nawet trochę się nad nią litował; dziwna rzecz, ale w tych właśnie chwilach okazywał najmniej grzeczności. Był przekonany, że madame Merle żywi wielkie ambicje, ale jej widzialne osiągnięcia były znikome w porównaniu ze skrytymi aspiracjami. Mimo wytrwałego treningu nie zdobyła żadnych medali. Pozostała tylko madame Merle, wdową po szwajcarskim *négociant*, ze skromnymi dochodami i rozległymi znajomościami, osobą zapraszaną na dłuższe wizyty do wielu domów i prawie wszędzie lubianą – jak najnowsza, gładko napisana salonowa powieść. Kontrast między jej rzeczywistą pozycją a tymi, jakie w różnych chwilach życia zapewne miała nadzieję zająć, był załączkiem tragedii. Pani Touchett sądziła, że jej syn jest w jak najlepszych stosunkach z tą miłą damą; wyobrażała sobie, że dwoje ludzi, którzy tak dużą wagę przywiązują do nazbyt wymyślnych teorii postępowania – każde do własnej – musi mieć wiele punktów stycznych. Ralph głęboko zastanawiał się nad zażyłością, jaka łączyła Isabel z madame Merle, rozumiejąc od dawna, że nie uda mu się bez sprzeciwów zagarnąć kuzynki wyłącznie pod swoje wpływy; pogodził się z tym, tak samo jak z innymi, gorszymi faktami. Wierzył, że ta poufała przyjaźń zgaśnie w sposób naturalny, nie będzie trwała wiecznie. Żadna z tych dwóch niepospolitych kobiet nie znała drugiej tak dobrze, jak jej się zdawało; wystarczy parę odkryć z obu stron, aby doszło jeśli nie do zerwania, to co najmniej do rozluźnienia stosunków. Na razie gotów był przyznać, że rozmowy ze starszą damą są pożyteczne dla młodszej, której wiele pozostało do nauczenia się, a z pewnością lepiej, aby uczyła się od madame Merle niż od innych mistrzów młodości. Nie wydawało mu się prawdopodobne, aby

Isabel mogła wyjść z tej przyjaźni zraniona.

## ROZDZIAŁ XXIV

Z pewnością trudno byłoby wyobrazić sobie, jakie rany mogłaby odnieść podczas wizyty na pagórku pana Osmonda. Wszelkie okoliczności składały się na urok epizodu, który rozegrał się tego ciepłego popołudnia, w pełni toskańskiej wiosny. Panie wyjechały z miasta przez Bramę Rzymską pod ogromną ślepa nadbudową, która wieńczy piękny łuk portalu i nadaje mu surowe dostojęstwo; dalej wąska droga wiała się między murami, zza których kwitnące sady wyciągały gałęzie i rozsiewały swoje aromaty, aż powóz znalazł się wreszcie na małym przedmiejskim placu nieregularnego kształtu, pod długim brunatnym murem otaczającym willę, której część zajmował pan Osmond i która była tutaj głównym, a w każdym razie jednym z najokazalszych budynków. Isabel i jej przyjaciółka weszły na rozległy dziedziniec, gdzie na ziemi leżał jasny cień, a w górze dwie galerie, jedna naprzeciw drugiej, chwytaly blask słońca na wysmukłe kolumny i oplatające je pnącza. Miejsce to tchnęło powagą i siłą; miało się wrażenie, że kto tutaj raz wejdzie, będzie musiał zdobyć się na niemałą energię, żeby wyjść. Isabel jednak nie myślała oczywiście o możliwości wycofania się, lecz spieszyła naprzód. Pan Osmond powitał ją w chłodnej – nawet w maju – sieni i zaprowadził do znanego już czytelnikom wnętrza.

Isabel, rozmawiając z gospodarzem, zwolniła nieco kroku, toteż madame Merle wyprzedziła ją i pierwsza swobodnie weszła do salonu; zastała tam dwie osoby, małą Pansy, którą na przywitaniu pocałowała w czoło, i damę, którą pan Osmond przedstawił panie Archer jako swoją siostrę, hrabinę Gemini.

– A to – powiedział – moja córeczka. Dopiero co opuściła klasztorną pensję.

Pansy ubrana była w przykrótką białą sukienkę, włosy miała gładko uczesane i ujęte w siatkę, a pantofelki jak sandały umocowane rzemykiem wokół kostek. Dygnęła oficjalnie przed

Isabel i zbliżyła się, nadstawiając czoło do pocałunku. Hrabina skłoniła głowę, nie wstając. Isabel od jednego rzutu oka oceniła jej elegancję. Szczupła, wysoka, nieładna, przypominała jakiegoś egzotycznego ptaka: nos miała długi, podobny do dzioba, oczy małe i rozbiegane, a dolną szczękę wraz z ustami mocno cofniętą. Twarz ta jednak miała wyraz bardzo ludzki, dzięki zmieniającej się ustawicznie intensywności odzwierciedlanych przez nią emocji, zdumienia, zgrozy, radości, a cała powierzchowność świadczyła, że hrabina Gemini przestudiowała swoje szanse i umie wykorzystać je jak najlepiej. Jej obfita i powiewna suknia olśniewała wykwintem i wyglądała jak mieniące się upierzenie; poza hrabiny też nasuwała obraz egzotycznego ptaka, który lekko przysiadł na gałęzi i każdej chwili gotowy jest zerwać się do lotu. Była bardzo zmanierowana. Isabel, która nigdy nie spotkała osoby o tak dziwnym sposobie bycia, od razu zaliczyła ją do kobiet afektowanych; pamiętała, że Ralph ostrzegł ją przed hrabiną Gemini, ale gotowa była przysiąc, że – przynajmniej z pozorów – dama ta niczego nie ukrywa. Hrabina zachowywała się tak, jakby demonstracyjnie machała flagą powszechnego rozejmu, chorągwią z białego jedwabiu i powiewających wstęg.

– Uwierzy mi pani, jak cieszę się z poznania pani, jeżeli wyznam, że wyłącznie po to przyszedłam dzisiaj, aby panią spotkać. Rzadko bywam u brata, zwykle widzimy się raczej w moim domu. To wzgórze jest niemożliwe, nie rozumiem, co Osmondowi strzeliło do głowy, żeby tu zamieszkać. Przez ciebie konie mi chyba padną, będziesz musiał mi kupić nowe, jeśli te stracę z twojej winy. Słyszałam dzisiaj, jak im w płucach świszczą, słowo daję. Okropnie przykro, siedząc w powozie, słuchać świszczącego oddechu koni, jakby się miało w zaprzęgu szkapy. A przecież zawsze mam doskonałe konie, wielu rzeczy mi nieraz brakowało, ale nie tego. Mój mąż na wielu rzeczach się nie zna, ale jeśli chodzi o konie, jest nieomylny. Konie mam angielskie, tym bardziej szkoda byłoby je zmarnować. Muszę pani powiedzieć – zwróciła się wprost do Isabel – że brat nieczęsto mnie zaprasza, myślę, że nie lubi moich wizyt. Dzisiaj przyjechałam z własnej



inicjatywy. Szalenie lubię poznawać nowe osoby, a pani jest wielką nowością. Nie, niech pani tutaj nie siada, fotel nie jest taki wygodny, jak się z pozoru wydaje. Jest tu trochę dobrych mebli, ale są też okropne.

Monologowi temu towarzyszyły serie drobnych gestów, kiwania głową i rulady przenikliwego śmiechu, a wygłoszony został takim akcentem, jakby hrabina w niedoli chętnie uciekała się do wspomnień o dobrej angielszczyźnie czy raczej o amerykańskiej jej odmianie.

– Jak możesz mówić, że nie lubię twoich wizyt – zaprotestował brat. – Jesteś nieocenionym gościem, moja droga.

– Nie widzę tu żadnych okropności – powiedziała, rozglądając się po salonie, Isabel. – Wszystko wydaje mi się piękne i wartościowe.

– Mam trochę dobrych rzeczy – przyznał pan Osmond. – Naprawdę nie ma tu nic tandetnego. Ale brak wielu rzeczy, które chciałbym mieć.

Stał trochę zakłopotany, uśmiechając się i zerkając to w jedną, to w drugą stronę; w jego sposobie bycia obojętność łączyła się dziwnie z żywym przejęciem. Jak gdyby chciał dać do zrozumienia, że nic dla niego nie jest ważne prócz „artystycznych walorów”. Isabel błyskawicznie wyciągnęła wniosek, że prostota nie jest cechą wyróżniającą rodzinę Osmondów. Nawet świeżo wypuszczony z klasztornej pensji podłotek w sztywnej białej sukience, z drobną potulną twarzyczką i rękoma splecionymi, nawet ta maleńka córka pana Osmonda, upozowana jak przed przyjęciem pierwszej komunii, zdawała się trochę sztucznie wymuskana.

– Pan chciałby mieć kilka arcydzieł z Galerii Uffizi i Pitti, dopiero by to pana zadowoliło – powiedziała madame Merle.

– Biedny Osmond! Te jego stare kotary i krucyfiksy! – wykrzyknęła hrabina Gemini. Zawsze mówiła o swoim bracie po nazwisku. Jej ubolewanie wydawało się zresztą bezprzedmiotowe, a wyrażając je, patrzyła z uśmiechem na Isabel, mierząc ją wzrokiem od stóp do głów.

Pan Osmond nie słyszał słów siostry; namyślał się zapewne, jak zabawić pannę Archer.

– Nie chciałyby pani napić się herbaty? Musi pani być bardzo zmęczona – zdecydował się wreszcie odezwać.

– Dziękuję, nie, nie jestem wcale zmęczona, przecież nie robiłam nic takiego, co mogłoby mnie zmęczyć. – Isabel czuła potrzebę prostoty, chciała zachowywać się jak najbardziej szczerze, niczego nie udawać; w atmosferze, w całej sytuacji było coś, czego nie umiała nazwać, ale co jej odbierało chęć wysuwania się na pierwszy plan... Wydawało jej się, że miejsce, chwila, dobór osób – wszystko to ma jakiś ukryty, niewidoczny na powierzchni sens; pragnęła go przeniknąć, nie chciała poprzestać na grzecznych banałach. Biedna Isabel bez wątpienia nie zdawała sobie sprawy, że wiele kobiet na jej miejscu użyłoby właśnie grzecznych banałów, aby pod ich pokrywką prowadzić obserwacje. Trzeba przyznać, że jej duma była trochę urażona. Mężczyzna, o którym mówiono jej w sposób rozbudzający zainteresowanie, z pewnością zdolny zabłysnąć, zaprosił do swego domu ją – osobę nieszafującą lekko łaskami; skoro przyszła, obowiązek zabawiania jej naturalnie spada na niego, to on powinien okazać pomysłowość. Isabel nie była mniej niż zwykle spostrzegawcza ani też w tym momencie skłonna do pobłażliwości, wyczuwając, że pan Osmond podejmuje swój obowiązek mniej radośnie, niżby należało się spodziewać; miał taką minę, jakby w duchu mówił sobie: „Co za głupiec ze mnie, że dałem się w to wciągnąć!”.

– Wróci pani do domu zmęczona, jeżeli Osmond pokaże pani wszystkie swoje skarby i o każdym z nich wygłosi wykład – powiedziała hrabina.

– Nie boję się tego, nawet gdybym miała się trochę zmęczyć, chętnie się czegoś nauczę.

– Niewiele, jak sędzę. Ale moją siostrę przeraża sama myśl, że mogłaby się czegoś nauczyć.

– O, przyznaję się do tego! Nie chcę wiedzieć nic więcej, już i tak wiem za dużo. Im więcej człowiek wie, tym bardziej czuje się nieszczęśliwy.

– Nie trzeba źle mówić o zdobywaniu wiedzy w obecności małej Pansy – z uśmiechem przypomniała madame Merle.

– Pansy nie da się zepsuć – odparł ojciec dziewczynki. – To kwiatek wyhodowany w klasztorze.

– Ach, klasztory, klasztory! – wykrzyknęła hrabina, trzepocząc falbankami – nie wspominaj mi o nich! Tam można się różnych rzeczy nauczyć. Ja też jestem kwiatkiem wyhodowanym na klasztornej pensji. Przynajmniej nie udaję świętej, jak zakonnice! Pani wie, co mam na myśli? – zwróciła się do Isabel.

Isabel nie była pewna, czy dobrze rozumie, odpowiedziała więc, że nie ma talentu do dyskusji. Hrabina oświadczyła natychmiast, że także nie znosi teoretycznych sporów, ale to specjalność jej brata.

– Co do mnie – powiedziała – albo coś mi się podoba, albo nie, oczywiście nie można lubić wszystkiego. Ale nie trzeba swoich gustów uzasadniać, mogłoby to nas zaprowadzić nie wiadomo dokąd. Czasem szlachetne uczucia mogą mieć niskie przyczyny i na odwrót, złe uczucia wynikają niekiedy z dobrych pobudek. Rozumie mnie pani? Nic mnie nie obchodzą argumenty, wiem po prostu, co lubię, a czego nie cierpię, i na tym koniec.

– Tak, to najważniejsze – przyznała z uśmiechem Isabel i pomyślała, że znajomość z osobą tak lekkiego lotu nie obiecuje intelektualnych satysfakcji. Hrabina nie lubiła dysput, a Isabel w tej chwili też nie miała na nie ochoty, wyciągnęła więc rękę do Pansy z przyjemną świadomością, że ten gest nie naraża jej na żaden konflikt poglądów. Gilbert Osmond, z wyraźną rezygnacją znosząc ton swojej siostry, skierował rozmowę na inny temat. Usiadł po drugiej stronie obok córki, która nieśmiało muskała palcami dłoń Isabel, a po chwili przyciągnął małą Pansy ku sobie, tak że znalazła się między jego kolanami, oparta o ramię ojca opasujące jej smukłą kibić. Nie odrywała od Isabel oczu, spokojnych i obojętnych, niezdradzających żadnych określonych zamiarów, lecz jakby świadomych magnetycznej siły tej osoby. Pan Osmond mówił wiele o różnych sprawach; madame Merle zapewniła przyjaciółkę, że ten dżentelmen umie być miły, jeśli

chce, a w tym przypadku nie tylko chciał, lecz niewątpliwie bardzo się starał. Madame Merle i hrabina Gemini siedziały nieco na uboczu i rozmawiały lekko, jak osoby, które znają się nawzajem dość dobrze, by pozwolić sobie na swobodę; od czasu do czasu Isabel słyszała jednak głos hrabiny, która na jakąś bystrą uwagę partnerki wskakiwała gwałtownie w nurt jej słów niby pudel po patyk rzucony do sadzawki. Można by myśleć, że madame Merle eksperymentuje, żeby sprawdzić, jak daleko tamta odważy się zapędzić. Pan Osmond mówił o Florencji, o Italii, o przyjemnościach, jakich ten kraj dostarcza, i o tym, co te przyjemności zamąca. Życie we Włoszech ma wielkie zalety, ale też pewne wady, nawet dość liczne; cudzoziemcy skłonni są widzieć we Włoszech tylko romantyczne ich uroki. Tu znajdują ukojenie ludzie, którym nie powiodło się w świecie, to znaczy – jak wyjaśnił pan Osmond – ci, którzy nie zdołali owocnie spożytkować własnej wrażliwości – tu mogą nawet w ubóstwie, nie ośmieszając się, zachować ją, jak dziedzictwo czy też jak kłopotliwy majorat, który nie przynosi żadnych dochodów. To są korzyści z życia w kraju nasyconym pięknem bardziej niż inne. Pewne wrażenia tylko tutaj można znaleźć. Ale innych, potrzebnych do życia, nigdy tu się nie zazna, a nie brak też wrażeń po prostu szkodliwych. Od czasu do czasu przeżywa się jednak we Włoszech chwile, które wszystko wynagradzają. Mimo to kraj ten wielu ludzi zniszczył; on sam chwilami w swoim zarozumiałstwie myśli, że byłby kimś więcej, niż jest, gdyby nie mieszkał we Włoszech od tylu lat. Człowiek tu rozleniwia się, staje się dyletantem, miernotą; ten kraj nie narzuca dyscypliny, inaczej mówiąc, nie wychowuje człowieka dążącego do sukcesów, nie wyrabia w nim „tupetu”, jak Paryż albo Londyn.

– Jesteśmy łagodnymi prowincjuszami – mówił pan Osmond.  
– Zdaję sobie doskonale sprawę, że sam też zardzewiałem jak klucz, który nie pasuje do żadnego zamka. Rozmowa z panią trochę tę rdzę ściera, ale nie łudzę się, że umiałbym otworzyć skomplikowany zamek, jakim wydaje mi się pani umysłowość. Zresztą opuści nas pani wkrótce, nie zdążę zapewne więcej niż trzy

razy z panią porozmawiać i może nigdy więcej już się nie spotkamy. To też zła strona życia w kraju, który inni ludzie tylko odwiedzają. Jeśli są niemili, źle, ale jeżeli mili – jeszcze gorzej. Ledwo ich człowiek polubi, już znikają. Zbyt często doznawałem takich rozczarowań, postanowiłem do nikogo nie przywiązywać się, nie pozwalam sobie na uleganie niczym urokom. Pani zamierza tu zostać na dłużej? To byłoby doprawdy pocieszające. Ach, tak, pani ciotka stanowi dobrą gwarancję, na niej można polegać. To stara florentynka, w tym sensie stara, że niepodobna do dzisiejszych turystów. Pani Touchett należy do epoki Medyceuszy; musiała być obecna przy paleniu Savonaroli i nie rękę, czy nie dorzuciła też kilku drewek na stos. Twarz jej przypomina obrazy wczesnych mistrzów: twarze drobne, suche, precyzyjnie zarysowane, bardzo wyraziste, ale prawie wszystkie identyczne w wyrazie. Mogę nawet pokazać pani jej portret na pewnym fresku Ghirlandaia. Mam nadzieję, że pani ten sposób mówienia o pani ciotce nie razi? Myślę, że nie. Możliwe nawet, że pani byłaby dla niej bardziej surowa. Proszę mi wierzyć, że nie jest to z mojej strony brak szacunku, ani dla pani Touchett, ani dla pani. Przeciwnie, należę do wielbicieli pani ciotki.

Gdy gospodarz tak pilnie ją zabawiał w tonie dość poufałym, Isabel zerkała czasem na madame Merle, która spotykała jej spojrzenie z roztargnionym uśmiechem, tym razem niewyrażającym niepożądanego pochwały dla naszej bohaterki. Wreszcie madame Merle zaproponowała hrabinie Gemini przechadzkę po ogrodzie; hrabina wstała, otrzepała piórka i z szelestem jedwabi ruszyła ku drzwiom.

– Biedna panna Archer! – wykrzyknęła, spoglądając z intensywnym politowaniem na grupę w głębi salonu. – Została po prostu wciągnięta do rodziny.

– Panna Archer z pewnością współczuje rodzinie, do której ty należysz – odparł pan Osmond ze śmiechem, w którym oprócz drwiny dźwięczała też subtelniejsza od niej nuta cierpliwości.

– Nie rozumiem, co chcesz przez to powiedzieć! Jestem przekonana, że panna Archer nie myśli o mnie źle, chyba że ty

mnie przed nią oczerniłeś. Niech mu pani nie wierzy. Nie jestem zła, tylko trochę głupia i nudna. Czy o nic gorszego Osmond nie oskarżył mnie? Ach, to pani usposobiła go tak łagodnie! Czy już zaczął pani wyklądać jeden ze swoich ulubionych przedmiotów? Ostrzegam panią, ma ich kilka i mówi o nich bez końca. Radzę pani zdjąć kapelusz!

– Jak dotąd nie wiem jeszcze, jakie są ulubione tematy pana Osmonda – odparła Isabel, wstając.

Hrabina przybrała pozę głębokiego namysłu, dotykając złączonymi końcami palców czoła.

– Zaraz pani powiem: po pierwsze Machiavelli, po drugie Vittoria Colonna, a po trzecie Metastasio.

– Och, w rozmowach ze mną pan Osmond nigdy nie zagłębia się tak daleko w historię – powiedziała madame Merle, wsuwając rękę pod ramię hrabiny, żeby ją wyprowadzić z salonu.

– Ach, pani sama jest Machiavellim i Vittorią Colonną w jednej osobie! – rzekła hrabina w progę.

– Jeszcze chwila, a usłyszymy, że madame Merle to także drugi Metastasio! – westchnął z rezygnacją Gilbert Osmond.

Isabel podniosła się z fotela, myśląc, że wszyscy wyjdą do ogrodu, ale pan domu stał, jakby wcale nie zamierzał opuszczać salonu, z rękoma w kieszeniach surduta, a Pansy, uczepona jego ramienia, tuliła się do ojca, przenosząc wzrok to na jego twarz, to na twarz panny Archer. Isabel czekała z jakimś niewysłowionym zadowoleniem, że ktoś inny podyktuje jej następny ruch; rozmowa z panem Osmondem i jego towarzystwo sprawiały jej przyjemność; świadomość, że nawiązuje jakąś nową sympatię, zawsze przejmowała ją bardzo osobistym miłym dreszczykiem podniecenia. Za otwartymi drzwiami widziała madame Merle i hrabinę, przechadzające się po pięknym trawniku; odwróciła się i powiodła wzrokiem po salonie. Pan Osmond, zapraszając ją, obiecywał pokazać swoje skarby; miał zapewne na myśli obrazy i meble. Isabel podeszła do jednego z obrazów, żeby przyjrzeć się lepiej, gdy pan domu zaskoczył ją niespodziewanym pytaniem:

– Co pani sądzi o mojej siostrze?

Obróciła ku niemu twarz nieco zdziwioną.

– Proszę mnie o to nie pytać, przecież widziałam ją ledwo przez kilka minut.

– Tak, nie zna jej pani dobrze, musiała pani jednak od razu zorientować się, że nie ma w niej wiele więcej do zgłębienia. Ale co pani myśli o naszej rodzinnej atmosferze? Ciekawy jestem, jak to wygląda w świeżych oczach nieuprzedzonej osoby – ciągnął dalej, wciąż chłodnym tonem. – Wiem, co pani odpowie: że nie miała pani okazji do bliższej obserwacji. Oczywiście to jest tylko powierzchowne pierwsze wrażenie. Ale jeśli będzie pani miała sposobność, proszę zwrócić na to uwagę. Ja często myślę, że nabraliśmy złych zwyczajów, żyjąc wśród obcych ludzi i rzeczy, bez odpowiedzialności, bez zobowiązań, niczym z otoczeniem niezłączeni, bez żadnej podpory; mieszane małżeństwa, sztuczne gusty, uchylanie się od naturalnych zadań. Muszę wyjaśnić, że mam na myśli raczej siebie niż moją siostrę. To dobra kobieta, lepsza, niż się wydaje. Dość nieszczęśliwa, ale ponieważ z natury nie jest skłonna do powagi, robi z tragedii farsę. Ma okropnego męża, chociaż nie przysiągłbym, czy sama jest bez winy. W każdym razie taki mąż to klęska. Madame Merle udziela jej znakomitych rad, ale to tak, jakby dawała dziecku słownik, żeby nauczyło się obcego języka. Znajdzie poszczególne słowa, nie skleci wszakże z nich zdania. Mojej siostrze przydałaby się gramatyka, ale ona sama jest niegramatyczna. Przepraszam, że nudzę panią tymi szczegółami, moja siostra słusznie zauważyła, że wciągam panią w sprawy rodzinne. Pozwoli pani, że zdejmę ten obraz, chciałbym, żeby go pani zobaczyła w lepszym świetle.

Zdjął ze ściany obraz i podszedł z nim do okna, opowiedział jakąś ciekawą, związaną z tym dziełem anegdotę. Isabel obejrzała też inne rzeczy, słuchając informacji jak najstosowniej dobranych dla młodej damy składającej popołudniową wizytę. Obrazy, medaliony i tapiserie żywo ją zajmowały, ale wkrótce stwierdziła, że ich właściciel jest jeszcze bardziej interesujący, niezależnie od wszystkich tych rzeczy, które zdawały się go przytłaczać. Gilbert Osmond był niepodobny do innych ludzi, z którymi zetknęła się w

życiu. Prawie wszystkich swoich znajomych mogła podzielić na grupy, po kilka osób w każdej. Oczywiście nie bez wyjątków: na przykład ciotki Lydii nie dałoby się wtłoczyć do żadnej kategorii. Znała co prawda kilka osób, które, grzecznie mówiąc, wypadało nazwać oryginałami: Caspar Goodwood, kuzyn Ralph, Henrietta Stackpole, lord Warburton i madame Merle. Ale po głębszym namyśle nawet te indywidualności w zasadzie mogła uznać za reprezentantów określonych typów, które umysł jej przedtem już teoretycznie rozróżniał. Dla pana Osmonda nie znajdowała w wyobraźni żadnej gotowej przegródki. Był jedynym okazem swojego rodzaju. Nie uświadomiła sobie tych prawd od razu, wyłaniały się przed nią stopniowo i układały w uporządkowaną całość. W pierwszej chwili pomyślała tylko, że nowy znajomy okaże się może z wszystkich najbardziej niezwykły. Wyjątkową istotą była też madame Merle, ale o ileż silniej fascynowała wyższość wcielona w mężczyznę! Nie tyle to, co mówił i robił, ile to, co przemilczał, wydawało jej się znakiem rozpoznawczym, takim jak znaki, które pan Osmond pokazywał jej, odwracając do góry dnem stare talerze, albo też w rogu szesnastowiecznej ryciny; nie pozwalał sobie jednak na żadne odchylenia od przyjętych powszechnie zwyczajów, był oryginalny, lecz nie ekscentryczny. Isabel nie spotkała człowieka z tak szlachetnej gliny. Najpierw rzuciły się jej w oczy niezwykle cechy powierzchowności, potem wyczuła głębszą, nieuchwytną osobliwość tego człowieka.

Gęste, delikatne włosy, przerysowane, zbyt subtelne rysy, cera jasna, dojrzała, lecz niezniszczona, regularna linia zarostu okalającego dolną szczękę, lekkość i gładka wysmukłość kształtów sprawiająca, że nawet drobny ruch jednego palca nabierał ekspresji – wszystko to wydawało się wrażliwej dziewczynie znamieniem wyższości i wewnętrznego bogactwa, obietnicą ciekawych przeżyć. Z pewnością był wybredny i krytyczny, prawdopodobnie skory do irytacji. Rządziła nim – może nawet zbyt despotycznie – wrażliwość; dlatego niecierpliwiły go powszednie troski i wolał żyć samotnie, w wyselekcjonowanym, przesianym, starannie urządzonym świecie, rozmyślając o sztuce, pięknie i historii. We



wszystkich sprawach radził się własnego smaku, może zresztą wyłącznie jego – jak człowiek chory i świadomy, że jego choroba jest nieuleczalna, zwraca się w końcu o radę tylko do swojego adwokata – to wyróżniało pana Osmonda spośród wszystkich innych ludzi. Trochę podobny był pod tym względem Ralph, który, jak się zdawało, uważał, że życie to sprawa dla koneserów; ale w nim cecha ta była anomalią, jak gdyby groteskową naroślą, a w panu Osmondzie zasadniczym motywem, do którego dostrajała się harmonijnie cała reszta. Isabel oczywiście nie mogła go w pełni rozumieć, sens jego wypowiedzi nie zawsze wydawał się jasny. Trudno było na przykład pojąć, co miał na myśli, mówiąc o prowincjonalnym stylu swego życia; jej wydawał się właśnie przeciwieństwem prowincjusza. Czy pozwolił sobie na niewinny paradoks, żeby ją zaintrygować? Czy też był to wykwit najbardziej wyrafinowanej kultury? Miała nadzieję, że z czasem dowie się tego; cieszyła ją perspektywa odkryć. Jeśli harmonia jest cechą prowincjonalną, jak określić stołeczny polor? Wiedziała, że może mu zadać te pytania, chociaż wyczuwała, że Gilbert Osmond jest człowiekiem nieśmiałym. Taka nieśmiałość – wynik właściwości nerwów i subtelności umysłu – zgadza się doskonale z najlepszym wychowaniem. Jest może nawet dowodem, że stosuje inne miary i probierze niż ludzie pospolici; musi wiedzieć, że pospolitość pierwsza wysuwa się na czoło. Nie ma w nim tej pewności siebie, tej łatwości mówienia byle czego i plotkowania, jaką odznaczają się płytkie natury; jest nastawiony krytycznie zarówno do własnej osoby, jak i do innych, niełatwo uznaje kogoś za miłego człowieka, dużo wymaga, a zapewne dość ironicznie ocenia także to, co sam ma do ofiarowania: jeszcze jeden argument, że nie jest zwykłym zarozumiałcem. Gdyby nie był nieśmiały, nie miałyby tego wrażenia, że pierwsze lody stopniowo, subtelnie, pomyślnie topnieją i wyłania się z nich osobowość, która ją zachwyca i zarazem intryguje. Nieoczekiwane pytanie, co ona sądzi o hrabinie Gemini, świadczy niewątpliwie, że pana Osmonda interesuje właśnie ona i jej sądy, bo przecież nie chodzi mu z pewnością o siostrę, o której bez niczyjej pomocy wie wszystko.

Zainteresowanie jest przejawem dociekliwego umysłu, ale to trochę dziwne, że dla ciekawości poświęcił braterskie uczucia. To było najbardziej ekscentryczne w jego dotychczasowym zachowaniu.

Poza salonem, do którego pan Osmond wprowadził na początku swoich gości, były jeszcze dwa pokoje, również wypełnione romantycznymi przedmiotami, i tam spędziła Isabel następny kwadrans. Każda rzecz zdawała się osobliwa i cenna, a gospodarz w dalszym ciągu grał najuprzejmiej rolę przewodnika, trzymając przez cały czas swoją córeczkę za rękę. Jego uprzejmość niemal zdumiewała naszą bohaterkę, która zastanawiała się, dlaczego pan Osmond zadaje sobie dla niej tyle trudu; w końcu nadmiar wrażeń i informacji zaczął ją przytłaczać. Miała na razie dość, nie mogła już skupić uwagi na jego komentarzach; słuchała, pilnie przyglądała się wszystkiemu, ale myślała o czymś innym. Pan Osmond zapewne miał ją za osobę bardziej bystrą, zdolniejszą i lepiej wykształconą, niż była w rzeczywistości. Madame Merle odmalowała mu zbyt pochlebny portret swej przyjaciółki; źle się stało, bo w końcu pan Osmond odkryje pomyłkę i wtedy nawet jej rzeczywista inteligencja nie wynagrodzi mu zawodu. Częściową przyczyną jej zmęczenia był nieustanny wysiłek, żeby okazać się tak inteligentną, jak zapewne wyobrażał to sobie pan Osmond, któremu madame Merle przesadnie ją zachwalała; poza tym Isabel bała się – uczucie rzadko przez nią doznawane – żeby nie zdradzić nie tyle nieuctwa, bo to byłby stosunkowo mniejszy wstyd, ile braku subtelnego gustu. Byłaby zła na siebie, gdyby wyraziła zachwyt dla czegoś, co zdaniem bardziej światłego znawcy, jakim był pan Osmond, nie powinno jej się podobać; albo też gdyby nie zauważyła czegoś, co osoba prawdziwie wrażliwa na sztukę powinna dostrzec. Za nic nie chciała okryć się śmiesznością, jak wiele kobiet, które obserwowała, gdy popełniały z niezmaconym spokojem jakieś kompromitujące gafy. Toteż bardzo starannie dobierała słowa, zastanawiała się, co zauważyć, a co pominąć, z większą niż kiedykolwiek w życiu ostrożnością.

Wrócili do pierwszego salonu, gdzie już tymczasem

przygotowano zastawę do podwieczorku; ale dwie damy spacerowały jeszcze, a Isabel nie zapoznała się dotychczas z widokiem, który stanowił główną atrakcję tego domu, więc pan Osmond natychmiast zaprosił ją do ogrodu. Madame Merle i hrabina siedziały na krzesłach, których dostarczył im służący, a że pogoda była piękna, siostra gospodarza zaproponowała, żeby wypić herbatę na świeżym powietrzu. Wysłano Pansy z poleceniem, by służący przyniósł z salonu całą zastawę. Słońce już się zniżyło, złociste światło nabrało głębszego odcienia, a za górami i na rozpostartej u ich stóp równinie ogromne fioletowe cienie żarzyły się barwami nie mniej soczystymi niż w miejscach jeszcze nasłonecznionych. Pejzaż tchnął niezwykłym urokiem. W powietrzu panował niemal uroczysty spokój, a rozległa kraina zagospodarowana niby ogród, szlachetna w rysunku, z rojną doliną i delikatnie wyrzeźbionymi górami, zamieszkała przez ludzi i dla nich łaskawa, zachwycała bogactwem, harmonią i klasycznym wdziękiem.

– Widzę, że pani tu się podoba, więc mam nadzieję, że pani jeszcze nieraz nas odwiedzi – powiedział Osmond, prowadząc ją ku narożnikowi tarasu.

– Z pewnością tutaj wrócę – odparła – mimo wszystkich złych stron życia we Włoszech, które mi pan wyliczył. Wspomniał pan o naturalnej misji każdego człowieka. Zastanawiam się, czy zaniedbałabym swoją naturalną misję, gdybym osiedliła się na stałe we Florencji.

– Naturalna misja kobiety polega na przebywaniu tam, gdzie jest najbardziej ceniona.

– Cała trudność w tym, jak to miejsce rozpoznać.

– Prawda! Często kobiety marnują wiele czasu na poszukiwanie. Powinno im się to mówić jak najwyraźniej.

– Mnie trzeba by powiedzieć rzeczywiście bardzo wyraźnie – uśmiechnęła się Isabel.

– W każdym razie cieszę się, że mówi pani o zamieszkaniu gdzieś na stałe. Z tego, co mówiła mi madame Merle, wyobrażałem sobie, że panią raczej pociąga życie wędrowne.

Wspominała, o ile pamiętam, o planie podróży dookoła świata.

– Trochę się wstydzę swoich planów, co dzień mam inne pomysły.

– Nie ma się czego wstydzić, to przecież największa przyjemność.

– Mogłoby się jednak wydawać niepoważne – powiedziała Isabel. – Człowiek powinien dobrze namyślić się, zanim coś postanowi, ale później już trzymać się własnej decyzji.

– Jeśli przyjmujemy tę miarę, nigdy nie byłem niepoważny.

– Nie snuje pan żadnych planów?

– Ułożyłem sobie plan przed laty i po dziś dzień go urzeczywistniam.

– Musiał to być bardzo przyjemny plan – ośmieliła się zauważyć Isabel.

– Bardzo prosty: żyć, o ile się da, najspokojniej.

– Najspokojniej? – powtórzyła Isabel.

– Nie przejmować się, nie wysilać, nie walczyć.

Zrezygnować. Zadowolić się byle czym, nie pragnąć więcej – mówił powoli, robiąc pauzy między tymi krótkimi zdaniami; nie odrywał inteligentnych oczu od twarzy dziewczyny z takim wyrazem, jakby zdecydował się na jakieś wyznanie.

– To pan uważa za rzecz prostą? – spytała z lekką ironią.

– Tak, bo to plan negatywny.

– Pana życie było negacją?

– Można je nazwać afirmacją, jeśli pani woli, afirmacją mojej obojętności. Ale nie jestem obojętny z natury. Wyrobiłem sobie tę cechę świadomie, przez dobrowolne wyrzeczenie.

Nie rozumiała go, zastanawiała się, czy nie żartuje. Dlaczego mężczyzna, który wydawał jej się dotychczas wyjątkowo skryty i pełen rezerwy, nagle zdobywa się na zwierzanie tak osobistych sekretów? Ale w końcu była to jego sprawa, a zwierzenia zaciekały ją.

– Nie pojmuję, z jakiego powodu miałby się pan czegokolwiek wyrzekać? – powiedziała po chwili.

– Ponieważ nic nie mogłem zdobyć. Nie miałem żadnych

szans. Nie miałem majątku, nie byłem geniuszem ani nawet człowiekiem utalentowanym. Wcześniej oceniłem swoje możliwości. Po prostu byłem nieprawdopodobnie wybredny. Tylko kilku wybrańcom losu zazdrościłem: carowi Rosji na przykład, sułtanowi tureckiemu, chwilami także papieżowi, zazdrościłem czci, jaką są otoczeni ci potentaci. Hołdy świata sprawiałyby mi rozkosz, ale wiedziałem, że takiej pozycji nie osiągnę, a żadna niższa mnie nie nęciła, postanowiłem więc wyrzec się wszelkich zaszczytów. Najuboższy dżentelmen zawsze może czuć się dżentelmenem, to prawo na szczęście miałem we Włoszech. Nie mogłem tutaj nic robić, nie mogłem nawet być włoskim patriotą. Żeby rozwinąć jakąkolwiek działalność, musiałbym opuścić ten kraj, a zanadto go polubiłem, żeby się z nim rozstać; zresztą wówczas ta sytuacja na ogół dogadzała mi i nie miałem ochoty jej zmieniać. Tak więc spędziłem wiele lat, urzeczywistniając swój plan spokojnego życia. Nie czułem się nieszczęśliwy. Obojętność nie przeszkadza lubić pewnych rzeczy, ale to zawsze były rzeczy konkretne i trzymałem się określonych z góry granic. Nikt prócz mnie nie mógł spostrzec doniosłych wydarzeń w moim życiu: okazynego kupna srebrnego krucyfiks za bezcen – nigdy nie kupowałem drogo – odkrycia rysunku Correggia na desce zamalowanej przez jakiegoś natchnionego głupca...

Ta historia życia wydałaby się bardzo uboga, gdyby Isabel w nią wierzyła bez zastrzeżeń; wyobraźnia jej uzupełniała suchy raport elementami ludzkimi, których z pewnością los panu Osmondowi nie poskąpił. Droga jego musiała krzyżować się z drogami innych osób, chociaż nic o tym nie wspomniał; oczywiście nie mogła spodziewać się, że poruszy te sprawy. Na razie wolała nie prowokować dalszych rewelacji; przypominając mu, że nie wszystko jeszcze jej powiedział o sobie, dopuściłaby się niedyskrecji i nieostrożności, jakiej w tym momencie nie chciała popełnić, a nawet mogłaby mu się wydać okropnie gruboskórna. Pan Osmond i tak powiedział jej dużo. Korciło ją jednak, żeby wyrazić umiarkowane uznanie dla człowieka, który w ten sposób obronił swoją niezależność.

– Bardzo przyjemne jest życie, w którym nie trzeba wyrzekać się Correggia! – stwierdziła.

– O, tak, urządziłem się wcale nieźle. Proszę nie wyobrażać sobie, że płaczę nad swoim losem. Człowiek sam jest winien, jeśli nie czuje się szczęśliwy.

To była sentencja zbyt ogólnikowa. Isabel skierowała rozmowę z powrotem na węższy temat.

– Pan od początku tutaj mieszkał?

– Nie, dość długo mieszkałem w Neapolu, a przez kilka lat w Rzymie. Ale od dość dawna osiadłem we Florencji. Możliwe, że wkrótce będę musiał zmienić miejsce i tryb życia. Nie wolno mi już myśleć tylko o sobie. Pansy dorasta, a ona pewnie nie pokocha tak jak ja malarstwa Correggia i starych krucyfiksów. Chciałbym postąpić tak, jak będzie najlepiej dla mojej córki.

– O, tak, słusznie! – przyznała Isabel. – To czarujące dziewczętko.

– Ach! – krzyknął z zachwytem. – To mała święta! Moja jedyna radość!

## ROZDZIAŁ XXV

Gdy ten dość poufny dialog (który trwał jeszcze przez czas pewien po tym, gdy przestaliśmy go śledzić) toczył się w odległym kącie tarasu, madame Merle i hrabina po dłuższej chwili milczenia nawiązały znów rozmowę. Zdawało się, że obie skrycie czegoś oczekują; szczególnie hrabinie Gemini, bardziej nerwowej od towarzyszki, nie udawało się ukryć zniecierpliwienia. Trudno by jednak zgadnąć, na co te damy czekały, a może one same też nie zdawały sobie z tego jasno sprawy. Madame Merle czekała, żeby Osmond zwolnił jej młodą przyjaciółkę z tej rozmowy w cztery oczy, a hrabina czekała, ponieważ zaraziła się nastrojem madame Merle. Hrabina poza tym uznała, że chwila jest stosowna, by popisać się znów przekorą. Chciała, jak się zdaje, mieć kilka minut czasu na ten występ. Śledziła wzrokiem brata, który właśnie oddalał się w drugi koniec ogrodu wraz z panną Archer.

– Wybacz droga pani – powiedziała do swej towarzyszki – że nie złożę pani powinszowań.

– Wybaczę tym chętniej, że nie mam pojęcia, czego można by mi winszować.

– Czy nie usnuła pani pewnego planu, który wydaje się pani znakomity? – To mówiąc, hrabina ruchem głowy wskazała trzymającą się na uboczu parę.

Madame Merle spojrzała w tym samym kierunku, a potem zwróciła niezmacone oczy ku hrabinie.

– Nie rozumiem pani – odparła z uśmiechem.

– Rozumie pani zawsze lepiej niż ktokolwiek, jeśli pani tylko chce. W tym przypadku widocznie woli pani nie rozumieć.

– Pani mówi mi rzeczy, których nikt inny nie śmiałyby powiedzieć – surowo, lecz bez gniewu odparła madame Merle.

– To znaczy rzeczy niemiłe, tak? Czy Osmond też nigdy tego nie robi?

– Wszystko, co mówi pani brat, ma zawsze sens.

– A tak, często zatruty. Jeśli chce pani przez to powiedzieć, że jestem od niego mniej inteligentna, to nie rani mnie ta opinia z pani ust. Ale radziłabym pani zrozumieć, o co mi chodzi.

– Dlaczego? – spytała madame Merle. – Jakież to może mieć konsekwencje?

– Powinna pani wiedzieć, czy ja ten pani plan aprobuję, żeby liczyć się z niebezpieczeństwem, że będę próbowała udaremnić pani wysiłki.

Madame Merle popatrzała na nią, jakby przyznając, że pogróżka zasługuje może na uwagę, ale odpowiedziała spokojnie:

– Nie jestem tak wyrachowana, jak pani myśli.

– Nie ganię wyrachowania, ale gniewa mnie, że pani popełnia gruby błąd w swoich rachubach.

– Musiała pani pilnie sama rachować, żeby ten błąd wykryć.

– Nie, na to nie miałam czasu. Pierwszy raz dzisiaj zobaczyłam tę pannę – odparła hrabina. – I nagle zrozumiałam wszystko, czuję dla niej wielką sympatię.

– Ja także – oświadczyła madame Merle.

– Dość dziwnie ją pani objawia.

– Rzeczywiście postarałam się, żeby spotkała pani brata.

– A to w istocie jest najszcześniejszy los, jaki mógł ją spotkać! – wykrzyknęła hrabina.

Madame Merle przez długą chwilę milczała. Zachowanie się hrabiny było okropne, wręcz nikczemne, ale znały się od dawna; madame Merle, spoglądając na liliowe stoki Monte Morello, zatoneła w myślach.

– Droga pani – odezwała się w końcu – radzę się tak nie przejmować. Sprawa, o której pani mówi, dotyczy trzech osób o woli silniejszej niż pani.

– Trzech osób? Pani i Osmonda, oczywiście. Ale czy panna Archer ma równie silną wolę?

– Nie słabszą od nas.

– W takim razie – rozpromieniając się, odparła hrabina – jeśli ją przekonam, że dla własnego dobra powinna wam się oprzeć, będzie umiała zrobić to skutecznie.



– Oprzeć się nam? Dlaczego wyraża się pani tak niedelikatnie? Pannie Archer nie grozi ani przymus, ani oszustwo.

– Wcale nie jestem tego pewna. Pani i Osmond jesteście do wszystkiego zdolni. Nie Osmond sam i nie pani sama. Ale we dwoje razem stajecie się niebezpieczni jak piekielna mieszanka chemiczna.

– Niechże więc pani lepiej zostawi nas w spokoju – uśmiechnęła się madame Merle.

– Nie zamierzam was tykać choćby palcem, porozmawiam z panną Archer.

– Moja biedna Amy! – westchnęła madame Merle. – Nie rozumiem, co pani strzeliło do głowy!

– Obchodzi mnie los tej osoby, polubiłam ją.

Madame Merle zawahała się, nim odpowiedziała:

– Nie sądzę, żeby ona panią nawzajem polubiła.

Małe błyszczące oczy hrabiny rozszerzyły się, grymas wykrzywił jej twarz.

– Ach, pani nawet sama jest niebezpieczna.

– Jeżeli pani chce pozyskać jej sympatię, nie radzę oczerniać przed nią Osmonda – powiedziała madame Merle.

– Pani chyba nie przypuszcza, że po dwóch rozmowach jest już w nim zakochana?

Madame Merle chwilę przyglądała się swojej przyjaciółce i panu domu. Osmond, zwrócony twarzą do Isabel, oparty był o parapet, a ręce skrzyżował na piersi. Isabel z uporem patrzyła przed siebie, ale z pewnością nie pejzaż był przedmiotem jej zadumy. Madame Merle dostrzegła, że w pewnym momencie panna Archer spuściła wzrok i słuchała, jak gdyby z zakłopotaniem, wwiercając koniec parasola w ścieżkę. Madame Merle wstała.

– Tak, to właśnie myślę! – powiedziała.

Wezwany przez Pansy obdarty chłopak – chociaż w podniszczonej liberii i niezdarny w swojej roli wyglądał, jakby żywcem wyszedł z jakiegoś rodzajowego obrazu, gdzie go umieścił pędzel Longhiego czy też Goi – przyniósł i ustawił na

trawie stolik, wrócił do domu po tacę z zastawą i raz jeszcze zniknął, aby przytąszczyć dwa krzesła; Pansy obserwowała tę krzątanicę z żywym zainteresowaniem, splótłszy ręczki przed sobą na skąpej spódniczce, ale nie przyszło jej do głowy, żeby ofiarować się z pomocą. Dopiero kiedy stół był nakryty, spytała grzecznie ciotkę:

– Jak ciocia myśli, papa chyba nie pogniewa się, jeżeli to ja zaparzę herbatę?

Hrabina zmierzyła ją jawnie krytycznym wzrokiem i zamiast odpowiedzieć, westchnęła:

– Biedactwo! Czy to jest twoja najlepsza suknia?

– O, nie – zaprzeczyła Pansy. – To jest tylko skromna *toilette* na mniejsze okazje.

– A więc moją wizytę uważasz za mniejszą okazję. Nie mówiąc już o madame Merle i tej pięknej młodej damie!

Pansy chwilę zastanawiała się, wodząc poważnym spojrzeniem po wymienionych przez hrabinę osobach. W końcu promienny uśmiech zjawił się na jej drobnej twarzyczce.

– Mam bardziej odświętną suknię, ale także bardzo skromną. Dlaczego miałabym ubierać się w nią, skoro i tak nie dorównałabym elegancji cioci?

– Dlatego, że to twoja najładniejsza toaleta, a dla mnie powinnaś kłaść to, co masz najlepszego. Proszę cię, włóż ją następnym razem. Zdaje mi się, że nikt nie dba jak należy o twoją garderobę.

Dziewczynka pobłażliwie wygładziła niemodną spódnicę.

– W sam raz suknia do nalewania herbaty, nie uważa ciocia? Papa chyba nie miałby nic przeciw temu.

– Skądże mogę wiedzieć? – odparła hrabina. – Myśli twojego ojca są dla mnie całkowicie nieprzeniknione. Madame Merle lepiej go rozumie. Jej zapytaj.

Madame Merle uśmiechnęła się ze zwykłą uprzejmością.

– Bardzo ważna sprawa, muszę się zastanowić. Sądzę, że ojca ucieszy widok córeczki starannie zaparzającej i nalewającej herbatę. To należy do obowiązków córki pana domu, jeśli już do

nich dorosła.

– Ja też tak myślę! – wykrzyknęła Pansy. – Zobacz pani, jak dobrze się spiszę. Łyżeczka na każdą filiżankę, wiem.

I zaczęła gospodarować na stoliku.

– Dla mnie dwie łyżeczki – poprosiła hrabina i na chwilę umilkła, wraz z madame Merle śledząc ruchy dziewczynki. – Słuchaj, Pansy – podjęła wreszcie – chciałabym wiedzieć, co myślisz o twoim dzisiejszym gościu.

– Och, to gość papy, nie mój – broniła się Pansy.

– Panna Archer przyszła także dlatego, że chciała ciebie poznać – wyjaśniła madame Merle.

– Miło mi to słyszeć! Panna Archer była dla mnie bardzo miła.

– A więc podoba ci się ta młoda dama? – spytała hrabina.

– Jest czarująca, czarująca – salonowym tonem powtórzyła Pansy. – Podoba mi się w niej wszystko!

– Jak myślisz, czy podoba się także twojemu ojcu?

– O, pani hrabino – napomniała ją szeptem madame Merle. – Idź, zaproś ojca i pannę Archer na herbatę – zwróciła się do dziewczynki.

– Zobaczą panie, jacy będą z mojej herbaty zadowoleni! – odpowiedziała Pansy i poszła zaprosić tę parę, która wciąż jeszcze stała na drugim końcu tarasu.

– Skoro panna Archer ma zostać jej macochą, warto wiedzieć, co ta mała o niej myśli – powiedziała hrabina.

– Jeżeli brat pani ożeni się powtórnie, to nie ze względu na córkę – odparła madame Merle. – Pansy wkrótce skończy szesnaście lat i będzie potrzebowała raczej męża niż macochy.

– Czy pani ją także zamierza wyswatać?

– Z pewnością chciałabym, żeby wyszła dobrze za męża. Pani oczywiście też jej tego życzy.

– Nie, ja do tego nie przyłożę ręki! – zawołała hrabina. – Mam mniej niż inne kobiety powodów, żeby dziewczynie życzyć męża!

– Pani trafiła nieszczęśliwie. Właśnie o to chodzi. Jeśli

mówię o wydaniu jej za mąż, to myślę o wyborze dobrego męża.

– Takich nie ma na świecie. Osmond też nie będzie dobrym mężem.

Madame Merle na sekundę przymknęła oczy.

– Pani dzisiaj jest po prostu bardzo rozdrażniona, nie wiem czemu – powiedziała po chwili. – Myślę, że w gruncie rzeczy nie ma pani nic przeciw małżeństwu brata czy zamążpójściu bratanicy we właściwym czasie. Mam nadzieję, że będziemy miały kiedyś przyjemność razem szukać odpowiedniego męża dla Pansy. Pani rozległe znajomości w tym pomogą.

– Owszem, jestem rozdrażniona. Pani często mnie drażni – przyznała hrabina. – Ta pani zimna krew! Dziwna z pani kobieta!

– Lepiej, żebyśmy zawsze działały zgodnie – powiedziała madame Merle.

– Czy to pogrożka? – spytała hrabina, wstając.

Madame Merle potrząsnęła głową, jakby skrycie ubawiona.

– Doprawdy, nie dorównuje mi pani zimną krwią.

Isabel i Osmond zbliżali się z wolna; panna Archer trzymała Pansy za rękę.

– Pani chyba nie wierzy, że on jej da szczęście? – spytała hrabina.

– Jeżeli ożeni się z panną Archer, przypuszczam, że będzie zachowywał się jak dżentelmen.

Hrabina wykonała kilka drobnych, gwałtownych gestów.

– Jak większość dżentelmenów? Byłby to doprawdy wielki powód do wdzięczności! Oczywiście Osmond jest dżentelmenem, jego rodzonej siostrze nie trzeba o tym przypominać. Ale czy mu się wydaje, że zostanie za żonę każdą pannę, jaką raczy wybrać? Jest dżentelmenem, przyznaję, ale nigdy w życiu nie spotkałam człowieka z równie wielkimi pretensjami. Na czym je opiera, nie mam pojęcia. Jako rodzona siostra powinnam to wiedzieć. Kimże on jest, pytam? Co takiego zrobił? Gdyby w jego rodowodzie było coś szczególnie chlubnego, gdybyśmy mieli w żyłach błękitną krew, musiałabym o tym coś wiedzieć, gdyby nasza rodzina miała jakieś tytuły do honorów i zaszczytów, pewno nie kryłabym tego

pod korcem, to nie w moim stylu. Ale nie ma nic, nic a nic takiego! Nasi rodzice byli czarującymi ludźmi, ale pani może niewątpliwie to samo powiedzieć o swoich. Teraz wszyscy są czarujący, nawet ja. Niech się pani nie śmieje, dosłownie tak mnie ktoś określił. Ale Osmond zawsze zadzierał nosa, jakby się miał za potomka bogów.

– Może pani mówić, co chce – odparła madame Merle, słuchając tego monologu bardzo uważnie, chociaż oczy jej odwróciły się od hrabiny, a ręce były zajęte poprawianiem kokardek zdobiących suknię. – Osmondowie to szlachetna rasa, krew niewątpliwie z czystego źródła. Pani brat, jako człowiek inteligentny, ma tę świadomość mimo braku dowodów. Pani w swej skromności lekceważy to, ale sama pani też wyróżnia się dystynkcją. A proszę spojrzeć na swoją bratanicę: istna księżniczka! Z tym wszystkim – dodała madame Merle – nie będzie Osmondowi łatwo doprowadzić do małżeństwa z panną Archer. Warto jednak spróbować.

– Mam nadzieję, że ta panna da mu kosza. Byłaby to dla niego nauczka.

– Proszę nie zapominać, że to jeden z najinteligentniejszych ludzi pod słońcem.

– Słyszałam to od pani wiele razy, ale jeszcze nie odkryłam, co takiego mądrego w życiu zrobił.

– Co zrobił? Nie zrobił nic takiego, czego by nie można odrobić. I umiał czekać.

– Czekać? Na pieniądze panny Archer? Ile ona ma?

– Nie to miałam na myśli – wyjaśniła madame Merle. – Panna Archer ma siedemdziesiąt tysięcy funtów.

– Tym bardziej szkoda, że jest taka urocza – stwierdziła hrabina. – Na ofiarę wystarczyłaby byle jaka dziewczyna. Nie musiałyby mieć tylu zalet.

– Gdyby nie miała wielu zalet, pani brat nie spojrzałby nawet na nią. Osmond musi mieć wszystko w najlepszym gatunku.

– O, tak – zgodziła się hrabina, gdy obie już szły na spotkanie reszty towarzystwa. – Bardzo trudno go zadowolić. Właśnie dlatego drzę o jej szczęście.



## ROZDZIAŁ XXVI

Gilbert Osmond odwiedził znowu pannę Archer, a raczej, mówiąc ściślej, Palazzo Crescentini, gdzie miał wszak inne jeszcze znajome damy. Wobec pani Touchett i madame Merle zachowywał jednakową kurtuazję, ale pierwsza z tych pań nie omieszkała zauważyć, że widzi go w swoim domu po raz piąty w ciągu dwóch tygodni; zestawiała to spostrzeżenie z innym faktem, który przypomniała sobie bez trudu. Dotychczas pan Osmond poprzestawał na składaniu pani Touchett wizyt dwa razy do roku i nie zaobserwowała nigdy, by wybierał specjalne okresy, powtarzające się dość regularnie, gdy pod jej dachem gościła madame Merle. A więc nie dla madame Merle przychodził teraz tak często; był z nią od dawna zaprzyjaźniony i nigdy nie wysiłał się na okazywanie jej szczególnych względów. Ralpa nie lubił – pani Touchett wiedziała to od syna – i nie wydawało się prawdopodobne, żeby nagle zapalał do niego sympatią. Ralph zachowywał niezmacony spokój; jego swobodna uprzejmość spowijała go niby źle skrojony, za luźny płaszcz, którego w żadnych okolicznościach nie zdejmował. Twierdził, że pan Osmond jest bardzo miły w towarzystwie, i gotów był każdej chwili witać go z całą gościnnością. Nie pochlebiał sobie jednak przypuszczeniem, że powodem tych częstych wizyt jest chęć zadośćuczynienia za poprzednią niesprawiedliwość; orientował się dość jasno w sytuacji. To Isabel działała jak magnes na pana Osmonda, a jej kuzyn, jeśli miał być szczery, nie mógł być tym zdziwiony. Było naturalne, że Osmonda, krytyka i znawcę dzieł sztuki, zainteresowała ta niepospolita istota. Toteż gdy matka podzieliła się z nim przekonaniem, że intencje pana Osmonda są oczywiste, Ralph odpowiedział, że jest tego samego zdania. Pani Touchett dawno już na swojej skąpej liście znalazła miejsce dla pana Osmonda, chociaż czasem zastanawiała się trochę, jakimi sztuczkami i sposobami – biernymi i mądrymi oczywiście – ten

dżentelmen potrafi tak skutecznie wszędzie swoją osobę narzucić. Nigdy nie był natrętny, nie miał więc okazji zrazić jej do siebie, a zjednywał panią Touchett tym, że zdawał się zdolny obywać się bez niej tak samo jak ona bez niego – odznaczał się więc cechą, którą pani Touchett, chociaż mogłoby to niejednego zdziwić, uznawała za bardzo sprzyjającą dobrym stosunkom; wcale jednak nie była przyjemna świadomość, że pan Osmond wpadł na pomysł, by ożenić się z jej siostrzenicą. Związek taki wyglądałby ze strony Isabel na chorobliwy niemal wyskok przekory. Pani Touchett dobrze pamiętała, że Isabel odtrąciła angielskiego para; w wyobrażeniu, jakie pani Touchett miała o sukcesie, nie mieściła się możliwość, by panna, o której rękę daremnie starał się lord Warburton, zadowolili się nic nieznaczącym amerykańskim dyletantem, niemłodym już wdowcem ze zmanierowanym dzieckiem i znikomymi dochodami. Pani Touchett, trzeba pamiętać, patrzyła na małżeństwo nie z sentymentalnego, lecz strategicznego punktu widzenia, a takie stanowisko zawsze miało wiele dobrych stron.

– Ufam, że Isabel okaże się rozsądna i nie zechce go słuchać – powiedziała do syna. Ralph odparł, że nie chodzi o to, czy Isabel zechce słuchać, lecz o to, co odpowie. Wiedział, że Isabel wysłuchała już paru adoratorów – jak by ich nazwał jego ojciec – ale każdy z nich usłyszał od niej odmowę; bawiła go myśl, że po kilku miesiącach znajomości z kuzynką będzie miał znowu okazję obserwować nowego pretendenta u jej stóp. Isabel pragnęła poznać życie, a łaskawy los spełniał jej życzenia; panowie jeden po drugim padali przed nią na kolana, a był to nie gorszy od innych sposób studiowania natury ludzkiej. Ralph z ciekawością czekał na czwarty, piąty i dziesiąty szturm do fortecy. Isabel pozostawi bramę uchyloną i rozpocznie rokowania; z pewnością nie skapituluje już przy trzecim oblężeniu. Przedstawił ten pogląd swoim stylem matce, która patrzyła na niego, jakby tańczył kozaka; zamiast używać tak osobliwych i obrazowych przenośni, równie dobrze mógł zwrócić się do niej w języku migowym.

– Nie bardzo rozumiem, co chcesz przez to powiedzieć –



odparła. – Za wiele figur retorycznych, nigdy nie umiałam odgadywać sensu alegorii. Najbardziej szanuję w całym języku dwa słowa: tak i nie. Jeżeli Isabel zechce wyjść za pana Osmonda, wszystkie twoje metafory jej od tego nie powstrzymają. Z pewnością sama wymyśli sobie jakąś jeszcze piękniejszą na wyrażenie własnych postępków. Niewiele wiem o tym jej wielbiciele z Ameryki, nie sądzę, żeby często go wspominała; podejrzewam, że jemu sprzykrzyło się czekanie na nią. Nic w świecie nie może jej przeszkodzić w poślubieniu pana Osmonda, jeśli będzie go widziała w korzystnym świetle. W porządku, zawsze byłam zdania, że człowiek ma prawo robić, co mu się podoba. Ale Isabel znajduje przyjemność w bardzo dziwnych rzeczach – zdolna jest wyjść za pana Osmonda, dlatego że ten pan wygłasza wzniosłe zdania albo dlatego że posiada autograf Michała Anioła. Chce być bezinteresowna, nie przychodzi jej do głowy, że nie jej jednej grozi grzech przeciw tej cnocie. Czy ten pan okaże się bezinteresowny, wydając jej pieniądze? Mówiła o bezinteresowności jeszcze przed śmiercią twojego ojca, ale teraz ta idea nabrała dla niej nowych uroków. Powinna by wyjść za człowieka, którego bezinteresowność nie mogłaby w niej budzić wątpliwości, a cóż wydaje się bardziej przekonującego niż duży osobisty majątek konkurenta?

– A ja się nie boję, mam – powiedział Ralph. – Ona wszystkich nas wystrychnie na dudków. Oczywiście zrobi, co zechce, ale chce studiować ludzką naturę z bliska i jednocześnie zachować wolność. Wyruszyła na ekspedycję badawczą i nie zmieni kursu już w pierwszych etapach podróży na sygnał Gilberta Osmonda. Może zwolni na godzinkę obrotu, ale wkrótce znowu pomknie naprzód całą parą. Przepraszam za jeszcze jedną metaforę!

Pani Touchett prawdopodobnie mu wybaczyła metaforę, ale nie była nią uspokojona i nie powstrzymała się od zwierzenia swoich obaw roztropnej madame Merle.

– Pani wie wszystko – powiedziała – więc zapewne wie pani także, czy ten dziwny pan rzeczywiście stara się o moją

siostrzenicę.

– Gilbert Osmond? – Madame Merle szeroko otworzyła jasne oczy i jakby nagle olśniona wykrzyknęła: – Na Boga! To możliwe!

– Nie przyszło to pani wcześniej do głowy?

– Obawiam się, że mnie pani uzna za idiotkę, ale nie.

Zastanawiam się – dodała – czy Isabel zdaje sobie z tego sprawę.

– Zapytam ją o to – oświadczyła pani Touchett.

Madame Merle przez chwilę rozważała tę zapowiedź.

– Niech jej pani lepiej nie podsuwa tych myśli. Należałoby raczej spytać pana Osmonda.

– Tego nie mogę zrobić – odparła pani Touchett. – Nie chcę mu dać sposobności do zadania mi pytania, dlaczego mieszam się w cudze sprawy, wygląda na człowieka, który mógłby tak zareagować, zwłaszcza wobec sytuacji mojej siostrzenicy.

– A więc ja go zapytam – mężnie oświadczyła madame Merle.

– Z jego punktu widzenia to nie jest też pani sprawa.

– Właśnie dlatego mogę pozwolić sobie na poruszenie tego tematu. Sprawa tak oczywiście nie dotyczy mnie, że pan Osmond będzie mógł zbyć moje pytanie byle wykrętem. Ze sposobu, w jaki to robi, zgadnę, co się naprawdę święci.

– Bardzo proszę, niech pani wtedy podzieli się ze mną owocami tego wywiadu – powiedziała pani Touchett. – Z panem Osmondem nie mogę rozmawiać, ale pomówię przynajmniej z Isabel.

Madame Merle przestrzegła ją raz jeszcze:

– Niech pani uważa, żeby nie rozpać jej wyobraźni.

– Nigdy w życiu nie rozpałam niczyjej wyobraźni. Ale zawsze byłam pewna, że ta dziewczyna zdecyduje się na coś... no, nie w moim guście.

– Nie, to by się pani nie podobało. – Madame Merle nie opatrzyła tej uwagi znakiem zapytania.

– Jakim cudem miałyby mi się podobać? Pan Osmond nie ma nic konkretnego do ofiarowania.

Madame Merle znów przez chwilę milczała, a zadumany

uśmiech wyżej i jeszcze bardziej uroczo niż zwykle podniósł lewy kącik jej ust.

– Bądźmy dokładni. Gilbert Osmond z pewnością nie jest byle kim. W sprzyjających okolicznościach może robić silne wrażenie. Wiem, że udawało mu się to nieraz w życiu.

– Nie chcę słuchać o jego miłosnych intrygach usnutych prawdopodobnie z zimną krwią, nic mnie one nie obchodzą! – zawołała pani Touchett. – Właśnie dlatego chciałabym, żeby przestał nas zaszczycać ustawicznymi wizytami. O ile mi wiadomo, ten pan nie ma nic prócz kilku płócien wczesnych mistrzów i aroganckiej małej córki.

– Płótna wczesnych mistrzów są dziś wiele warte – odparła madame Merle – a córka jest młodziutka, niewinna i nieszkodliwa.

– Innymi słowy głupiutka smarkuła, jeśli dobrze panią rozumiem. Bez majątku nie ma szans wyjść za mąż w tym kraju, więc Isabel musiałaby albo ją utrzymywać, albo wyposażyć.

– Isabel zapewne chętnie zrobiłaby coś dla tego dziecka. Myślę, że już polubiła biedną małą Pansy.

– Jeden powód więcej, żeby pan Osmond trzymał się od nas z dala. W przeciwnym razie moja siostrzenica, nim upłynie tydzień, dojdzie do wniosku, że jej misją życiową jest udowodnienie, jaką ofiarną potrafi być macochą! A nie mogłaby udowodnić tego inaczej, niż przyjmując najpierw tę rolę.

– Byłaby dobrą macochą – uśmiechnęła się madame Merle – ale zgadzam się z panią, że Isabel nie powinna bez głębszego namysłu rozstrzygać o swoim życiowym przeznaczeniu. Zmienić formę przeznaczenia jest równie trudno jak poprawić kształt nosa, jedno wrasta w psychikę, a drugie w twarz i za głęboko trzeba by sięgać lancetem. Zbadam sprawę i złożę pani raport.

Wszystko to działo się za plecami Isabel, niepodejrzewającej, że jej stosunki z panem Osmondem są przedmiotem dyskusji. Madame Merle ani słówkiem nie obudziła jej czujności, mówiła o panu Osmondzie nie więcej niż o innych dżentelmenach z Florencji, miejscowych lub cudzoziemskich, których wielu składało wizyty ciotce panny Archer. Isabel uważała, że Gilbert

Osmond jest interesujący; do takiego wniosku doszła i w ten sposób lubiła o nim myśleć. Z wizyty na szczycie pagórka wyniosła wrażenie, którego nie zatężyły później zdobyte informacje i które łączyło się harmonijnie ze wszystkim, czego się domyślała i co zgadywała, z historiami zawartymi w innych historiach; składało się to na obraz spokojnego, mądrego, wrażliwego, wykwintnego mężczyzny, idącego przez omszały taras nad śliczną doliną Arno i trzymającego za rękę małą dziewczynkę, której niepokalana czystość nadawała nowy urok dzieciństwu. W tym obrazie pozbawionym zbędnych ozdóbników podobał jej się dyskretny ton i letni zmierzch przesycający całą atmosferę. Mówił o jakiejś osobistej sprawie, która ją wzruszała, o wyborze dokonanych wśród przedmiotów i tematów, o kontaktach... – jak by je określić... czasem ubogich, a czasem bogatych w skojarzenia, o samotnym, wypełnionym intelektualnymi zajęciami życiu w pięknym kraju; o zadawnionym smutku, który po dziś dzień przypomina się czasem boleśnie, o dumie, może przesadnej, ale szlachetnej, o umiłowaniu piękna i doskonałości, umiłowaniu wrodzonym, a zarazem pielęgnowanym, tak że została mu podporządkowana cała droga życiowa, wszystkie starannie skomponowane perspektywy, szeregi schodów, tarasy i fontanny włoskiego ogrodu, w którym puste, jałowe skrawki odświeżała naturalna rosa dziwnego, jednocześnie troskliwego i bezradnego ojcostwa. W Palazzo Crescentini pan Osmond zachowywał się zawsze tak samo: na początku był onieśmielony – ach, tak, bez wątplenia trochę sztuczny – i musiał zdobywać się na wysiłek (dostrzegalny tylko dla życzliwych oczu), żeby przełamywać lody; zwykle wynikała z tego później swobodna, żywa, pełna treści, trochę agresywna, z reguły interesująca rozmowa. Z pewnością bardzo pragnął zabłysnąć, ale to nie raziło panny Archer – bez trudu wierzyła w szczerść człowieka, który dawał wiele dowodów siły swoich przekonań; na przykład jawnie i z wdziękiem cieszył się z każdego argumentu, potwierdzającego własną jego opinię, zwłaszcza jeśli ten argument znajdowała panna Archer. Podobało się też naszej bohaterce, że zabawiając

konwersacją, nie silił się, jak to czyni wiele innych osób, na efekty. Swoje poglądy, chociaż często bardzo oryginalne, wygłaszał tak, jakby z nimi był oswojony i zżyty od dawna; były to jakby stare wypolerowane gałki, rączki czy główki z drogocennego tworzywa, które można w razie potrzeby dopasować do nowej laski, a nie kijek w braku czegoś lepszego wycięty z pospolitego drewna, którym wywija się z przesadną elegancją. Pewnego dnia pan Osmond przyprowadził ze sobą córeczkę; Isabel z przyjemnością odnowiła znajomość z dziewczynką, która podając każdemu po kolei czoło do pocałowania, przypominała pierwszą naiwną z francuskiej komedii. Isabel nigdy dotychczas nie spotkała tak wytresowanej panienki – młode Amerykanki, a także angielskie podlotki były zupełnie inne. Pansy, tak doskonale przygotowana i oszlifowana do zajęcia swojego maleńkiego miejsca w świecie, jednocześnie zachowała – to się rzucało w oczy! – wyobraźnię niewinną i dziecięcą. Siedziała obok Isabel na kanapie ubrana w grenadynową mantylkę i w praktyczne szare rękawiczki od madame Merle, związane na jeden guziczek. Była to biała kartka, idealna *jeune fille* z zagranicznej powieści. Isabel miała nadzieję, że tak ładna i gładka kartka zapisana będzie budującym tekstem.

Przyszła też pewnego dnia do panny Archer hrabina Gemini, ale to zupełnie inna sprawa. Ta karta z pewnością nie była czysta, raczej zabazgrana kilku różnymi charakterami pisma, a pani Touchett, która nie czuła się wcale zaszczycona tą wizytą, twierdziła nawet, że dostrzega sporo plam na lśniącej powierzchni. Wizyta hrabiny wywołała dyskusję między panią domu a jej przyjaciółką z Rzymu; madame Merle (za mądra, żeby irytować ludzi nieustannym przytakiwaniem) dość zręcznie wykorzystwała prawo do różnicy poglądów, przywilej, który pani Touchett przyznawała bliźnim i który sama zawsze w praktyce stosowała. Pani Touchett nazwała bezczelnością fakt, że osoba o zaszarganej reputacji ośmiela się o takiej porze zadzwonić do drzwi domu, gdzie – jak musiała od dawna wiedzieć – nie cieszyła się szacunkiem. Isabel przy okazji została poinformowana o panującej w Palazzo Crescentini opinii: siostra pana Osmonda tak źle

gospodarowała własnymi niewłaściwymi postępkami, że te, zamiast trzymać się w jednej wiązce – co jest minimalnym wymaganiem w takich przypadkach – rozleciały się w strzępy złej sławy, które fruując bez kontroli, zakłóciły atmosferę towarzyską. Została wydana za mąż przez matkę – kobietę skrzętną i ceniącą cudzoziemskie tytuły, którymi córka, oddajmy jej sprawiedliwość, nauczyła się później gardzić – za włoskiego hrabiego; pan ten może dał żonie rzeczywiste powody do urazy i poszukiwań jakiegoś zadośćuczynienia. Hrabina jednak pocieszała się bez umiaru i wszystkie okoliczności łagodzące zagubiły się w labiryncie jej wybryków. Pani Touchett nigdy nie chciała jej przyjmować, chociaż hrabina od dawna starała się o to. Florencja nie jest miastem zbyt surowym, ale – jak stwierdziła pani Touchett – trzeba przestrzegać pewnej granicy.

Madame Merle broniła nieszczęsnej hrabiny z wielkim zapalem i dowcipem. Dziwiła się, że pani Touchett wybrała na kozła ofiarnego kobietę, która nikomu nie zrobiła nic złego, tylko była za dobra dla zbyt wielu panów. Oczywiście trzeba przestrzegać pewnych granic, ale należy wytyczyć je prosto, a bardzo krzywa byłaby linia wykluczająca hrabinę Gemini. Konsekwentnie rozumując, pani Touchett musiałaby zamknąć chyba dom na cały czas pobytu we Florencji. Jeśli chce być sprawiedliwa, niech nie wydaje arbitralnych wyroków; hrabina jest nieco mniej ostrożna, mniej sprytna od innych dam. To poczciwa dusza, tylko jej brak sprytu, ale to chyba nigdy nie stanowiło powodu do wykluczania kogoś z dobrego towarzystwa. Plotki o hrabinie dawno zresztą ucichły, a jej chęć należenia do grona zbierającego się w salonie pani Touchett świadczy najlepiej o tym, że ta kobieta pragnie naprawić dawne błędy. Isabel nie mogła uczestniczyć w tej interesującej dyskusji ani choćby słuchać jej cierpliwie; poprzestała na grzecznym przywitaniu nieszczęsnej damy, która mimo wszystkich swoich wad miała tę zaletę, że była siostrą pana Osmonda. Lubiąc brata, Isabel – mimo że sytuacja komplikowała się coraz bardziej – uważała za obowiązek dołożyć starań, by polubić siostrę. Hrabina podczas pierwszego spotkania

w willi na wzgórzu zrobiła na niej nie najlepsze wrażenie, ale Isabel cieszyła się z okazji, by pozbyć się uprzedzeń. Czyż pan Osmond nie zapewnił jej, że hrabina jest przyzwoitą kobietą? Jak na pana Osmonda była to opinia nie dość precyzyjna, ale madame Merle uzupełniła ją i nieco wypolerowała. Opowiedziała panie Archer o biednej hrabinie Gemini, jej małżeństwie i jego konsekwencjach więcej niż pan Osmond. Mąż hrabiny pochodził ze starego tokańskiego rodu, ale miał tak skromny majątek, że zgodził się wziąć za żonę pannę Amy Osmond – której wątpliwa uroda nie przeszkodziła jak dotąd w sukcesach – a wraz z nią mały posag, na jaki stać było jej matkę, równy mniej więcej sumie przyznanej z rodzinnego dziedzictwa Gilbertowi. Później jednak hrabia Gemini dostał pokaźny spadek, teraz więc jak na Włocha ma sporo pieniędzy, tyle że Amy jest trochę rozrzutna. Hrabia, brutalny rozpustnik, dostarczył żonie aż za wiele powodów do odwetu. Dzieci nie mają, troje umarło, nie dożywszy roku. Matka, sawantka z wielkimi aspiracjami, autorka poematów i opisowych listów z Włoch, drukowanych w amerykańskich tygodnikach, umarła w trzy lata po zamążpójściu hrabiny. Znacznie wcześniej umarł ojciec i wspomnienia o nim giną w pomroce amerykańskiej przeszłości Osmondów; był to podobno człowiek niegdyś bogaty, gwałtownego temperamentu. Obserwując Gilberta Osmonda – mówiła madame Merle – łatwo poznać, że wychowała go kobieta; trzeba mu jednak przyznać, że robi wrażenie wychowanka rozsądniejszej kobiety niż ta amerykańska Korynna – bo tak lubiła siebie określać pani Osmond. Po śmierci męża przywiozła dzieci do Włoch; pani Touchett poznała ją w rok później i uznała za okropną snobkę; ale w tym przypadku zagalopowała się, bo przecież sama też aprobowała małżeństwa z rozsądku. Hrabina jest miła i wcale nie ma tak pstro w głowie, jak można by z pozoru sądzić, można z nią żyć w jak najlepszych stosunkach pod warunkiem, żeby nie wierzyć w ani jedno słowo z tego, co rozpowiada. Madame Merle zawsze starała się ją traktować wyrozumiale ze względu na brata, który jest wdzięczny za każdą uprzejmość okazaną biednej Amy, ponieważ (jeśli wolno zdradzić

jego sekret) cierpi, że siostra skompromitowała ich wspólne nazwisko. Oczywiście nie podoba mu się jej sposób bycia, krzykliwość, egotyzm, grzechy przeciw dobremu smakowi, a nade wszystko rozmijanie się z prawdą; siostra bardzo mu działa na nerwy, nie należy do typu kobiet, które on ceni. A jakie mianowicie ceni? Och, całkowite przeciwieństwo hrabiny Gemini, te, dla których prawda jest świętością. Isabel nie umiała rozstrzygnąć, ile razy hrabina naruszyła tę świętość podczas półgodzinnej wizyty; siostra pana Osmonda wydała jej się raczej nierozważnie szczera. Mówiła prawie wyłącznie o sobie, o tym, że bardzo pragnie bliżej poznać pannę Archer, że marzy o prawdziwej przyjaciółce, że ludzie we Florencji są nikczemni, że znudziło ją to miasto, że chciałaby mieszkać gdzieś indziej... w Paryżu, Londynie albo Waszyngtonie, że we Włoszech nie sposób dostać nic naprawdę eleganckiego prócz jakichś starych koronek, że wiele w życiu cierpiała i bez wielu rzeczy musiała się obywać. Madame Merle z zainteresowaniem słuchała, gdy Isabel powtarzała jej zwierzenia hrabiny, ale ta relacja nie była potrzebna, żeby uwolnić ją od niepokoju. Madame Merle nie lękała się hrabiny Gemini, a co jeszcze ważniejsze, umiałaby nie zdradzić swoich obaw, gdyby takowe miała.

Tymczasem zjawił się nowy gość, osoba, o której nie można było równie łatwo mówić tak lekceważąco za jej plecami. Henrietta po wyjeździe pani Touchett do San Remo także opuściła Paryż i zawadzając po drodze – jak się wyraziła – o kilka miast północnych Włoch, dotarła nad Arno w połowie maja. Madame Merle zmierzyła ją spojrzeniem od stóp do głów i opanowując odruch niechęci, postanowiła, że jakoś zniesie tę Henriettę. Nawet z przyjemnością. Pokrzywą nie można się delectować jak wonną różą, ale mniej parzy, jeśli się ją umiejętnie ściśnie w garści. Madame Merle łagodnym uściskiem zbagatelizowała sprawę, a Isabel cieszyła się, że przewidując wielkoduszną reakcję, trafnie oceniła rozum starszej przyjaciółki. Zwiastunem przyjazdu panny Stackpole stał się pan Bantling, który przybył z Nicei, gdy ona jeszcze bawiła w Wenecji, a nie zastawszy jej we Florencji,



odwiedził Palazzo Crescentini, żeby dać wyraz swojemu rozczarowaniu. Kiedy w dwa dni później zjawiała się wreszcie, radość pana Bantlinga była ogromna, co łatwo zrozumieć, biorąc pod uwagę, że nie widzieli się od dni wspólnego pobytu w Wersalu. Wszyscy traktowali sytuację nieco humorystycznie, ale tylko Ralph dał temu głośno wyraz i kiedy w zaciszu jego apartamentu pan Bantling palił cygaro, gospodarz zaczął po swojemu żartować z młodej, ferującej o wszystkim dokoła wyroki dziennikarki i z jej brytyjskiego adiutanta. Pan Bantling nie obrażał się o te dowcipy i szczerze wyznał, że cała historia jest dla niego miłą intelektualną przygodą. Bardzo lubi pannę Stackpole, uważa, że to jest dziewczyna z głową na karku; przyjemnie spędza się czas w towarzystwie osoby, która nie myśli ustawicznie, co świat o niej powie, czy wypada, by coś zrobiła, a raczej zrobili, bo razem pozwalali sobie łamać konwenanse. Panny Stackpole nic nie obchodzi pozory – a skoro tak, to dlaczegoż on miałby się na nie oglądać? Obudziła się w nim jednak ciekawość i bardzo chciał się przekonać, czy panna Stackpole w swej pogardzie dla konwenansów nie zawaha się w końcu na jakiejś granicy. Był gotów posunąć się tak daleko jak ona, nie widział powodu, żeby się pierwszy załamywać.

Henrietta niczym nie zdradzała załamania. Odkąd opuściła Anglię, otworzyły się przed nią jaśniejsze perspektywy i czerpała wiele zawodowej satysfakcji z bogatych, dostępnych jej źródeł. Musiała co prawda wyrzec się nadziei przeniknięcia do najściślejszych kręgów towarzyskich; przeszkody w tej dziedzinie były na kontynencie europejskim jeszcze trudniejsze do pokonania. Ale na kontynencie istniały widzialne i namacalne na każdym kroku zewnętrzne przejawy życia, które łatwiej mogła przetworzyć i spożytkować jako materiał literacki niż obyczaje nieprzeniknionych wyspiarzy. Panna Stackpole obrazowo określiła swoje wrażenia: na ulicach miast europejskich widzi się prawą stronę dywanu, jego deseń, podczas gdy w Anglii tylko supełki i szwy lewej strony. Kronikarz jej losów ze ściśniętym sercem musi stwierdzić, że Henrietta, straciwszy nadzieję na głębsze

wtajemniczenie, zaczęła skupiać uwagę na powierzchni życia. Studiowała ją przez dwa miesiące w Wenecji i wysłała stamtąd do „Interviewera” skrupulatną relację o gondolach, placu Świętego Marka, Moście Westchnień, gołębiach i młodych wioślarzach deklamujących wiersze Tassa. „Interviewer” był zapewne nieco rozczarowany, za to Henrietta nareszcie zwiedzała Europę. Teraz wybierała się do Rzymu, zanim wybuchnie tam malaria – wyobrażała sobie, że dzieje się to w ściśle określonym terminie – i dlatego do Florencji przyjechała tylko na kilka dni. Pan Bantling miał jej towarzyszyć; Henrietta wyjaśniła przyjaciółce, że pan Bantling, który już kiedyś był w Rzymie, jest oficerem i ma wykształcenie klasyczne – wychowywał się w Eton, gdzie uczył niemal wyłącznie łaciny i Whyte-Melville’a, jak sądziła panna Stackpole – nadaje się więc znakomicie na przewodnika po stolicy cesarów. W tym momencie Ralph wpadł na świetny pomysł i zaproponował kuzynce, żeby w jego eskorcie także odbyła pielgrzymkę do Rzymu. Planował, że spędzi tam część najbliższej zimy, ale nie zaszkodziłoby wcześniej rozejrzeć się trochę po tym mieście. Zostało jeszcze dziesięć dni pięknego maja, miesiąca najcenniejszego dla miłośników Rzymu, a Isabel na pewno przyłączy się do ich grona, to rzecz z góry przesądzona. Miałaby u boku zaufaną przyjaciółkę, której towarzystwo nie ciążyłoby jej zbyt, skoro panna Stackpole nie będzie zajęta wyłącznie nią. Madame Merle zostanie z panią Touchett; opuściła Rzym na całe lato i nie miała ochoty wracać tam przedwcześnie. Twierdziła, że z przyjemnością posiedzi spokojnie we Florencji; swoje rzymskie mieszkanie zamknęła, kucharkę odesłała do jej rodzinnej Palestriny. Namawiała pannę Archer, żeby zgodziła się na propozycję Ralpa, tłumacząc jej, jak cenna jest okazja wprowadzenia w piękno Rzymu przez dobrego cicerone. Isabel zresztą nie dała się długo prosić i czworo przyjaciół zaczęło przygotowywać się do wspólnej wyprawy. Pani Touchett tym razem pogodziła się bez protestu z myślą, że Isabel będzie podróżowała bez asysty jakiejś przyzwoitki; jak już wiemy, uznała, że jej siostrzenica może sama o sobie decydować. Isabel przed

wyjazdem widziała się z Gilbertem Osmondem i wspominała mu o swoich planach.

– Bardzo bym pragnął być z panią w Rzymie – powiedział – widzieć panią na tym wspaniałym tle.

– Niech więc pan tam przyjedzie – odparła prawie bez namysłu.

– Pani będzie w licznym towarzystwie.

– No tak, oczywiście, że nie będę sama.

Przez chwilę milczał.

– Rzym panią zachwyci – podjął wreszcie. – Bardzo go już ograbiono, ale jeszcze może panią oczarować.

– Czy biedna stara Roma, Niobe narodów, powinna mi się nie spodobać tylko dlatego, że została ograbiona? – spytała Isabel.

– Nie, nie. Zbyt często jej się to zdarzało w historii – z uśmiechem odpowiedział pan Osmond. – Gdybym się jednak wybrał do Rzymu, co zrobić z Pansy?

– Nie może pan jej zostawić w domu?

– Wolałbym tego nie robić, chociaż opiekuje się tam moją córką bardzo zacna staruszka. Nie stać mnie na guwernantkę.

– Niech pan ją w takim razie weźmie ze sobą – spontanicznie powiedziała Isabel.

Pan Osmond traktował temat bardzo poważnie.

– Pansy całą zimę spędziła w Rzymie, u sióstr, jest za młoda na podróżowanie dla przyjemności.

– Nie chce pan jej jeszcze wprowadzać w świat? – spytała Isabel.

– Nie, uważam, że młode dziewczęta trzeba chronić od świata.

– Mnie wychowano w zupełnie innym duchu.

– Ach, w pani przypadku dało to najlepsze wyniki, bo pani jest istotą wyjątkową.

– Nie wiem, dlaczego – odparła Isabel, chociaż w głębi serca przyznawała panu Osmondowi trochę racji.

Pan Osmond nie udzielił wyjaśnień, ale po prostu ciągnął dalej:

– Gdybym myślał, że Pansy dzięki włączeniu się do towarzyskiego kółka w Rzymie stanie się podobna do pani, zawiózłbym ją tam choćby jutro!

– Och, nie, niech pan nie próbuje upodobnić jej do mnie! – zaprotestowała Isabel. – Pansy powinna zostać sobą.

– Mógłbym ją odesłać do mojej siostry – powiedział pan Osmond, jak gdyby prosił o radę. Zdawało się, że szczególnie lubi omawiać swoje rodzinne kłopoty z panną Archer.

– Tak – odparła – to by nie bardzo sprzyjało jej upodobnieniu się do mnie.

Po wyjeździe panny Archer z Florencji Gilbert Osmond spotkał madame Merle u swojej siostry. Było tam mnóstwo innych gości, salon hrabiny zwykle przyciągał wiele osób; toczyła się ogólna rozmowa, ale po chwili Osmond przeszedł w głąb pokoju i usiadł na kanapie obok madame Merle, czy raczej nieco za jej fotelem.

– Ona chce, żebym z nią pojechał do Rzymu – powiedział, przyciszając głos.

– Z nią?

– Żebym przyjechał w czasie, kiedy tam będzie.

Zaproponowała mi to.

– Myślę, że raczej ty zaproponowałeś, a ona się zgodziła.

– Oczywiście dałem jej okazję, ale jej zachowanie było bardzo zachęcające.

– Cieszę się z tego, ale nie trymfuj przedwcześnie.

Oczywiście pojedziesz do Rzymu.

– Ach, ile ten twój pomysł wymaga fatygi! – odparł Osmond.

– Nie udawaj, że nie sprawia ci to przyjemności, nie bądź niewdzięcznikiem. Od lat nie miałeś równie miłego zajęcia.

– Wspaniale odnosisz się do tej sprawy – stwierdził Osmond.

– Za to winien ci jestem wdzięczność.

– Byle bez przesady – odparła madame Merle. Mówiła to ze zwykłym swoim uśmiechem, wyprostowana w fotelu, rozglądając się po salonie. – Wywarłeś bardzo dobre wrażenie i widziałam, że ona na tobie także. Nie odwiedziłbyś siedem razy domu pani

Touchett tylko na moje życzenie.

– Dziewczyna jest dość miła – przyznał spokojnie Osmond. Madame Merle rzuciła mu szybkie spojrzenie i na sekundę zacisnęła usta.

– Czy to wszystko, co masz do powiedzenia o tak niezwyklej istocie?

– Czy to nie dość? Czy słyszałaś, żebym o wielu osobach mówił chociaż tyle?

Nie odpowiedziała, wciąż zwrócona ku reszcie towarzystwa i uśmiechnięta.

– Jesteś niezgłębioną zagadką – szepnęła w końcu. – Strach mnie ogarnia przed otchłanią, w którą ją mam zepchnąć.

Przyjął te słowa niemal wesoło.

– Nie możesz już się cofnąć, za daleko się posunęłaś.

– Racja, ale resztę ty musisz zrobić.

– I zrobię – odparł Osmond.

Madame Merle milczała, a pan Osmond znów przeniósł się w inny kąt salonu, ale gdy pożegnała się, wyszedł w ślad za nią. Ekwipaż pani Touchett czekał na dziedzińcu; Osmond pomógł swej przyjaciółce wsiąść i stojąc obok powozu, zatrzymał ją jeszcze na chwilę.

– Jesteś nieostrożny. Nie należało wychodzić razem ze mną – powiedziała trochę znużonym głosem.

Zdjął kapelusz i przetarł dłonią czoło.

– Zawsze zapominam. Odwykłem.

– Jesteś niezgłębioną zagadką – powtórzyła, zerkając w okna domu, nowoczesnego budynku w nowej dzielnicy.

Jakby nie dosłyszał tej uwagi, snuł dalej własne myśli:

– Doprawdy urocza panna. Nie spotkałem chyba istoty równie czarującej.

– Miło mi to usłyszeć. Im bardziej ci się podoba, tym lepiej dla mnie.

– Podoba mi się ogromnie. Jest rzeczywiście taka, jak mi ją opisywałaś, a w dodatku zdolna, wyczuwam to, do głębokiego przywiązania. Ma tylko jedną wadę.

- Jaką?
- Za wiele teorii.
- Uprzedzałam cię, że jest inteligentna.
- Na szczęście są to przeważnie teorie błędne.
- Na szczęście?
- No, skoro będzie musiała złożyć je w ofierze...

Madame Merle odchyliła się na poduszkach powozu i patrząc prosto przed siebie, wydała stangretowi rozkaz. Ale pan Osmond jeszcze raz ją zatrzymał:

- Jeśli mam jechać do Rzymu, co zrobię z Pansy?
- Ja się nią zajmę – powiedziała madame Merle.

## ROZDZIAŁ XXVII

Nie będę próbował dokładnie opisać oddźwięku, jakim nasza bohaterka odpowiedziała na potężny czar Rzymu, nie podejmuję się zanalizować jej uczuć, gdy stąpała po bruku Forum, ani obliczać przyspieszonego tętna, kiedy przekraczała próg Bazyliki Świętego Piotra. Wystarczy powiedzieć, że przeżywała to wszystko tak, jak można było spodziewać się po istocie niezblazowanej i żarliwej. Zawsze interesowała ją historia, a tutaj historia przemawiała z każdego kamienia ulicy i pyłku słonecznego światła. Wyobraźnia Isabel rozplómięła się na wspomnienie wielkich czynów, a tutaj, gdziekolwiek się obróciła, każde miejsce kojarzyło się z wielkimi zdarzeniami. Wszystko to wzruszało ją – ale w głębi serca. Towarzyszom wyprawy zdawała się bardziej małomówna niż zwykle, a Ralph Touchett, który pozornie patrzył w roztargnieniu i zakłopotaniu gdzieś nad jej głową, często obserwował ją bardzo uważnie. Czuła się szczęśliwa, gotowa była nawet uznać te godziny za najszczęśliwsze w całym swoim życiu. Ciężyła jej świadomość okropnej przeszłości tego miasta, ale zawsze jakieś współczesne wrażenie uskrzydlało myśli i kierowało je ku błękitom. W umyśle panny Archer panował zamęt wrażeń, tak że sama nie wiedziała, które zwycięży i dokąd ją zaprowadzi, trwała więc w niemej ekstazie i często w rzeczach, na które patrzała, widziała więcej, niż kryły w sobie w istocie, chociaż nie dostrzegała wielu szczegółów wymienionych w przewodniku Murraya. Jak mówił Ralph, przyłapali Rzym w momencie psychologicznym, gdy zwierza swoje sekrety. Stada hałaśliwych turystów opuściły już miasto, dostojne miejsca odzyskały dostojność. Niebo jaśniało lazurem, plusk wodotrysków w omszałych misach nie przejmował dreszczem chłodu i brzmiał bardziej melodyjnie. Na rogach nagranych, słonecznych ulic przechodzień potykał się o pęki kwiatów. Pewnego popołudnia – trzeciego po przyjeździe – cała

czwórka wybrała się na Forum, żeby obejrzeć najnowsze wykopaliska, bo w ostatnim czasie prowadzono tam badania archeologiczne na wielką skalę. Z nowoczesnej ulicy zeszli na poziom Via Sacra, lecz każde z nich inaczej objawiało szacunek dla tej Świętej Drogi. Henrietta Stackpole dziwiła się, że bruk starożytnego Rzymu jest tak podobny do nowojorskiego, dostrzegła nawet analogię pomiędzy głęboko wyżłobionymi przez antyczne wozy i widocznymi jeszcze koleinami a wypełnionymi szczękiem żelaza wąwozami ulic symbolizujących napięcie amerykańskiego życia. Słońce już się zniżało, złocista mgła wisiała w powietrzu, a strzaskane kolumny i ułamki cokołów rzuciły długie cienie na pobożowisko ruin. Henrietta oddaliła się z panem Bantlingiem, słuchając z nietajoną przyjemnością jego uwag o „tym bezczelnym facecie” Juliuszu Cezarze, a Ralph na miarę swojej wiedzy udzielał wyjaśnień pilnej słuchaczce, jaką była Isabel. Jakiś skromny archeolog ofiarował tej parze swoje usługi i wyrecytował lekcję z nabytą w ciągu całego kończącego się właśnie sezonu wprawą. W drugim końcu Forum rozkopywano ziemię i ochotniczy przewodnik namawiał, żeby *signori* się tam pofatygowali; zapewniał, że obserwując cierpliwie tę pracę, można zobaczyć jakieś interesujące znalezisko. Propozycja bardziej spodobała się Ralphowi niż jego kuzynce, zmęczonej długimi wędrówkami; Isabel nakłoniła więc Ralpha, żeby zaspokoił swą ciekawość, i obiecała cierpliwie czekać na jego powrót: o tej porze, na tym miejscu chętnie posiedzi trochę sama. Ralph odszedł więc z przewodnikiem, a Isabel usiadła na zwalonej kolumnie w pobliżu fundamentów Kapitolu. Pragnęła samotności, ale niedługo się nią mogła cieszyć. Chociaż bardzo ją interesowały rozrzucone dokoła poszczerbione szczątki przeszłości, zżarte przez czas, lecz wciąż jeszcze tchnące indywidualnym życiem, myśli jej, w pierwszej chwili tym relikwiom poświęcone, wkrótce drogą dziwnych skojarzeń, niełatwych do prześledzenia, przeskoczyły w regiony bardziej osobiste, ku sprawom bardziej pociągającym aktualnością. Od dziejów Rzymu do przyszłości panny Archer było jakże daleko, ale wyobraźnia jej pokonała tę odległość jednym wzlotem i teraz



krążyła z wolna nad tą bliższą sercu i żyźniejszą dziedziną. Pochłonięta własnymi myślami, ze wzrokiem spuszczoneym na spękane, lecz nierozsypane kamienne płyty u swych stóp, nie usłyszała zbliżających się kroków, dopóki cień ludzki nie przekreślił pola jej widzenia. Podniosła wzrok i zobaczyła pana... który jednak nie był Ralphem wracającym, aby oznajmić, że wykopy znudziły go okropnie. Pan stanął, zaskoczony nie mniej niż Isabel, i zdjął kapelusz przed pobladłą ze zdumienia panną Archer.

– Lord Warburton! – wykrzyknęła, zrywając się z miejsca.

– Nie spodziewałem się, że właśnie panią tu spotkam.

Wyszedłem z za zakrętu prosto na panią.

Rozejrzała się wokół i wyjaśniła:

– Siedziałam sama, ale całe towarzystwo ledwie przed chwilą mnie opuściło. Mój kuzyn jest tam, przy wykopaliskach.

– Ach, tak, rozumiem! – Lord Warburton spojrzał mniej więcej we wskazany przez Isabel kierunku. Stał przed nią już na pewnych nogach; odzyskał równowagę i zdawało się, że chce jej to udowodnić, chociaż bardzo delikatnie. – Nie chciałbym pani przeszkadzać w odpoczynku – dodał, patrząc na leżącą kolumnę. – Obawiam się, że pani jest zmęczona.

– Tak, trochę się zmęczyłam – zawahała się, nim usiadła z powrotem. – Niech pan dla mnie nie zmienia swoich planów, proszę.

– Och, nie, jestem sam i nie mam nic do roboty. Nie wiedziałem, że pani jest w Rzymie. Byłem na Wschodzie, tu trafiłem tylko przejazdem.

– Odbył pan długą podróż – powiedziała Isabel, której Ralph mówił, że lord Warburton opuścił na dłuższy czas Anglię.

– Tak, podróżuję od pół roku, wyjechałem wkrótce po naszym ostatnim spotkaniu. Byłem w Turcji, w Anatolii, dopiero co przyjechałem tu z Aten. – Panował nad sobą, ale nie był swobodny; w końcu przyjrzał się panie Archer uważnie i powiedział bardziej naturalnym tonem: – Czy pani woli, żebym odszedł, czy też mogę zostać z panią przez chwilę?

– Nie, niech pan nie odchodzi – odpowiedziała z prostotą. – Cieszę się, że pana spotkałam.

– Dziękuję pani. Czy wolno mi usiąść?

Żłobkowany trzon kolumny, na którym siedziała Isabel, mógł posłużyć do odpoczynku kilku osobom i było na nim dość miejsca nawet dla potężnie zbudowanego Anglika. Wspaniały okaz tej rasy usiadł obok panny Archer i w ciągu następnych pięciu minut zasypał ją mnóstwem pytań, jakby na wrywki; niektóre powtarzał dwa razy, nie dosłyszawszy widocznie odpowiedzi; nawzajem udzielił jej o sobie paru informacji, których Isabel, mniej wzburzona, jak przystało kobiecie, nie omieszkała zanotować w pamięci. Kilkakrotnie powtórzył, że nie spodziewał się jej tutaj, najwidoczniej to spotkanie było dla niego wstrząsem, który zniósłby lepiej, gdyby mógł z góry się przygotować. Nagle przypadek wydał mu się nie tylko niewinny, ale doniosły, radosny, a zarazem nieprawdopodobny. Opalił się wspaniale, nawet bujna broda zdawała się być wypolerowana w ogniu Azji. Miał na sobie luźne ubranie, skompletowane z różnych, niejednorodnych części garderoby, jaką lubią nosić podróżujący Anglicy dla wygody i podkreślenia swojej narodowości; ze swoimi sympatycznymi, spokojnymi oczyma, smagłą, świeżą pod opalenizną cerą, manierami wolnymi od wszelkiej przesady wyglądał, jak przystało dżentelmenowi i podróżnikowi; reprezentował typ Brytyjczyka wzbudzającego sympatię we wszystkich, którzy żywili dla tego narodu choć odrobinę przyjaznych uczuć. Isabel wszystko to spostrzegła i cieszyła się, że zawsze lubiła lorda Warburtona. Mimo szoku zachował swoje istotne zalety, niczym właściwości wielkich, szanownych domów, których zasadniczego wyposażenia i ozdób nie można lekką ręką przestawiać czy zmieniać, chyba że burząc wszystko. Poruszali różne tematy w naturalnej kolejności: śmierć pana Touchett, stan zdrowia Ralphi, sposób, w jaki Isabel spędziła zimę, jej pobyt w Rzymie, datę powrotu do Florencji, plany na lato, hotele, w których zatrzymała się w Wiecznym Mieście; potem lord Warburton wspominał o swoich przygodach, podróżach, zamiarach, wrażeniach i aktualnym miejscu

zamieszkania. Wreszcie zapadło milczenie bardziej wymowne niż wszystko, co sobie powiedzieli, tak że niemal zbędne wydały się jego ostatnie słowa:

- Pisałem do pani wiele razy.
- Doprawdy? Nie otrzymałam od pana żadnego listu.
- Nie wysłałem ich. Spaliłem.
- Ach! – zaśmiała się Isabel. – Lepiej, że pan sam to zrobił, wyręczając mnie.
- Myślałem, że nie sprawią pani przyjemności – powiedział z prostotą. – Doszedłem do wniosku, że nie mam prawa mącić pani spokoju tymi listami.
- Cieszyłabym się wiadomościami od pana. Jak pan wie, miałam nadzieję, że... – urwała; ta myśl wyrażona w słowach zabrzmiałaby zbyt banalnie.
- Zgaduję, co pani chciała powiedzieć. Miała pani nadzieję, że zostaniemy przyjaciółmi. – Formułka w ustach lorda Warburtona też była szablonowa, ale on przecież chciał nadać jej taki wydźwięk.
- Odpowiedziała banałem nie lepszym od tego, który Warburton jej podsunął:
- Proszę, nie mówmy o tym więcej.
- Słabą ofiarowuje mi pani pociechę! – wykrzyknął z uśmiechem.
- Nie próbuję pana pocieszać – odparła i nie wstając, wyprostowała się jednak, jak gdyby w odruchu skrytego tryumfu, że potwierdziła odpowiedź, która przed pół rokiem nie spełniła jego pragnień. Był sympatyczny, potężny, rycerski, trudno by znaleźć bardziej wartościowego człowieka, a jednak wytrwała przy swej decyzji.
- Dobrze, że pani nie próbuje, bo nie jest to w pani mocy! – usłyszała jego głos przez mgłę dziwnego upojenia własnym zwycięstwem.
- Miałam nadzieję, że spotkamy się znowu, ponieważ nie obawiałam się, że pan zechce wzbudzić we mnie poczucie winy, jak gdybym panu wyrządziła krzywdę. Bo jeśli pan stara się dać mi

to do zrozumienia, przykrość jest większa niż przyjemność rozmowy z panem. – Wstała, siląc się nieco na majestatyczną postawę, i zaczęła się rozglądać za resztą towarzystwa.

– Nie miałem takich intencji, nie mógłbym oczywiście tego pani zarzucić. Chcę tylko, żeby pani pewne rzeczy wiedziała, to mi się należy. Nie będę już wracał do tej sprawy. Uczucie, które pani w zeszłym roku wyznałem, było bardzo głębokie. Nie mogłem myśleć o niczym innym. Staralem się zapomnieć, starałem się intensywnie, wytrwale. Próbowałem też zainteresować się kimś innym. Mówię o tym, bo chcę, żeby pani wiedziała. Bez rezultatu. Tylko dlatego wyruszyłem w podróż, uciekłem, jak się dało najdalej. Mówi się, że podróże rozpraszaają myśli, kierują je na inne tory. W moim przypadku okazało się to nieskuteczne. Nie przestałem myśleć o pani od dnia naszej ostatniej rozmowy ani na chwilę. Nic się we mnie nie zmieniło. Kocham panią i wszystko, co wtedy powiedziałem, jest wciąż prawdą. W tym momencie znów, na swoje nieszczęście, jestem całkowicie pod pani nieodpartym urokiem. To musiałem pani powiedzieć. Nie będę jednak nalegał, pozwoliłem sobie na tych kilka słów. Dodam tylko, że przed chwilą, kiedy panią tak niespodziewanie zobaczyłem tutaj, myślałem właśnie – daję pani słowo! – gdzie pani może teraz przebywać. – Odzyskiwał stopniowo panowanie nad sobą i kończył tę deklarację z całym spokojem. Jak gdyby przemawiał do małego grona słuchaczy, składając rzeczowo, jasno jakieś ważne wyjaśnienia i zerkając niekiedy na kartkę, ukrytą w głębi kapelusza, żeby nie pominąć żadnego punktu. Grono słuchaczy z pewnością uznałoby, że wywód przeprowadził prawidłowo.

– Ja też często o panu myślałam – powiedziała Isabel. – Może pan być pewny, że nigdy nie przestanę myśleć o panu życzliwie. – I starając się, żeby to zabrzmiało jak najgrzeczniej, dodała lekkim tonem: – To żadnemu z nas nie może zaszkodzić.

Szli obok siebie i panna Archer skwapliwie zagadnęła go o siostry, prosząc, żeby im przekazał od niej pozdrowienia. Lord Warburton nie poruszał już wielkiego wspólnego problemu, lecz zrećźnie żeglował po płytszych, bezpieczniejszych wodach. Chciał

jednak wiedzieć, kiedy Isabel zamierza opuścić Rzym, a usłyszawszy jej odpowiedź, wyraził radość, że pozostało jeszcze trochę czasu do tego terminu.

– Pan wspominał, że bawi tutaj tylko przejazdem? – spytała trochę zaniepokojona.

– Tak, ale nie sposób traktować Rzymu jak stacji, gdzie trzeba przesiąść się na inny pociąg – odparł. – Przejazdem, to znaczy mimo wszystko zamierzam spędzić tu tydzień lub nawet dwa tygodnie.

– Niech pan się szczerze przyzna, że chce zostać, póki ja tu będę!

Spojrzał na nią z uśmiechem, badając wyraz jej twarzy.

– Pani jest z tego niezadowolona. Obawia się pani, że za wiele czasu będzie pani spędzać w moim towarzystwie.

– Nie chodzi o mnie. Oczywiście nie wymagam, żeby pan przez wzgląd na mnie wyrzekał się pobytu w tak pięknym mieście. Ale przyznaję, że boję się pana.

– Boi się pani, że znowu wrócę do tamtej sprawy? Przymierzam, że będę bardzo starannie ją omijał.

Zwalniali stopniowo kroku i wreszcie zatrzymali się, zwróceniu ku sobie.

– Biedny lord Warburton! – powiedziała ze współczuciem, sądząc, że to im obojgu ułatwi sytuację.

– Biedny, zaiste! Ale będę się starał, obiecuję.

– Jeśli nawet pan czuje się nieszczęśliwy, nie powinien pan także mnie unieszczęśliwiać. Na to nie mogę pozwolić.

– Gdybym wierzył, że potrafię panią wzruszyć, myślę, że nie rezygnowałbym! – Isabel w tym momencie ruszyła z miejsca, więc idąc za nią, dokończył: – Nie powiem już ani słowa, które mogłoby pani sprawić przykrość.

– Dobrze. Jeżeli pan nie dotrzyma obietnicy, kwita z przyjaźni!

– Kiedyś może... za jakiś czas... pozwoli mi pani...

– Pozwolę, żeby pan mnie unieszczęśliwił?

Zawahał się, nim dokończył:

– Żebym znowu powiedział pani... – Przemógł się raz jeszcze: – Będę to w sobie tłumił. Zawsze.

Do Ralpa, śledzącego robotę archeologów, przyłączyła się wkrótce panna Stackpole ze swoim wielbicielem i teraz wszyscy troje wynurzyli się spomiędzy kopców ziemi i kamieni okalających wykop i ukazali oczom panny Archer i lorda Warburtona. Ralph, poznając z daleka przyjaciela, wydał cichy okrzyk radości i zarazem zdumienia, a Henrietta zawołała głośno:

– Patrzcie państwo! Przecież to lord!

Ralph i lord Warburton przywitali się powściągliwie, jak zwykli witać się angielscy sąsiedzi po długiej rozłące, a panna Stackpole bystrym wzrokiem wpatrywała się w ogorzałego podróżnika. Prędko jednak znalazła stosowne wyjście z nieco kłopotliwej sytuacji:

– Pan mnie pewno nie pamięta, co?

– Doskonale pamiętam – odparł Warburton – zapraszałem panią do Lockleigh, ale nie przyjechała pani.

– Nie jeżdżę wszędzie, gdzie mnie zapraszają – chłodno odpowiedziała panna Stackpole.

– Kiedy tak, nigdy więcej nie będę pani zapraszał – roześmiał się pan zamku w Lockleigh.

– Ostrzegam, że jeśli pan powtórzy zaproszenie, skorzystam z niego!

Lord Warburton mimo wesołości wolał, jak się zdaje, nie ryzykować. Tymczasem pan Bantling, który stał obok, nie przypominając się pamięci jego lordowskiej mości, w tym momencie skłonił się grzecznie i w odpowiedzi usłyszał przyjazny okrzyk:

– Kogo widzę! Bantling! – I lord Warburton uścisnął mu rękę.

– Nie wiedziałam, że panowie się znają – zdziwiła się Henrietta.

– Nie zna pani jeszcze wszystkich moich znajomych! – żartobliwie odparł pan Bantling.

– Myślałam, że Anglik, który zna osobiście jakiegoś lorda,

chwali się tym przed każdym.

– Niestety, Bantling wstydził się przyznać do znajomości ze mną! – zaśmiał się znowu lord Warburton. Isabel cieszyła się z wesołego tonu rozmowy, ale odetchnęła z ulgą, kiedy już wracali z wyprawy.

Nazajutrz była niedziela; rano zajęło jej pisanie dwóch długich listów – do siostry Lily i do madame Merle. W żadnym wszakże ani słowem nie wspomniała, że spotkała dawnego konkurenta i obawia się ponownych jego oświadczeń. W niedzielne popołudnia szanujący się rzymianie (a do tej kategorii należą też często barbarzyńcy z północy) zgodnie ze zwyczajem chodzą na nieszpory do Bazyliki Świętego Piotra; grupa naszych znajomych wybierała się tam właśnie tego dnia. Powozy miały zajeżdżać dopiero za godzinę, gdy po lunchu zjawił się w hotelu lord Warburton, by złożyć wizytę dwóm damom; Ralpa i pana Bantlinga nie zastał, bo obaj w jakimś interesie wyszli na miasto. Lord Warburton najwidoczniej chciał przekonać Isabel, że gotów jest dotrzymać danej poprzedniego dnia obietnicy, bo zachowywał się jednocześnie dyskretnie i swobodnie; nie był ani natrętnie milczący, ani sztucznie ożywiony. Mogła wyciągnąć z tego wniosek, jak miły umie być w skromnej roli przyjaciela. Opowiadał o swojej podróży, o Persji i Turcji, a kiedy panna Stackpole spytała, czy zwiedzenie tych krajów „opłaciłoby się jej”, zapewnił, że tam znalazłaby rozległe pole do walki o prawa kobiet. Isabel musiała mu oddać sprawiedliwość, ale zastanawiała się, do czego lord Warburton zmierza, co spodziewa się zyskać, udowadniając, że szczerść dźwięczy bardzo szlachetnie. Jeśli miał nadzieję rozczulić ją, przekonując, że jest człowiekiem na wskroś lojalnym, mógł oszczędzić sobie fatygi. Od dawna wiedziała, ile jest wart, i niepotrzebne jej były nowe dowody. Co gorsza, jego obecność wydawała jej się komplikacją niepożądaną – w przeciwieństwie do pożądanых, które bardzo lubiła. Kiedy jednak na zakończenie wizyty oznajmił, że również zamierza być na nieszporach w bazylice i postara się tam odszukać pannę Archer i jej towarzystwo, musiała odpowiedzieć, że oczywiście, jeśli ma

ochotę, mogą się spotkać.

W kościele, przemierzając ogromną przestrzeń mozaikowej posadzki, od razu natknęła się na niego. Nie należała do zblazowanych turystów, których rozczarowuje Bazylika Świętego Piotra – „mniejsza, niż sobie wyobrażali”. Po raz pierwszy przeszła pod wielką skórzaną zasłoną, rozsuwającą się z szelestem u wejścia, po raz pierwszy znalazła się pod wysoko sklepioną kopułą i zobaczyła, jak światło sący się z góry w powietrzu gęstym od kadzideł, refleksów marmurów i złocień, mozaiki i brązu, a pojęcie wielkości wciąż w jej umyśle rosło i przyprawiało ją o zawrót głowy. Od tej chwili nie brakowało mu już przestrzeni, by rosnąć coraz bardziej. Isabel patrzyła i podziwiała jak dziecko czy prosta wieśniaczka, składała w milczeniu hołd temu wnętrzu, w którym mieściła się wzniosłość. Lord Warburton, idąc obok niej, mówił o Świętej Sofii w Konstantynopolu; przez chwilę bała się, że spróbuje uzyskać od niej pochwałę za swoje przykładne zachowanie. Nabożeństwo jeszcze się nie zaczęło, ale u Świętego Piotra jest co oglądać, a olbrzymie rozmiary bazyliki nadają jej jakiś świecki charakter, jak gdyby przeznaczona była w równym stopniu do fizycznych co duchowych praktyk, więc różnorodne osoby i grupy, wierni przemieszani z turystami, każdy zajmuje się, czym chce, zależnie od motywów, które go tu sprowadziły, nie wywołując konfliktów ani zgorszenia. W tej wspaniałej przestrzeni indywidualne nietakty nie przekraczają najbliższego kręgu. Isabel i jej przyjaciele nie dopuścili się żadnej tego rodzaju niedelikatności; Henrietta wprawdzie szczerze oznajmiła, że dzieło Michała Anioła traci nieco na porównaniu z kopułą waszyngtońskiego Kapitolu, ale szepnęła to na ucho panu Bantlingowi, zachowując szerszy i bardziej dobitny wywód na ten temat dla czytelników „Interviewera”. Isabel obesła kościół w asyście jego lordowskiej wysokości, a gdy zbliżali się do chóru po lewej stronie głównego wejścia, głosy papieskich śpiewaków dobiegły ich ponad głowami tłumu stojącego przed świątynią. Zatrzymali się chwilę na skraju tej gromady, złożonej w połowie z rzymskiego ludu, a w połowie z ciekawych cudzoziemców, i



chwilę słuchali religijnego śpiewu. Ralph z Henriettą i panem Bantlingiem zostali we wnętrzu świątyni, a Isabel, zaglądając tam zza pleców stłoczonej grupy, widziała południowe światło spływające przez rzeźbione wnęki wysokich okien, posrebrzone przez opary kadzidła, zmieszane, jak się zdawało, z piękną melodią pieśni. Po jakimś czasie śpiew umilkł i lord Warburton gestem zachęcił ją do przejścia dalej. Ruszyła więc z miejsca i odwróciwszy się, znalazła się nagle twarzą w twarz z Osmondem, który widocznie już od dłuższej chwili stał w odległości kilku kroków za nią. Podszedł i uklonił się panie Archer bardzo oficjalnie, jakby miejsce spotkania wymagało szczególnego ceremoniału.

– A więc zdecydował się pan przyjechać? – powiedziała, wyciągając do niego rękę.

– Tak, przyjechałem wczoraj wieczorem, a dziś po południu byłem w Hôtel de Paris; powiedziano mi, że pani poszła do bazyliki, więc tutaj pani szukałem.

– Reszta towarzystwa jest w kościele – uznała za stosowne wyjaśnić.

– Nie dla reszty towarzystwa przyjechałem – odparł żywo. Isabel obejrzała się przez ramię; lord Warburton obserwował ich, może nawet słyszał tę wymianę zdań. Przypomniała sobie, że niemal dosłownie tak samo on jej odpowiedział pamiętnego ranka, gdy przybył do Gardencourt oświadczyć się o jej rękę. Zarumieniła się, słysząc odpowiedź pana Osmonda, a wspomnienie tamtego dnia w Anglii nie mogło ochłodzić jej policzków. Łatwo było jednak zamaskować zmieszanie, przedstawiając sobie nawzajem obu panów, a na szczęście w tej samej chwili z kościoła wynurzył się pan Bantling, prując przez tłum z istic brytyjskim męstwem, a za nim ukazali się panna Stackpole i Ralph. Powiedziałem: na szczęście, ale jest to może zbyt powierzchowny sąd o sytuacji, bo na widok znajomego z Florencji Ralph wcale nie wydawał się uszczęśliwiony. Nie omieszkał jednak powitać go uprzejmie, a do Isabel powiedział dobrotliwym tonem, że wkrótce będzie miała wszystkich swoich przyjaciół u boku. Panna Stackpole już we

Florencji miała okazję poznać pana Osmonda i wtedy też oznajmiła, że ten pan nie przypadł jej do gustu bardziej niż inni wielbiciele panny Archer – Ralph Touchett i lord Warburton, a nawet ten mały pan Rosier z Paryża.

– Nie wiem – dodała – co to jest, że dziewczyna tak wartościowa jak ty przyciąga dziwacznych, najmniej odpowiednich mężczyzn. Jeden tylko pan Goodwood budzi we mnie szacunek, ale tego jednego właśnie ty nie doceniasz.

– Jakie wrażenie zrobiła na pani bazylika? – spytał naszą bohaterkę pan Osmond.

– Jest olbrzymia i olśniewająca! – tyle tylko umiała odpowiedzieć.

– Za wielka, człowiek czuje się tu pyłkiem.

– Czy nie powinien się tak właśnie czuć w najwspanialszej świątyni, jaką ludzie zbudowali? – spytała, dość zadowolona ze swojej retoryki.

– Myślę, że tak powinien czuć się wszędzie, jeśli nie jest kimś. Ale ja nie lubię tego uczucia w kościele ani gdzie indziej.

– Pan naprawdę powinien być papieżem! – wykrzyknęła Isabel, przypominając sobie, co pan Osmond mówił jej kiedyś we Florencji.

– O, tak, bardzo by mi to stanowisko odpowiadało – odparł Gilbert Osmond.

Tymczasem lord Warburton zbliżył się do Ralpa i szli obok siebie.

– Co to za jeden, ten pan, który rozmawia z panną Archer? – spytał.

– Nazywa się Gilbert Osmond i mieszka we Florencji – poinformował go Ralph.

– Co poza tym?

– Nic więcej. Aha, jest Amerykaninem, ale tak mało zachował z kraju pochodzenia, że się o tym zapomina.

– Panna Archer zna go od dawna?

– Od trzech, może czterech tygodni.

– Lubi go?

- Sama się nad tym pytaniem jeszcze namyśla.
- I co z tego wyniknie?
- Czy znajdzie odpowiedź?
- Nie, pytam, czy go polubi?
- Chcesz raczej wiedzieć, czy odpowie „tak” na jego oświadczeniu?
- Tak – po chwili odpowiedział Warburton. – Zdaje się, że właśnie taki okropny sens miało moje pytanie.
- Myślę, że nie zrobi tego, jeżeli nikt z nas nie będzie próbował jej powstrzymać – odparł Ralph.
- Jego lordowska mość w pierwszej chwili patrzył na niego w oszołomieniu, potem zrozumiał.
- A więc musimy zachować się całkiem biernie?
- Musimy milczeć jak grób. To jedyna szansa.
- Szansa, że ona to zrobi?
- Że tego nie zrobi.
- Lord Warburton dość długo milczał, wreszcie odezwał się znowu:
- Czy ten pan jest niezwykle inteligentny?
- Niezwykle – przytaknął Ralph.
- Lord Warburton zamyślił się na chwilę.
- Co więcej?
- Czego więcej chcesz?
- Chcesz powiedzieć, czego ona więcej chce?
- Ralph ujął przyjaciela pod ramię, żeby go skierować ku całemu towarzystwu.
- Ona nie chce nic z tego, co my jej mamy do ofiarowania – powiedział.
- No tak, jeżeli ciebie też nie chce... – rycersko odpowiedział Warburton.

## ROZDZIAŁ XXVIII

Nazajutrz wieczorem lord Warburton złożył znów wizytę w Hôtel de Paris, ale powiedziano mu, że obie panie wraz ze swoją świtą pojechały do opery. Pospieszył więc ich śladem, zamierzając, zgodnie ze swobodnym włoskim zwyczajem, odwiedzić je w ich loży: wstęp uzyskał bez trudności – był to jeden z drugorzędnych rzymskich teatrów – i rozejrzał się po wielkiej, pustawej i słabo oświetlonej widowni. Właśnie skończył się pierwszy akt, lord Warburton mógł więc swobodnie szukać swoich znajomych. Zlustrował wzrokiem dwa czy trzy rzędy łóż i w jednej z największych dostrzegł damę, w której od pierwszego rzutu oka nieomylnie rozpoznał pannę Archer. Siedziała zwrócona twarzą ku scenie, częściowo zasłonięta firanką; obok niej, odchylony na oparcie krzesła, zajmował miejsce Gilbert Osmond. Zdawało się, że są w loży sami; Warburton domyślił się, że towarzyszące im osoby skorzystały z antraktu, aby odetchnąć stosunkowo chłodnym powietrzem we foyer. Przez chwilę zastanawiał się, czy pójść na górę i zakłócić harmonię tej interesującej pary. W końcu doszedł do wniosku, że Isabel musiała go zauważyć, i to rozstrzygnęło sprawę. Nie powinien ostentacyjnie unikać spotkania. Ruszył więc po schodach w górę i spotkał Ralpha, schodzącego powoli na parter, z kapeluszem nasuniętym na czoło – co zdradzało, że przyjaciel się nudzi – i z rękoma jak zwykle w kieszeniach.

– Spostrzegłem cię właśnie i schodzę po ciebie – wyjaśnił Ralph. – Czułem się samotny, tęsknię do ludzkiego towarzystwa.

– Miałeś świetne towarzystwo i porzuciłeś je, jak widzę.

– Mówisz o mojej kuzynce? Och, Isabel ma gościa i nie jestem jej potrzebny. Panna Stackpole z Bantlingiem poszła do kawiarni na lody, bo przepada za lodami. Im, jak sądzę, także nie jestem potrzebny. Ta opera jest okropna, artystki wyglądają jak praczki, a śpiewają jak pawie. Czuję się bardzo marnie.

– Najlepiej wróć do hotelu – poradził spokojnie lord

Warburton.

– Miałbym zostawić damę mojego serca w tej nędznej budzie? Nie, muszę czuwać nad jej bezpieczeństwem.

– Mam wrażenie, że nie brak jej opiekunów.

– Tym bardziej muszę czuwać – odparł Ralph, wciąż tym samym, melancholijno-drwiącym tonem.

– Skoro nie potrzebuje ciebie, ja też nie jestem jej zapewne potrzebny.

– O, nie, z tobą inna sprawa. Idź do łoży i posiedź tam, a ja tymczasem trochę się przewietrzę.

Lord Warburton wszedł do łoży; Isabel przyjęła go jak starego szacownego przyjaciela, tak że nawet mignęło mu przez głowę pytanie, jaką to dziwną rolę młoda dama mu wyznacza. Wymienił formułki powitalne z panem Osmondem, którego poznał poprzedniego dnia i który, od chwili zjawienia się nowego gościa w łoży, trzymał się na uboczu, grzeczny, lecz milczący, jakby z góry odgradzał się od obcych sobie tematów, jakie prawdopodobnie zostaną teraz poruszone w rozmowie. Lord Warburton doznał wrażenia, że panna Archer w operowych dekoracjach promienieje czy też nawet popada w szczególne uniesienie; może jednak mylił się, bo przecież zawsze wzrok miała bystry i ruchy szybkie i kipiała życiem. Rozmawiała też z nim w sposób świadczący o wielkiej przytomności umysłu; pomysłowa, subtelna, dobrotliwa życzliwość stanowiła dowód, że panna Archer zachowała niewzruszone panowanie nad sobą. Biedny lord Warburton był chwilami zupełnie zbity z tropu. Odtrąciła go przecież jednoznacznie, zrobiła wszystko, co mogła zrobić dama, żeby go zniechęcić; dlaczego więc teraz wysiła się na tyle kunsztu, tyle łaskawości, a nade wszystko skąd wziął się ten ton, jak gdyby chciała mu wynagrodzić doznane przykrości czy może go przygotować na jakąś zmianę? Umiała nadawać swojemu głosowi słodkie brzmienie, ale dlaczego na nim wypróbowała te sztuczki? Tymczasem wróciła reszta towarzystwa i zaczął się kolejny akt jałowej, ogranej, banalnej opery. W dużej łoży było dość miejsca i lord Warburton mógł w niej pozostać, siedząc nieco

z tyłu i w ciemnościach. Przesiedział tak pół godziny, podczas gdy pan Osmond zajmował krzesło przy balustradzie, tuż za panną Archer, i oparłszy łokcie o kolana, pochylał się ku przodowi. Warburton ze swojego mrocznego kąta nic nie słyszał i nic nie widział prócz czystego profilu dziewczyny rysującego się na tle słabo oświetlonej sali. Podczas następnego antraktu nikt nie ruszył się z miejsca. Pan Osmond zabawiał pannę Archer rozmową, a lord Warburton tkwił w swoim kącie. Wkrótce jednak wstał i pożegnał damy; Isabel ani słówkiem nie spróbowała go zatrzymać i to wywołało jeszcze większy zamęt w jego głowie. Dlaczego tak wyróżniała pewne jego walory – wcale nie najważniejsze – a odrzucała inne, naprawdę cenne? Był zły na siebie, że się tak temu dziwi, i podwójnie zły, że jest zły. Muzyka Verdiego niewiele mogła go pocieszyć, toteż opuścił teatr i wracał do hotelu piechotą, chociaż nie znał drogi i błąkał się w krętych tragicznych ulicach Rzymu, gdzie wielu ludzi dźwigało pod gwiazdami cięższe niż on troski.

– Czym się odznacza ten dżentelmen? – spytał pannę Archer Osmond po wyjściu lorda Warburtona.

– Nieskazitelnym wychowaniem, czy pan tego nie zauważył?

– Pół Anglii należy do niego, tym się odznacza! – oznajmiła panna Stackpole. – I to się nazywa wolny kraj!

– Ach, jest właścicielem ziemskim? Szczęśliwy człowiek! – powiedział Gilbert Osmond.

– Pan to uważa za szczęście, że ktoś jest właścicielem biednych ludzi? – oburzyła się panna Stackpole. – Bo on jest właścicielem tysięcy swoich dzierżawców. Przyjemnie jest mieć coś niecoś, ale mnie wystarczą przedmioty martwe. Nie roszczę sobie praw do niczyjej krwi ani ciała, umysłu i sumienia.

– Jak się zdaje, ma pani jednak pod swoją władzą parę żywych istot ludzkich – żartobliwie zauważył pan Bantling. – Wątpię, czy lord Warburton wydaje swoim dzierżawcom tak kategoryczne rozkazy jak pani mnie!

– Lord Warburton jest radykałem – powiedziała Isabel. – Ma bardzo postępowe poglądy.

– Ma bardzo radykalne kamienne mury. Jego park ogrodzony jest żelaznymi sztachetami na przestrzeni około trzydziestu mil – poinformowała pana Osmonda Henrietta. – Chciałabym, żeby podyskutował z którymś z naszych bostońskich radykałów.

– Oni są przeciwni żelaznym sztachetom? – spytał pan Bantling.

– Uznaliby je tylko wtedy, gdyby mogli za nimi zamknąć przewrotnych konserwatystów. Zawsze mam wrażenie, że rozmawiam z panem przez jakiś mur posypany tłuczonym szkłem.

– Pani zna bliżej tego niezreformowanego reformatora? – zwrócił się do Isabel pan Osmond.

– Dostatecznie jak na moje potrzeby.

– Czy bardzo jest pani potrzebny?

– No cóż, lubię go lubić.

– Lubi pani lubić! To zakrawa na gorącą namiętność! – odparł Osmond.

– O, nie! Takie określenie byłoby stosowne wtedy, gdybym lubiła nie lubić.

– A więc pani mnie prowokuje, żebym zapalał namiętnością do tego pana! – zaśmiał się Osmond.

Chwilę milczała, potem odpowiedziała na ten rzucony lekko żarcik z niewspółmierną powagą:

– Nie, proszę pana, nigdy chyba nie ośmieliłabym się pana prowokować. Zresztą – dodała już swobodniej – lord Warburton jest bardzo miłym człowiekiem.

– Wybitnie zdolny?

– Niezwykle zdolny i dobry, jeszcze lepszy, niż można by sądzić z pozorów.

– A więc równie dobry jak przystojny, czy tak? Bo jest bardzo przystojny. Oburzająco łaskawy los! Urodzić się angielskim magnatem i na dokładkę mieć rozum i urodę, a dla ukoronowania szczęścia cieszyć się pani sympatią! Temu panu mógłbym zazdrościć.

Isabel przyglądała mu się z zainteresowaniem.

– Zdaje mi się, że pan zawsze komuś zazdrości; wczoraj

papieżowi, dziś biednemu lordowi Warburtonowi.

– Moja zazdrość nie jest niebezpieczna, nie skrzywdziłbym nawet muchy. Nie chciałbym nikogo zniszczyć, chciałbym tylko być na miejscu niektórych ludzi. Widzi pani, to mogłoby zniszczyć tylko mnie samego!

– Chciałby pan być papieżem? – spytała Isabel.

– Bardzo bym chciał, ale straciłem szansę, nie wstępując we właściwym czasie na tę drogę – odparł Osmond. – Dlaczego pani nazwała tego angielskiego lorda „biednym”?

– Kobiety, jeśli mają złote serce, litują się czasem nad tymi, których ranią, w ten sposób przejawia się ich dobroć – powiedział Ralph, wtrącając się po raz pierwszy z cynizmem prawie niewinnym w swej przejrzystej sztuczności.

– Czy ja zraniłam lorda Warburtona? – spytała Isabel, jakby ta myśl nigdy dotychczas nie powstała w jej głowie.

– Jeśli tak, to ma, na co zasłużył – stwierdziła Henrietta. W tym momencie kurtyna podniosła się i zaczął się balet.

Isabel nie widziała lorda Warburtona przez następną dobę, ale w dwa dni po spotkaniu w Operze zobaczyła swą rzekomą ofiarę w galerii Kapitolu; stał przed największym skarbem kolekcji – Umierającym Gladiatorem. Panna Archer była z całym towarzystwem, do którego, tak samo jak poprzedniego dnia, przyłączył się też pan Osmond. Weszli po schodach i skierowali się od razu do najpiękniejszej sali. Lord Warburton powitał Isabel dość wesoło, ale natychmiast oznajmił, że właśnie już opuszcza galerię.

– Wyjeżdżam z Rzymu – powiedział. – Muszę panią pożegnać.

Isabel, trochę niekonsekwentnie, przyjęła tę wiadomość z żalem. Może dlatego, że już nie obawiała się ponownych jego oświadczeń, zajęta innymi myślami. Chciała nawet wyrazić ubolewanie, ale w ostatniej chwili powstrzymała się od tego i złożyła mu tylko życzenia szczęśliwej podróży; spojrzał na nią, jakby trochę zdziwiony.

– Pani może pomyśli, że jestem niestały? Parę dni temu mówiłem, że zostanę tu dłużej.



– Ach, nie, mógł pan przecież zmienić plany.  
– Właśnie tak zrobiłem.  
– A więc *bon voyage!*  
– Pilno pani, żeby się mnie pozbyć – stwierdził z przygnębieniem.  
– Nic podobnego! Ale nie cierpię pożegnań.  
– Panią nic nie obchodzi, co się ze mną dzieje – powiedział żałośnie.

Isabel przyglądała mu się przez chwilę.  
– O! – westchnęła. – Pan łamie obietnicę.  
Zaczerwienił się jak sztubak.  
– To jest silniejsze ode mnie. Dlatego właśnie wyjeżdżam.  
– Do widzenia więc!  
– Do widzenia! – Ociągał się jednak z odejściem. – Kiedy znów panią zobaczę?

Isabel zawahała się, zanim – jakby pod wpływem nagłego natchnienia – odpowiedziała:

– Kiedyś w przyszłości, jak pan już będzie żonaty.  
– Nigdy. Spotkamy się raczej, kiedy pani już będzie mężatką.  
– Dobrze, to na jedno wyjdzie – odparła z uśmiechem.  
– Tak, na jedno. Do widzenia.

Uścisnęli sobie ręce i lord Warburton odszedł, zostawiając ją samą w sławnej sali, wśród lśniących starożytnych marmurów. Isabel usiadła pośrodku, wodząc wzrokiem po otaczających ją postaciach, zatrzymując spojrzenie na pięknych kamiennych obliczach, zasłuchana, można by rzec, w ich wiekuiste milczenie. Nie sposób – przynajmniej w Rzymie – patrząc przez dłuższy czas na wspaniałe greckie rzeźby, nie odczuć wpływu ich szlachetnego spokoju: jak gdyby zamknęły się za nami wysokie wrota i zaczynał się uroczysty obrzęd, duszę z wolna otula biały płaszcz ciszy. Powiedziałem: „przynajmniej w Rzymie”, bo atmosfera tego miasta jest cudownym przewodnikiem tego rodzaju wrażeń. Łączy się z nimi złoty blask słońca, a głęboka cisza przeszłości, tak żywej, chociaż jest tylko pustką wypełnioną mnóstwem imion, dodaje przeżyciom powagi i potęguje ich urok. Wielkie okna

Kapitolu były częściowo przysłonięte storami i w jasnym ciepłym cieniu kamienne figury zdawały się bardziej ludzkie. Isabel długo siedziała w tej sali, urzeczona ich nieruchomym wdziękiem, zastanawiając się, co mogły oglądać ich puste oczy, jak dla naszych uszu brzmiałaby mowa tych tak innych niż my istot. Na tle ciemnoczerwonych ścian kształty posągów rysowały się plastycznie, a lśniąca marmurowa posadzka odzwierciedlała ich piękno. Wszystko to widziała już przedtem, ale zachwyt odnowił się, tym żywszy, że tym razem Isabel cieszyła się z chwilowej samotności. Wkrótce jednak skupienie prysnęło, głębsza fala życia rozproszyła uwagę. Jakiś turysta wszedł, zatrzymał się na chwilę przed Umierającym Gladiatorem i poszedł dalej; słyszała jego skrzypiące kroki na gładkich kamieniach. W pół godziny później zjawił się Gilbert Osmond, wyprzedzając resztę towarzystwa. Zbliżał się do niej powoli, trzymając ręce splecione za plecami i patrząc na nią jak zwykle z uśmiechem pytającym, niezupełnie jednak sympatycznym.

– Jestem zaskoczony, że widzę panią samą. Myślałem, że ma pani miłe towarzystwo.

– Mam, i to jak najlepsze – odparła, spoglądając na Antinousa i Fauna.

– Woli ich pani od angielskiego para?

– Ach, angielski par opuścił mnie już dość dawno – powiedziała umyślnie oschłym tonem i wstała.

Pan Osmond zauważył oschłość i zainteresowanie jego wzrosło.

– A więc potwierdza się to, co słyszałem przedwczoraj wieczorem: jest pani okrutna dla tego arystokraty.

Isabel chwilę milczała, patrząc na pokonanego gladiatora.

– Nie. Jestem skrupulatnie uprzejma.

– Otóż to! – zaśmiał się Osmond z uciechą tak wielką, że ten dobry humor wymaga pewnych wyjaśnień. Wiemy już, że lubował się w okazach autentycznych i rzadkich, szlachetnych i wykwinnych. Lord Warburton wydał mu się znakomitym okazem swojej rasy i rangi. Z nową siłą zaczęła pociągać go myśl o

zdobyciu dziewczyny, która stała się godna jego doborowej kolekcji, odmawiając ręki tak świetnemu konkurentowi. Osmond wysoko cenił ten właśnie patrycjat, nie tyle za jego szczególne zalety, bo te nie wydawały mu się niezrównane, ile za wciąż aktualną i mocną pozycję w świecie. Nigdy nie wybaczył losowi, że nie obdarzył go angielskim tytułem książęcym, i doceniał niezwykłość decyzji panny Archer. Podobało mu się, że kobieta, którą zamierzał poślubić, zdobyła się na taki gest.

## ROZDZIAŁ XXIX

Jak wiemy, Ralph Touchett w rozmowie ze swoim znakomitym angielskim sąsiadem dość powściągliwie wyrażał się o osobistych zaletach Gilberta Osmonda; mógł jednak teraz wstydzić się tej surowości, bo pan Osmond zachowywał się wzorowo przez cały czas pobytu w Rzymie. Co dzień spędzał sporo czasu w towarzystwie panny Archer i jej grona, u wszystkich w końcu zyskując opinię człowieka wyjątkowo miłego we współżyciu. Każdy musiał zauważyć, jak doskonale łączy takt z wesołością – dlatego właśnie Ralph zarzucał mu dawniej zbytnią łatwość w powierzchownych stosunkach towarzyskich. Nawet zawistna rodaczka panny Archer musiała przyznać, że w danych okolicznościach Gilbert Osmond był idealnym kompanem. Wiedział wszystko, co wiedzieć należało, znajdował zawsze najtrafniejsze słowo w samą porę – jak gdyby błyskawicznie podawał zapaloną zapałkę, ilekroć ktoś sięgał po papierosa. Niewątpliwie sam dobrze się bawił – o tyle, o ile może się bawić ktoś, dla kogo nic nigdy nie jest niespodzianką – toteż był skłonny niemal do entuzjazmu. Nie manifestował tego dobrego humoru zbyt głośno, nigdy w salonowym koncercie nie tykał nawet końcem palca wielkiego bębna; nie cierpiał wysokiego przenikliwego tonu bezmyślnych, jak je nazywał, zachwyków. Raziło go, że panna Archer jest trochę za skora do uniesień. Ubolewał na tą jej wadę, jedyną, jaką dostrzegł w tej poza tym idealnej osobie; gdyby nie ten błąd, wydawałaby mu się gładka do manipulowania jak kulka z kości słoniowej na dłoni. Nie mówił tego głośno, ale był gorąco przejęty i w tych ostatnich dniach rzymskiego maja błogo z siebie zadowolony, co harmonizowało z nastrojem powolnych, swobodnych przechadzek pod piniami Villa Borghese, wśród drobnych uroczych polnych kwiatów i omszałych marmurów. Wszystko mu się podobało, nigdy jeszcze nie podobało mu się tyle rzeczy naraz. Odżyły dawne wrażenia, dawne radości;

pewnego wieczoru, wróciwszy do hotelu, napisał sonet i opatrzył go tytułem *Znowu w Rzymie*. W parę dni później pokazał swoje poprawne i kunsztowne dziełko pannie Archer, wyjaśniając, że istnieje włoski zwyczaj upamiętniania odświętnych momentów życia hołdem złożonym muzom.

Na ogół przeżywał swoje radości samotnie; za często i z dotkliwą jasnością dostrzegał – sam by to zapewne przyznał – coś złego i brzydkiego w swoim życiu, zbyt rzadko nawiedzała go wizja możliwego szczęścia. Ale teraz był szczęśliwy, może szczęśliwszy niż kiedykolwiek w przeszłości, i nastrój ten miał swoje uzasadnienie. Po prostu był świadomy własnego sukcesu, a nie ma nic miłszego ludzkiemu sercu niż ta świadomość. Osmond niewiele zaznał satysfakcji tego rodzaju, nie mógł skarżyć się na przesyt pod tym względem; wiedział to i często przypominał sam sobie. „Nie rozpieszczało mnie życie, z pewnością nie! – powtarzał w duchu. – Jeśli przed śmiercią osiągnę sukces, będzie to dobrze zasłużona nagroda”. Rozumował tak, jak gdyby „zasługiwało się” na uśmiech losu, marząc o nim skrycie i nie robiąc nic więcej. Zresztą pewne drobne sukcesy odniósł w życiu, niektórym obserwatorom wydawał się czasem człowiekiem spoczywającym na jakichś – nieco zagadkowych – laurach. Ale jego tryumfy albo należały do bardzo odległej przeszłości, albo też były zbyt łatwe. Teraz odnosił zwycięstwo mniej trudne, niż przewidywał, łatwe w tym sensie, że prędko dokonał podboju, ale przyłączone ogromnym wysiłkiem; sam nie spodziewał się, że będzie do takiego wysiłku zdolny. Za młodu gorąco pragnął dokonać czegoś, co świadczyłoby o jego wyższości – czegoś, czym mógłby się szczycić przed światem; z biegiem lat doszedł do przekonania, że warunki, jakie trzeba spełnić, żeby naprawdę się wybić, są brutalne i wstrętne: jakby ktoś dla udowodnienia wytrzymałości wypijał niezliczone kufle piwa. Gdyby bezimienny rysunek na ścianie muzeum miał świadomość i wrażliwość, doznałby podobnej satysfakcji, kiedy wreszcie jakiś znawca rozpoznałby w nim dzieło wielkiego mistrza, którego rękę objawia nieomylnie dyskretna doskonałość stylu. Panna Archer, z pewną pomocą z zewnątrz,

odkryła w nim właśnie styl; wkrótce nie tylko sama będzie się tym cieszyła, lecz ogłosi to całemu światu; Osmond uzyska dzięki niej sukces bez starań ze swej strony. Panna Archer wyręczy go i udowodni, że nie na próżno czekał od lat.

Na krótko przed z góry oznaczonym terminem wyjazdu z Rzymu Isabel dostała od pani Touchett telegram następującej treści:

4 CZERWCA JADĘ DO BELLAGGIO. ZABIERAM CIĘ JEŚLI NIE MASZ INNYCH PLANÓW. NIE MOGĘ CZEKAĆ JEŻELI BĘDZIESZ DŁUŻEJ MARUDZIŁA W RZYMIE.

Marudzenie w Rzymie było bardzo przyjemne, ale nie powstrzymało to panny Archer od zawiadomienia ciotki, że stawi się niezwłocznie u niej we Florencji. Powiedziała o tym panu Osmondowi, który nawzajem oznajmił, że spędziwszy wiele zarówno letnich, jak zimowych sezonów we Włoszech, woli trochę dłużej zostać w chłodnym cieniu Świętego Piotra. Wróci do Florencji dopiero za dziesięć dni, a wtedy panie będą już z pewnością w Bellaggio. W takim razie nie zobaczą się znów wcześniej niż za kilka miesięcy. Rozmowa ta odbywała się w dużym, ozdobnym salonie wynajmowanym przez Isabel i jej przyjaciółkę w Hôtel de Paris, późnym wieczorem; nazajutrz rano Ralph miał odwiedzić kuzynkę do Florencji. Osmond zastał pannę Archer samą; panna Stackpole zaprzyjaźniła się z uroczą amerykańską rodziną zajmującą apartament na czwartym piętrze i nie zrażając się niezliczoną ilością schodów do pokonania, wybrała się z wizytą na górę. Henrietta chętnie zawierała w podróży znajomości i niejedną cenną przyjaźń zapoczątkowała w wagonie kolejowym. Ralph zajął się przygotowaniami do jutrzejszego wyjazdu, toteż Isabel siedziała samotnie w gąszczu żółtych dekoracji. Fotele i kanapy były pomarańczowe, ściany i okna żłoczone, udrapowane fioletowymi kotarami. Lustra i obrazy tkwiły w szerokich, bogatych ramach, na sklepionym suficie malowidła przedstawiały grupę nagich muz i cherubów. Salon wydał się Osmondowi rozpaczliwie szpetny; źle dobrane kolory, tandetne wspaniałości przypominały mu ordynarne kłamliwe przechwałki.

Isabel miała w ręku książkę Ampère'a, którą po przyjeździe do Rzymu dostała w prezencie od Ralpa, ale chociaż trzymała ją na kolanach, wsunawszy między kartki palec, by zaznaczyć miejsce, do którego doczytała, nie zdradziła zniecierpliwienia z powodu przerwy w studiach. Lampa okryta zwiewnym abażurem z różowawej bibułki paliła się na stole i rzucała rozproszone różowawe światło na całą scenę.

– Pani mówi, że wróci, ale kto wie? – powiedział Gilbert Osmond. – Bardziej prawdopodobne, że wyruszy pani w tę swoją podróż dokoła świata. Nie ma pani tutaj żadnych zobowiązań, może pani robić, co się jej spodoba, choćby bujać w przestworzach.

– Włochy są częścią przestworzy – odparła Isabel. – Mogę po drodze wstąpić do tego kraju.

– W drodze dokoła świata? Nie, tego proszę nie robić. Należy się nam cały rozdział, a nie tylko wzmianka w nawiasie. Nie chcę pani spotykać podczas przerwy w podróży. Wolę panią zobaczyć, gdy skończą się wędrówki. Chciałbym spotkać panią, gdy już pani będzie nimi zmęczona i nasyciona. – I po chwili dodał: – W takim stanie ducha będzie pani dla mnie cenniejsza.

Isabel ze spuszczonej oczami przerzucała kartki książki.

– Pan umie ośmieszać, mówiąc niby poważnie, ale, jak sędzę, nie bez drwiącej intencji; nie traktuje pan moich podróży z szacunkiem, wydają się panu śmieszne.

– Z czego pani to wywnioskowała?

Isabel ciągnęła dalej tym samym tonem, strzępiąc nożem brzegi kartek.

– Pan potępia moje nieuctwo, pomyłki, projekt włóczenia się po całym świecie tylko dlatego, że... że... wpadły mi w ręce środki, które to umożliwiają. Pana zdaniem kobieta nie powinna prowadzić takiego trybu życia. Uważa pan, że to jest zuchwalstwo w złym guście.

– Uważam, że to jest piękna odwaga – powiedział Osmond. – Zna pani moje poglądy, mówiłem o nich aż za wiele. Pamięta pani, kiedyś powiedziałem, że człowiek powinien ze swojego życia

zrobić dzieło sztuki. Panią to w pierwszej chwili zgorszyło, ale potem przekonałem panią, że przecież właśnie to próbuje pani osiągnąć we własnym życiu.

Podniosła wzrok znad książki.

– Pan niczym w świecie nie gardzi tak jak nieudolną, głupią sztuką.

– Może. Ale pani dążenia wydają mi się czyste i cenne.

– Wyśmiej mnie pan, jeżeli zechcę następną zimę spędzić w Japonii.

Osmond uśmiechnął się, ale nie roześmiał, bo ton tego dialogu nie był żartobliwy. Isabel mówiła wręcz uroczyście, zauważył już nieraz tę jej skłonność do wielkiej powagi.

– Pani wyobraźnia jest doprawdy zaskakująca!

– Właśnie to miałam na myśli. Moje projekty wydają się panu niedorzeczne.

– Dałbym sobie uciąć mały palec, żeby móc zwiedzić Japonię. To jeden z krajów, o których najgoręcej marzę. Chyba pani mi wierzy, znając moje upodobanie do starej laki.

– Ja nie mogę się usprawiedliwić nawet upodobaniem do laki  
– stwierdziła Isabel.

– Pani ma coś lepszego na usprawiedliwienie: środki umożliwiające taką podróż. Myli się pani, podejrzewając, że panią wyśmiewam. Nie rozumiem, skąd pani to przyszło do głowy.

– Nie byłoby wcale dziwne, gdyby pan uważał za śmieszne, że ja mam środki, których pan nie ma, skoro pan tak dużo wie, a ja jestem ignorantką.

– Tym słuszniej będzie, jeśli pani zechce kształcić się w podróżach – uśmiechnął się Osmond. – Zresztą – dodał z pewnym naciskiem, jakby rzecz podlegała dyskusji – ja też nie wszystko wiem.

Pannie Archer nie wydało się zabawne, że Osmond mówi to zupełnie poważnie; myślała o najprzyjemniejszym epizodzie swojego dotychczasowego życia – tak określiła ten zbyt krótki pobyt w Rzymie, porównując w wyobraźni to miasto do małej księżniczki sprzed wieków, przytłoczonej ciężkim ceremonialnym



płaszczem i ciągnącej za sobą tren, który liczni paziowie-historycy musieli podtrzymywać – i zasmucała ją myśl, że to szczęście już się kończy. Nietrudno było jej zauważyć w tym momencie, że okres ten stał się tak interesujący głównie dzięki panu Osmondowi, bo już przedtem nieraz oddawała hojną sprawiedliwość jego zasługom. Ale mówiła sobie, że jeśli tkwi w tym jakieś niebezpieczeństwo, z którym nigdy więcej w życiu się nie zetknie, należy zapewne cieszyć się z takiego obrotu sprawy. Szczęśliwe chwile nie powtarzają się, a rzymski epizod już zaczynał zmieniać się w jej wyobraźni jak gdyby w romantyczną wyspę wśród morza; wiatr powiał i upojona słodyczą fioletowych winogron Isabel już odbijała od brzegu. Może wróci kiedyś do Włoch i zastanie odmienionego Gilberta Osmonda, który podobał jej się taki, jaki był teraz, lepiej nigdy już go nie spotkać, niż ryzykować zawód. Ale jeśli nie miałyby wrócić, tym bardziej żał, że zamyka się raz na zawsze pewien rozdział; skurcz żalu ścisnął serce, była bliska łez. Wzruszenie zamknęło jej usta; Gilbert Osmond też milczał, patrząc na nią.

– Niech pani jedzie, gdzie zechce – powiedział wreszcie przyciszonym, miękkim głosem. – Niech pani robi wszystko, czego zapragnie, wyciśnie z życia jak najwięcej. Niech pani będzie szczęśliwa, niech pani tryumfuje!

– Co pan nazywa tryumfem?

– No, możliwość robienia wszystkiego, na co przyjdzie ochota.

– Taki tryumf wydaje mi się porażką. Urzeczywistnianie wszystkich, często błahych zachcianek bywa bardzo nużące.

– Otóż to! – żywo, ale spokojnie odparł Osmond. – Jak mówiłem przed chwilą, pewnego dnia poczuje się pani znużona. – Po krótkiej przerwie ciągnął dalej: – Nie wiem, czy nie powinien bym zaczekać na ten dzień, żeby powiedzieć pani coś, co chciałbym już dziś wyznać.

– Trudno mi radzić, nie wiedząc, o co chodzi. Ale uprzedzam, że bywam okropnie przykra, kiedy jestem zmęczona – dodała Isabel z właściwą sobie niekonsekwencją.

– Nie wierzę. Pani umie się gniewać, tak myślę, chociaż

nigdy nie widziałem pani zagniewanej. Z pewnością nigdy ten gniew nie przeradza się w złość.

– Nawet jeśli tracę panowanie nad sobą?

– Pani nie traci nigdy panowania nad sobą, raczej w gniewie odnajduje siebie prawdziwą – powiedział ze szlachetną powagą. – To musi być wspaniały moment, chciałbym panią taką zobaczyć.

– Ach, gdybym teraz umiała sama siebie zrozumieć! – wykrzyknęła niecierpliwie Isabel.

– Nie boję się pani gniewu, gotów jestem podziwiać go z założonymi rękami. Mówię serio – oparłszy dłonie o kolana, wychylił się z fotela ku niej; na chwilę spuścił wzrok. – Chciałem dziś pani powiedzieć – rzekł, podnosząc na nią znowu oczy – że jestem w pani zakochany.

Zerwała się z miejsca.

– Och, proszę z tym poczekać, aż będę zmęczona.

– Zmęczona wysłuchiwaniami innych wielbicieli? – siedział w dalszym ciągu i spoglądał z dołu w jej twarz. – Nie, musi pani dowiedzieć się o tym teraz albo nigdy, jak pani woli. Mimo wszystko powiem to dzisiaj. – Isabel już odwracała się, ale w pół ruchu zatrzymała się i popatrzyła z góry na niego. Na długą chwilę zastygli w tych pozach, wymieniając spojrzenia, świadome, uparte spojrzenia, znamienne dla przełomowych momentów życia. Wreszcie Osmond wstał i podszedł do niej ostrożnie, z szacunkiem, jakby się bał urazić ją zbytnią poufałością. – Jestem w pani do szaleństwa zakochany.

Powtórzył to wyznanie z dyskrecją bliską obojętności, jak człowiek, który nie spodziewa się niczego uzyskać, ale musi dla własnego spokoju dać świadectwo prawdzie. Łzy napłynęły do oczu Isabel, tym razem nie oparły się gwałtowności bólu; miała wrażenie, że jakiś ostry rygiel zatrząskuje się czy może odsuwa, sama nie wiedziała, czy zamyka coś, czy otwiera. Słowa, które wypowiedział, rzuciły na niego złoty blask wczesnej jesieni, wydał jej się piękny i wielkoduszny; a jednak, mówiąc przenośnie, cofnęła się przed Osmondem, chociaż stali wciąż twarzą w twarz, cofnęła się tak samo jak w poprzednich analogicznych sytuacjach.

– Och, proszę, niech pan tego nie mówi! – odpowiedziała z uniesieniem, które zdradzało lęk przed koniecznością wyboru i decyzji. Potęgowała ten strach świadomość, która, można by się spodziewać, powinna by go rozproszyć: przeświadczenie, że gdzieś w głębi jej istoty ukryta jest zdolność do wielkiej, uskrzydłonej i ufnej namiętności. Był to jakby ogromny kapitał złożony w banku; Isabel bała się go naruszyć: zdawało jej się, że jeśli go raz dotknie, cały stopnieje natychmiast.

– Nie łudzę się, że to ma dla pani większe znaczenie – powiedział Osmond. – Za mało mogę pani ofiarować. Mnie wystarcza to, co mam, ale to nie zadowoliliby pani. Nie mam ani majątku, ani sławy, ani żadnych zewnętrznych przymiotów, którymi mógłbym się chlubić. Niczego więc nie mogę pani ofiarować. Wyznałem swoje uczucie, ponieważ, jak sędzę, nie uwłacza ono pani, a kiedyś może nawet stać się dla pani źródłem satysfakcji. Mnie przynosi ono radość, zapewniam panią – ciągnął dalej, stojąc przed nią lekko pochylony; w pełnym czci ukłonie obracał z wolna w palcach kapelusza ruchem, który wzruszał jako sygnał onieśmienia, nie rażąc wszakże niezręcznością; widziała z bliska jego stanowczą, delikatną, nieco zmienioną twarz. – Nie sprawia mi bólu, ponieważ jest bardzo naturalne. Dla mnie pozostanie pani zawsze najważniejszą z wszystkich kobiet świata.

Isabel zobaczyła siebie w tej roli – przyjrzała się sobie bardzo uważnie – i stwierdziła, że może ją odegrać z wdziękiem. To, co odpowiedziała, nie zdradzało jednak wcale samozadowolenia:

– Nie obraża mnie pańskie wyznanie, ale musi pan rozumieć, że pewne sytuacje, chociaż niewłaczające, są krępujące, kłopotliwe. – Słyszała własny głos i przymiotniki, których użyła, wydały jej się rażąco niestosowne. Ale te głupie określenia wyrwały jej się z ust mimo woli.

– Rozumiem doskonale. Zaskoczyłem panią i spłoszyłem, ale to tylko pierwsze wrażenie, minie prędko. I może zostawi coś, czego nie będę się musiał wstydzić.

– Nie wiem, co zostawi. W każdym razie, jak pan widzi,

wrażenie nie ścięło mnie z nóg – odparła z bladym uśmiechem. – Nie jestem tak wstrząśnięta, żebym nie mogła trzeźwo myśleć. I wydaje mi się bardzo pożądane, abyśmy się rozstali teraz. Jutro, jak już mówiłam, wyjeżdżam z Rzymu.

– Oczywiście nie podzielałam w tym wypadku pani zdania.

– Ja przecież wcale pana nie znam! – dodała nieoczekiwanie i zaczerwieniła się, bo dopiero mówiąc te słowa, przypomniała sobie, że to samo mniej więcej przed rokiem odpowiedziała lordowi Warburtonowi.

– Gdyby pani nie wyjeżdżała, poznałaby mnie pani lepiej.

– Może kiedyś zdarzy się do tego okazja.

– Mam nadzieję. Mnie bardzo łatwo poznać.

– O, nie! – zaprzeczyła energicznie. – Teraz nie jest pan szczery. Niełatwo pana poznać, trudniej niż innych ludzi.

– Widzi pani – zaśmiał się – twierdzę, że łatwo, bo sam siebie znam bardzo dobrze. Nie chciałbym, żeby to brzmiało jak przechwałka, ale naprawdę znam siebie.

– Możliwe, ale pan jest wyjątkowo mądry.

– Pani także! – zawołał Osmond.

– W tej chwili wcale nie czuję się mądra. Mam jednak dość rozumu, żeby prosić pana o zakończenie tej rozmowy. Do widzenia!

– Życzę pani szczęścia – powiedział, ujmując jej rękę, której nie pozostawiła dłużej w jego dłoni. – Potem dodał: – Jeżeli spotkamy się kiedyś, zastanie mnie pani niezmienionego. Jeżeli nie – także nic się w moich uczuciach nie zmieni.

– Dziękuję. Do widzenia.

W postawie gościa była jakaś niewzruszona stanowczość; zdawało się, że gotów jest odejść z własnej woli, ale nie da się odprawić.

– Muszę coś jeszcze powiedzieć. Nie prosiłem pani o nic, nawet o pamięć, przyzna pani? Ale chcę teraz poprosić o drobną przysługę. Wrócę do domu dopiero za kilka dni. Rzym jest cudowny, to szczególnie stosowne miejsce dla człowieka w moim stanie ducha. Wiem, że pani też chętnie by tu jeszcze została, ale

słusznie spełnia pani życzenia swojej ciotki.

– Ona właściwie nawet sobie tego nie życzy! – wykrzyknęła niespodziewanie Isabel.

Osmond już otwierał usta, żeby odpowiedzieć coś w tym samym tonie, ale rozmyślił się w ostatniej sekundzie i powiedział tylko:

– No tak, wypada, żeby pani z nią pojechała do Bellaggio; niech pani postępuje tak, jak wypada, bardzo to popieram. Niech pani wybaczy ten ojcowski ton. Mówi pani, że mnie nie zna, ale może kiedyś pani odkryje, jak szanuję dobre obyczaje.

– Czyżby pan uznawał konwenanse? – spytała z powagą.

– Jak pani wspaniale wymawia to słowo! Nie, nie uznaję konwenansów, sam jestem ich żywym wcieleniem! Pani nie rozumie? – Umilkł i tylko się uśmiechał. – Chętnie bym pani wytłumaczył. – I nagle innym, żywym i naturalnym tonem dodał: – Niech pani koniecznie wróci! Tyle rzeczy mamy jeszcze do przedyskutowania!

Słuchała ze spuszczonej oczyma.

– Pan chciał mnie prosić o jakąś przysługę?

– O to, żeby pani przed wyjazdem z Florencji odwiedziła moją córeczkę. Została w domu sama. Nie zdecydowałem się umieścić jej u siostry, która ma zupełnie inne poglądy niż ja. Proszę powiedzieć małej Pansy, że powinna mocno kochać swojego biednego ojca – łagodnie powiedział Osmond.

– Odwiedzę ją z przyjemnością i powtórzę pana prośbę – obiecała Isabel. – Raz jeszcze: do widzenia!

Tym razem skłonił się z wielkim szacunkiem i szybko wyszedł. Isabel chwilę stała, rozglądając się po salonie, wreszcie usiadła z wolna, z miną bardzo stanowczą. Tak ją w jakiś czas później zastali przyjaciele, siedzącą z założonymi rękoma i wzrokiem wbitym w dywan. Stało się to, ku czemu od tygodnia wybiegała jej wyobraźnia. Ale gdy ten moment nadszedł, zatrzymała się – ta wzniosła siła nagle osłabła. Dziwna była psychika naszej bohaterki, mogę jej postępowanie opisać tak, jak je rozumiem, nie mam jednak nadziei, że wyda się całkiem

naturalne. Wyobraźnia jej, jak powiedziałem, cofnęła się, niezdolna przekroczyć ostatniej, mglistej granicy, zapuścić się na mroczną, niepewną drogę, która zdawała się niewyraźna czy nawet zdradziecka jak ścieżka przez moczary o zimowym zmierzchu. Na tę drogę wstąpi ona jednak później.

## ROZDZIAŁ XXX

Nazajutrz wróciła do Florencji eskortowana przez kuzyna, a Ralph Touchett, chociaż zwykle niecierpliwiły go trudy podróży koleją, chwalił sobie godziny spędzone w wagonie, który oddalał Isabel od miasta zaszczyconego obecnością Gilberta Osmonda, godziny stanowiące pierwszy etap planowanych dalszych wędrówek. Panna Stackpole została w Rzymie – projektowała krótką wycieczkę do Neapolu w towarzystwie pana Bantlinga. Ponieważ pani Touchett wyznaczyła datę wyjazdu na czwartego czerwca, Isabel spędziła we Florencji trzy dni i ostatni postanowiła wykorzystać na odwiedzenie małej Pansy, zgodnie z obietnicą daną jej ojcu. Zamiar ten omal nie uległ w ostatniej chwili zmianie wskutek interwencji madame Merle. Dama ta bawiła jeszcze u pani Touchett, ale także miała lada dzień ją opuścić, udając się do pewnego zamku w górach toskańskich, siedziby miejscowego arystokratycznego rodu – „znajomych od wieków”, jak się wyraziła; pannie Archer znajomość ta wydała się cenna i zaszczytna, gdy przyjaciółka pokazała jej fotografię potężnych murów obronnych tej rezydencji. Wspomniała tej uprzywilejowanej osobie, że pan Osmond prosił ją o wizytę u córki, ale nie dodała, że oświadczył się też o jej rękę.

– *Ah, comme cela se trouve!* – wykrzyknęła madame Merle. – Ja też myślałam, że dobrze byłoby odwiedzić tę małą, nim stąd wyjadę.

– Możemy tam pojechać razem – powiedziała rozsądnie Isabel; „rozsądnie”, bo propozycja nie budziła w niej entuzjazmu. Wyobrażała sobie, że będzie to niejako samotna pielgrzymka, i wolałaby, żeby wizyta miała taki właśnie charakter. Gotowa była jednak poświęcić te mistyczne sentymenty z grzeczności dla nieocenionej przyjaciółki.

Madame Merle namyślała się chwilę.

– Nie, po cóż miałybyśmy odwiedzać ją obie, skoro tyle

zostało nam jeszcze do załatwienia w ciągu tych kilku ostatnich godzin?

– Słusznie. Mogę doskonale pojechać sama.

– Nie wiem, czy to wypada, żebyś sama odwiedzała dom przystojnego, samotnego mężczyzny. Był co prawda żonaty, ale bardzo dawno temu.

Isabel patrzyła na nią ze zdumieniem.

– Czy to ma jakiegokolwiek znaczenie, skoro pan Osmond jest w Rzymie?

– Ludzie nie wiedzą o tym.

– Jacy ludzie?

– Wszyscy. Ale może masz rację, że to nieważne.

– Przecież ty się tam wybierałaś, dlaczego więc ja bym nie mogła?

– Dlatego że ja jestem starą wiedźmą, a ty piękną młodą damą.

– Przypuśćmy, ale ja obiecałam.

– Jak wielką wagę przywiązujesz do swoich obietnic! – z lekką ironią odpowiedziała madame Merle.

– Tak, przywiązuję wielką wagę do danego komuś słowa.

Czy to dziwne?

– Masz rację – powiedziała madame Merle, jak gdyby myśląc na głos. – Z pewnością chcesz okazać temu dziecku trochę serca.

– Tak, bardzo tego chcę.

– A więc jedź i porozmawiaj z małą Pansy. Nikt z tego nie będzie i tak mądrzejszy. Powiedz jej, że odwiedziłabym ją, gdybyś ty mnie nie wyręczyła... Albo lepiej nie mów nic, jej to by nie wzruszyło.

Jadąc sama ostentacyjnie w otwartym powozie krętymi drogami na szczyt wzgórza, Isabel zastanawiała się, co miała na myśli jej przyjaciółka, mówiąc, że „nikt z tego i tak nie będzie mądrzejszy”. Od czasu do czasu, bardzo rzadko zresztą, madame Merle roztropnie żeglująca zazwyczaj po otwartych morzach, a nie po niebezpiecznych kanałach, rzucała takie dwuznaczne uwagi,



dźwięczące jakąś fałszywą nutą. Cóż mogły obchodzić pannę Archer wulgarne sądy nieznanym ludzi? Czy madame Merle przypuszczała, że Isabel zdolna byłaby cokolwiek robić ukradkiem? Oczywiście nie – słowa jej musiały mieć jakiś inny sens, którego w zamęcie przygotowań do wyjazdu nie zdążyła wytłumaczyć. Isabel postanowiła, że kiedyś zapyta o to przyjaciółkę; lubiła jasne sytuacje. Kiedy ją wprowadzono do salonu pana Osmonda, usłyszała płynący z innego pokoju dźwięk fortepianu; Pansy grała gamy, a pilność, z jaką spełniała ten obowiązek, wzruszyła pannę Archer.

Po krótkiej chwili dziewczynka weszła, przyglądając na sobie sukienkę, przejęta rolą pani ojcowskiego domu, poważna i grzeczna. Isabel siedziała w salonie pół godziny, a Pansy wznosiła się na wysokość swojego zadania jak mała skrzydlata wróżka unosząca się na niewidzialnym sznurku; nie szczebiotała, lecz prowadziła rozmowę, z szacunkiem odwzajemniała łaskawe zainteresowanie gościa, dowiadując się o sprawy i plany panny Archer. Isabel patrzyła na nią z ciekawością – nigdy jeszcze nie podsunęto jej tak bezpośrednio pod nos białego kwiatka wyhodowanej słodyczy. „Jak świetnie tę małą wychowano – myślała. – Jak ładnie ją ukształtowano i ułożono, zostawiając jednocześnie prostotę, naturalność i niewinność”. Isabel zawsze lubiła studiować charaktery ludzkie, sondować, jeśli tak można się wyrazić, najgłębsze tajemnice osobowości i dotychczas nie była pewna, czy to filigranowe stworzonko nie jest w rzeczywistości przemądrzałe. Może ta nieprawdopodobna szczerłość jest tylko wysublimowaną formą zakłopotania? Czy to poza, przybrana, żeby zjednać gościa, czy też najprostszy przejaw nieskazitelnej natury? Po godzinie spędzonej w pięknym, pustym, ciemnym mieszkaniu pana Osmonda, gdzie na pół zasłonięte okna chroniły od skwaru, tak że tylko tu i ówdzie przemykał się przez szczeliny blask lata, rozświetlając spłowiałe barwy i zmatowiałe złocenia w gęstym półmroku – po długiej rozmowie z córką gospodarza Isabel знаła już odpowiedzi na te pytania. Pansy jest naprawdę białą kartą, czystą białą kartą zachowaną bez plamki, nie ma sprytu,

chytrości, talentów ani energii, ale za to kilka małych, cennych instynktów, dzięki którym potrafi rozpoznać osobę naprawdę życzliwą, unikać błędów, szanować stare zabawki i nowe sukienki. Ale istota tak krucha i tak wzruszająca zdawała się przeznaczona na bezbronną ofiarę losu; nie będzie miała woli ani siły sprzeciwu, ani poczucia własnej wartości; łatwo da się oszukać albo zmiażdżyć – jedyną jej tarczą będzie umiejętność przyłgnięcia we właściwej chwili do właściwej podpory. Panna Archer miała ochotę raz jeszcze zobaczyć inne pokoje, więc Pansy oprowadziła ją po całym domu, wygłaszając komentarze o różnych dziełach sztuki. Mówiła o swoich nadziejach i zajęciach, o planach ojca; nie była egotystką, mówiła o sobie, ponieważ uznała, że tak niezwykle gościevi wypada udzielić informacji, których zapewne oczekuje.

– Proszę mi powiedzieć, czy papa w Rzymie złożył wizytę matce Catherine? – spytała. – Obiecał, że to zrobi, jeśli znajdzie czas. Może nie mógł. Papa lubi mieć dużo czasu. Chciał z nią naradzić się w sprawie mojego wykształcenia, które nie jest jeszcze pełne, pani rozumie. Nie wiem, czego siostry jeszcze chcą mnie nauczyć, ale podobno wiele mi brakuje. Papa niedawno powiedział, że zastanawia się, czy sam nie mógłby się tym zająć; w ostatnich klasach nauczyciele bardzo drogo biorą za lekcje ze starszymi panienkami. Papa nie jest bogaty, martwiłabym się okropnie, gdyby wydawał na mnie dużo pieniędzy, bo myślę, że na to nie zasługuję. Nauka przychodzi mi z trudnością, nie mam dobrej pamięci. Pamiętam to, co mi ktoś mówi, zwłaszcza jeśli to coś przyjemnego, ale to, co przeczytam w książkach, zapominam prędko. W klasztorze miałam najlepszą przyjaciółkę, którą rodzice zabrali z pensji, kiedy skończyła czternaście lat, żeby oszczędzić dla niej na... jak po angielsku jest *une dot*? Nie mówi się tak po angielsku? Nie, myślę, że to nic złego, chcą uzbierać pieniądze, żeby móc ją wydać za mąż. Nie wiem, czy papa też oszczędza na posag dla mnie. Wydanie dziewczyny za mąż okropnie dużo kosztuje! – Pansy westchnęła, ciągnąc dalej: – Możliwe, że papa chciałby coś zaoszczędzić. W każdym razie za młoda jestem, żeby

myśleć o małżeństwie, i żaden pan jeszcze mi się nigdy nie spodobał, z wyjątkiem, naturalnie, papy. Gdyby nie był moim ojcem, chciałabym go mieć za męża, ale wolę być jego córką niż żoną jakiegoś zupełnie obcego pana. Bardzo do papy tęsknię, ale, wie pani, przyzwyczajona jestem do rozłąki. Papę widywałam właściwie tylko podczas wakacji. Może nawet bardziej tęsknię do matki Catherine, ale tego proszę papie nie powtarzać. Nie zobaczy się już z nim pani? Och, szkoda, papa będzie żałował. Z wszystkich gości, jacy u nas bywają, panią najbardziej polubiłam. To nie taki wielki komplement, bo mało osób nas odwiedza. Pani jest bardzo miła, że zechciała dzisiaj przyjechać, i to z drugiego końca miasta! Ja przecież rozumiem, że jestem niedorośła. Mam wciąż jeszcze obowiązki dziecka. A pani kiedy przestała się zajmować dziecinnymi rzeczami? Ciekawa jestem, ile pani ma lat, ale nie wiem, czy wypada pytać. Siostry nas uczyły, że nie trzeba nigdy pytać ludzi o ich wiek. Nie lubię zachowywać się inaczej, niż ktoś się po mnie spodziewa, ten ktoś mógłby myśleć, że jestem źle wychowana. Nie lubię też, kiedy mnie ktoś zaskakuje. Papa zostawił mi szczegółowe wskazówki, co mam robić. Bardzo wcześnie chodzę spać. Jak słońce już na to zbocze nie świeci, spaceruję po ogrodzie. Papa kazał mi uważać, żebym się nie opaliła. Podoba mi się widok z naszych okien, góry są takie malownicze. W Rzymie z klasztoru widać było tylko dachy i dzwonnice. Trzy godziny dziennie ćwiczę na fortepianie. Pani gra? Och, proszę, niech pani mi coś zagra. Papie bardzo zależy na tym, żebym słuchała dobrej muzyki. Madame Merle kilka razy dla mnie grała, właściwie najbardziej w madame Merle lubię jej muzykalność, gra z wielką łatwością. Ja nigdy nie nabędę takiej techniki. Głosu też nie mam, piszczę jak tabliczka, kiedy się na niej rysikiem kreśli jakieś esy-floresy.

Isabel, ulegając nieśmiałym prośbom, ściągnęła rękawiczki i usiadła do fortepianu, a Pansy, stojąc przy niej, obserwowała jej białe ręce poruszające się nad klawiaturą. Na pożegnanie panna Archer ucałowała dziewczynkę, przytuliła ją serdecznie i długo na nią patrzyła.

– Bądź bardzo grzeczna – powiedziała. – Bądź radością swojego ojca.

– Myślę, że to jest główny cel mojego życia – odparła Pansy.  
– Papa ma tak mało radości, wydaje mi się smutny.

Isabel słuchała i konieczność ukrywania, jak bardzo ją te sprawy interesują, była dla niej prawie torturą. Zmuszała ją do tego duma i poczucie przyzwoitości; cisnęły jej się na usta inne jeszcze myśli, które chciałyby zwierzyć dziewczynce o jej ojcu, ale tłumiała je natychmiast; były też rzeczy, które pragnęła od Pansy usłyszeć, zachęcając ją do mówienia. Ale gdy uświadomiła sobie te chęci, ogarnęła ją zgroza na myśl, że mogłaby nadużyć szczerości dziecka – bo tak surowo osądzała tę pokusę – i bała się zostawić w atmosferze domu jakiś ślad własnego urzeczenia, który on mógłby swoimi subtelnyymi zmysłami wyczuć. Przyszła tutaj, przyszła, ale tylko na godzinę. Wstała szybko z taboretu przed fortepianem, ociągając się jednak potem jeszcze przez chwilę, tuląc w ramionach smukłe dziewczątko i patrząc z góry na główkę Pansy prawie z zazdrością. Musiała sama przed sobą przyznać się, że doznałaby niezwyklej przyjemności, rozmawiając o Gilbertcie Osmondzie z tą niewinną miniaturową istotą, tak blisko z nim związaną. Nie powiedziała jednak ani słowa więcej, pocałowała tylko dziewczynkę raz jeszcze. Razem doszły przez sień do drzwi prowadzących na dziedziniec; tu małeńka pani domu zatrzymała się, spoglądając tęsknie ku drodze.

– Nie wolno mi iść dalej. Przyrzekłam papie, że nie przekroczę tego progu.

– Dobrze, że jesteś posłuszna, ojciec nie żąda od ciebie nigdy czegoś niewłaściwego.

– Tak, zawsze będę mu posłuszna. Kiedy pani znów przyjdzie?

– Obawiam się, że nieprędko.

– Proszę przyjść, jak tylko pani będzie mogła. Jestem małą dziewczynką, ale będę na panią czekała.

Drobna figurka stała w progu wysokich ciemnych drzwi, odprowadzając wzrokiem pannę Archer idącą przez jasny szary

dziedziniec, póki nie zniknęła w jasnym świetle za wielką bramą,  
która otwierając się, wpuściła szeroką smugę blasku.

## ROZDZIAŁ XXXI

Isabel wróciła do Florencji, ale dopiero po kilku miesiącach, dość bogatych w wydarzenia. Nie będziemy śledzić naszej bohaterki w tym antrakcie, bardziej nas bowiem interesuje pewien wiosenny dzień, gdy wkrótce po przybyciu do Palazzo Crescentini, w rok mniej więcej po opisanej w poprzednim rozdziale scenie, znalazła się sama w jednym z mniejszych niezliczonych salonów; z jej wyrazu twarzy i zachowania można było zgadnąć, że oczekuje jakiejś wizyty. Zielone żaluzje w otwartym oknie były częściowo spuszczone, ale przez szpary płynęło z ogrodu świeże powietrze, wypełniając pokój ciepłem i zapachem. Isabel czas jakiś stała przy oknie, patrząc przez nie z roztargnieniem, spowodowanym niepokojem. Zbyt poruszona, by skupić uwagę, krążyła bez celu po salonie. Nie mogła spodziewać się, że przez okno spostrzeże gościa wchodzącego do domu, bo do Palazzo Crescentini nie wchodziło się od strony ogrodu, zawsze zacisznego i cichego. Chciała raczej przygotować się na wizytę, snując rozmaite hipotezy, a sądząc z wyrazu jej twarzy, wymagało to niemałej pracy umysłu. Zdawała się poważniejsza i jakby obciążona doświadczeniami ostatniego roku, poświęconego zwiedzaniu świata. Wędrowała, jak by sama to określiła, w przestworzach i ogarnęła wzrokiem szerszy krąg ludzkości, toteż stała się we własnych oczach osobą zupełnie inną niż młoda dziewczyna z Albany, która przed dwoma laty zaczęła oceniać Europę z trawnika w Gardencourt. Pochlebiała sobie, że wzbogaciła się w mądrość i dowiedziała się wielu rzeczy, których istnienia tamta beztraska dziewczyna nie podejrzewała. Gdyby myśli jej zwróciły się ku przeszłości, zamiast nerwowo trzepotać skrzydłami wokół chwili bieżącej, mogłaby wskrzesić mnóstwo ciekawych obrazów. Byłyby to zarówno pejzaże, jak portrety, przy czym te ostatnie liczniejsze. Kilka spośród przywołanych w ten sposób postaci już znamy. Znalazłaby się między nimi na przykład

łagodna Lily, siostra naszej bohaterki i małżonka Edmunda Ludlow, zaproszona z Nowego Jorku na pięć miesięcy przez pannę Archer. Męża zostawiła za oceanem, ale przywiozła ze sobą dzieci, dla których Isabel stała się równie hojną, jak czułą niezamężną ciotką. Na ostatni z tych pięciu miesięcy przybył też pan Ludlow, który zdołał się wreszcie oderwać od swoich tryumfalnych występów w sądzie, przeprowił spiesznie przez Atlantyk i spędził z paniami cztery tygodnie w Paryżu, nim zabrał swoją rodzinę z powrotem do Nowego Jorku. Dzieci państwa Ludlow nie dorosły jeszcze, nawet według amerykańskich pojęć, do turystycznych rozkoszy; Isabel musiała więc, goszcząc siostrę, ograniczyć podróże do najbliższych krajów. Lily przyjechała wraz ze swoimi pociechami w lipcu do Szwajcarii i tam Isabel w ich towarzystwie spędziła piękne lato w alpejskiej dolinie, gdzie trawa gęsto była usiana kwiatami, a cień ogromnych kasztanowców umilał chwile odpoczynku podczas skromnych wycieczek górskich, na jakie mogły sobie pozwolić młode kobiety i dzieci w gorące popołudnia. Potem panie przeniosły się do francuskiej stolicy, której Lily składała hołd z całym kosztownym ceremoniałem, ale która wydała się jej siostrze hałaśliwym i pustym miastem; Isabel wspominała w Paryżu bowiem Rzym, tak jakby w zatłoczonym dusznym pokoju wahała orzeźwiający sole z ukrytego w chusteczce flakonika.

Pani Ludlow, jak już powiedzieliśmy, adorowała Paryż, ale nurtowały ją wątpliwości i niepokoje niezwiązane z tym nabożeństwem; gdy zjawił się jej mąż, musiała dodatkowo martwić się tym, że nie chciał z nią razem wdawać się w rozważania dręczących ją zagadek. Przedmiotem ich była Isabel, lecz Edmund Ludlow, tak samo jak w przeszłości, nie chciał dziwić się, trafić ani zachwycać wszystkim, cokolwiek siostra jego żony robiła lub czego nie robiła, i nie intrygowały go jej tajemnice. W głowie pani Ludlow leżały rozmaite pomysły. Czasem myślała, że byłoby najbardziej naturalne, gdyby Isabel wróciła do ojczyzny i osiadła w Nowym Jorku – na przykład w domu Rossiterów, który ma wytworną oranżerię i stoi w bliskim

sąsiedztwie domu państwa Ludlow; kiedy indziej nie mogła ukryć zdziwienia, że Isabel nie zaślubiła jakiegoś przedstawiciela tej lub innej europejskiej arystokracji. Na ogół czuła się zawiedziona w swoich przewidywaniach. Niespodziewane bogactwo, które przypadło w udziale siostrze, ucieszyło ją bardziej, niż gdyby ona sama dostała wielki spadek; uważała, że pieniądze zapewnią stosowne ramy tej nieco zbyt szczupłej, niemniej jednak wspaniałej postaci. Isabel nie rozwinęła się tak, jak Lily oczekiwała – wierząc, że rozwój wiąże się w jakiś tajemniczy sposób z przedpołudniowymi wizytami i wieczornymi przyjęciami. Pod względem intelektualnym Isabel niewątpliwie zrobiła ogromne postępy, ale nie dokonała towarzyskich podbojów, których trofea pani Ludlow spodziewała się oglądać. Lily bardzo mętnie wyobrażała sobie sukcesy tego rodzaju, ale miała nadzieję, że Isabel nada bardziej określony kształt i barwę jej mglistym wyobrażeniom. Isabel równym powodzeniem mogłaby cieszyć się w ojczyźnie. Pani Ludlow zapytywała swego męża, czy Isabel korzysta w Europie z jakichkolwiek przywilejów, których nie mógłby jej dostarczyć Nowy Jork. Jak wiadomo czytelnikom, Isabel dokonała pewnych podbojów – trudno byłoby rozstrzygnąć, czy bardziej, czy mniej chlubnych niż te, które by mogła odnieść w kraju ojczystym; nie bez satysfakcji kronikarz jej dziejów stwierdza, że nie ogłosiła światu tych swoich tryumfów. Nie powiedziała siostrze nic o lordzie Warburtonie, ani słówkiem nie wspomniała o uczuciach pana Osmonda; milczenie to nie miało żadnych szczególnych przyczyn, Isabel po prostu nie chciała mówić o tych sprawach. Stawały się bardziej romantyczne, gdy ich nie wyjawiała, i upajając się w najgłębszej tajemnicy ich urokiem, nie myślała o zasięgnięciu rad u siostry ani też o zamknięciu raz na zawsze tej niezwykle interesującej księgi swoich przeżyć. Lily, nie domyślając się, że coś przed nią ukryto, musiała dojść do wniosku, że los jej siostry utkwiał w jakimś dziwnym martwym punkcie; Isabel utwierdzała ją w tym przekonaniu, omijając nazwisko pana Osmonda z tym większym uporem, im bardziej człowiek ten zaprzątał jej myśli. Ponieważ często milczała, pani Ludlow



osądziła, że Isabel jest zniechęcona. Niezwykły skutek przypadku tak radosnego jak odziedziczenie wielkiej fortuny zbijał z tropu rozsądną Lily i umacniał ją w dawno przyjętym poglądzie, że Isabel jest istotą zupełnie wyjątkową.

A tymczasem odwaga panny Archer osiągnęła szczyt, gdy jej siostra wraz z mężem i dziećmi wróciła do Ameryki. Snuła plany o wiele zuchwalsze niż projekt spędzenia zimy w Paryżu, który pod wielu względami był podobny do Nowego Jorku i wydawał jej się kartką wytwornej, jasnej prozy; stała korespondencja z madame Merle przyczyniała się niemało do wzlotów jej wyobraźni. Isabel nigdy nie miała tak żywego poczucia wolności, nieograniczonej odwagi i nieokiełzanej swobody, jak w chwili gdy opuszczała peron Euston Station w jeden z ostatnich dni listopada po odejściu pociągu unoszącego biedną Lily, jej męża i dzieci do Liverpoolu, gdzie mieli wsiąść na statek. Rozkoszowanie się tym uczuciem podnosiło ją na duchu. Jasno to sobie uświadamiała; jak wiemy, pilnie obserwowała, co jest dla niej dobre, i nieustannie starała się wybierać to, co najlepsze. Pragnąc wykorzystać do ostatka przywilej wolności, pojechała z rodziną z Paryża do Londynu i towarzyszyłaby jej chętnie aż do Liverpoolu, bez zazdrości patrzyłaby, jak odpływają za ocean, lecz Edmund Ludlow prosił ją specjalnie, żeby tego nie robiła: Lily okropnie by się denerwowała i zadawałaby znów niedorzeczne pytania.

Isabel stała na peronie, dopóki pociąg nie ruszył, i ręką przesyłała pocałunki najstarszemu z siostrzeńców, który wychylał się niebezpiecznie z okna wagonu i uważał scenę pożegnania za okazję do demonstracyjnej wesołkowatości; potem wyszła na zamgloną londyńską ulicę. Świat otwierał się przed nią, mogła robić, co zechce. Myśl ta była podniecająca, ale na razie Isabel skorzystała ze swobody dość dyskretnie, decydując się po prostu na pieszą wędrówkę z dworca do hotelu. Zapadał już wczesny listopadowy zmierzch; w gęstym brunatnym powietrzu latarnie świeciły słabym czerwonym blaskiem; nasza bohaterka nie miała żadnej eskorty, a z Euston Station do placu Piccadilly było dość daleko. Ale ryzyko tej wędrówki sprawiało jej przyjemność i

niemal umyślnie, żeby doznać silniejszych wrażeń, zabląkała się wśród ulic; rozczarowała ją trochę łatwość, z jaką odnalazła drogę dzięki uprzejmym wskazówkom policjanta. Tak lubiła spektakl życia, że cieszył ją nawet mrok ogarniający londyńskie ulice, ruchliwy tłum przechodniów, pędzące dorożki, oświetlone sklepy, jaskrawe kioski i lśnienie ciemnej wilgoci na wszystkim dokoła. Tego wieczoru w hotelu napisała do madame Merle, że za parę dni wyruszy w kierunku Rzymu. Nie zatrzymała się po drodze we Florencji, wstąpiła do Wenecji i stamtąd przez Anconę pojechała dalej na południe. W tej podróży towarzyszyła jej tylko panna służąca, bo naturalni opiekunowie rozpierzchli się po świecie: Ralph Touchett zimował na Korfu, a pannę Stackpole we wrześniu „Interviewer” wezwał telegraficznie do Ameryki. Redakcja ofiarowała swojej świetnej korespondentce pole pracy bardziej świeże od zmurszałych miast europejskich; Henrietta wyjechała, pocieszając się obietnicą rychłej wizyty pana Bantlinga w Nowym Świecie. Isabel w liście do pani Touchett przeprosiła ją, że tym razem omija Florencję, a ciotka odpowiedziała w sposób dość dla niej charakterystyczny. Przeproszenie jej zdaniem nie ma sensu; sama nigdy nie miała zwyczaju usprawiedliwiać się ze swoich postępów przed nikim. Człowiek robi coś albo nie i tłumaczenie, że zrobiłby inaczej „gdyby”, należy do tej samej nierealnej strefy co rozważania o życiu pozagrobowym albo o początkach świata. List był szczery, ale – co pani Touchett zdarzało się tylko wyjątkowo – nie tak szczery, jak mogło się zdawać z pozoru. Łatwo wybaczyła siostrzenicy, że nie zatrzymała się we Florencji, ponieważ uznała to za dowód, że Isabel jest mniej niż dawniej zajęta panem Osmondem. Oczywiście starała się dowiedzieć, czy Gilbert Osmond nie znalazł jakiegoś pretekstu, by wyjechać do Rzymu, i z ulgą przyjęła informację, że nie opuścił swojej florenckiej siedziby.

Isabel ze swej strony po niespełna dwóch tygodniach pobytu w Rzymie zaproponowała starszej przyjaciółce małą wycieczkę na wschód. Madame Merle zauważyła, że Isabel nie może usiedzieć spokojnie na miejscu, ale przyznała się, że także od dawna marzy o

zwiedzeniu Aten i Konstantynopola. Dwie panie ruszyły więc w drogę, by spędzić trzy miesiące w Grecji, Turcji i Egipcie. Wiele rzeczy w tych krajach zainteresowało pannę Archer, ale madame Merle w dalszym ciągu obserwowała, że nawet w najbardziej klasycznej scenerii, skłaniającej do skupienia i refleksji, Isabel jest dziwnie roztargniona. Podróżowała gorączkowo i śmiało, jak człowiek trawiony pragnieniem wychyla prędko jeden kielich po drugim. Madame Merle, niby dama dworu wędrującej incognito księżniczki, traciła chwilami oddech, żeby za nią nadążyć. Uczestniczyła w wyprawie na zaproszenie panny Archer i obecnością swoją osłaniała w oczach świata od wszelkich podejrzeń jej niekonwencjonalne przedsięwzięcie. Spełniała tę funkcję ze zwykłym swoim taktem, usuwała się w cień, jak przystało towarzyszce, za którą wszelkie koszty podróży hojnie płaciła Isabel. Sytuacja ta nie była dla niej przykra i wiele osób, które zetknęły się z tą powściągliwą, lecz niewątpliwie dystygowaną parą, nie umiałyby rozróżnić, która z dam jest patronką, a która klientką. Jeśli powiemy, że madame Merle zyskiwała na bliższym poznaniu, nie wyrazimy w całej pełni wrażenia, jakie wywierała na młodszej przyjaciółce, od początku oceniającej wysoko zalety i sposób bycia tej damy. Pod koniec trzymiesięcznego zażyłego obcowania Isabel sądziła, że zna madame Merle naprawdę dobrze; charakter jej ujawnił się w tych okolicznościach, a w dodatku ta niezwykła kobieta wywiązała się wreszcie z danej kiedyś obietnicy, że opowie historię życia z własnego punktu widzenia, co zdawało się tym bardziej pożądane, że wiele innych osób już opowiedziało pannie Archer wersje nieco odmienne. Była to historia bardzo smutna (w rozdziale dotyczącym pana Merle, który okazał się niebieskim ptakiem na przekór przyzwoitym pozorom; wykorzystał jej młodość i naiwność – choć ludziom znającym ją w późniejszych latach trudno byłoby uwierzyć, że mogła kiedykolwiek być naiwna), urozmaicona mnóstwem nieoczekiwanych i żalonych przypadków, toteż Isabel dziwiła się, że osoba tak ciężko przez los doświadczona zachowała tyle świeżości uczuć i ciekawości życia.

Dość wnikliwie tę świeżość uczuć przestudiowała i dostrzegła w niej coś trochę mechanicznego, niejako zawodowego; można by ją porównać do skrzypiec wirtuoza przechowywanych w pudle czy też do faworyta nakrytego po gonitwie derką i prowadzonego za uzdę przez dżokeja. Lubiła tę damę nie mniej niż przedtem, ale zrozumiała, że jakiś rąbek zasłony nigdy nie zostanie uchylony; jak gdyby madame Merle była aktorką, której wolno pokazywać się tylko w określonej roli i w kostiumie. Kiedyś powiedziała, że przychodzi z daleka, że należy do bardzo, bardzo starego świata; Isabel nie mogła pozbyć się wrażenia, że madame Merle dojrzała w innym niż ona klimacie moralnym i społecznym, że wyrosła pod innymi gwiazdami.

Doszła też do przekonania, że różnią się bardzo głęboko postawą moralną. Oczywiście moralność wszystkich cywilizowanych ludzi da się sprowadzić do wspólnego mianownika, ale Isabel wyczuwała, że w psychice przyjaciółki pewne wartości zajmują niewłaściwe miejsce czy też, jak mówi się w sklepie, zostały przecenione. Z zarozumiałstwem młodości Isabel uważała, że moralność różniąca się od jej własnej musi być gorszego gatunku; to przeświadczenie pomagało jej wykrywać niekiedy jakiś przebłysk okrucieństwa, jakieś drobne odchylenia od szczerości w wypowiedziach osoby, która subtelną dobroć podniosła do rangi wirtuozerii, która była zbyt dumna, żeby zapuszczać się w kręte, ciasne uliczki kłamstwa. Można by myśleć, że poglądy na motywy ludzkich uczynków ukształtowała sobie na dworze jakiegoś podupadłego królestwa i były między nimi takie, o których nasza bohaterka nigdy nawet nie słyszała. Oczywiście nie o wszystkim jak dotąd słyszała, a na świecie, jak się okazało, istnieją rzeczy, o których lepiej nic nie wiedzieć. Raz i drugi Isabel po prostu przeraziła się, i to tak, że wykrzyknęła w duchu: „Na Boga, ona mnie nie rozumie”, a chociaż to zakrawa na absurd, odkrycie to wstrząsnęło nią i wzbudziło jakiś niejasny lęk, zabarwiony złowróżbnym przecuciem. Lęk naturalnie rozwiewał się, gdy madame Merle olśniewała pannę Archer kolejnym dowodem wyjątkowej inteligencji; zostawał jednak osad, jakby

śląd najwyższej fali w przyływach i odpływach zaufania. Madame Merle wyraziła kiedyś pogląd, że przyjaźń, jeżeli nie wzrasta, zaczyna natychmiast maleć i nie ma momentu równowagi między potęgowaniem się a słabnięciem sympatii. Innymi słowy, uczucie nie może być statyczne – musi zmieniać się w jednym lub drugim kierunku. W każdym razie panna Archer miała w tym okresie tysiące okazji do zaspokojenia swojego głodu romantyczności, bardziej żywego niż kiedykolwiek. Nie mam na myśli bodźców, jakich dostarczała jej kontemplacja piramid podczas wycieczki z Kairu ani strzaskanych kolumn Akropolu czy też pasma wody, które, jak jej powiedziano, nazywa się Cieśniną Salamińską, chociaż widoki te zrobiły na niej głębokie i trwałe wrażenie. W końcu marca Isabel wróciła z Egiptu i Grecji do Włoch i znów zatrzymała się w Rzymie. W parę dni potem przyjechał tam z Florencji na kilka tygodni Gilbert Osmond, a ponieważ Isabel mieszkała u jego dawnej przyjaciółki, madame Merle, widywali się niemal co dzień. Ostatniego kwietnia Isabel napisała do pani Touchett, że jeśli jej ciotka podtrzyma zaproszenie, chętnie by teraz z niego skorzystała i zabawiła jakiś czas w Palazzo Crescentini. Madame Merle zdecydowała się pozostać w Rzymie. Panna Archer zastała ciotkę samą; Ralph był jeszcze na Korfu, ale we Florencji spodziewano się go lada dzień; Isabel, która od roku z górą nie widziała kuzyna, przygotowywała się do powitania go z otwartymi ramionami.

## ROZDZIAŁ XXXII

Nie o nim jednak myślała, stojąc pod oknem w salonie, gdzie ją przed chwilą widzieliśmy, i nie o tych sprawach, które pokrótce opisałem w poprzednim rozdziale. Nie zaprzętała jej przeszłość, lecz najbliższa, bieżąca godzina. Miała powody, by spodziewać się sceny, a nie cierpieć scen. Nie zastanawiała się, co powie gościowi, ta kwestia była już dawno rozstrzygnięta. Bardziej interesujące zdawało się pytanie, co on powie. Z góry wiedziała, że nic uspokajającego, i dlatego marszczyła posępnie czoło. Poza tym jaśniała blaskiem; zrzuciła żałobę i miała na sobie jasną suknię. Czowała się starsza, dojrzała niż dotychczas, i przez to jeszcze „więcej warta”, jak rzadki okaz w kolekcji antykwariusza. Ten stan niepewności nie trwał wszakże bez końca, bo wreszcie zjawił się służący, niosąc na tacce bilet wizytowy.

– Proszę wprowadzić tego pana – powiedziała, wciąż spoglądając w okno, nawet gdy lokaj zniknął. Dopiero usłyszawszy, że drzwi zamknęły się za gościem, który wszedł do salonu, odwróciła się ku niemu.

Caspar Goodwood stał chwilę bez ruchu pod spojrzeniem, którym zmierzyła go od stóp do głów, jakby odtrącała go, zamiast witać. Przekonamy się zapewne z dalszej rozmowy, czy Goodwood dorównał pannie Archer poczuciem dojrzałości; na razie niech mi będzie wolno stwierdzić, że krytyczny wzrok nie wykrył w nim żadnych śladów niszczycielskiego czasu. Wyprostowany, silny i twardy, nie wydawał się ani młody, ani stary; ani słaby i niewinny, ani wytrawny i cyniczny. Jego szczęka wyrażała ten sam co dawniej upór. Znać było po nim zmęczenie uciążliwą podróżą i przez długą chwilę milczał, jak gdyby nie mogąc chwycić oddechu. Dzięki temu Isabel miała czas pomyśleć: „Biedaczysko, zdolny do wielkich wysiłków, a traci na próżno tyle wspaniałej energii! Szkoda! Szkoda, że nie można wszystkich uszczęśliwić!”. Zdążyła też głośno powiedzieć:

– Nie umiem wyrazić, jak bardzo pragnęłam, żeby pan się nie stawiał.

– Nie wątpię o tym. – Rozejrzał się za jakimś krzesłem. Nie tylko stawiał się, ale zamierzał zostać dłużej.

– Pan musi być bardzo zmęczony – powiedziała Isabel, siadając i w ten sposób wspaniałomyślnie – jak jej się zdawało – pozwalając mu również usiąść.

– Nie. Czy pani kiedykolwiek widziała mnie zmęczonego?

– Nie. I żałuję, że to się nie zdarzyło. Kiedy pan przyjechał?

– Wczoraj wieczorem, bardzo późno, pociągiem pełnązającym jak ślimak, ale nazywanym tutaj ekspresem. Koleje we Włoszech wloką się wolniej niż w Ameryce pogrzeby.

– Bardzo stosowne skojarzenie, pan pewno czuł się tak, jakby jechał mnie pogrzebać! – Wymuszonym uśmiechem próbowała go zachęcić do lekkiego potraktowania sytuacji. Rozważyła sprawę dokładnie i było zupełnie jasne, że nie złamała słowa ani też nie sprzeniewierzyła się zawartej umowie; mimo to bała się swojego gościa. Wstydziła się tego strachu, a zarazem bardzo cieszyło ją, że niczego poza tym nie musi się wstydzić. Goodwood patrzył na nią z rażąco nietaktownym uporem, tym przykrzejszym, że odczuwała niemal fizycznie ciężar spojrzenia jego matowych ciemnych oczu.

– Nie, nie mógłbym myśleć o pani jak o umarłej. Chciałbym, ale nie potrafię! – odparł szczerze.

– Pięknie dziękuję!

– Wolałbym myśleć jak o umarłej niż jak o żonie innego człowieka.

– To wielki egoizm z pana strony! – oburzyła się z głębokim przekonaniem. – Jeżeli nawet pan nie jest szczęśliwy, nie powinien pan innym odmawiać prawa do szczęścia.

– Możliwe, że jestem egoistą, nie boli mnie ten zarzut z pani ust. Nic, cokolwiek pani teraz powie, nie może mnie zranić, jestem znieczulony. Najokrutniejsze słowa, jakie mogłaby pani znaleźć, będą tylko ukłuciem szpilki. Po tym, co pani zrobiła, nigdy już nie będę czuł niczego... niczego prócz bólu, jaki mi pani już zadała. Ten ból nie opuści mnie aż do śmierci.

Caspar Goodwood złożył to oświadczenie stanowczo i oschle, a powolna i twarda amerykańska wymowa nie przyozdobiła nastrojowymi barwami tych zdań, z istoty swojej surowych. Ton jego bardziej irytował pannę Archer, niż wzruszał, ale może było to okolicznością pomyślną, bo znalazła dodatkowy motyw, aby nad sobą zapanować. Pod presją tej konieczności powiedziała, trochę odbiegając od tematu:

- Kiedy pan wyjechał z Nowego Jorku?
- Odrzucił głowę do góry, jakby obliczał w pamięci.
- Siedemnaście dni temu.
- A więc podróżował pan prędko mimo marudnych europejskich pociągów.
- Jak się dało najprędzej. Gdyby to było możliwe, przyjechałbym o pięć dni wcześniej.
- Nie zrobiłoby to żadnej różnicy, proszę pana – uśmiechnęła się zimno.
- Pani żadnej, mnie – ogromną.
- Nie widzę, co by pan mógł zyskać.
- To tylko ja mogę wiedzieć.
- Oczywiście. Mnie wydaje się, że pan niepotrzebnie się dręczy! – I chcąc skierować rozmowę na inne tory, spytała, czy widział ostatnio Henriettę Stackpole. Wyraz jego twarzy dał jej do zrozumienia, że nie przebył dystansu z Bostonu do Florencji po to, by rozmawiać o Henriecie, ale odpowiedział dość spokojnie, że widział pannę Stackpole tuż przed opuszczeniem Ameryki.
- Była u pana? – spytała Isabel.
- Tak, będąc w Bostonie, odwiedziła mnie w moim biurze. Tego właśnie dnia, kiedy dostałem list od pani.
- Pan jej powiedział? – zaniepokoiła się Isabel.
- O, nie! – z prostotą odparł Goodwood. – Nie chciałem o tym mówić. Panna Stackpole i tak wkrótce się dowie, ona zawsze wszystko wie.
- Napiszę do niej i z pewnością zostanę ostro złajana – powiedziała Isabel, siląc się znowu na uśmiech.

Caspar Goodwood nie dał się jednak wytrącić z surowej



powagi.

– O ile mi wiadomo, panna Stackpole wkrótce tutaj będzie –  
oznajmił.

– Żeby mnie złącać osobiście?

– Nie wiem. Z jej słów zrozumiałem, że chce jeszcze  
dokładniej poznać Europę.

– Cieszę się, że pan mi o tym powiedział. Muszę  
przygotować się do rozmowy z Henriettą.

Goodwood na chwilę wbił wzrok w posadzkę; wreszcie,  
podnosząc oczy, spytał:

– Czy ona zna pana Osmonda?

– Trochę. I nie lubi go. Ale oczywiście nie wychodzę za mąż  
dla jej przyjemności – dodała. Dla biednego Caspara byłoby lepiej,  
gdyby jej bardziej zależało na przypodobaniu się Henriecie, ale  
nie powiedział tego, zapytał tylko, kiedy ma się odbyć ślub. –  
Dokładnej daty jeszcze nie wyznaczyliśmy, ale wkrótce. Jak dotąd  
nie zawiadomiłam o mojej decyzji nikogo prócz pana i pewnej  
dawnej przyjaciółki pana Osmonda.

– Pani przyjaciele nie będą zadowoleni z tego małżeństwa?

– Doprawdy nie mam pojęcia. Jak już mówiłam, nie  
wychodzę za mąż dla przyjemności moich krewnych i znajomych.

Nie wykrzyknął, nie skomentował jej deklaracji, lecz dalej  
wypytywał, wcale niedelikatnie:

– Kim i czym jest ten pan Gilbert Osmond?

– Kim i czym? Nikim i niczym, po prostu bardzo dobrym,  
godnym szacunku człowiekiem. Nie zajmuje się interesami. Nie  
ma też majątku. Nie jest sławny i niczym szczególnym nigdy się  
nie wyróżnił.

Oburzyły ją nietaktowne pytania pana Goodwooda, uznała  
jednak, że należy mu się chociaż tyle satysfakcji. Biedny Caspar  
nie wyglądał jednak na usatysfakcjonowanego, gdy siedząc  
sztywno na krześle, wbił wzrok w pannę Archer i zapytał:

– Skąd pochodzi? Gdzie mieszka?

Nigdy jeszcze nie raziała jej tak jak dzisiaj jego amerykańska  
nosowa wymowa.

– Znikąd nie pochodzi. Większą część życia spędził we Włoszech.

– W liście wspomniała pani, że to Amerykanin. Czy nie ma w Ameryce jakiegoś rodzinnego miejsca?

– Ma, naturalnie, ale zdążył o nim zapomnieć. Opuścił je jako małe dziecko.

– I nigdy tam nie wracał?

– Po cóż miałby wracać? – spytała nawzajem Isabel, zaperzając się w obronie pana Osmonda. – Nie ma żadnej zawodowej pracy.

– Mógłby odwiedzić kraj ojczysty dla przyjemności. Czy nie lubi Stanów Zjednoczonych?

– Nie zna ich. Żyje bardzo spokojnie i skromnie, Włochy mu wystarczają.

– Włochy i pani – z ponurą dobitnością stwierdził Caspar Goodwood, a sądząc z jego miny, efekt wypowiedzi nie był zamierzony. – Cóż on takiego zrobił? – dodał szorstko.

– Co zrobił, że zgodziłam się zostać jego żoną? Nic a nic – odparła Isabel, wspierając mocno już nadwreżoną cierpliwość oschłością. – Łatwiej by mi pan wybaczył, gdyby ten człowiek dokonał jakichś wielkich czynów, prawda? Niech pan mnie spisze na straty. Wychodzę za człowieka, który nic sobą nie przedstawia. Daremnie próbuje pan się nim zainteresować, to się panu nie uda.

– Nie jestem zdolny poznać się na nim, to chciała pani powiedzieć. Ale pani wcale nie przeszkadza, że on jest nikim i niczym. Pani uważa, że to człowiek niezwykły i wspaniały, chociaż nikt inny nie podziela tego zdania.

Rumieńce na twarzy Isabel pociemniały; Caspar Goodwood trafił w sedno; niezbity dowód, że afekt wyostrza inteligencję, która nigdy nie wydawała jej się szczególnie subtelna.

– Dlaczego pan wciąż wraca do tego, co myślą inni ludzie? Nie mogę z panem dyskutować o charakterze pana Osmonda.

– Oczywiście – rozsądnie przyznał Caspar. Siedział sztywny i bezradny, jak gdyby oczywiste było nie tylko to, lecz również fakt, że w ogóle o niczym już nie mogą ze sobą dyskutować.

– Sam pan widzi, jak mało może pan zyskać na tej rozmowie  
– powiedziała Isabel, potwierdzając te jego smutne refleksje – i jak mało mogę panu dostarczyć satysfakcji czy pociechy.

– Nie spodziewałem się wiele.

– Nie rozumiem, dlaczego mimo to pan przyjechał?

– Chciałem raz jeszcze panią zobaczyć... taką, jaką pani jeszcze teraz jest.

– Doceniam to, ale gdyby pan trochę poczekał, z pewnością kiedyś, prędzej czy później, spotkalibyśmy się w sytuacji dla nas obojga mniej przykrej.

– Miałem czekać, aż pani wyjdzie za mąż? Tego właśnie chciałem uniknąć. Pani się zmieni.

– Nie tak bardzo. Zawsze pozostanę panu szczerze przyjazna. Zobaczy pan!

– Tym gorzej – posępnie stwierdził pan Goodwood.

– Ach, jakże trudno pana zadowolić! Nie mogę obiecać, że przestanę pana lubić, żeby panu ułatwić pogodzenie się z losem.

– Wszystko jedno, czy mnie pani będzie lubiła, czy nie.

Isabel wstała, powściągając zniecierpliwienie, i podeszła do okna, aby przez chwilę patrzeć na ogród. Kiedy się odwróciła, gość siedział wciąż w tej samej pozycji na swoim miejscu. Wróciła ku niemu i zatrzymała się z ręką na oparciu krzesła, które dopiero co opuściła.

– A więc przyjechał pan tylko po to, żeby mnie zobaczyć? To przyjemniejsze dla pana niż dla mnie.

– Chciałem też usłyszeć pani głos.

– Usłyszał go pan i przekonał się, że nic bardzo miłego nie mam panu do powiedzenia.

– Mimo to słuchanie go sprawia mi przyjemność – wstał wreszcie.

Isabel z przykrością i niezadowoleniem przyjęła wcześniej tego dnia wiadomość, że Caspar Goodwood przyjechał i pragnie, jeśli panna Archer pozwoli, złożyć jej wizytę za godzinę.

Zagniewana i zgnębiona, odpowiedziała jednak za pośrednictwem tego samego posłańca, że pan Goodwood może przyjść o dogodnej

dla niego porze. Jego widok, kiedy się zjawił, nie poprawił jej nastroju – ta obecność była zapowiedzią zbyt wielu przykrych konsekwencji. Isabel oczekiwała, że będzie musiała znieść słowa, z którymi się nie zgodzi: pretensje, wymówki, perswazje, zarzuty, próby nakłonienia jej do zmiany decyzji. Wszystko to wisiało wprawdzie w powietrzu, lecz w słowach nie zostało wyrażone; dziwna rzecz, nasza bohaterka miała teraz trochę za złe swojemu gościowi, że tak dobrze nad sobą panuje. Jego widoczne, ale nieme cierpienie drażniło ją; męstwo, z jakim powstrzymywał drżenie rąk, przyspieszało rytm jej serca. Z rosnącym wzburzeniem pomyślała, że reaguje gniewem, jak kobieta, która poczuwa się do winy. Ale przecież nic nie zawiniła, na szczęście nie musiała przetykać tej gorzkiej pigułki. Mimo wszystko wolałaby, żeby Goodwood o coś ją oskarżył. Pragnęła skrócić tę bezcelową, niestosowną wizytę, ale teraz, kiedy zdawał się gotów odejść, ogarnęła ją zgroza, że wyjdzie i nie da jej okazji do obrony – poza tym, co napisała przed miesiącem w krótkim liście, w kilku starannie dobranych słowach zawiadamiając o swoich zaręczynach. Skoro nie poczuwała się do żadnej winy, dlaczego pragnęła się bronić? Za daleko posuwała się we wspaniałomyślności, pragnąc, aby Goodwood gniewał się na nią. Chociaż dotychczas trzymał się tak dzielnie, mógł w końcu załamać się, kiedy Isabel nagle krzyknęła tak, jakby oskarżała go, że on ją niesłusznie oskarża:

- Nie złamałam żadnego słowa! Byłam całkowicie wolna!
- Tak, wiem – potwierdził Caspar.
- Ostrzegałam pana wyraźnie, że postąpię, jak zechcę!
- Mówiła pani, że prawdopodobnie w ogóle nie wyjdzie pani za mąż. Mówiła pani to takim tonem, że prawie uwierzyłem.

Zastanowiła się, nim odpowiedziała:

- Nikt nie był bardziej ode mnie zaskoczony moją decyzją.
- Mówiła pani, że bym nie wierzył, jeżeli dojdą do mnie pogłoski o pani zaręczynach – ciągnął dalej Caspar. – Dowiedziałem się przed dwudziestu dniami bezpośrednio od pani, ale pamiętałem pani słowa. Wydawało mi się, że istnieje

możliwość jakiejś pomyłki, częściowo dlatego przyjechałem.

– Jeżeli pan chce, żebym ustnie potwierdziła wiadomość zawartą w liście, zapewniam pana, że nie zaszła pomyłka.

– Zrozumiałem to w chwili, kiedy wszedłem do tego pokoju.

– Cóż by panu przyszło z tego, gdybym rzeczywiście pozostała niezamężna? – spytała ze wzburzeniem.

– Wolalbym to niż pani obecne zamiary.

– Już raz zauważyłam, że pan jest egoistą.

– Wiem. Jestem żelaznym egoistą.

– Nawet żelazo czasem topnieje! Jeśli pan będzie rozsądny, chętnie spotkam pana kiedyś w przyszłości znowu.

– Czy dzisiaj zachowałem się pani zdaniem rozsądnie?

– Nie wiem, co panu odpowiedzieć – odparła, nagle pokorniejac.

– Nie będę już dłużej naprzykrzał się pani – rzekł i zrobił krok w kierunku drzwi, ale zatrzymał się w pół drogi. – Przyjechałem także po to, żeby usłyszeć, jak pani tłumaczy zmianę swoich planów.

Cała jej pokora ulotniła się natychmiast.

– Jak tłumaczę? Czy pan sądzi, że mam obowiązek tłumaczyć się panu?

Znowu zatrzymał na jej twarzy długie, nieme spojrzenie.

– Pani mówiła to z wielkim przekonaniem. Uwierzyłem.

– Ja też wierzyłam. Czy myśli pan, że umiałabym wytłumaczyć, nawet gdybym chciała?

– Nie, myślę, że nie. No tak... – dodał. – Zrobiłem, co chciałem. Zobaczyłem panią.

– Pan tak lekko mówi o tej okropnej dalekiej podróży! – Czowała słabość tej swojej odpowiedzi.

– Jeśli pani obawia się, że mnie to zwali z nóg czy coś podobnego, to może pani być spokojna, wytrzymam. – Odwrócił się, teraz już bardzo stanowczo, bez podania ręki, bez słowa pożegnania. Przy drzwiach, z dłonią na klamce, zatrzymał się na chwilę. – Jutro wyjadę z Florencji – powiedział i głos mu nie zadrżał.

– Bardzo mnie to cieszy – odparła z uniesieniem. W pięć minut po jego odejściu wybuchnęła płaczem.

## ROZDZIAŁ XXXIII

Atak płaczu trwał krótko i nie było po nim już ani śladu w godzinę później, kiedy Isabel oznajmiła wielką nowinę swojej ciotce. Z góry wiedziała, że pani Touchett nie będzie zachwycona. Nie chciała jej nic mówić, póki nie zobaczy się z panem Goodwoodem. Miała dziwne uczucie, że postąpiłaby nielojalnie, podając do publicznej wiadomości swoje zaręczyny, nim usłyszy, co o nich powie pan Goodwood. Powiedział mniej, niż się spodziewała, i teraz Isabel myślała z gniewem, że niepotrzebnie traciła czas. Postanowiła nie zwlekać dłużej i gdy pani Touchett zeszła przed lunchem do salonu, oświadczyła natychmiast:

– Chcę cioci powiedzieć coś ważnego.

Pani Touchett wzdrygnęła się i spojrzała na nią niemal ze złością.

– Możesz się nie trudzić. Wiem.

– Skąd ciocia wie?

– Tak samo jak wiem, że okno jest otwarte, kiedy czuję przeciąg. Chcesz wyjść za tego człowieka.

– Kogo ciocia ma na myśli? – z wielką godnością spytała Isabel.

– Przyjaciela madame Merle, pana Osmonda.

– Nie rozumiem, dlaczego ciocia nazywa go przyjacielem madame Merle, czy to jest jego najważniejszą cechą?

– Jeżeli nie jest, to powinien zostać jej przyjacielem, skoro wyświadczyła mu tak wielką przysługę! – wykrzyknęła pani Touchett. – Nie spodziewałam się tego po niej! Bardzo mnie zawiodła.

– Jeżeli ciocia sądzi, że madame Merle ma coś wspólnego z moimi zaręczynami, to ciocia się myli – odparła Isabel lodowatym tonem.

– Myślisz, że jesteś wystarczająco ponętna i nie trzeba było tego pana dodatkowo zachęcać? Masz rację. Masz ogromne atuty,

ale ten pan nigdy by się nie ośmielił starać o twoją rękę, gdyby go ktoś nie popychał. Ma bardzo wysokie mniemanie o sobie, nie należy jednak do mężczyzn, którzy lubią się trudzić. Madame Merle wyręczyła go i wzięła cały trud na swoje barki.

– Och, zapewniam ciocię, że on sam nie szczędził starań – z wymuszonym śmiechem powiedziała Isabel.

Pani Touchett kiwnęła energicznie głową.

– Wierzę, w końcu musiał dobrze się starać, skoro tak ci się spodobał.

– Zdawało mi się, że cioci także?

– Owszem, kiedyś podobał mi się, dlatego właśnie jestem teraz na niego wściekła.

– Niech ciocia będzie raczej na mnie wściekła, nie na niego.

– Och, na ciebie stale się wściekam, to mi nie sprawia większej satysfakcji. Czy dlatego odmówiłaś lordowi Warburtonowi?

– Proszę, nie wracajmy już do tamtej historii. Dlaczego nie miałam polubić pana Osmonda, skoro innym kobietom tak się podobał?

– Innym nigdy, nawet przez sen nie powstało w głowie, żeby za niego wychodzić za mąż – wyjaśniła pani Touchett. – To nie jest ktoś.

– A więc nie może mi zrobić krzywdy – powiedziała Isabel.

– Czy myślisz, że będziesz szczęśliwa? Wiedz, że te rzeczy nikogo nie uszczęśliwiają.

– Może ja właśnie wprowadzę nową modę. Po co ludzie zawierają małżeństwa?

– Po co ty chcesz wyjść za tego pana, Bóg raczy wiedzieć. Na ogół ludzie zawierają małżeństwa tak samo jak inne spółki, żeby stworzyć firmę. Ale w twoim przypadku tylko ty coś wniesiesz.

– Chodzi o to, że pan Osmond nie jest bogaty? Czy o tym ciocia mówi?

– Nie ma pieniędzy, nie ma nazwiska, nie ma pozycji. Ja te rzeczy cenię i mam odwagę przyznawać się do tego. Uważam, że



to są wielkie wartości. Wiele osób podziela tę opinię i odpowiednio do niej postępuje, ale udaje, że kieruje się innymi motywami.

Isabel wahała się chwilę.

– Myślę, że ja również cenię wszystko, co ma wartość.

Bardzo mi zależy na pieniądzach i dlatego chcę, żeby pan Osmond miał ich też trochę.

– Więc daj mu pieniądze, ale na męża wybierz kogoś innego.

– Jego nazwisko jest dla mnie dostatecznie dobre – powiedziała Isabel. – Brzmi ładnie. Moje własne też nie jest nadzwyczajne.

– Tym bardziej powinnaś postarać się o lepsze.

Amerykańskie nazwiska można zliczyć na palcach. Czy chcesz za niego wyjść z litości?

– Było moim obowiązkiem zawiadomić ciocię o moich planach, ale nie czuję się zobowiązana do wyjaśniania swoich pobudek. A nawet gdybym chciała, nie umiałabym. Bardzo proszę, niech mnie ciocia nie wciąga w dyskusję, w której muszę być słabsza, skoro nie mogę o tych sprawach mówić.

– Nie wciągam cię w dyskusję, po prostu odpowiadam na to, co mi powiedziałaś, muszę przecież zareagować. Widziałam, co się święci, i milczałam. Nigdy do nikogo się nie wtrącam.

– Tak. I jestem cioci za to wdzięczna, okazała ciocia wielką delikatność.

– Nie robię nic przez delikatność, tylko dla własnej wygody – odparła pani Touchett. – Ale z madame Merle pogadam!

– Nie pojmuję, dlaczego ciocia tak uparcie miesza madame Merle w tę historię. Była dla mnie najzyczliwszą przyjaciółką.

– Może, ale dla mnie znacznie gorszą.

– Co cioci zawiniła?

– Oszukała mnie. Obiecała, że nie dopuści do tych zaręczyn.

– Nie było to w jej mocy.

– Wszystko jest w jej mocy, dlatego ją zawsze lubiłam.

Wiedziałam, że potrafi zagrać każdą rolę, nie podejrzewałam jednak, że jest zdolna grać dwie jednocześnie.

– Nie wiem, jaką rolę grała wobec cioci, to sprawa między wami. Ale wobec mnie była lojalna, dobra i ofiarna.

– Oczywiście, bardzo ofiarna, skoro postanowiła wydać cię za swojego protegowanego. Mnie zapewniała, że czuwa nad tobą tylko po to, żeby cię ustrzec od takiego kroku.

– Mówiła to, żeby cioci sprawić przyjemność – powiedziała Isabel, rozumiejąc jednak słabość swojego argumentu.

– Chciała sprawić mi przyjemność, okłamując mnie. Za dobrze mnie zna! Czy dzisiaj mogę się z tego cieszyć?

– Ciocia nigdy niczym się za bardzo nie cieszy – stwierdziła Isabel. – Madame Merle wiedziała, że w końcu prawda wyjdzie na jaw, cóż więc mogła skorzystać na nieszczerości?

– Zyskała na czasie, jak widzimy. Ja czekałam na jej interwencję, ty maszerowałaś, a madame Merle podbijała bębenka!

– Przypuśćmy. Ale ciocia sama przyznaje, że wiedziała, w jakim kierunku maszeruję, i nawet gdyby madame Merle ostrzegła ciocię o niebezpieczeństwie, ciocia nawet nie próbowałaby mnie powstrzymać.

– Ja nie próbowałabym, ale zrobiłby to zapewne ktoś inny.

– Kto? – spytała Isabel, z napięciem czekając na odpowiedź.

Małe błyszczące oczka pani Touchett, zazwyczaj tak ruchliwe, wytrzymały spojrzenie dziewczyny, ale nie odpowiedziały na nie.

– Czy nie wysłuchałabyś opinii Ralph'a?

– Gdyby chciał znieważać pana Osmonda, nie.

– Ralph nie znieważa ludzi, wiesz o tym doskonale. Twój los bardzo go obchodzi.

– Wiem – powiedziała Isabel – i raz jeszcze będę miała okazję ocenić jego życzliwość, bo Ralph mnie zna i nie wątpi, że jeśli coś robię, to mam słuszne powody.

– Nie wierzył, że to zrobisz. Mówiłam mu, na co się zanosz, i dowodził, że to wykluczone.

– Ralph lubi dyskusję dla samej dyskusji – uśmiechnęła się Isabel. – Jego ciocia nie oskarża, że ciocię zawiódł, dlaczego więc ma ciocia pretensję do madame Merle?

- Ralph nie obiecywał, że temu przeszkodzi.
- Bardzo mnie to cieszy! – wesoło zawołała Isabel. – Chciałabym – dodała – żeby ciocia pierwsza zawiadomiła go, jak tylko przyjedzie, o moich zaręczynach.
- Oczywiście – odparła pani Touchett. – Tobie nie powiem już ani słowa na ten temat, ale uprzedzam cię, że z innymi osobami będę o tym rozmawiała.
- Zrobi ciocia, co zechce. Wydaje mi się, że lepiej będzie, jeżeli tę nowinę usłyszysz od cioci, a nie ode mnie.
- Zgadzam się z tobą, tak będzie stosowniej. – Potem panie przeszły do jadalni i pani Touchett, dotrzymując przyrzeczenia, nie wspomniała przy stole ani słówkiem o Gilbertcie Osmondzie. Jakiś czas milczały obie, wreszcie pani Touchett zapytała, kim był ten pan, który złożył jej siostrzenicy wizytę wczesnym przedpołudniem.
- Dawny znajomy, pewien amerykański dżentelmen – powiedziała, rumieniąc się, Isabel.
- Oczywiście. Tylko amerykański dżentelmen może przyjść z wizytą o dziesiątej rano.
- Było już wpół do jedenastej, a ten pan bardzo się spieszył: wieczorem wyjeżdża z Florencji.
- Czemuż nie przyszedł wczoraj o jakiejś przyzwoitej porze?
- Przyjechał tutaj późnym wieczorem.
- Zatrzymał się tylko na dwadzieścia cztery godziny we Florencji? – wykrzyknęła pani Touchett. – Na to trzeba być doprawdy amerykańskim dżentelmenem!
- Tak, jest naprawdę dżentelmenem – powiedziała Isabel, myśląc z przewrotnym podziwem, że pan Goodwood na wiele umiał się zdobyć dla niej.

W dwa dni później przyjechał Ralph. Isabel nie wątpiła, że pani Touchett natychmiast podzieliła się z synem wielką nowiną, ale Ralph początkowo niczym nie zdradzał, że już wie o zaręczynach kuzynki. Mówiło się naturalnie o jego zdrowiu; Isabel dopytywała się ciekawie o wyspę Korfu. Kiedy wszedł do pokoju, Isabel przeraziła się, tak wydał jej się mizerny; zdążyła zapomnieć,

jak go napiętnowała choroba. Mimo długiego pobytu na Korfu zdawał się być ciężko chory; Isabel zastanawiała się, czy stan jego tak bardzo się pogorszył, czy też po prostu ona odwykła od jego wyglądu. Biedny Ralph z biegiem lat nie przybliżał się do ideału konwencjonalnej urody, a utrata resztek zdrowia nie mogła go upiększyć. Przywiedła, zmięta twarz, chociaż zawsze mimicznie żywo reagująca i pełna ironii, przypominała oświetloną latarnię oklejoną papierem i drżącą w niepewnym ręku; rzadkie wąsy zwisały na zapadniętych policzkach, wielki orli nos rysował się jeszcze ostrzej niż dawniej. Cały był okropnie chudy, długi, giętki, jakby na chybił trafił zbudowany z nieregularnych kanciastych klocków. Miał na sobie odwieczną brązową welwetową kurtkę, ręce trzymał swoim zwyczajem w kieszeniach, potykał się i powłóczył nogami, chwiejny chód zdradzał wielką fizyczną bezradność. Ten niepewny chód najdobitniej charakteryzował chorego kpiarza, dla którego nawet własne cierpienia były częścią powszechnego żartu. Stąd zapewne wynikał brak powagi w jego poglądzie na świat, w którym nie mógł odkryć przyczyny swojej wciąż jeszcze trwającej obecności. Isabel polubiła brzydotę Ralpha, jego niezaradność rozczulała ją. Skojarzone, obie te cechy nie wydawały jej się ujemne; uznała je za warunki, w których Ralph mógł rozwinąć swój osobliwy wdzięk; był tak czarujący, że nawet jego choroba w oczach kuzynki stawała się niegroźna; zamiast narzucać ograniczenia, dawała mu intelektualne przywileje, uwolniła go od wszelkich zawodowych czy oficjalnych obowiązków, pozwalając na luksus wyłącznie osobistych uczuć. W tych okolicznościach ukształtowała się osobowość niezwykle pociągająca; Ralph nie dał się pokonać nękającym go dolegliwościom, przyjął rolę żalosego inwalidy, ale nie ciężko chorego. Tak o nim dotychczas myślała Isabel i jeżeli litowała się nad kuzynem, to jedynie pod wpływem refleksji. A ponieważ refleksje nasuwały się często, poświęcała Ralphowi trochę współczucia, ale zawsze bała się strwonić na marne tę cenną walutę serca – więcej wartą dla tego, kto ją daje, niż dla obdarowanych. Teraz jednak nie trzeba było wielkiej wrażliwości,

żeby zrozumieć, że nic łącząca biednego Ralpa z życiem jest mniej elastyczna, niż być powinna. Ten inteligentny, wolny duchem, szlachetny człowiek zdobył światło mądrości nieskażonej ani odrobiną pedanterii, ale nieuchronnie musiał wkrótce umrzeć.

Isabel raz jeszcze stwierdziła, że życie źle obchodzi się z niektórymi ludźmi, i trochę zawstydziła się, że jej obiecywało tak miłą przyszłość. Oczekiwała, że Ralph będzie niezadowolony z jej narzeczeństwa, ale postanowiła, mimo serdecznego przywiązania do kuzyna, że jego postawa nie zamąci jej szczęścia. Postanowiła nawet – a przynajmniej miała nadzieję – że niezadowolenie Ralpa nie sprawi jej przykrości, bo wydawało jej się, że Ralphowi, na mocy szczególnego przywileju czy wręcz naturalnego prawa, wolno krytykować każdy jej plan matrymonialny. Kuzyni z reguły nie cierpią mężów kuzynek, to należy do tradycji, do klasycznego wzoru, podobnie jak ich rzekome uwielbienie dla kuzynek. Ralph był urodzonym krytykiem, a chociaż wybierając spośród równych pod wszystkimi innymi względami kandydatów, wolałaby tego, który podobałby się Ralphowi, byłoby nedorzecznnością, gdyby w tak ważnej decyzji kierowała się poglądami swojego kuzyna. Jakże zresztą były te poglądy? Twierdził, że wolałby dla niej lorda Warburtona, ale mówił to tylko dlatego, że odrzuciła tę świetną ofertę. Gdyby przyjęła oświadczyzny tego zacnego człowieka, Ralph z pewnością uderzyłby w inny ton – zawsze lubił się sprzeciwiać. Każde małżeństwo łatwo skrytykować. Sama umiałaby bez trudu, gdyby chciała, wytknąć złe strony własnego projektu. Miała jednak bardziej interesujące zajęcia, niechże ją Ralph wyręczy w tym zadaniu. Zamierzała zdobyć się na wielką cierpliwość i pobłażliwość. Ralph musiał to odgadywać, tym bardziej wydawało się dziwne, że nic nie mówi. Minęły trzy dni i naszej bohaterce sprzykrzyło się czekanie, żeby Ralph wreszcie się wypowiedział. Rozumiała, że on wzdraga się przed tym, ale powinien mimo wszystko dopełnić tej formalności. My, wiedzący o biednym Ralphie więcej niż jego kuzynka, bez trudu uwierzmy, że w ciągu tych godzin, które upłynęły od jego przyjazdu do Palazzo

Crescentini, musiał w skrytości serca przeżyć bardzo wiele. Pani Touchett niemal w pierwszych słowach powitania zawiadomiła go o decyzji kuzynki, a ta nowina przejęła go dreszczem bardziej jeszcze lodowatym od matczynego pocałunku. Był wstrząśnięty i upokorzony; pomylił się w rachubach, stracił istotę, która z wszystkich w świecie najbardziej go interesowała. Błąkał się po domu niby okręt bez steru na zjeżonych skałami wodach albo przesiadywał w ogrodzie w wiklinowym fotelu, z wyciągniętymi długimi nogami, z głową odchylną wstecz i kapeluszem nasuniętym na oczy. Mróz ścisnął mu serce, nigdy jeszcze nie był w równie przykrew sytuacji. Co robić, co jej powiedzieć? Jeżeli postanowienie Isabel jest nieodwołalne, czy potrafi udawać, że je aprobuje? Próba zawrócenia jej z tej drogi byłaby dopuszczalna jedynie pod warunkiem, że skończyłaby się sukcesem. Przekonywanie jej, że w człowieku, którego głębokiej przewrotności uległa, jest coś nikczemnego lub złowrogiego, nie byłoby grubym, niewybaczalnym nietaktem tylko wtedy, gdyby Isabel uwierzyła kuzynowi. W przeciwnym wypadku Ralph nie zyska nic prócz jej pogardy. Powiedzenie, co o tym myśli, kosztowałoby go równie wiele wysiłku jak zatajenie; nie mógł ani szczerze zaaprobować, ani protestować z odrobiną bodaj nadziei. Przez cały ten czas, jak wiedział lub przynajmniej zgadywał, narzeczeni codziennie ponawiali wzajemne śluby. Osmond rzadko pokazywał się w Palazzo Crescentini, ale Isabel co dzień spotykała się z nim gdzie indziej, bo po ogłoszeniu zaręczyn nie musiała już się krępować. Wynajęła na miesiąc powóz, żeby nie korzystać z ekwipażu pani Touchett podczas potępianych przez ciotkę wycieczek, i jeździła co rano do Cascine, gdzie wśród zaniedbanych podmiejskich ogrodów, bezludnych o tej wczesnej porze, przechadzała się z narzeczonym wśród popielatych włoskich cieni i słuchała śpiewu słowików.

## ROZDZIAŁ XXXIV

Pewnego dnia, wróciwszy z przejażdżki na pół godziny przed lunchem, zostawiła powóz na dziedzińcu i zamiast po schodach wejść do domu, przeszła pod arkadami do ogrodu. Trudno by wymarzyć bardziej urocze w tej chwili miejsce. Cisza południowej godziny zawisła w powietrzu, a nagrzaną cień w zamkniętym, spokojnym ogrodzie zmieniał altany w głębokie groty. Ralph siedział w półcieniu u stóp posągu Terpsychory – tańczącej nimfy ze smukłymi palcami, w rozwianych szatach, przypominającej rzeźby Berniniego. W pierwszym momencie, sądząc z bezwładu jego pozy, Isabel myślała, że Ralph śpi. Jej lekkie kroki po trawie nie zbudziły go; Isabel miała zamiar oddalić się, na chwilę jednak przystanąła, by popatrzeć na śpiącego. Wtedy otworzył oczy; usiadła więc w drugim takim samym ogrodowym fotelu obok niego. W gniewie oskarżała Ralpha o obojętność, ale nie była zaślepiona i rozumiała, że jej kuzyn ma powody do smutnych rozmyślań. Tłumaczyła sobie jego roztargnienie częściowo postępującą fizyczną słabością, częściowo kłopotami związanymi z dziedzictwem po ojcu, a wynikłymi z dziwacznych – zdaniem pani Touchett – postanowień testamentu starszego pana, które spotkały się ze sprzeciwem wspólników banku. Matka mówiła, że zamiast do Florencji powinien był pojechać do Anglii, gdzie nie był od bardzo dawna, ale interesy banku nie obchodziły go bardziej niż sytuacja w Patagonii.

– Przepraszam, że cię obudziłam – powiedziała Isabel. – Wydajesz się zmęczony.

– Czuję się okropnie zmęczony. Ale nie spałem. Myślałem o tobie.

– I to cię tak zmęczyło?

– Okropnie. Bo nie prowadzi do niczego. Długa droga, którą nigdy nie dojdę do celu.

– Dokąd chciałbyś dojść? – spytała, zamykając parasolkę.

– Do jasnego sformułowania, co sędę o twoich zaręczynach.  
– Nie myśl o tym za wiele – odpowiedziała lekkim tonem.  
– Chcesz przez to powiedzieć, że to nie moja sprawa?  
– Twoja tylko do pewnej granicy, dalej już nie.  
– Właśnie tę granicę próbuję ustalić. Domyślam się, że posądzasz mnie o brak dobrych manier. Nie powinszowałem ci dotychczas.

– Oczywiście zauważyłam to. Zastanawiałam się, dlaczego.  
– Z wielu powodów. Zaraz ci wytłumaczę. – Zdjął kapelusz i położył go na trawie. Wyprostował się i przez chwilę patrzył w twarz kuzynki. Osunął się znów w głąb wielkiego fotela w cień Terpsychory, dotykając głową marmurowego cokołu, ręce oparł na poręczach. Zdawał się zmieszany, zakłopotany, wahał się dość długo. Isabel milczała; zwykle współczuła ludziom onieśmiałym, ale stanowczo nie chciała pomagać Ralphowi w wykrztuszeniu słów nieprzychylnych jej doniosłej życiowej decyzji.

– Jeszcze wciąż nie ochłonałem po wstrząsie – powiedział wreszcie. – Po kim jak po kim, ale po tobie nie spodziewałem się, że dasz się złapać.

– Nie rozumiem, dlaczego tak to określasz?  
– Dlatego, że znajdziesz się w klatce.  
– Skoro lubię swoją klatkę, nie powinieneś się tym martwić.  
– Nad tym właśnie się zastanawiam, o tym rozmyślam.  
– Jeżeli ty zastanawiasz się, możesz sobie wyobrazić, jak głęboko ja namyślałam się nad swoją decyzją. Doszłam do przekonania, że jest słuszna.

– Bardzo się zmieniłaś. Rok temu ceniłaś wolność ponad wszystko. Pragnęłaś tylko poznać życie.

– Poznałam je – odparła Isabel. – Przyznaję, że teraz już nie wydaje mi się obszarem szczególnie ponętnym.

– Nie twierdzę, że jest inaczej, ale miałem wrażenie, że spoglądasz na nie pogodnie i chcesz ogarnąć wzrokiem ogólną panoramę.

– Przekonałam się, że takie spojrzenie ogólne nie wystarcza.



Trzeba wybrać mały zakątek i uprawiać go.

– Ja też tak myślę. Ale trzeba wybrać zakątek jak najlepszy. Zimą, czytając twoje uroczne listy, nie przypuszczałem, że właśnie dokonujesz wyboru. Nie wspominałaś nic o tym, twoje milczenie uśpiło moją czujność.

– Jakże mogłabym pisać o tych sprawach! Zresztą nie wiedziałam jeszcze, co się stanie. Wszystko rozstrzygnęło się dopiero w ostatnich tygodniach. Cóż byś zresztą mógł zrobić, gdyby twoja czujność nie zasnęła?

– Poprosiłbym: „zaczekaj jeszcze trochę”.

– Na co?

– Na więcej światła – powiedział Ralph z dość nieoczekiwanym uśmiechem, a ręce jego odnalazły drogę do kieszeni.

– Skąd miało na mnie spłynąć to światło? Od ciebie?

– Ja mógłbym skrzesać parę iskierek.

Isabel ściągnęła rękawiczki i wygładziła je na swoich kolanach. Łagodność tego gestu była przypadkowa, bo twarz panny Archer nie wyrażała ugodowego nastroju.

– Kręcisz, Ralphie. Chciałbyś mi powiedzieć, że nie lubisz pana Osmonda, ale się boisz.

– „Chociaż chce zranić, lęka się uderzyć” – zacytował Ralph.

– Tak, chciałbym zranić, ale nie ciebie. Boję się ciebie, nie pana Osmonda. Jeżeli za niego wyjdiesz, pewno nie zapomnisz mi tych słów.

– „Jeżeli!” . Czy spodziewasz się, że zdołasz mnie odwieść od tego zamiaru?

– Oczywiście uważasz mnie za wielkiego zarozumialca?

– Nie – odparła po namyśle Isabel. – Wydajesz mi się wzruszający.

– Na jedno wychodzi. Moje nadzieje są tak śmieszne, że budzą w tobie litość.

Isabel znów pogłaskała swoje długie rękawiczki.

– Wiem, że jesteś mi serdecznie życzliwy. Tego nie mogę lekceważyć.

– Błagam cię, nie próbuj nawet! Pamiętaj o tym. Zaraz dam ci dowód, jak bardzo gorąco życzę ci szczęścia.

– I jak mało mi ufasz!

Chwilę trwało milczenie; zdawało się, że cały rozgrzany o południu ogród nasłuchuje.

– Ufam tobie, ale nie jemu – rzekł Ralph.

Podniosła na niego szeroko otwarte, poważne oczy.

– A więc powiedziałeś to i dziękuję ci, że powiedziałeś tak jednoznacznie, chociaż mogło cię to kosztować.

– Nie, jeżeli okażesz się sprawiedliwa.

– Jestem bardzo sprawiedliwa – odparła Isabel. – Najlepszy dowód, że nie gniewam się na ciebie. Byłam zagniewana, kiedy zacząłeś tę rozmowę, ale złość mi już minęła. Może powinna bym się obrazić, ale pan Osmond nie byłby tego zdania. Chce, żebym wiedziała wszystko, za to go lubię. Nic nie masz do zyskania, Ralphie, nie byłam jako panna zbyt miła dla ciebie, nie ma powodu, żebyś pragnął zachować mnie w panińskim stanie. Umiesz dawać dobre rady, nieraz się o tym przekonałam. Nie, jestem zupełnie spokojna, zawsze wierzyłam w twoją mądrość – ciągnęła dalej, dumna ze swego spokoju, chociaż w głosie dźwięczał ton powściąganego uniesienia. Namiętnie pragnęła być sprawiedliwa. Wzruszało to Ralpha do żywego, jakby istota, którą zranił, odpowiedziała pieszczotą. Miał ochotę przerwać jej, pocieszyć ją, na chwilę zachwiał się śmiesznie w swej logice i miał ochotę odwołać to, co powiedział, Isabel jednak nie dała mu tej szansy, bo dostrzegłszy przed sobą drogę, jak jej się wydało, heroiczną, wstąpiła na nią, mówiąc: – Widzę, że masz jakiś konkretny argument. Bardzo chciałabym go usłyszeć. Z pewnością jesteś bezinteresowny, o tym nie wątpię. Oczywiście dyskusja na ten temat wydaje mi się niestosowna i z góry muszę cię ostrzec, jeżeli masz nadzieję wpłynąć na zmianę mojej decyzji, że trudzisz się daremnie. Nie cofnę się już ani o cal, za późno na to. Jak sam powiedziałeś, dałam się złapać. Oczywiście nie jest ci miłe to przypomnienie, ale to tylko twoja sprawa. Ja ci nie będę tego nigdy wypominała.

– Nie, to do ciebie niepodobne – odparł Ralph. – Nigdy nie myślałem, że zgodzisz się na małżeństwo tego rodzaju.

– Jaki to rodzaj, bądź łaskaw wyjaśnić.

– Trudno mi wyrazić. Nie mam dokładnej pozytywnej wizji godnego ciebie związku, ale mam wizję negatywną. Nie przewidywałem, że wyjdiesz za człowieka tego typu.

– Jeśli w ogóle można pana Osmonda zaliczyć do jakiegoś typu, cóż mu zarzucasz? Jest niezależny, oryginalny, to w nim najbardziej cenię – oświadczyła Isabel. – Czy wiesz o nim coś złego? Znasz go przecież tylko powierzchownie.

– Tak – przyznał Ralph – mało go znam i nie mogę żadnymi faktami czy świadectwami udowodnić, że jest człowiekiem niegodziwym. Nie mogę jednak pozbyć się przekonania, że narażasz się na poważne ryzyko.

– Każde małżeństwo jest ryzykiem. Pan Osmond ryzykuje nie mniej niż ja.

– To jego sprawa. Jeżeli się boi, niech się wycofa. Cieszyłbym się, gdyby to zrobił.

Isabel wychyliła się z fotela i krzyżując ramiona na piersi, przyglądała się chwilę kuzynowi.

– Nie rozumiem cię – powiedziała w końcu oziębło. – Nie wiem, o co ci chodzi.

– Spodziewałem się, że wybierzesz na męża człowieka, który jest kimś. – Chociaż głos jego brzmiał lodowato, twarz zapłonęła rumieńcem.

– Kimś? Dla kogo? Dla żony mąż jest na pewno kimś.

Ralph także się zaczerwienił, zakłopotany swoją rolą, spróbował przynajmniej fizycznie zmienić postawę; dźwignął się na fotelu, wychylił z niego, opierając dłonie o kolana. Wzrok wbił w ziemię, twarz jego przybrała wyraz szacunku i głębokiego namysłu.

– Zaraz ci wyjaśnię, o co mi chodzi – powiedział. Był podniecony, zapalił się teraz – skoro zaczął tę dyskusję, chciał rzucić wszystko z serca. Ale jednocześnie pragnął zachować jak największą kurtuazję.

Isabel czekała chwilę, potem odezwała się z godnością:

– Pan Osmond ma wszystkie zalety, jakie w ludziach cenimy. Może istnieją natury szlachetniejsze, ale ja nie zetknęłam się w życiu z nikim, kto by nad nim górował. Nie znam nikogo bardziej niż on ujmującego; jest dla mnie dostatecznie dobry, interesujący, inteligentny. Obchodzą mnie jego zalety, a nie to, czego mu być może brakuje.

– Marzyłem dla ciebie o wspaniałej przyszłości – nie odpowiadając na jej argumenty, oznajmił Ralph. – Układałem różne plany, wierząc, że jesteś powołana do rzeczy niezwykłych. Nie przewidziałem nic takiego jak to, co się stało. Nie myślałem, że zejdziesz tak nisko, tak łatwo i tak prędko.

– Zeszłam nisko, mówisz?

– No tak, to wyraża najlepiej moje odczucie tego, co się z tobą stało. Widziałem cię wzbijającą się w błękity, żeglującą w blasku nad głowami mężczyzn. Nagle jeden z nich rzucił przywiedły pęk róży, pocisk, który nie powinien był cię dosięgnąć, a ty od razu spadłaś na ziemię. To mnie boli – zuchwale wyznał Ralph – boli tak, jakbym sam spadł z wysoka.

Na twarzy jego kuzynki pojawił się wyraz przykrości i oszołomienia.

– Nie rozumiem cię – powtórzyła. – Mówisz, że zabawiałeś się wizjami moich wzniosłych przeznaczeń... nie rozumiem tego, a nawet gotowa jestem pomyśleć, że bawisz się moim kosztem.

Ralph potrząsnął głową.

– A jednak z pewnością uwierzysz w moje marzenia o wielkiej przyszłości dla ciebie.

– Co masz na myśli, mówiąc o moich wzlotach i żeglowaniu wśród obłoków? – spytała. – Nigdy nie poruszałam się na takich wyżynach jak obecnie. Nie ma dla młodej dziewczyny nic wznioślejszego niż zaślubienie człowieka... człowieka, który jej się podoba – oświadczyła Isabel, zapędzając się w dydaktykę.

– Właśnie tę twoją sympatię dla pana Osmonda ośmielałam się krytykować, droga kuzynko. Sądzę, że odpowiednim dla ciebie mężem byłby człowiek bardziej czynny, z większym rozmachem,

szerszych horyzontów. – Ralph zawahał się, nim dodał: – Nie mogę pozbyć się wrażenia, że pan Osmond to człowiek... mały. – Ostatnie słowo wymówił trochę niepewnie; bał się, że Isabel znowu wybuchnie. Ku jego zaskoczeniu zachowała spokój. Zdawało się, że rozważa coś głęboko.

– Mały? – powtórzyła zdumiona.

– Wydaje mi się ciasny, egoistyczny. Tak poważnie traktuje sam siebie!

– Ma wielkie poczucie własnej godności, nie czynię mu z tego zarzutu – powiedziała Isabel. – Można tym bardziej być pewnym, że uszanuje godność innych osób.

Ralph niemal ucieszył jej rozsądny ton.

– Tak, ale wszystko jest względne. Trzeba zdawać sobie sprawę ze swoich powiązań ze światem i ludźmi. Myślę, że tego panu Osmondowi brakuje.

– Mnie głównie obchodzi jego stosunek do mnie, a pod tym względem zachowuje się wzorowo.

– Jest wcielonym znawstwem – ciągnął dalej Ralph, z trudem dobierając słowa, żeby najtrafniej określić ponure właściwości Gilberta Osmonda, nie narażając się na oskarżenie o złą wolę. Chciał scharakteryzować Osmonda obiektywnie, naukowo. – Osądza, mierzy, chwali lub potępia, kierując się wyłącznie własnym gustem.

– Na szczęście ma gust doskonały.

– Oczywiście, doskonały, skoro ciebie wybrał za żonę. Ale czy widziałas kiedyś, co się dzieje, gdy coś nie przypada do gustu takiemu znawcy?

– Mam nadzieję, że nie będę nigdy niczym razila dobrego smaku mojego męża.

Nagły gniew porwał Ralpa.

– Och, to upór niegodny ciebie! Nie jesteś stworzona do tego, żeby cię oceniano taką miarą, jesteś stworzona do czegoś lepszego, nie do pielęgnowania wrażliwości bezpłodnego dyletanta.

Isabel zerwała się z fotela; Ralph podniósł się także i stali naprzeciw siebie, jak gdyby rzucił jej wyzwanie czy wręcz obelgę.

Ale Isabel szepnęła tylko:

– Za wiele sobie pozwalasz.

– Powiedziałem otwarcie, co myślę. Powiedziałem to, bo cię kocham.

Isabel zbladła – czyżby Ralph też chciał wpisać się na listę zanudzających ją konkurentów? Postanowiła wykreślić go natychmiast:

– Ach, więc nie jesteś bezinteresowny?

– Kocham cię, ale kocham bez nadziei – szybko wyjaśnił Ralph, siląc się na uśmiech, zmieszany, że w końcowej deklaracji powiedział więcej, niż zamierzał.

Isabel odsunęła się i przez jakiś czas kontemplowała słoneczną ciszę ogrodu; potem zwróciła się znów do Ralpha:

– Obawiam się, że wobec tego przez twoje usta przemawiało szaleństwo rozpacz. Nie rozumiem cię, ale to nieważne, nie dyskutuję z tobą, nie byłoby to możliwe, staram się jedynie wysłuchać cię i jestem ci wdzięczna, że próbowałeś swoją opinię uzasadnić – powiedziała łagodnie, jak gdyby gniew, który przed chwilą kazał jej zerwać się z miejsca, już wygasł. – Wiem, że chciałeś mnie ostrzec z życzliwości, skoro byłeś zaniepokojony, ale nie obiecuję ci, że zapamiętam przestrozę; nie, zapomnę o niej jak najprędzej. Ty też postaraj się zapomnieć, spełniłeś obowiązek, nikt nie może zrobić więcej. Nie mogę ci wyjaśnić, co czuję, w co wierzę, nawet gdybym umiała, nie chciałabym. – Umilkła, a po chwili podjęła znów z niekonsekwencją, którą Ralph zauważył, chociaż pochłonięty był tropieniem w niej jakichś oznak gotowości do ustępstw. – Nie mogę zrozumieć twojego sądu o panu Osmondzie, nie mogę tego sądu ocenić bezstronnie, bo ja widzę tego człowieka w zupełnie innym świetle. On nie ma żadnego stanowiska w świecie, to prawda, ale jest mu to najzupełniej obojętne. Jeżeli w tym sensie nazwałeś go małym człowiekiem, przyznaję, że jest „mały”, ale dla mnie na tym właśnie polega wielkość, najwznieślejsza wielkość, jaką znam. Nie będę z tobą dyskutowała o człowieku, który ma być moim mężem – powtórzyła. – Nie zamierzam go bronić, bo nie jest tak słaby, aby

potrzebował mojej obrony. Myślę, że nawet tobie wydałoby się dziwne, gdybym mówiła o nim spokojnie i chłodno jak o kimś obcym. Z nikim prócz ciebie nie zgodziłabym się w ogóle o nim rozmawiać, ale wobec tego, co od ciebie usłyszałam, muszę ci odpowiedzieć raz na zawsze. Czy chciałbyś, żebym decydowała się na małżeństwo z wyrachowania, na tak zwane „ambitne” małżeństwo? Mam jedną tylko ambicję: zachować wolność działania w zgodzie z moimi uczuciami. Dawniej miałam inne aspiracje, ale wszystkie przeminęły. Czy ubolewasz nad tym, że pan Osmond nie jest bogaty? Ja właśnie dlatego go lubię. Na szczęście mam dość pieniędzy, nigdy nie byłam tak za to wdzięczna losowi jak teraz. Miałabym ochotę uklęknąć na grobie twojego ojca! On sam zapewne nie zdawał sobie sprawy, jak wielkie czyni dobrodziejstwo, umożliwiając mi małżeństwo z biednym człowiekiem, z człowiekiem, który znosi ubóstwo z taką godnością, tak obojętnie. Pan Osmond nigdy nie szamotał się, nie walczył o łupy i miejsce w świecie, bo nie dba o te rzeczy. Jeśli to uważasz za ciasnotę horyzontów, za egoizm, to w moich oczach są to zalety. Nie boję się tych słów, nie są mi nawet niemiłe, przykro mi tylko, że ty popełniasz taką omyłkę. Inni ludzie mogą mówić, co chcą, ale ty powinieneś rozpoznać prawdziwego dżentelmena, szlachectwo ducha. Pan Osmond nie popełnia takich omyłek! Wszystko wie, wszystko rozumie, jest dobry, łagodny, wielkoduszny. Wyrobiłeś sobie o nim zupełnie fałszywe pojęcie. Ubolewam nad tym, ale nie mogę tego zmienić, to bardziej dotyczy ciebie niż mnie! – Isabel urwała i patrzyła na Ralpa oczyma rozplamionymi na przekór spokojowi, który tak usilnie starała się zachować; wyrażały się w nich mieszane uczucia gniewnego bólu, wywołanego przez słowa kuzyna, i dumy, zranionej tym, że musi usprawiedliwiać swój wybór, tak szlachetny w jej przekonaniu. Milczała, lecz Ralph nie odezwał się, widząc, że Isabel ma jeszcze coś więcej do powiedzenia. Była wyniosła, lecz zarazem zatroskana, spokojna i jednocześnie kipiąca namiętnością. – Jakiego człowieka chciałbyś widzieć w roli mojego męża? – spytała niespodziewanie. – Mówisz o

wzbijaniu się w błękity i żeglowaniu wśród obłoków, ale każde małżeństwo zmusiłoby mnie do zstąpienia na ziemię. Mam ludzkie uczucia, ludzkie potrzeby, mam serce w piersi, a chcąc wyjść za mąż, trzeba zdecydować się na określonego człowieka. Twoja matka nie może mi wybaczyć, że nie doszłam do lepszego porozumienia z lordem Warburtonem, oburza ją, że zadowolam się kimś, kto nie ma takich jak on atutów: majątku, tytułu, ogólnego poważania, domów, ziemi, stanowiska, sławy, różnych wspaniałości. Mnie się to właśnie podoba, że on nic nie ma. Jest po prostu tylko bardzo samotnym, kulturalnym, nieskazitelnie uczciwym człowiekiem, nie magnatem.

Ralph słuchał uważnie, jakby każde słowo zasługiwało na głęboką refleksję; w rzeczywistości jedynie połowa jego umysłu zajęta była tym, co mówiła Isabel, gdy druga starała się przystosować do ciężaru ogólnego wrażenia – wrażenia jej gorącej dobrej wiary. Myliła się, ale wierzyła; zwiedziono ją, ale rozumowała z przygnębiającą konsekwencją. W sposób bardzo dla niej charakterystyczny stworzyła sobie teorię, że kocha Gilberta Osmonda nie za to, co ten człowiek naprawdę ma, ale za jego niedostatki, w których dopatrzyła się chluby. Ralph pamiętał, jak powiedział ojcu, że chciałby jej dać środki do zaspokojenia wymagań wyobraźni. Zrobił to, a Isabel w pełni skorzystała z przywileju. Biedny Ralph czuł się nieswojo, było mu wstyd. Ostatnie zdania wypowiedziała cicho, uroczyście, z przekonaniem, kończąc dyskusję; zamknęła ją ostatecznie, odwracając się i ruszając w kierunku domu. Ralph szedł za nią, razem przez dziedziniec doszli do wielkich schodów. Tu Ralph zatrzymał się, a Isabel obróciła ku niemu twarz, na której malowało się uniesienie i niewątpliwa, przewrotna wdzięczność. Sprzeciw kuzyna dopomógł jej w skryzystalizowaniu motywów własnej decyzji.

– Nie idziesz na lunch? – spytała.

– Nie, nie jestem głodny.

– Powinieneś jeść – odparła. – Żyjesz powietrzem.

– O, tak, w dużym stopniu, toteż wrócę do ogrodu i łyknę go jeszcze trochę. Poszedłem za tobą, bo mam ci jeszcze coś do



powiedzenia. W zeszłym roku mówiłem ci, że jeśli zapłaczesz się w jakieś kłopoty, będę się czuł okropnie oszukany. Otóż tak właśnie czuję się dzisiaj.

– Uważasz, że wpadłam w kłopoty?

– Kto błądzi, musi wpaść w kłopoty.

– A więc dobrze – powiedziała Isabel. – Nigdy nie poskarżę ci się, jeśli nawet będę w kłopotcie.

I zaczęła wchodzić po schodach. Ralph stał z rękoma w kieszeniach i odprowadzał ją wzrokiem; wreszcie podstępny chłód otoczonego wysokimi murami dziedzińca przejął go dreszczem; Ralph powlókł się z powrotem do ogrodu, żeby zamiast lunchem posilić się florenckim słońcem.

## ROZDZIAŁ XXXV

Kiedy spacerowała w Cascine z narzeczoną, nie przychodziło jej wcale do głowy, żeby powiedzieć mu, jak nieprzychylnie jest oceniany w Palazzo Crescentini. Niezbyt się przejmowała dyskretną opozycją ciotki i kuzyna przeciwko jej małżeństwu; wynikało z tego po prostu, że nie lubią Gilberta Osmonda. Ich niechęć nie mogła panny Archer zaniepokoić, w pewnym sensie była nawet pożądana, bo w jej świetle tym dobitniej rysowała się prawda, pod wielu względami zaszczytna – sama sobie wybrała męża takiego, jaki jej się podoba. Wiele rzeczy trzeba robić dla przypodobania się innym ludziom, ale małżeństwo zawiera się dla własnej, bardzo osobistej satysfakcji; a jej satysfakcję potęgowało jeszcze zachowanie pana Osmonda. Był zakochany i w ciągu tych policzonych, błogich, słonecznych dni zbliżających go do spełnienia nadziei mniej niż kiedykolwiek zasługiwał na surową krytykę, której poddał go Ralph. Krytyka ta skłoniła Isabel do refleksji, że miłość odgradza swoje ofiary od reszty świata, pozostawiając zakochanych sam na sam. Miała wrażenie, że pękły wszystkie więzi, które ją dotychczas łączyły z ludźmi – z siostrami, które w listach wyraziły, jak przystało, nadzieję, że Isabel będzie szczęśliwa, i zdziwienie – trochę zawołowane – że o jej wybranym tak niewiele da się powiedzieć; z Henriettą, która z pewnością zjawi się, aby poniewczasie obsypać ją wyrzutami; z lordem Warburtonem, który niewątpliwie pocieszy się, i z Goodwoodem, który może nigdy się nie pocieszy; z ciotką, która miała tak płytkie i zimne poglądy na małżeństwo, że Isabel nie kryła dla nich pogardy; z Ralphem, który opowiadał o swoich nadziejach na wspaniałą przyszłość kuzynki tylko po to, żeby zamaskować osobisty zawód. Ralph oczywiście pragnął, żeby w ogóle nie wyszła za mąż – oto co się kryło pod jego słowami! – ponieważ bawił się obserwowaniem jej przygód panny na wydaniu. Rozczarowany, w gniewie, mówił źle o człowieku,

którego Isabel wolała nawet od niego; pochlebiała sobie, że wierzy w gniew Ralpa. Było jej tym łatwiej uwierzyć w to, że – jak już wspomniałem – pochłonięta jednym uczuciem, niewiele mogła poświęcić uwagi innym, podrzędnym sprawom; potraktowała więc jako drobny szczegół, może nawet ozdobę swojej sytuacji tę okoliczność, że stawiając na pierwszym planie Gilberta Osmonda, nieuchronnie zrywa nici wiążące ją z innymi osobami.

Rozsmakowana w słodyczy tego priorytetu, jednocześnie uświadamiała sobie niemal z lękiem, jak niepodzielny i pozbawiony skrupułów jest stan urzeczenia i opętania, tradycyjnie czczony pod nazwą miłości i uchodzący za cnotę. Szczęście ma swoją tragiczną stronę: korzystając z własnych praw, zawsze kogoś innego krzywdzi.

Tryumf rozpalający teraz z pewnością gorące płomienie w duszy pana Osmonda dawał stosunkowo wątlą smugę dymu w porównaniu z intensywnością blasku. Zadowolenie jego nie przejawiało się w pospolitych formach; podniecenie u tego człowieka o wysokim stopniu samoświadomości przeobrażało się niejako w ekstatyczne opanowanie. Dzięki temu był idealnym kochankiem, wiedząc dobrze, jak ma wyglądać ktoś porażony namiętnością i całkowicie oddany. Ponieważ nigdy, jak mówiłem, nie zapominał się, pamiętał zawsze, że musi być miły i tkliwy, stwarzać pozory – co doprawdy nie było trudne – zmysłowego pobudzenia i najgłębszych uczuć. Narzeczona zachwycała go, madame Merle obdarzyła go bezcennym skarbem. Cóż można by wymarzyć lepszego niż współzycie z istotą szlachetną i usposobioną łagodnie? Czyż całej tej łagodności nie poświęci Isabel jemu, a całej siły charakteru zewnętrznemu światu, który wielbi obraz wyższości? Jaki dar mógłby być bardziej pożądany w towarzysze życia niż bystra inteligencja i polot? Nie będzie tylko powtarzała i odzwierciedlała jego myśli jak wypolerowane wytworne lustro. Osmond nie cierpiał, żeby ktoś dosłownie odtwarzał jego zdania – wydawały mu się wtedy głupie i zwietrzałe; wolał, by je interpretowano jak tekst, który nabiera nowych barw, gdy się go odtwarza z odpowiednim

akompaniamentem muzycznym. Jego egotyzm nigdy nie zniżył się do prostackiego pragnienia, by znaleźć sobie za żonę kobietę głupią. Inteligencja panny Archer miała pełnić funkcję srebrnego, nie glinianego półmiska, który on napelni dojrzałymi owocami, któremu nada wartość dekoracyjną, aby rozmowy z żoną miały smak pięknie podanego deseru. Znajdował w umyśle Isabel pełną doskonałość czystego srebra – był pewny, że ilekroć trąci jej wyobraźnię, usłyszy harmonijny oddźwięk. Wiedział, chociaż mu tego nikt nie mówił wyraźnie, że krewni panny Archer krzywo patrzą na jej narzeczeństwo, ale uważał ją zawsze za osobę całkowicie niezależną, toteż nie widział potrzeby wyrażania żalu z powodu niechęci jej rodziny. Jednakże pewnego ranka niespodziewanie poruszył ten temat.

– Nie podoba mi się różnica sytuacji majątkowej między nami – powiedział. – Podejrzewają, że zakochałem się w pani pieniądzech.

– Pan mówi o ciotce i moim kuzynie? – spytała Isabel. – Skąd pan wie, co oni myślą?

– Nie powiedziała mi pani, że są zadowoleni, a pani Touchett nie odpisała mi na list, który do niej wystosowałem. Gdyby cieszyli się z naszego małżeństwa, okazaliby to w jakiś sposób, a jedynym prawdopodobnym powodem ich milczenia wydaje mi się fakt, że jestem biedny, podczas gdy pani ma pieniądze. Oczywiście ubogi mężczyzna, żeniąc się z bogatą panną, musi być przygotowany na takie krzywdzące sądy. Zależy mi tylko na jednym: żeby pani nie miała ani cienia wątpliwości. Nie dbam, co myślą o mnie ludzie, od których niczego nie chcę, może nawet nie umiem zdobyć się na zainteresowanie ich opinią. Nigdy mnie ludzkie sądy nie obchodziły, Bóg świadkiem, po cóż więc teraz miałbym się o nie troszczyć, gdy zdobyłem nagrodę, która mi za wszystko inne wystarcza. Nie udaję, że martwi mnie pani stan majątkowy, przeciwnie, cieszę się z niego. Cieszy mnie wszystko, co do pani należy, majątek i osobiste zalety. Starać się o pieniądze to rzecz obrzydliwa, ale posiadanie ich uprzyjemnia życie. Myślę, że dostatecznie dowiodłem, jak mało mnie pociągają – nigdy nie

staralem się zarobić ani grosza, toteż mniej zasługuję na podejrzenia o chciwość niż większość ludzi, którzy się za pieniędzmi uganiają lub starają się je zdobyć w pocie czoła. To naturalne, że pani krewni są zaniepokojeni, przyznaję, że może jest to ich obowiązkiem. Mam nadzieję, że z czasem polubią mnie bardziej... pani także. Na razie nie zamierzam truć się myślami o ich niezadowoleniu, wolę być wdzięczny losowi za szczęście i naszą miłość.

– Kochając panią, stałem się lepszy – powiedział przy innej okazji – mądrzejszy, spokojniejszy, a nawet – nie wypieram się – bystrzejszy i miłszy, a także silniejszy. Przedtem pragnąłem wielu rzeczy i gniewało mnie, że ich mieć nie mogę. Teoretycznie byłem zadowolony, jak kiedyś pani mówiłem. Pochlebiałem sobie, że umiem ograniczyć swoje życzenia. Ale łatwo się irytowałem, miewałem chorobliwe, okropne ataki bezsilnego głodu, niezaspokojonych pragnień. Teraz jestem w pełni zadowolony, bo nie wyobrażam sobie nic lepszego niż to, co mam. To tak jakby człowiekowi, który męczył się, czytając książkę o zmroku, nagle ktoś przyniósł zapaloną lampę. Wyteżałem daremnie oczy nad księgą życia i nic nie mogłem w niej znaleźć naprawdę cennego; teraz czytam swobodnie i odkryłem, że jest to historia zachwycająca. Nie umiem pani powiedzieć, moja ukochana, jaką widzę przed nami piękną przyszłość, jak gdyby długie słoneczne letnie popołudnie. Właśnie tę drugą połowę włoskich dni, kiedy w złocistym blasku cienie wydłużają się, a wszystko – powietrze, światło, pejzaż – nabiera nadprzyrodzonej subtelności, uwielbiałem przez całe życie tak, jak pani teraz nauczyła się to wielbić. Na honor, nie widzę żadnego powodu, abyśmy nie mieli być ze sobą szczęśliwi. Mamy wszystko, co lubimy, nie mówiąc już o tym, że mamy nawzajem siebie. Jesteśmy zdolni do zachwyty i dzielimy pewne zasadnicze poglądy. Nie jesteśmy głupi ani małoduszni, nie krępują nas pęta ignorancji czy ponurych przesądów. Pani ma wielką świeżość, a ja jestem dobrze zahartowany. Mamy też moją biedną córeczkę, która nas będzie rozweselała i dla której postaramy się przygotować jakiś skromny,

szczęśliwy los. Wszystko to widzę w miękkim, soczystym włoskim kolorycie.

Snuli mnóstwo planów, ale dość luźnych, pozostawiając sobie swobodę na przyszłość; mieszkać zamierzali oczywiście we Włoszech; tutaj poznali się, Włochy stanowią część wrażenia, jakie na sobie nawzajem wywarli, powinny więc stać się także częścią ich wspólnego szczęścia. Osmond był do tego kraju przywiązany od dawna, a dla Isabel Italia miała ożywczy urok nowości i obiecywała życie w nieustannej czujnej świadomości piękna. Dawne pragnienie nieograniczonej ekspansji ustąpiło w jej umyśle miejsca przekonaniu, że życie jest puste bez jakiejś osobistej misji, na której można zogniskować całą energię. Powiedziała Ralphowi, że przez ostatni rok czy też dwa lata „poznawała życie” i że się tym znużyła, nie samym życiem jednak, lecz rolą obserwatora. Co się stało z jej dawnymi porywami, aspiracjami, teoriami, z szacunkiem dla niezależności, z kiełkującym w umyśle przeświadczeniem, że nie powinna w ogóle wyjść za mąż? Wszystko to wchłonęła jedna, bardziej pierwotna potrzeba, na której głos odpowiedziała. Wymazała niezliczone inne pytania, zaspokajając jedną wielką tęsknotę. Jednym pociągnięciem, jak gdyby promieniem światła spływającym z gwiazd, została w ten sposób uproszczona sytuacja, która już nie domagała się wyjaśnień. Wszystko było jasne, kochała Osmonda, należał do niej, wiedziała, że będzie mu użyteczna. Może z pokorą skapitulować i zaślubić go ze szczególną dumą, ponieważ nie tylko bierze, lecz także wiele nawzajem daje.

Kilka razy przyprowadził ze sobą do Cascine Pansy, która przez ostatni rok ledwie trochę urosła, a nie wydorosłała wcale. Ojciec nie ukrywał przeświadczenia, że Pansy zawsze pozostanie dzieckiem; trzymał szesnastoletnią dziewczynę za rękę i polecił jej, żeby przeszła się i zabawiła sama w pobliżu, gdy on będzie rozmawiał z piękną panią, siedząc na ławce. Pansy ubrana była w krótką sukienkę i długi płaszcz, a kapelusz jak zwykle wydawał się za duży na jej główkę. Chętnie odmaszerowała krótkim, szybkim krokiem aż w drugi koniec alei, po czym wróciła uśmiechnięta,

jakby oczekiwała pochwały. Isabel chwaliła ją szczerze, z serdecznością, której tkliwa natura dziecka wyraźnie łaknęła. Uważnie obserwowowała wszystkie te sygnały, jak gdyby od nich zależała w pewnym stopniu jej własna przyszłość; Pansy uświadamiała jej część przysług, jakie będzie mogła oddać, i część odpowiedzialności, jaką na siebie bierze. Ojciec traktował Pansy jak małe dziecko, toteż dotychczas nie wytłumaczył jej, jaki nowy związek wkrótce połączy go z wytworną panną Archer.

– Pansy nic nie wie i niczego się nie domyśla – powiedział narzeczonej. – Wydaje jej się naturalne, że spotykamy się tutaj po prostu jak dwoje przyjaciół. Jej niewinność zachwyca mnie, taką ją właśnie kocham. Nie, nie poniosłem w życiu porażki, jak mi się kiedyś zdawało, w dwóch sprawach miałem szczęście. Żenię się z kobietą, którą uwielbiam, i udało mi się wychować córkę tak, jak pragnąłem, po staroświecku.

We wszystkim lubił staroświecczyznę, to należało w oczach Isabel do jego spokojnego, subtelnego i szczerzego sposobu bycia.

– Myślę, że nie może pan stwierdzić, czy się to udało, dopóki jej pan nie powie – odparła Isabel. – Zobaczymy, jak przyjmie tę nowinę. Może przerazi się, może będzie zazdrosna.

– Nie obawiam się tego, za bardzo sama panią lubi. Wolałbym jej nie wtajemniczać jeszcze, chciałbym poczekać, czy jej nie przyjdzie do głowy, że jesteśmy albo że powinniśmy być zaręczeni.

Artystyczny, niejako plastyczny punkt widzenia pana Osmonda na niewinność małej Pansy zadziwił pannę Archer, w której ta sprawa budziła pewne moralne skrupuły. Mimo to z przyjemnością usłyszała w parę dni później od Osmonda, że już rozmawiał z córką i że Pansy odpowiedziała uroczym zdaniem: „A więc będę miała piękną starszą siostrę”. Nie była zaskoczona ani zdumiona, nie rozplakała się też, jak przewidywał.

– Może już dawno zgadła – powiedziała Isabel.

– Proszę tego nie mówić, czułbym niesmak, gdybym w to uwierzył. Myślałem, że będzie to dla niej pewien wstrząs, ale dała dowód nieskazitelnie dobrych manier. Jest taka, jaką ją

wymarzyłem. Sama się pani przekona, jutro Pansy osobiście złoży pani życzenia.

Spotkanie odbyło się nazajutrz u hrabiny Gemini, gdzie Gilbert Osmond przyprowadził córkę, wiedząc, że tego popołudnia Isabel wybiera się z rewizytą do przyszłej szwagierki, która, poinformowana o zaręczynach, była już u panny Archer z gratulacjami. Hrabina nie zastała w Palazzo Crescentini panny Archer, ale gdy Isabel weszła do salonu hrabiny, przywitała ją Pansy, zapewniając, że ciotka zaraz się zjawi. Pansy spędzała cały dzień u hrabiny, która uznała, że bratanica dorosła do wieku, gdy powinna uczyć się zwyczajów towarzyskich. Isabel myślała, że to raczej Pansy mogłaby dawać swojej ciotce lekcje salonowego zachowania, a utwierdził ją jeszcze bardziej w tym przekonaniu sposób, w jaki dziewczynka pełniła rolę panny domu, zabawiając gości, póki były sam na sam w salonie. Przed rokiem ojciec zdecydował się odesłać małą Pansy do klasztoru, gdzie miała uzupełnić edukację; matka Catherine najwidoczniej trzymała się wiernie swojej teorii, że Pansy musi być przygotowana do życia w wielkim świecie.

– Papa powiedział mi, że pani łaskawie zgodziła się zostać jego żoną – odezwała się pupilka zacnej matki Catherine. – Bardzo się ucieszyłam, myślę, że pani będzie dobra.

– Dla ciebie, Pansy?

– Och, dla mnie z pewnością, ale chciałam powiedzieć, że będziecie z papą doskonale dobraną parą, oboje tacy spokojni i poważni. Chociaż pani nie jest taka poważna jak papa... czy nawet madame Merle... ale spokojniejsza niż inne osoby. Papa nie powinien mieć żony takiej na przykład jak ciocia. Ciocia jest wciąż w ruchu, stale podniecona, a dzisiaj gorzej niż zwykle, sama pani za chwilę zobaczy. Na pensji uczono mnie, że nie wolno osądzać starszych, ale myślę, że nie ma w tym nic złego, jeżeli kogoś oceniam pochlebnie. Pani będzie cudowną towarzyszką dla papy.

– Mam nadzieję, że dla ciebie także – powiedziała Isabel.

– Umyślnie mówię najpierw o papie. Co do mnie, już pani kiedyś powiedziałam, co myślę o pani, polubiłam panią od



pierwszej chwili. Tak panią podziwiam, że będę uważała za dar losu pani stałą obecność przy mnie. Pani będzie moim wzorem, spróbuję panią naśladować, chociaż obawiam się, że nie bardzo mi się to uda. Cieszę się ze względu na papę, jemu potrzebny jest ktoś mądrzejszy niż ja. Nie wiem, czy kiedykolwiek znalazłby takie szczęście, gdyby nie pani. Pani będzie moją macochą, ale nie używajmy tego słowa. O macochach mówi się, że bywają okrutne, a nie wierzę, żeby pani mogła mnie choćby palcem tknąć czy też popchnąć. Wcale się pani nie boję.

– Moja kochana mała Pansy – łagodnie odparła Isabel. – Będę zawsze dobra dla ciebie! – Ogarnęło ją mgliste, bezpodstawne przeczucie, że Pansy będzie jej dobroci w jakiś szczególny sposób potrzebowała.

– A więc niczego się nie boję – skwapliwie odpowiedziała dziewczynka, jak zawsze mając gotowy, stosowny zwrot do wyrecytowania. Przypominało to nauki, jakich jej zapewne udzielano, a może też kary, jakimi jej grożono, gdyby nie nauczyła się lekcji.

Pansy trafnie scharakteryzowała swoją ciotkę – hrabina Gemini tym razem także nie złożyła skrzydeł, weszła do salonu, wypełniając trzepotem powietrze, pocałowała Isabel najpierw w czoło, później w oba policzki, jakby spełniała z góry przepisany starodawny obrządek. Zaciągnęła ją na kanapę i przyglądała jej się, przechylając głowę coraz to pod innym kątem, i zaczęła mówić, jak gdyby stała przed sztalugami z pędzlem w ręku i starannymi pociągnięciami nakładała kolory na wcześniej naszkicowaną kompozycję.

– Jeżeli pani spodziewa się ode mnie gratulacji, musi pani wybaczyć, że ich nie złożę. Nie sędzę, żeby panią obchodziło, czy powinszuję, czy nie, pani prawdopodobnie na takie błahostki nie zważa, jako osoba niepospolitej inteligencji. Ale ja przywiązuję do nich wagę i nie cierpię obłudy. Kłamię tylko w wyjątkowych okolicznościach, kiedy to służy jakiemuś dobremu celowi. Okłamując panią, nie osiągnęłabym niczego, tym bardziej że pani by mi nie uwierzyła. Nie wygłaszam kazań, tak samo jak nie robię

sztucznych kwiatów z papieru czy abażurów z falbankami, ponieważ tego nie umiem. Moje abażury zapalałyby się na lampie, a róże i kłamliwe frazesy w moim wykonaniu byłyby zbyt jaskrawe. Osobiście bardzo się cieszę, że pani chce wyjść za Osmonda, ale nie mogę udawać, że cieszę się ze względu na panią. Pani jest kobietą niepospolitą, wszyscy to mówią, odziedziczyła pani majątek, jest pani piękna i oryginalna, niebanalna, dla naszej rodziny będzie pani cennym nabytkiem. To zresztą bardzo szanowna rodzina, Osmond pani zapewne wspomniał, że moja matka była niezwykłą postacią, nazywano ją amerykańską Korynną. Ale rodzina, niestety, podupała i myślę, że pani ją podniesie. Mam do pani ogromne zaufanie i chciałabym z panią porozmawiać o wielu różnych sprawach. Nigdy żadnej pannie nie wieszczę zamążpójścia, instytucję małżeństwa trzeba by zreformować, żeby nie była tak podobna do żelaznego potrzasku. Nie powinnam takich rzeczy mówić przy Pansy, ale przecież przyszła do mnie, żeby nabrać światowego poloru. Nie zaszkodzi, jeśli dowie się, jakie okropne rzeczy mogą jej się zdarzyć w przyszłości. Kiedy po raz pierwszy spostrzegłam, że mój brat ma wobec pani poważne zamiary, chciałam do pani napisać, poradzić jak najbardziej przekonująco, żeby pani mu odmówiła. Potem zreflektowałam się, że byłoby to z mojej strony nielojalne, a brzydzę się nielojalnością. Zresztą, jak już mówiłam, osobiście cieszę się z pani wejścia do rodziny, a jestem wielką egoistką. Oczywiście pani nie może mieć dla mnie ani źdźbła szacunku i nigdy nie zbliżymy się do siebie naprawdę. Ja bym tego pragnęła, ale pani nie zechce, a jednak zaprzyjaźnimy się bardziej, niż pani dzisiaj przypuszcza. Mój mąż złoży pani wizytę, chociaż Osmond nie utrzymuje z nim stosunków. Mój mąż zawsze chętnie poznaje piękne kobiety, ale z pani strony nic mi nie grozi. Po pierwsze, nic mnie nie obchodzi, co mój mąż robi. Po drugie, pani nawet na niego nie spojrzysz; to nie jest typ, który mógłby panią zainteresować, mimo swojej głupoty zrozumie od razu, że u pani nic nie wskóra. Kiedyś, jeśli pani pozwoli, opowiem pani o nim wszystko. Jak pani sądzi, czy nie należałoby wyprawić Pansy do

drugiego pokoju? Pansy, idź do buduaru i pograj trochę na fortepianie.

– Proszę, niech pani pozwoli jej zostać. Nie chcę usłyszeć nic takiego, co nie jest stosowne dla uszu Pansy.

## ROZDZIAŁ XXXVI

Pewnego jesiennego popołudnia roku 1876 o zmierzchu młody człowiek milej powierzchowności zadzwonił do drzwi mieszkania na trzecim piętrze starego rzymskiego domu. Gdy mu otworzono, spytał o madame Merle. Służąca, nieładna, lecz schludna kobieta – Francuzka, sądząc z rysów; pokojówka wytwornej damy, sądząc z manier – wprowadziła go do miniaturowego saloniku i grzecznie spytała, kogo ma zaanonsować.

– Edward Rosier – odparł gość i usiadł, gotów czekać na panią domu.

Czytelnik zapewne pamięta, że pan Rosier był ozdobą amerykańskiej kolonii w Paryżu, ale trzeba też wiedzieć, że często zniknął na jakiś czas z tego kręgu. Zimy częściowo spędzał w Pau, a ponieważ lubił trzymać się raz ustalonych zwyczajów, jeździłby zapewne co roku przez wiele jeszcze lat do tej uroczej miejscowości. Jednakże w lecie 1876 roku przypadek zmienił nie tylko bieg jego myśli, ale również tryb życia, do którego przywykł. Spędzając miesiąc w Engadynie, spotkał w St. Moritz czarującą młodą panią. Od pierwszych dni zaczął poświęcać tej osobce szczególną uwagę, wydawała mu się bowiem idealną kandydatką na poszukiwanego od dawna anioła domowego ogniska. Z natury był ostrożny i powściągliwy, toteż wstrzymał się na razie od wyjawiania swoich uczuć; gdy się jednak rozstali – panią wyjechała do Włoch, a jej wielbiciel do Genewy, gdzie wcześniej umówił się z jakimiś przyjaciółmi – wydawało mu się, że nie zazna szczęścia, dopóki nie zobaczą się znowu. Najprostszym sposobem, aby zobaczyć wybrankę serca, była jesienna podróż do Rzymu, bo tam mieszkała rodzina panny Osmond. Pan Rosier ruszył więc na pielgrzymkę do włoskiej stolicy i znalazł się tam pierwszego listopada. Wyprawa, chociaż przyjemna, przedstawiała się jednak młodemu człowiekowi jako czyn wręcz heroiczny.

Nieprzystosowany do klimatu, narażał się na zgubną, jak powszechnie sądzono, rzymską listopadową aurę. Szczęście, jak wiadomo, sprzyja śmiałkom – nasz ryzykant, zażywając trzy granulki chininy dziennie, po miesiącu nie musiał żałować swojego zuchwalstwa. W pewnym sensie wykorzystał dobrze ten czas – daremnie próbował wytropić najmniejszą choćby skazę w charakterze panny Pansy Osmond. Była zachwycająco doskonała, niczego jej nie brakowało, wydawała się skończonym arcydziełem. Rozmyślał o niej z taką lubością jak o ślicznej pastereczce z dreźnieńskiej porcelany. Panna Osmond w kwiecie młodości rzeczywiście przypominała trochę rokokowe figurynki, a pan Rosier, rozmiłowany w tym stylu, umiał się poznać na jej wdzięku. Można by zgadnąć, że ceni także dzieła stosunkowo bardziej lekkomyślnych epok, gdyby się go obserwowało, jak uważnie rozgląda się po saloniku madame Merle, gdzie nie brakowało okazów wszelkich możliwych stylów, ale dominowały przedmioty powstałe w ciągu dwóch ostatnich wieków. Pan Rosier natychmiast uzbroidł się w monokl i zlustrował cały pokój. „Na Jowisza! – szepnął z zazdrością – ta kobieta ma sporo interesujących rzeczy!”. Salonik, gęsto zastawiony meblami, pełen był spłowiałych jedwabi i statuetek, które łatwo było potrącić na każdym kroku. Pan Rosier wstał i zaczął krążyć wśród mebli, ostrożnie schylając się nad stolikami pełnymi różnych cacek i nad poduszkami zdobnymi w haftowane książęce herby. Madame Merle, wchodząc, zastała gościa przed kominkiem z nosem przytkniętym do szerokiej koronkowej falbany przyszytej do adamaszkowego laufra okrywającego parapet. Pan Rosier ujął falbanę w palce i zdawało się, że ją obwąchuje.

– Stara wenecka robota – objaśniła pani domu. – Niezła!  
– Za dobra na taki użytek – odparł. – Powinna ją pani nosić na sobie.

– Słyszałam, że pan ma w Paryżu cenniejsze i także udrapował pan nimi kominek.

– No, ja nie mogę przecież nosić koronek – uśmiechnął się pan Rosier.

– Czemuż by nie? Do noszenia na sobie mam lepsze koronki.  
Powiódł znowu uważnie wzrokiem dokoła.  
– Jest tu trochę rzeczy bardzo dobrych.  
– Wiem, ale ich nienawidzę.  
– Może chciałaby się pani ich pozbyć? – spytał żywo.  
– Nie, trzeba mieć coś takiego, na czym można wyładować nienawiść.

– Ja swoje rzeczy kocham – oświadczył pan Rosier, rumieniąc się z nadmiaru emocji. – Ale nie o swoich czy też pani skarbach chciałbym porozmawiać. – Umilkł i po chwili łagodniejszym tonem dodał: – Bardziej niż wszystkie bibeloty Europy interesuje mnie panna Osmond.

Madame Merle szeroko otworzyła oczy.

– Czy przyszedł pan specjalnie, żeby mi to powiedzieć?

– Przyszedłem prosić panią o radę.

Patrzyła na niego przyjaźnie, marszcząc brwi i pocierając brodę swoją dużą, białą dłonią.

– Wie pan, człowiek zakochany nie pyta o radę.

– Dlaczego? Jeśli jest w trudnej sytuacji? To się często zdarza zakochanym. Wiem, bo nieraz już się kochałem, ale nigdy tak jak teraz, naprawdę nigdy! Chciałbym dowiedzieć się, jak pani ocenia moje szanse. Obawiam się, że dla panny Osmond nie jestem... pożądanym okazem do kolekcji.

– Pan życzy sobie, żebym orędownała w pańskiej sprawie? – spytała, krzyżując na piersi piękne ramiona i unosząc nieco lewy kącik ust.

– Gdyby pani zechciała poprzeć mnie jakimś życzliwym słówkiem, byłbym bardzo wdzięczny. Nie chciałbym niepokoić panny Osmond, dopóki nie mam podstaw do nadziei, że jej ojciec zgodzi się na moją kandydaturę.

– Jest pan bardzo rozważny, to przemawia za panem. Ale pan zdaje się przyjmować z góry za pewnik, że ja pana uważam za godnego kandydata.

– Pani była dla mnie bardzo łaskawa – odparł młody człowiek. – Dlatego przyszedłem.

– Zawsze jestem łaskawa dla ludzi, którzy mają autentyczne meble z czasów Ludwika XVI, to teraz wielka rzadkość, nie wiadomo, jak daleko można z tym zajść. – Lewy kącik ust nadał żartobliwy sens tym słowom.

Pan Rosier zdawał się jednak na poważnie spłoszony i zaprotestował:

– Myślałem, że lubi mnie pani za osobiste moje zalety.

– Lubię pana bardzo, ale nie analizujmy przyczyn.

Przepraszam, jeżeli to zabrmi protekcyjnie, ale uważam pana za wzorowego młodego dżentelmena. Muszę jednak wyjaśnić, że nie ode mnie zależy wybór męża Pansy Osmond.

– Nigdy tego nie myślałem. Panią łączy serdeczna przyjaźń z jej rodziną, więc sądziłem, że może pani mieć wielki wpływ na tę sprawę.

Madame Merle zastanawiała się przez chwilę.

– Kogo pan nazywa „jej rodziną”?

– No, ojca i... jak się po angielsku nazywa *la belle-mère*?

– Pan Osmond oczywiście jest jej ojcem, ale jego żonę trudno zaliczyć do rodziny. Pani Osmond nie ma nic wspólnego z matrymonialnymi projektami dla Pansy.

– Szkoda! – z miłym, ufnym westchnieniem odparł pan Rosier. – Myślę, że pani Osmond byłaby mi przychylna.

– Bardzo prawdopodobne... jeżeli mąż jej byłby panu niechętny.

Pan Rosier podniósł brwi.

– Czy zwykła być przeciwnego zdania niż jej mąż?

– We wszystkim. Różnią się w poglądach.

– Ano cóż – rzekł pan Rosier. – Smutne, ale to nie moja sprawa. Pani Osmond bardzo lubi małą Pansy.

– Tak, bardzo ją lubi.

– Pansy też jest bardzo do niej przywiązana. Mówiła mi, że kocha ją jak rodzoną matkę.

– A więc pan jednak prowadził dość poufne rozmowy z tym biednym dzieckiem – stwierdziła madame Merle. – Czy pan jej wyznał swoje uczucia?

– Nigdy! – wykrzyknął pan Rosier, podnosząc obciągniętą w rękawiczkę dłoń. – Nie zrobię tego, póki nie upewnię się, że rodzina jest gotowa mnie przyjąć.

– Zawsze pan na to czeka? Ma pan wspaniałe zasady, szanuję pana konwenanse.

– Pani sobie drwi ze mnie – szepnął młody człowiek, cofając się ku oparciu krzesła i przyglądając wąsiki. – Nie spodziewałem się tego po pani!

Spokojnie pokiwała głową jak osoba trzeźwo patrząca na świat.

– Nie jest pan dla mnie sprawiedliwy. Uważam, że pana postępowanie świadczy o dobrym smaku i jest najwłaściwszą taktyką, jaką mógł pan obrać. Taka jest moja opinia.

– Nie chciałbym mącić jej spokoju, gdyby tylko na tym musiało się skończyć. Za bardzo ją kocham, żeby to zrobić – rzekł Ned Rosier.

– Cieszę się pomimo wszystko, że mnie pan o tym poinformował – odparła madame Merle. – Niech pan mi zostawi trochę czasu, może będę mogła pomóc panu.

– Wiedziałem, że pani jest osobą, do której powinienem się zwrócić! – wykrzyknął młody człowiek, wpadając natychmiast w entuzjazm.

– Okazał pan wielką inteligencję – oschlejszym już tonem powiedziała madame Merle. – Mówiąc, że może panu pomóc, miałam na myśli, że spróbuję, jeżeli pan jest rzeczywiście odpowiednim kandydatem. Zastanówmy się teraz nad tym.

– Jestem naprawdę porządnym człowiekiem – serio zapewnił ją pan Rosier. – Mam wady, jak każdy, ale żadnych złych nałogów.

– To są zalety negatywne, zresztą zależy, co kto uważa za złe nałogi. Co pan ma po stronie aktywów? Jakie zalety? Co pan posiada oprócz hiszpańskich koronek i dreźnieńskich filiżanek?

– Przyzwoity skromny mająteczek, około czterdziestu tysięcy franków rocznego dochodu. Umiejętnie zarządzam małym kosztem, więc za te pieniądze możemy żyć doskonale.

– Doskonale? Nie. Zaledwie przyzwoicie. A i to zależnie od



tego, gdzie byście się osiedlili.

– W Paryżu. Podejmuję się utrzymać dom w Paryżu za tę sumkę.

Lewy kącik ust madame Merle uniósł się.

– Nie byłoby to świetne życie. Musielibyście używać pańskich dreздеńskich filiżanek i wkrótce by się wytlukły.

– Nie pragniemy świetności. Panna Osmond będzie miała dokoła mnóstwo pięknych rzeczy, i to jej wystarczy. Istota tak śliczna jak ona nie straci uroku, jeśli nawet będzie jadła na tanich fajansach. Nie powinna nosić nic innego niż muśliny, nawet bez broszki – powiedział w zamyśleniu pan Rosier.

– Nie pozwoli jej pan nawet na broszkę? Będzie panu wdzięczna w każdym razie za tę teorię.

– Moja teoria jest słuszna, zapewniam panią. Ona ją bez wątpienia zrozumie, ona wszystko rozumie, za to ją kocham.

– To bardzo dobre dziewczątko, bardzo dobrze ułożone i wyjątkowo urocze. Ale ojciec, o ile mi wiadomo, nie może jej wyposażyć.

Pan Rosier nawet nie drgnął.

– Wcale tego nie wymagam. Muszę jednak zauważyć, że pan Osmond prowadzi tryb życia człowieka bogatego.

– Majątek należy do jego żony, wniosła wielki posag.

– Pani Osmond kocha pasierbicę, może zechce dla niej coś zrobić.

– Jak na zadurzonego wielbiciela rozumuje pan dość trzeźwo! – zawołała ze śmiechem madame Merle.

– *Une dot* bardzo by mnie cieszyła. Mogę się bez posagu obyć, ale cieszyłbym się, gdyby coś niecoś dostała.

– Pani Osmond – odparła madame Merle – będzie prawdopodobnie wołała zachować pieniądze dla własnych dzieci.

– Jak to? Przecież nie ma dzieci?

– Ale może jeszcze mieć! Dwa lata temu straciła półrocznego synka. Niewykluczone, że przyjdą na świat dzieci.

– Mam nadzieję, że tak się stanie, życzę jej tego szczęścia. To wspaniała kobieta.

Madame Merle nie okazała entuzjazmu.

– Ach, o niej dałoby się wiele powiedzieć. Wspaniała, jeśli tak pan chce ją określić. Nie rozstrzygnęliśmy jeszcze wciąż, czy pan jest odpowiednią partią dla panny Osmond. Brak nałogów nie zastąpi źródła dochodów.

– Owszem, sędzę, że może je zastąpić – bardzo rzeczowo stwierdził pan Rosier.

– Byłaby z was wzruszająca para, żyjąca niewinnością!

– Pani mnie nie docenia.

– Nie jest pan aż tak niewinny? Mówmy poważnie.

Oczywiście czterdzieści tysięcy franków rocznie i sympatyczny charakter to połączenie godne uwagi. Nie jest to świetna okazja, którą trzeba co prędzej wykorzystać, ale nie najgorsza z możliwych. Pan Osmond, jak sędzę, będzie wolał jednak czekać na lepszą.

– Pan Osmond! Ale jego córka? Czy może być dla niej coś lepszego od małżeństwa z człowiekiem, którego kocha? Bo Pansy kocha mnie, proszę pani – dodał pan Rosier z przejęciem.

– Tak, wiem.

– Ach! – wykrzyknął młody człowiek. – Wiedziałem, co robię, kiedy przyszedłem do pani.

– Ale nie wiem, skąd pan to wie, jeśli pan jej nie pytał – powiedziała madame Merle.

– W takich sprawach wszystko wiadomo bez pytania, bez słów, jak pani słusznie nas określiła, jesteśmy parą niewiniątek. Skąd pani to wie?

– Ja, która dawno straciłam niewinność! Wiem, bo jestem sprytna. Niech pan na mnie polega. Wybadam dla pana teren.

Rosier wstał, gładząc kapelusz.

– Powiedziała to pani bardzo chłodnym tonem. Ja proszę nie tylko o wybadanie terenu, ale też o przygotowanie dla mnie życzliwej atmosfery.

– Zrobię, co będę mogła. Postaram się przedstawić pana w jak najlepszym świetle.

– Dziękuję, bardzo dziękuję. A ja tymczasem porozmawiam z

panią Osmond.

– *Gardez-vous-en bien!* – odparła, wstając, madame Merle. – Jeżeli ona się wmiesza w tę sprawę, wszystko przepadnie.

Ned Rosier patrzył w głąb kapelusza – ogarnęły go wątpliwości, czy naprawdę zwrócił się ze swoją prośbą do najwłaściwszej osoby.

– Nie rozumiem pani. Znamy się z panią Osmond od dawna i myślę, że jest mi życzliwa.

– Ciesz się, że jest pan jej dawnym znajomym, im więcej ma starych przyjaciół, tym lepiej dla niej, bo do nowych nie ma jakoś szczęścia. Na razie niech pan jej nie namawia, żeby kruszyła kopię o pana. Pan Osmond może mieć inne plany, a ponieważ dobrze życzę pani Osmond, radzę, niech pan nie dostarcza nowych powodów do nieporozumień między nimi.

Na twarzy biednego pana Rosiera malował się coraz większy niepokój; staranie się o rękę panny Osmond okazało się przedsięwzięciem bardziej skomplikowanym, niż przewidział w swoim zapale, pragnąc przeprowadzić tę sprawę jak najprościej. Ale miał sporo zdrowego rozsądku, ukrytego pod powierzchnią, która robiła wrażenie „najlepszego garnituru” człowieka dbałego o swój wygląd, i ten rozsądek przyszedł mu teraz z pomocą.

– Nie czuję się zobowiązany do oszczędzania panu Osmondowi przykrości! – wykrzyknął.

– Nie, ale może zechce pan oszczędzić przykrości pani Osmond. Jest pan przecież jej dawnym przyjacielem. Chce pan, żeby cierpiała?

– Za nic w świecie!

– Więc niech pan będzie ostrożny i niech pan cierpliwie czeka, póki ja nie przeprowadzę małego wywiadu.

– Jakże mogę czekać cierpliwie? Droga pani zapomina, że jestem zakochany!

– Och, nie spali się pan na popiół! Po cóż pan do mnie przyszedł, jeśli pan nie chce słuchać moich rad?

– Jest pani bardzo dobra dla mnie. Będę posłuszny – obiecał pan Rosier. – Ale boję się, pan Osmond wydaje się okropnie

surowy – dodał miękko, idąc już ku drzwiom.

Madame Merle parsknęła śmiechem.

– Nieraz to już słyszałam. Ale jego żona też nie ma najłatwiejszego charakteru.

– Wspaniała kobieta! – powtórzył Ned Rosier na pożegnanie.

Postanowił, że będzie zachowywał się tak, jak przystało starającemu się, który już okazał się wzorem dyskrecji; jednakże nie obiecał madame Merle nic takiego, co by mu wzbraniało krzepić się na duchu, składając od czasu do czasu wizyty w domu państwa Osmond. Myślał nieustannie o radach, jakich mu udzieliła madame Merle, w uszach brzmiał mu powściągliwy ton jej głosu. Poszedł do niej *en confiance* – jak się mówi w Paryżu, ale kto wie, czy nie działał zbyt pochopnie. Trudno mu było oskarżać siebie o popędliwość, rzadko w życiu zasługiwał na ten zarzut, ale nie dało się zaprzeczyć, że nie znał zbyt dobrze madame Merle, a chociaż wydawała mu się czarującą osobą, nie był to dostateczny powód – jak stwierdził po głębszej refleksji – by oczekiwać, że dama ta z całą gorliwością popchnie pannę Osmond w jego ramiona, najczulej oczywiście na jej przyjęcie otwarte. Okazała mu rzeczywiście przychylność i była szanowana w domu państwa Osmond, gdzie grała ważną rolę, zachowując się jak ktoś bliski, ale bez cienia poufałości (Ned Rosier nawet dziwił się nieraz, jak ona ten efekt osiąga). Może jednak przesadził w ocenie jej zalet. Dlaczego właściwie miałyby się dla niego trudzić? Urocza kobieta do wszystkich odnosi się uprzejmie; Rosier zawstydził się własnej głupoty, która kazała mu prosić o pomoc tę damę, ponieważ łudził się, że go wyróżniła szczególną sympatią. Prawdopodobnie – chociaż mówiła to niby żartem – podobały jej się tylko jego bibeloty. Czyżby wyobrażała sobie, że dostanie w prezencie parę klejnocików do swojej kolekcji? Jeżeli pomoże mu ożenić się z panną Osmond, gotów byłby jej ofiarować całe swoje muzeum! Nie mógł jej tego otwarcie powiedzieć; wyglądałoby to na próbę ordynarnego przekupstwa, ale chętnie dałby jej to taktownie do zrozumienia.

Tak rozmyślając, wybrał się znów do państwa Osmond;

czwartek był dniem przyjęć pani Osmond, jego wizyta w tym dniu mogła być więc poczytana za zwykły przejaw kurtuazji. Panienska, która była przedmiotem uczciwych zamiarów Neda Rosiera, mieszkała w wysokim domu w sercu Rzymu; ciemny masywny budynek wznosił się nad słoneczną *piazzetta* w sąsiedztwie pałacu Farnese. Mała Pansy mieszkała w innym pałacu – lecz to, co według rzymskiej klasyfikacji uchodziło za pałac, w wyobraźni biednego, wylęknionego Rosiera stało się więzieniem. Dopatrywał się złej wróżby w tym, że istota, którą pragnął zaślubić i której wybrednego ojca nie spodziewał się przejednać, zamurowana jest w tej rodzinnej fortecy, w wieży noszącej surową rzymską nazwę, związanej z historycznymi zdarzeniami, ze wspomnieniami zbrodni, podstępów i gwałtów, wymienionej w przewodniku Murraya i pokazywanej pobieżnie turystom, przeważnie zresztą rozczarowanym i przygnębnym widokiem tego gmachu; zdobiły go jednak na pierwszym piętrze freski Caravaggia oraz szereg obtłuczonych posągów i zakurzonych urn w wielkiej, pięknie sklepionej loggii górującej nad wilgotnym dziedzińcem, gdzie fontanna tryskała z omszałej wnęki. Ned Rosier, gdyby miał umysł wolny od trosk, zapewne umiałby lepiej docenić Palazzo Roccanera i podzieliłby zdanie pani Osmond, która kiedyś powiedziała mu, że decydując się osiąść w Rzymie, oboje z mężem wybrali ten dom dla jego lokalnego kolorytu. Rzeczywiście budowla posiadała w wysokim stopniu tę cechę, a pan Rosier, chociaż na architekturze nie znał się tak dobrze jak na limuzyńskich emaliach, musiał przyznać, że okna mają szlachetne proporcje, a detale gzymsów zasługują na uwagę. Ale pana Rosiera natrętnie prześladowała myśl, że w epokach bardziej malowniczych od naszej w takich właśnie murach więziono niejedną dziewczycę, aby ją rozłączyć z ukochanym, i pod groźbą dożywotniego wysłania do klasztoru zmuszano do związku małżeńskiego z jakimś niegodziwcem. W pewnym jednak momencie pan Rosier skłonił czoło przed tym domem: ilekroć wchodził do ciepłych, okazałych salonów pani Osmond na pierwszym piętrze, stwierdzał w duchu, że „ci ludzie” mają dużo

dobrych rzeczy. Zawdzięczali to gustowi pana Osmonda, a nie jego żony; sama to powiedziała, gdy po raz pierwszy znalazł się w Palazzo Roccanera; przez kwadrans zastanawiał się, czy państwo Osmond nie mają nawet lepszych „ludwików” niż on w swoim paryskim mieszkanku, po czym musiał uznać ich niewątpliwą przewagę i tłumiać, jak wypada dżentelmenowi, zazdrość, zdobył się na wyrażenie pani domu szczerego podziwu dla jej skarbów.

Dowiedział się wówczas od pani Osmond, że mąż jej zgromadził poważną kolekcję jeszcze przed małżeństwem z nią, a chociaż później, w ciągu ostatnich trzech lat, wzbogacił zbiory o kilka pięknych okazów, najcenniejsze rzeczy zdobył w epoce, gdy nie mógł korzystać z rad swojej obecnej małżonki. Rosier zinterpretował tę informację zgodnie z własnymi zasadami. Na miejsce „rad” postawił „gotówki”, a fakt, że Gilbert Osmond najcenniejsze perły znalazł w okresie, gdy nie rozporządzał większymi sumami, potwierdzał ulubioną teorię pana Rosiera – że kolekcjoner może być biedny, byle był cierpliwy. Zwykle przychodząc tutaj w czwartkowe wieczory, skupiał przede wszystkim uwagę na ścianach salonu – wisiało tam kilka obrazów, które przyciągały jego pożądlivy wzrok. Ale po rozmowie z madame Merle odczuwał dotkliwie powagę własnej sytuacji i natychmiast zaczął wzrokiem szukać panny domu – z całą żarliwością, na jaką może sobie pozwolić dżentelmen, gdy przekracza próg z uśmiechem wyrażającym zawsze swobodę i niezachwiany spokój.

## ROZDZIAŁ XXXVII

Nie zobaczył Pansy w pierwszym wielkim salonie o wklęsłym suficie i ścianach obitych starym czerwonym adamaszkiem; tu zwykle – chociaż nie tego wieczoru – siadywała pani Osmond w kręgu najzażyłszych przyjaciół koło kominka. Rozproszone dyskretne światło zalewało to wnętrze, w którym rozmieszczone były największe meble i obrazy i w którym prawie zawsze unosił się zapach kwiatów. Pansy prawdopodobnie była w następnym z ciągnących się amfiladą salonów, gdzie gromadzili się młodszy goście i podawano herbatę. Osmond stał przed kominkiem, z rękoma splecionymi za plecami i jedną stopą podniesioną, jakby chciał ogrzać podeszwę. Kilka osób wokół niego zajętych było rozmową, w której on jednak nie uczestniczył; wyraz jego oczu, dość zresztą dla niego charakterystyczny, zdawał się mówić, że jest zaprzątnięty myślami o sprawach większej wagi niż to, co go w tej chwili otacza. Edward Rosier wszedł niezaanonsowany i pan Osmond nie zauważył go, ale młody człowiek, niezwykle skrupulatny, mimo świadomości, że jest gościem pani Osmond, a nie jej małżonka, zbliżył się, by powitać pana domu. Pan Osmond, nie zmieniając pozy, wyciągnął do niego niedbale lewą rękę.

– Dobry wieczór. Żona jest gdzieś w pobliżu.

– Nie ma obawy! Znajdę ją na pewno – wesoło odpowiedział Ned Rosier.

Osmond wszakże zatrzymał go spojrzeniem; Ned Rosier nigdy w życiu nie czuł się tak dokładnie zmierzony wzrokiem od stóp do głów. „Madame Merle powiedziała mu i jest źle do mnie usposobiony” – pomyślał. Miał nadzieję, że zastanie tu madame Merle, ale nie widział jej nigdzie; mogła jednak być w innym salonie albo też jeszcze nie nadeszła. Nigdy nie przepadał za Gilbertem Osmondem, którego uważał za pyszałka. Ale Rosier nie był obraźliwy, a ze swej strony wystrzegał się wszelkich uchybień

przepisom grzeczności. Rozglądał się więc wokół, a widząc, że nie może znikąd oczekiwać pomocy, zagaił rozmowę:

– Widziałem dzisiaj bardzo ładny okaz capodimonte.

Osmond dopiero po dłuższej chwili odpowiedział, grzejąc w dalszym ciągu podeszwę:

– Nic mnie nie obchodzi capodimonte.

– Mam nadzieję, że nie stracił pan artystycznych zainteresowań?

– Owszem, przestałem się interesować starymi garnkami i talerzami.

Pan Rosier na moment zapomniał o ryzykowności swojego położenia.

– Może chciałby się pan pozbyć jakiegoś okazu czy też kilku?

– Nie, nie zamierzam pozbywać się niczego – odparł pan Osmond, nie odrywając wzroku od twarzy młodego człowieka.

– Ach, rozumiem, nie chce pan powiększać kolekcji, ale zachowa pan to, co ma.

– Otóż to. Nie mam niczego, co wymagałoby skompletowania do pary.

Biedny Rosier czuł, że się czerwieni; przygnębił go ten brak pewności siebie.

– No, ja jestem w odwrotnej sytuacji – szepnął, wiedząc, że ledwie połowa tej słabej repliki była dosłyszalna, bo już oddalał się od kominka. Sterował w kierunku sąsiedniego pokoju i spotkał panią Osmond wychodzącą właśnie z głębokiej framugi drzwi. W czarnej aksamitnej sukni była smukła i wspaniała – jak ją trafnie określił pan Rosier – a jednocześnie promieniowała łagodnością. Wiemy już, co sądził o niej Ned Rosier i jak wyraził swoje uwielbienie w rozmowie z madame Merle. Ten sąd, podobnie jak sentyment dla ślicznej małej pasierbicy pani Osmond, w dużym stopniu wynikał z wrażliwości jego oka na walory estetyczne i z instynktownego pociągu do tego, co autentyczne; ale poza tym Rosier wyczuwał sekretny blask, który jako znawca kruchej porcelany umiał ocenić. Pani Osmond w tym okresie życia mogła



taki subtelny smak zadowolić. Czas ledwie ją musnął, by jeszcze bardziej ozdobić, kwiat młodości nie przywiądnął, lecz był stateczniej osadzony na łodydze. Isabel straciła trochę dawnej niecierpliwej żywości, którą Osmond w głębi duszy uważał za jedyną jej skazę; wyglądała teraz na kobietę, która nauczyła się czekać. W tej chwili, gdy zatrzymała się w złożonych ramach framugi, wydała się naszemu młodemu przyjacielowi portretem pięknej damy.

– Jak pani widzi, jestem wiernym gościem pani czwartkowych wieczorów. Ale któż ma więcej ode mnie powodów do wierności!

– Tak, nikogo z obecnych nie znam tak dawno jak pana. Ale nie rozrzewniajmy się wspomnieniami. Chcę pana przedstawić pewnej panience.

– Jakiej panience? – Ned Rosier był niezwykle uprzejmy, ale wizyta jego miała przecież zupełnie inny cel.

– Siedzi przy kominku w różowej sukni i nie ma z kim rozmawiać.

Rosier zawahał się na sekundę.

– Czy nie mógłby jej zabawić pan Osmond? Stoi o dwa kroki od niej.

Pani Osmond także zawahała się, nim odpowiedziała:

– Nie jest bardzo bystra, a mój mąż nie cierpi nudnych osób.

– Ale dla mnie jest dostatecznie bystra, czy tak? Dziękuję za komplement!

– Panu wystarczy dowcipu za dwoje! A poza tym jest pan zawsze taki uprzejmy!

– Pan Osmond także.

– Nie... przynajmniej nie dla mnie – odparła pani Osmond z nikłym uśmiechem.

– W takim razie powinien być podwójnie uprzejmy dla innych dam.

– Zawsze mu to mówię – powiedziała, wciąż z tym samym uśmiechem.

– Miałbym ochotę wypić filiżankę herbaty – wyznał pan

Rosier, spoglądając tęsknie w głąb drugiego salonu.

– To świetnie! Niech pan zaprosi na herbatę panienkę w różowej sukni.

– Dobrze, ale potem rzucę ją na pastwę losu. Prawdę mówiąc, marzę o chwilce rozmowy z panną Osmond.

– O! – powiedziała, odchodząc, Isabel – w tym nie mogę panu pomóc.

W pięć minut później, gdy już zaprowadził różową panienkę do drugiego salonu i podał jej filiżankę herbaty, zastanawiał się, czy składając pani Osmond zacytowane przed chwilą wyznanie, nie pogwałcił ducha paktu z madame Merle. Przez jakiś czas młody człowiek dręczył się takimi wątpliwościami. W końcu jednak machnął ręką na wszelkie złożone obietnice. Los, na którego pastwę gotów był rzucić pannę w różowej sukni, okazał się niezbyt okrutny, bo zbliżyła się do niej, by nawiązać rozmowę, Pansy Osmond – nie mniej niż dawniej chętna do przygotowywania dla gości herbaty. Edward Rosier prawie nie wtrącał się do konwersacji dwóch młodych dam; siedział zadumany i wpatrywał się w drobną postać ukochanej. Gdybyśmy spojrzeli na nią jego oczyma, nie znaleźlibyśmy w pierwszej chwili niemal niczego, co by nam przypomniało posłuszną małą dziewczynkę odsyланą w Cascine na drugi koniec alei, gdy ojciec jej rozmawiał z panną Archer o sprawach stosownych dla dorosłych. Po dłuższej jednak obserwacji stwierdzilibyśmy, że dziesięcioletnia Pansy niezupełnie nadaje się do roli dorosłej panny; jest wprawdzie bardzo ładna, lecz brak jej, i to w stopniu godnym ubolewania, zalety cenionej w powierzchowności kobiet i znanej pod nazwą stylu; ubrana jest doskonale, lecz nosi swój elegancki strój tak, jak gdyby starała się go oszczędzać – można by myśleć, że ma na sobie suknię pożyczoną od kogoś tylko na ten wieczór. Edward Rosier powinien to wszystko dostrzec; rzeczywiście żadna najdrobniejsza cecha znamienne dla Pansy nie uchodziła jego uwagi. Ale nazywał te jej właściwości po swojemu, niekiedy nawet dość trafnie. „Jest jedyna w swoim rodzaju – myślał – po prostu unikat!”. Ręczę, że nigdy, ani na moment nie

dałby się przekonać o braku stylu tej ósóbki. Przecież ona ma styl małej księżniczki, trzeba nie mieć oczu, żeby tego nie widzieć. Nie jest to styl nowoczesny ani świadomie przybrany, nie mógłby się spodobać na przykład na Broadwayu; drobna, poważna panienska w sztywnej sukience wygląda jak Infantka Velázquez. To wystarczało Edwardowi Rosierowi, zachwycił się właśnie jej staroświeckim wdziękiem. Lękliwe oczy, czarujące usteczka, drobna figurka wzruszały go. Tak gwałtownie zapragnął przekonać się, w jakim stopniu panna Osmond odwzajemnia jego sympatię, że zaczął kręcić się nerwowo na krześle. Zrobiło mu się gorąco i musiał otrzeć czoło chusteczką – nigdy w życiu nie był tak zmieszany. To była idealna *jeune fille*, nie sposób takiej istocie wręcz zadać pytania, żeby wyjaśnić tę delikatną sprawę. Pan Rosier zawsze marzył o prawdziwej *jeune fille*, która jednak nie byłaby Francuzką, bo sądził, że ta narodowość skomplikowałaby sytuację. Pansy nigdy nie miała w ręku gazety, a z powieści czytała co najwyżej Waltera Scotta. Amerykańska *jeune fille*, cóż może być lepszego w świecie? Wesoła i szczerą, ale nie wychodzi nigdy sama na ulicę, nie otrzymuje listów od mężczyzn, nie zaprowadzono jej ani razu do teatru na komedię obyczajową. Rosier nie przeczył, że w danych okolicznościach nadużyłby gościnności, zwracając się z bezpośrednim pytaniem do tej niewinnej istoty; groziło mu jednak w tej chwili niebezpieczeństwo, że zwątpi, czy poszanowanie praw gościa jest najświętszym z jego obowiązków. Czyż sentyment, jaki żywił dla panny Osmond, nie jest nieskończenie ważniejszy? Ważniejszy dla niego oczywiście, ale nie dla pana domu zapewne. Edward Rosier znalazł wszakże pewną pociechę: jeśli nawet madame Merle obudziła czujność Gilberta Osmonda, ojciec z pewnością nie ostrzegł córki. Byłoby to sprzeczne z jego polityką, gdyby jej powiedział, że pewien sympatyczny młody człowiek jest w niej zakochany. Ale sympatyczny młody człowiek był rzeczywiście po uszy zakochany i piętrzące się przed nim przeszkody zirytowały go w końcu. Co sobie myśli ten Gilbert Osmond, podając mu dwa palce lewej ręki? Skoro pan Osmond pozwala sobie na

impertynencję, pan Rosier może pozwolić sobie na śmiałość. Poczul się niezwykle śmiały, gdy nudna panna, daremnie maskująca swoją szarość różową suknią, odpowiedziała na apel swej matki, która weszła do pokoju i spoglądając znacząco, niemal z litością, na pana Rosiera, oznajmiła, że musi córkę zabrać w dalszy tryumfalny pochód przez rzymskie salony. Matka i córka odeszły więc i teraz tylko od woli pana Rosiera zależało, czy nie zostanie prawie dosłownie sam na sam z Pansy. Nigdy dotychczas nie rozmawiał z nią w cztery oczy, nigdy nie był w takiej sytuacji z żadną prawdziwą *jeune fille*. Wybiła rozstrzygająca godzina i biedny Rosier znowu musiał dotknąć chusteczką czoła. Do salonu, w którym się znajdowali, przylegał trzeci, najmniejszy, otwarty i oświetlony, ale pusty, bo niezbyt liczni tego wieczoru goście poprzestali na dwóch pierwszych. Sąsiedni pusty salonik, z bladożółtymi obiciami, oświetlony przez kilka lamp, wabił zza otwartych drzwi jak świątynia prawowitej miłości. Rosier spojrział w jego wnętrze i zląkł się, że Pansy ucieknie; w tej chwili byłby gotów wyciągnąć rękę i zatrzymać ją. Ale Pansy po odejściu rówieśnicy stała w dalszym ciągu na tym samym miejscu i nie zdradzała zamiaru przyłączenia się do grupy gości zebranych w odległym kącie salonu. Panu Rosierowi przemknęła przez głowę myśl, że Pansy boi się i strach może przykuł ją do podłogi, ale następne spojrzenie upewniło go, że się omylił; zrozumiał, że panna Osmond w swej niewinności nie mogłaby się tak przestraszyć. Po chwili wahania spytał więc, czy nie mógłby obejrzeć żółtego saloniku, który wydawał mu się jednocześnie bardzo pociągający i dziewiczy. Był tam już kiedyś z panem Osmondem, żeby obejrzeć meble w stylu Pierwszego Cesarstwa, a zwłaszcza empirowy zegar (który mu się zresztą nie spodobał), ogromny klasyczny okaz tej epoki. Toteż w tym momencie pan Rosier świadomie już zaczął manewrować.

– Bardzo proszę – odparła Pansy. – Niech pan tam wejdzie, a jeśli pan sobie życzy, chętnie posłużę panu za przewodniczkę.

A więc nie bała się go wcale!

– Miałem nadzieję, że pani okaże się taka łaskawa! – szepnął.

Przeszli więc razem do trzeciego salonu, który panu Rosierowi w rzeczywistości wydawał się brzydki i chłodny. Pansy widać doznała podobnego wrażenia, bo wyjaśniła:

– To nie jest pokój stosowny na zimowe wieczory, przyjemniejszy jest latem. Papa urządził go według własnego gustu. Papa ma tyle gustu!

„Pan Osmond ma wiele gustu, ale nie zawsze najlepszego” – pomyślał Edward Rosier. Rozglądał się wokół, nie wiedząc, co powiedzieć w tej sytuacji.

– Czy pani Osmond nie troszczy się o urządzenie swoich apartamentów? Czy nie ma własnego gustu?

– O, tak, ma doskonały gust, ale ją bardziej interesuje literatura – powiedziała Pansy – i rozmowy. Papa zresztą na tych rzeczach także się zna. Papa, jak mi się zdaje, wie wszystko.

Pan Rosier milczał chwilę, zanim powiedział:

– Jedną rzecz z pewnością wie! Wie, że mimo całego szacunku dla niego i dla czarującej pani Osmond, przychodzę tutaj wyłącznie po to, żeby zobaczyć panią.

– Mnie? – Pansy podniosła na niego trochę spłoszone oczy.

– Tak, przychodzę tutaj, żeby zobaczyć panią – powtórzył Rosier, już upojony tym, że wyłamał się spod władzy wszelkich autorytetów.

Pansy patrzyła na niego z prostotą, w skupieniu, otwarcie; rumieniec nie był potrzebny, żeby nadać jej twarzy wyraz wielkiej skromności.

– Tak też sobie myślałam.

– I ta myśl nie była pani niemiła?

– Czy ja wiem... Nie byłam pewna. Pan nic o tym nie mówił.

– Bałam się obrazić panią.

– Nie, to mnie nie obraża – szepnęła Pansy z anielskim uśmiechem.

– A więc pani mnie lubi? – bardzo miękko spytał Ned Rosier, uszczęśliwiony całym sercem.

– Tak, lubię pana.

Stali przy kominku, nad którym górował wielki empirowy

zegar; tu, w głębi pokoju, nikt ich nie mógł widzieć z sąsiedniego salonu. Ton, jakim Pansy wymówiła te trzy słowa, wydał się panu Rosierowi tchnieniem wiosny i nie mógł odpowiedzieć inaczej, niż ujmując jej rękę; przez chwilę trzymał ją w uścisku swej dłoni, potem podniósł do ust. Pansy poddała się z niewinnym, ufnym uśmiechem, niewypowiedzianie biernym. Lubiła go, lubiła go przez cały czas, wszystko mogło się teraz zdarzyć. Była gotowa, od dawna gotowa, czekała na jego wyznanie. Gdyby milczał, czekałaby w nieskończoność, ale skoro wymówił zakłęcie, uległa od razu. Rosier czuł, że gdyby ją pociągnął ku sobie i przytulił do serca, nie opierałaby się, nie protestowałaby, przyłgnęłaby do jego piersi potulnie. Co prawda byłby to ryzykowny gest w tym żółtym empirowym *salottino*. Wiedziała, że pan Rosier przychodził dla niej, ale zachowywała się dyskretnie, jak przystało wzorowej młodej damie.

– Pani jest mi bardzo droga – szepnął, starając się uwierzyć, że nie istnieją żadne obowiązujące gościa nakazy lojalności wobec gospodarzy.

Przez chwilę przyglądała się swojej ręce, na której złożył pocałunek.

– Pan zdaje się wspominał, że papa wie?

– Pani sama mówiła, że on wie wszystko.

– Myślę, że powinien pan upewnić się co do tego – powiedziała Pansy.

– Och, najmilsza, skoro jestem już pewny ciebie! – szepnął jej do uszka Ned Rosier; Pansy skierowała się ku drzwiom, jak gdyby z całą konsekwencją zamierzała od razu spełnić powinność córki.

W sąsiednich salonach tymczasem pewne poruszenie wywołało wejście madame Merle, która, gdziekolwiek się zjawiała, wywierała zawsze szczególne wrażenie. Nawet najbystrzejszy obserwator nie umiałby dostrzec, jakimi środkami osiągała ten efekt – nie mówiła głośno, nie śmiała się wiele, nie gestykulowała gwałtownie, nie olśniewała strojem, nie starała się żadnym znanym sposobem zwrócić na siebie uwagi. Dorodna, jasnowłosa,

pogodnie uśmiechnięta, promieniała spokojem – i wszyscy oglądali się ku drzwiom, przez które wchodziła, jakby zdziwieni nagłą ciszą. Tym razem madame Merle też weszła jak najciszej; uścisnęła panią Osmond i usiadła na sofie, żeby porozmawiać z panem domu. Z początku wymieniali jakieś banalne formułki – z reguły w obecności świadków składali ten hołd konwenansom – później madame Merle, wodząc wzrokiem po salonie, spytała, czy jest wśród gości pan Rosier.

– Przyszedł już godzinę temu, ale gdzieś zniknął – odparł Osmond.

– A gdzie jest Pansy?

– W sąsiednim salonie. Jest tam kilka osób.

– Między innymi zapewne pan Rosier – zauważyła madame Merle.

– Chciałabyś z nim pogadać? – spytał prowokująco beznamiętnym tonem.

Madame Merle spojrzała na niego; znała wszystkie najsubtelniejsze odcienie jego głosu.

– Owszem, chętnie zawiadomiłabym go, że powiedziałam ci o jego zamiarach i że nie okazałeś większego zainteresowania.

– Nie! Jeżeli tak mu sprawę przedstawiś, będzie próbował zainteresować mnie, a ja tego właśnie chcę uniknąć. Powiedz mu, że odniosłem się wrogo do tych propozycji.

– Ale tak przecież nie jest?

– Mniejsza o to, w każdym razie nie podobają mi się wcale. Dałem mu to do zrozumienia, byłem umyślnie dla niego nieuprzejmy. Nudzi mnie ta historia. Nie ma powodu do pośpiechu.

– A więc powiem, że musisz mieć czas do namysłu.

– Nie, nie, wtedy nie przestałby się kręcić koło nas.

– Jeśli go zniechęcę, skutek będzie ten sam.

– Tak, ale w pierwszym przypadku próbowałby mnie przekonywać i wyjaśniać, zanudziłby mnie na śmierć. W drugim prawdopodobnie będzie trzymał język za zębami i zacznie jakąś inną grę, a mnie zostawi w spokoju. Nie cierpię dyskusji z osłem.

– Tak określasz biednego Neda Rosiera?  
– Och, to nudziarz, wiecznie gada o majolice.  
Madame Merle spuściła oczy, na jej wargach pojawił się  
nikły uśmiezek.  
– To dżentelmen, ma bardzo miłe usposobienie i bądź co  
bądź czterdzieści tysięcy franków rocznie.  
– To nędza! Dystyngowana nędza! – żywo odparł Osmond. –  
Nie takiego losu pragnę dla Pansy.  
– A więc dobrze. On mi obiecał, że na razie nic jej nie powie.  
– Uwierzyłaś mu? – spytał z roztargnieniem.  
– Najzupełniej. Pansy ma do niego wyraźną słabość, ale to w  
twoich oczach nie ma zapewne znaczenia.  
– Nie miałyby to większego znaczenia, ale jestem  
przekonany, że Pansy wcale o nim nie myśli.  
– Bardzo wygodne przekonanie – spokojnie stwierdziła  
madame Merle.  
– Czy może Pansy wyznała ci, że jest w nim zakochana?  
– Za kogo ją masz? – zapytała madame Merle. – I za kogo  
masz mnie? – dodała po chwili.  
Osmond oparł smukłą kostkę jednej nogi na kolanie drugiej i  
objął ją dłonią – jego cienkie, długie palce, kciuk i wskazujący,  
zetknęły się bez trudu – i patrzył przed siebie.  
– Nie czuję się zaskoczony – powiedział wreszcie. –  
Wychowywałem ją z myślą o takich sytuacjach. Od początku  
kształtowałem ją tak, żeby w podobnych okolicznościach mieć  
pewność, że Pansy zrobi to, czego ja sobie będę życzył.  
– Nie obawiam się z jej strony nieposłuszeństwa.  
– O cóż więc chodzi?  
– O nic. Mimo wszystko radzę ci nie odprawiać pana  
Rosiera. Zatrzymaj go pod ręką, może się okazać użyteczny.  
– Ja go nie mogę zatrzymać. To już twoja rola.  
– Dobrze. Odstawię go do kąta i będę co dzień wypuszczała  
stamtąd tylko na chwilkę. – Madame Merle, rozmawiając, przez  
cały czas wodziła wzrokiem po salonie. Należało to do jej  
zwyczajów, podobnie jak przerwy między poszczególnymi



zdaniami. Teraz też umilkła na dłuższą chwilę i nim ten antrakt się skończył, zobaczyła Pansy wracającą z sąsiedniego pokoju w asyście pana Rosiera. Pansy po kilku krokach zatrzymała się, spoglądając na ojca i siedzącą obok niego damę.

– Powiedział jej – oznajmiła panu Osmondowi madame Merle.

Nie odwrócił nawet głowy.

– A więc zawiódł twoje zaufanie. Należałoby mu się chłosta.

– Najwyraźniej pragnie przyznać się do winy, biedaczek!

Pan Osmond wstał. Uważnie przyjrzał się swojej córce.

– To nie ma znaczenia – szepnął, odchodząc.

W chwilę później panna Osmond zbliżyła się do madame Merle, jak zawsze z miną grzeczną, ale daleką od poufałości. Madame Merle zachowała się z nie mniejszą rezerwą; po prostu uśmiechnęła się przyjaźnie, wstając z sofy.

– Późno dziś pani przysła – powiedziała grzecznie Pansy.

– Nigdy, moje dziecko, nie przychodzę później, niż zaplanowałam.

Madame Merle wstała nie przez kurtuazję wobec Pansy; podeszła do Edwarda Rosiera, który skwapliwie wysunął się na jej spotkanie i prędko, jakby chcąc od razu zrzucić kamień z serca, szepnął:

– Powiedziałem jej.

– Wiem.

– Od niej?

– Od niej. Proszę się zachowywać spokojnie przez resztę wieczoru, a jutro przyjsć do mnie kwadrans po piątej. – Brzmiało to surowo, a w ruchu, jakim odwróciła się do niego plecami, było trochę pogardy, toteż Edward Rosier mruknął pod nosem jakieś dyskretne przekleństwo.

Nie zamierzał rozmawiać z panem Osmondem – pora i miejsce nie były stosowne. Instynktownie szukał jego żony, która zabawiła jakąś starszą panią. Usiadł po drugiej stronie obok Isabel; nie wątpił, że włoska dama nie rozumie ani słowa po angielsku.

– Pani powiedziała, że nie może mi dopomóc. Teraz zapewne zmieni pani zdanie, kiedy się pani dowie, że... że...

Isabel, próbując go wybawić z kłopotu, spytała:

– Czego się dowiem?

– Że ona się zgadza.

– Co to ma znaczyć?

– Doszliśmy do porozumienia z panną Osmond.

– Pansy myli się, nic z tego nie będzie – odparła Isabel.

Pan Rosier patrzył na nią pół błagalnie, a pół gniewnie.

Nagły rumieniec zdradził, jak boleśnie młody człowiek odczuł zniewagę.

– Nikt jeszcze nie potraktował mnie w ten sposób – powiedział. – Co państwo mają właściwie przeciw mojej osobie? Przywykłem do większych względów. Mogłem się ożenić dwadzieścia razy!

– Szkoda, że pan tego nie zrobił... oczywiście nie dwadzieścia razy, ale raz, i to szczęśliwie – dodała z miłym uśmiechem. – Dla Pansy nie jest pan dość bogaty.

– Jej wcale nie zależy na pieniądzach.

– Ale jej ojcu zależy.

– O, tak, dał tego dowody! – wykrzyknął Ned Rosier.

Isabel wstała i odeszła, opuszczając bez ceremonii starszą damę, a Rosier przez następnych dziesięć minut udawał, że ogląda kolekcję miniatur Gilberta Osmonda, starannie rozmieszczoną na kilku małych aksamitnych parawanikach. Ale patrząc, nic nie widział; policzki mu płonęły, kipiał z oburzenia. Rzeczywiście nigdy dotychczas nie został w ten sposób potraktowany i nie przywykł do lekceważenia. Znał swoją wartość i taki błąd w jej ocenie wydałby mu się śmieszny, gdyby nie był zgubny dla jego szczęścia. Chciał odszukać znów Pansy, ale zniknęła, więc pragnął już tylko jak najprędzej opuścić ten dom. Przedtem jednak raz jeszcze chciał pomówić z Isabel; żałował, że przed chwilą zranił ją brutalną aluzją: dostarczył jedyne uzasadnione argumentu przeciwko sobie.

– Nie powinienem był odzywać się w ten sposób o pani mężu

– zaczął – ale proszę wziąć pod uwagę moje położenie.

– Nie pamiętam, co pan mówił – odparła chłodno.

– Ach, obraziłem panią, teraz nie zechce mi pani dopomóc.

Po dłuższej chwili milczenia odpowiedziała innym już tonem:

– Nie o to chodzi, czy zechcę, czy nie. Po prostu nie mogę. – Zdawała się niemal wzburzona.

– Gdyby pani mogła mimo wszystko pomóc, chociaż troszkę. Przyrzekam, że będę mówił zawsze o pani mężu jak o świętym.

– Przyjęta bardzo zachęcająca! – odparła poważnie i zagadkowo, jak później to ocenił; spojrzała mu przy tym w oczy z nie mniej zagadkowym wyrazem. Nie wiadomo, czemu ten jej widok przypominał mu, że znają się od dzieciństwa, był wszakże zbyt ostry na jego smak, Edward Rosier na tym zakończył więc rozmowę – i wizytę.

## ROZDZIAŁ XXXVIII

Nazajutrz poszedł do madame Merle i został przyjęty łagodniej, niż się spodziewał. Zażądała jednak, żeby nie podejmował żadnych dalszych kroków, dopóki w jego sprawie nie zapadnie jakaś decyzja. Pan Osmond miał dla córki bardziej ambitne plany; co prawda, skoro nie zamierzał jej dać posagu, ambicje te można by uznać za nieusprawiedliwione czy nawet śmieszne, ale madame Merle radziła panu Rosierowi nie uderzać w ten ton; jeśli zdobędzie się na cierpliwość, może osiągnie swój cel. Pan Osmond nie sprzyja jego kandydaturze, lecz nie trzeba by cudu, aby stopniowo nakłonić go do zmiany stanowiska. Pansy nigdy nie odmówi ojcu posłuszeństwa, co do tego niech się pan Rosier nie łudzi; nic by zatem nie zyskał, nalegając. Pan Osmond musi oswoić się z propozycją, nad którą nie miał czasu zastanowić się dotychczas, decyzja powoli dojrzeje, daremne byłyby wszelkie próby przyspieszenia tego procesu. Edward Rosier powiedział, że w tym okresie niepewności jego sytuacja będzie w najwyższym stopniu kłopotliwa, a madame Merle zapewniła go, że rozumie to i współczuje mu, ale – jak słusznie zauważyła – nie można mieć wszystkiego, czego pragniemy; tej prawdy nauczyło ją własne życiowe doświadczenie. Prosiła, zgodnie z wolą pana Osmonda, żeby pan Rosier powstrzymał się też od pisania do niego listów. Osmond życzy sobie, aby na kilka tygodni zostawiono go w spokoju, potem sam napisze, jeśli będzie miał do zakomunikowania coś, co mogłoby panu Rosierowi dać satysfakcję.

– Jest bardzo niezadowolony, że pan wyznał swoje uczucia jego córce. Bardzo niezadowolony! – powiedziała madame Merle.

– Chętnie dałbym mu okazję do powiedzenia mi tego osobiście – rzekł Edward Rosier.

– Jeśli pan to zaryzykuje, usłyszysz pan więcej, niżby chciał. Niech pan przez następny miesiąc pokazuje się u państwa

Osmondów możliwie jak najrzadziej i pozostawi mnie całą tę sprawę.

– Możliwie najrzadziej? A któż odmierzy tę możliwość?

– Pozwoli pan, że ja to zrobię. Niech pan bywa na czwartkowych wieczorach razem z tłumem innych gości, ale nie składa poza tym wizyt i nie zamartwia się o Pansy. Postaram się, żeby zrozumiała sytuację. Jest z natury zrównowazona, przyjmie to spokojnie.

Rosier zamartwiał się o Pansy, ale podporządkował się radom madame Merle i czekał do następnego czwartku, by pokazać się znów w Palazzo Roccanera. Tego dnia pani Osmond wydała proszony obiad, więc pan Rosier, chociaż zjawił się dość wcześnie, zastał już sporo gości. Osmond jak zwykle stał w pierwszym salonie w pobliżu kominka i patrzył w stronę drzwi, toteż Rosier musiał podejść i przywitać się z nim, gdyż inaczej wyglądałoby to na jawną niegrzeczność.

– Cieszy mnie, że pan zrozumiał aluzję – powiedział Osmond, przymrużając bystre, czujne oczy.

– Nie próbuję odgadywać aluzji, otrzymałem jednak, o ile dobrze zrozumiałem, wyraźne polecenie.

– Czy tak? Od kogo?

Biedny Rosier znów poczuł się znieważony, ale odczekał chwilę, zadając sobie w duchu pytanie, ile też może ścierpieć prawdziwa miłość.

– Madame Merle, jeśli dobrze ją pojąłem, przekazała mi pańskie życzenie, abym nie próbował panu przedstawiać swoich zamiarów. – Rosier pochlebiał sobie, że zabrzmiało to bardzo surowo.

– Nie pojmuję, co wspólnego ma z tą sprawą madame Merle. Dlaczego pan do niej się z tym zwracał?

– Pytałem ją o zdanie, o nic więcej. Zwróciłem się do niej, ponieważ, o ile mi wiadomo, zna pana bardzo dobrze.

– Nie tak dobrze, jak jej się wydaje – odparł Osmond.

– Szkoda, bo pozwoliła mi żywić odrobinę nadziei.

Osmond przez chwilę wpatrywał się w ogień na kominku.

– Bardzo wysoko cenię swoją córkę.  
– Na pewno nie wyżej niż ja. Czyż nie daję dowodu, pragnąc jej za żonę?

– Pragnę dla niej bardzo dobrego zamążpójścia – powiedział Osmond. W innych okolicznościach biednemu panu Rosierowi zaimponowałyby jego cierpka impertynencja.

– Oczywiście jestem przekonany, że wybierając mnie, wyszłaby za mąż bardzo dobrze. Nie znajdzie człowieka, który by ją bardziej kochał i którego mogłaby bardziej kochać.

– Nie interesują mnie pańskie teorie o stanie uczuć mojej córki – odparł Osmond, podnosząc na młodego człowieka żywe, lodowate spojrzenie.

– To nie są moje teorie. Pańska córka wyraźnie mi to powiedziała.

– Ale mnie nic o tym nie mówiła – rzekł pan Osmond, nieco pochylony, patrząc teraz na czubki swoich butów.

– Mam jej słowo, proszę pana! – wykrzyknął Rosier, tonem nieco piskliwym z irytacji.

Ponieważ przedtem rozmawiali przyciszonym głosem, ten nagły okrzyk zwrócił uwagę obecnych w salonie osób. Pan Osmond odczekał, by wrażenie to rozwiało się, potem z niewzruszonym spokojem oznajmił:

– Myślę, że Pansy już o tym nie pamięta.

Stali obaj zwrócenii twarzami do kominka, ale po tych słowach pan domu odwrócił się o sto osiemdziesiąt stopni. Zanim biedny Rosier zdążył coś odpowiedzieć, spostrzegł, że do salonu wchodzi nowy gość, cudzoziemiec, i nieanonsowany przez lokaja – według rzymskiego obyczaju – kieruje się wprost do gospodarza. Pan Osmond uśmiechnął się grzecznie, ale trochę niepewnie. Nieznajomy miał regularne rysy i bujną jasną brodę, był bez wątpienia Anglikiem.

– Pan nie poznaje mnie – powiedział z uśmiechem bardziej wyrazistym od uśmiechu Osmonda.

– Ależ tak, już poznaję! W pierwszej chwili byłem zaskoczony, nie spodziewałem się pana zobaczyć dzisiaj.

Rosier oddalił się, żeby poszukać Pansy. Miał nadzieję znaleźć ją jak zwykle w drugim salonie, ale tym razem także zagroziła mu drogę pani Osmond. Uniesiony sprawiedliwym gniewem, zamiast przywitać się z panią domu, oświadczył szorstko:

– Pani małżonek ma niezwykle zimną krew.

Odpowiedziała mu z tym samym co przed tygodniem tajemniczym uśmiechem:

– Nie może pan wymagać, żeby wszyscy tak kipieli jak pan.

– Nie twierdzę, że mam zimną krew, ale panuję nad sobą. Co on nagadał swojej córce?

– Nie mam pojęcia.

– Czy pani to wcale nie obchodzi? – spytał Rosier i pomyślał, że Isabel także bywa irytująca.

Przez chwilę milczała.

– Nie! – odparła wreszcie szorstko, lecz z błyskiem w oczach, który zdawał się zaprzeczać jej słowom.

– Pani wybaczy, ale nie wierzę. Gdzie jest panna Osmond?

– W głębi salonu, zaparza herbatę. Proszę, niech pan ją zostawi w spokoju.

Rosier dostrzegł swoją ukochaną, którą przedtem zasłaniała grupa gości. Obserwował ją, ale Pansy całą uwagę poświęcała swoim obowiązkom panny domu.

– Co on jej nagadał? – spytał błagalnie. – Oświadczył mi, że Pansy już się mnie wyrzekła.

– Nie, nie wyrzekła się pana – szepnęła, nie patrząc na niego, Isabel.

– Ach, dziękuję pani! W takim razie przyrzekam zostawić ją w spokoju tak długo, jak pani uzna za stosowne.

Nie skończył jeszcze zdania, gdy zauważył, że pani Osmond zbladła; zbliżał się do nich Osmond w towarzystwie pana, który przed chwilą wszedł do salonu. Gość, chociaż bardzo przystojny i najwidoczniej doskonale obyty w świecie, zdawał się trochę zmieszany.

– Isabel – powiedział Gilbert Osmond – przyprowadziłem ci

dawnego znajomego.

Wyraz twarzy pani Osmond, mimo uśmiechu, świadczył także o zakłopotaniu.

– Lord Warburton! Cieszę się, że pana widzę – powiedziała.

Rosier wycofał się, a ponieważ przerwano im rozmowę, nie czuł się związany obietnicą, którą złożył pani Osmond. Miał zresztą wrażenie, że ona teraz nie zauważy nawet jego manewrów.

Nie mylił się, bo Isabel na jakiś czas zapomniała o nim. Doznała wstrząsu, sama nie wiedziała, czy przyjemnego, czy bolesnego. Lord Warburton jednak, kiedy został z nią sam na sam, był najwidoczniej pewny, jakiego wrażenia doznaje w tej chwili; jego szare oczy zachowały dawną szlachetną, skrupulatną szczerłość, gdy wyrażały i potwierdzały uznanie. Był nieco „cięższy” niż przed kilku laty i trochę się postarzał; stał przed Isabel niezachwiany i rozsądny.

– Pani zapewne nie spodziewała się mnie – powiedział. – Dopiero co przyjechałem, dosłownie, dzisiaj wieczorem. Jak pani widzi, nie traciłem czasu i natychmiast chciałem pani złożyć wizytę. Wiedziałem, że pani przyjmuje w czwartki.

– A więc sława twoich czwartków doszła do Anglii – zwrócił się do żony Gilbert Osmond.

– To bardzo łaskawie, że pan od razu przyszedł. Ogromnie nam pochwlebia ta pana uprzejmość – powiedziała Isabel.

– No i przyjemniej, niż spędzać wieczór w jednym z tych okropnych hoteli – dodał Osmond.

– Hotel wydaje mi się doskonały, ten sam, jeśli się nie mylę, w którym pani mieszkała cztery lata temu. Pana właśnie wtedy w Rzymie miałem przyjemność poznać. Czy pani pamięta, gdzie pożegnaliśmy się wówczas? W pierwszej sali Kapitolu.

– Ja też to pamiętam – rzekł Osmond. – Byłem przy tym.

– Tak, przypominam sobie, że pana tam widziałem. Z żalem opuszczałem wtedy Rzym i ten żal pozostawił tak głęboki ślad, że nie miałem ochoty wracać tutaj po dziś dzień. Ale wiedziałem, że pani mieszka w Rzymie, i często o pani myślałem – zapewnił Isabel jej dawny wielbiciel. – To musi być urocze miejsce na stałą



siedzibę – dodał, rozglądając się po jej domu wzrokiem, w którym dostrzegła nikły cień dawnego smutku.

– Zawsze byłby pan u nas gościem mile widzianym – grzecznie zapewnił Osmond.

– Dziękuję. Nie ruszałem się z Anglii przez cały ten czas. Jeszcze miesiąc temu myślałem, że już na zawsze skończyły się moje podróże.

– Dochodziły mnie od czasu do czasu wieści o panu – powiedziała Isabel. Miała rzadki dar introspekcji i już zdążyła uświadomić sobie jasno, czym jest dla niej to spotkanie.

– Mam nadzieję, że nie słyszała pani o mnie nic złego. Moje życie było wyjątkowo ubogie w wydarzenia.

– Jak panowania najlepszych królów w historii – zauważył Osmond. Uznał widać, że już dopełnił swoich obowiązków jako pan domu; wywiązał się z nich wobec dawnego znajomego żony skrupulatnie, z kurtuazją jak najstosowniejszą i doskonale odmierzoną. Jego staranna w każdym szczególe, jednoznaczna uprzejmość miała wszystkie zalety prócz naturalności, co lord Warburton, sam zawsze bardzo naturalny, musiał zapewne spostrzec. – Zostawiam teraz pana z moją żoną – zakończył gospodarz. – Łączą państwa wspólne wspomnienia, w których ja nie mam udziału.

– A szkoda, wiele pan na tym stracił! – zawołał za nim lord Warburton, gdy pan Osmond już się oddalał, tonem zdradzającym nieco zbyt wyraźnie zadowolenie ze wspaniałomyślności pana domu. Potem gość zwrócił na Isabel głębokie, najgłębsze ze swoich skupionych spojrzeń, a twarz jego stopniowo poważniała coraz bardziej. – Doprawdy cieszę się, że panią znów widzę.

– Ja także. Jest pan niezwykle łaskawy.

– Czy pani wie, że zmieniała się pani... troszkę?

Prawie bez namysłu odpowiedziała:

– O, tak, nawet bardzo.

– Oczywiście nie na gorsze, ale czyż mógłbym powiedzieć, że na lepsze?

– Ja bez wahania mogłabym to powiedzieć o panu! – odparła

śmiało.

– No, co do mnie... minęło tyle czasu! Musiałbym się wstydzić, gdybym nie zrobił pewnych postępów.

Usiedli, pani Osmond zapytała o jego siostry i poruszyła kilka innych zdawkowych tematów. Odpowiadał tak, jakby go te kwestie szczerze interesowały, i po chwili zorientowała się – czy przynajmniej tak jej się wydawało – że obecność lorda Warburtona już jej nie przytłacza. Czas swoim tchnieniem ukoił jego serce, a chociaż go nie zmroził, zdjął z niego ciężar, jakby zostawiając w nim pustkę. Szacunek, jaki Isabel zawsze żywiła dla czasu, wzrósł teraz gwałtownie. Jej dawny wielbiciel zachowywał się jak człowiek szczęśliwy albo ktoś, kto chce za szczęśliwego uchodzić w oczach ludzi, a może szczególnie w jej oczach.

– O czymś muszę panią zawiadomić bez zwłoki – powiedział wreszcie. – Przywiozłem ze sobą Ralpha Touchetta.

– Przywiózł go pan? – zdziwiła się Isabel.

– Zostawiłem go w hotelu. Był zanadto zmęczony, żeby przyjść tutaj. Położył się do łóżka.

– A więc ja pójdę do niego! – odparła Isabel.

– Miałem nadzieję, że pani tak odpowie. Wydawało mi się, że od czasu pani małżeństwa widujecie się z Ralphem rzadko i że wasze stosunki stały się nieco... oficjalne. Dlatego wahałem się jak typowy niezgrabny Brytyjczyk.

– Mam dla niego zawsze tę samą serdeczną przyjaźń – odparła Isabel. – Ale dlaczego przyjechał do Rzymu? – Zdanie oznajmiające zabrzmiało miękko, pytanie dość ostro.

– Bo stan jego zdrowia znacznie się pogorszył, proszę pani.

– W takim razie Rzym nie jest miejscem dla niego odpowiednim. Sam mówił mi, że postanowił zrezygnować ze spędzania zim na południu i będzie mieszkał stale w Anglii, nie opuszczając przy złej pogodzie domu, gdzie stworzy sobie, jak to nazwał, sztuczny klimat.

– Biedaczysko! Nie posłużył mu ten sztuczny klimat. Byłem trzy tygodnie temu w Gardencourt i zastałem Ralpha ciężko chorego. Z roku na rok stan jego się pogarszał, teraz już jest bardzo

słaby. Rzucił palenie. Rzeczywiście stworzył w Gardencourt tropiki, w domu było gorąco jak w Kalkucie. Mimo to nagle strzeliło mu do głowy, żeby wybrać się na Sycylię. Mnie się ten pomysł nie podoba, tak samo jak lekarzom i innym życzliwym ludziom. Jego matka, jak pani zapewne wiadomo, bawi w Ameryce, nie było więc nikogo, kto mógłby mu ten zamiar wyperswadować. Uparł się i twierdzi, że będzie ocalony, jeżeli spędzi zimę w Katanii. Zapowiadał, że weźmie ze sobą służbę i meble, urządzi się jak najwygodniej, w końcu nic z tego nie urzeczywistnił. Próbowałem go nakłonić, żeby przynajmniej odbył podróż statkiem, oszczędziłoby mu to zmęczenia, ale odpowiedział, że nie cierpi morza i że chce po drodze zatrzymać się w Rzymie. Wówczas, chociaż całe to przedsięwzięcie wydawało mi się niedorzeczne, postanowiłem towarzyszyć Ralphowi. Pełnię przy nim funkcje... jak to się nazywa w Ameryce?... moderatora. Biedny Ralph jest teraz aż nadto potulny. Wyruszyliśmy z Anglii przed dwoma tygodniami, bardzo źle się czuł przez cały ten czas. Nie mógł się rozgrzać, im dalej na południe, tym bardziej trząśł się z zimna. Ma bardzo troskliwego służącego ze sobą, ale, jak się obawiam, nikt już mu nie może pomóc. Namawiałem, żeby wziął w podróż jakiegoś przybocznego lekarza, rozumnego młodego medyka, ale Ralph ani słyszeć o tym nie chciał. Proszę mi wybaczyć szczerłość, ale nie rozumiem, jak pani Touchett mogła w tych okolicznościach wybrać się właśnie teraz do Ameryki.

Isabel słuchała go w napięciu, z wyrazem zaskoczenia i bólu.

– Ciotka odbywa te podróże w ustalonych z góry terminach i nic nie może jej skłonić do zmiany planów. Kiedy nadchodzi oznaczony dzień, wyrusza w drogę; myślę, że zrobiłaby to, nawet gdyby Ralph umierał.

– Chwilami mam wrażenie, że Ralph umiera – powiedział lord Warburton.

Isabel zerwała się na równe nogi.

– Idę do niego natychmiast!

Powstrzymał ją, nieco oszołomiony żywością jej reakcji.

– Nie, nie myślę, żeby niebezpieczeństwo było aż tak blisko. Przeciwnie, dzisiaj w pociągu czuł się wyjątkowo dobrze, świadomość, że zbliżamy się do Rzymu – który tak bardzo lubi – dodawała mu sił. Przed godziną, kiedy życzyłem mu dobrej nocy, powiedział, że jest zmęczony, ale szczęśliwy. Niech pani odwiedzi go jutro przed południem, nic innego nie miałem na myśli. Nie mówiłem mu, że idę do państwa, bo zdecydowałem się dopiero później, po rozstaniu z nim. Przypomniałem sobie, że od Ralpa słyszałem o pani dniu przyjęć, że to właśnie przypada w czwartek. Wtedy pomyślałem, że warto skorzystać z okazji, by panią zawiadomić o przyjeździe Ralpa i uprzedzić, iż nie powinna pani czekać na jego wizytę. Wspomniał, o ile pamiętam, że nie napisał do pani o swoim projekcie przyjazdu do Rzymu.

Isabel nie musiała nawet mówić, że zastosuje się do jego wskazówek; wystarczyło spojrzeć na nią – usiadła i wyglądała jak uskrzydłona istota wstrzymana w locie.

– Nie mówię już o tym, że sam pragnąłem panią zobaczyć – dodał gość z całą elegancją.

– Nie rozumiem tych projektów Ralpa, wydają mi się szalone – powiedziała. – Byłam o niego spokojna, wiedząc, że go chronią grube mury domu w Gardencourt.

– Był tam bardzo samotny, nie miał innego towarzystwa prócz tych grubych ścian.

– Pan go odwiedzał, pan był niezwykle dobry dla niego.

– Ach, nie miałem przecież nic innego do roboty!

– Przeciwnie, słyszałam o pana wspaniałej działalności.

Wszyscy mówią o panu jako o znakomitym mężu stanu, wciąż spotykam pańskie nazwisko w „Timesie”; ta gazeta zresztą niezbyt łaskawie pana traktuje. Jest pan wciąż, jak z tego wnoszę, skrajnym radykałem?

– Nie czuję się wcale skrajny! Wie pani, świat nawraca się teraz na moją stronę! Prowadziliśmy z Ralphem przez cały czas podróży z Londynu coś w rodzaju debaty parlamentarnej. Ja nazwałem go ostatnim torysem, a on mnie królem Gotów, twierdząc, że jestem pod każdym względem, nawet z

powierzchnowości, typowym barbarzyńcą. Jak pani widzi, iskra życia jeszcze w Ralphie nie przygasła!

Isabel miała ochotę zadać mu wiele pytań dotyczących Ralphi, ale część ich pozostawiła na później. Nazajutrz sama zobaczy kuzyna. Rozumiała, że lorda Warburtona wkrótce znuży ten temat i jest z pewnością wiele innych, które chętnie by poruszył. Z każdą chwilą łatwiej było jej uwierzyć, że dawny wielbiciel wyleczył się z ran, a co ważniejsze, mogła tak myśleć bez goryczy. Dawniej był dla niej uosobionym naleganiem, wcieloną natarczywością, siłą, której musiała wciąż stawiać opór, przeciwnikiem, z którym trzeba walczyć na argumenty; toteż gdy się zjawiał, w pierwszej chwili złąkała się, że znów czeka ją burzliwa rozmowa. Teraz uspokoiła się, widząc, że jemu zależy tylko na utrzymaniu z nią przyjaznych stosunków; daje do zrozumienia, że jej przebaczył i że nie jest zdolny do aluzji w złym guście. Oczywiście nie dopatrywała się w tym odmiany zemsty, nie podejrzewała, że on chce ją ukarać, manifestując swoje rozczarowanie; oddawała mu sprawiedliwość, wierząc, że lord Warburton po prostu chce, by wiedziała o jego rezygnacji, i spodziewa się, że ona przyjmie ją z życzliwym zainteresowaniem. Była to rezygnacja zdrowej, męskiej natury, której uczuciowe rany nigdy się nie jątrzą. Udział w brytyjskim życiu politycznym uleczył go. Isabel z pewną zazdrością pomyślała o szczęśliwszym losie mężczyzn, którym zawsze wolno rzucić się w uzdrawiający nurt działania. Lord Warburton oczywiście mówił o przeszłości, ale bez sentymentalnych aluzji; posunął się do tego, że nazwał swój poprzedni pobyt w Rzymie okresem bardzo przyjemnym. Mówił, że cieszy się z okazji do zawarcia znajomości z panem Osmondem, bo tamto pierwsze spotkanie było oczywiście zbyt przelotne. Nie pisywał do niej, gdy rozgrywał się następny rozdział jej historii, i teraz się z tego nie usprawiedliwiał. Jeśli coś wyraził między wierszami, to jedynie przekonanie, że są parą dawnych, serdecznych przyjaciół, i jako serdeczny starszy przyjaciel, po krótkiej pauzie wypełnionej uśmiechem i rozglądaniem się wokoło, z miną człowieka, którego trochę bawi prowincjonalne

przedstawienie czy niewinna gra towarzyska, zapytał nagle:

– Jest pani, jak myślę, w każdym tego słowa znaczeniu, szczęśliwa?

Isabel zaśmiała się, bo zabrzmiało to jak fragment dialogu z salonowej komedii.

– Czy pan sądzi, że przyznałabym się, gdyby było inaczej?

– Nie wiem, właściwie czemu nie?

– Ale ja wiem. Na szczęście mogę odpowiedzieć: tak.

– Ma pani piękny dom.

– Owszem, bardzo przyjemny. Ale to zasługa mojego męża, nie moja.

– A więc urządzał wszystko tutaj pan Osmond?

– Tak, dom był pusty, kiedy się tutaj wprowadziliśmy.

– Musi znać się na tym doskonale.

– Jest genialny, jeśli chodzi o obicia – powiedziała Isabel.

– Te rzeczy są teraz szalenie modne. Ale pani chyba ma własny gust?

– Cieszy mnie ładne wnętrze, kiedy je widzę, ale brak mi pomysłowości. Nie umiałabym nic sama zaproponować.

– Czy to znaczy, że jest pani gotowa akceptować zawsze to, co ktoś inny pani proponuje?

– Zwykle zgadzam się z przyjemnością.

– Dobrze wiedzieć! Spróbuję pani coś zaproponować.

– Będzie to na pewno coś miłego. Muszę jednak wyznać, że czasem przejawiam w jakichś drobnych sprawach własną inicjatywę. Teraz na przykład chciałabym pana przedstawić kilku osobom.

– Och, proszę, niech mi pani pozwoli posiedzieć tu spokojnie. Chyba że chce pani przedstawić mnie tej pani w niebieskiej sukni. Ma prześliczną główkę.

– Ta, która rozmawia z zarumienionym młodym człowiekiem? To córka mojego męża.

– Szczęśliwiec! Uroczą panią.

– Poznam z nią pana.

– Z przyjemnością, ale za chwilę, najpierw chciałbym

popatrzeć na nią z daleka. – Wbrew tym słowom zwrócił wzrok znowu na panią Osmond. – Pomyliłem się, mówiąc, że pani się zmieniła – powiedział. – Wydaje mi się pani taka sama jak niegdyś.

– A jednak przekonałam się, że małżeństwo to wielka zmiana – niezbyt wesoło stwierdziła Isabel.

– Większość ludzi pod jego wpływem zmienia się bardziej niż pani. Ja, jak pani widzi, jeszcze się tej próbie nie poddałem.

– Trochę mnie to dziwi.

– Pani powinna mnie rozumieć. Ale chcę się ożenić – dodał z prostotą.

– Zamiar bardzo chyba łatwy do zrealizowania – powiedziała, wstając, i zmieszała się, bo nagle uprzytomniła sobie, że w jej ustach była to uwaga najmniej stosowna. Lord Warburton zapewne odgadł jej myśli i wielkodusznie powstrzymał się od przypomnienia, że ona właśnie mu tego nie ułatwiła.

Edward Rosier tymczasem usiadł na kanapie przy stole z zastawą do herbaty, gdzie gospodarowała Pansy. Z początku silił się na błahą konwersację, wreszcie Pansy spytała, kim jest ten pan, który rozmawia z jej macochą.

– Angielski lord – wyjaśnił Edward. – Nic więcej o nim nie wiem.

– Zastanawiam się, czy nie miałby ochoty na filiżankę herbaty. Anglicy tak lubią herbatę.

– Mniejsza z tym. Mam coś pani ważnego do powiedzenia.

– Proszę mówić ciszej, ktoś mógłby usłyszeć.

– Nikt nie usłyszy, jeśli pani będzie w dalszym ciągu zachowywała się tak, jakby panią interesowało wyłącznie to, czy woda w imbryku gotuje się, czy nie.

– Dopiero co nalana... Służba jest tak niedbała! – westchnęła Pansy pod brzemieniem odpowiedzialności.

– Czy pani wie, co mi przed chwilą oznajmił pani ojciec? Że pani naszej rozmowy sprzed tygodnia nie traktuje poważnie.

– Nie zawsze mówię to, co naprawdę myślę. To dla młodej dziewczyny nie byłoby w ogóle możliwe. Ale panu mówię prawdę.

– Pani ojciec twierdzi, że pani zapomniała, co mi powiedziała.

– O, nie, nie zapomniałam – odparła Pansy, ukazując w uśmiechu ładne zęby.

– A więc jest tak jak przed tygodniem?

– Niezupełnie. Papa był dla mnie okropnie surowy.

– Co z panią zrobił?

– Spytał, co pan ze mną zrobił, więc mu opowiedziałam wszystko. Zabronił mi wyjść za pana.

– Niech pani na to nie zważa.

– Muszę! Nie mogę być nieposłuszna papie.

– Nawet dla człowieka, który panią tak kocha jak ja i którego miłość pani, jak sama mówi, odwzajemnia?

Uniosła pokrywkę imbryka i przez chwilę wpatrywała się w jego wnętrze, potem w tę aromatyczną toń rzuciła siedem słów:

– Kocham pana nie mniej niż pan mnie.

– I cóż mi po tym?

– O! – Pansy spojrzała na niego słodkimi przymglonymi oczyma. – Nie wiem.

– Zawiodłem się na pani – jęknął biedny Rosier. Chwilę milczał. Pansy nalala herbatę do filiżanki, którą służący zaniósł komuś z gości.

– Proszę, niech pan już nic więcej na ten temat nie mówi.

– To już wszystko, czego mogę od pani oczekiwać?

– Papa zakazał mi z panem rozmawiać.

– Pani tak łatwo mnie się wyrzeka? Doprawdy, to nie do zniesienia.

– Chciałabym tylko, żeby pan jakiś czas poczekał – powiedziała Pansy nieco drżącym głosem.

– Oczywiście będę czekał, jeśli pani zostawi mi nadzieję. Ale pani mnie zabija!

– Nie wyrzeknę się pana, nie! – zapewniła go Pansy.

– Ojciec zechce panią wydać za kogoś innego.

– Nie wyjdę nigdy za innego.

– Na cóż więc mamy czekać?



Zawahała się, nim odpowiedziała:  
– Zwrócę się do pani Osmond, ona nam pomoże. –  
Najczęściej mówiła o macosze w ten sposób.  
– Nie pomoże. Wiem. Ona się boi.  
– Czego?  
– Przypuszczam, że boi się pani ojca.  
Pansy potrząsnęła główką.  
– Nie, ona nikogo się nie boi. Musimy mieć cierpliwość.  
– Co za okropne słowo! – jęknął Rosier, głęboko wzburzony.  
Zapominając o dobrych manierach obowiązujących w salonie, chwycił się oburącz za głowę i wbił wzrok w dywan. A chwilę później uprzytomnił sobie, że coś się dzieje tuż obok niego, i podnosząc oczy, zobaczył Pansy dygającą – tak jak ją nauczono na klasztornej pensji – przed angielskim lordem, którego jej pani Osmond właśnie przedstawiała.

## ROZDZIAŁ XXXIX

Uważnego czytelnika zapewne nie zdziwi, że Ralph Touchett rzadziej widywał kuzynkę po jej zamążpójściu niż przedtem, bo jego opinia o tym wydarzeniu oczywiście nie mogła sprzyjać zacieśnieniu wiążącej ich zażyłości. Jak wiadomo, wyraził tę swoją opinię, później jednak milczał, ponieważ Isabel nie zachęciła go do podejmowania na nowo dyskusji, która stała się punktem zwrotnym w stosunkach między nimi. Dyskusja pociągnęła za sobą pewne skutki, ale takie, których się obawiał, zamiast takich, których pragnął. Nie zmroziła zapału, z jakim Isabel przygotowywała się do realizacji swoich matrymonialnych planów, ale omal nie zniszczyła przyjaźni. Nigdy więcej nie było już między nimi mowy o tym, jak Ralph ocenia pana Osmonda. Okryli tę sprawę zasłoną milczenia i w ten sposób zdołali ocalić pozory wzajemnej szczerości. Ale coś się zmieniło – jak Ralph wielokrotnie sobie powtarzał – coś się zmieniło. Isabel nie przebaczyła mu i nigdy nie przebaczy – tyle tylko osiągnął! Wierzyła, że nie czuje do niego urazy, a ponieważ była bardzo wielkoduszna i zarazem dumna, przekonanie to zawierało sporo prawdy. Ale Ralph – niezależnie od tego, czy rzeczywistość potwierdziłaby jego wątpliwości, czy nie – zadał jej ranę, i to taką, jakiej kobiety nie zapominają łatwo. Jako żona Osmonda nie będzie mogła już nigdy być przyjaciółką Ralpha. Jeśli znajdzie w małżeństwie spodziewane szczęście, będzie żywiła dla kuzyna pogardę, że z góry próbował burzyć drogie jej sercu nadzieje; jeśli przestroga okaże się uzasadniona, przysięga, że nigdy nie poskarży się kuzynowi, będzie ciążyła jej na duszy i w końcu Isabel znienawidzi go. Tak posępne perspektywy widział przed sobą Ralph w latach, które nastąpiły po wyjściu Isabel za mąż; myśli te mogą wydać się chorobliwe, ale pamiętajmy, że nie cieszył się kwitnącym zdrowiem. Pocieszał się, jak mógł, zachowując (we własnym mniemaniu) wzorową postawę, i asystował przy

ceremonii ślubnej, która uświęciła związek Isabel z Gilbertem Osmondem, a odbyła się we Florencji w czerwcu. Ralph dowiedział się od matki, że Isabel początkowo planowała ślub w swoim ojczystym kraju; pan Osmond gotów był zdecydować się na najdalszą nawet podróż w tym celu, ponieważ jednak zależało jej najbardziej na tym, by wszystko odbyło się cicho i skromnie, postanowiła w końcu, że związek ich pobłogosławiony zostanie w najbliższym kościele i bez dłuższej zwłoki. Tak więc we florenckiej kaplicy anglikańskiej oprócz państwa młodych znalazło się owego upalnego dnia tylko kilka osób: pani Touchett, jej syn, Pansy i hrabina Gemini. Uroczystość była tym skromniejsza, że zabrakło wśród obecnych dwóch osób, które przydałyby jej żywszych barw. Madame Merle została zaproszona, lecz w niezwykle miłym liście usprawiedliwiała się, że nie może w tym czasie opuścić Rzymu. Henrietty Stackpole nie zapraszano – wbrew zapowiedzi pana Goodwooda nie przyjechała do Europy, gdyż obowiązki zawodowe zatrzymały ją w Ameryce – ale napisała list mniej miły niż madame Merle, oświadczając, że gdyby mogła przepłynąć za Atlantyk, byłaby nie tyle świadkiem, ile krytykiem małżeństwa przyjaciółki. Nieco później, gdy spotkała się z Isabel jesienią w Paryżu, objawiła w pełni – może nawet zbyt swobodnie – swój krytyczny stosunek. Osmond – główna ofiara jej uwag – był oburzony, a Henrietta stwierdziła, że Isabel, wybierając go na małżonka, wzniosła barykadę pomiędzy sobą a dawną przyjaciółką.

– Nie o to chodzi, że wyszłaś za męża, ale że wyszłaś za tego człowieka – uznała za stosowne wyjaśnić; nie wiedziała, jak bardzo w tym przypadku zgadza się z Ralphem Touchettem, chociaż nie miała tyłu co on wątpliwości i skrupułów. Jednakże ta druga wyprawa panny Stackpole do Europy nie spełzła na niczym, bo w momencie gdy Osmond oświadczył, że nie zniesie dłużej wizyty tej doprawdy niemożliwej dziennikarki, a Isabel odpowiedziała mu, że nie powinien traktować Henrietty tak surowo, na scenie zjawił się poczciwy pan Bantling i zaproponował pannie Stackpole wspólną wycieczkę do Hiszpanii.

Korespondencje Henrietty z tego kraju okazały się bardziej interesujące niż wszystko, cokolwiek przedtem napisała dla „Interviewera”; za arcydzieło jej pióra uznano powszechnie zwłaszcza opis Alhambry pod tytułem *Maurowie w poświacie księżycy*. Isabel doznała w skrytości serca rozczarowania, że mąż jej nie dostrzegł, jak ta nieboraczka jest w gruncie rzeczy zabawna. Zastanawiała się nawet, czy nie brak mu zdolności do zabawy, do żartów – czyli poczucia humoru. Sama oczywiście jako kobieta przeżywająca okres szczęścia odnosiła się pobłaźliwie do Henrietty i jej zgorszonego sumienia. Osmondowi jej przyjaźń z panną Stackpole wydawała się czymś potwornym; nie mógł zrozumieć, co mają ze sobą wspólnego. Jego zdaniem turystka zwiedzająca świat w towarzystwie pana Bantlinga była najwulgarniejszą z kobiet, a na dobitkę najbardziej też zdemoralizowaną. Przeciw temu ostatniemu zarzutowi Isabel zaprotestowała gwałtownie, budząc w nim na nowo zdumienie dziwacznością swoich upodobań. Mogła mu to wyjaśnić jedynie argumentem, że lubi obcować z ludźmi jak najjaskrawiej różniącymi się od niej. „Dlaczego w takim razie nie zaprzyjaźniła się z własną praczką?” – spytał Osmond, na co Isabel odparła, że praczka zapewne nie żywi dla niej wielkiej sympatii, a Henrietta jest naprawdę serdecznie jej oddana.

W ciągu dwóch pierwszych lat jej małżeństwa Ralph nie widywał kuzynki – zimą, podczas której państwo Osmond przeprowadzili się do Rzymu, spędził w San Remo, gdzie wiosną odwiedziła go matka, by później wraz z nim pojechać do Anglii; chciała skontrolować, co dzieje się w banku, a nie mogła nakłonić syna, żeby ją w tym wyręczył. Ralph wynajął w San Remo małą willę i tam mieszkał również przez następną zimą, lecz pod koniec kwietnia wybrał się do Rzymu. Wtedy po raz pierwszy od dnia jej ślubu spotkał się twarzą w twarz z Isabel; był już za nią bardzo stęskniony. Wprawdzie pisywała od czasu do czasu, lecz listy nie mówiły nic o tym, czego był ciekawy. Pytał matkę, jak się powodzi Isabel, ale pani Touchett odpowiedziała, że zapewne dobrze – o tyle, o ile to możliwe w tych okolicznościach. Pani Touchett nie

miała wyobraźni, która umożliwia obcowanie z tym, czego nie widzimy, a ponieważ rzadko widywała siostrzenicę, nie udawała, że je łączy bliższa zażyłość. Sądząc z pozorów, młoda pani Osmond prowadziła przyzwoity tryb życia, ale ciotka w dalszym ciągu uważała jej małżeństwo za kompletną degrengoladę. Nie cieszył jej sposób, w jaki Isabel urządziła sobie życie, i była pewna, że nie wszystko w nim idzie gładko. Niekiedy we Florencji spotykała hrabinę Gemini, chociaż starała się jej unikać; hrabina przypominała jej Osmonda, a Osmond kojarzył się w jej umyśle z Isabel. W tym okresie we Florencji krążyło już mniej plotek o hrabinie, lecz zdaniem pani Touchett cisza ta nie wróżyła nic dobrego i była tylko dowodem, jak wielki poprzedził ją hałas. Bardziej bezpośrednio z Isabel kojarzyła się osoba madame Merle, ale stosunki jej z panią Touchett uległy dość znacznej zmianie. Ciotka panny Archer bez ogródek wypominała tej damie jej zbyt przebiegłą grę, a madame Merle, która nigdy nie sprzeczała się z nikim – bo nikt nie wydawał jej się tego godzien – i która dokonała cudu, polegającego na tym, że przez kilka lat obcowała, dalej lub bliżej, z panią Touchett, nie okazując jej ani irytacji, ani współczucia, teraz uderzyła w ton wzniosły i oświadczyła, że nie zniży się do obrony przed takim zarzutem. Dodała jednak (nie zniżając się), że zawiniła tylko prostotą ducha, uwierzywszy w to, co widziała, a mianowicie, że pannie Archer wcale niepilno wychodzić za mąż, a pan Osmond wcale nie stara się jej przypodobać (jego częste wizyty nie miały znaczenia, po prostu nudził się śmiertelnie na swoim wzgórzu i szukał jakiejś rozrywki).

Isabel ukrywała swoje uczucia i zmyliła czujność starszej przyjaciółki, wybierając się wraz z nią w podróż do Grecji i Egiptu. Madame Merle zaakceptowała to małżeństwo – nie mogła uważać go za skandal – ale nie odegrała w tej sprawie żadnej roli, a już z pewnością nie wystąpiła w podwójnej roli, przeciwko takiemu oskarżeniu dumnie protestowała. Postawa pani Touchett i w konsekwencji wyłom w zwyczaju uświęconym przez wiele uroczych sezonów skłoniły madame Merle do wyjazdu na kilka miesięcy do Anglii, gdzie kredyt jej pozostał niezachwiany. Pani

Touchett skrzywdziła ją, są zniewagi, których się nie przebacza.

Ale madame Merle cierpiała w milczeniu; jej godności nie brakowało nigdy wykwintu.

Ralph, jak już mówiliśmy, pragnął zobaczyć sytuację na własne oczy, ale zmierzając do tego celu, uświadomił sobie na nowo, jakie głupstwo palnął, ostrzegając kuzynkę. Rzucił na stół niewłaściwą kartę – i przegrał wszystko. Teraz nic nie zobaczy, niczego się nie dowie, Isabel wobec niego nigdy nie zdejmie maski. Należało przyjąć jej matrymonialne plany z zachwytem, aby później, gdy – jak to Ralph określił – szydło wyjdzie z worka, Isabel mogła mu z satysfakcją powiedzieć, że był głupi. Chętnie zgodziłby się na ten epitet, jeśli za jego cenę dowiedziałby się prawdy o położeniu kuzynki. Stało się inaczej, i teraz ani mu nie wyrzucała niesłusznych podejrzeń, ani nie usiłowała go przekonać, że nie doznała zawodu; może to była maska, ale zasłaniała skutecznie jej twarz; w malującej się na niej niezmaconej pogodzie dostrzegał coś sztucznego. „To nie była ekspresja – myślał Ralph – lecz charakteryzacja, a może nawet afisz reklamowy”. Straciła dziecko, ale o tym bólu nigdy nie wspominała; za wiele miała do wyznania spraw, z których Ralphowi nie mogła się zwierzyć. Zresztą nieszczęście to należało już do przeszłości, wydarzyło się pół roku przed ich spotkaniem i Isabel już nie nosiła żałoby. Zdawało się, że prowadzi życie światowe. Mówiono o jej „dobrej pozycji towarzyskiej”. Spostrzegł też, że Isabel robi wrażenie kobiety godnej zazdrości i że wiele osób poczytuje sobie za przywilej znajomość z nią. Dom jej nie dla każdego był otwarty, nie wszyscy mieli wstęp na jej czwartkowe przyjęcia. Państwo Osmond żyli na dość wysokiej stopie, ale dostrzec to mogli jedynie ludzie z najbliższego kręgu, bo w zachowaniu ich nie było nic takiego, co wywoływałoby sensację, krytykę czy też podziw. Ralph poznawał w tym wszystkim rękę mistrza, bo wiedział, że Isabel nie jest zdolna do osiągnięcia tak znakomicie wyreżyserowanych efektów. Wydała mu się istotą kochającą namiętnie ruch, wesołość, zabawy do późnej nocy, dalekie przejażdżki, wysiłek fizyczny; łaknęła rozrywek, interesujących

wrażeń, nowych znajomości, nawet nudy; była ciekawa sławnych ludzi, pragnęła zwiedzać okolice Rzymu, nawiązać stosunki z najbardziej zmurszałymi zabytkami dawnej rzymskiej elity. Wszystko to było mniej wybredne niż żądza wszechstronnego rozwoju, na której zwykł dawniej ostrzyć swój dowcip. Zaskakiwała go w kuzynce gwałtowność niektórych porywów, jakaś odrobina brutalności w eksperymentowaniu; miał wrażenie, że Isabel teraz mówi, rusza się, nawet oddycha szybciej niż przed zamążpójściem. Z pewnością nauczyła się przesady – ona, która tak wielką wagę zawsze przywiązywała do najczystszej prawdy! Dawniej lubiła łagodne spory i pojedynki intelektualne (nigdy nie była piękniejsza niż w chwilach, gdy w szczerym zapale dyskusji, otrzymując miążdzący cios, opędzała się od niego jak od muchy); teraz można by myśleć, że nie ma dla niej spraw wartych tego, żeby się ludzie o nie sprzeciali lub co do nich zgadzali. Dawniej płonęła z ciekawości, teraz ochłodziła i wbrew zobojętnieniu stała się bardziej niż kiedykolwiek aktywna. Wciąż jeszcze smukła, ładniejsza niż kilka lat temu, nie wyglądała na wiele dojrzałą, lecz nosiła stroje obfitsze i świetniejsze, co przyprawiało jej urodę odrobiną zuchwalstwa. Jakaż to przekora opanowała biedną Isabel? Swoim lekkim krokiem ciągnęła za sobą brzemień draperii, inteligentną głowę obciążyla majestatem ozdób. Swobodna, bystra dziewczyna przeistoczyła się w kogoś innego. Widział teraz piękną damę, która miała coś reprezentować. „Ale co?” – zastanawiał się Ralph. I nie mogąc znaleźć innej odpowiedzi, doszedł do wniosku, że Isabel reprezentuje Gilberta Osmonda. „Na Boga, cóż to za funkcja!” – myślał z żalem. Oszalała go dziwaczność i tajemniczość tych spraw.

Rozpoznawał rękę Osmonda, jak już mówiliśmy, rozpoznawał ją na każdym kroku. Wszystko tu było utrzymane w granicach z góry określonych, dopasowane, regulowane, kierowane przez mistrza. Osmond znalazł się w swoim żywiole, miał nareszcie tworzywo, które mógł urabiać. Zawsze celował w osiągnięciu efektów – i były to efekty głęboko przemyślane. Operował szlachetnymi środkami, lecz motywy jego działania były

równie niskie, jak kunszt wysoki. Chciał wszystko, co go otaczało, uczynić godnym zazdrości i uświetnić, dręczyć ludzi wrażeniem niedostępności, wmówić im, że jego dom różni się od wszystkich innych, nadać obliczu, które ukazywał światu, znamię zimnej oryginalności – oto cel dążeń człowieka, któremu Isabel przypisywała wyższą moralność. „Rozporządza teraz pierwszorzędnym materiałem – myślał Ralph – obfitością bogactw w porównaniu ze środkami, jakimi dawniej musiał się zadowalać”. Ralph był inteligentny, ale prześcignął sam siebie – we własnym mniemaniu – gdy stwierdził *in petto*, że Osmond pod pozorami umiłowania jedynie wartości duchowych żyje wyłącznie dla zewnętrznego świata. Udaje, że jest panem tego świata, gdy w rzeczywistości służy mu uniżenie, a swoje sukcesy mierzy stopniem uwagi, jaką zdoła na siebie ściągnąć. Od rana do nocy nie spuszcza ani na chwilę z oczu tego celu, ale głupi świat nie podejrzewa nawet, jaką grę prowadzi ten kuglarz. Wszystko, co robi, jest pozą, tak subtelnie obmyśloną, że tylko najczujniejszy obserwator może ją odróżnić od szczerego impulsu. Ralph nigdy nie spotkał człowieka tak całkowicie kierującego się wyrachowaniem. Gusta, studia, zalety towarzyskie, kolekcje – wszystko podporządkował jednemu celowi. Życie na florenckim wzgórzu było przez lata świadomie utrzymywaną pozą. Samotność, nuda, ojcowska miłość, zarówno dobre, jak złe maniery składały się na wizerunek osobowości, którą nieustannie miał przed oczyma jako wzór impertynencji i mistyfikacji. Nie tyle chciał przypodobać się światu, ile sobie przez wzbudzenie ciekawości świata i odmowę jej zaspokojenia. Zwodzenie ludzi sprawiało mu najwyższą satysfakcję. Nigdy tak bezpośrednio nie powodował się dążeniem do osobistej satysfakcji jak wtedy, gdy postanowił zaślubić pannę Archer; co prawda w tym przypadku biedna Isabel ucieleśniała niejako cały łatwowierny świat i dała się omamić całkowicie. Ralph oczywiście znajdował przyjemność w konsekwentnym rozumowaniu – przyjął pewną teorię, a ponieważ była dla niego bolesna, honor nie pozwalał mu od niej odstąpić. Przedstawiam w zarysie jego myśli, tak, jak je wówczas snuł, nie



wdaje się w ich ocenę. Niewątpliwie bardzo zręcznie dopasowywał do swojej teorii fakty – również fakt, że w czasie miesięcznego pobytu w Rzymie nie zauważył ani śladu wrogości w zachowaniu się małżonka kobiety, którą kochał.

Dla Gilberta Osmonda Ralph nie miał już tak wielkiego znaczenia. Nie nabrał też znaczenia jako możliwy przyjaciel, po prostu był mało ważny. Osmond widział w nim kuzyna swojej żony i człowieka obarczonego przykrą chorobą – nic ponadto. Pytał go, jak wypadło, o zdrowie, o panią Touchett, o to, co myśli o klimacie zimowym w różnych krajach, czy wygodnie urządził się w hotelu. Rozmawiali rzadko i nigdy Osmond nie wypowiedział ani słowa więcej, niż wymagały konwenanse; zawsze jednak odnosił się do niego z uprzejmością, jaka obowiązuje człowieka świadomego własnych sukcesów wobec bliźniego świadomego swoich klęsk. Mimo wszystko Ralph pod koniec miesiąca wyczuł bardzo wyraźnie, że Osmond próbuje zmusić żonę, aby nie przyjmowała dłużej wizyt kuzyna. Nie był o niego zazdrosny – nie miał nawet tego usprawiedliwienia; nikt nie mógł być zazdrosny o biednego Ralphi. Kazał Isabel płacić za dawną łaskawość dla pana Touchetta, z której tak wiele zachowała w sercu; Ralph nie chciał, żeby płaciła zbyt wysoką cenę, toteż gdy utwierdził się w swoich podejrzeniach, usunął się co prędzej. Tym sposobem pozbawił Isabel bardzo interesującego zajęcia: chciała wykryć, jaka to subtelna przyczyna podtrzymuje Ralphi przy życiu. Doszła do wniosku, że siłą tą jest zamięłowanie do konwersacji; szermował słowami zręczniejszym niż kiedykolwiek. Zrezygnował z chodzenia, już nie był jak dawniej wesołym towarzyszem spacerów. Spędzał całe dni w fotelu – w jakimkolwiek fotelu – i zdawał się tak zależny od usług innych osób jak ślepiec, ale mówił jak człowiek wszystko bardzo dobrze widzący. Czytelnik wie o Ralphi więcej, niż kiedykolwiek dowiedziała się Isabel, może więc łatwiej niż ona rozwiązać zagadkę. Trzymało go przy życiu uczucie, że jeszcze nie dość napatrzył się osobie, która go najbardziej w świecie interesowała, nie zaspokoił jeszcze swojej ciekawości. Przewidywał, że jej historia będzie miała jakiś ciąg dalszy, i nie

mógł się pogodzić z myślą, że go nie pozna. Pragnął zobaczyć, co Isabel zrobi ze swojego męża, czy też co on z niej zrobi. Rozgrywał się dopiero pierwszy akt dramatu, Ralph chciał dotrzeć do końca przedstawienia. Wola ta nie słabła i wspierała go przez następnych osiemnaście miesięcy, aż w końcu wrócił w towarzystwie lorda Warburtona do Rzymu. Dzięki temu nastawieniu wyglądał na człowieka, który uparł się żyć wiecznie, toteż pani Touchett, chociaż z czasem coraz bardziej skłonna do wątpliwości i niepokoju o syna tak mało dostarczającego i tak mało otrzymującego pociech, bez skrupułów odpłynęła – jak nam wiadomo – na odległy kontynent. Napięcie trzymało Ralpha przy życiu i podobne uczucie ożywiało Isabel, kiedy drżąc z niepokoju, w jakim stanie zobaczy kuzyna, szła po schodach hotelu do jego apartamentu nazajutrz po rozmowie, w której lord Warburton zawiadamiał ją o przyjeździe Ralpha do Rzymu.

Spędziła z nim tego dnia godzinę i była to pierwsza z wielu jej wizyt. Gilbert Osmond odwiedzał go skrupulatnie, a czasem państwo Osmond przysyłali po niego swój powóz i Ralph tym sposobem kilka razy był gościem w Palazzo Roccanera. W dwa tygodnie później oznajmił lordowi Warburtonowi, że po namyśle zrezygnował z planów podróży na Sycylię. Obaj przyjaciele zjedli właśnie kolację po dniu, który lord Warburton poświęcił na wędrówki po Kampanii. Wstali od stołu i Warburton przed kominkiem zapalał cygaro, lecz słysząc nowinę, wyjął je szybko z ust.

– Nie pojedziesz na Sycylię? A dokąd się wybierasz?

– Myślę, że nigdzie nie pojedę – wyznał bezwstydnie Ralph, rozparty na kanapie.

– Wrócisz do Anglii?

– O, nie! Zostanę w Rzymie.

– To nie dla ciebie. Tu jest za chłodno.

– Trudno, musi mi ten klimat wystarczyć. Jak zechcę, to wystarczy. Sam widzisz, jak się w ostatnich dniach poprawiłem.

Lord Warburton, ćmiąc cygaro, przyglądał mu się chwilę, jakby starał się tę poprawę dostrzec.

– Z pewnością czujesz się lepiej niż w czasie podróży. Aż dziwię się, żeś te trudy wytrzymał. Nie mogę się zorientować w stanie twojego zdrowia. Radzę ci jednak spróbować Sycylii.

– Nie – odparł biedny Ralph. – Mam już dość wszelkich prób. Nie mogę znów ryzykować podróży. Wyobrażasz mnie sobie pomiędzy Scyllą a Charybdą? Nie chcę umierać na sycylijskich równinach, być porwanym, jak się to zdarzyło w tamtych okolicach Prozerpinie, przez Plutona do krainy cieni.

– Po cóż więc, u licha, przyjechałeś tutaj?

– Miałem tę zachciankę. Ale przekonałem się, że to na nic. Teraz już właściwie wszystko jedno, gdzie przebywam. Wyczerpałem całą listę lekarstw i nałykałem się wszystkich możliwych klimatów. Skoro tu dojechałem, zostanę. Na Sycylii nie mam kuzynki, panny ani mężatki.

– Kuzynka rzeczywiście jest wielką zachętą. Ale co na to lekarz?

– Nie pytałem go i nic mnie jego zdanie nie obchodzi. Jeżeli umrę, to pani Osmond mnie pochowa. Ale nie umrę tutaj.

– Mam nadzieję! – Lord Warburton w zamyśleniu palił cygaro. – Prawdę mówiąc – dodał – bardzo mnie to cieszy, że wyrzekłeś się Sycylii. Bałem się okropnie tej podróży.

– Ależ to ciebie nie dotyczyło. W głowie mi nawet nie powstało, żeby cię wlec ze sobą dalej na południe.

– Z pewnością nie puściłbym cię samego.

– Mój drogi, nie spodziewałem się ani przez chwilę, że pojedziesz ze mną dalej niż do Rzymu! – wykrzyknął Ralph.

– A jednak pojechałbym z tobą i dopilnowałbym, żebyś się jak najlepiej tam urządził.

– Dobry z ciebie chrześcijanin. I dobry człowiek.

– Później wróciłbym tutaj.

– A stąd do Anglii?

– Nie, zostałbym w Rzymie.

– A więc – odparł Ralph – jeżeli nam obu chodziło tylko o Rzym, nie rozumiem, po co mówimy o Sycylii!

Lord Warburton milczał jakiś czas, wpatrując się w ogień.

Wreszcie podniósł wzrok.

– Powiedz mi, mój drogi – rzekł – czyś ty rzeczywiście zamierzał jechać na Sycylię, kiedy wyruszyliśmy z Anglii?

– *Ach, vous m'en demandez trop!* Pozwól, że najpierw ja tobie zadam pytanie: czyś ty wybrał się razem ze mną całkiem... platonicznie?

– Nie rozumiem, co masz na myśli? Miałem ochotę wyjechać za granicę.

– Podejrzewam, że obaj graliśmy komedyjkę.

– Mów o sobie! Ja nie robię sekretu z tego, że pragnąłbym tutaj zostać jeszcze trochę.

– Tak, pamiętam, że mówiłeś coś o spotkaniu z włoskim ministrem spraw zagranicznych.

– Już się z nim widziałem trzy razy. Bardzo sympatyczny człowiek.

– Zdaje się, że zapomniałeś, po co przyjechałeś do Rzymu – powiedział Ralph.

– Może – dość poważnie przytaknął lord Warburton.

Obaj należeli do gatunku niewyróżniającego się skłonnością do wynurzeń i odbyli drogę z Londynu do Rzymu, nie pozwalając sobie na najlżejszą nawet aluzję do sprawy, która zaprzętała ich umysły. Była to dawna sprawa, raz kiedyś przedyskutowana, teraz już oficjalnie wykreślona z dziedziny ich zainteresowań; nawet po przyjeździe do Rzymu, gdzie z wielu powodów musieli o tym temacie myśleć, zachowali wciąż tę samą na pół ufną, a na pół nieufną dyskrecję.

– Mimo wszystko proszę cię, zasięgnij rady lekarza – powiedział nagle lord Warburton po chwili milczenia.

– Rady lekarza zepsują mi całą przyjemność. Unikam ich w miarę możliwości.

– Cóż więc o tym sądzi pani Osmond? – zapytał przyjaciel.

– Nic jej dotychczas nie mówiłem. Prawdopodobnie powie, że w Rzymie jest za chłodno, i może nawet zaofiaruje się towarzyszyć mi do Katanii. Po niej można się tego spodziewać.

– Na twoim miejscu bardzo bym się ucieszył.

- Ale jej mąż wcale się nie ucieszy.
- No tak, mogę to sobie wyobrazić, chociaż sędzę, że nie masz obowiązku liczyć się z jego niezadowoleniem. To nie twoja sprawa.
- Nie chcę przysparzać nowych nieporozumień między nimi.
- Sądziś, że jakieś nieporozumienia już są?
- Grunt na pewno podminowany, gdyby wyjechała ze mną, bomba mogłaby wybuchnąć. Osmond nie lubi kuzyna swojej żony.
- A więc zrobiłby awanturę. Czy nie będzie awanturował się, jeżeli zostaniesz tutaj?
- Właśnie tego chcę się dowiedzieć. Był wściekły, kiedy poprzednim razem spędzałem miesiąc w Rzymie, i wtedy uznałem, że powinienem wycofać się czym prędzej. Teraz myślę, że należy zostać i bronić jej.
- Och, Ralphie kochany, twoje możliwości w roli obrońcy...
- zaczął lord Warburton z uśmiechem. Ale wyraz twarzy przyjaciela kazał mu urwać w pół zdania. – Kwestia, co jest w tych warunkach twoim obowiązkiem, wydaje mi się dość delikatna – powiedział w końcu.
- Ralph milczał chwilę, wreszcie odparł:
- W roli obrońcy rzeczywiście mam nikłe możliwości, ale jako napastnik jeszcze mniejsze. Osmond może dojść do wniosku, że nie warto przeciw mnie wytaczać armaty. W każdym razie – dodał – jestem ciekawy i chcę jeszcze parę rzeczy zobaczyć.
- Poświęcasz zdrowie dla ciekawości?
- Zdrowie mało mnie interesuje, a pani Osmond bardzo.
- Mnie też, ale nie tak jak niegdyś – szybko wyjaśnił lord Warburton. Miał ochotę zrobić to od dawna, ale nie trafiła się dotychczas sposobność.
- Czy myślisz, że ona jest szczęśliwa? – spytał ośmielony zwierzaniem przyjaciela Ralph.
- Nie wiem. Nie zastanawiałem się właściwie nad tym. Powiedziała mi pierwszego wieczoru, że czuje się szczęśliwa.
- Ach, powiedziała ci tak, oczywiście! – wykrzyknął Ralph z

uśmiechem.

– Nie wiem, czy masz rację. Myślę, że mnie właśnie mogłaby się poskarżyć.

– Co takiego? Ona nie skarży się nigdy. Sama wybrała, postawiła na swoim, dobrze to pamięta. A już na pewno nie skarżyłaby się przed tobą. Jest ostrożna.

– Niepotrzebnie. Nie zamierzam po raz drugi starać się o jej względy.

– Miło mi to słyszeć. Tak więc ty przynajmniej nie masz wątpliwości, jakie są twoje obowiązki.

– Nie mam najmniejszych wątpliwości – poważnie zgodził się Warburton.

– Pozwól, że w takim razie zapytam, czy twoja wyjątkowa uprzejmość dla małej panny Osmond ma na celu uspokojenie pani Osmond, że nie zamierzasz jej się naprzykrzać?

Lord Warburton drgnął, zaskoczony, potem wstał i długą chwilę patrzył znów w ogień na kominku.

– Czy to wydaje ci się bardzo śmieszne?

– Ani trochę, jeżeli ta mała naprawdę ci się podoba.

– Uważam, że to czarująca osóbka. Nigdy jeszcze dziewczyna w tym wieku nie zachwyciła mnie tak jak ona.

– Tak, urocze stworzenie. I bądź co bądź nie ma w niej fałszu.

– Oczywiście dzieli nas ogromna różnica wieku. Z górą dwadzieścia lat.

– Mój drogi, czy ty masz tak poważne zamiary?

– Najpoważniejsze w świecie, jak mi się zdaje.

– Cieszę się szalenie! – wykrzyknął Ralph. – Na Boga, stary Osmond będzie w siódmym niebie!

Warburton zmarszczył brwi.

– Proszę cię, nie zatruwaj mi tych nadziei. Nie dla jego przyjemności chcę prosić o rękę panny Osmond.

– A jednak sprawisz temu przewrotnemu człowiekowi wielką przyjemność.

– Niezbyt mnie lubi – powiedział jego lordowska mość.

– Niezbyt? Mój drogi, twoja pozycja ma tę złą stronę, że nie trzeba cię wcale lubić, żeby pragnąć koligacji z tobą. Ja na przykład w podobnych okolicznościach miałbym rozkoszną pewność, że jestem kochany.

Lord Warburton nie zdawał się nastrojony do rozważania uniwersalnych prawd, zajmował go przypadek szczególny.

– Jak myślisz, czy ona będzie zadowolona?

– Mała Pansy? Z pewnością zachwyci ją twoja oferta.

– Nie, nie, chodzi mi o panią Osmond.

Ralph przyglądał mu się przez chwilę.

– A cóż ona ma z tym wspólnego?

– Nie wiem. Bardzo jest do Pansy przywiązana.

– Racja, święta racja! – Ralph podniósł się z wolna. – Interesujące zagadnienie, jak daleko posunie się w swojej życzliwości dla Pansy. – Stał przez chwilę z rękoma w kieszeniach i chmurnym czołem. – Mam nadzieję, że jesteś całkowicie pewny... pewny... że... Do diaska! – wykrzyknął. – Nie wiem, jak ci to powiedzieć.

– O, nie, ty umiesz wszystko powiedzieć.

– Ale to sprawa delikatna. Czy na pewno panna Osmond, prócz innych swoich zalet, nie pociąga cię nade wszystko tym, że jest tak bliska... swojej macosze?

– Na litość boską, Ralphie, za kogo ty mnie masz? – oburzył się lord Warburton.

## ROZDZIAŁ XL

Isabel od czasu wyjścia za mąż rzadko widywała się z madame Merle, która zwykła często przebywać poza Rzymem. Najpierw spędziła pół roku w Anglii, potem większą część zimy w Paryżu. Odwiedzała licznych mieszkających daleko znajomych i wszystko wskazywało, że nie zamierza w przyszłości trzymać się tak wiernie Rzymu jak w poprzednich latach. Ponieważ dawniej jej wierność Wiecznemu Miastu polegała głównie na tym, że tutaj miała stałą siedzibę na słonecznym stoku Monte Pincio, mieszkanie często zresztą stojące puste, można było obawiać się, że teraz niemal nigdy nie będzie przebywała w Rzymie; Isabel w pewnym okresie bardzo martwiła się tą perspektywą. Bliższa zażyłość zmodyfikowała nieco pierwsze wrażenie, jakie na niej wywarła madame Merle, ale nie zmieniła go zasadniczo; madame Merle pozostała dla Isabel osobą zadziwiającą i godną uwielbienia. Była tak pod każdym względem uzbrojona, tak doskonale przygotowana do walki o miejsce w wytwornym świecie! Nosila swój sztandar dyskretnie, lecz oręż miała z lśniącej stali i władała nim z wprawą, która coraz bardziej przekonywała Isabel, że jej przyjaciółka jest zahartowanym weteranem. Nigdy nie okazywała znużenia czy też przesytu; zdawało się, że nie potrzeba jej nigdy odpoczynku ani pociechy. Miała własne poglądy, wiele z nich niegdyś przedstawiła Isabel, która wiedziała, że ta niezwykle kulturalna dama pod płaszczem doskonałego opanowania kryje bogactwa wrażliwości. Kierowała się żelazną wolą i była w jej postawie imponująca brawura. Można by myśleć, że posiadała jakiś sekret, jak gdyby sztuka życia polegała na zręcznym kruczku, który udało jej się odkryć. Isabel z biegiem lat zaznała momentów odrazy i zniechęcenia; zdarzały się dni, kiedy świat zdawał jej się mroczny i stawiała sobie bolesne pytanie, po co właściwie żyje. Dawniej żyła entuzjazmem, zapalała się do nagle spostrzeganych możliwości, do myśli o nowych przygodach. W latach pierwszej



młodości żyła od jednej chwili uniesienia do następnej i prawie bez szarych przerw pomiędzy nimi. Ale madame Merle stłumiła w sobie entuzjazm, nie zapalała się już do niczego, rządziła się wyłącznie rozsądkiem i mądrością. Czasem Isabel myślała, że wiele by dała za lekcje tej sztuki. Chętnie by o nie poprosiła znakomitą przyjaciółkę, gdyby ta znajdowała się w pobliżu. Lepiej niż przed kilku laty oceniała korzyści takiej postawy, wartość nieprzeniknionej powierzchni przywdzianej niby srebrny pancerz.

Ale, jak już mówiłem, madame Merle osiadła na dłużej w Rzymie dopiero zimą tego roku, w którym odnowiliśmy znajomość z naszą bohaterką. Isabel spotykała się z nią teraz częściej niż w ciągu dwóch pierwszych lat swego małżeństwa, ale potrzeby i skłonności pani Osmond znacznie się tymczasem zmieniły. Nie miała już teraz ochoty zwracać się po naukę do madame Merle, nie była już ciekawa jej kruczków. Jeśli miała zmartwienia, wołała je zachować w sekrecie; jeśli życie okazało się trudne, przyznanie się do porażki na pewno niczego nie ułatwi. Madame Merle była niewątpliwie bardzo pożyteczna dla siebie i stanowiła ozdobę każdego grona, do którego się włączała, ale czy przydałaby się na coś ludziom przeżywającym okres bardzo skomplikowanych trudności? Najlepszym sposobem wykorzystania jej pomocy – Isabel od dawna była o tym przekonana – byłoby naśladowanie madame Merle, jej stanowczości i inteligencji. Madame Merle nigdy nie przyznawała się do kłopotów, Isabel więc, rozpamiętując tę cechę starszej przyjaciółki, po raz piętnasty postanowiła nie myśleć o swoich. Wydawało jej się teraz, gdy nawiązywała na nowo przerwane niemal w ciągu dwóch lat stosunki, że dawna sojuszniczka bardzo się zmieniła, jak gdyby zubożyła i za daleko posuwa się w dość nienaturalnej obawie, by nie zgrzeszyć brakiem delikatności. Ralph Touchett, jak pamiętamy, zarzucał tej damie skłonność do przesady, do wyjaskrawiania, do tego, co się potocznie nazywa przedobrzeniem. Isabel nigdy nie przyznała kuzynowi racji – a nawet nie rozumiała, o co mu chodzi; w jej oczach madame Merle zawsze wyróżniała się dobrym smakiem i wielkim umiarem. Teraz

jednak ostrożność, z jaką unikała choćby pozorów, że wtrąca się w wewnętrzne sprawy rodziny Osmondów, wydała się Isabel przesadna. To już nie było w najlepszym guście, zakrawało raczej na manifestację. Madame Merle nieustannie pamiętała, że Isabel jest mężatką i ma teraz inne sprawy na głowie; chociaż znała Osmonda i małą Pansy od dawna i była z nimi zaprzyjaźniona bliżej niż ktokolwiek inny, wciąż podkreślała, że nie zalicza się do grona rodziny. Przejawiała największą ostrożność, nigdy nie mówiła o ich sprawach, chyba że pytano ją o zdanie, ale i wówczas trzeba było wyraźnie nalegać, aby zabrała głos. Nie chciała być posądzona, że miesza się w cudze sprawy. Jak wiadomo, była szczerą, więc i o tym swoim lęku otwarcie powiedziała Isabel:

– Muszę się wystrzeżać, łatwo mogłabym cię urazić mimo woli. Miałabyś prawo do urazy, chociaż intencje moje są najczystsze. Nie wolno mi zapomnieć, że znałam twojego męża wiele lat, zanim ty go spotkałaś, mogłabym popełnić wielki błąd. Głupia żona byłaby może zazdrosna, ty jesteś na to za mądra, wiem to dobrze. Ale ja też mam rozum i nie chcę ryzykować. Bezwiednie można wyrządzić szkodę, ani się człowiek spostrzeże, jak robi fałszywy krok. Oczywiście gdybym chciała romansować z twoim mężem, miałam dość czasu w ciągu poprzednich dziesięciu lat, gdy nic nie stało temu na przeszkodzie; nie wydaje się prawdopodobne, żebym próbowała oczarować go teraz, kiedy jestem o tyle mniej pociągająca niż przed dziesięciu laty. Ale gdybym drażniła cię, zajmując między wami miejsce, które mi się nie należy, nie zastanawiałabyś się nad prawdopodobieństwem, po prostu stwierdziłabyś, że przekraczam pewne granice. Nie chcę ich naruszyć. Oczywiście przyjaciółki nie zawsze o tym pamiętają, nie podejrzewa się przecież bliskich osób o niesprawiedliwość, toteż ja nie do ciebie odnoszę się nieufnie, broń Boże, ale nie ufam naturze ludzkiej. Nie myśl też, że czuję się w tych warunkach skrepowana, nie zawsze przecież muszę się strzec, najlepszy dowód, że tak szczerze dzisiaj z tobą rozmawiam. Chciałam ci powiedzieć, że gdyby w tobie zbudziła się odrobinka zazdrości – bo taką formę przybrałaby uraza – to wiedziałabym bez wątpienia, że to moja

wina. Na pewno nie twojego męża.

Isabel miała w ciągu trzech lat dość czasu, żeby rozmyślać nad teorią pani Touchett, według której madame Merle wyswatała Gilberta Osmonda. Wiemy, jak w pierwszym momencie zareagowała na te przypuszczenia ciotki; może madame Merle ożeniła Osmonda, z pewnością jednak nie ona wydała za mąż Isabel Archer. Jej małżeństwo było dziełem... Isabel sama nie umiała określić sprawy... przyrody, opatrności, losu, wiecznej tajemnicy wszelkich przypadków. Co prawda ciotka oskarżała madame Merle nie tyle o celowe działanie, ile o dwulicowość: doprowadziła do tak niezwykłego zdarzenia i potem wyparła się winy. Wina ta w oczach Isabel nie była ciężka – nie mogła swojej starszej przyjaciółce mieć za złe, że przyczyniła się do najważniejszej przygody jej życia. Tak myślała Isabel przed ślubem, wkrótce po rozmowie z ciotką, w okresie gdy jeszcze była zdolna do tak ogólnych refleksji i niemal filozoficznego spojrzenia na dość jeszcze krótką i skromną kronikę swojego życia. Jeżeli madame Merle pragnęła dla niej zmiany stanu panińskiego na małżeński, to należało jej dziękować za dobry pomysł. Zresztą wobec Isabel postępowała lojalnie, nigdy nie ukrywała, że podziwia Gilberta Osmonda. Isabel później, jako jego żona, przekonała się, że Osmond nie odwzajemnia w pełni tych zachwytów – rzadko zgadzał się w rozmowach dotykać tego najkrągłego, najgładszego ziarnka ich salonowego różańca.

– Czy ty jej nie lubisz? – spytała kiedyś Isabel. – Madame Merle tak wysoko cię ceni!

– Wiedz raz na zawsze – odparł Osmond – że kiedyś lubiłem ją bardziej niż teraz. Znudziła mnie i wstydzę się tego. Jest prawie nadnaturalnie dobra! Cieszę się, że wyjechała z Włoch, odpoczywam od niej, doznaję jak gdyby moralnego odprężenia. Nie mów o niej za wiele, bo w ten sposób ściągniesz ją tutaj z powrotem. Madame Merle i tak wróci w swoim czasie.

Madame Merle rzeczywiście wróciła w porę, to znaczy nie za późno, żeby odzyskać wszelkie przywileje, jakie mogła wskutek nieobecności utracić. Wróciła jednak, jak już wiemy, nieco

zmieniona, a Isabel też trochę inaczej do niej się odnosiła. Zachowała ostrą świadomość sytuacji, lecz była nią o wiele mniej uszczęśliwiona. Człowiekowi niezadowolonemu brak wielu rzeczy, ale rzadko brakuje mu powodów do tego stanu ducha, w którym się znajduje – przeciwnie, mnożą się one niby jaskry w czerwcu. Fakt, że madame Merle przyczyniła się do małżeństwa Gilberta Osmonda, już jej nie dodawał chwały; powiedzmy w końcu, że nie było jej za co dziękować. W miarę jak czas płynął, Isabel coraz mniej była wdzięczna i kiedyś wręcz pomyślała, że bez interwencji tej damy wszystko zapewne potoczyłoby się inaczej. Natychmiast zdusiła w sobie tę myśl – zdjęła ją zgroza, że mogła coś takiego pomyśleć. „Cokolwiek się stanie, nie wolno mi być niesprawiedliwą – powiedziała sobie. – Muszę dźwigać swoje brzemię, zamiast przerzucać je na barki innych osób”.

Postanowienie to przeszło ciężką próbę w godzinie, gdy madame Merle uznała za stosowne usprawiedliwić w zacytowanych wyżej słowach swój sposób bycia; było bowiem coś irytującego – niemal szyderczego – w tym trzeźwym rozumowaniu i jasno sprecyzowanych poglądach. W umyśle Isabel nic tego dnia nie krystalizowało się tak jasno, panował w nim zamęt żalu podszytego lękiem. Czowała się bezradna, gdy pożegnała przyjaciółkę po wysłuchaniu jej apologii; madame Merle nie wiedziała, co dzieje się w jej głowie, a co gorsza Isabel sama nie potrafiłaby tego wytłumaczyć. Czyż mogłaby być zazdrosna o madame Merle i jej przyjaźń z Gilbertem? Pomysł wydawał się całkowicie nierealny. Isabel niemal pragnęła być zdolna do zazdrości, to w jakiś sposób odświeżyłoby jej serce. Czyż zazdrość nie stanowi w pewnym sensie objawu szczęścia? Może jednak mądra madame Merle sądziła, że więcej wie o niej niż ona sama o sobie? Nasza bohaterka zawsze pochopnie czyniła różne postanowienia, często bardzo wzniosłe, ale nigdy nie rodziło się ich tyle – w głębi jej serca – co tego dnia. Co prawda wszystkie były naznaczone rodzinnym podobieństwem i można by je podsumować w decyzji, że jeśli ma być nieszczęśliwa, nie będzie to z własnej winy. Jej biedny uskrzydłony duch zawsze gorąco

pragnął doskonałości i wciąż jeszcze nie dał się naprawdę zniechęcić. Chciał więc być sprawiedliwy, nie zadowalać się małostkową zemstą. Bo zrzucenie na madame Merle winy za własny zawód byłoby małostkową zemstą, która przy tym nie dostarczyłaby szczerzej satysfakcji. Spotęgowałaby rozgoryczenie, ale nie rozluźniłaby więzów. Isabel nie mogła wmawiać sobie, że nie działała w pełni świadomie; żadna w świecie dziewczyna nie miała większej swobody wyboru. Co prawda zakochana dziewczyna nie ma wolnego wyboru, ale źródło błędu jest w niej samej. Nikt nie knuł spisku, nie zastawiał sideł, wybrała z otwartymi oczyma, po namyśle. Kobieta, która popełniła taki błąd, może go naprawić, tylko akceptując sytuację bez zastrzeżeń (z najwznieślejszą wspaniałomyślnością). Jedno szaleństwo wystarczy, tym bardziej że konsekwencje jego są wieczne, drugie niewiele by mogło pomóc. W tej decyzji milczenia był pewien rys wielkoduszności, który podtrzymywała Isabel, jednakże madame Merle miała rację, zachowując mimo wszystko ostrożność.

Pewnego dnia, mniej więcej w miesiąc po przyjeździe Ralpa do Rzymu, Isabel wróciła ze spaceru w towarzystwie Pansy. Cieszyła się z istnienia małej Pansy nie tylko dlatego, że była zdecydowana w ogóle postępować sprawiedliwie, ale także dlatego, że każda istota czysta i słaba budziła w niej tkliwość. Pokochała pasierbicę i nie było w życiu pani Osmond nic równie szczerego, jak przywiązanie tej dziewczyny, ani słodsze niż jednoznaczność jej własnych uczuć w stosunku do Pansy. Była to jakby czyjaś życzliwa obecność, jakby ciepło rączki dziecinnej w uścisku jej dłoni. Pansy darzyła ją czymś więcej niż przywiązaniem: żarliwą zniewalającą ufnością; Pansy polegała na niej całkowicie i to nie tylko sprawiało Isabel przyjemność, lecz dostarczało konkretnego celu w okresie, gdy bała się, że zabraknie jej bodźców do życia. Mówiła sobie, że człowiek musi podejmować obowiązki, które znajduje na swej drodze, i że powinien ich szukać pilnie. Postawa tego dziecka apelowała bezpośrednio do niej, wskazywała szansę – może nie świetną, lecz niewątpliwą; Isabel nie umiałaby jasno określić, na czym ta szansa

polega; najogólniej mówiąc, na tym, żeby ofiarować tej małej więcej, niż Pansy mogła nawzajem dać. Isabel uśmiechała się, wspominając, że kiedyś miała pewne wątpliwości co do Pansy; zrozumiała, że mylił ją jej własny nie dość subtelny wzrok. Nie mogła uwierzyć, że ktoś naprawdę tak bardzo, tak gorąco stara się zadowolić inne osoby. Obserwując z bliska, jak ta cecha przejawia się nieustannie, wiedziała już, co o niej sądzić. To była umiejętność, niemal dar tego dziecka. Pansy nie miała dumy, która by mogła to jej pragnienie hamować, i stale rozszerzając swoje podboje, nie przypisywała sobie z tego powodu żadnej zasługi. Przebywały wciąż razem, rzadko widywano panią Osmond bez pasierbicy u boku. Isabel lubiła obecność tej dziewczyny – to tak, jakby miała przypięty do sukni bukiet z tych samych zawsze kwiatków. Poza tym przysięgła sobie nie zaniedbywać pasierbicy. Nigdy, pod żadnym pozorem. Stało się to jedną z jej niezłomnych zasad. Pansy zdawała się szczęśliwa w towarzystwie macochy bardziej niż w czyimkolwiek, z wyjątkiem ojca, którego uwielbiała z żarliwością usprawiedliwioną tym, że Osmond, czerpiąc z ojcostwa ogromną satysfakcję, był wobec niej zawsze niezwykle tkliwy. Isabel wiedziała, jak Pansy lubi przebywać z nią i jak pilnie szuka sposobów, żeby jej sprawić przyjemność. Pansy uznała, że najlepsza jest metoda negatywna, polegająca na tym, by nigdy nie przyczyniać kłopotów, chociaż z pewnością nie orientowała się, że Isabel już ma dość innych spraw na głowie. Była więc przemyślnie bierna, niemal wysilała wyobraźnię, by okazać uległość; nie omieszkła nawet powściągać radości, jeżeli jakaś propozycja pani Osmond bardzo jej się podobała, bo to by znaczyło, że dopuszcza możliwość innej reakcji. Nigdy nikomu nie przerywała, nigdy nie zadawała konwencjonalnych pytań, a chociaż pochwały uszczęśliwiały ją tak, że słuchając ich, bladła, nigdy się o nie nie upominała. Oczekiwała ich jednak z takim upragnieniem, że wyraz jej oczu, gdy dorosła, niezmiernie ją upiększał. W ciągu drugiej zimy spędzonej w Palazzo Roccanera Pansy zaczęła bywać na przyjęciach i balach, ale zawsze sama o dość wczesnej godzinie proponowała powrót do domu, żeby oszczędzić zmęczenia pani

Osmond. Isabel doceniała tę ofiarę, wiedząc, że Pansy namiętnie lubi tańczyć i porusza się w rytmie muzyki jak sumienna wróżka. Życie towarzyskie nie miało dla niej żadnych złych stron, lubiła nawet jego ciężary, przegrzane sale balowe, nudę długich obiadów, ścisk przy wyjściu, kłopotliwe oczekiwanie na ekwipaż. Tego dnia siedziała w powozie obok macochy, drobna, nieruchoma, zadowolona, czujnie wychylona nieco do przodu, lekko uśmiechnięta, jak gdyby pierwszy raz w życiu zabrano ją na taką przejażdżkę.

W dniu, o którym mowa, wyjechały przez jedną z bram za miasto, w pół godziny potem opuściły powóz, każąc stangretowi czekać na poboczu drogi, i ruszyły pieszo przez niską trawę Kampanii usianą nawet w zimie drobnymi kwiatkami. Isabel prawie co dzień zażywała przechadzki krokiem szybkim i długim, choć nie tak już szybkim jak w pierwszych tygodniach jej pobytu w Europie: Pansy wolała inne formy ruchu, ale w końcu lubiła i tę, ponieważ lubiła wszystko; dreptała krótszym, rozkołysanym kroczeniem u boku macochy, która w powrotnej drodze, żeby zrobić swojej towarzyszce przyjemność, polecała jechać szlakiem okrężnym wokół Pincio czy Villa Borghese. Pansy z dala od murów Rzymu w jakiejś słonecznej kotlinie zerwała trochę kwiatów i po przyjeździe do domu poszła prosto do swojego pokoju, żeby je wstawić do wody. Isabel skierowała się do salonu, gdzie najczęściej przesiadywała, drugiego w amfiladzie otwierającej się z wielkiej sieni, do której wchodziło się z klatki schodowej i której nawet bogata pomysłowość Gilberta Osmonda nie zdołała pozbawić surowej, dość imponującej nagości. Tuż przed progiem salonu Isabel nagle zatrzymała się, przykuta do miejsca dziwnym widokiem. Nie było w nim, mówiąc ściśle, nic bardzo nadzwyczajnego, ale wydał jej się czymś zupełnie nowym, a ponieważ dywan głużył jej kroki, mogła przez chwilę obserwować scenę, zanim ją swoim wejściem przerwała. Madame Merle, w kapeluszu na głowie, słuchała, a Gilbert Osmond mówił coś do niej; oboje zrazu nie zauważyli Isabel. Oczywiście widziała ich niejednokrotnie rozmawiających, ale nigdy dotychczas nie

spozobregła w ich rozmowach takich poufnych pauz wspólnego milczenia i natychmiast zrozumiała, że wzdrygną się, zaskoczeni jej wejściem. Madame Merle stała na dywanie w pewnej odległości od kominka; Osmond, rozparty w głębokim fotelu, patrzył na nią. Ona swoim zwyczajem trzymała wysoko głowę, ale spojrzenia ich spotykały się. Isabel zdziwiła się przede wszystkim, że mąż jej siedzi, gdy madame Merle stoi; właśnie ten nieprawidłowy układ zwrócił jej uwagę. Później zrozumiała, że w dialogu nastąpiła właśnie przypadkowa przerwa i oboje w zadumie patrzą na siebie jak para zażyłych przyjaciół, zdolnych czasami wymieniać myśli bez pośrednictwa słów. Nic w tym nie było gorszącego, wiedziała przecież, że ich łączy dawna przyjaźń. Ale przez mgnienie oka obraz ten olśnił ją jak błyskawica, miała wrażenie, że w ich pozach, w tej milczącej, skupionej rozmowie spojrzeń odkryła jakiś sekret. Ledwie Isabel zdążyła objąć wzrokiem tę scenę, gdy już zmieniło się wszystko. Madame Merle zobaczyła ją i powitała, nie ruszając się z miejsca, ale Osmond zerwał się z fotela. Mruknął, że musi się przejść, przeprosił gościa i wyszedł z pokoju.

– Przyszłam, żeby z tobą porozmawiać, myślałam, że już wróciłaś, i gdy się okazało, że cię jeszcze nie ma, zdecydowałam się poczekać – wyjaśniła madame Merle.

– Gilbert nie poprosił cię, żebyś usiadła? – spytała z uśmiechem Isabel.

Madame Merle rozejrzała się wokół.

– Rzeczywiście! Zamierzałam wyjść.

– Mam nadzieję, że zostaniesz, skoro jestem.

– Naturalnie. Przyjechałam w określonym celu, muszę rzucić pewien kamień z serca.

– Nieraz ci już mówiłam, że trzeba nadzwyczajnych okoliczności, aby cię ściągnąć do tego domu.

– I pamiętasz, co ci na to zawsze odpowiadałam: że przychodzę albo trzymam się z daleka z tych samych powodów, przez przyjaźń dla ciebie.

– Tak, zawsze tak mówisz.



– To brzmi, jakbyś mi nie wierzyła – powiedziała madame Merle.

– Ach, na pewno nie wątpię o głębi motywów twojego postępowania.

– Raczej wątpisz o szczerości moich słów.

Isabel poważnie pokręciła głową.

– Wiem, że byłaś zawsze dobra dla mnie.

– O tyle, o ile na to pozwalałaś. Nie zawsze chcesz przyjmować uprzejmości i w takich razach lepiej nie nalegać. Ale dzisiaj nie przyszedłam z miłości dla ciebie, chodzi o zupełnie inną sprawę. Chcę się pozbyć pewnego kłopotu i przerzucić go na ciebie. Mówiłam już o tym twojemu mężowi.

– Bardzo mnie to dziwi, on nie cierpi kłopotów.

– Zwłaszcza cudzych, wiem doskonale. Ale ty chyba także, co? W każdym razie, chętnie czy niechętnie, musisz mi pomóc. Chodzi o biednego pana Rosiera.

– O! – Isabel po namyśle dodała: – A więc to jego kłopot, nie twój.

– Potrafił mnie nim obarczyć. Składa mi wizyty dziesięć razy na tydzień, żeby mówić o Pansy.

– Tak, chciałby się z nią ożenić, znam tę sprawę.

Madame Merle wahała się chwilę, nim powiedziała:

– Ze słów twojego męża odniosłam wrażenie, że nic ci o tym nie wiadomo.

– Skąd Gilbert mógłby wiedzieć, o czym mi wiadomo. Nie rozmawiał ze mną na ten temat.

– Prawdopodobnie dlatego, że nie wiedział, jak zacząć.

– Na ogół nie brak mu wymowy.

– Na ogół dobrze wie, co sądzić o danej sprawie. W tym przypadku nie wie.

– A tyś mu tego nie podpowiedziała? – spytała Isabel.

Madame Merle zdobyła się na uśmiech.

– Czy wiesz, że jesteś trochę cierpka?

– Wiem, ale nic na to nie poradzę. Pan Rosier mnie także się zwierzał.

– Ma coś niecoś na swoje usprawiedliwienie. Jesteś w tak serdecznych stosunkach z małą Pansy!

– Ach, nie dodałam mu otuchy. Jeśli ty uznałaś, że jestem cierpka, wyobrażam sobie, co pan Rosier o mnie myśli!

– Zapewne myśli, że mogłabyś dla niego zrobić coś więcej.

– Nic nie mogę zrobić.

– Bądź co bądź więcej niż ja. Nie mam pojęcia, jakie tajemnicze związki odkrył między mną a Pansy, ale uderzył od początku w taki ton, jakbym jego los trzymała w ręku. Ustawicznie wraca, żeby mnie zachęcać, wypytywać, czy jest dla niego jakaś iskierka nadziei, wylewać swoje żale.

– Jest bardzo zakochany – stwierdziła Isabel.

– Jak na niego – bardzo.

– Można by też powiedzieć: bardzo jak na Pansy.

Madame Merle na chwilę spuściła oczy.

– Uważasz, że nie jest warta miłości?

– To najmiłsza w świecie istota, ale bardzo ograniczona.

– Tym łatwiej panu Rosierowi zakochać się w niej. On też nie jest bez granic.

– Tak – przyznała Isabel – ma wymiary chusteczki do nosa, z tych najmniejszych, obszytych walansjenką. – W ostatnich czasach humor jej często zabarwiał się sarkazmem, ale natychmiast zawstydziała się, że ostrzy swój dowcip na tak niewinnej ofierze jak wielbiciel małej Pansy. – To bardzo dobry, uczciwy człowiek – dodała prędko – i wcale nie taki głupi, jak by się mogło zdawać.

– Zapewnia mnie, że Pansy za nim przepada – powiedziała madame Merle.

– Nie wiem, nie pytałam jej.

– Nie próbowałaś jej delikatnie wy badać?

– To należy do jej ojca, nie do mnie.

– Ach, nie bądź pedantką!

– Pozwól, że sama będę rozstrzygała, co jest moim prawem, a co nie.

Madame Merle znowu się uśmiechnęła.

– Niełatwo ci pomóc.

– Pomóc mi? – poważnie spytała Isabel. – O czym mówisz?

– Zbyt łatwo cię urazić. Rozumiesz teraz, jak mądra jest moja ostrożność? W każdym razie informuję cię, że uprzedziłam twój męża, iż umyłam ręce od całej tej sprawy sercowej między panem Rosierem a Pansy. *Je n'y peux rien, moi!* Nie mogę z Pansy rozmawiać o nim. Tym bardziej – dodała madame Merle – że pana Rosiera nie uważam za idealnego kandydata na męża.

Isabel zastanawiała się chwilę, potem odparła z uśmiechem:

– A więc nie umywasz rąk! – i zmieniając ton, dodała: – Nie możesz, za bardzo cię ta sprawa obchodzi.

Madame Merle wstała z wolna i rzuciła jej spojrzenie równie błyskawiczne jak wizja, która na krótki czas przedtem olśniła naszą bohaterkę. Tylko że tym razem Isabel nic nie zauważyła.

– Spytaj przy najbliższej okazji pana Rosiera, a sama się przekonasz.

– Nie mogę go wypytywać. Pan Rosier już nie bywa u nas, Gilbert dał mu do zrozumienia, że nie jest pożądanym gościem.

– Ach tak – powiedziała madame Merle – zapomniałam, chociaż biedak tak nad tym lamentował. Twierdzi, że Osmond go znieważył. A jednak Osmond wcale go tak bardzo nie nienawidzi, jak mu się wydaje. – Wstała, jak gdyby kończąc wizytę, ale ociągała się, rozglądała wokół i wyraźnie miała coś jeszcze do powiedzenia. Isabel wyczuła to i nawet zgadywała, o co chodzi, ale z pewnych powodów nie chciała ułatwić starszej przyjaciółce sytuacji.

– Jeśli to zakomunikowałaś panu Rosierowi, musiał się zapewne ucieszyć – odparła z uśmiechem.

– Oczywiście zakomunikowałam mu to, w tych granicach mogłam go nieco pocieszyć. Zalecałam cierpliwość, mówiłam, że sprawa nie jest beznadziejna, byle trzymał język za zębami i zachowywał spokój. Niestety nabrał pewnych podejrzeń i jest zazdrosny.

– Zazdrosny?

– O lorda Warburtona, który, wedle słów pana Rosiera, stale tu bywa.

Isabel, zmęczona spacerem, dotychczas siedziała. W tym momencie wstała.

– Aa! – wykrzyknęła po prostu, zbliżając się powoli do kominka. Madame Merle obserwowała jej ruchy, gdy Isabel zatrzymała się i przed lustrem poprawiała wysuwający się kosmyk włosów.

– Biedny pan Rosier powtarza z uporem, że przecież lord Warburton mógł się zakochać w Pansy.

Isabel przez chwilę milczała. Potem odwróciła się od lustra.

– Prawda, nie ma w tym nic niemożliwego – odparła z powagą, łagodniejszym tonem.

– Musiałam więc przyznać słuszność panu Rosierowi. Twój mąż jest też tego zdania.

– O tym nic nie wiem.

– Zapytaj go, a będziesz wiedziała.

– Nie zapytam – powiedziała Isabel.

– Wybacz. Zapomniałam, że już mi tłumaczyłaś. Oczywiście – dodała madame Merle – masz znacznie więcej sposobności do obserwowania postawy lorda Warburtona niż ja.

– Nie widzę powodu, żeby przed tobą ukrywać, że on rzeczywiście bardzo lubi moją pasierbicę.

Madame Merle znowu zerknęła szybko na Isabel.

– Lubi ją w tym sensie, jaki ma na myśli pan Rosier?

– Nie wiem, co myśli pan Rosier. Lord Warburton powiedział mi, że jest oczarowany wdziękiem małej Pansy.

– I ty nie powtórzyłaś tego Osmondowi? – prędko, spontanicznie spytała madame Merle; pytanie prawie wyrwało się z jej ust.

Isabel zatrzymała wzrok na jej twarzy.

– Przypuszczam, że dowie się w swoim czasie. Lord Warburton ma język i umie wyrażać, co zechce.

Madame Merle natychmiast uprzytomniła sobie, że odezwała się bardziej pochopnie, niż to było w jej zwyczaju, i lekki rumieniec zabarwił jej policzki. Przeczekała, aż zdradziecki impuls zgasł, i powiedziała jakby po namyśle:

– Byłaby to lepsza partia niż biedny pan Rosier.  
– Sądzę, że znacznie lepsza.  
– To byłby świetny mariaż, wielki sukces. Doprawdy jest bardzo łaskawy.

– Łaskawy?  
– Że wyróżnia tak prostą młodziutką dziewczynę.  
– Nie patrzę na to z tego punktu widzenia.  
– Jesteś miła, ale w końcu Pansy...  
– W końcu Pansy jest najbardziej czarującą istotą, jaką w życiu spotkałam! – wykrzyknęła Isabel.

Madame Merle otworzyła szeroko oczy, nie bez przyczyny zdumiona.

– Przed chwilą, jeśli mnie pamięć nie myli, oceniłaś ją znacznie mniej pochlebnie.

– Powiedziałam, że jest ograniczona. To fakt. Ale lord Warburton też.

– No, jak się zastanowić, wszyscy jesteśmy mniej lub bardziej ograniczeni. Jeśli to nie jest oferta lepsza, niżby się małej Pansy należała, tym lepiej. Ale jeżeli odda serce panu Rosierowi, nie będę mogła przyznać, że wybiera los, na który zasługuje. To byłaby z mojej strony zbyt przewrotna opinia.

– Licho nadało tego pana Rosiera! – wykrzyknęła z irytacją Isabel.

– Zgadzam się z tobą i bardzo się cieszę, że nikt ode mnie nie wymaga, abym podtrzymywała ten płomień. Odtąd, jeśli pan Rosier znów się zjawi, zastanie moje drzwi zamknięte. – I otulając się płaszczem, madame Merle pożegnała panią domu. W drodze ku wyjściu zatrzymała ją niespodziewana i niekonsekwentna prośba:

– Mimo wszystko bądź dla niego dobra!

Madame Merle uniosła lekko ramiona i brwi, przystanęła i spojrzała na przyjaciółkę.

– Nie rozumiem, skąd w tobie tyle sprzeczności! Nie będę dla niego dobra, bo musiałabym być fałszywa. Bardzo pragnę, żeby Pansy wyszła za lorda Warburtona.

– Lepiej poczekaj, aż się oświadczy.

– Jeśli to, co mówiłaś o nim, jest prawdą, oświadczy się na pewno. Zwłaszcza – dodała madame Merle po chwili – jeśli go do tego skłonisz.

– Ja?

– To jest w twojej mocy. Masz na niego wielki wpływ.

Isabel zmarszczyła czoło.

– Skąd wiesz?

– Pani Touchett powiedziała mi. Nie ty, ty nigdy! – uśmiechnęła się madame Merle.

– Z pewnością nigdy nic takiego nie mówiłam.

– A mogłaś powiedzieć, nie brakowało do tego okazji w czasach, kiedy chętnie zwierzałyśmy sobie nawzajem różne rzeczy. Ale właściwie bardzo mało mówiłaś mi o sobie, nieraz później zastanawiałam się nad tym.

Isabel także zastanawiała się nad tą sprawą, niekiedy z pewną satysfakcją. Nie przyznała się jednak do tego; może nie chciała zdradzić zadowolenia z tej swojej dawnej dyskrecji, powiedziała więc tylko:

– Jak widzę, znalazłaś w osobie ciotki dobrą informatorkę.

– Powiedziała mi, że odrzuciłaś propozycję małżeńską lorda Warburtona, ponieważ była mocno zirytowana i nie mogła myśleć o niczym innym. Ja naturalnie sędzę, że zrobiłaś lepszy wybór. Ale skoro sama nie chciałaś wyjść za lorda Warburtona, wynagrodź mu teraz krzywdę, pomagając ożenić się z inną osobą.

Na twarzy Isabel nie widać było jakiegokolwiek reakcji na te wypowiedziane z ożywieniem przez starszą przyjaciółkę słowa. Po chwili jednak pani Osmond odpowiedziała rozsądnie i dość uprzejmie:

– Doprawdy bardzo bym się cieszyła, gdyby doszło do małżeństwa między nim a Pansy.

Madame Merle, która uznała tę deklarację za dobrą wróżbę, uścisnęła ją czulej, niż można było się spodziewać, i wycofała się tryumfalnie.

## ROZDZIAŁ XLI

Tego wieczoru Osmond po raz pierwszy poruszył ten temat; bardzo późno przyszedł do salonu, gdzie zastał Isabel samą. Spędzali wieczór w domu; Pansy już położyła się spać, jej ojciec od kolacji siedział w małym gabinecie, w którym zgromadził książki i który nazywał swoją pracownią. Wcześniej tego dnia, około dziesiątej, zjawił się lord Warburton, jak zawsze gdy wiedział od Isabel, że zastanie ją w domu. Wybierał się na jakieś przyjęcie i wstąpił tylko na pół godziny. Isabel spytała go o zdrowie Ralpa, ale poza tym nie nawiązywała z nim konwersacji umyślnie; wolała, żeby rozmawiał z jej pasierbicą. Udawała, że czyta, nawet grała przez chwilę na fortepianie; zastanawiała się, czy nie wyjść w ogóle z pokoju. Stopniowo doszła do przekonania, że byłoby bardzo dobrze, gdyby Pansy zaślubiła właściciela pięknego zamku Lockleigh, chociaż w pierwszej chwili pomysł ten nie wzbudził w niej entuzjazmu. Madame Merle tego popołudnia przytknęła zapalnik do zgromadzonego już łatwopalnego materiału. Isabel, gdy czuła się zgnębiona, zawsze rozglądała się wokół, szukając – częściowo spontanicznie, częściowo dla zasady – jakiejś formy energicznego działania. Nie mogła wyzbyć się przekonania, że smutek jest niejako chorobą, poddaniem się, przeciwieństwem akcji. Działanie – jakiegokolwiek działanie – stanowi więc ucieczkę, może nawet do pewnego stopnia lekarstwo. Poza tym pragnęła sama sobie udowodnić, że zrobiła wszystko, co było w jej mocy, aby spełnić życzenia męża; za nic nie chciała, aby nękały ją wyrzuty sumienia, że nie odpowiada skwapliwie na apel o pomoc: Osmond ogromnie cieszyłby się, gdyby Pansy wyszła za angielskiego arystokratę, a miałby w tym przypadku rację, bo lord Warburton jest naprawdę wartościowym człowiekiem. Wydało jej się, że uznając za swój obowiązek doprowadzenie do tego mariażu, postąpi, jak przystało dobrej żonie. Bardzo chciała być dobrą żoną, bardzo chciała szczerze uwierzyć i mieć w ręku niezbite dowody,

że jest dobrą żoną. Za podjęciem tej roli przemawiały też inne względy. To ją zajmie, a potrzebowała jakiegoś zajęcia. To ją może nawet zabawi, a jeśli naprawdę zdoła się czymś bawić, będzie ocalona. Wreszcie odda przysługę lordowi Warburtonowi, który najwidoczniej jest pod urokiem ślicznej młodziutkiej Pansy. Trochę dziwaczne, że taki człowiek jak on uległ temu urokowi, ale w tych sprawach nie można szukać logiki. Pansy mogła podbić każdego, każdego z wyjątkiem lorda Warburtona. Można by myśleć, że jest za maleńka, za lekka, może też zanadto sztuczna. Zawsze trochę przypominała lalkę, a Warburton nie tego szukał w kobietach. Któż jednak wie, czego mężczyźni szukają naprawdę? Może właśnie tego, co znajdują. Może sami nie wiedzą, czego pragną, póki nie mają tego przed oczyma. Żadna teoria nie sprawdza się w tej dziedzinie, każdy przypadek jest równie nieuzasadniony i równie naturalny jak wszystkie inne. Jeżeli lord Warburton kiedyś ją kochał, dziwne, że mógł pokochać Pansy, tak bardzo od niej różną; ale zapewne nie kochał Isabel tak głęboko, jak mu się zdawało. Może kochał prawdziwie, ale całkowicie wyleczył się z tej miłości, a ponieważ ona nie dała mu szczęścia, naturalna wydaje się jego nadzieja, że lepiej powiedzie mu się z kimś zupełnie innym. Entuzjazm, jak wiemy, nie od razu porwał panią Osmond, ale tego wieczoru już wypełnił i niemal uszczęśliwił jej serce. Zdumiewające, jak wielką radością mogła ją jeszcze natchnąć myśl, że ucieszy swojego męża. Szkoda tylko, że Rosier stanął tak nie w porę na ich drodze!

I ta myśl przyćmiła nieco blask opromieniający tę drogę. Isabel była, niestety, tak pewna, że dla Pansy Edward Rosier jest najbardziej czarującym młodzieńcem w świecie, jak gdyby przeprowadziła z pasierbicą rozmowę na ten temat. Ta pewność irytowała ją, bo przecież pilnie wystrzegą się badania stanu uczuć pasierbicy; to niemal równie irytujące jak przekonanie biednego pana Rosiera, że zyskał wzajemność panny Osmond. Niewątpliwie jest gorszym kandydatem niż lord Warburton. Nie z powodu różnicy majątkowej, ale jako osobowość; młody Amerykanin istotnie reprezentuje wagę bardzo lekką. Nie



angielskiego arystokratę, lecz pana Rosiera zaliczyć wypada do kategorii bezużytecznych światowców. Co prawda Pansy nie wydaje się stworzona na małżonkę dla męża stanu, ale skoro mąż stanu ją uwielbia, to jego sprawa; Pansy będzie małą perełką wśród arystokratycznych angielskich dam.

Czytelnik być może uzna, że pani Osmond stała się nieoczekiwanie cyniczna, bo w końcu doszła do wniosku, że wszystkie trudności uda się pokonać. Komplikacja w postaci biednego Rosiera nie wydawała jej się zbyt groźna; znajdą się sposoby, żeby usunąć drugorzędne przeszkody. Isabel zdawała sobie sprawę, że nie bierze w swych rachubach serca małej Pansy, które mogło okazać się kłopotliwie uparte; przypuszczała, że dziewczyna raczej ulegnie namowom, zamiast się upierać przy własnym zdaniu wbrew krytycznej opinii otoczenia; zdolność do przytakiwania była w niej znacznie bardziej rozwinięta niż zdolność do sprzeciwu. Potrafiła przyłgnąć mocno, ale w gruncie rzeczy nie miało dla niej wielkiego znaczenia, do czego Ignie. Lord Warburton mógł ją sobie zjednać nie gorzej niż pan Rosier, tym bardziej że od początku odnosiła się do niego z sympatią, którą wyrażała bez najmniejszych zastrzeżeń. Powiedziała macosze, że rozmowy z lordem Warburtonem są niezwykle interesujące, opowiedział jej dużo ciekawych rzeczy o Indiach. Isabel sama spostrzegła, że Warburton zachowuje wobec małej Pansy takt i swobodę, nie wpadając ani trochę w ton protekcyjny, jakby nie pamiętał o jej młodym wieku i naiwności, przekonany, że inteligencja, która pozwala jej śledzić wątek modnych oper, wystarczy też do zrozumienia poruszanych przez niego tematów. Pansy dość dobrze orientowała się w muzyce i ariach barytonów. Odnosił się do niej z subtelną dobrocią, podobnie jak kiedyś do innej spłoszonej młodej istoty w Gardencourt. To mogło wzruszyć dziewczynę; Isabel nie zapomniała, jak bardzo była ujęta okazywanymi jej przez niego względami, a gdyby miała prostotę swojej pasierbicy, odczułaby to jeszcze głębiej. Nie było jednak prostoty w jej ówczesnej decyzji odrzucenia oświadczyn lorda Warburtona; doprowadził ją do tego proces wewnętrzny równie

skomplikowany jak późniejszy, który skłonił ją do wyboru Osmonda. Pansy jednak mimo swej naiwności rozumiała naprawdę i cieszyła się, że lord Warburton rozmawia z nią nie o jej danserach czy kwiatach, lecz o sytuacji we Włoszech, warunkach życia włoskich chłopów, o uciążliwych podatkach, o pelagrze, o swoich wrażeniach z towarzyskiego życia w Rzymie.

Pansy znad haftu wznosiła ku niemu oczy pełne słodkiej uległości, a gdy spuszczała wzrok, zerkiała z ukosa na niego, na jego ręce, stopy, ubranie, jak gdyby oceniała, że nawet powierzchownością – mogłaby dodać Isabel – góruje nad panem Rosierem. Ale Isabel w takich momentach zastanawiała się tylko, gdzie podziewa się młody Amerykanin; w Palazzo Roccanera przestał bywać. Jak już mówiłem, zadziwiające, jak bardzo zapaliła się Isabel do pomysłu, żeby spełnić życzenia swojego męża.

Zadziwiające z różnych powodów, które spróbuję przedstawić. Tego wieczoru, o którym mowa, gdy lord Warburton bawił w jej salonie, Isabel omal nie zdecydowała się na doniosły krok i nie wyszła z pokoju, zostawiając gościa sam na sam z Pansy. Określam to jako doniosły krok, ponieważ tak oceniłby ten manewr Gilbert Osmond, a Isabel starała się w miarę możliwości podzielać punkt widzenia małżonka. W pewnym stopniu udawało jej się to, ale w tym przypadku musiała skapitulować. Nie zdobyła się na decyzję, coś ją powstrzymało i udaremniło zamiar. Nie dlatego, że wydał jej się niegodny czy podstępny: kobiety na ogół stosują podobną taktykę bez skrupułów, a Isabel instynktownie była dość wierna geniuszowi swojej płci. Wstrzymała ją jakaś niesprecyzowana wątpliwość, poczucie, że nie jest całkowicie pewna, jak należy postąpić. Została więc w salonie, a lord Warburton wkrótce odszedł, spiesząc się na jakieś przyjęcie i obiecując pannie Osmond, że jej nazajutrz dokładnie o nim opowie. Potem Isabel zastanawiała się, czy przeszkodziła czemuś, co by się stało, gdyby była opuściła salon na piętnaście minut; w końcu orzekła – w głębi serca – że znakomity gość, jeśli kiedyś zechce zostać z Pansy bez świadków w salonie, będzie umiał dać

to pani Osmond do zrozumienia. Pansy po jego odejściu nic o nim nie mówiła, a Isabel wystrzegała się jakiegokolwiek uwagi na ten temat, jak gdyby zaprzysięgła milczenie, dopóki lord Warburton nie wyjawi swoich zamiarów. Zwlekał z tym dłużej, niż się spodziewała, gdy po raz pierwszy zwierzył jej się ze swoich sentymentów. Pansy poszła spać, a Isabel musiała sama przed sobą przyznać, że nie potrafi zgadnąć, co myśli jej pasierbica. Nie widziała teraz na wylot tej zwykle przezroczystej istoty.

Siedziała samotnie, patrząc w ogień przez pół godziny, aż nadszedł wreszcie Osmond. Przez chwilę kręcił się po salonie, w końcu usiadł i wzrok podobnie jak Isabel skierował w ogień. Ale Isabel oderwała teraz spojrzenie od pełgających na kominku płomieni i patrzyła na męża, który długo milczał. Często obserwowała go tak ukradkiem; bez przesady można stwierdzić, że zwyczaj ten wynikał z instynktu pokrewnego odruchom samoobrony. Chciała możliwie najlepiej znać jego myśli, z góry wiedzieć, co powie, aby przygotować odpowiedź. Nie miała dawniej zdolności do tego, zwykle dopiero poniewczasie przychodziły jej do głowy celne repliki, które powinna była zastosować. Nauczyła się jednak ostrożności i z twarzy męża odczytywała, na ile może sobie pozwolić. Była to ta sama twarz, w którą niegdyś na tarasie florenckiej willi wpatrywała się oczyma równie może poważnymi, lecz mniej przenikliwymi; Osmond trochę tylko przytył, odkąd się ożenił. W dalszym ciągu jednak zwracał uwagę niepospolitą powierzchownością.

- Czy lord Warburton był tutaj? – zapytał.
- Tak, spędził tu pół godziny.
- Widział Pansy?
- Siedział obok niej na kanapie.
- Rozmawiali ze sobą?
- Rozmawiał prawie wyłącznie z nią.
- Zdaje mi się, że jest nią zajęty... tak się to nazywa, prawda?
- Nie próbowałam tego nazwać dotychczas – odparła Isabel.
- Czekałam, żebyś ty znalazł właściwe określenie.

– Nie zawsze okazujesz mi tyle względów – po krótkim milczeniu stwierdził Osmond.

– Tym razem jestem zdecydowana postępować tak, jak ty sobie będziesz życzył. Zbyt często nie udawało mi się ciebie zadowolić.

Obrócił z wolna głowę i spojrzał na nią.

– Czy szukasz sprzeczki?

– Przeciwnie, szukam zgody.

– Nic łatwiejszego, jak wiesz, ja nigdy się nie sprzeczam.

– A cóż innego robisz, gdy starasz się mnie rozgniewać?

– Wcale się nie staram, jeśli czasem budzę w tobie gniew, to tylko zachowaniem zupełnie naturalnym. W tej chwili na pewno tego bym nie chciał.

Isabel uśmiechnęła się lekko.

– Mniejsza z tym. Postanowiłam nigdy więcej już się nie złościć.

– Chwalebne postanowienie! Masz wojowniczy temperament.

– Tak! – Odłożyła książkę, którą przedtem czytała, i wzięła do ręki robótkę, zostawioną przez Pansy na stole.

– Częściowo dlatego właśnie dotychczas nie rozmawiałem z tobą o tej sprawie dotyczącej mojej córki – powiedział Osmond, który często tak uroczyście określał małą Pansy. – Bałem się sprzeciwu... myślałem, że masz może jakieś własne plany. Wyprosiłem z domu pana Rosiera.

– Bałeś się, że będę orędowną za panem Rosierem? Czy nie zauważyłeś, że nigdy ci nic o nim nie mówię?

– Nie dałem ci do tego okazji. Tak mało ze sobą rozmawiamy w ostatnich czasach! Wiem, że to twój dawny znajomy.

– Tak, dawny znajomy! – Panią Osmond najwyraźniej interesował raczej haft pasierbicy niż jej dawny wielbiciel, ale Edward Rosier był rzeczywiście dawnym znajomym, a wobec męża nie chciała bagatelizować swoich dawnych przyjaźni. Pogarda, jaką mu okazywał Osmond, wzmagala w niej poczucie lojalności, nawet gdy w grę wchodziła osoba, której specjalnie nie

ceń. Chwilami budziła się w jej sercu gorąca tkliwość dla wspomnień, których jedyną wartością było to, że należały do okresu życia przed wyjściem za mąż.

– Ale nigdy – dodała po chwili – nie zachęcałam go w staraniach o względy Pansy.

– To bardzo dobrze – stwierdził Osmond.

– Dobrze dla mnie, chciałeś powiedzieć. Bo dla niego to wszystko jedno.

– Nie mówmy o nim – odparł Osmond. – Jak już wspomniałem, odprawiłem go z kwitkiem.

– Tak, ale zakochany wyrzucony za drzwi nie przestaje być zakochanym. Przeciwnie, może być bardziej niebezpieczny. Pan Rosier wciąż jeszcze żywi pewne nadzieje.

– Proszę bardzo, niech się nimi pociesza. Wystarczy, że moja córka będzie spokojnie czekała, a może zostać żoną lorda Warburtona.

– Chciałbyś tego? – spytała Isabel z prostotą nie tak sztuczną, jak można by podejrzewać. Nie chciała niczego z góry zakładać, ponieważ Osmond czasem w sposób zaskakujący obracał jej założenia w argumenty przeciw niej. Intensywność, z jaką pragnął, by jego córka osiągnęła tytuł lady Warburton, była niedawno głównym przedmiotem jej zadumy, ale wolała zachować te myśli dla siebie; nie powie nic, póki on sam nie wyrazi jednoznacznie tych swoich życzeń, nie uzna za rzecz oczywistą, że lord Warburton jest dla niego zdobyczą szczególnie pożądaną i że gotów by dla osiągnięcia celu zdobyć się na wysiłki, jakich nie podjąłby w innych okolicznościach. Zawsze twierdził, że nic w życiu nie może być dla niego zaszczytem, że ma się za równego najznakomitszym osobistościom świata, a jego córka może przebierać między książętami. Musiałby więc teraz przyznać się do niekonsekwencji, mówiąc wręcz, że marzy o zdobyciu lorda Warburtona na zięcia i że niełatwo znajdą równie świetną partię dla Pansy, jeśli ten kandydat im się wymknie; na dobitkę zwykł się chełpić, że nikt nigdy go nie przyłapie na niekonsekwencji. Toteż wolałby, żeby żona pominęła ten punkt w dyskusji. Ale, rzecz

dziwna: Isabel, chociaż przed godziną postanowiła działać w myśl życzeń męża, znalazłszy się z nim sam na sam, nie chciała mu ułatwiać sytuacji, prześlizgując się nad niewygodnym dla niego szczegółem. Doskonale wiedziała, że Osmond odczuje to jej pytanie jako upokorzenie. Niech tam, zbyt dobrze umiał ją upokarzać, tym bardziej że umiał też czekać na wielkie do tego okazje, a przejawiał czasem niezrozumiałą obojętność w sprawach drobnych. Isabel skorzystała z małej okazji, ponieważ nie była zdolna wykorzystywać wielkich.

Osmond w tym przypadku znalazł się doskonale.

– Tak, bardzo bym tego pragnął. Byłaby to wspianiała partia. Lord Warburton ma przy tym inną zaletę, jest twoim dawnym przyjacielem. Tym chętniej wejdzie do naszej rodziny. Dziwnie się składa, że wszyscy wielbiciel Pansy rekrutują się z twoich dawnych znajomych.

– To bardzo naturalne: składają mi wizyty, a przy tej sposobności poznają Pansy. Wtedy znów bardzo naturalne, że są oczarowani.

– Ja tak właśnie myślę. Ale ty mogłabyś być innego zdania.

– Gdyby Pansy wyszła za lorda Warburtona, cieszyłabym się szczerze – powiedziała otwarcie Isabel. – To najzacniejszy w świecie człowiek. Mówiłeś jednak, że wystarczy, by Pansy czekała spokojnie. Obawiam się, że nie przyjmie z całym spokojem straty pana Rosiera.

Osmond jakby nie słyszał jej słów, zapatrzony w ogień.

– Pansy będzie bardzo lubiła pozycję wielkiej damy – powiedział wreszcie z nutką rozczenia w głosie. – Nade wszystko pragnie być wszystkim miła.

– Może panu Rosierowi bardziej niż innym.

– Nie, najbardziej mnie.

– Troszeczkę także mnie – stwierdziła Isabel.

– O, tak, podziwia cię gorąco. Ale zrobi, o co ja ją poproszę.

– To świetnie, że jesteś tego pewny.

– Na razie chciałbym, żeby nasz znakomity gość oświadczył się wyraźnie.

– Właściwie wyjawiał mi swoje zamiary. Powiedział, że byłby szczęśliwy, gdyby mógł wierzyć, że Pansy odwzajemnia jego uczucia.

Osmond szybko obrócił ku niej twarz, ale dopiero po dłuższej chwili przemówił.

– Dlaczego mi tego nie powtórzyłaś? – spytał szorstko.

– Nie było okazji. Wiesz, jaki tryb życia prowadzimy. Dziś nadarzyła się wreszcie sposobność, więc ci powiedziałam.

– Mówiłaś mu o panu Rosierze?

– Wspominałam tylko.

– Niepotrzebnie.

– Sądziłam, że lepiej, aby wiedział, bo wtedy... wtedy...

– Cóż wtedy?

– Wtedy mógłby swoje postępowanie przystosować do sytuacji.

– To znaczy wycofać się, czy tak?

– Nie, raczej oświadczyć się, póki nie jest za późno.

– Jak się zdaje, nie wyciągnął takiego wniosku.

– Bądź cierpliwy – powiedziała Isabel. – Wiesz, jacy nieśmiali są Anglicy.

– Nie ten Anglik. Nie był nieśmiały, kiedy się starał o ciebie.

Bała się, że Osmond to powie, jego słowa zrobiły jej dotkliwą przykrość.

– Wybacz, ale właśnie wtedy też był nieśmiały – odparła.

Milczał przez jakiś czas. Sięgnął po książkę i zaczął przerzucać jej kartki. Isabel, także w milczeniu, zajęła się haftem rozpoczętym przez Pansy.

– Z pewnością masz na niego wielki wpływ – powiedział w końcu Osmond. – Jeżeli naprawdę zechcesz, skłonisz go do decyzji.

To zabrzmiało jeszcze bardziej natarczywie, ale było bądź co bądź naturalne; sama przecież myślała bardzo podobnie.

– Dlaczego sądzisz, że mam na niego wpływ? – spytała. – Nigdy nie zrobiłam nic, co by go w stosunku do mnie zobowiązywało.

– Odmówiłaś mu swojej ręki – rzekł Osmond z oczyma spuszczoneymi na książkę.

– Nie mogę rościć sobie z tego powodu wielkich praw. Odłożył książkę, podniósł się z fotela i stanął przed kominkiem, splatając ręce za plecami.

– Uważam, że sprawa jest w twoich rękach. Na tym dziś poprzestanę. Przy odrobinie dobrej woli możesz wszystko doprowadzić do pomyślnego rezultatu. Zastanów się nad tym i pamiętaj, że ja na ciebie liczę.

Chwilę czekał, spodziewając się, że Isabel coś odpowie, ale milczała, wyszedł więc z pokoju.



## ROZDZIAŁ XLII

Milczała, ponieważ słowa Osmonda rzuciły światło na sytuację, która teraz pochłonęła całą jej uwagę. Poruszyły w niej jakąś głęboką strunę, która tak silnie zadrgała, że Isabel bała się odezwać, nie ufając własnemu głosowi. Kiedy Osmond wyszedł, wsunęła się w głąb fotela i przymknęła oczy. Długo, do późnej nocy, niemal do świtu, siedziała tak w salonie pogrążona w myślach. Zjawił się służący, żeby podsyć ogień na kominku; kazała mu przynieść nowe świece i pójść spać. Osmond polecił jej zastanowić się nad tym, co od niego usłyszała, więc rozważała to i wiele innych jeszcze spraw. Ktoś trzeci wyraził przekonanie, że zachowała wielki wpływ na lorda Warburtona, i doznała wstrząsu, jaki często towarzyszy nieoczekiwanemu odkryciu. Czy naprawdę istnieje między nimi dwojgiem jeszcze jakaś więź, którą mogłaby posłużyć się, aby go skłonić do oświadczenia się o rękę Pansy? Czy jemu tak zależy na jej aprobacie, że gotów jest zrobić to, czego ona sobie zażyczy? Isabel nie zadawała sobie tego pytania, dopóki ktoś jej do tego nie zmusił, ale teraz, gdy zostało jednoznacznie sformułowane, znalazła natychmiast odpowiedź, i to taką, która ją przeraziła. Tak, jakaś więź istnieje, podtrzymywana przez lorda Warburtona. Kiedy pierwszy raz zobaczyła go w Palazzo Roccanera, była pewna, że łącząca ich nić pękła na zawsze; potem stopniowo przekonywała się, że istnieje i jest wyczuwalna, cienka jak włos, tak żywa, że chwilami Isabel niemal słyszała jej wibrację. Z jej strony nic się nie zmieniło: oceniała lorda Warburtona tak samo jak dawniej, nie widziała potrzeby jakiegokolwiek zmiany w stanie swoich uczuć, który wydawał jej się bardziej niż kiedykolwiek zadowalający. Ale z jego strony? Czy wciąż jeszcze wierzy, że Isabel mogłaby w jego życiu znaczyć więcej niż jakakolwiek inna kobieta? Czy pragnie odwoływać się do wspomnień tych kilku poufnych chwil wspólnie z nią przeżytych? Isabel zauważyła pewne oznaki potwierdzające to

przypuszczenie. Ale jakie żywił nadzieje, jakie rościł sobie prawa i w jaki sposób kojarzyły się one z niewątpliwie szczerym uwielbieniem dla biednej Pansy? Czy kocha się w żonie Gilberta Osmonda, a jeśli tak, jakiej pociechy spodziewa się po tej miłości? Jeżeli kocha się w Pansy, nie może być zakochany w jej macosze, a jeżeli kocha się w żonie Gilberta Osmonda, nie jest zakochany w jej pasierbicy. Ma więc wykorzystać swój wpływ, aby go skłonić do małżeństwa z Pansy, z całą świadomością, że on zrobi to raczej dla niej niż dla tego małego uroczego dziewczątka – czy takiej przysługi żąda od niej Gilbert? Tak w każdym razie Isabel widziała swoje zadanie od momentu, gdy w głębi serca stwierdziła, że dawny przyjaciel ze szczególnym upodobaniem wciąż jeszcze szuka jej towarzystwa. Myśl ta nie była przyjemna, raczej odrażająca. Isabel z rozpaczą zastanawiała się nad hipotezą, że lord Warburton udaje miłość do Pansy, powodowany innymi uczuciami czy też, można by powiedzieć, chcąc zachować inne nadzieje. Prędko uniewinniła go od tego zarzutu wyrafinowanej dwulicowości, wołała wierzyć, że lord Warburton działa w dobrej wierze. Ale jeśli durząc się w Pansy, ulega złudzeniu, nie jest to wiele lepsze, niż gdyby grał komedię. Isabel błąkała się wśród tych przykrych możliwości i w końcu zupełnie już nie widziała przed sobą drogi – każda ścieżka, która się przed nią otwierała, wydawała się okropna. Wreszcie wyrwała się z labiryntu, przetarła oczy, powiedziała sobie, że wyobraźnia podszeptuje jej bardzo niechwalebne myśli, a mąż – jeszcze gorsze. Lord Warburton jest z pewnością bezinteresowny, a dla niej zachował tylko tyle sentymentu, ile się godzi i ile ona sama mogłaby sobie życzyć. Będzie trwała w tym przekonaniu, póki rzeczywistość mu nie zaprzeczy i nie dostarczy dowodów bardziej przekonujących niż cyniczne domysły Osmonda. Jednakże decyzja ta nie przyniosła jej tego wieczoru spokoju, bo strachy nurtujące ją w głębi duszy czekały tylko na chwilę, gdy ustępowały inne myśli, żeby wypłynąć na powierzchnię. Isabel sama nie wiedziała, co je tego dnia na nowo zbudziło – może dziwne wrażenie, jakiego doznała po południu, że jej męża i madame Merle łączy porozumienie

bardziej bezpośrednio, niż mogła przypuszczać. Wrażenie to odżywało wciąż z nową siłą, a Isabel dziwiła się, że dawniej nic z tego nie spostrzegła. Poza tym niedawna krótka rozmowa z mężem była znamienym przykładem jego talentu do niszczenia wszystkiego, czego dotknął, oszpecania w jej oczach wszystkiego, na co spojrzał. Cóż z tego, że przedtem postanowiła dołożyć starań, by mu okazać lojalność, jeżeli każdy uczynek, którego Osmond od niej żądał, budził w niej sprzeciw już choćby dlatego, że to on tego żądał. Jak gdyby jego spojrzenie rzucało zły urok, obecność działała niszczycielsko, łaski przynosiły nieszczęścia. Czy zło tkwiło w nim samym, czy też w głębokiej nieufności, jakiej Isabel do niego nabrała? Ta nieufność była najbardziej niewątpliwym owocem ich krótkiego małżeńskiego pożycia; otwarła się między nimi przepaść i z dwóch jej brzegów spoglądali na siebie oczyma, które wyrażały bolesne rozczarowanie. Nigdy nie myślała, że może istnieć tego rodzaju sprzeczność, taka niezgodność, że najbardziej żywotne zasady jednego partnera budzą wzdrganie drugiego. Nie czuła się winna, nie próbowała oszukiwać, podziwiała i wierzyła. Pierwsze kroki stawiała z bezgraniczną ufnością i nagle zobaczyła perspektywę swojego życia jakby pomnożoną odbiciem w dwóch lustrach, wąską i mroczną drogę, zakończoną ślepym murem. Zamiast prowadzić na wyżyny szczęścia, z których można patrzeć na ścielący się u stóp świat z poczuciem wywyższenia i uprzywilejowania, osądzać ten świat, dokonywać w nim wyboru i współczuć mu – ścieżka ta zstępowała na niziny, w przyziemną krainę ograniczeń, w dół, do którego głosy innego życia, lżejszego i swobodniejszego dolatywały z góry, by spotęgować jeszcze bardziej dotkliwe poczucie odniesionej klęski. Głęboka nieufność do męża rzucała cień na całą jej wizję świata. Łatwo to uczucie nazwać, o wiele trudniej wytłumaczyć, tak bowiem było złożone i zawile, że dopiero po dłuższym czasie i wielu cierpieniach mogło dojrzeć do swej obecnej formy. W psychice Isabel cierpienie było zawsze stanem aktywnym; nie zlodowaceniem, nie drętwotą rozpacz, lecz burzą myśli, rozważań, reakcji na każdy nacisk. Pochlebiała sobie

jednak, że nie zdradziła się przed nikim, że nikt prócz samego Osmonda nie podejrzewa, jak zachwiana jest jej wiara. Osmond oczywiście wiedział i zdawało się chwilami, że go to cieszy. Zwątpienie zakradło się stopniowo i dopiero po roku współżycia, tak początkowo bliskiego, Isabel ogarnął niepokój. Odtąd mrok gęstniał, jak gdyby Osmond umyślnie, niemal złośliwie gasił lampy jedna po drugiej. Najpierw otaczał ją niewyraźny, przejrzysty zmierzch, w którym mogła dostrzec swoją ścieżkę. Potem ściemniało się z każdym dniem, a chociaż od czasu do czasu przeblyskiwało światło, pewne zakątki otwierającej się przyszłości ginęły w nieprzeniknionej czerni. Cienie te nie były wytworem jej umysłu, co do tego miała całkowitą pewność; ze wszystkich sił starała się być sprawiedliwa i bezstronna, dostrzegać czystą prawdę. Cienie były nieodłącznie związane z obecnością Osmonda, a może z niej rodziły się i wynikały. Nie chodziło o jakieś złe, nikczemne uczynki; nie oskarżała go o nic, prócz jednej rzeczy, której nie sposób uznać za występki. Nie odkryła jakiegoś niegodziwego czynu Osmonda, nie mogła mu zarzucić brutalności ani okrucieństwa – po prostu była przekonana, że Osmond jej nienawidzi. Tylko o to go obwiniała i nieszczęście polegało na tym, że nie było to przestępstwo, bo od występkę może umiałaby się bronić. Odkrył, że Isabel jest inna, nie taka, jak się spodziewał; z początku myślał, że ją odmieni, a ona też starała mu się przypodobać. Ale ostatecznie była wciąż tylko sobą, na to nie mogła nic poradzić; teraz już nie miałyby sensu udawać, przywdziewać maskę i kostium, bo Osmond znał ją i raz na zawsze osądził. Nie bała się go, nie przypuszczała, aby chciał ją skrzywdzić, jego niechęć do niej miała inny odcień. Prawdopodobnie nigdy nie da jej pretekstu do oskarżenia, nigdy nie weźmie na siebie roli winowajcy. Isabel, patrząc suchymi, osłupiałymi oczyma w przyszłość, widziała, że w ten sposób będzie nad nią górował. Ona z pewnością dostarczy mu wielu argumentów do oskarżenia, często pozwoli się przyłapać na błędzie. Chwilami prawie litowała się nad nim, bo chociaż nigdy nie oszukiwała go świadomie, rozumiała, jak bardzo go w

rzeczywistości zawiodła. W pierwszym okresie znajomości usuwała się w cień, pomniejszała własną osobowość, nie ukazywała wszystkiego, co w niej naprawdę tkwiło. Zachowywała się tak, ponieważ była pod niezwykłym urokiem jego osobowości, którą on starał się przedstawić jak najlepiej. Nie zmienił się teraz, nie łudził jej w ciągu tamtego roku, gdy zabiegał o jej względy, tak samo jak ona nie chciała jego okłamać. Ale widziała wtedy tylko jedną jego stronę, tak jak widzi się jedynie część tarczy księżyca, gdy pada nań cień ziemi. Teraz ukazał się w pełni, poznała całego człowieka. Przedtem niejako usunęła się, żeby mu zostawić swobodę ruchu, ale mimo to pomyliła się, biorąc część za całość.

Ach, urok był potężny. Dotychczas nie przestał działać; Isabel wciąż jeszcze wiedziała, na czym polega wdzięk Osmonda, jeśli on chce być miły. Chciał wówczas, gdy starał się o jej rękę, a ponieważ Isabel chętnie ulegała jego urokowi, nic dziwnego, że tak dobrze mu się to udawało. Odniósł zwycięstwo dlatego, że był wobec niej szczery; Isabel nigdy temu nie zaprzeczała. Uwielbiał ją – jak jej wyznał – ponieważ nigdy nie spotkał kobiety o równie wielkiej wyobraźni. Mogła to być prawda, bo w tamtym okresie Isabel wyobrażała sobie mnóstwo rzeczy, które nigdy nie istniały. Jej odurzone zmysły i pobudzona – ach, jakże bujna! – fantazja stworzyły tak cudowną wizję Gilberta Osmonda, że olśniona Isabel fałszywie zinterpretowała jego charakter. Połączenie pewnych okoliczności złożyło się na potężne wrażenie i dopatrzyła się w Osmondzie postaci wyjątkowej. Był biedny i samotny, a zarazem wzniosły – to ją zainteresowało i dostrzegła dla siebie pożądane możliwości. Jakieś nieuchwytnie piękno opromieniało jego osobę. Jednocześnie widziała, że Osmond jest niezaradny i bezsilny, ale te jego wady budziły w niej tkliwość, która była wykwitem szacunku. Przypominał sceptycznego podróżnika, który przechadza się po wybrzeżu, czekając na odpływ i spoglądając ku morzu, ale nie decyduje się odbić od brzegu. W tym właśnie upatrywała szansę dla siebie. Ona popchnie jego łódź na wielkie wody, stanie się dla niego opatrnością, miłość połączy z dobrym uczynkiem. Bo naprawdę kochała go, ofiarowała mu siebie z lękiem, ale zarazem

w uniesieniu; kochała go częściowo za to, co w nim widziała, ale w znacznej części także za to, czym mogła go obdarzyć i czym wzbogacić dar z własnej osoby. Kiedy wspominała namiętność, która ją opanowała w tamtych kilku tygodniach, dostrzegała w swoich uczuciach instynkt macierzyński – szczęście kobiety świadomej, że coś cennego wniosła, że przyszła z pełnymi rękami. Teraz rozumiała, że nigdy by nie wyszła za Osmonda, gdyby nie miała majątku. I na tę myśl musiała wspomnieć biednego pana Touchetta śpiącego pod angielską darnią, dobroczynnego sprawcę jej nieszczęścia. Bo taka była prawda. Pieniądze stały się dla niej brzemieniem, ciążyły jej na sumieniu i zapragnęła przerzucić ciężar na kogoś innego, lepiej przygotowanego do dźwigania tej odpowiedzialności. Nic nie mogło przynieść jej większej ulgi niż decyzja, by podzielić się majątkiem z człowiekiem obdarzonym najszlachetniejszym w świecie gustem. Chyba że ufundowałyby szpital? Nic lepszego nie mogła zrobić ze swoimi pieniędzmi, a żadna dobroczynna instytucja nie interesowała jej tak gorąco jak Gilbert Osmond. On użyje majątku w sposób, który uszlachetni w jej oczach te pieniądze i oczyści je z nalotu wulgarności, jaki osiada nieuchronnie na takim podarunku losu jak nieoczekiwany spadek. Nie było nic chlubnego w odziedziczeniu siedemdziesięciu tysięcy funtów szterlingów; chlubny był tylko gest pana Touchetta, który jej zapisał taką fortunę. Ale wychodząc za Osmonda i wnosząc mu w posagu tę sumę, ona też uczyni gest szlachetny i chlubny. Co prawda mniej będzie w tym chluby dla niego, ale to już jego sprawa; Osmond, skoro ją kocha, nie może jej mieć za złe, że jest bogata. Miał zresztą odwagę przyznać, że to go cieszy.

Policzki Isabel płonęły, kiedy zadawała sobie pytanie, czy rzeczywiście wyszła za mąż, kierując się sztuczną teorią, która jej kazała użyć pieniędzy w sposób szlachetny i chwalebny. Ale zdobyła się dość szybko na odpowiedź, że to jest tylko połowa prawdy. Działała pod wpływem żarliwego uczucia, które nią zawładnęło, przeświadczenia o głębi miłości Osmonda, zachwyty nad jego osobistymi urokami. Górował nad wszystkimi jej znajomymi. Ta pewność panowała nad jej życiem przez kilka

miesiący, dotychczas Isabel zachowała jej dość, by wierzyć, że nie mogła postąpić inaczej. Najświetniejszy – w tym sensie, że najbardziej wyrafinowany – z ludzi, jakich w życiu spotkała, do niej należał, a zrozumienie, że wystarczy, aby wyciągnęła rękę i wzięła tę swoją własność, przyjęła początkowo w nastroju niemal nabożnym. Nie pomyliła się co do piękna jego umysłowości, znała ją teraz doskonale. Żyła z nią, można by powiedzieć: „w niej”, stała się niejako jej mieszkaniem. Dała się złapać, ale trzeba było mocnej ręki, by ją pochwycić; ta refleksja miała może pewną wartość. Nigdy nie zetknęła się z inteligencją bardziej giętką, lepiej rozwiniętą, tak dobrze przygotowaną do imponujących wyczynów; z tym subtelnym narzędziem miała się zmierzyć. Ogarniała ją bezgraniczna rozpacz na myśl, jak wielkie musiało być rozczarowanie Osmonda. W tym świetle można było się prawie dziwić, że nie znienawidził jej jeszcze bardziej. Doskonale pamiętała pierwszy sygnał z jego strony – jakby dzwonek przed podniesieniem kurtyny w prawdziwym dramacie ich życia. Pewnego dnia zarzucił jej, że ma zbyt wiele teoretycznych zasad i że musi ich się pozbyć. Kiedyś przed ślubem już coś podobnego powiedział, ale wówczas nie zwróciła na to uwagi, przypomniała sobie te jego słowa dopiero wtedy, gdy je powtórzył. Tym razem nie mogła ich zlekceważyć, wyrażały jego wolę. Pozornie nic w nich nie było alarmującego, lecz w świetle pogłębianych doświadczeń nabrały doniosłego sensu. Osmond naprawdę tak myślał, wolałby, żeby jego żona nie miała nic własnego prócz ładnej powierzchowności. Isabel wiedziała, że ma za wiele zasad: miała ich więcej, niż Osmond przypuszczał, znacznie więcej, niż mu odkryła, kiedy ją poprosił o rękę. Nie była obłudna, Osmond rzeczywiście bardzo jej się podobał. Miała za dużo zasad jak na jedną osobę, ale czyż nie po to właśnie zawiera się związek małżeński, żeby je z kimś podzielić? Nie sposób wyrwać ich z korzeniami, chociaż można oczywiście stłumić je, uważać, by się z nimi nie zdradzić; gdyby jej miał za złe tylko poglądy, byłaby to drobnostka. Isabel złożyłaby je chętnie w ofierze, żeby zyskać radosną świadomość, że jest za to kochana. Osmondowi jednak

chodziło o coś więcej, o całą jej osobowość, o jej charakter, rodzaj uczuciowości, sposób rozumowania. To wszystko zataiła i on sam odkrył to dopiero wtedy, gdy drzwi niejako zamknęły się i stanął twarzą w twarz z prawdziwą Isabel. Cały jej stosunek do świata potraktował jak osobistą zniewagę. A przecież – Bóg świadkiem – był to stosunek pokorny i uступliwy. Zadziwiająca, że od początku nie zorientowała się, jak bardzo odmienna jest jego postawa. Była pewna, że Osmond jest człowiekiem o szerokich horyzontach, światłym wcieleniem prawości i wzorem dżentelmena. Czyż sam nie zapewniał jej, że nie ma żadnych uprzedzeń, nie uznaje głupich ograniczeń i staroświeckich przesądów? Czyż nie wyglądał na człowieka oddychającego swobodnie powietrzem szerokiego świata, obojętnego na małostkowe względy, ceniącego tylko prawdę i wiedzę, przekonanego, że dwoje inteligentnych ludzi może tych wartości szukać wspólnie i niezależnie od tego, jak im się to powiedzie, znaleźć szczęście przynajmniej w samym poszukiwaniu. Mówił jej, że szanuje konwenanse, ale to była w pewnym sensie szlachetna deklaracja. Sądząc, że przez konwenanse rozumie miłość, harmonię, porządek i przyzwoitość, wszelkie uroczyste obrzędy życia, Isabel najchętniej przyznawała mu słuszność i nie widziała nic złowieszczonego w tej przestrodze. Ale po kilku miesiącach, gdy za jego przewodem zaszła dalej i wprowadził ją do wnętrza domu, który zamieszkiwał, nagle spostrzegła, gdzie się znalazła.

Przeżywała wciąż na nowo tamten moment, przerażenie, z jakim oceniła rozmiary miejsca dla niej wyznaczonego. Między tymi czterema ścianami miała odtąd żyć, one ją zamknęły na resztę jej dni. To był dom ciemności, milczenia, duszącej ciasnoty. Piękna umysłowość Osmonda nie promieniowała światłem ani ciepłem, raczej spoglądała z wysoka przez małe, wąskie okienko i zdawała się szydzić z Isabel. Oczywiście nie było to fizyczne cierpienie, na które mogłaby jakoś zaradzić. Mogła wchodzić czy wychodzić do woli, mąż dawał jej swobodę i okazywał nienaganną uprzejmość. Przerażało ją, jak serio sam siebie traktował. Pod powierzchnią kultury, inteligencji, dobrych manier, życzliwości, swobody i



znajomości życia krył się, niby zmija w grządce kwiatów, krańcowy egotyzm. Isabel naturalnie też traktowała go serio, ale nie do tego stopnia. Jakżeby mogła, zwłaszcza gdy go bliżej poznała? Chciał, żeby go uważała za to, za co sam się miał, czyli za pierwszego dżentelmena Europy. Rzeczywiście z początku przyznawała mu tę rangę, dlatego za niego wyszła. Ale kiedy zrozumiała, czego mąż od niej oczekuje, musiała się cofnąć; układ zawierał warunki, pod którymi nie była gotowa złożyć podpisu – wymagał władczej pogardy dla wszystkich innych ludzi, z wyjątkiem kilku wysoko postawionych osób, które budziły zazdrość Osmonda, i dla wszystkiego w świecie prócz kilkunastu jego własnych idei. Gdyby na tym się skończyło, Isabel może by za nim nawet tak daleko poszła; wskazał jej bowiem tyle nikczemności i nędzy życia, otworzył jej oczy tak szeroko na głupotę, niegodziwość, ignorancję ludzką, że świat wydał jej się odrażająco wulgarny i uznała za cnotę chęć trzymania się od niego z dala, by nie splamić się jego brudem. Ale, jak się przekonała, zdaniem Osmonda należy poświęcić życie wyłącznie temu podłemu zdeprawowanemu światu, nie wolno go spuszczać z oczu, nie po to, aby go oświecić, nawrócić czy zbawić, ale by pozyskać od niego uznanie własnej wyższości. A więc jednocześnie gardził światem i przyjmował jego prawa. Mówił jej o swoich wyrzeczeniach, o obojętności, o odtrąceniu wszystkiego, co zazwyczaj pomaga osiągnąć sukces; słuchała tego ze szczerym podziwem. Obojętność na rzeczy tego świata wydawała jej się wspaniałym dowodem szlachetnej niezależności. Ale Osmond wcale nie był obojętny, nie znała człowieka, który by tak nieustannie jak on oglądał się na innych ludzi. Isabel sama nigdy nie tała, że świat ją bardzo interesuje i że namiętnie lubi studiować naturę ludzką. Umiałyby wszakże zrezygnować z pewnych upodobań, żeby poświęcić się osobistemu życiu, gdyby partner potrafił ją przekonać, że na tej zamianie naprawdę coś zyska. Tak przynajmniej teraz myślała i wydawało jej się to łatwiejsze niż zabieganie o względy świata, które tak pochłaniało Osmonda.

Osmond nie mógł bez tego żyć i nigdy naprawdę bez tego się

nie obywatel; zerkał przez okno ku światu, nawet gdy zdawał się całkowicie od niego odgradzony. Miał swój ideał, podobnie jak Isabel, która starała się pewne ideały hodować w duszy, ale trudno pojąć, że dwoje ludzi może szukać wartości w tak zupełnie odmiennych dziedzinach. Jego ideałem było życie na wysokiej stopie, dystygowane i arystokratyczne – takie, jakie we własnym mniemaniu zawsze prowadził, przynajmniej w zasadzie. Nigdy ani na godzinę od tego nie odstąpił i wstydziłby się do śmierci, gdyby mu się takie odstępstwo zdarzyło. Z tym także Isabel mogła się zgodzić, tyle że te same określenia wiązały się w jej umyśle z innymi zupełnie wyobrażeniami i skojarzeniami. W jej pojęciu życie arystokratyczne oznaczało po prostu połączenie wielkiej wiedzy z wielką wolnością – wiedza daje poczucie obowiązku, a wolność darzy radością. Dla Osmonda była to kwestia form, świadomej pozy. Lubił wszystko, co dawne, uświęcone, przekazane od pokoleń; Isabel te rzeczy także kochała, ale chciała nimi rozporządzać według własnego uznania. Osmond czcił bez zastrzeżeń tradycję; powiedział kiedyś, że szczęśliwy, kto ją odziedziczył, bo to najcenniejszy w świecie skarb, a kto jej nie ma, powinien sam niezwłocznie stworzyć ją sobie. Zrozumiała, że ją uważa za osobę bez tradycji, a sobie przypisuje pod tym względem lepsze wyposażenie; nigdy jednak nie dowiedziała się, z jakiego źródła czerpie swoje tradycje. A miał ich wiele, całą kolekcję, to było niewątpliwe i to Isabel wkrótce zaczęła pojmować. Przywiązywał ogromną wagę do postępowania zgodnie z nimi i tego samego wymagał od żony. Isabel żywiła dość mgliste przeświadczenie, że tradycje, które mają obowiązywać inne osoby niż ich prawowitych spadkobierców, muszą reprezentować jakieś naprawdę wyższe wartości; mimo to zgadzała się z życzeniem męża, aby ona też maszerowała w rytm dostojnej muzyki płynącej z nieznanymi okresami przeszłości Osmonda; ona, która dawniej posuwała się krokiem tak swobodnym, skocznym, zbaczającym z utartych ścieżek, niepodobnym do uroczystej procesji! Pewne rzeczy trzeba robić, pewne postawy trzeba przybierać, pewnych ludzi trzeba znać, innych natomiast nie należy. Kiedy Isabel

spoznała, że zamykają się wokół niej te sztywne ramy, udrapowane co prawda malowniczymi tapiseriami, doznała wrażenia ciemności i duszności, o którym już wspominałem; zdawało jej się, że otacza ją woń pleśni i rozkładu. Oczywiście próbowała stawiać opór, najpierw żartobliwie, czule, później, gdy napięcie wzrosło, żarliwie, namiętnie, wymownie. Broniała sprawy wolności, swobody postępowania według własnych chęci, bez troski o to, jak ich życie z zewnątrz wygląda i jak będzie przez innych sklasyfikowane, broniła innych instynktów i pragnień, zupełnie innego ideału.

Wtedy mąż, urażony jak nigdy dotychczas, objawił w całej pełni swoją osobowość i zaprotestował. Na wszystkie argumenty żony odpowiadał pogardą – i zrozumiała, że on się za nią okropnie wstydzi. Co myślał o niej? Czy wydawała mu się pospolitą, nędzną plebejuską? Dała mu niezbita dowody, że jest istotą bez tradycji! Nie spodziewał się, że Isabel okaże taki brak polotu; jej poglądy godne są radykalnego dziennikarza albo unitariańskiego pastora. Najbardziej oburzyło go, gdy w końcu zrozumiał, że Isabel ma w ogóle własny umysł. Jej umysł powinien należeć do niego, stanowić niejako mały ogródek włączony do rozległego parku. On grabiłby tam delikatnie ziemię i podlewał kwiatki, pieląłby grządki, a od czasu do czasu zbierałby bukiet. Byłby to ładny dodatek do jego i tak ogromnych włości. Wcale nie życzył sobie, żeby jego żona była głupia. Przeciwnie, Isabel spodobała mu się dzięki swej bystrości. Spodziewał się jednak, że jej inteligencja będzie działała wyłącznie na jego korzyść; nie miała to być głowa pusta, ale otwarta, by chłonąć jak najwięcej tego, co on w nią zechce włożyć. Oczekiwał, że żona będzie czuła to samo co on i poprzez niego, podzieli jego opinie, ambicje i gusta; Isabel przyznawała, że nie są to nadmierne żądania ze strony człowieka tak wykształconego, małżonka tak – przynajmniej początkowo – czulego. Ale pewnych rzeczy nie mogła zaakceptować. Przede wszystkim wydawały jej się obrzydliwie brudne. Nie była córką purytanów, lecz bądź co bądź szanowała takie cnoty jak czystość, a nawet przyzwoitość. Okazało się, że Osmond myśli inaczej; niektóre jego przekonania

wywoływały w Isabel odruch wstrętu – miała ochotę zgarnąć fałdy spódnicy wokół swoich nóg. Czy wszystkie kobiety mają kochanków? Czy wszystkie kłamią, a nawet najcnotliwsze można mieć, to tylko kwestia ceny? Czy rzeczywiście na palcach można policzyć te, które nie zdradzają mężów? Słyszając te twierdzenia, Isabel gardziła nimi jak małomiasteczkowymi plotkami; pogarda ta zachowała świeżość w bardzo skażonej atmosferze – skazą naznaczona była hrabina Gemini; czy Osmond uważał swoją siostrę za typową przedstawicielkę jej płci? Ta dama często kłamała i oszustwa jej nie ograniczały się do słów. Wystarczyło, że takie fakty istnieją wśród doświadczeń Osmonda, nie należy ich na domiar złego uogólniać. Pogarda, z jaką odniosła się do tych twierdzeń, zaalarmowała go. Sam był pełen pogardy, jego żona musi być także zdolna do tego uczucia, to zupełnie słuszne; ale jeśli gorącym ostrzem wzgardy piętnuje jego własne wyobrażenia o życiu, sytuacja staje się groźna; tego niebezpieczeństwa nie przewidział. Doszedł do wniosku, że powinien był zahamować jej emocjonalne reakcje, zanim nastąpił ten wybuch. Isabel dobrze widziała, jak krew mu uderzyła do głowy, kiedy spostrzegł, że niepotrzebnie się przed nią odsłonił. Żona, która wywołuje takie emocje, nie zasługuje na nic prócz nienawiści.

Była wewnętrznie przeświadczona, że uczucie nienawiści, które pierwotnie służyło mu jako azyl i pokrzepienie, z czasem stało się głównym jego zajęciem i pocięchą. Było to uczucie głębokie, bo szczere – odkrył, że Isabel mogłaby w końcu obyć się bez niego. Jeśli ją samą ta myśl zaskoczyła i przerażyła jak pewna forma niewierności, jak dowód, że ona też może ulec skażeniu, o ileż bardziej musiała wstrząsnąć nim? Wyglądało to po prostu tak: gardził nią, istotą bez tradycji, o ciasnych horyzontach unitariańskiego pastora. A tymczasem biedna Isabel nigdy nie mogła zrozumieć unitarianizmu! Z tą pewnością żyła od tak dawna, że już straciła rachubę czasu. Co dalej, jaka przyszłość ich czeka? Nieustannie zadawała sobie to pytanie. Co robi Osmond, co powinna ona zrobić? Co się dzieje, gdy mężczyzna nienawidzi swojej żony? Ona nie nienawidziła go, co do tego nie miała

wątpliwości, bo często przyłapywała się na gorącej chęci sprawienia mu jakiejś miłej niespodzianki. Często jednak ogarniał ją lęk i wyrzucała sobie – jak już wiemy – że na samym początku oszukała Osmonda. W każdym razie byli niedobranym małżeństwem i życie stało się nad wyraz przykre. Aż do tego przedpołudnia nie zamienili ze sobą prawie przez tydzień ani słowa; od Osmonda wiało chłodem jak od wygasłego kominka. Wiedziała, że jej mąż ma dodatkowy powód do niezadowolenia: obecność Ralpa w Rzymie irytowała go. Uważał, że Isabel za często widuje się z kuzynem, powiedział jej przed tygodniem, że nie wypada, aby odwiedzała go w hotelu. Znalazłby z pewnością mocniejsze słowa, gdyby oskarżenie Ralpa, tak ciężko chorego, nie wydawało się już zanadto brutalne, ale konieczność wstrzymania się od obelg pogłębiła jeszcze bardziej jego irytację. Isabel czytała to z jego twarzy jak godzinę z tarczy zegara; doskonale zdawała sobie sprawę, że okazując zainteresowanie kuzynowi, podsyca wściekłość Osmonda, jakby wymknęła mu się z zamkniętego na klucz pokoju – bo chętnie by ją zamknął, gdyby mógł. Szczerze wierzyła, że nie chce męża prowokować, ale nie mogła przecież udawać, że Ralph jest jej całkowicie obojętny. Myślała, że Ralph umiera i że nigdy więcej go nie zobaczy, toteż zbudziła się w niej tkliwość, której istnienia w swoim sercu dotychczas nie podejrzewała. Nic jej w tym okresie nie cieszyło, nic nie mogło sprawić przyjemności kobiecie, która odkryła, że zmarnowała życie. Ciężar nieustannie przygniatał serce, wszystko dokoła zszarzało. Ralph zjawił się jak lampa w mroku; w tych godzinach, gdy siedziała przy chorym kuzynie, ból jej osobistej rany zmieniał się w ból nad jego losem. Ralph stał się jej bliski jak brat. Nigdy nie miała brata, ale gdyby istniał i gdyby ona była nieszczęśliwa, a on umierający, kochałaby go właśnie tak jak teraz Ralpa. O, tak, Gilbert był zazdrosny, i nie bez powodu w tym przypadku; nie wydawał się ułagodzony, chociaż składał Ralphowi regularnie półgodzinne wizyty. Nie mówił jej nic więcej o Ralpie, nie o to miała do niego żal; imię kuzyna nie padło między nimi ani razu przez ten tydzień. Po prostu Ralph był wielkoduszny, czego

nie mogła powiedzieć o swoim mężu. W rozmowach z Ralphem, w jego uśmiechu, w samym fakcie jego obecności w Rzymie było coś, co rozszerzało zakłęte koło, w którym ją zamknęto. Przy nim czuła, że jest na świecie wiele dobra, rozumiała, co mogłaby mieć. Ralph nie był mniej inteligentny od Osmonda – nie mówiąc już o tym, że był lepszy. Toteż wydało jej się, że składa mu jakąś należną ofiarę, ukrywając przed nim swoje nieszczęście. Nie szczydziła w tym celu starań, w rozmowach z Ralphem wciąż rozwieszała zasłony i ustawiała parawany. Miała w pamięci żywy obraz – nie zdążył zniknąć – obraz tamtego ranka we florenckim ogrodzie, kiedy kuzyn ostrzegał ją przed Osmondem. Wystarczało, żeby przymknęła oczy, a widziała tamto miejsce, słyszała głos Ralpha, czuła ciepło i zapach powietrza Florencji. Skąd on wiedział? Co za tajemnicza, przedziwna mądrość! Równie inteligentny jak Gilbert? Nie, o wiele inteligentniejszy, skoro umiał tak trafnie osądzić Osmonda. Gilbert nigdy nie sięgał tak głęboko, nie oceniał tak słusznie. Wtedy powiedziała Ralphowi, że on w każdym razie nigdy nie dowie się, czy miał rację: teraz bardzo starała się dotrzymać słowa. Zadanie to pochłaniało ją, wykonywała je z uniesieniem, z przejęciem, niemal jak obowiązek religijny. Kobiety czasem wynajdują osobliwe praktyki religijne, a Isabel wyobrażała sobie, że grając przed kuzynem komedię, spełnia wobec niego dobry uczynek. Może byłby to rzeczywiście dobry uczynek, gdyby Ralph chociaż na chwilę dał się zwieść. Wobec tego gra polegała na tym, aby mu wmówić, że ją kiedyś boleśnie zranił, że powinien się tego wstydzić, ale – ponieważ Isabel jest wspaniałomyślna, a on ciężko chory – nie ma do niego żalu i świadomie powstrzymuje się od świecenia mu w oczy swoim szczęściem. Ralph, leżąc na kanapie, uśmiechał się ukradkiem, dostrzegając tę dziwną formę delikatności, ale przebaczał jej, że mu przebaczała. Nie chciała zadać mu bólu, przyznając się do swojej klęski, to było najważniejsze, mniejsza z tym, że dowiadując się od niej prawdy, mógł doznać pewnej osobistej satysfakcji.

Teraz siedziała w cichym salonie długo w noc, chociaż ogień

dawno zgasł na kominku. Nie czuła chłodu, trawiła ją gorączka. Słyszała, jak zegary wybijają pierwszą, potem następne godziny nowego dnia, ale nie mierzyła czasu swojego nocnego czuwania. Umysł jej, osaczony tysiącem obrazów, był tak rozbudzony, że nie zaznałaby więcej spoczynku, składając głowę na poduszce niż w tym fotelu, wszędzie ścigałyby ją te same wizje. Jak już wiemy, nie widziała w swoim postępowaniu nic wyzywającego; dała najlepszy dowód, spędziła pół nocy na próbach wmówienia sobie, że może wyswatać małą Pansy tak po prostu, jak wrzuca się list do skrzynki pocztowej.

Kiedy zegar wybił czwartą, Isabel wstała, żeby wreszcie iść do łóżka, bo lampa dawno zgasła, a świece wypaliły się do ostatka. Ale nawet wtedy raz jeszcze zatrzymała się na środku pokoju wpatrzona w zapamiętany obraz – w wizję swojego męża i madame Merle bezwiednie i poufnie ze sobą połączonych.

## ROZDZIAŁ XLIII

Trzy dni później zabrała Pansy na wielkie przyjęcie; Osmond, który nigdy nie bywał na balach, nie eskortował żony i córki. Pansy jak zwykle z radością wybierała się na tańce; nieskłonna do uogólnień, nie sądziła, aby zakazując sobie szczęścia miłości, musiała wyrzekać się zabaw. Gdyby grała na zwłokę lub liczyła, że przechytrzy ojca, musiałaby przewidywać sukces. Isabel nie wydawało się to prawdopodobne; myślała, że Pansy raczej postanowiła okazać się bardzo dobrą córką. Nigdy nie zdarzyła jej się równie stosowna okazja, a Pansy ceniła należycie każdą szansę. Zachowywała się równie uprzejmie jak zawsze i troskliwie strzegła zwiewnej sukni; mocno trzymała w ręku bukiet i po raz dwudziesty przeliczyła w nim kwiatki. Isabel przy niej czuła się stara, jakby wieki upłynęły od dni, gdy sama z takim podnieceniem przygotowywała się na bal. Pansy cieszyła się powodzeniem i nigdy nie brakowało jej tancerzy, wkrótce więc po wejściu na salę powierzyła swój bukiet macosze, która nie tańczyła. Strzegąc depozytu, Isabel ujrzała po chwili przed sobą Edwarda Rosiera, którego twarz zamiast zwykłego miłego uśmiechu miała wyraz niemal wojowniczej determinacji. Zmiana w jego postawie może by ją ubawiła, gdyby Isabel nie wyczuwała, jak ciężkie jest w gruncie rzeczy położenie młodego człowieka – zapach heliotropu o wiele bardziej do niego pasował niż woń strzelniczego prochu. Przez chwilę patrzył na nią dość dzikimi oczyma, jakby chciał ostrzec, że jest groźny, potem przeniósł wzrok na bukiet. Kiedy mu się przyjrzał, oczy jego złagodniały, i powiedział prędko:

- Same bratki! To musi być jej bukiet!
- Isabel uśmiechnęła się przyjaźnie.
- Tak. Dała mi go do potrzymania.
- Czy ja mógłbym go przez chwilę potrzywać? – spytał nieborak.



– Nie, nie ufam panu. Boję się, że pan by mi go już nie oddał.  
– Sam nie jestem tego pewny. Może uciekłbym z nim z tego domu. Ale czy nie mógłbym dostać choćby jednego kwiatka?

Isabel zawahała się, w końcu jednak podała mu z uśmiechem bukiet.

– Niech pan sobie wybierze. Robię dla pana rzecz okropną!  
– Ach, jeśli nie chce pani zrobić dla mnie nic więcej! –  
wykrzyknął pan Rosier, który wcisnąwszy monokl w oko, wybierał z namysłem swój kwiat.

– Tylko niech go pan nie wkłada do butonierki! – ostrzegła. –  
Broń Boże!

– Chciałbym, żeby go zobaczyła. Odmówiła mi, gdy ją prosiłem do tańca, ale chciałem ją przekonać, że mimo to wierzę w nią.

– Chodzi o to, żeby pan nie pokazywał całemu światu. Ojciec zabronił jej tańczyć z panem.

– Czy to już wszystko, co pani może dla mnie zrobić?  
Oczekiwałem od pani czegoś więcej – powiedział młody człowiek tonem subtelnej aluzji. – Znamy się od tak dawna, od dni niewinnego dzieciństwa!

– Niech pan mnie tak nie postarza! – cierpliwie odparła Isabel. – Często pan o tym przypomina, a ja nigdy się nie wypieram starej znajomości, ale muszę panu wyznać, że odmówiłabym z miejsca, gdyby pan mnie kiedykolwiek zaszczycił prośbą o rękę.

– O, pani mnie nie ceni! Niech pani powie wprost, że jestem w pani oczach paryskim lekkoduchem.

– Bardzo pana cenię, ale nie kocham się w panu. Chcę przez to powiedzieć, oczywiście, że nie kocham się w panu jako kandydacie na męża Pansy.

– A więc tak! Rozumiem. Pani lituje się nade mną, to wszystko. – Edward Rosier rozejrzał się niespiesznie wokół, przez swoje pojedyncze szkielek. Był zaskoczony, że wszyscy nie są nim bardziej zachwyceni; duma nie pozwoliła mu jednak zdradzić się, że ten brak uznania wydaje mu się powszechny.

Isabel przez chwilę milczała. Jego sposób bycia i wygląd nie miał godności głębokiej tragedii; między innymi przyczyniało się do tego szkiełko w oku. W końcu jednak ogarnęło ją wzruszenie; jej własne nieszczęście miało coś wspólnego z cierpieniem młodego Rosiera i nagle jaśniej niż dotychczas rozpoznała, chociaż w niezbyt romantycznej postaci, najbardziej rozczulające zjawisko w świecie: młodzieńczą miłość walczącą z przeciwnościami.

– Czy pan naprawdę byłby dla niej bardzo dobry? – spytała cicho.

Nabożnie spuścił oczy i podniósł do ust ściśnięty w dwóch palcach kwiatek. Potem spojrział na nią.

– Pani lituje się nade mną. Ale czy nie lituje się pani odrobinę także nad nią?

– Nie wiem. Nie jestem pewna. Ona zawsze będzie cieszyła się życiem.

– Zależy, co pani życiem nazywa – odparł Edward Rosier. – Nie będzie cieszyła się, znosząc tortury.

– Nic podobnego jej nie czeka.

– Miło mi to słyszeć. Ona wie, czego chce. Przekona się pani.

– Myślę, że wie. Nigdy nie odmówi posłuszeństwa ojcu. Ale właśnie tu idzie – dodała Isabel. – Muszę pana prosić, żeby się pan oddalił.

Rosier ociągał się, dopóki Pansy, wsparta na ramieniu tancerza, nie ukazała się w polu widzenia; stał w miejscu dość długo, żeby spojrzeć jej w twarz. Potem odszedł z podniesioną głową, a sposób, w jaki złożył tę ofiarę na ołtarzu konieczności, przekonał Isabel, że jest naprawdę bardzo zakochany.

Rzadko zdarzało się, by taniec zostawił jakieś ślady nieładu czy zmęczenia na stroju czy w wyglądzie Pansy; wróciła świeża i chłodna; dopiero po dłuższej chwili wzięła z rąk macochy swój bukiet. Isabel zaobserwowała, że Pansy przeliczyła kwiaty, i pomyślała, że w grę wchodzi siły głębsze, niż jej się wydawało. Pansy musiała widzieć wycofującego się Rosiera, ale nie wspomniała o nim, mówiła tylko o partnerze, który skłoniwszy się, odszedł, o muzyce, o posadzce, wyjątkowo niemiłym przypadku

rozdarcia sukni; mimo to Isabel była pewna, że Pansy zauważyła brak kwiatka i wiedziała, kto go zabrał; świadomość ta jednak nie wpłynęła na uprzejmość, z jaką odpowiedziała na zaproszenie następnego tancerza. Wyćwiczono ją w zachowywaniu doskonałych manier nawet w chwilach ostrego napięcia. Dała się poprowadzić do tańca spłonionemu młodzieńcowi, tym razem nie rozstając się z bukietem. W kilka minut potem Isabel zobaczyła lorda Warburtona przesuwającego się przez tłum. Zbliżył się i powitał ją; nie widzieli się od poprzedniego wieczoru. Rozejrzał się wkoło i spytał:

– A gdzie jest śliczna panienka? – Miał nieszkodliwy zwyczaj określania w ten sposób panny Osmond.

– Tańczy – odpowiedziała Isabel – zaraz ją pan tu gdzieś na sali zobaczy.

Patrząc na tancerzy, w końcu spotkał wzrok Pansy.

– Patrzy na mnie, ale nie chce mnie zauważyć – stwierdził. – Pani nie tańczy?

– Jak pan widzi, podpieram ściany.

– Raczy pani ze mną zatańczyć?

– Dziękuję, nie. Wolę, żeby pan zatańczył ze śliczną panienką.

– Jedno nie przeszkadza drugiemu... zwłaszcza że panienka jest zajęta.

– Nie do wszystkich tańców, może pan sobie zarezerwować któryś z następnych. Ona tańczy bez wytchnienia, tym lepiej, że pan będzie partnerem jeszcze niezmęczonym.

– Pięknie tańczy – powiedział lord Warburton, wodząc oczyma za małą Pansy. – No, nareszcie! – dodał. – Obdarzyła mnie uśmiechem. – Stał przed nią, przystojny, swobodny, pełen godności, a Isabel nie po raz pierwszy zastanawiała się, jakie to dziwne, że człowiek tej miary interesuje się śliczną panienką. Ani dziewczęcy wdzięk małej Pansy, ani uprzejmość i miłe usposobienie lorda Warburtona, nawet jego nieustanna i żywa potrzeba rozrywek – nic nie mogło wytłumaczyć tej zagadki. – Chętnie bym z panią zatańczył – powiedział, zwracając się do niej

– ale jeszcze chętniej z panią porozmawiam.

– Tak, to lepszy pomysł, bardziej godny pańskiej rangi. Mąż stanu nie powinien wirować w walcu.

– Niech pani nie będzie taka okrutna! Dopiero co namawiała mnie pani, żebym zatańczył z panną Osmond.

– Ach, to zupełnie inna sprawa. Jeśli pan z nią zatańczy, będzie to wyglądało na uprzejmość, jakby pan robił to dla jej przyjemności. Ale tańcząc ze mną, wyglądałby pan na człowieka szukającego własnej przyjemności.

– A czyż nie mam prawa do zabawy?

– Nie, skoro w pana ręku są losy Imperium Brytyjskiego.

– Do licha z Imperium Brytyjskim! Pani zawsze z niego kpiła.

– Niech się pan zabawi rozmową ze mną – powiedziała Isabel

– Nie jestem pewny, czy to będzie lekka rozrywka. Pani jest zbyt sarkastyczna. Muszę się wciąż bronić. A dzisiaj wydaje mi się bardziej niż zwykle niebezpieczna. Na pewno nie chce pani tańczyć?

– Nie mogę opuścić tego miejsca. Pansy musi mnie tutaj znaleźć, gdy wróci.

Milczał chwilę.

– Pani jest niezwykle dobra dla niej – powiedział nagle.

Isabel uśmiechnęła się, trochę zaskoczona.

– Czy wyobraża pan sobie, że mogłoby być inaczej?

– Nie, rzeczywiście nie. Wiem, jak ona każdego umie oczarować. Ale pani dla niej bardzo dużo zrobiła.

– Wprowadzam ją w świat – wciąż z uśmiechem odparła Isabel – i staram się, żeby była stosownie ubrana.

– Musiała wiele skorzystać na obcowaniu z panią. Rozmowy, pani rady przyczyniły się do jej rozwoju.

– No tak, jeśli nawet nie jest różą, kwitnie obok niej. – Roześmiała się, a lord Warburton zawtórował jej, ale na jego twarzy malowała się troska, która nieco zaćmiewała wesołość.

– Wszyscy staramy się być możliwie jak najbliżej niej –

powiedział po chwili wahania.

Isabel odwróciła głowę; czekała niecierpliwie na przyjście Pansy, która przerwie im rozmowę. Jak wiemy, bardzo lubiła lorda Warburtona, wydawało jej się, że jest nawet miłszy, niżby wynikało z wszystkich jego zalet; jego przyjaźń była czymś w rodzaju zabezpieczenia na wypadek nieokreślonych kłopotów, jak solidny depozyt w banku. Nabierała otuchy, kiedy on był w pokoju; uspokajała się, gdy wchodził, a dźwięk jego głosu przypominał jej dobrodziejstwa przyrody. Mimo to chciała, żeby zachował pewien dystans, nie powinien zbyt liczyć na jej życzliwość. Lękała się i unikała tego, nie życzyła sobie zbyt bliskości lorda Warburtona. Czowała, że jeśli on przekroczył pewną granicę, wybuchnęłaby gniewem i poprosiła, żeby nie zapominał o stosownym dystansie. Pansy wróciła z nowym rozdarciem w sukni, nieuchronną konsekwencją pierwszego; pokazała je Isabel, patrząc na nią zasmuconymi oczyma. Za wielu było wśród panów wojskowych w mundurach i w okropnych ostrogach, zgubnych dla panińskich sukien. Raz jeszcze objawiła się niewyczerpana zaradność kobiet. Isabel zajęła się zbezczeszczoną falbaną; znalazła przy sobie szpilki i spięła rozdartą tkaninę; z uśmiechem słuchała relacji pasierbicy o jej balowych przygodach. Jej uwaga i współczucie przejawiały się błyskawicznie i czynnie, a były wprost proporcjonalne do zainteresowania, które nie miało z nimi nic wspólnego: do nurtującego ją pytania, czy lord Warburton nie próbuje do niej się zalecać. Podejrzeń tych nie wzbudziły tylko ostatnie jego słowa, lecz wiele innych, wcześniejszych, pewne aluzje i cały sposób bycia. O tym rozmyślała Isabel, spinając suknię małej Pansy. Jeśli jej obawy są słuszne, lord Warburton oczywiście działa bezwiednie, nie zdaje sobie sprawy z własnych intencji. Ale nie zmienia to faktu, że sytuacja jest niepożądana, niemożliwa do tolerowania. Im prędzej zostaną przywrócone między nimi prawidłowe stosunki, tym lepiej. Lord Warburton natychmiast zaczął rozmawiać z Pansy i zwracał się do niej z uśmiechem powściągliwej czułości, który niewątpliwie intrygował śledzącą go Isabel. Pansy jak zwykle odpowiadała z minką

sumiennie gorliwą; lord Warburton musiał dość mocno pochylać się ku niej, a Pansy – jak zwykle – wodziła wzrokiem po jego okazałej postaci, którą jakby podsuwał jej do inspekcji. Zawsze zdawała się trochę przestraszona, ale ten lęk nie miał przykrego zabarwienia, znamionnego dla niechęci. Przeciwnie, można by myśleć, że Pansy wie, że on wie, jak bardzo go lubi. Isabel zostawiła ich we dwoje i odeszła, żeby porozmawiać z kimś ze znajomych, dopóki muzyka nie zaczęła znowu grać do następnego tańca, który Pansy, jak wiedziała jej macocha, już obiecała któremuś z panów. Pansy, lekko zarumieniona, zbliżyła się do niej; w myśl wymagań Osmonda, który córkę traktował jak istotę całkowicie podległą, Isabel przekazała ją niby cenny i na krótko wypożyczony przedmiot w opiekę umówionemu partnerowi. Miała w tej kwestii własne poglądy i zastrzeżenia; chwilami myślała, gdy Pansy tak przesadnie trzymała się u jej boku, że obie muszą wyglądać idiotycznie. Osmond wyłożył jej cały program postępowania w roli ochmistrzyni pasierbicy, złożony z wdzięcznej przeplatanki ustępstw i zakazów; chciała zachować przeświadczenie, że te jego wskazówki stosuje ściśle i dosłownie. Niekiedy może po to, żeby je sprowadzić do absurdu.

Pansy poszła więc tańczyć, a lord Warburton wkrótce znowu zbliżył się do Isabel. Patrzyła mu prosto w twarz, usiłując przeniknąć jego myśli, ale nie zdawał się wcale zmieszany.

– Obiecała później ze mną zatańczyć – oznajmił.  
– Bardzo mnie to cieszy. Mam nadzieję, że zaprosił ją pan do kotyliona.

Teraz dopiero zmieszał się trochę.

– Nie. Prosiłem o kadryla.  
– Ach, brak panu sprytu – niemal z gniewem odparła Isabel.  
– Poleciłam jej zarezerwować kotyliona dla pana.  
– Biedna śliczna panienska, sprawiłem jej kłopot! – zaśmiał się serdecznie Warburton. – Oczywiście poproszę ją o kotyliona, jeśli pani tego sobie życzy.

– Ja? Jeśli ma pan z nią tańczyć tylko dlatego, że ja sobie życzę...

– Obawiam się, że ją nudzę. Tylu młodych ludzi ma wpisanych już do karnetu!

Isabel spuściła oczy i szybko dokonywała przeglądu sytuacji. Lord Warburton patrzył na nią, czuła jego wzrok na swojej twarzy. Miała ochotę powiedzieć mu, żeby się jej tak nie przyglądał. Nie zrobiła tego jednak i w końcu sama na niego spojrzała, mówiąc:

– Proszę, niech pan mi to wszystko wyjaśni.

– Co mam wyjaśnić?

– Dziesięć dni temu powiedział mi pan, że chciałby ożenić się z moją pasierbicą. Nie zapomniał pan chyba?

– O, nie! Dzisiaj rano napisałem do pana Osmonda list w tej sprawie.

– Czy tak? Mąż nie wspominał mi nic o tym.

Lord Warburton zająknął się lekko, gdy odpowiadał:

– Ja... ja... nie wysłałem tego listu.

– Może pan zapomniał?

– Nie, nie byłem z tego listu zadowolony. To bardzo kłopotliwy rodzaj listów. Ale wyślę go dzi... niezwłocznie...

– Teraz jest trzecia po północy.

– Oczywiście później, w ciągu dnia.

– Doskonale. W dalszym ciągu pragnie pan się z nią ożenić?

– Bardzo pragnę.

– Nie boi się pan jej znudzić? – Patrzył na nią pytająco, więc Isabel dodała: – Jeśli znudziłaby się, tańcząc z panem przez pół godziny, czy zniesie ten taniec przez całe życie?

– Ach! – skwapliwie odpowiedział Warburton. – Pozwolę jej tańczyć, z kim zechce. Co do kotyliona, to miałem nadzieję, że może... pani...

– Że ja z panem zatańczę? Już panu mówiłam, że nie będę w ogóle dzisiaj tańczyła.

– Właśnie! Może na czas kotyliona znajdę jakiś zaciszny kącik, w którym spokojnie porozmawiamy.

– Doprawdy – poważnie odparła Isabel – okazuje mi pan za wiele względów.

Okazało się, że Pansy przyrzekła kotyliona innemu

partnerowi, myśląc z całą skromnością, że lord Warburton nie zamierza prosić jej do tego tańca. Isabel radziła mu poszukać sobie tancerki, ale odpowiedział, że tylko z nią gotów jest zatańczyć. Isabel przedtem już, mimo nalegań pani domu, odrzuciła zaproszenia kilku panów, oświadczając, że w ogóle nie tańczy, nie wypadało jej więc w żaden sposób robić dla lorda Warburtona wyjątku.

– W gruncie rzeczy wcale mi nie zależy na tańcu – powiedział – to barbarzyńska rozrywka. Wolę porozmawiać. – Dodał, że znalazł w sam raz dobry do rozmowy zaciszny kącik w jednym z mniejszych salonów, gdzie muzyka dochodzi bardzo przyciszona, więc nie będzie im przeszkadzała. Isabel zgodziła się w nadziei, że przy tej okazji dowie się tego, co chciała wiedzieć. Opuściła więc salę balową wraz z lordem Warburtonem, chociaż Osmond zalecał jej nie spuszczać Pansy z oka ani na chwilę. Czuła się usprawiedliwiona, że dezerteruje w towarzystwie konkurenta swej pasierbicy; Osmond wybaczyłby jej w tych okolicznościach. Przed wyjściem z sali natknęła się na Edwarda Rosiera; z założonymi rękami stał w progu i obserwował tańce z miną człowieka, który już stracił wszelkie złudzenia. Zatrzymała się na chwilę, żeby spytać, czy nie chce tańczyć.

– Oczywiście, że nie tańczę, skoro z nią mi nie wolno – odparł.

– W takim razie niech pan lepiej idzie do domu – poradziła życzliwie.

– Nie odejdę, póki ona tu jest! – Usunął się z drogi lordowi Warburtonowi, nie spojrzawszy na niego.

Warburton zauważył jednak melancholijnego młodzieńca i zapytał panią Osmond, kim jest ten zrozpaczony dżentelmen, którego twarz wydała mu się znajoma.

– To jest młody człowiek, o którym panu wspominałam, zakochany w Pansy.

– Ach, tak, pamiętam. Ma bardzo żalowaną minę.

– Nic dziwnego. Mój mąż nie chce słyszeć o jego kandydaturze.



– Co mu pan Osmond zarzuca? – spytał lord Warburton. – Mnie wydał się nieszkodliwy.

– Ma za mało pieniędzy i nie jest zbyt inteligentny.

Lord Warburton słuchał z żywym zainteresowaniem tych informacji o Edwardzie Rosierze.

– Ależ ten pan wygląda bardzo sympatycznie.

– Jest bardzo sympatyczny, ale mój mąż ma większe wymagania.

– No tak, rozumiem. – Warburton milczał chwilę, potem pozwolił sobie zapytać: – Ile on posiada?

– Około czterdziestu tysięcy franków rocznie.

– Czyli tysiąc sześćset funtów. To wcale nieźle.

– Ja też tak uważam, ale mój mąż ma większe ambicje.

– Tak, zauważyłem, że ma wielkie ambicje. Czy ten młody człowiek jest naprawdę durniem?

– Durniem? Nic podobnego. Jest czarujący. Sama kochałam się w nim, kiedy miał dwanaście lat.

– Wygląda po dziś dzień na niewiele więcej – odparł z roztargnieniem lord Warburton, oglądając się za siebie. Potem bardziej rzeczowo zaproponował: – Może tutaj usiądziemy?

– Gdzie pan zechce. – Znaleźli się w buduarze, wypełnionym łagodnym różowym światłem; w drzwiach rozminęli się z wychodzącą stamtąd inną parą gości. – Miło z pana strony, że interesuje się pan Edwardem Rosierem – powiedziała Isabel.

– Wydaje mi się, że go skrzywdzono. Twarz ma długą na miłą, zastanawiałem się, co mu dolega.

– Pan jest człowiekiem sprawiedliwym – stwierdziła Isabel. – Odnosi się pan życzliwie nawet do rywala.

Lord Warburton wzdrygnął się i spojrzał na nią zaskoczony.

– Rywala? Pani go nazywa moim rywalem?

– Naturalnie. Przecież obaj pragniecie ożenić się z tą samą panną.

– Tak, ale on przecież nie ma żadnych szans?

– Mimo wszystko podoba mi się, że pan umie wczuć się w jego sytuację. To dowód wyobraźni.

– Pani się to podoba? – Lord Warburton spojrzał na nią trochę niepewnie. – Myślę, że pani po prostu śmieje się ze mnie.

– Tak, troszkę się z pana śmieję. Ale podoba mi się pan jako ktoś, z kogo mogę się pośmiać.

– A więc zastanówmy się głębiej nad sytuacją pana Rosiera. Co można by dla niego zrobić?

– Przed chwilą pochwaliłam pańską wyobraźnię, więc niech ona panu odpowie na to pytanie – odparła Isabel. – Pansy też za to pana polubi.

– Panna Osmond? Pochlebiam sobie, że już i tak mnie lubi.

– Myślę, że nawet bardzo.

Czekał chwilę, pytająco patrząc w jej twarz.

– Nie rozumiem pani. Chyba nie chciała pani powiedzieć, że ona jest nim poważnie zajęta?

– Owszem, to właśnie mówię.

Lord Warburton zaczerwienił się nagle.

– Powiedziała pani, że ona we wszystkim ulega woli ojca, a jej ojciec, o ile mi wiadomo, popierałby moją kandydaturę... – urwał i po chwili, wciąż zaczerwieniony, spytał: – Pani myśli inaczej?

– Powiedziałam, że ona bardzo chce zawsze spełniać życzenia ojca i że to ją może zaprowadzić daleko.

– To chyba ze strony córki właściwa postawa – rzekł lord Warburton.

– Tak, bardzo właściwa! – Isabel długą chwilę milczała: byli wciąż sami w buduarze, a dźwięki muzyki dolatywały złagodzone przez dzielące ich od sali balowej salony. W końcu Isabel podjęła:

– Ale nie sądzę, żeby takiej postawie mężczyzna chciał zawdzięczać zdobycie żony.

– Nie wiem. Jeżeli żona byłaby dobra i wydawałaby mu się stosowna...

– Naturalnie, pan nie może rozumować inaczej.

– Nie mogę, trudno. Pani to nazwie typowym brytyjskim rozumowaniem, oczywiście.

– Nie. Moim zdaniem Pansy nie mogłaby znaleźć

wspanialszego męża niż pan, to chyba pan powinien wiedzieć lepiej ode mnie. Ale pan nie jest w niej zakochany.

– Ależ jestem, proszę pani!

Isabel potrząsnęła głową.

– Pan chciałby w to wierzyć, rozmawiając tutaj ze mną. Ale mnie się wydaje, że tak nie jest.

– Nie wyglądam tak jak ten młodzieniec w progu sali balowej, przyznaję. Ale dlaczego pani moje uczucia wydają się nienaturalne? Czyż jest w świecie bardziej urocza istota od panny Osmond?

– Zapewne nie. Ale miłość nie ma nic wspólnego z racjonalnymi przyczynami.

– Nie zgadzam się z panią. Bardzo się cieszę, że znalazłem racjonalne przyczyny.

– Wierzę. Gdyby pan był naprawdę zakochany, nie szukałby pan uzasadnienia.

– Ach, naprawdę zakochany! – wykrzyknął Warburton, odchylając głowę i prostując się nieco. – Proszę pamiętać, że mam czterdzieści dwa lata. Nie twierdzę, że jestem taki sam jak przed laty.

– Jeżeli pan jest pewny swoich uczuć, to wszystko w porządku – stwierdziła Isabel.

Nic nie odpowiedział, patrzył prosto przed siebie. Nagle zmienił pozę i zwrócił głowę ku pani Osmond.

– Dlaczego pani jest taka niechętna, taka sceptyczna?

Spotkała jego wzrok i przez chwilę patrzyli sobie w oczy. Ciekawość jej została w pewnym stopniu zaspokojona, bo w jego spojrzeniu dostrzegła błysk myśli, że ona niepokoi się z osobistych powodów, że może nawet się boi. Był to przebłysk podejrzania raczej niż nadziei, i tak odczytała w nim to, czego chciała się dowiedzieć. Ani przez sekundę nie powinien podejrzewać, że Isabel w tym zamiarze małżeństwa z jej pasierbicą widzi próbę zacieśnienia związków z nią samą albo też że uważa taką możliwość za groźny dla niej podstęp. W każdym razie w tej krótkiej, niezwykle intymnej wymianie spojrzeń zawierały się

treści głębsze, niż oboje w tym momencie mogli sobie uświadomić.

– Drogi panie – powiedziała z uśmiechem Isabel – jeśli chodzi o moje zdanie, proszę robić wszystko, cokolwiek przyjdzie panu do głowy.

Wstała i przeszła do sąsiedniego pokoju, gdzie, jak z daleka zaobserwował lord Warburton, natychmiast dwaj panowie, wielkie figury w rzymskim towarzystwie, nawiązali z nią rozmowę, jak gdyby od dawna czekali na taką sposobność. Prowadząc z nimi konwersację, żałowała w duchu, że w ten sposób opuściła buduar – mogło to wyglądać na ucieczkę, tym bardziej że lord Warburton nie poszedł za nią. Z tego jednak była zadowolona; sądziła też, że osiągnęła swój cel. Wierzyła w to tak, że wracając na salę balową i natykając się na stojącego wciąż w tym samym miejscu Edwarda Rosiera, odezwała się do niego znowu:

– Miał pan rację, zostając tutaj. Mogę panu udzielić odrobinki pociechy.

– Bardzo mi jej potrzeba – odparł cicho, żałośnie – kiedy widzę, w jakiej dobrej komitywie jest pani z nim.

– Niech pan o nim nie mówi, zrobię dla pana, co będę mogła. Obawiam się, że niewiele, ale wszystko, co w mojej mocy.

Spojrzał na nią posepnie, z ukosa.

– Dlaczego pani nagle zmieniła front?

– Ponieważ doszłam do wniosku, że pan mi zawadza, stojąc w drzwiach – odpowiedziała z uśmiechem, mijając go. W pół godziny później pożegnała panią domu i wraz z Pansy u stóp wielkich schodów czekała w grupie innych gości na swój ekwipaż. W ostatniej chwili obok dwóch dam znalazł się lord Warburton i odprowadził je do powozu. Przed zamknięciem drzwiczek spytał pannę Osmond, czy dobrze się bawiła, a gdy Pansy mu odpowiedziała, cofnął się, trochę jak gdyby znużony. Isabel zatrzymała go jednak, wychylając się przez okno i podnosząc do góry palec.

– Niech pan nie zapomni wysłać listu do jej ojca – szepnęła.



## ROZDZIAŁ XLIV

Hrabina Gemini często nudziła się straszliwie, nudziła się – jak sama mówiła – śmiertelnie. Śmierć jednak jakoś nie następowała i hrabina dość dzielnie walczyła z losem, który ją obdarzył niewygodnym mężem, upierającym się przy mieszkaniu w swojej rodzinnej Florencji, gdzie cieszył się uznaniem o tyle, o ile może je pozyskać dzentelmen obdarzony talentem do przegrywania w karty, i to wcale nie przez grzeczność. Hrabia Gemini nie był lubiany nawet przez tych, którzy od niego wygrywali, a jego nazwisko, chociaż miało pewną wartość we Florencji, nie było walutą obiegową w innych częściach półwyspu, podobnie jak monety dawnych państw włoskich. W Rzymie był tylko bardzo nudnym florentczykiem, nic więc dziwnego, że nie chciał częściej odwiedzać miasta, gdzie zdobycie jakiejś pozycji i usprawiedliwienie własnej przeciętności wymagało niemałej fatygi. Hrabina wciąż zwracała oczy na Rzym i ubolewała, że nie ma tam stałej rezydencji. Wstydziała się przyznać, jak rzadko może odwiedzać to miasto, i znikomą pociechę czerpała z faktu, że wielu innych przedstawicieli florenckiej arystokracji nigdy go nie oglądało. Jeździła do Rzymu, ilekroć było to możliwe – to wszystko, co mogła na swoje usprawiedliwienie powiedzieć; właściwie nie wszystko, ale tyle, ile mogła powiedzieć. W rzeczywistości mówiła na ten temat dużo i wyliczała przyczyny, dla których nienawidzi Florencji i pragnie resztę swoich dni spędzić w cieniu Świętego Piotra. Przyczyny te nie są jednak bezpośrednio związane z naszą historią, a zazwyczaj streszczały się w twierdzeniu, że Rzym jest Wiecznym Miastem, a Florencja jednym z wielu zwykłych małych miasteczek. Najwidoczniej hrabina czuła potrzebę włączenia idei wieczności do swoich rozrywek. Była przekonana, że w Rzymie towarzystwo jest bez porównania bardziej interesujące; w zimie na wieczornych przyjęciach spotyka się tam wiele znakomitych osób. We Florencji

nie ma znakomitych osób, w każdym razie nie ma takich, o których głośno w salonach. Odkąd jej brat ożenił się, hrabina niecierpliwiła się jeszcze bardziej, przekonana, że bratowa prowadzi świetniejsze życie niż ona. Nie dorównywała Isabel intelektem, ale miała dość inteligencji, żeby docenić Rzym – nie katakumby, może też nie zabytki i muzea, kościelne ceremonie i scenerię, ale z pewnością całą resztę. Dochodziły do jej uszu wieści o pani Osmond i wiedziała, że Isabel bawi się wspaniale. Sprawdziła to zresztą osobiście, gdy jeden jedyny raz skorzystała z gościnności w Palazzo Roccanera. Spędziła tam tydzień pierwszej zimy po małżeństwie brata, ale nie zachęcano jej do powtórzenia tak dla niej przyjemnej wizyty. Osmond nie życzył sobie tego, hrabina rozumiała to jasno, lecz nie przeszkodziłoby to jej w wybraniu się znów do Rzymu, bo w gruncie rzeczy nic sobie nie robiła z brata. Mąż jej nie pozwalał na te wycieczki, a w dodatku miała zawsze kłopoty pieniężne. Isabel zachowywała się wobec niej bardzo miło; hrabina od pierwszej chwili polubiła Isabel, a zazdrość nie mogła jej przesłonić osobistych zalet bratowej. Zawsze z mądrymi kobietami porozumiewała się lepiej niż z głupimi, takimi jak ona; głupie nie poznawały się na jej mądrości, podczas gdy rozumne – naprawdę rozumne – rozumiały jej głupotę. Mimo ogromnych różnic w powierzchowności i stylu życia miała z Isabel, jak sądziła, jakiś skrawek wspólnego terenu, na którym kiedyś w końcu się spotkają. Nie jest to duży kawałek gruntu, ale mocny i obie uświadomią to sobie, kiedy go dotkną stopami. Hrabina doznała w stosunkach z bratową miłej niespodzianki; wciąż oczekiwała, że Isabel potraktuje ją „z góry”, ale nic podobnego dotychczas się nie zdarzyło. Zadawała sobie pytanie, kiedy to się zacznie, jak gdyby chodziło o widowisko sztucznych ogni czy też wielki post albo sezon opery; wprawdzie nie zamierzała się zbytnio przejmować, ale dziwiło ją, że to się wciąż odwleka. Isabel traktowała ją jak równą sobie kobietę i nie wyrażała dla biednej hrabiny ani zachwyty, ani pogardy. W rzeczywistości nie przychodziło jej do głowy, żeby gardzić nią, tak samo jak nie mogła z moralnego punktu widzenia osądzać konika

polnego. Nie była jednak wobec szwagierki obojętna: trochę się jej bała. Hrabina intrygowała ją, wydawała się niezwykła. Odnosiła wrażenie, że hrabina nie ma duszy; przypominała rzadką kolorową muszlę z wypolerowaną powierzchnią i mocno różowymi wargami, muszlę, w której przy potrząsaniu coś grzechocze. Ten grzechot, jak się zdawało, wyrażał moralne zasady hrabiny, obluzowane śrubki kołujące w jej wnętrzu. Była zbyt dziwna, aby Isabel mogła nią gardzić, zbyt wyjątkowa, by ją z kimkolwiek porównać. Isabel chętnie zaprosiłaby ją powtórnie (o zaproszeniu hrabiego nie było mowy), ale Osmond wkrótce po ślubie otwarcie i bez skrępowań powiedział jej, że Amy to wariatka najgorszego gatunku, jej szaleństwo jest nieobliczalne jak geniusz. Przy innej okazji stwierdził, że Amy nie ma serca; po chwili dodał, że rozdała je po kawałeczku jak lukrowany tort weselny. To, że jej nie zapraszano, utrudniało oczywiście hrabinie ponowną wyprawę do Rzymu; w momencie jednak, w którym podejmujemy znów wątek naszej historii, dostała właśnie list z propozycją, żeby spędzić kilka tygodni w Palazzo Roccanera. Sam Osmond napisał do niej w tej sprawie, wyrażając nadzieję, że siostra będzie zachowywała się spokojnie. Nie wiadomo, czy odczytała w tym zdaniu całą treść, jaką Osmond w nie włożył, w każdym razie przyjęła zaproszenie, nie targując się o warunki. Tym chętniej, że paliła ją ciekawość: bawiąc poprzednio w Rzymie, odniosła między innymi wrażenie, że Osmond trafił jak kosa na kamień. Nim doszło do tego małżeństwa, współczuła pannie Archer do tego stopnia, że zastanawiała się poważnie – o tyle, o ile w ogóle zdolna była do poważnych refleksji – czyby jej nie przestrec. Ale nie zrobiła tego, a z czasem trochę się uspokoiła. Osmond wprawdzie pozostał jak zawsze wyniosły, ale Isabel nie wydawała się łatwą ofiarą. Ścisłość pomiarów nie należała do jej specjalności, lecz hrabina przypuszczała, że Isabel, jeśli się kiedyś wyprostuje na całą swoją wysokość, będzie górowała nad swoim mężem. Hrabina chciała sprawdzić, czy Isabel już podniosła głowę; gdyby go przerosła, sprawiłaby szwagierce ogromną satysfakcję.

Na kilka dni przed wyjazdem hrabiny do Rzymu służący



podał jej na tacy bilet wizytowy, na którym napisane było po prostu: *Henrietta C. Stackpole*. Hrabina przycisnęła koniuszki palców do czoła, usiłując przypomnieć sobie, czy zna tę jakąś Henriettę. Wtedy służący powiedział, co mu kazała wyjaśnić przybyła z wizytą dama: że hrabina Gemini może nie pamięta jej nazwiska, ale z pewnością przypomni sobie jej twarz, gdy ją zobaczy. Rzeczywiście, gdy Henrietta weszła do salonu, hrabina przypomniawszy sobie zaraz, że spotkała kiedyś u pani Touchett tę osobę i że jest to literatka, jedyna, jaką miała przyjemność spotkać – oczywiście spośród żyjących współcześnie, bo przecież sama była córką poetki. Poznała pannę Stackpole natychmiast, tym łatwiej, że Henrietta wcale się nie zmieniła; hrabina, z natury dobroduszna, uznała za miłe wyróżnienie, że tak znakomita osoba zechciała złożyć jej wizytę. Przyszło jej do głowy, że panna Stackpole zaszczyca ją może przez pamięć jej matki, jeśli dotarła do niej sława amerykańskiej Korynny. Od pierwszego jednak rzutu oka spostrzegła między swoją matką a tą przyjaciółką bratowej wielką różnicę – panna Stackpole jest nowoczesna i daje świadectwo ogromnemu postępowi, jaki dokonał się w charakterze (zawodowym) dam parających się piórem, zwłaszcza w zamorskich krajach. Matka hrabiny nosiła rzymski szal na nieśmiało obnażonych ramionach, wychylających się z opiętej czarnej aksamitnej sukni (ach, te dawne toalety!), i umieszczała wieniec ze złotych laurów na spiętrzonych lśniących lokach. Mówiła cicho, niejasno, akcentem swoich kreolskich przodków – jak lubiła zwierzać znajomym. Bardzo często wzdychała i wcale nie była przedsiębiorcza. Natomiast Henrietta, jak stwierdziła hrabina, była dokładnie zapięta na wszystkie guziki i upinała na głowie ciasno splecione warkocze; powierzchowność jej tchnęła energią i rzeczowością, a sposób bycia zdawał się niemal skrupulatnie bezceremonialny. Nie można by sobie jej wyobrazić wzdychającej albo wrzucającej do skrzynki list w niezaadresowanej kopercie. Hrabina musiała wyczuć, że korespondentka „Interviewera” jest bliższa prawdziwemu życiu, niż była amerykańska Korynna. Panna Stackpole oznajmiła, że

przyszła do hrabiny, ponieważ nikogo innego nie zna we Florencji, a odwiedzając zagraniczne miasta, stara się zawsze nawiązać stosunki nie tylko z turystami. Co prawda zna panią Touchett, ale po pierwsze, pani Touchett przebywa właśnie teraz w Ameryce, a po drugie, nie należy do osób przez pannę Stackpole uwielbianych.

– Czy mam rozumieć, że mnie pani do tej kategorii zalicza? – spytała uprzejmie hrabina.

– No, na pewno wolę panią od niej – odparła panna Stackpole. – Przypominam sobie, że gdy spotkałyśmy się po raz pierwszy, wydała mi się pani bardzo interesująca. Nie wiem, czy przypadkowo, czy też to jest pani stały styl. To, co pani wtedy mówiła, zrobiło na mnie wrażenie. Wykorzystałam później pani słowa w pewnym artykule.

– Och! – wykrzyknęła hrabina, otwierając szeroko oczy i trochę przerażona. – Nie zdawałam sobie sprawy, że powiedziałam coś godnego uwagi. Żałuję, że wtedy tego nie spostrzegłam.

– Dotyczyło to pozycji kobiety w tym mieście – odparła panna Stackpole. – Pani mi tę sprawę ukazała we właściwym świetle.

– Pozycja kobiety jest bardzo niedogodna. Czy to ma pani na myśli? Pani zapamiętała moje słowa i ogłosiła je w prasie? Ach, chciałabym to zobaczyć wydrukowane!

– Poproszę, żeby pani przysłało ten numer, jeśli pani sobie życzy – powiedziała Henrietta. – Nie wymieniłam pani nazwiska, napisałam tylko: „pewna dama z wyższych sfer”, i zacytowałam pani poglądy.

– A wie pani, żałuję, że pani nie podała mojego nazwiska. Ucieszyłabym się, widząc je w prasie. Zapomniałam, jakie wygłaszam poglądy, mam ich tak wiele! Ale nie wstydzę się ich. Jestem zupełnie niepodobna do mojego brata... Pani go chyba zna? On uważa, że to skandal, jeśli o kimś piszą w gazetach; gdyby pani o nim wspomniała w swoim artykule, nigdy by pani tego nie przebaczył.

– Nie ma obawy, nigdy o nim nie wspomnę – odparła panna Stackpole trochę cierpko. – To właśnie drugi powód mojej wizyty.

Jak pani wie, pan Osmond ożenił się z moją najserdeczniejszą przyjaciółką.

– Ach tak, pani była przyjaciółką Isabel. Nie mogłam sobie przypomnieć, co mi się z panią kojarzy.

– Miło mi, jeśli ktoś mnie kojarzy z przyjaźnią Isabel – powiedziała panna Stackpole. – Ale pan Osmond woli o tym nie pamiętać. Próbował doprowadzić do zerwania stosunków między nami.

– Niech pani na to nie pozwoli – doradziła hrabina.

– Właśnie o tym chciałam z panią porozmawiać. Jadę stąd do Rzymu.

– Ja także! – zawołała hrabina. – Pojedziemy razem?

– Z przyjemnością. Opisując tę wyprawę, wymienię panią z nazwiska jako towarzyszkę podróży.

Hrabina zerwała się z krzesła i usiadła na kanapie obok swego gościa.

– O, musi pani przysłać mi ten numer pisma. Mąż byłby niezadowolony, ale nie dowie się, zresztą nie umie czytać.

Ogromne oczy Henrietty rozszerzyły się jeszcze bardziej.

– Nie umie czytać? Czy mogę to wykorzystać w następnym liście?

– W jakim liście?

– W korespondencji dla „Interviewera”. Taki jest tytuł pisma, z którym współpracuję.

– Proszę bardzo, niech pani nie pominie też jego nazwiska. Czy pani będzie mieszkała u Isabel?

Henrietta podniosła głowę i przez chwilę w milczeniu patrzyła na hrabinę.

– Nie zaprosiła mnie. Napisałam, że przyjadę, a Isabel odpowiedziała, że zarezerwuje dla mnie pokój w pensjonacie. Nie wyjaśniła powodów.

Hrabina słuchała z żywym zainteresowaniem.

– Powodem jest Osmond – powiedziała z naciskiem.

– Isabel powinna by postawić na swoim – stwierdziła panna Stackpole. – Zmieniła się, przepowiadałam jej, że się zmieni.

– Bardzo mnie to martwi. Miałam nadzieję, że zachowa własną wolę. A za co Osmond pani nie lubi? – spytała niewinnie hrabina.

– Nie wiem i wcale mnie to nie obchodzi. Niech mnie nie lubi, nie pragnę być lubiana przez wszystkich, a nawet miałabym sama o sobie gorszą opinię, gdyby pewne osoby okazywały mi sympatię. Dziennikarz nie może łudzić się, że dużo zdoła, nie narażając się na wiele nienawiści, to jest dla niego dowód, że nie pracuje w próżni. Ta sama reguła dotyczy kobiet. Ale po Isabel nie spodziewałam się tego.

– Myśli pani, że ona panią znienawidziła?

– Nie wiem, chcę się przekonać. Po to jadę do Rzymu.

– Ależ to bardzo niemiła misja! – wykrzyknęła hrabina.

– Pisze do mnie inaczej niż dawniej, wyczuwam w jej listach różnicę. Jeżeli pani orientuje się w sytuacji, proszę mi wszystko powiedzieć, to by mi pomogło wybrać właściwą taktykę.

Hrabina wysunęła dolną wargę i lekko wzruszyła ramionami.

– Wiem mało, rzadko z Osmondem koresponduję. On wcale nie lubi mnie bardziej niż pani.

– Chociaż pani nie jest dziennikarką – w zadumie powiedziała Henrietta.

– O, ma wiele innych powodów. Jednakże zaprosił mnie, mam u nich zamieszkać na czas pobytu w Rzymie. – Hrabina uśmiechnęła się niemal bezczelnie; w chwili tryumfu zapomniała o delikatności wobec rozczarowanej Henrietty. Ale dama ta zniosła nietakt spokojnie.

– Nie przyjąłabym zaproszenia od niego. A raczej sądzę, że nie powinna bym przyjąć, więc cieszę się, że oszczędził mi rozterki. Byłaby to trudna decyzja. Nie chciałabym zrobić przykrości Isabel, ale nie czułabym się dobrze pod jej dachem. Pensjonat będzie dla mnie wygodniejszy. Ale to jeszcze nie wszystko.

– Teraz najodpowiedniejsza pora na odwiedzenie Rzymu – powiedziała hrabina. – Zastaniemy mnóstwo interesujących ludzi. Słyszała pani o lordzie Warburtonie?

– Czy słyszałam? Znam go doskonale. Pani go uważa za niezwykle interesującego człowieka? – spytała Henrietta.

– Nie znam go osobiście, ale mówiono mi, że to prawdziwy *grand seigneur*. Podobno kręci się koło Isabel.

– Kręci się koło niej?

– Tak mi mówiono, szczegółów nie znam – lekko odpowiedziała hrabina. – Ale Isabel nic nie grozi.

Henrietta poważnie spojrzała na nią i chwilę milczała; potem spytała nagle:

– Kiedy pani jedzie do Rzymu?

– Niestety dopiero za tydzień.

– Ja pojedę jutro – oświadczyła Henrietta. – Myślę, że nie powinnam z tym zwlekać.

– Och, jakże mi przykro, mam kilka sukien u krawcowej. Podobno Isabel prowadzi dom bardzo otwarty. Ale zobaczymy się, jak tylko przyjadę, odwiedzę panią w pensjonacie. – Henrietta milczała, jakby zatopiona w myślach; nagle hrabina wykrzyknęła: – Ale jeśli nie pojedę razem z panią, nie będzie pani mogła wspominać o mnie w relacji z podróży!

Panna Stackpole nie wydawała się przejęta stratą tej szansy. Myślała o czymś innym i dała temu wyraz, mówiąc:

– Nie jestem pewna, czy dobrze zrozumiałam pani wzmiankę o lordzie Warburtonie.

– Cóż tu jest do rozumienia? Mówiłam, że to wspaniały człowiek, nic więcej.

– Pani uważa, że to w porządku, jeśli ktoś kręci się koło cudzej żony? – spytała Henrietta wyjątkowo dobitnym tonem.

Hrabina wytrzeszczyła oczy i parsknęła cichym śmiechem.

– Wszyscy wspaniali mężczyźni to robią! Niech pani wyjdzie za mąż, przekona się pani.

– Sama ta myśl mogłaby mnie powstrzymać – odparła panna Stackpole. – Pragnęłabym mieć dla siebie własnego męża, ale nie cudzych. Czy pani chciała przez to powiedzieć, że Isabel zdradza... zdradza... – urwała, jakby jej brakowało słów.

– Czy zdradza? Och, nie, myślę, że jeszcze nie. Chciałam

tylko powiedzieć, że Osmond jest okropnym nudziarzem, a lord Warburton, jak słyszałam, bardzo często bywa w ich domu. Przykro mi, że panią zgorszyłam.

– Nie, zaniepokoiła mnie pani tylko.

– To niezbyt pochlebne dla Isabel! Powinna by pani mieć do niej więcej zaufania. Wie pani co? – szybko dodała hrabina. – Spróbuję go jej odbić, żeby pani nie musiała się o nią martwić.

Panna Stackpole odpowiedziała w pierwszej chwili jedynie najuroczystszym ze swoich spojrzeń.

– Pani źle mnie zrozumiała – powiedziała wreszcie. – Miałam na myśli coś zupełnie innego, niż pani przypuszcza. Nie boję się o Isabel w tym sensie. Lękam się, czy nie jest nieszczęśliwa, to chcę sprawdzić.

Hrabina kilkanaście razy potrząsnęła głową, zniecierpliwiona i sarkastyczna.

– Być może, być może, co do mnie, chcę się dowiedzieć, czy Osmond jest nieszczęśliwy. – Panna Stackpole już ją znudziła.

– Jeśli Isabel naprawdę zmieniła się, to jest zapewne istotną przyczyną – snuła dalej swoje myśli Henrietta.

– No, zobaczymy, ona pani sama powie.

– A może nie powie, tego się właśnie boję.

– No, jeśli Osmond nie zabawia się na swój dawny sposób... pochlebiam sobie, że przede mną nic się nie ukryje – oznajmiła hrabina.

– To mnie nie interesuje – odparła Henrietta.

– Ale mnie szalenie! Jeżeli Isabel jest nieszczęśliwa, bardzo jej współczuję, ale nic na to nie poradzę. Mogłabym jej udzielić pewnej informacji, która jednak pogorszyłaby jeszcze jej cierpienia, zamiast ją pocieszyć. Po co ona wyszła za Osmonda? Gdyby mnie słuchała, odprawiłaby go z kwitkiem. Ale gotowa jestem wszystko jej przebaczyć, jeżeli okaże się, że mu dopiekła jak należy. Jeżeli pozwala mu się deptać, nie będę się nad nią litowała. Nie wydaje mi się to jednak prawdopodobne. Spodziewam się odkryć, że jeśli sama cierpi, Osmond też od niej dostał za swoje.

Henrietta wstała; nadzieje hrabiny naturalnie ją oburzały. Szczerze wierzyła, że nie życzy Osmondowi cierpień; rzeczywiście człowiek ten nie pobudzał jej wyobraźni do wzlotów. W końcu hrabina ją rozczarowała, ten umysł krążył po ciasniejszym kole, niż jej się z początku wydawało, chociaż nawet na tak zmniejszonym polu znajdował okazję do trywialności.

– Lepiej byłoby, gdyby oboje czuli się szczęśliwi – powiedziała.

– Wykluczone. On nikogo nie jest zdolny kochać.

– Podejrzewam to. Tym bardziej niepokoję się o Isabel. Stanowczo jadę już jutro.

– Isabel ma prawdziwie oddanych przyjaciół – uśmiechnęła się hrabina. – Ja nie lituję się nad nią.

– Może nie będę mogła nic pomóc – powiedziała panna Stackpole, jakby w przekonaniu, że nie trzeba ulegać złudzeniom.

– W każdym razie nie brak pani dobrych chęci, a to już coś warte. Myślę, że pani specjalnie dla niej przyjechała z Ameryki – dodała nieoczekiwanie hrabina.

– Tak, chciałam się nią zaopiekować – spokojnie przyznała Henrietta.

Hrabina stała przed nią uśmiechnięta, z błyszczącymi małymi oczkami i nosem zdradzającym wścibstwo; rumieniec oblał jej policzki:

– Ach, jak to pięknie. *Comme c'est gentil!* To się nazywa przyjaźń!

– Nie wiem, jak się to nazywa. Uznałam, że powinnam ją zobaczyć.

– Szczęśliwa, szczęśliwa Isabel! Ma prócz pani innych wiernych przyjaciół... – Tu hrabina wykrzyknęła namiętnie: – Szczęśliwsza ode mnie! Ja też mam złego męża, nawet dużo gorszego niż Osmond. Ale nie mam przyjaciół! Zdawało mi się, że mam, ale wszyscy zniknęli. Nikt w świecie – żaden mężczyzna, żadna kobieta, żadne dziecko – nie zrobiłby dla mnie tego, co pani zrobiła dla Isabel.

Henrietta wzruszyła się, ten wybuch goryczy brzmiał

naturalnie. Przez chwilę spoglądała na nią, potem powiedziała:

– Jestem gotowa dla pani też zrobić wszystko, czego pani sobie życzy. Zaczekam na panią i pojedziemy razem.

– Nie zależy mi na tym – odparła nagle zupełnie innym tonem hrabina. – Byle pani opisała mnie w gazecie!

Henrietta przed pożegnaniem musiała wytłumaczyć jej, że w swoich relacjach z drogi do Rzymu nie może zmyślać. W reportażach zawsze trzyma się ściśle prawdy. Opuściwszy dom państwa Gemini, skierowała się na Lung'Arno, słoneczny bulwar nad żółtą rzeką, gdzie wznoszą się rzędem jasne fasady hoteli uczęszczanych przez turystów. Bawiąc poprzednio we Florencji, poznała nieźle miasto (miała szybką orientację) i teraz pewnym krokiem przemierzała ulice, skręcając ku placykowi przy moście Świętej Trójcy. Idąc dalej w lewo w stronę Ponte Vecchio, zatrzymała się przed hotelem, z którego okien roztaczał się widok na ten piękny stary most. Wydobyła portfelik, a z niego bilet wizytowy i po krótkim namyśle skreśliła ołówkiem kilka słów. Wolno nam zajrzeć nad jej ramieniem, a gdybyśmy z tego przywileju skorzystali, przeczytalibyśmy następujący tekst: *Czy mogłabym dzisiaj wieczorem porozmawiać z Panem? Nie zajmę Panu dużo czasu, a chodzi o bardzo ważną sprawę.* Dodała, że nazajutrz wyjeżdża do Rzymu. Z biletem w ręku podeszła do portiera stojącego w drzwiach hotelu i spytała, czy zastała pana Goodwooda. Portier, jak to portier, odparł, że pan Goodwood przed dwudziestoma minutami wyszedł; wówczas Henrietta poleciła mu doręczyć bilecik panu Goodwoodowi, gdy wróci. Poszła dalej wybrzeżem aż po surowy portyk Uffizi i do drzwi sławnej galerii obrazów. Wysokimi schodami udała się ku salom na górnym piętrze. Prowadzący do salonu długi korytarz, po jednej stronie oszklony i ozdobiony antycznymi popiersiami, był pusty, a blask zimowego słońca skrzył się na marmurowej posadzce. W galerii panuje przykry chłód, toteż w pełni zimy mało kto ją odwiedza. Gorliwość panny Stackpole w poszukiwaniu artystycznych wrażeń zaskoczy może czytelników, którzy dotychczas nie mieli okazji, by w niej tę cechę zauważyć, ale Henrietta miała pewne upodobania i



ulubione arcydzieła. Do nich należał mały obraz Correggia znajdujący się tutaj. Madonna klęczy przed Dzieciątkiem i klaszcze w dłonie, żeby je zabawić; ono zaś, leżąc na sianie, śmieje się do matki i szczenioce. Henriettę szczególnie wzruszała ta tkliwa scena i obraz ten wydawał jej się najpiękniejszy w świecie. W drodze z Nowego Jorku do Rzymu zatrzymała się tylko na trzy dni we Florencji, ale musiała znaleźć czas, żeby znów popatrzeć na uwielbiane dzieło sztuki. Henrietta miała silne poczucie piękna i nakładało to na nią mnóstwo intelektualnych obowiązków. Chciała właśnie skręcić do właściwej sali, gdy wyszedł z niej jakiś pan. Henrietta krzyknęła z cicha, stając twarzą w twarz z Casparem Goodwoodem.

– Dopiero co szukałam pana w hotelu – powiedziała. – Zostawiłam tam liścik.

– Wielki to dla mnie zaszczyt – odparł Goodwood takim tonem, jakby to nie była pusta formułka.

– Nie chodziło mi o zaszczyt pana, kiedyś już złożyłam panu wizytę i wiem, że to pana niezbyt ucieszyło. Muszę z panem porozmawiać o pewnej sprawie.

Przez chwilę przyglądał się klamrze na jej kapeluszu.

– Chętnie wysłucham wszystkiego, co ma pani do powiedzenia.

– Nie lubi pan rozmów ze mną, ale ja się tym nie przejmuję, nie chodzi tu o pańską przyjemność. Napisałam, że proszę o wizytę, skoro jednak spotkaliśmy się, możemy porozmawiać tutaj.

– Właśnie wychodziłem – odparł Goodwood – ale zostanę oczywiście. – Był grzeczny, lecz nie zdradzał entuzjazmu.

Henrietta nigdy nie wymagała wzniosłych deklaracji, a sprawa wydawała jej się tak poważna, że byłaby wdzięczna, gdyby Goodwood wysłuchał jej na jakichkolwiek warunkach. Jednakże spytała go najpierw, czy obejrzał już wszystkie obrazy.

– Wszystkie te, które chciałem obejrzeć. Spędziłem tutaj godzinę.

– Ciekawa jestem, czy widział pan mojego Correggia. Ja specjalnie przyszedłam, żeby na niego rzucić okiem! – weszła do

sali, a Goodwood z wolna szedł za nią.

– Zapewne widziałem tego Correggia, ale nie wiedziałem, że to pani faworyt. Nie mam pamięci do obrazów, zwłaszcza tego rodzaju.

Pokazała mu swoje ulubione dzieło, a Goodwood spytał, czy to o malarstwie chciała z nim podyskutować.

– Nie – odparła Henrietta. – O czymś znacznie mniej harmonijnym. – Mieli do dyspozycji tę małą świetlistą salkę, istną gablotkę pełną klejnotów; tylko koło Wenus Medycejskiej kręcił się strażnik. – Chcę pana prosić o przysługę.

Caspar Goodwood zmarszczył lekko brwi, nie zdawał się jednak zawstydzony, że jest nie dość skwapliwy do usług. Twarz naszego dawnego znajomego mocno się postarzała w ciągu tych kilku lat.

– Z pewnością o coś dla mnie przykrego! – powiedział trochę za głośno.

– Tak, myślę, że to będzie dla pana przykre. Inaczej nie nazywałabym tego przysługą.

– W każdym razie niech pani mówi, słucham – odpowiedział tonem człowieka świadomego swej cierpliwości.

– Mógłby pan powiedzieć, że nie mam żadnego tytułu, aby pana prosić o uprzejmość. Rzeczywiście mam tylko to usprawiedliwienie, że sama chętnie wyświadczyłabym panu każdą przysługę. – Cichy, precyzyjny głos nie silił się na efekty, lecz brzmiał bardzo szczerze; Goodwood, chociaż osłaniał się dość twardym pancerzem, musiał odczuć wzruszenie. Rzadko jednak okazywał je tak jak większość ludzi, rumieńcem, odwróceniem wzroku, zakłopotaną miną. Teraz też słuchał tylko w skupieniu i zdawało się, że głęboko rozważa prośbę Henrietty. Ciągnęła więc dalej beznamietnie, nie zdając sobie sprawy z uzyskanej przewagi: – Mogę powiedzieć to w tej chwili, pora jest stosowna, że jeśli kiedykolwiek naprzykrzałam się panu (wiem, że nieraz tak było), to dlatego, że byłam gotowa do znoszenia nawzajem dla pana wielu przykrości. Trudziłam pana, ale chętnie podjęłabym trud w pańskim interesie.

Goodwood zawahał się, nim spytał:

– I teraz właśnie zadaje pani sobie taki trud?

– Tak, częściowo tak. Chcę pana prosić, żeby pan rozważył, czy nie będzie w końcu lepiej, jeśli pan nie pojedzie do Rzymu.

– Przewidywałem, że pani to powie! – wykrzyknął dość niezręcznie.

– A więc pan już się nad tym zastanawiał?

– Oczywiście, i to bardzo głęboko. Z wszystkich możliwych punktów widzenia. W przeciwnym razie nie przyjechałbym tutaj. Dlatego siedziałem dwa miesiące w Paryżu. Rozmyślałem nad tą sprawą.

– Obawiam się, że zdecydował się pan na to, na co miał pan ochotę. Osądził pan, że lepsze będzie to, co panu się bardziej podoba.

– Co pani ma na myśli? Lepsze dla kogo? – spytał Goodwood.

– Przede wszystkim dla pana. Po drugie, dla pani Osmond.

– Ach, dla niej z tego nie wyniknie nic dobrego. Nie mam takich złudzeń.

– Ale czy nie wyniknie dla niej szkoda? Oto jest pytanie.

– Dla niej to nie może mieć żadnego znaczenia. Dla pani Osmond jestem niczym! Ale chcę wiedzieć, chcę ją zobaczyć własnymi oczyma.

– I dlatego wybiera się pan do Rzymu?

– Oczywiście. Czy może być lepszy motyw?

– A ja chciałabym wiedzieć, co panu z tego przyjdzie – oświadczyła panna Stackpole.

– Tego właśnie wytłumaczyć nie potrafię. Rozmyślałem na ten temat w Paryżu przez dwa miesiące.

– Rozjątrzy to jeszcze bardziej pański żal.

– Jeszcze bardziej? Skąd pani wie, że ten żal jeszcze czuję? – zapytał dość surowo.

– Jak się zdaje – odpowiedziała Henrietta z odrobiną wahania – nie zainteresował się pan żadną inną osobą.

– Skąd pani wie, co i kto mnie interesuje? – wykrzyknął,

czerwieniąc się nagle. – Tak, teraz interesuje mnie wizyta w Rzymie.

Henrietta patrzyła na niego ze smutkiem i widać było, że go rozumie.

– No cóż – powiedziała wreszcie – chciałam tylko podzielić się z panem myślami. Ta historia ciąży mi na sercu, oczywiście może pan zauważyć, że to nie moja sprawa, ale tak rozumując, trzeba by uznać, że nic nie powinno nas obchodzić.

– Oceniam pani dobroć – odparł Goodwood. – Jestem pani wdzięczny za to zainteresowanie. Pojadę do Rzymu i nie zranię pani Osmond.

– Przypuśćmy. Ale czy pan jej w czymś pomoże? To jest najważniejsze zagadnienie.

– Czy ona potrzebuje pomocy? – spytał z wolna, wpatrując się przenikliwie w twarz panny Stackpole.

– Prawie wszystkie kobiety tego potrzebują – odparła Henrietta, świadomie formułując odpowiedź wymijającą i wygłaszając ogólnikową sentencję mniej niż zwykle optymistyczną. – Jeżeli pan pojedzie do Rzymu – dodała – mam nadzieję, że okaże się pan prawdziwym, niesamolubnym przyjacielem. – Odwróciła się i zaczęła oglądać obrazy.

Caspar Goodwood obserwował ją, gdy krążyła po sali, w chwilę później zbliżył się jednak do niej.

– Pani tu we Florencji coś o niej usłyszała – stwierdził. – Chciałbym także to wiedzieć.

Henrietta nigdy nie rozmijała się z prawdą, a chociaż w tym przypadku wykręt zdawał się wskazany, po krótkim namyśle postanowiła nie czynić małostkowych wyjątków od swoich zasad.

– Tak – przyznała – coś tutaj o niej usłyszałam, ale ponieważ nie chcę, żeby pan jechał do Rzymu, nic panu nie powiem.

– Jak pani uważa. Przekonam się i tak osobiście – odparł i z rzadką u niego niekonsekwencją dodał: – Pani dowiedziała się, że ona jest nieszczęśliwa.

– Och, tego pan się nie dowie! – wykrzyknęła Henrietta.

– Miejmy nadzieję! Kiedy pani wyjeżdża?

– Jutro wieczornym pociągiem. A pan?

Goodwood nie od razu odpowiedział. Nie miał ochoty podróżować do Rzymu w towarzystwie panny Stackpole. Jego niechęć do korzystania z tego przywileju wynikała z innych motywów niż niechęć Osmonda, lecz w tym momencie była równie silna. Stanowiła raczej hołd dla zalet panny Stackpole niż potępienie jej wad. Ta kobieta wydawała mu się niepospolita, bardzo inteligentna; teoretycznie przynajmniej nie miał nic przeciw jej zawodowi. Dziennikarzy w spódnicy uważał za część naturalnego stanu rzeczy w postępowym kraju, a chociaż nigdy ich korespondencji nie czytywał, gotów był wierzyć, że piszące damy przyczyniają się w jakiś sposób dla dobra ogółu. Ale właśnie ze względu na ich znakomitą pozycję wolałby, żeby panna Stackpole nie była tak bardzo pewna słuszności niektórych swoich domysłów. Uznała za pewnik, że Goodwood zawsze chciałby rozmawiać o pani Osmond; dała mu to do zrozumienia, gdy się spotkali w Paryżu w sześć tygodni po jego przybyciu do Europy, i powtarzała przy każdej następnej okazji. Goodwood nie chciał nawet w formie aluzji wspominać o pani Osmond, nie zawsze przecież o niej myślał, tego był całkowicie pewny. Był najskrytszym, najmniej gadatliwym człowiekiem w świecie, a ta wścibska literatka nieustannie swoją latarką oświetlała cichy półmrok jego duszy. Nie chciał, żeby tak gorąco brała jego sprawę do serca, przeciwnie, pragnął, chociaż to może się wydać z jego strony brutalnością, żeby go zostawiła w spokoju. Mimo to nasunęły mu się w tym momencie inne refleksje – świadczące, jak bardzo w swojej niechęci Goodwood różnił się od Osmonda. Chciał natychmiast jechać do Rzymu, wolałby odbyć podróż samotnie, nocnym pociągiem. Nie cierpiał europejskich wagonów, gdzie człowiek siedzi jak w kleszczach, dotykając kolanami kolan współpasażera, nos w nos z nim, czując do niego tym gwałtowniejszą antypatię, że trzeba go pytać o pozwolenie otwarcia okna; nocne pociągi były jeszcze gorsze, ale przynajmniej można w nich drzemać i śnić o amerykańskich wagonach salonowych. Nie mógł wyruszyć tej nocy, skoro panna Stackpole

wybierała się w drogę nazajutrz, obraziłby bezbronną kobietę. Nie mógł też czekać do następnego dnia po jej wyjeździe, bo nie starczyłoby mu cierpliwości. Nie miał ochoty jechać jutrzejszym wieczornym pociągiem. Panna Stackpole sprawiała mu kłopot, przygnębiała go. Perspektywa spędzenia wielu godzin razem z nią w europejskim wagonie potęgowała jego i tak już wielką irytację. Ale była podróżującą samotnie damą, poczuwał się więc do obowiązku przystosowania własnych życzeń do jej planów. Nie miał wątpliwości, jak powinien się zachować. Z miną niezwykle poważną w chwilę później oznajmił bardzo stanowczo, choć nie ozdabiając swej decyzji galanterią:

– Oczywiście, jeżeli pani jedzie jutro, pojedę z panią. Może będę mógł pani usłużyć w drodze.

– Mam nadzieję! – z niewzruszonym spokojem odparła Henrietta.

## ROZDZIAŁ XLV

Jak już miałem okazję wspomnieć, Isabel wiedziała, że jej mąż jest niezadowolony z przedłużającego się pobytu Ralpa w Rzymie. Isabel uświadomiła to sobie, odwiedzając kuzyna w hotelu nazajutrz po balu, podczas którego zachęcała lorda Warburtona, by złożył konkretny dowód szczerości swoich intencji. W tej chwili, podobnie jak w wielu innych, dobrze rozumiała motywy sprzeciwu Osmonda. Nie chciał, żeby jego żona była wolna duchem, a wiedział doskonale, że Ralph jest apostołem wolności; właśnie dlatego, myślała Isabel, rozmowy z nim działały na nią tak pogrzejająco. Warto zauważyć, że korzystała z tego pogrzeżenia wbrew niechęci męża i pochlebiała sobie, że robi to dyskretnie. Jak dotąd nie sprzeciwiała się jawnie życzeniom Osmonda; był przecież wybranym przez nią, oficjalnym jej panem – chwilami ten niewątpliwy fakt budził w niej tępe niedowierzenie. Obciążał on jednak jej wyobraźnię, nieustannie tkwił w myślach, przypominając o wszystkich tradycyjnych zobowiązaniach i świętościach małżeństwa. Na myśl o pogwałceniu tych świętych zwyczajów ogarniał ją wstyd i zarazem strach; kiedy decydowała się oddać rękę Osmondowi, nie wyobrażała sobie takiej możliwości, głęboko przeświadczona, że intencje męża są równie wielkoduszne jak jej własne. Teraz jednak przewidywała, że niedaleki jest już dzień, gdy będzie musiała cofnąć jakąś część uroczyście ofiarowanego daru. Taki akt wydawał jej się wstrętny i potworny; starała się zamykać oczy na to grożące jej niebezpieczeństwo. Osmond nie pomoże jej, czyniąc pierwszy krok, od początku aż do końca będzie cały ciężar zwał na jej barki. Nie zabronił jej formalnie odwiedzania Ralpa, ale przeczuwała, że jeśli Ralph wkrótce nie opuści Rzymu, usłyszy od męża taki zakaz. Jakże biedny Ralph mógłby wyjechać? Warunki klimatyczne nie pozwalały mu na ryzyko podróży. Isabel doskonale rozumiała, że Osmond życzy sobie tego wyjazdu,

rozumiała, że nie może być zadowolony z jej wizyt u Ralpha i długich z nim rozmów. Ralph nigdy nie powiedział o nim złego słowa, a jednak gorzki, niemy sprzeciw Osmonda był uzasadniony. Gdyby wyraźnie zabronił jej tych wizyt, gdyby użył całego swojego autorytetu, Isabel musiałaby powziąć niełatwą decyzję. Na samą myśl o tym serce tłukło jej się w piersi, a rumieniec palił policzki; chwilami, pragnąc uniknąć jawnego zerwania, niemal marzyła, żeby Ralph wyjechał, chociaż to byłoby dla niego niebezpieczne. Przyłapując się na takich życzeniach, zarzucała sama sobie tchórzostwo i małoduszność, ale niewiele to pomagało. Kochała Ralpha, ale wszystko niemal wydawało się lepsze niż odwołanie najdonioślejszego – jedyne uświęconego – aktu w jej życiu. W tym świetle cała przyszłość ukazywała się w odrażających kolorach. Gdyby raz zerwała z Osmondem – byłoby to zerwanie na zawsze; otwarte przyznanie, że jej i jego cele nie dadzą się ze sobą pogodzić, przypieczętowałyby klęskę całej tej wielkiej próby. Dla nich nie mogło być pobłażliwości, kompromisu, łatwego zapomnienia czy formalnych poprawek. Od swojego związku wymagali tylko jednego: doskonałości, a skoro tego celu nie osiągnęli, nie było już rady; Isabel nie mogła nawet wyobrazić sobie, czym dałoby się tę jedyną wartość zastąpić. Na razie odwiedzała kuzyna tak często, jak jej się zdawało stosowne; miara stosowności należy do kanonu dobrego smaku i trudno o lepszy dowód, że moralność jest niejako kwestią rozważnej oceny. Tego dnia Isabel stosowała miarę bardziej niż zwykle swobodną, kierowała się bowiem nie tylko ogólną zasadą, że nie może pozwolić, by Ralph umierał samotnie, ale dodatkowym osobistym motywem: chciała mu zadać niezmiernie ważne pytanie. Chodziło zresztą nie mniej niż o jej własną o sprawę Gilberta.

Bez długich wstępów poruszyła ten temat.

– Chciałabym usłyszeć od ciebie odpowiedź na pewne pytanie. Dotyczy ono lorda Warburtona.

– Myślę, że wiem, o co chcesz zapytać – odparł Ralph z głębi fotela, z którego jego nogi wysunięte daleko zdawały się jeszcze dłuższe niż zwykle.



– Możliwe, że zgadłeś. W takim razie proszę cię, odpowiedz.  
– Nie wiem, czy mogę ci odpowiedzieć.  
– Znasz go tak dobrze, miałeś dość okazji, żeby go obserwować.  
– To prawda, ale pomyśl, jak on umie się maskować.  
– Dlaczego miałby się maskować? To wcale do niego niepodobne.  
– Nie zapominaj, że okoliczności są wyjątkowe – odparł Ralph, jakby trochę ubawiony w głębi serca.  
– W pewnym sensie tak. Ale czy on jest naprawdę zakochany?  
– Bardzo. To widać.  
– O! – powiedziała Isabel trochę oschle.  
Ralph spojrzał na nią z takim wyrazem, jak gdyby jej ton zaintrygował go, mącąc nieco jego skrywaną wesołość.  
– Powiedziałaś to tak, jakby cię moja odpowiedź rozczarowała.  
Isabel wstała, wygładzając z wolna rękawiczki i patrząc na nie w zadumie.  
– Ostatecznie to moja sprawa.  
– Jesteś usposobiona bardzo filozoficznie – stwierdził kuzyn, a po chwili dodał: – Czy wolno zapytać, co masz na myśli?  
Isabel spojrzała na niego zdumiona.  
– Zdawało mi się, że rozumiesz. Lord Warburton powiedział mi, o dziwo, że pragnie ożenić się z Pansy. Mówiłam ci już o tym i wtedy przyjąłeś tę wiadomość bez komentarzy. Może dziś zdobędziesz się na coś w tym rodzaju? Czy wierzysz, że on naprawdę ją kocha?  
– Pansy? Ach, nie! – wykrzyknął z przekonaniem Ralph.  
– Przed chwilą mówiłeś, że jest bardzo zakochany.  
Ralph zawahał się, nim odpowiedział:  
– Tak. W tobie.  
Isabel z powagą potrząsnęła głową.  
– Wiesz przecież, że to jest bez sensu.  
– Oczywiście. Ale to bezsens Warburtona, nie mój.

– Byłaby to bardzo niepożądana sytuacja – powiedziała, łudząc się, że jest przebiegła.

– Muszę ci jednak powiedzieć, że Warburton wyparł się tego wobec mnie z oburzeniem – dodał Ralph.

– A to pięknie, że dyskutujecie we dwóch o tych sprawach! Czy tobie też powiedział, że jest zakochany w Pansy?

– Mówił o niej z wielką sympatią i taktownie. Dał mi do zrozumienia, że wyobraża ją sobie w roli pani na Lockleigh i że wyglądałaby uroczo na tym tle.

– Czy on naprawdę tak myśli...

– Ba! Co Warburton naprawdę myśli...

Isabel znów zaczęła gładzić rękawiczki, długie i luźne, dostarczające w sam raz zajęcia w momentach zakłopotania. Po chwili podniosła jednak wzrok na kuzyna.

– Ach, Ralphie, nie chcesz mi pomóc! – wykrzyknęła nagle z pasją.

Po raz pierwszy przyznała się, że potrzebuje pomocy, a gwałtowność tego okrzyku wstrząsnęła Ralphem; miał wrażenie, że nareszcie przerzuciła most nad dzielącą ich dotychczas przepaścią. Toteż po chwili odpowiedział:

– Jak bardzo musisz być nieszczęśliwa!

Natychmiast odzyskała panowanie nad sobą i wykorzystała je, aby udąć, że wcale nie usłyszała słów kuzyna.

– Oczywiście plotłam głupstwa, mówiąc, że brak mi twojej pomocy – powiedziała, uśmiechając się żywo. – Co za pomysł, żeby cię męczyć moimi domowymi kłopotami. Sprawa jest bardzo prosta: lord Warburton musi sam ją załatwić. Nie będę próbowała wpływać na jej bieg.

– Przypuszczam, że spełni swoje zamiary bez trudu – rzekł Ralph.

Isabel zastanawiała się chwilę.

– Tak, chociaż nie zawsze w życiu odnosił łatwe zwycięstwa.

– Racja. Wiesz jednak, jak mnie to zawsze dziwiło. Czy panna Osmond byłaby zdolna sprawić nam podobną niespodziankę?

– Raczej on ją nam sprawi. Myślę, że w końcu zaniecha tego projektu.

– Nie zrobi nic, co nie byłoby zgodne z honorem – powiedział Ralph.

– O, tak, nie wątpię o tym. Ale cóż mógłby zrobić bardziej zgodnego z honorem, niż zostawić to biedne dziecko w spokoju. Ona kocha się w kimś innym i próby przekupienia jej, żeby wyrzekła się ukochanego dla świetniejszych propozycji, byłyby okrucieństwem.

– Okrucieństwem wobec tego pana, w którym Pansy się kocha, ale Warburton nie ma obowiązku liczyć się z nim.

– Nie, to byłoby okrutne wobec niej. Czułaby się nieszczęśliwa, gdyby dała się nakłonić do porzucenia biednego pana Rosiera. Ciebie, widzę, bawi ten pomysł, ale ty się w nim nie kochasz. W oczach Pansy ma przede wszystkim tę zasługę, że jest w niej zakochany. Co do lorda Warburtona... Pansy dobrze wyczuwa, że on jej nie kocha.

– Byłby dla niej bardzo dobry – zauważył Ralph.

– Okazał jej już wiele dobroci. Na szczęście nie powiedział nic takiego, co mogłoby zamącić jej spokój. Mógłby jutro przyjść z pożegnalną wizytą, wszystko byłoby w porządku.

– A jak by taki obrót sprawy przyjął twój mąż?

– Z wielkim niezadowoleniem, może zresztą słusznym. Ale jeżeli pragnie innego zakończenia, musi sam się o to postarać.

– Czy tobie powierzył tę misję? – ośmielił się zapytać Ralph.

– Było zupełnie naturalne, ze względu na moją dawną... dawniejszą niż Gilberta... znajomość z lordem Warburtonem, że interesowały mnie jego zamiary.

– Interesowało cię raczej, żeby się ich wyrzekł, czy tak?

Isabel zawahała się i zmarszczyła lekko czoło.

– Niezupełnie cię rozumiem. Czy bronisz tych jego planów?

– Nic podobnego! Bardzo mnie cieszy, że nie zostanie mężem twojej pasierbicy. Stworzyłoby to niesłychanie dziwaczne powinowactwo między wami – odparł Ralph z uśmiechem. – Niepokoję się tylko, czy twój mąż nie osądzi, że okazałaś za mało

gorliwości w tej sprawie.

Isabel także zdobyła się na uśmiech.

– Za dobrze mnie zna, nie mógł spodziewać się po mnie, że będę lorda Warburtona popychała do decyzji. Sam Gilbert, jak myślę, nie chciałby tego zrobić. Nie ma obawy, potrafię się usprawiedliwić – oświadczyła lekkim tonem.

Maska zsunęła się, lecz Isabel, ku wielkiemu rozczarowaniu Ralpha, szybko przywdziała ją z powrotem. Ledwo mignęła mu prawdziwa twarz, w którą tak bardzo pragnął zajrzeć. Z jakąś dziwną zaciekłością pragnął usłyszeć z jej ust skargę na męża, wyznanie, że mąż na nią zwali odpowiedzialność za dezercję lorda Warburtona. Ralph był pewny, że tak przedstawia się sytuacja, z góry instynktownie przewidywał, jaką formę przyjmie w tych okolicznościach niezadowolenie Osmonda. Niewątpliwie najnikczemniejszą i najokrutniejszą. Chciał przestrzec kuzynkę, niechby przynajmniej wiedziała, że on za nią osądza i wszystko zgaduje. Mniejsza o to, że Isabel już nie potrzebowała przestróg, Ralph już nie tyle dla jej dobra, ile dla własnej satysfakcji pragnął ją przekonać, że nie dał się wprowadzić w błąd. Wytrwale próbował ją sprowokować, żeby złamała lojalność wobec Osmonda; czuł, że tak postępując, działa z zimną krwią, okrutnie, niehonorowo. Nie miało to większego znaczenia, skoro jego wysiłki okazały się daremne. Po cóż w takim razie przyszła, dlaczego stworzyła pozory, że daje mu szansę pogwałcenia ich dawnej milczącej umowy? Dlaczego pytała o radę, nie pozwalając mu odpowiedzieć otwarcie? Czy mogli rozmawiać o jej domowych kłopotach – jak je żartobliwie określiła – nie wymawiając imienia jedyne go i głównego ich sprawcy? Te sprzeczności dowodziły, jak głęboki był jej niepokój; z wszystkich jej słów dla Ralpha liczył się naprawdę tylko krzyk o pomoc, który przed chwilą wyrwał się jej z ust.

– Mimo wszystko dojdzie do różnicy zdań – stwierdził po chwili refleksji, a gdy nic nie odpowiedziała i patrzyła na niego, jakby niezupełnie go rozumiejąc, wyjaśnił: – Okaże się, że masz zupełnie inny pogląd niż twój mąż.

– To się często zdarza nawet w najzgodniejszych małżeństwach! – Sięgnęła po parasolkę, wyraźnie zdenerwowana; bała się, co Ralph jej teraz powie. – Zresztą nie bardzo możemy sprzeczać się na ten temat – dodała – bo właściwie sprawa dotyczy niemal wyłącznie Gilberta. Pansy jest bądź co bądź jego córką, nie moją. – I wyciągnęła do kuzyna rękę na pożegnanie, ale Ralph już się zdecydował, że nie pozwoli kuzynce odejść, póki nie da jej do zrozumienia, jak dobrze przeniknął całą prawdę; nie mógł zmarnować tej jedynej być może okazji.

– A ponieważ wchodzi w grę jego interesy, czy wiesz, co ci powie? – Isabel zaprzeczyła ruchem głowy surowym, lecz nie zniechęcającym, więc ciągnął dalej: – Powie, że twój brak entuzjazmu wynika po prostu z zazdrości. – Umilkł przerażony wyrazem jej twarzy.

– Zazdrości?

– Zazdrości o jego córkę.

Ciemny rumieniec oblał jej policzki i podnosząc wysoko głowę, powiedziała tonem, jakiego nigdy dotychczas z jej ust nie słyszał:

– Nie jesteś dla mnie dobry.

– Bądź ze mną szczerą, a przekonasz się, jak dobrze ci życzę – odparł.

Nic już więcej nie mówiąc, wyrwała z jego uścisku rękę, którą próbował przytrzymać, i szybko wyszła z pokoju. Postanowiła rozmówić się z Pansy i tego samego dnia skorzystała z pierwszej sposobności, wstępując przed obiadem do pokoju pasierbicy. Pansy była już przebrana na wieczór; zwykle starała się być gotowa jakiś czas wcześniej; odzwierciedlała się w tym zwyczaju jej miła cierpliwość i pełen wdzięku spokój: umiała czekać. W wieczorowej sukni siedziała w swojej sypialni przy kominku; po ukończeniu zabiegów toaletowych zdmuchnęła świecę, bo wychowanie wpoilo jej pewne reguły oszczędności, których w dalszym ciągu jak najskrupulatniej przestrzegała; tylko płonące na kominku drwa oświetlały pokój. Pokoje w Palazzo Roccanera były równie wielkie jak liczne, a dziewicze gniazdko

Pansy było ogromną komnatą z ciemnym, grubo belkowanym stropem. Pani tej sypialni wyglądała wśród jej ścian jak okruszyna, a gdy zerwała się żywo, by z szacunkiem powitać macochę, Isabel wyraźniej jeszcze niż zwykle dostrzegła w tym gościu nieśmiałość i szczerłość. Zadanie było trudne, Isabel musiała je wykonać jak najprościej. Postanowiła nie zdradzić swego rozgoryczenia i gniewu, starała się nawet opanować wyraz twarzy zbyt poważny czy może surowy – nie chciała przstraszyć pasierbicy. Pansy jednak odgadła, że macocha przyszła niejako w roli spowiednika, gdy bowiem Isabel usiadła na gościnnie podsuniętym bliżej ognia fotelu, Pansy uklękła obok na poduszce, złożyła splecione ręce na jej kolanach i spoglądała ku niej w górę. Isabel po to przyszła, by z własnych ust Pansy usłyszeć, że nie żywi szczególnych uczuć do lorda Warburtona; bardzo chciała upewnić się o tym, ale nie pozwoliłaby sobie pod żadnym pozorem prowokować takiego wyznania. Ojciec dziewczyny uznałby to za jawną zdradę. Gdyby Pansy okazała choć cień życzenia, by lord Warburton nie zniechęcał się w swoich staraniach, obowiązek nakazywałby Isabel trzymać język za zębami, sama to dobrze rozumiała. Trudno było wypytywać tak, aby nie wyglądało to na podsufianie odpowiedzi – prostota Pansy, jej niewinność bardziej jeszcze doskonałe niż Isabel dotychczas sądziła, sprawiały, że najdyskretniejsza nawet próba wysondowania jej uczuć mogłaby zabrzmieć jak przestroga. Kiedy klęczała w nikłym blasku ognia w ładnej, lśniącej wśród mroku sukni, z rękami splecionymi w geście modlitewnym i uległym, z łagodnymi oczyma wzniesionymi i wpatrzonymi nieruchomo w twarz macochy, przejęta powagą sytuacji, wydała się Isabel małą męczennicą, ofiarą ustrojoną przed złożeniem na ołtarzu, zbyt nieśmiałą, aby łudzić się nadzieją, że ocalenie jest dla niej możliwe. Isabel powiedziała, że jeśli nigdy dotychczas nie rozmawiała z nią o sprawach związanych z możliwością jej zamążpójścia, to milczała nie przez obojętność czy bez troskę, lecz jedynie dlatego, że chciała jej zostawić całkowitą wolność decyzji. Pansy pochyliła się ku niej, zbliżyła wzniesioną twarzyczkę ku jej twarzy i szeptem nabrzmiałym od długiej tęsknoty wyznała, że od

dawna pragnie takiej rozmowy i bardzo prosi o radę.

– Trudno mi jest doradzać ci cokolwiek – odparła Isabel – i nie wiem, czy mogłabym tego próbować. To sprawa twojego ojca, jego musisz prosić o radę, a nade wszystko powinnaś się do niej zastosować.

Pansy spuściła oczy i przez chwilę milczała.

– Myślę, że wolałabym usłyszeć, co pani mi radzi, a nie to, czego sobie papa życzy.

– To zupełnie niewłaściwe – chłodno odparła Isabel. – Ja kocham cię serdecznie, ale twój ojciec kocha cię jeszcze głębiej.

– Nie dlatego, że pani mnie kocha, ale dlatego, że pani jest kobietą – wyjaśniła Pansy takim tonem, jakby znalazła bardzo rozsądny argument. – Zamężna dama lepiej umie doradzać młodej dziewczynie niż mężczyzna.

– A więc radzę ci, żebyś odniosła się z jak największym szacunkiem do życzeń ojca.

– O, tak! – gorliwie zgodziła się Pansy – muszę tak postępować zawsze.

– Chciałam dzisiaj porozmawiać z tobą o tych sprawach nie po to, żeby ci coś radzić, ale żeby dowiedzieć się czegoś od ciebie. Jeśli poznam twoje nadzieje i pragnienia, będę mogła do nich się przystosować.

Pansy drgnęła i bardzo szybko spytała:

– Pani zrobi wszystko, czego ja pragnę?

– Zanim odpowiem, muszę wiedzieć, czego pragniesz.

Na to Pansy oznajmiła, że niczego w świecie nie pragnie bardziej niż małżeństwa z panem Rosierem. Pan Rosier oświadczył się jej, a ona mu odpowiedziała, że chętnie się zgodzi, byle papa jej pozwolił. Niestety, papa nie pozwala.

– W takim razie małżeństwo to nie jest możliwe – orzekła Isabel.

– Tak, to niemożliwe – przyznała Pansy bez westchnienia, wciąż z tym samym wyrazem skupionej uwagi na jasnej twarzyczce.

– A więc musisz pomyśleć o kimś innym – powiedziała

Isabel, ale teraz Pansy westchnęła i odparła, że próbowała, niestety, daremnie.

– Myśli się o tych, którzy o nas myślą – powiedziała z nikłym uśmiechem. – Wiem, że pan Rosier o mnie myśli.

– A nie powinien – wyniośle stwierdziła Isabel. – Twój ojciec stanowczo prosił go, żeby o tobie nie myślał.

– Trudno, musi myśleć o mnie, bo ja myślę o nim.

– Ty też nie powinnaś o nim myśleć. Dla niego można by w końcu znaleźć pewne usprawiedliwienie, ale ty nie masz żadnego.

– Ach, gdyby pani jednak spróbowała znaleźć i dla mnie! – wykrzyknęła Pansy, jakby modliła się do Madonny.

– Nie chciałabym nawet szukać – z niezwykłą oziębłością odparła Madonna. – Czy gdybyś wiedziała, że ktoś inny także myśli o tobie, myślałabyś nawzajem o nim?

– Nikt nie może myśleć o mnie tak jak pan Rosier. Nikt nie ma prawa!

– No wiesz, ja nie uznaję praw pana Rosiera! – obłudnie wykrzyknęła Isabel.

Pansy tylko spojrzała na nią, niewątpliwie zbita z tropu. Isabel, korzystając z chwilowej przewagi, zaczęła jej tłumaczyć, na jak smutne konsekwencje naraziłoby ją nieposłuszeństwo wobec ojca. Ale Pansy przerwała jej, oznajmiając bardzo pewnym tonem, że nigdy w życiu nie okaże ojcu nieposłuszeństwa i nie wyjdzie za mąż bez jego zgody. Z całym spokojem i z wielką prostotą powiedziała, że może nigdy nie będzie mogła poślubić pana Rosiera, ale nie przestanie o nim myśleć do końca życia. Jak się zdawało, godziła się na perspektywę wiecznego panieństwa, ale Isabel wiedziała, że Pansy nie rozumie w pełni sensu takiego postanowienia. Była szczerą, naprawdę gotową wyrzec się ukochanego. Można by myśleć, że to pierwszy krok do zgody na innego męża, ale w przekonaniu Pansy najwidoczniej nie była to droga prowadząca w tym kierunku. Nie czuła żalu do ojca, serce jej nie znało gorczy, wypełnione tylko słodką wiernością dla Edwarda Rosiera i dziwnym, szlachetnym przeświadczeniem, że trwając w panieństwie, lepiej jeszcze udowodni swoją miłość, niż



zaślubiając swego wybrańca.

– Twój ojciec pragnie dla ciebie lepszego losu – powiedziała Isabel. – Pan Rosier ma bardzo skromny majątek.

– Co to znaczy: lepszy los? Czyż ten nie byłby dla mnie dość dobry? Przecież nie mam posagu, z jakiej racji miałabym żądać od przyszłego męża wielkich bogactw?

– Właśnie dlatego, że sama nie masz pieniędzy, twój mąż powinien ich mieć więcej! – Isabel cieszyła się, że w pokoju jest ciemno, czując chłodną maskę nieszczerości na swojej twarzy. Oto co robi dla Osmonda, oto czego od niej wymaga Osmond! Pod uroczystym spojrzeniem Pansy, utkwionym w jej oczach, omal się nie zmieszała; wstydziła się, że tak zlekceważyła uczucia pasierbicy.

– A według pani co mam zrobić? – cicho zapytała Pansy.

Wobec tego najtrudniejszego pytania wycofała się bojaźliwie w ogólnikowe sentencje.

– Pamiętaj, ile radości możesz dostarczyć swojemu ojcu.

– To znaczy, że powinna bym wyjść za kogoś innego, jeśli ojciec będzie sobie tego życzył?

Odpowiedź nie przyszła od razu, dopiero po długiej chwili w ciszy, jakby nabrzmiałej od oczekiwania dziewczyny, Isabel usłyszała swój własny głos:

– Tak, wyjść za kogoś innego. – Pansy wpatrywała się w nią coraz bardziej przenikliwie; Isabel wydało się, że pasierbica wątpi o jej szczeroci; utwierdziła się w tym wrażeniu, gdy dziewczyna z wolna podniosła się z klęczek. Wstała i rozplótłszy drobne dłonie, powiedziała drżącym głosem:

– Mam nadzieję, że nikt inny nie oświadczy się o moją rękę.

– Owszem, jest już ktoś, kto gotów byłby oświadczyć się o ciebie.

– Nie, nie wierzę, żeby naprawdę był gotów – odparła Pansy.

– Jak sądzę, oświadczyłby się, gdyby miał pewność, że zostanie przyjęty.

– Gdyby miał pewność? A więc nie jest naprawdę gotów!

Isabel, zaskoczona bystrością tego spostrzeżenia, wstała

także i spoglądając w ogień, powiedziała:

– Lord Warburton okazał ci wiele względów. Oczywiście wiesz, że o nim mówię. – Niespodzianie dla samej siebie znalazła się w pozycji osoby, która próbuje się usprawiedliwiać; dlatego właśnie wymówiła nazwisko angielskiego arystokraty bardziej szorstko, niż zamierzała.

– Był dla mnie bardzo dobry i bardzo go lubię. Ale jeśli pani przypuszcza, że chce się o mnie oświadczyć, to moim zdaniem pani się myli.

– Może. W każdym razie twój ojciec byłby z tego ogromnie zadowolony.

Pansy z rozsądnym uśmiechem potrząsnęła głową.

– Lord Warburton nie zechce się oświadczyć po prostu dla przyjemności papy.

– Twój ojciec pragnie, żebyś tego pana zachęciła – oschle ciągnęła dalej Isabel.

– Jakże mogę go zachęcić?

– Nie wiem. Może ojciec wytłumaczy ci to.

Pansy przez chwilę milczała, ale wciąż uśmiechała się, jakby odkryła jakąś pocieszającą i niezbitą prawdę.

– Nie ma niebezpieczeństwa, nie ma! – oznajmiła wreszcie.

W głosie jej brzmiało głębokie przeświadczenie i radosna ufność, a Isabel zmieszała się tym bardziej. Czuła się winna nieuczciwości, a myśl ta przejmowała ją wstrętem. Żeby odzyskać szacunek dla samej siebie, miała ochotę powiedzieć, że lord Warburton sam zwierzył jej się ze swoich zamiarów i że niebezpieczeństwo istnieje. Zamiast tego powiedziała – w zakłopotaniu trochę od rzeczy – że lord Warburton jest niewątpliwie bardzo dobrym, życzliwym człowiekiem.

– O, tak, bardzo był dla mnie dobry – powiedziała Pansy – właśnie za to go lubię.

– W czym więc widzisz trudność?

– On wie, zawsze to czułam z całą pewnością, że ja nie chcę... jak pani to określiła?... zachęcać go. On wie, że nie chcę wyjść za mąż, i daje mi do zrozumienia, że zostawi mnie w

spokoju. Na tym polega jego dobroć. Jak gdyby mówił: „Bardzo cię lubię, ale jeśli to ci się nie podoba, nigdy już o tym nie wspomnę”. Uważam, że to jest prawdziwa dobroć i szlachetność – ciągnęła dalej z coraz głębszym przekonaniem Pansy. – To wszystko, co sobie nawzajem powiedzieliśmy. I on nie kocha mnie naprawdę. Nie, nie ma niebezpieczeństwa.

Isabel była zdumiona i pełna podziwu dla subtelnej przenikliwości, do jakiej okazała się zdolna ta potulna mała istotka; złąkała się mądrości pasierbicy i zaczęła się niemal wycofywać.

– Powinnaś to wszystko powiedzieć ojcu – stwierdziła chłodno.

– Myślę, że raczej nie powinnam – gorąco odparła Pansy.

– Nie trzeba, żeby się łudził.

– Może, ale dla mnie lepiej, żeby papa zachował tę nadzieję.

Dopóki wierzy, że lord Warburton ma takie zamiary, nie będzie snuł dla mnie innych planów. A ja na tym wygram – oznajmiła niezwykle trzeźwo mała Pansy.

Jasność jej rozumowania zdawała się tak olśniewająca, że Isabel odetchnęła z ulgą. Pansy zdjęła z niej ciężar odpowiedzialności. Miała dość jasny własny sąd, a Isabel nie czuła się teraz pod tym względem tak bogata, aby mogła dzielić się z innymi. Jednakże wciąż poczuwała się do obowiązku lojalności wobec Osmonda i za punkt honoru uważała uczciwe spełnienie powierzonej sobie misji wobec jego córki. Toteż rzuciła ostatni jeszcze argument, żeby nie zaniedbać niczego, co było w jej mocy:

– Twój ojciec jest pewny, że w każdym razie chciałabyś wyjść za arystokratę.

Pansy już stała w drzwiach i przytrzymała kotarę, żeby przepuścić przed sobą macochę.

– Myślę, że pan Rosier wygląda jak księżę – powiedziała uroczyście.

## ROZDZIAŁ XLVI

Lord Warburton nie pokazał się przez kilka następnych dni w salonie pani Osmond, a Isabel nie omieszkała zauważyć, że mąż jej nic nie wspomniał o liście, który powinien był dostać. Zauważyła też, że Osmond na coś z upragnieniem czeka i chociaż stara się nie zdradzać niecierpliwości, irytuje się, że ich arystokratyczny przyjaciel tak długo zwleka z decyzją. Czwartego dnia w końcu zagadnął:

– Gdzież się podziewa Warburton? Cóż on sobie myśli? Traktuje nas jak dostawcę zgłaszającego się z rachunkiem.

– Nic o nim nie wiem – odparła Isabel. – Ostatni raz widziałam go w piątek na Niemieckim Balu... Mówił mi, że zamierza do ciebie napisać.

– Nie napisał.

– Tak przypuszczałam, skoro mi o żadnym liście nie wspomniałeś.

– Dziwny człowiek – streścił swoją opinię o nim Osmond, a ponieważ Isabel nie odpowiedziała, wyraził zdziwienie, że jego lordowska mość potrzebuje pięciu dni na zredagowanie listu. – Czy on ma trudności w formułowaniu zdań?

– Nie wiem – odparła krótko Isabel. – Nigdy do mnie nie pisywał.

– Nigdy? Wyobrażałem sobie, że w pewnym okresie prowadziliście dość żywą korespondencję.

Powiedziała mu, że się mylił, i na tym zakończyli rozmowę. Nazajutrz jednak Osmond przyszedł późnym popołudniem do salonu, aby podjąć ten temat na nowo.

– Kiedy lord Warburton zwierzył ci się, że zamierza do mnie napisać, coś ty mu powiedziała?

Isabel wahała się przez sekundę, nim odpowiedziała:

– O ile pamiętam dokładnie, powiedziałam, żeby nie zapomniał tego zrobić.

– Sądziś, że mógł zapomnieć?  
– Jak sam zauważyłeś, to jest dziwny człowiek.  
– Najwidoczniej zapomniał – stwierdził Osmond. – Bądź więc łaskawa przypomnieć mu o tym.  
– Czy chciałbyś, żebym do niego napisała?  
– Nie miałbym nic przeciw temu.  
– Za wiele się po mnie spodziewasz.  
– A tak, spodziewam się bardzo wiele po tobie.  
– Obawiam się, że cię rozczaruję.  
– Moje nadzieje przetrwały już mnóstwo rozczarowań.  
– Oczywiście, wiem. Pomyśl, jak bardzo musiałam sama siebie rozczarować! Jeżeli rzeczywiście chcesz, żeby ktoś wywarł presję na lorda Warburtona, musisz to sam zrobić.

Osmond dopiero po kilku minutach odpowiedział:

– Nie będzie to łatwe, skoro ty grasz przeciwko mnie.

Isabel zachnęła się; poczuła, jak przeszedł ją dreszcz.

Osmond umiał patrzeć na nią półprzymkniętymi oczyma w szczególny sposób; miała wrażenie, że myśli o niej, ale jej nie widzi, i wydawało się to zamierzonym, wyrafinowanym okrucieństwem, jak gdyby dawał do zrozumienia, że myśli o niej, bo jest to przykra konieczność, ale przynajmniej stara się ignorować jej rzeczywistą obecność. Nigdy jeszcze nie odczuła tak dotkliwie jak teraz tej jego intencji.

– O ile cię rozumiem, oskarżasz mnie o coś bardzo nikczemnego – odparła.

– Oskarżam cię, że nie zasługujesz na zaufanie. Jeżeli on się w końcu nie oświadczy, to widocznie ty go od tego powstrzymałaś. Nie wiem, czy to nikczemność, ale z pewnością rodzaj gry, na jaką kobiety sobie pozwalają. Tobie prawdopodobnie wydaje się, że grasz bardzo subtelnie.

– Obiecałam ci, że zrobię, co będzie w mojej mocy.

– Obiecałaś, żeby zyskać na czasie.

Kiedy to powiedział, uprzytomniła sobie nagle, że kiedyś wydawał jej się pięknym człowiekiem.

– Tak bardzo zależy ci na tym, żeby go schwytać! –

wykrzyknęła po krótkiej chwili.

Dopiero gdy okrzyk przebrzmiał, zrozumiała pełny sens słów, które wymówiła bezwiednie. Oto porównała Osmonda ze sobą, wspominając, że ten pożądany dla niego skarb miała kiedyś w ręku i czuła się wtedy dość bogata, żeby go odtrącić. Na chwilę ogarnęło ją uniesienie, okropna radość, że zraniła Osmonda, bo wyraz jego twarzy błyskawicznie zdradził, że ani odrobina siły zawartej w jej okrzyku nie poszła na marne. Ale powiedział tylko:

– Tak, bardzo mi na tym zależy.

W tym momencie służący zaanonsował gościa i w progu ukazał się lord Warburton. Wyraźnie wzdrygnął się, spostrzegłszy Osmonda. Szybko przeniósł wzrok z jego twarzy na twarz pani domu, jak gdyby zmieszany, że im przerwał rozmowę czy może nawet zjawił się nie w porę; zaraz jednak podszedł do nich, ukazując te gładkie angielskie maniery, w których odrobina nieśmiałości jest wynikiem dobrego wychowania, a których jedyną wadą jest niemożność przejścia na inny styl. Osmond, zakłopotany, nie znalazł słów, ale Isabel dość szybko powiedziała, że właśnie o nim rozmawiali. Wtedy mąż jej dodał, że zastanawiali się, co się z nim dzieje, obawiali się nawet, że już opuścił Rzym.

– Nie – odparł lord Warburton, patrząc na Osmonda z uśmiechem – ale właśnie zamierzam to zrobić. – I wyjaśnił, że otrzymał z Anglii wezwanie do powrotu i musi wyjechać jutro lub najdalej pojutrze. – Okropnie mi przykro zostawiać tutaj biednego Touchetta – wyznał na zakończenie.

Przez chwilę wszyscy milczeli, Osmond rozparł się głębiej w fotelu, słuchając lorda Warburtona, Isabel nie patrzyła na męża, mogła więc tylko zgadywać, jaką ma minę. Skierowała wzrok na twarz gościa i zatrzymała go na niej tym swobodniej, że jego lordowska mość unikał spotkania z jej oczyma. Isabel była jednak pewna, że gdyby spotkała jego spojrzenie, powiedziałoby jej ono wiele. W pewnej chwili usłyszała, że mąż jej doradza miękkiem tonem:

– Lepiej niech pan zabierze biednego Touchetta ze sobą!

– Nie, Touchett musi poczekać na cieplejszą porę roku –

odparł lord Warburton. – Teraz nie zalecałbym mu podróży.

Gość przez kwadrans podtrzymywał konwersację, jakby nieprędko spodziewał się spotkać państwa Osmond – chyba że wybraliby się do Anglii, na co ich gorąco namawiał. Może jesienią? Pomysł wydawał mu się znakomity. Z przyjemnością starałby się im umilić pobyt, byłby szczęśliwy, gdyby przez miesiąc mógł ich gościć w swoim domu. Pan Osmond – jak sam kiedyś wspomniał – tylko raz był w Anglii, to po prostu niedorzeczne ze strony człowieka, który ma dużo wolnego czasu i tak świetną inteligencję. Kraj dla niego wymarzony, pan Osmond z pewnością czułby się tam dobrze. W tym momencie lord Warburton zwrócił się do Isabel: pamięta chyba, jak przyjemnie spędzała czas w Anglii, czy nie chciałaby przeżyć tych wrażeń raz jeszcze? Czy nie pragnie zobaczyć znowu Gardencourt? To rzeczywiście piękne miejsce. Ralph Touchett nie dba o nie jak należy, ale to jest ten typ rezydencji, który prawie nic nie traci na zaniedbaniu. Czy państwo Osmond nie wybierają się w odwiedziny do Touchetta? Niewątpliwie Ralph ich zaprasza, prawda? Nie? A cóż to za gbur! Lord Warburton obiecał, że powie właścicielowi Gardencourt, co myśli o jego manierach! Oczywiście to nie ma znaczenia, byłby z pewnością szczęśliwy, gdyby zechcieli go odwiedzić; mogliby spędzić miesiąc u Touchetta i drugi w Lockleigh, zetknęliby się z mnóstwem osób, które warto poznać, i na pewno by tego nie żałowali. Dodał, że pobyt w Anglii sprawiłby też przyjemność pannie Osmond, która nigdy tam jeszcze nie była i którą mógłby zapewnić, że kraj ten zasługuje na poznanie. Rozumie się, panna Osmond nie musi jechać do Anglii, aby spotkać się z należnym jej uwielbieniem, wzbudza je wszędzie, gdziekolwiek się pokaże, ale – jeśli to mogłoby ją zachęcić – lord Warburton gotów jest zaręczyć, że odniesie w Anglii wielkie sukcesy. Spytał, czy panna Osmond jest w domu i czy mógłby z nią też się pożegnać. Co prawda nie cierpi pożegnań, zawsze stara się od nich wymigiwać. Wyjeżdżając z Anglii, z nikim się nie pożegnał. Prawie już był zdecydowany opuścić Rzym, nie trując pani Osmond pożegnalną wizytą. Cóż

może być okropniejszego od pożegnalnych rozmów? Człowiek nigdy nie mówi tego, co naprawdę chciałby powiedzieć, przypomina sobie najważniejsze rzeczy dopiero poniewczasie, w godzinę później. Jednocześnie mówi różne rzeczy, których by mówić nie powinien, po prostu tak, byle coś gadać. Sytuacja kłopotliwa, mąci jasność umysłu. W takim właśnie położeniu znalazł się teraz i odczuwa jego skutki. Prosił panią Osmond o wyrozumiałość, jeśli mówi nie to, co trzeba, jest zanadto poruszony; niełatwo mu rozstawać się z nią. Doprawdy przykro mu, że musi wyjechać. Myślał, czyby nie napisać do pani Osmond, zamiast składać jej wizytę... i tak zresztą napisze, będzie miał do powiedzenia mnóstwo rzeczy, które przyjdą mu do głowy dopiero wtedy, kiedy już opuści jej dom. Nalegał, żeby poważnie traktowali jego zaproszenie do Lockleigh.

Jeśli w okolicznościach tej wizyty i w zapowiedzi bliskiego wyjazdu było coś kłopotliwego, to w każdym razie nic z tego nie wypłynęło na powierzchnię. Lord Warburton przyznał się do wzruszenia, lecz wcale go w całym swoim zachowaniu nie okazywał. Isabel stwierdziła, że jeśli ten człowiek raz zdecydował się na odwrót, potrafi go przeprowadzić wspaniale. Cieszyła się tym ze względu na niego; lubiła go dość, aby mu życzyć zachowania pozorów zwycięzcy. Zawsze zresztą przybierał taką postawę, nie przez arogancję, lecz po prostu z nawyku do sukcesów; Isabel wyczuwała, że jej mąż nie jest zdolny przeciwstawić się temu talentowi Warburtona. Siedziała spokojnie, ale umysł jej wykonywał zawile operacje. Słuchała gościa, odpowiadała mu tak, jak wypadało, mniej lub bardziej jasno czytała między wierszami jego wypowiedzi, zastanawiała się, co by mówił, gdyby znaleźli się sam na sam, a jednocześnie doskonale zdawała sobie sprawę z emocji Osmonda. Niemal mu współczuła, że nie może nawet ulżyć sobie przekleństwem, doznając goryczy porażki. Roił tak wielkie nadzieje, a teraz, kiedy rozwiały się niby dym, musiał siedzieć w salonie, uśmiechać się i kręcić młynka palcami. Nie wysilał się zresztą na zbyt wesoły uśmiech; ukazywał gościowi twarz o tyle obojętną, o ile mógł



pozwolić sobie człowiek tak przebiegły jak on. Wyraz całkowicie nieodgadniony stanowił właśnie istotną część jego przebiegłości. W tej chwili mina Osmonda nie odzwierciedlała rozczarowania, lecz była wynikiem stale stosowanego systemu, polegającego na tym, że twarz tym mniej wyrażała, im bardziej był czymś zainteresowany. Od początku był bardzo zainteresowany wielką szansą, jaką widział w osobie lorda Warburtona, ale nigdy nie dopuścił, by żar skrytych pragnień promieniował z jego wyrazistej twarzy. Traktował kandydata na zięcia tak samo jak wszystkich innych ludzi, jak gdyby zajmował się nim dla jego dobra, nie dla korzyści, jakie mógłby przynieść człowiekowi tak już hojnie wszystkimi łaskami losu obdarzonemu jak Gilbert Osmond. Za nic nie zdradziłby – najmniejszym nawet, najsubtelniejszym grymasem czy gestem – wściekłości, z jaką patrzył na umykającą mu wielką szansę. Isabel tego była pewna i rzecz dziwna, ale czerpała z tej pewności dużą satysfakcję; chciała, żeby lord Warburton zatryumfował nad jej mężem, lecz zarazem pragnęła, żeby ten mąż przedstawił się lordowi Warburtonowi jako człowiek niepospolity. Osmond na swój sposób godny był podziwu; tak samo jak lord Warburton znajdował oparcie w wieloletnim przyzwyczajeniu. Wprawdzie nie przywykł do zwycięstw, lecz do czegoś, co było niemal równie cenne: do niestawania w szranki. Wsunęty głęboko w fotel z pewnym roztargnieniem słuchał przyjaznych propozycji i niedopowiedzianych wyjaśnień gościa – jak gdyby oczywiste było, że lord Warburton zwraca się nie do niego, lecz do jego żony – i nie mógł przynajmniej (w braku czegoś więcej) pocieszać się myślą, że osobiście trzymał się bez wątpienia z dala od tej całej sprawy i że maskę obojętności, którą mógł teraz przywdziać, dodatkowo upiększa konsekwencja. Bądź co bądź nie mało znaczyło, że umiał zachować taką postawę, jakby manewry pożegnalne gościa nic go nie obchodziły. Lord Warburton rzeczywiście rozegrał tę scenę świetnie, ale gra Osmonda z natury rzeczy była subtelniejsza. Warburton miał właściwie dość łatwą sytuację, nie było powodu w świecie, by musiał pozostać dłużej w Rzymie. Okazał wprawdzie pewne

życzliwe skłonności, lecz powstrzymał się przed wyciągnięciem z nich konkretnego wniosku; do niczego się nie zobowiązał i wycofał się z honorem. Osmond zdawał się niezbyt zainteresowany propozycją wizyty w Lockleigh oraz aluzją do sukcesów, jakie Pansy zapewne odniosłaby w Anglii. Szepnął jakąś grzeczną formułkę, ale odpowiedź pozostawił żonie, która odparła, że sprawa wymaga głębszego rozważenia. Mówiąc to, Isabel widziała otwierającą się nagle w wyobraźni męża wielką perspektywę, jakby szeroką aleję, której środkiem wspinała się ku górze drobna figurka Pansy.

Lord Warburton wspomniał, że pragnąłby pożegnać się z panną Osmond, ale jak dotąd ani Isabel, ani jej mąż nie zrobili żadnego gestu, aby ją sprowadzić. Gość od początku dawał do zrozumienia, że jego wizyta będzie krótka; przysiadł jakby tylko na chwilę na krzeselku i trzymał kapelusz w ręku. Jednakże siedział już tak długo, że Isabel zadawała sobie pytanie, na co czeka. Przypuszczała, że nie na pannę Osmond, miała wrażenie, że w gruncie rzeczy wolałby spotkania z nią uniknąć. Doszła do wniosku, że Warburton czeka, by zostać sam na sam z panią domu, której chce coś powiedzieć. Nie miała ochoty usłyszeć tego, bojąc się, że będą to wyjaśnienia, bez których mogłaby się doskonale obyć. Wreszcie Osmond wstał, jak przystało człowiekowi taktownemu, który rozumie, że gość chciałby może ostatecznie pożegnalne słowo ofiarować damom.

– Muszę jeszcze przed obiadem napisać list – oznajmił. – Proszę mi wybaczyć. Dowiem się też, czy córka nie jest czymś zajęta, i zawiadomię ją, że pan przyszedł. Oczywiście prosimy o nas pamiętać, ilekroć będzie pan znowu bawił w Rzymie. Co do projektu naszej wyprawy do Anglii, żona odpowie panu najlepiej, o tych sprawach ona wyłącznie decyduje.

Skinienie głowy, którym – zamiast uścisku ręki – zakończył swoją krótką orację, było dość chłodne, ale okoliczności nie wymagały przecież niczego więcej. Isabel po jego wyjściu pomyślała, że lord Warburton nie może stwierdzić: „Pani mąż, jak widzę, jest zagniewany”, co byłoby dla niej bardzo przykre. Gdyby

jednak gość coś takiego powiedział, miała w głowie gotową replikę: „Och, proszę się nie przejmować. On nienawidzi mnie, a nie pana”.

Dopiero gdy zostali sami w salonie, Warburton zdradził pewne zakłopotanie – przesiadł się na inne krzesło, wziął do ręki jeden, potem drugi drobiazg znajdujący się na najbliższym stoliku.

– Mam nadzieję, że pan Osmond przyśle tu swoją córkę – powiedział. – Bardzo chciałbym ją zobaczyć.

– Cieszę się, że po raz ostatni – odparła Isabel.

– Ja także. Ona nie jest we mnie zakochana.

– Nie jest.

– Wcale mnie to nie dziwi! – I jednak dodał: – Przyjedzie pani do Anglii, prawda?

– Myślę, że raczej powinniśmy wyrzec się tej przyjemności.

– Jest mi pani winna wizytę. Pamięta pani? Miała pani raz jeszcze przyjechać do Lockleigh i nie spełniła pani tej obietnicy.

– Od tego czasu wszystko się zmieniło – powiedziała Isabel.

– Z pewnością nie na gorsze, jeśli chodzi o naszą przyjaźń.

Zobaczyć panią pod moim dachem... – urwał i po króciutkiej przerwie dokończył: – ...byłaby to dla mnie ogromna satysfakcja.

Obawiała się wyjaśnień, lecz lord Warburton na tym jedynie poprzestał. Rozmawiali chwilę o Ralphie, a potem nadeszła Pansy, już przebrana do obiadu, z lekkimi wypiekami na policzkach.

Podawała lordowi Warburtonowi rękę i stała przed nim, spoglądając na niego z trochę sztywnym uśmiechem; Isabel знаła ten wyraz jej ust, ale Warburton nie mógł nawet podejrzywać, że ten uśmiech jest bardzo bliski wybuchowi płaczu.

– Wyjeżdżam – powiedział – i chciałem się z panią pożegnać.

– Do widzenia panu – odpowiedziała trochę drżącym głosem.

– Chciałbym, żeby pani wiedziała, jak szczerze życzę pani szczęścia.

– Dziękuję panu.

Wahał się chwilę, nim zerkając na Isabel, dodał:

– Powinna pani być bardzo szczęśliwa. Ma pani anioła stróża.

– O, tak, z pewnością będę szczęśliwa – oświadczyła Pansy tonem osoby, której przewidywania są zawsze pogodne.

– Taka pewność wiele pani w życiu pomoże. Gdyby pani jednak kiedyś o tym zwątpiła, proszę pamiętać... pamiętać, że... – zająknął się trochę. – Niech pani czasem mnie wspomni! – zakończył z niepewnym śmiechem. W milczeniu uściśnął rękę Isabel i wyszedł.

Po jego odejściu spodziewała się od pasierbicy wybuchu łez, ale Pansy zrobiła jej niespodziankę.

– Pani jest moim aniołem stróżem! – wykrzyknęła z wielką słodyczą.

Isabel pokręciła głową.

– Nie jestem aniołem żadnej odmiany. W najlepszym razie jestem tylko twoją szczerą przyjaciółką.

– Jest pani bardzo dobrą przyjaciółką, skoro poprosiła pani papę, żeby był dla mnie wyrozumiały.

– O nic twojego ojca nie prosiłam – odparła Isabel w zamyśleniu.

– Kazał mi zejść do salonu i pocałował mnie bardzo czule.

– Ach tak! Zrobił to wyłącznie z własnego natchnienia.

Doskonale rozumiała motyw jego postępowania, bardzo dla Osmonda charakterystyczny, i wiedziała, że wiele razy w przyszłości będzie mogła obserwować tę jego taktykę. Osmond, nawet wobec Pansy, nie da nigdy pretekstu do zarzucenia mu najmniejszej choćby winy.

Tego wieczoru byli na proszonym obiedzie u znajomych, a potem na innym wielkim przyjęciu, toteż dopiero o późnej nocnej godzinie została sam na sam z mężem. Kiedy Pansy pocałowała go na dobranoc, odwzajemnił jej uścisk bardziej niż zazwyczaj serdecznie; Isabel przyszło na myśl, że w ten sposób manifestuje współczucie dla córki skrzywdzonej wskutek intryg macochy. W każdym razie miało to w pewnym stopniu wyrażać, czego w dalszym ciągu oczekuje od swojej żony. Isabel chciała za przykładem Pansy odejść do sypialni, lecz Osmond zatrzymał ją – miał jej coś do powiedzenia. Chwilę przechadzał się po salonie,

gdy ona czekała, stojąc w płaszczu.

– Nie rozumiem, czego ty chcesz – powiedział. – Chciałbym to wiedzieć, żeby stosownie do tego postępować.

– W tej chwili chcę tylko iść do łóżka. Jestem bardzo zmęczona.

– Usiądź i odpocznij. Nie będę cię długo zatrzymywał. Nie tam... tu masz wygodne miejsce. – Zebrał i ułożył poduszki, których mnóstwo było rozrzuconych w malowniczym nieładzie na ogromnej kanapie. Ale Isabel nie usiadła tam, lecz osunęła się na najbliższe krzesło. Ogień na kominku wygasł, nieliczne lampy słabo oświetlały ogromny salon. Isabel otuliła się płaszczem, przejęta śmiertelnym chłodem.

– Myślę, że próbujesz mnie upokorzyć – powiedział Osmond. – To zamiar niedorzeczny.

– Nie rozumiem, o czym mówisz?

– Ułożyłaś bardzo chytrą intrygę i przeprowadziłaś ją wspaniale.

– Jaką intrygę?

– Ale sprawa nie jest ostatecznie zamknięta, zobaczymy jeszcze tego pana. – Stał przy niej z rękoma w kieszeniach i spoglądał na nią z góry ze zwykłym swoim wyrazem, jak gdyby dawał do zrozumienia, że nie jest ona przedmiotem jego rozmyślań, lecz tylko niemiłą przeszkodą, która je zakłóca.

– Jeżeli sądzisz, że lord Warburton jest zobowiązany wrócić – powiedziała Isabel – to się mylisz. Nie ma wobec nas żadnych zobowiązań.

– Nad tym właśnie ubolewam. Wróci jednak nie przez poczucie obowiązku.

– Nic innego też nie skłoni go do powrotu. Myślę, że wyczerpał już wszystkie uroki Rzymu.

– Ach, to bardzo powierzchowny sąd. Rzym jest źródłem nigdy niewyczerpanym. – Osmond znów zaczął przechadzać się po salonie. – Ale może nie trzeba się z tym spieszyć – dodał. – Pomysł zaproszenia nas do Anglii wydaje mi się niezły. Gdybym nie obawiał się, że zastaniemy tam twojego kuzyna, namawiałbym

cię na tę podróż.

– Może się zdarzyć, że nie zastaniesz tam mojego kuzyna – odparła Isabel.

– Wolałbym mieć pewność. No cóż, będę starał się upewnić w granicach możliwości. Swoją drogą chciałbym zobaczyć jego dom, o którym kiedyś tyle mi opowiadałaś... jak się ta rezydencja nazywa?... Gardencourt? Wyobrażam sobie, że to urocze miejsce. Poza tym szanuję pamięć twojego wuja; słuchając tego, co mi o nim mówiłaś, nabrałem do niego wielkiej sympatii. Chciałbym zobaczyć dom, w którym żył i umarł. To oczywiście bez znaczenia. Twój przyjaciel ma słuszość, dobrze będzie, jeśli Pansy pozna Anglię.

– Z pewnością byłaby to dla niej ogromna przyjemność.

– Ale to dość odległa przyszłość, do jesieni daleko – ciągnął dalej Osmond. – Na razie są pilniejsze sprawy. Czy uważasz, że jestem bardzo dumny? – spytał nieoczekiwanie.

– Myślę, że jesteś dziwny.

– Ty mnie nie rozumiesz.

– Nie rozumiem. Nawet wtedy, kiedy próbujesz mnie znieważać.

– Nie znieważam cię, nie jestem do tego zdolny. Po prostu mówię o pewnych faktach, a jeśli wzmiankę o nich odczuwasz jak obrazę, nie jest to moja wina. Nie da się zaprzeczyć, że ster tej sprawy był wyłącznie w twoich rękach.

– Mówisz znów o lordzie Warburtonie? – spytała Isabel. – Uprzykrzył mi się już dźwięk jego nazwiska.

– Usłyszysz je nieraz jeszcze, nim ta historia się skończy.

Powiedziała, że jego słowa ją znieważają, ale nagle uprzytomniła sobie, że nie zadają jej już bólu. Osmond spadał coraz niżej, coraz niżej i widok tego upadku przyprawiał ją niemal o zawrót głowy – i to była jedyna przykrość. Tak dziwny, tak inny, nie mógł już jej dosięgnąć. Jednakże mechanizm rządzącej nim chorobliwej namiętności zdawał się niezwykły i w Isabel zbudziła się ciekawość, z jakiego punktu widzenia Osmond usprawiedliwi swoją postawę.

– Mogłabym powiedzieć, że nic z tego, co będziesz mówił, nie wydaje mi się warte słuchania – odparła po chwili – ale nie byłaby to może prawda. Chciałabym usłyszeć, sformułowany w najprostszycich słowach, zarzut, jaki mi stawiasz.

– Przeszkodziłaś małżeństwu Pansy z Warburtonem. Czy to dostatecznie jasne sformułowanie?

– Przeciwnie, bardzo życzyłam sobie tego małżeństwa. Mówiłam ci to, a kiedy powiedziałeś, że liczysz na mnie... jeśli się nie mylę, tak się właśnie wyraziłeś... przyjąłam tę misję. Popełniłam głupstwo, ale zgodziłam się pomóc.

– Udawałaś, że pomagasz, udawałaś nawet, że podejmujesz się tego niechętnie, żeby wzbudzić we mnie tym większe zaufanie. Potem wysiliłaś całą swoją pomysłowość, żeby go zawrócić z drogi.

– Zdaje się, że już rozumiem, o co ci chodzi – powiedziała Isabel.

– Gdzie podział się list, który Warburton, jak sama mówiłaś mi, napisał do mnie? – spytał Osmond.

– Nie mam pojęcia. Nie pytałam go o to.

– Przejęłaś ten list – stwierdził mąż.

Isabel z wolna wstała; otulona długim do kostek białym płaszczem wyglądała jak Anioł Pogardy – brat Anioła Litości.

– Och, Gilbercie, ty, który byłeś kiedyś tak subtelny – szepnęła.

– Nigdy nie dorównywałem pod tym względem tobie. Zrobiłaś wszystko, co chciałaś. Usunęłaś go z drogi, zachowując pozory niewinności, a mnie postawiłaś w sytuacji, w jakiej pragnęłaś mnie widzieć: w sytuacji człowieka, który próbował wydać córkę za angielskiego lorda i poniósł śmieszny porażkę.

– Pansy nie kocha się w nim, jest zadowolona z jego wyjazdu.

– To nie ma nic do rzeczy.

– On też nie kocha się w Pansy.

– Zagalopowałaś się, moja droga: sama powiedziałaś mi, że jest w niej zakochany. Nie rozumiem, dlaczego pragnęłaś tej

właśnie satysfakcji – ciągnął dalej Osmond. – Mogłaś sobie znaleźć jakąś inną. Nie sądzę, żebym był zarozumiały i że zbyt pochopnie uwierzyłem. Zachowywałem się bardzo skromnie, spokojnie. Nie w mojej głowie urodził się ten pomysł. Warburton zaczął okazywać mojej córce sympatię, nim w ogóle pomyślałem o tej możliwości. Całą sprawę zdałem na ciebie.

– Tak, bardzo chętnie zdałeś ją na mnie. Odtąd będziesz musiał sam zajmować się sprawami tego rodzaju.

Przyglądał jej się chwilę, potem odwrócił wzrok.

– Zdawało mi się, że masz wiele serca dla mojej córki.

– Nigdy nie kochałam jej serdeczniej niż dzisiaj.

– Twoje uczucia mają ściśle określone granice. No, ale to w końcu może naturalne.

– Czy to wszystko, co miałeś mi do powiedzenia? – spytała Isabel, biorąc ze stolika świecę.

– Jesteś zadowolona? Wydaję ci się dostatecznie zawiedziony?

– Myślę, że w gruncie rzeczy nie jesteś zawiedziony. Miałeś jedną więcej okazję, żeby mnie wprowadzić w osłupienie.

– Nie o to chodzi. Zyskałem dowód, że Pansy może mierzyć wysoko.

– Biedna mała Pansy – powiedziała Isabel, odchodząc ze świecą w rękę.



## ROZDZIAŁ XLVII

O przybyciu Caspara Goodwooda do Rzymu dowiedziała się od Henrietty; stało się to w trzy dni po wyjeździe lorda Warburtona. Ten ostatni fakt poprzedziło zdarzenie dość ważne dla Isabel, a związane z jedną jeszcze chwilową nieobecnością madame Merle, która bawiła w Neapolu u jakiejś przyjaciółki, szczęśliwej posiadaczki willi w Posillipo. Madame Merle już nie zajmowała się uszczęśliwianiem Isabel, która czasami nawet zastanawiała się, czy ta najdyskretniejsza z kobiet nie jest przypadkiem jednocześnie najniebezpieczniejszą. Niekiedy nocą nawiedzały ją dziwne wizje: zdawało jej się, że widzi męża oraz swoją – i jego – przyjaciółkę połączonych ze sobą jakimś niejasnym, trudnym do rozeznania związkiem. Miała wrażenie, że jej rachunki z tą damą nie są jeszcze wyrównane, że tamta jeszcze ma jakąś niespodziankę w zanadrzu. Wyobraźnia Isabel pracowała nad rozwiązaniem nieuchwytej zagadki, lecz chwilami powstrzymywał ją nieokreślony lęk, toteż gdy uroczą madame Merle przebywała z dala od Rzymu, Isabel odczuwała niemal ulgę. Wcześniej już wiedziała, że Goodwood jest w Europie, bo panna Stackpole zaraz po spotkaniu wspólnego znajomego w Paryżu zawiadomiła ją o tym. On sam nie napisał do niej i Isabel uważała za możliwe, że bawiąc w Europie, wcale nie pragnie z nią się zobaczyć. Ostatnia rozmowa, jaką odbyli przed jej ślubem, miała charakter ostatecznego zerwania; jeśli jej pamięć nie myliła, Goodwood powiedział wtedy dosłownie, że przyjechał, aby ją zobaczyć po raz ostatni. Odtąd stał się najgorszym dysonansem wśród świadków pierwszego okresu jej młodości, jedynym, z którym kojarzyła się w jej wspomnieniach nieprzemijająca przykrość. Tamtego ranka we Florencji doznała przez niego wstrząsu, którego można było uniknąć – jakby dwa okręty zderzyły się ze sobą w biały dzień. Ani mgła, ani podwodne prądy nie usprawiedliwiały katastrofy, a Isabel starała się ominąć

przeszkodę z daleka. Trzymała, jak jej się zdawało, mocno ster w rękę, gdy nastąpiło zderzenie czołowe i – by uzupełnić metaforę – lżejszy z dwóch statków został tak nadwerężony, że dotychczas niekiedy skrzypiał w spojeniach. Spotkanie z nim było dla niej okropnym przeżyciem, to w nim wcieliła się jedyna krzywda, jaką Isabel kiedykolwiek wyrządziła drugiemu człowiekowi; z wszystkich ludzi tylko Goodwood mógł do niej żywić pewne pretensje. Była winna jego nieszczęścia i nic na to nie mogła poradzić, a jego cierpienie było posępną rzeczywistością. Gdy odszedł, płakała z gniewu, sama dobrze nie wiedząc dlaczego – próbowała uwierzyć, że z powodu jego niedelikatności; zjawiał się ze swoim nieszczęściem w chwili, gdy czuła się doskonale szczęśliwa, nie oszczędził jej niczego, co mogło przyćmić czysty blask tamtych dni. Nie zachował się brutalnie, a jednak było coś brutalnego we wspomnieniu tej rozmowy. W każdym razie padł na nie jakiś cień brutalności, może tkwiącej tylko w jej wybuchu łez i w gorzkim posmaku, którego nie mogła się pozbyć przez kilka następnych dni.

Wkrótce wrażenie ostatniego apelu Goodwooda zbladło i w pierwszym roku małżeństwa Isabel wykreśliła je ze swojej pamięci. Caspar Goodwood stał się niewdzięcznym punktem odniesienia – przykro jest myśleć o osobie cierpiącej i zgnębionej z naszego powodu, gdy nie możemy nic zrobić, aby ją pocieszyć. Co innego, gdyby mogła choćby trochę wątpić o nieuleczalności jego rany, tak jak wątpiła w przypadku lorda Warburtona; niestety nie miała ani cienia wątpliwości – i agresywna, bezkompromisowa postać tego nieszczęścia czyniła je dla niej odpychającym. Nie mogła pocieszać się – jak wówczas gdy myślała o swoim angielskim wielbicielu – że ten cierpiący człowiek ma w życiu wartości, które mu wynagradzają doznaną porażkę. Nie wierzyła w wartości, jakimi rozporządzał Caspar Goodwood, i nie ceniła ich. Przędzalnia bawełny nie mogła wynagrodzić niczego, a już z pewnością nie mogła pocieszyć po utracie panny Archer. Poza tym właściwie nie wiedziała, czym jest wypełnione życie Caspara Goodwooda, jeśli pominąć zewnętrzne zasoby. O, tak, miał ich z

pewnością wiele; nie przypuszczała, żeby mógł u innych ludzi szukać pomocy. Jeżeli rozbudowywał swoją fabrykę – nie wyobrażała sobie, żeby wysiłki jego mogły przybrać inną formę – to dlatego, że z natury był przedsiębiorczy albo że widział w tym korzyść dla swoich interesów, ale na pewno nie w nadziei, że mu to pomoże zapomnieć o przeszłości. Dlatego postać ta zdawała się jakby naga i surowa, a spotkanie z nią – już to w rozpamiętywaniu przeszłości, już to w obawach – wywoływało szczególnie wstrząs; brakowało mu towarzyskiej draperii, która w naszej wysoce cywilizowanej epoce łagodzi zazwyczaj konflikty między ludźmi. Całkowite milczenie, fakt, że nigdy się do niej nie odezwał i że mało o nim przez te lata słyszała, pogłębiały jeszcze wrażenie samotności tego człowieka. Isabel w listach do Lily niekiedy pytała o niego, ale jej siostra nie wiedziała, co się dzieje w Bostonie – wyobraźnia jej nie sięgała dalej na wschód niż do Madison Avenue. W miarę jak czas płynął, Isabel coraz częściej myślała o nim i coraz mniej te myśli budziły w niej zastrzeżeń. Nieraz już przychodziło jej do głowy, żeby napisać do Caspara Goodwooda. Nigdy o nim nic nie powiedziała mężowi, postarała się, żeby nie dowiedział się o wizycie pana Goodwooda we Florencji; powściągliwości tej nie dyktowała jej w owym wczesnym okresie nieufność w stosunku do Osmonda, lecz po prostu przeświadczenie, że zawód, jaki spotkał Goodwooda, jest jego, a nie jej sekretem. Uważała, że postąpiłaby niedelikatnie, zdradzając ten sekret osobom trzecim, a w końcu sprawy Goodwooda nie mogły interesować Gilberta. Ostatecznie nigdy do niego nie napisała; doszła do wniosku, że nie mogąc złagodzić jego żalu, powinna przynajmniej zostawić go w spokoju. Jednakże chętnie by się w jakiś sposób do niego zbliżyła. Nigdy nie powstała w jej głowie myśl, że mogłaby go zaślubić; nawet gdy jasno już zdawała sobie sprawę z konsekwencji małżeństwa z Osmondem, taka możliwość – chociaż Isabel lubiła rozważać wiele różnych możliwości – nigdy nie zarysowała się dość wyraźnie, aby mogła ją sobie uświadomić. Teraz, w swej trudnej sytuacji, umieściła Caspara Goodwooda w kręgu ludzi i spraw, wobec których chciała

być w porządku. Już wspominałem, jak gorąco pragnęła mieć przeświadczenie, że nie ściągnęła na siebie nieszczęścia z własnej winy. Nie groziła jej bliska śmierć, chciała jednak zawrzeć pokój ze światem i uporządkować wszystkie swoje duchowe sprawy. Od czasu do czasu przychodziła jej do głowy myśl, że nie wyrównała jeszcze rachunków z Casparem, i czuła się skłonna czy też zdolna uregulować je na warunkach dla niego lżejszych niż dawniej. Ale kiedy usłyszała, że Goodwood przyjechał do Rzymu, ogarnął ją znowu strach; dla niej bardziej niż dla kogokolwiek bolesne będzie odkrycie zakłóceń w jej osobistych sprawach – a wykryć je musi nieuchronnie jak fałszywe liczby w bilansie czy coś w tym rodzaju. W głębi serca wierzyła, że Goodwood zainwestował w jej szczęściu cały swój kapitał, gdy inni – tylko część mienia. Należał do grona ludzi, przed którymi szczególnie chciała zataić swoje wewnętrzne napięcie. Uspokoiała się, gdy przez kilka dni po przybyciu do Rzymu Caspar Goodwood nie zjawił się w jej domu.

Henrietta Stackpole, jak łatwo sobie wyobrazić, okazała więcej skwapliwości i nie szczeniła przyjaciółce swego towarzystwa. Isabel chętnie poświęcała jej czas, bo w okresie gdy tak bardzo pragnęła mieć czyste sumienie, był to jeden ze sposobów udowodnienia, że nie jest istotą powierzchowną – tym bardziej że z biegiem lat w pannie Stackpole rozwinęły się – miast zwiędnąć – te jej szczególne cechy, które były przedmiotem żartobliwej krytyki ze strony osób mniej dla niej życzliwych niż Isabel i które w dalszym ciągu występowały dość jaskrawo, by nadać wierności przyjaciółki posmak heroizmu. Henrietta, bystra, żywa i świeża jak dawniej, pozostała inteligentna, zgrabna i ładna. Żadne story nie przesłaniały jej szeroko otwartych oczu świecących jak oszklone budynki dworca; suknie jej nie straciły nic z dawnej elegancji, a poglądy z patriotyzmu. A jednak coś się w Henriecie zmieniło. Isabel zauważyła w niej jakieś zmącenie umysłu. Dawniej panna Stackpole nigdy nie była roztargniona; często prowadziła dociekania w kilku kierunkach jednocześnie, ale na każdym umiała skupić całą i wyostrzoną uwagę. Wszystko, cokolwiek robiła, uzasadniała jakąś przyczyną, miała

niewyczerpane zasoby motywów. Przedtem przyjeżdżała do Europy, ponieważ chciała ją zwiedzić, ale teraz, gdy już ją знаła, nie miała żadnego usprawiedliwienia. Ani przez chwilę nie udawała, że jej najnowsza podróż ma jakiś związek ze studiami nad rozkładającą się cywilizacją; wyprawa ta była manifestacją niezależności od Starego Świata, a nie poczucia jakichkolwiek wobec niego obowiązków.

– Podróż do Europy to rzecz bez znaczenia – tłumaczyła przyjaciółce. – Można ją odbyć bez powodu; pozostanie w kraju rodzinnym to co innego, to jest o wiele ważniejsze. – A więc bez poczucia, że robi coś godnego uwagi, podjęła drugą pielgrzymkę do Rzymu. Zwiedziła to miasto za pierwszym razem bardzo dokładnie; ta druga wizyta była po prostu wynikiem zażyłości, przeświadczeniem, że wie już o Wiecznym Mieście wszystko i ma prawo przebywać tutaj tak samo jak każdy. W sumie brzmiało to bardzo pięknie, a jeśli Henrietta była niespokojna, to w końcu do tego także miała prawo. Ale do przyjazdu skłoniły ją w rzeczywistości powody bardziej przekonujące niż lekceważenie tej wyprawy. Isabel odgadła je bez trudu i jednocześnie oceniła wierność przyjaciółki. Henrietta przeprowadziła się w pełni zimy przez burzliwy ocean, ponieważ domyśliła się, że Isabel jest smutna. Henrietta często różnych rzeczy domyślała się, nigdy jednak domysły jej nie były tak trafne i pożądane. Isabel nie miała w tym okresie wielu powodów do satysfakcji, ale nawet gdyby ich miała mnóstwo, doznałaby niezwyklej osobistej radości, znajdując takie potwierdzenie, że nie myliła się, zawsze wysoko ceniąc Henriettę. Wiele jej wybaczała, ale mimo wszystkich zastrzeżeń wierzyła niezachwianie w jej wartość. Jednakże większą niż we własnym tryumfie pociechę znalazła w możliwości wypowiedzenia się tej powiernicy, pierwszej osobie, której należała się taka spowiedź. Henrietta zresztą bez zwłoki sama poruszyła tę sprawę, wytykając przyjaciółce bez ogródek, że wydaje się zgnębiona. Była kobietą, siostrą, przed nią więc – w przeciwieństwie do Ralpa, lorda Warburtona i Caspara Goodwooda – Isabel mogła otworzyć serce.

– Tak, jestem zgnębiona – przyznała potulnie. Z przykrością usłyszała własny głos wymawiający te słowa; starała się nadać im ton jak najrozsądniejszy.

– Co on ci zrobił? – spytała Henrietta, jak gdyby chodziło o zabieg dokonany przez znachora.

– Nic. Ale nie lubi mnie.

– Ależ ma wymagania! – wykrzyknęła panna Stackpole. – Dlaczego nie rzucisz go?

– Nie mogę się tak zmienić – odparła Isabel.

– Ciekawam dlaczego? Nie chcesz się przyznać, że popełniłaś błąd. Za dumna jesteś.

– Nie wiem, czy jestem dumna. Ale nie mogę ogłosić publicznie swojej pomyłki. To byłoby nieprzyzwoite. Wolałabym umrzeć.

– Nie zawsze będziesz tak myślała.

– Nie wiem, do czego może mnie doprowadzić wielkie nieszczęście, ale myślę, że zawsze będę się wstydziła. Człowiek nie może wyprzeć się własnych uczynków. Wzięłam z nim ślub przed światem, całkowicie dobrowolnie, trudno by znaleźć przykład decyzji bardziej świadomej. Nie można się tak zmienić – powtórzyła Isabel.

– Nie można, a jednak bardzo się zmieniłaś. Nie powiesz mi, mam nadzieję, że lubisz go.

Isabel zastanawiała się chwilę.

– Nie, nie lubię go. Mówię ci o tym, bo zmęczyłam się dźwiganiem swojego sekretu. Ale na tym koniec, nie mogę tego ogłaszać całemu światu.

Henrietta parsknęła śmiechem.

– Czy nie sądzisz, że nie powinnaś go tak oszczędzać?

– Ja nie jego oszczędzam, ale siebie – odparła Isabel.

Trudno się dziwić, że Gilberta Osmonda nie cieszyła obecność panny Stackpole; instynkt ostrzegał go przed kobietą, która zdolna była namawiać Isabel do opuszczenia małżonka. Kiedy Henrietta przyjechała do Rzymu, wyraził nadzieję, że jego żona nie będzie zajmowała się swoją przyjaciółką dziennikarką.

Isabel zapewniła go, że nie ma się czego obawiać ze strony panny Stackpole. Henriecie powiedziała, że wobec niechęci Osmonda nie może jej zapraszać na obiady, ale poza tym będą się widywały ze sobą, ile zechcą. Przyjmowała więc pannę Stackpole we własnym salonie i zabierała powozem na spacer; Pansy, siedząc naprzeciw nich, wlepiła w słynną literatkę oczy z pełną szacunku uwagą, która niekiedy irytowała Henriette. Żaliła się przyjaciółce, że panna Osmond ma taką minę, jakby zapisywała w pamięci każde zasłyszane z jej ust słowo.

– Nie chcę, żeby w ten sposób zapamiętywano wszystko, co mówię – oświadczyła. – Rozmowa, tak jak gazeta poranna, aktualna jest tylko w danej chwili. Twoja pasierbica wygląda na osobę, która przechowuje wszystkie stare numery, żeby pewnego dnia użyć ich jako dowodów przeciwko mnie! – Nie mogła polubić Pansy; banalność jej konwersacji, brak inicjatywy i jakichkolwiek osobistych dążeń wydawały jej się czymś nienaturalnym czy nawet nienormalnym w dwudziestoletniej dziewczynie.

Isabel wyczuwała, że Osmond chce, aby gorliwiej broniła swoją przyjaciółkę, aby upierała się przyjmować ją przy wspólnym stole; mógłby wtedy grać rolę męczennika cierpiącego w imię dobrych manier; Isabel jednak bez sprzeciwu zastosowała się do jego życzeń i wskutek tego znalazł się w niekorzystnej sytuacji; okazanie pogardy ma tę złą stronę, że nie można jednocześnie zasłużyć na pochwałę za okazanie życzliwości. Osmondowi zależało na wszystkich tytułach do pochwał, ale zarazem też na przeprowadzeniu własnej woli; dwa te warunki nie dawały się wszakże ze sobą pogodzić. Najlepiej byłoby, gdyby panna Stackpole raz i drugi zasiadła do stołu w Palazzo Roccanera i przekonała się (mimo zawsze nienaganej z pozoru grzeczności gospodarza), jak mało przyjemności towarzystwo jej sprawia panu domu. Obie damy nie pomogły mu w stworzeniu tak pożądaney sytuacji, toteż Osmond mógł tylko życzyć sobie, żeby gość z Nowego Jorku jak najprędzej wyniósł się za ocean. Zdumiewające, jak mało satysfakcji dostarczali mu przyjaciele żony; nie omieszkał przy pierwszej okazji podzielić się z nią tym spostrzeżeniem.

– Nie masz szczęśliwej ręki w doborze przyjaciół. Chciałbym, żebyś postarała się o nową kolekcję – powiedział pewnego ranka, bez związku z jakimś konkretnym incydentem, po prostu wyrażając wniosek, do którego doszedł po głębszej rozwadze; pozbawiał w ten sposób swoje uwagi napastliwego charakteru. – Jak gdybyś specjalnie wyszukała na świecie tych ludzi, z którymi nie mam wspólnego języka. Twój kuzyn od początku wydawał mi się zarozumiałym osłem, a w dodatku najmniej wydarzonym ze stworzeń boskich. Co najgorsze, nie można mu tego powiedzieć, trzeba go oszczędzać ze względu na stan zdrowia. Słabe zdrowie jest jego najmocniejszym atutem, daje mu wyjątkowe przywileje. Jeżeli rzeczywiście jest beznadziejnie chory, mógłby to udowodnić tylko jednym sposobem, ale, jak widać, wcale nie zamierza tego zrobić. Niewiele więcej wart ten twój wielki Warburton. Jeśli się nad tym zastanowić, jego postępowanie jest wręcz bezczelne. Zjawia się, ogląda pannę jak mieszkanie do wynajęcia, próbuje klamek, sprawdza, jaki widok rozciąga się z okien, opukuje ściany i prawie że decyduje podpisać się kontrakt. Proszę mi przygotować tekst umowy! I w ostatniej chwili rozmyśla się, pokoje są za małe, nie chciałby mieszkać na trzecim piętrze, musi poszukać jakiegoś *piano nobile*. Znika po miesiącu korzystania za darmo z biednego mieszkanka. Ale najdziwniejszy z twoich wynalazków to panna Stackpole. Wydaje mi się jakąś odmianą smoka. Nie ma we mnie ani jednego nerwu, który by nie dygotał w jej obecności. Jak ci już mówiłem, nie uważam jej za kobietę. Wiesz, co mi ona przypomina? Najszykardniejszą rzecz na świecie: nowoczesną stalówkę. Gada tak, jak stalówka pisze, czy się mylę, czy też rzeczywiście pisze listy na liniowanym papierze? A myśli, gestykuluje, chodzi i wygląda tak samo, jak pisze. Odpowiesz, że nie powinienem na nią narzekać, skoro jej nie widuję. Nie widuję, ale słyszę, słyszę od rana do nocy. Jej głos brzęczy mi w uszach, nie mogę się go pozbyć! Wiem dokładnie, co panna Stackpole mówi i jakim akcentem. Mówi oczywiście o mnie w sposób czarujący, który tobie bardzo się podoba. Ale ja na samą myśl, że ona mówi o mnie,



czuję się tak, jakbym się dowiedział, że lokaj nosi mój kapelusz.

Henrietta mówiła o nim znacznie mniej, niż podejrzewał – Isabel starała się go o tym przekonać. Panna Stackpole miała mnóstwo innych tematów do rozmowy, a dwa z nich mogą szczególnie zainteresować czytelnika. Według jej zapewnień Caspar Goodwood sam odkrył, że Isabel jest nieszczęśliwa, ale nawet domyślna Henrietta nie umiała odgadnąć, w jaki sposób pan Goodwood spodziewa się pomocy Isabel, jeśli przyjechał do Rzymu i nie złożył jej nawet wizyty. Panie dwa razy widziały go na ulicy, lecz on, jak się zdawało, wcale ich nie zauważył; jechały powozem, a Goodwood, swoim zwyczajem, patrzył prosto przed siebie, jak gdyby skupiał uwagę na jednym tylko punkcie. Isabel miała wrażenie, że ledwie poprzedniego dnia pożegnała go; z taką samą miną i takim samym krokiem wyszedł na florencką ulicę, gdy drzwi rezydencji pani Touchett zamknęły się za nim po ostatniej rozmowie z panną Archer. Ubrany był też tak samo jak tamtego dnia – Isabel zapamiętała kolor jego krawata; mimo to dostrzegła w nim jakąś dziwną zmianę i znowu ogarnął ją lęk z powodu jego przyjazdu do Rzymu. Wydawał jej się większy i groźniejszy niż dawniej, chociaż zawsze miał imponującą postawę. Zauważyła, że na ulicy Rzymu ludzie oglądają się za nim, ale on szedł prosto przed siebie, z twarzą wzniesioną i chmurną jak lutowe niebo.

Był inny jeszcze temat rozmów panny Stackpole: udzieliła przyjaciółce najświeższych nowin o panu Bantlingu. W poprzednim roku odwiedził Stany Zjednoczone i Henrietta z przyjemnością stwierdziła, że mogła mu oddać wiele przysług. Nie wiedziała, czy dobrze się bawił, ale to pewne, że dużo na tej podróży skorzystał: wyjeżdżając, był po prostu innym człowiekiem niż ten pan Bantling, który przyjechał. Oczy mu się otworzyły i zrozumiał, że świat nie kończy się na Anglii. W wielu środowiskach pozyskał sympatię, ale i opinię Anglika wyjątkowo naiwnego, bardziej nawet, niż się na ogół po przedstawicielu tego narodu spodziewano. Niektóre osoby uznały go za nienaturalnego, Henrietta zastanawiała się, czy miało to znaczyć, że jego naiwność

wydaje im się udawana. Czasami zadawał pytania doprawdy beznadziejne: myślał, że wszystkie pokojówki są córkami farmerów czy też wszystkie córki farmerów pokojówkami – Henrietta sama już nie wiedziała. Nie mógł w żaden sposób zrozumieć wspianego systemu amerykańskiego szkolnictwa, nie mieściło się to w jego głowie. W ogóle zachowywał się tak, jakby wszystko, co widzi, nie mogło mu się w głowie pomieścić, wobec czego postanowił przyswoić sobie tylko małą część. Wybrał jako tę część hotelarstwo i żeglugę rzeczną. Hotele fascynowały go, fotografował każdy, w którym zdarzyło mu się nocować. Nade wszystko interesowały go jednak parowce kursujące po rzekach, najchętniej pływałby nimi przez cały czas. Odbyli razem podróż z Nowego Jorku do Milwaukee, zatrzymując się po drodze w co ciekawszych miastach, i na każdym etapie zapytywał, czy nie można by dalej podróżować statkiem parowym. Nie miał pojęcia o geografii, był przekonany, że Baltimore leży na Dzikim Zachodzie, i wciąż spodziewał się, że dotrą nad Missisipi. Nigdy w życiu, jak się zdaje, nie słyszał o innych amerykańskich rzekach, i z trudem dał się przekonać o istnieniu Hudsonu, chociaż w końcu musiał przyznać, że jest nie gorszy niż Ren. Kilka przyjemnych godzin spędzili w salonkach. Nie przestał do końca dziwić się, że w pociągu można kupić lody. Oczywiście w angielskich pociągach nie sprzedaje się lodów ani wachlarzy czy cukierków, w ogóle niczego. Upały okropnie mu dokuczały, aż Henrietta wyrażała nadzieję, że nic gorszego w życiu go nie spotka. Obecnie pan Bantling poluje w Anglii – jeździ z polowania na polowanie, jak mówiła Henrietta. Ulubiona rozrywka amerykańskich czerwonoskórych, my, Amerykanie, dawno wyrośliśmy z tej zabawy. W Anglii jednak ludzie wyobrażają sobie, że nosimy tomahawki za pasem i pióra na głowie, ale strój ten bardziej harmonizowałby z obyczajami Anglików. Pan Bantling nie będzie miał czasu, żeby przyjechać do Rzymu, lecz gdy panna Stackpole uda się stąd do Paryża, zapewne znów się spotkają. Marzył, żeby raz jeszcze zwiedzić Wersal, bo uwielbiał *ancien régime*. Pod tym względem gusta ich różnią się, dla Henrietty Wersal ma ten urok,

że przypomina o upadku starej monarchii absolutnej. Nie ma tam już diuków i markizów, za to bywają Amerykanie – zapamiętała dzień, w którym aż pięć amerykańskich rodzin błąkało się po pałacu i parku. Pan Bantling bardzo ją namawiał, żeby raz jeszcze podjęła reportaże z Anglii, w nadziei, że tym razem powiedzie jej się lepiej. Anglia bardzo zmieniła się w ciągu tych kilku lat. Jeśli Henrietta zdecyduje się na to, pan Bantling osobiście odwiedzi swoją siostrę, lady Pensil, i dopilnuje, żeby jej zaproszenie doszło niezwłocznie do rąk panny Stackpole. Tajemnicze zaginięcie poprzedniego zaproszenia nie zostało nigdy wyjaśnione.

Caspar Goodwood zjawiał się wreszcie w Palazzo Roccanero; poprosił przedtem listownie panią Osmond o pozwolenie, którego udzieliła mu natychmiast; odpisała, że będzie w domu od szóstej po południu. Przez cały dzień zastanawiała się, jaki jest cel tej wizyty i czego pan Goodwood po niej się spodziewa. Zawsze dotychczas uważała go za człowieka niezdolnego do kompromisów – takiego, który musi dostać wszystko, czego żąda, albo też nie przyjmie niczego. Bez zastrzeżeń okazała mu jednak gościnność i dość łatwo zdobyła się na wesołość, aby go zwieść pozorami szczęścia. Przynajmniej wierzyła, że go zwiodła i że pan Goodwood musiał dojść do wniosku, iż jego wcześniejsze informacje były fałszywe. Zaobserwowała jednak, czy też tak jej się zdawało, że Caspar Goodwood nie doznał zawodu, jaki odczułoby z pewnością wielu innych mężczyzn na jego miejscu; a więc nie szukał w Rzymie szansy dla siebie. Nigdy nie dowiedziała się, po co przyjechał, bo tego jej nie wyjawiał; wyglądało na to, że po prostu pragnął ją zobaczyć. Innymi słowy, przyjechał dla własnej przyjemności. Isabel wysunęła taki wniosek i trzymała się go dość kurczowo, ucieszona, że znalazła formułę, która pogrzebie upiora krzywdy wyrządzonej niegdyś panu Goodwoodowi. Jeśli przyjechał do Rzymu dla przyjemności, popierała gorąco jego zamiary. Jeśli chce się zabawić, to znaczy, że rany jego serca już się zagoiły. A jeżeli rany się zagoiły, wszystko jest w porządku, Isabel uwolniła się od odpowiedzialności. Co prawda jak na poszukiwacza rozrywek zachowywał się dość

sztywno, ale nigdy nie miał łatwego, swobodnego sposobu bycia, a wszystko świadczyło, że jest zadowolony z tego, co tutaj zobaczył. Był powiernikiem Henrietty, ale nawzajem jej się nie zwierzał, więc Isabel nie mogła za pośrednictwem przyjaciółki dowiedzieć się czegokolwiek o stanie jego ducha. Caspar Goodwood chętnie rozmawiał na ogólne tematy; Isabel przypomniawszy sobie, że kiedyś przed laty powiedziała o nim: „Pan Goodwood jest rozmowny, ale niczego nie mówi”. Teraz też rozmawiał wiele, ale mówił nie więcej niż zwykle, biorąc pod uwagę, że w Rzymie jest szczególnie dużo tematów do konwersacji. Jego przyjazd nie mógł przyczynić się do uproszczenia stosunków między Isabel a jej mężem; Osmond nie lubił przyjaciół żony, a pan Goodwood zasługiwał na jego uwagę jedynie z racji przynależności do tej kategorii. Nie mogła mężowi powiedzieć o tym panu nic poza tym, że jest najdawniejszym z jej znajomych – to zwięzłe określenie streszczało całą historię. Musiała Caspara przedstawić Gilbertowi, nie mogła przecież uniknąć zaproszenia Goodwooda na obiad i na czwartkowe przyjęcia, które już ją nudziły, ale które wydawała w dalszym ciągu, ponieważ Osmondowi na nich zależało; przywiązywał wagę nie tyle do zapraszania pewnych osób, ile do pomijania innych.

Pan Goodwood bywał na czwartkowych wieczorach regularnie i uroczyście; przychodził dość wcześnie i odnosił się do tej sprawy z wielką powagą. Chwilami Isabel ogarniała złość, że pan Goodwood traktuje wszystko tak dosłownie; powinien by zrozumieć, że Isabel nie wie, co z nim począć. Ale nie mogła nazwać go głupcem, na to z pewnością nie zasługiwał; był tylko niezwykle uczciwy. Uczciwość posunięta do tego stopnia wyróżniała go wśród ludzi – i niemal zmuszała do uczciwości wobec niego. Ta myśl nękała ją, ilekroć udało jej się, jak sądziła, przekonać go, że jest najbardziej beztruską z kobiet na świecie. Goodwood nigdy nie okazywał co do tego wątpliwości i nie zadawał osobistych pytań. Z Osmondem porozumiewał się lepiej, niż można było przewidywać. Osmond nie znosił, aby w czymś na niego liczono, i w takich przypadkach ulegał nieprzemyślanej chęci

rozczarowania obserwatorów. Dzięki tej regule postanowił zabawić się okazywaniem sympatii dla sztywnego bostończyka – skoro oczekiwano, że potraktuje go bardzo oziębło. Spytał Isabel, czy pan Goodwood także pragnął jej za żonę, i bardzo się dziwił, że mu odmówiła. Byłby to los wspaniały, żyłaby jak gdyby pod jakąś wysoką dzwonnica, wybijającą każdą godzinę i wprawiającą w dziwne wibracje górne warstwy atmosfery. Twierdził, że lubi rozmawiać z wielkim Goodwoodem; zaczyna się niełatwo, trzeba wspinać się bez końca po stromych schodach na szczyt wieży, ale osiągnąwszy cel, można podziwiać rozległy widok i oddychać świeżym powietrzem. Osmond, jak wiadomo, umiał być bardzo miły i nie szczędził trudu, żeby oczarować pana Goodwooda. Isabel zaobserwowała, że Goodwood nabrał o jej mężu lepszego mniemania, niżby pragnął; pamiętnego ranka we Florencji nie zdawał się wcale skłonny ulec tego rodzaju wrażeniom. Osmond kilka razy zapraszał go na obiad – potem Goodwood wypalał cygaro w towarzystwie pana domu i nawet chętnie oglądał jego kolekcję. Gilbert powiedział Isabel, że pan Goodwood wydaje mu się bardzo oryginalny, mocny i doskonały w stylu – jak angielska walizka, z mnóstwem sprzączek i klamer, które nigdy się nie zniszczą, i ze znakomitym patentowym zamkiem. Goodwood jeździł konno po drogach Kampanii i poświęcał dużo czasu tym przejażdżkom, toteż Isabel widywała go niemal wyłącznie wieczorami. Kiedyś powiedziała mu, że jeśli chciałby jej oddać przysługę, będzie miała do niego pewną prośbę; teraz przypomniała to sobie i jemu, dodając z uśmiechem:

– Nie wiem co prawda, czy mam prawo prosić pana o przysługę.

– Nikt w świecie nie ma takich praw jak pani – odparł. – Nigdy wobec nikogo innego nie byłem tak zobowiązany.

Przysługa miała polegać na odwiedzaniu jej kuzyna, samotnego i chorego w Hôtel de Paris, i na okazaniu mu możliwie największej życzliwości. Pan Goodwood nie znał go osobiście, ale słyszał na pewno o tym biedaku; jeśli jej pamięć nie myliła, Ralph Touchett kiedyś zapraszał go do Gardencourt. Goodwood pamiętał

to zaproszenie, a chociaż nie uchodził za człowieka obdarzonego wielką wyobraźnią, umiał wczuć się w położenie chorego umierającego w rzymskim hotelu. Poszedł do Hôtel de Paris i w pokoju pana na Gardencourt zastał siedzącą u jego wezgłowia Henriettę Stackpole. Szczególna zmiana zaszła w stosunkach tej młodej damy z Ralphem Touchettem. Isabel nie prosiła jej o odwiedzenie Ralpa, lecz Henrietta, gdy dowiedziała się, że jest ciężko chory i nie wychodzi na miasto, z własnej inicjatywy pospieszyła do niego. Odtąd bywała codziennie – wciąż w przekonaniu, że są wielkimi wrogami.

– O, tak, jesteśmy bardzo serdecznymi wrogami – mawiał Ralph i oskarżał ją często – o tyle, o ile na to pozwalało mu poczucie humoru – że przychodzi zdręzczać go na śmierć. W rzeczywistości zaprzyjaźnili się bardzo i Henrietta dziwiła się, że od początku nie lubiła Ralpa tak jak teraz. Ralph ze swej strony zawsze ją lubił i ani przez chwilę nie wątpił, że jest wspaniałą kobietą. Rozmawiali o wszystkim i różnili się w opiniach we wszystkim – z wyjątkiem osoby Isabel; mówiąc o niej, Ralph zawsze kładł palec na usta. Pan Bantling natomiast stanowił temat nigdy niewyczerpany, Ralph godzinami dyskutował o nim z panną Stackpole. Oczywiście dyskusję tę ożywiała nieunikniona różnica zdań, bo Ralph zabawiał się udowadnianiem, że pogodny eksgwardzista jest drugim Machiavellim. Goodwood niewiele mógł wnieść do tej debaty, lecz gdy został sam na sam z Ralphem, znaleźli mnóstwo innych tematów; nie należała do nich dama, która dopiero co opuściła pokój; Caspar z góry gotów był przyznać jej wszystkie zalety, lecz nic ponadto nie miał do powiedzenia. O pani Osmond musieli wspomnieć na wstępie, lecz woleli w dalszej rozmowie omijać ten temat, który wydawał się Goodwoodowi równie jak Ralphowi niebezpieczny. Caspar głęboko współczuł nowemu znajomemu, niedającemu się zaliczyć do żadnej znanej mu kategorii; cierpiał, patrząc, jak ten oryginał, niezwykle mimo dziwactwa sympatyczny, ginie i nikt mu już nie jest w stanie dopomóc. Goodwood w każdej sytuacji musiał działać, więc w tym przypadku też robił, co mógł, czyli powtarzał swoje wizyty w

Hôtel de Paris. Isabel cieszyła się z własnego sprytu: chytrze pozbyła się uciążliwego pana Goodwooda, zatrudniając go, mianując opiekunem Ralpa. Planowała, że w jego eskorcie wyprawi kuzyna na północ, gdy tylko łagodniejsza pogoda umożliwi choremu podróż. Lord Warburton przywiózł Ralpa do Rzymu, a Caspar Goodwood go stąd wywiezie. Widziała w takim układzie zdarzeń jakąś zadowalającą symetrię i teraz czekała już z niecierpliwością na wyjazd kuzyna. Nieustannie drżała z lęku, że Ralph umrze tutaj, na jej oczach; przejmowała ją zgrozą myśl, że może się to stać w hotelu, niejako pod jej drzwiami, których próg Ralph przekroczył ledwie kilka razy. Powinien zasnąć na wieki we własnym, kochanym domu w Gardencourt, w jednej z wielkich mrocznych komnat, której okna lśnią w ramie bluszczu. W tym okresie Gardencourt zdawał jej się miejscem uświęconym; rozdział przeszłości z nim związany był bardziej niż inne nieodwołalnie dla niej zamknięty. Gdy wspominała miesiąc, który tam spędziła, łzy napływały jej do oczu. Szczyciła się, jak już mówiłem, własną pomysłowością, ale musiała mobilizować wszystkie jej zasoby, bo pewne drobne zdarzenia piętrzyły przed nią coraz to inne przeszkody. Hrabina Gemini przybyła z Florencji z mnóstwem kufków, sukien, plotek, kłamstw, lekkomyślności, owiana dziwną grzeszną famą o całym zastępie kochanków. Edward Rosier – który poprzednio wyjechał, nie wyjawiając nikomu, nawet pannie Osmond, celu podróży – znowu pojawił się w Rzymie i zasypywał Isabel listami, pozostawianymi zresztą bez odpowiedzi. Madame Merle wróciła z Neapolu i z zagadkowym uśmiechem zapytała: „Coś ty, na Boga, zrobiła z lordem Warburtonem?” – jak gdyby to była jej sprawa.

## ROZDZIAŁ XLVIII

Pewnego dnia pod koniec lutego Ralph Touchett zdecydował się na powrót do Anglii. Miał po temu osobiste powody, z których nie był obowiązany nikomu się tłumaczyć, ale które Henrietta Stackpole odgadła, gdy jej wspomniał o swoich zamiarach. Powstrzymała się jednak od komentarzy i po chwili namysłu, siedząc obok jego kanapy, spytała:

– Pan chyba rozumie, że nie może podróżować sam?

– I wcale nie zamierzam! – odparł Ralph. – Mam przecież swoich ludzi.

– O kim pan mówi? O płatnych służących?

– Cóż – z humorem odparł Ralph – bądź co bądź to także ludzie.

– A czy są wśród nich kobiety? – spytała panna Stackpole.

– Mówi pani tak, jakbym miał ich z tuzin! Nie, wyznaję, że wśród mojego personelu nie ma kobiet.

– Nie może pan pojechać do Anglii w takich warunkach – spokojnie stwierdziła Henrietta. – Potrzeba panu kobiecej opieki.

– Tak wiele doznałem jej od pani w ostatnich tygodniach, że ten zapas wystarczy mi na jakiś czas.

– Nie dość jeszcze. Pojadę z panem – oznajmiła Henrietta.

– Pojedzie pani ze mną? – Ralph z wolna podniósł się z kanapy.

– Tak. Wiem, że pan mnie nie lubi, ale odwiozę pana na miejsce. Proszę leżeć, pan sobie zaszkoździ.

Ralph przyglądał jej się chwilę, potem osunął się z powrotem na poduszki.

– Lubię panią. Bardzo – wyznał po dłuższej chwili.

Panna Stackpole nieczęsto wybuchwała śmiechem tak jak w tym momencie.

– Niech pan sobie nie wyobraża, że dam się przekupić pochlebstwami. Pojadę z panem, a co więcej, będę się panem



opiekowała.

Zanim odeszła, Ralph spytał ją:

– Pani naprawdę chce się mną opiekować?

– Ano spróbuję.

– Uprzedzam, że poddam się bez oporu. O, tak, poddam się chętnie. – I może ten brak oporu wyraził się w śmiechu, jakim wybuchnął w kilka minut po wyjściu panny Stackpole, gdy został sam. Perspektywa podróży przez całą Europę pod nadzorem panny Stackpole wydała mu się niedorzecznym, ostatecznym dowodem rezygnacji z wszelkiej samodzielności, wyrzeczenia się wszelkiej władzy. Co najdziwniejsze, ta perspektywa bardzo mu się podobała – z wdzięcznością przyjmował wygodną bierną rolę. Niecierpliwił się nawet, żeby wyruszyć bez zwłoki. Ogarnęła go wielka tęsknota za własnym domem. Koniec był bliski, zdawało mu się, że już w zasięgu ręki. Ale chciał umrzeć w domu; zostało mu już tylko to jedno pragnienie: leżeć w dużym, cichym pokoju, gdzie po raz ostatni widział umierającego ojca, i zamknąć oczy z widokiem letniego świtu pod powiekami.

Nazajutrz odwiedził go Caspar Goodwood i Ralph powiedział mu, że panna Stackpole objęła nad nim opiekę i odwiezie go do Anglii.

– Obawiam się, że w takim razie będę piątym kołem u wozu – odparł Goodwood. – Obiecałem pani Osmond na jej życzenie, że pojedę z panem.

– Na Boga, ależ to istny złoty wiek. Wszyscy są dla mnie za dobrzy.

– Jeśli o mnie chodzi, robię to dla niej, a nie dla pana.

– W takim razie ona jest dla mnie dobra – uśmiechnął się Ralph.

– Że nakłania inne osoby do towarzyszenia panu? Tak, to pewna forma dobroci – odparł Goodwood, nie naśladując jego żartobliwego tonu. – Muszę się panu przyznać, że wolę odbyć tę podróż we troje niż sam na sam z panną Stackpole.

– Ale najchętniej zostałby pan w Rzymie – stwierdził Ralph.

– Doprawdy nie musi pan się trudzić, Henrietta jest niezwykle

zaradna.

– Z pewnością. Ale dałem słowo pani Osmond.

– Ona pana bez trudu zwolni z obietnicy.

– Nie zrobi tego za żadną cenę. Pragnie, żeby pan miał opiekę, ale nie to jest najważniejsze. Przede wszystkim pragnie, żebym wyjechał z Rzymu.

– Ach, pan się dopatruje motywów, których może wcale nie ma – powiedział Ralph.

– Nudzę ją – ciągnął dalej Goodwood. – Nie wie, co mi powiedzieć, więc wpadła na ten pomysł.

– Ach, jeśli chodzi o wyświadczenie jej przysługi, zabiorę pana chętnie. Co prawda nie rozumiem, dlaczego woli pozbyć się stąd pana.

– Jej się zdaje, że ją śledzę – z prostotą odparł Goodwood.

– Że ją pan śledzi?

– Tak, że próbuję sprawdzić, czy jest szczęśliwa.

– To nietrudno zgadnąć – rzekł Ralph. – Jest manifestacyjnie najszczęśliwszą z kobiet.

– Tak, to właśnie zauważyłem – oschle przyznał Goodwood. Mimo oschłości tonu miał jednak coś więcej do powiedzenia: – Obserwowałem ją. Uznałem, że jako dawny przyjaciel mam do tego prawo. Ona udaje, że jest szczęśliwa, postanowiła sobie, że będzie robiła takie wrażenie. Chciałem przekonać się, zobaczyć na własne oczy tę sytuację. No i wiem już wszystko – kończył ochryplym głosem – nic więcej nie chcę wiedzieć. Jestem gotów wyjechać.

– Wydaje mi się, że pora, aby pan wyjechał – powiedział Ralph.

To była jedyna między tymi dżentelmenami rozmowa o pani Osmond.

Henrietta, przygotowując się do wyjazdu, uznała, że wypada zamienić kilka pożegnalnych słów z hrabiną Gemini, która odwiedziła ją w rzymskim pensjonacie, odwzajemniając wizytę złożoną jej przez pannę Stackpole we Florencji.

– Pani myliła się całkowicie co do lorda Warburtona –

powiedziała hrabinie. – Myślę, że powinna pani o tym wiedzieć.

– Myliłam się, mówiąc, że kręci się koło Isabel? Droga pani, bywał w jej domu trzy razy dziennie. Zostawił po sobie ślady! – wykrzyknęła hrabina.

– Chciał ożenić się z pani bratanicą, dlatego tam bywał.

Hrabina wytrzeszczyła na nią oczy, a potem parsknęła impertynenckim śmiechem.

– Tak to pani przedstawiła Isabel? Niezła bajeczka. Jeżeli chciał się ożenić z moją bratanicą, dlaczego nie zrobił tego? Może pojechał po ślubne obrączki i wróci za miesiąc, kiedy mnie już tutaj nie będzie.

– Nie, nie wróci. Panna Osmond nie życzy go sobie za męża.

– Jakże to uprzejme z jej strony! Wiedziałam, że jest przywiązana do Isabel, ale nie spodziewałam się, że do tego stopnia!

– Nie rozumiem pani – zimno odparła Henrietta, stwierdzając w duchu, że hrabina jest niemile przewrotna. – Mam najgłębsze przekonanie, że Isabel nigdy nie zachęcała lorda Warburtona, żeby starał się o jej względy.

– Droga pani, cóż my o tym możemy wiedzieć? Jedno wiem na pewno, a mianowicie, że mój brat zdolny jest do wszystkiego.

– Nie mam pojęcia, do czego zdolny jest pani brat – odparła Henrietta z godnością.

– Nie martwię się tym, że Isabel zachęcała lorda Warburtona, lecz że go odprawiła. Bardzo chciałam go poznać. Jak pani myśli, czy obawiała się, że go uwiodę? – podjęła hrabina z upartym zuchwalstwem. – Ale wyczuwa się, że ona go w dalszym ciągu trzyma w rezerwie. Lord Warburton wydaje się wciąż obecny w ich domu, w atmosferze. O, tak, zostawił ślady, z pewnością jeszcze się z nim spotkam.

– A więc – powiedziała Henrietta po krótkiej pauzie, pod wpływem jednego z tych natchnień, którym tak wiele zawdzięczały jej korespondencje dla „Interviewera” – może będzie miał do pani więcej szczęścia niż do Isabel.

Kiedy powiedziała przyjaciółce o obietnicy danej Ralphowi,

Isabel odparła, że niczym nie mogłaby jej sprawić większej radości. Zawsze wierzyła, że Ralph i Henrietta są stworzeni, by się wzajemnie rozumieć.

– Nic mnie nie obchodzi, czy pan Touchett mnie rozumie, czy nie – oświadczyła Henrietta – ale nie mogę pozwolić, żeby umarł w wagonie kolejowym.

– To się nie stanie – stwierdziła Isabel, potrząsając głową i siląc się na przekonujący ton.

– Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby do tego nie dopuścić. Widzę, że chcesz, abyśmy wszyscy troje stąd wyjechali. Nie wiem, co zamierzasz.

– Chcę zostać sama – powiedziała Isabel.

– Nie zostaniesz sama, skoro masz w domu tak liczne towarzystwo.

– To współaktorzy komedii, wy jesteście widzami.

– Nazywasz to komedią? – spytała dość surowo Henrietta.

– Niech będzie tragedia, jeżeli wolisz. Wszyscy obserwujecie mnie, czuję się skrępowana.

Henrietta zastanawiała się chwilę nad sytuacją.

– Wydajesz mi się podobna do zranionej sarny, która kryje się w najciemniejszym zakątku lasu. Budzisz we mnie poczucie okropnej bezradności! – wykrzyknęła.

– Nie jestem bezradna, mam swoje plany.

– Nie ciebie, ale siebie miałam na myśli. Nie mogę się z tym pogodzić, że przyjechałam tutaj, żeby cię ratować, i muszę cię zostawić w takim samym położeniu, w jakim cię zastałam.

– O, nie, zostawiasz mnie bardzo pokrzepioną – odparła Isabel.

– Słabe pokrzepienie, jakbym cię napoiła kwaśną lemoniadą! Chciałabym, żebyś mi coś przyrzekała.

– Nie mogę. Nigdy już niczego nie będę przyrzekała. Cztery lata temu ślubowałam uroczyście i nie udaje mi się dotrzymać zobowiązań.

– Brak ci pomocy z drugiej strony. A ja chcę ci pomóc, jeżeli mnie posłuchasz. Obiecuj mi, że opuścisz męża, nim dojdzie do

najgorszych rzeczy.

– Do najgorszych rzeczy? O czym mówisz?

– Nim to małżeństwo wypaczy twoją osobowość.

– Masz na myśli mój charakter? Nie, nie dam się wypaczyć – odparła Isabel z uśmiechem. – Bardzo się tego wystrzegam. Ale zadziwiasz mnie – dodała, odwracając twarz – mówiąc tak lekko o możliwości porzucenia męża. Łatwo to mówić komuś, kto nigdy nie był w związku małżeńskim.

– A jednak – odpowiedziała Henrietta takim tonem, jakby zagajała dłuższą dyskusję – kobiety coraz częściej tak postępują w naszych zachodnich miastach, które trzeba uznać za zwiastunów przyszłości...

Wywody te nie dotyczą jednak bezpośrednio naszej historii, której kilka innych wątków wypada nam teraz rozwinąć. Panna Stackpole oświadczyła Ralphowi, że jest gotowa opuścić Rzym pierwszym pociągiem, który mu będzie odpowiadał, a Ralph zaczął się natychmiast przygotowywać do podróży. Isabel złożyła mu ostatnią wizytę i powiedział jej to samo, co przed paru dniami usłyszała z ust Henrietty: wyraził przeświadczenie, że Isabel bardzo życzy sobie poznać się trojga przyjaciół.

Isabel położyła dłoń na jego ręce i powiedziała tylko:

– Ralphie drogi...

To wystarczyło za odpowiedź i zadowoliło go całkowicie. Mówił jednak dalej tym samym, żartobliwym i niewinnym tonem:

– Nie nacieszyłem się twoim towarzystwem tyle, ile bym chciał, ale lepsze to niż nic. No i nasłuchałem się dużo o tobie.

– Ciekawam, od kogo, skoro prowadziłeś taki tryb życia.

– Od głosów w eterze! Od nikogo poza tym, nie pozwalam ludziom mówić o tobie, powtarzają w kółko, że jesteś czarująca, a to taki banał!

– Chciałabym spędzić z tobą więcej czasu – powiedziała Isabel – ale małżeństwo narzuca mnóstwo zajęć.

– Na szczęście ja nie jestem żonaty i gdy przyjedziesz do Anglii, będę mógł cię gościć z całą kawalerską swobodą. – Mówił dalej tak, jakby nie wątpił, że jeszcze się spotkają, i umiał tej

swojej nadziei nadać brzmienie prawie przekonujące. Nie pozwolił sobie na najlżejszą aluzję do bliskiego końca, zdawał się nie pamiętać, że prawdopodobnie nie przeżyje już następnego lata. Skoro tak chciał, Isabel chętnie zastosowała się do jego woli – rzeczywistość była dostatecznie jaskrawa, nie trzeba było wytykać jej palcem. Takiej konwencji przestrzegali od początku, chociaż Ralph w tej sprawie – jak we wszystkich innych – nie był egoistą. Isabel mówiła więc o jego podróży, o etapach, na jakie powinien ją podzielić, o środkach ostrożności, jakie należało przedsięwziąć.

– Najlepszym środkiem ostrożności jest dla mnie Henrietta – odparł. – Podziwiam wrażliwość jej sumienia.

– Tak, Henrietta okaże się na pewno niezwykle sumienna – przyznała Isabel.

– Okaże się? Już się okazała! Jedzie ze mną, ponieważ uznała to za swój obowiązek. Tak pojmuje obowiązki wobec ciebie.

– Bardzo wspaniałomyślnie i w sposób dla mnie zawstydzający – powiedziała Isabel. – To ja powinnam towarzyszyć ci w podróży.

– Twój mąż nie byłby zadowolony.

– Tak, ale mimo to mogłabym to zrobić.

– Zadziwiasz mnie zuchwalstwem wyobraźni. Nigdy się nie spodziewałem, że mógłbym być przyczyną niezgody między piękną panią a jej małżonkiem.

– Dlatego nie jadę z tobą – odpowiedziała po prostu, lecz niezbyt jasno.

Ralph jednak zrozumiał ją.

– Oczywiście, wobec nawału zajęć, o których wspominałaś...

– Nie o to chodzi. Boję się – odparła Isabel. I po chwili powtórzyła, jakby do siebie raczej niż do niego: – Boję się.

Ralph nie był pewny, co znaczy jej ton – dziwnie rzeczowy, całkowicie beznamiętny. Czy chciała publicznie kajać się za winy, o które jej nie oskarżono? Czy też próbowała racjonalnie zanalizować stan swojej duszy? W każdym razie Ralph nie mógł pominąć tej okazji.

– Boisz się męża?

– Raczej siebie – odpowiedziała, podnosząc się z krzesła. Stała chwilę i dodała: – Gdybym się bała męża, spełniałabym tylko obowiązek. Tego się przecież od kobiet oczekuje.

– Ach tak – zaśmiał się Ralph. – niesprawiedliwość wyrównuje się jednak, bo zawsze można znaleźć mężczyznę, który okropnie boi się jakiejś kobiety.

Isabel, jakby nie słysząc tego żartu, podjęła nagle innym tonem:

– Jeżeli Henrietta obejmie komendę nad całą wyprawą, nic nie zostanie dla pana Goodwooda! – wykrzyknęła.

– Moja droga! Pan Goodwood już się przyzwyczaił, że dla niego nic nie zostaje – odparł Ralph.

Zaczerwieniła się i szybko stwierdziła, że na nią czas. Chwilę stali oboje, trzymając się za ręce.

– Jesteś najlepszym moim przyjacielem – powiedziała.

– Tylko dla ciebie chciałem... chciałem żyć. Ale na nic nie mogę ci się przydać.

Uprzymniła sobie bardziej dotkliwie, że może nigdy już go nie zobaczy. Nie mogła pogodzić się z takim rozstaniem.

– Jeżeli mnie wezwiesz, przyjadę – powiedziała w końcu.

– Mąż ci nie pozwoli.

– Przyjadę i tak.

– Zarezerwuję sobie tę radość na ostatnie dni – powiedział Ralph.

W odpowiedzi pocałowała go bez słów. Było to w czwartek, a wieczorem Goodwood przybył do Palazzo Roccanera. Znalazł się w grupie najwcześniejszych gości i czas jakiś rozmawiali z Gilbertem Osmondem, który niemal zawsze uczestniczył w przyjęciach wydawanych przez żonę. Siedzieli we dwóch i Osmond, rozmowny, towarzyski, wylewny, zdawał się być w nastroju jakiegoś intelektualnego podniecenia. Zagłębiony w fotelu, założywszy nogę na nogę, swobodnie zabawiał gościa, podczas gdy Goodwood, w napięciu nerwowym, lecz niewesoły, kręcił się tak, że sofa skrzypiała pod nim, i obracał w rękach kapelusz. Na ustach Osmonda igrał ostry, agresywny uśmiech:

wyglądał jak człowiek szczególnie ożywiony z powodu dobrej nowiny, którą przed chwilą usłyszał. Wyraził żal, że pan Goodwood ich opuszcza, osobiście odczuje brak jego towarzystwa. Tak mało spotyka się ludzi inteligentnych, zwłaszcza w Rzymie trudno o nich. Miał nadzieję, że pan Goodwood przyjedzie znowu; dla niego, zakorzenionego we Włoszech, rozmowy z autentycznym cudzoziemcem są niezmiernie odświeżające.

– Kocham Rzym, proszę pana – mówił – ale nade wszystko lubię obcować z ludźmi, którzy nie podzielają tego przesądu. Świat nowoczesny jest bądź co bądź wspaniały. Pan jest na wskroś nowoczesny, a zarazem wcale niepospolity. Większość przedstawicieli nowoczesnej epoki, których widujemy, to żalosne okazy. Jeśli to są dzieci przyszłości, wolelibyśmy umrzeć młodo. Oczywiście stary świat także bywa bardzo nudny. My oboje z żoną lubimy to, co naprawdę nowe, a nie to, co próbuje uchodzić za nowoczesne. W ignorancji i głupocie niestety nie ma nic nowego. Widzi się tego mnóstwo, pod płaszczykiem objawienia, postępu i światła. A jest to w rzeczywistości tylko objawiona wulgarność! Obserwuję pewną odmianę wulgarności, która wydaje się rzeczywiście nowa, nigdy chyba czegoś podobnego nie było. Nie wykryłem wulgarności w dawnych wiekach, to się zaczęło dopiero w naszej epoce. W poprzednim stuleciu można tu i ówdzie dostrzec pewne zadatki, ale dziś atmosfera tak się zagęściła, że dosłownie ginie w niej wszystko, co bardziej subtelne. Pan nam się podoba! – Umilkł i z uśmiechem, w którym pewność siebie łączyła się z zakłopotaniem, lekko położył dłoń na kolanie Goodwooda. – Powiem teraz coś, co zabrzmie może obraźliwie i protekcjonalnie, ale nie mogę odmówić sobie tej satysfakcji. Podoba nam się pan, bo pan nas trochę pogodził z przyszłością. Gdybyż było więcej takich ludzi jak pan, *à la bonne heure!* Wyrażam zarówno opinię mojej żony, jak własną. Żona często mnie reprezentuje, czemuż więc ja nie miałbym przemawiać w jej imieniu. Wie pan, my z żoną dobraliśmy się w korcu maku. Nie myślę się chyba, wnioskując z tego, co o panu słyszałem, że pan rozwijał jakąś działalność... eee... komercyjną? To niebezpieczna dziedzina,



tym bardziej imponujące, że pan wyszedł z tego bez szkody. Proszę wybaczyć, jeżeli moje komplementy wydają się nietaktowne, na szczęście żona mnie nie słyszy. Chodzi mi o to, że pan łatwo mógł się stać inny, podobny do ludzi, o których przed chwilą mówiłem. Cały amerykański świat sprzysiągł się, żeby pana tak ukształtować. Ale pan się oparł, w panu jest coś, co pana ocaliło. Przy tym jest pan nowoczesny, nie znamy człowieka bardziej nowoczesnego niż pan. Zawsze będzie pan u nas mile widziany, kiedykolwiek zechce pan wrócić do Rzymu.

Wspomniałem już, że Osmond był w dobrym humorze, a przytoczony monolog niezbitcie to potwierdza. Zazwyczaj nie pozwalał sobie na tak osobiste uwagi i gdyby Caspar Goodwood słuchał go pilniej, pomyślałby zapewne, że subtelność znalazła dość niestosownego obrońcę. Wolno nam jednak wierzyć, że Osmond dobrze wiedział, co robi, a jeśli zdecydował się użyć tonu protekcyjnego zabarwionego grubiaństwem na ogół nie w jego stylu, zrobił to w określonym celu. Goodwood niejasno wyczuwał, że Osmond zbyt smaruje go miodem, ale nie wiedział, do czego ten zabieg zmierza. W gruncie rzeczy nie słuchał go prawie; marzył, żeby zamienić kilka słów w cztery oczy z Isabel, i myśli te zagłuszały dźwięczny głos jej męża. Śledził wzrokiem panią domu rozmawiającą z innymi gośćmi i zastanawiał się, czy w jakiejś chwili, gdy będzie wolna, mógłby ją poprosić o krótką rozmowę w drugim salonie. W przeciwieństwie do Osmonda nie był w najlepszym humorze: obraz rzeczywistości, który oglądał, budził w nim głuchą wściekłość. Do tej pory nie żywił do Osmonda osobistej antypatii; wydał mu się człowiekiem posiadającym mnóstwo wiadomości, uprzejmym i w ogóle stosowniejszym na małżonka panny Archer, niż sądził, zanim go poznał. Osmond w otwartym polu odniósł nad nim wielkie zwycięstwo, ale Goodwood zbyt szanował zasady uczciwej gry, by go z tego powodu nie doceniać. Nie starał się myśleć o nim życzliwie; do takich wzlotów uczuciowej szlachetności nie był zdolny nawet w dniach, gdy prawie godził się z faktami dokonanymi. Uznał go za dość błyskotliwego dyletanta, który mając za dużo wolnego czasu,

bawi się szlifowaniem wyrafinowanej konwersacji. Ufał mu jednak tylko połowicznie i nie rozumiał, dlaczego, u diaska, pan Osmond przed nim właśnie popisuje się tak hojnie swoim kunsztem. Podejrzewał, że Osmond znajduje w tym jakąś szczególną, ukrytą przyjemność, i umacniał się w przeświadczeniu, że w naturze zwycięskiego rywala jest pewna skłonność do przewrotności. Oczywiście Osmond nie miał powodów, żeby mu źle życzyć, nie obawiał się przecież niczego z jego strony. Miał nad nim tak miażdżącą przewagę, że mógł pozwolić sobie na uprzejmość wobec człowieka, który stracił wszystko. Co prawda Goodwood w bardziej posepnych chwilach życzył zwycięzcy śmierci i miał ochotę go zabić, ale Osmond tego nie mógł wiedzieć, bo bostończyk nabrał wprawy w roli człowieka, który nie podlega nigdy gwałtownym uczuciom. Doskonalił ten kunszt, żeby samego siebie oszukać, ale przede wszystkim zwiódł innych. Praktykował też tę sztukę z częściowym tylko powodzeniem, najlepszy dowód, że głęboka, głucha złość przepelniała jego duszę, kiedy słuchał Osmonda, który mówił o uczuciach swojej żony tak, jakby miał pełnomocnictwo do reprezentowania ich.

Z wszystkiego, co pan domu tego wieczoru mówił, jedynie to trafiało do uszu gościa; zauważył, że Osmond z większym niż kiedykolwiek zapalem stara się odmalować małżeńską harmonię panującą w Palazzo Roccanera. Wyraźnie podkreślał słodką wspólnotę, jaka wiąże go z żoną, i starał się wyrzucić wrażenie, że w ustach obojga zaimek „my” jest równie naturalny jak „ja”. Była w tym jakaś specjalna intencja, która intrygowała i gniewała naszego biednego bostończyka; pocieszać się mógł jedynie myślą, że w końcu stosunki między panią Osmond a jej mężem nie są jego sprawą. Nie miał żadnych dowodów, że Osmond fałszywie przedstawia poglądy swojej żony, a sądząc z pozorów, musiał wierzyć, że Isabel w istocie czuje się szczęśliwa. Nigdy w żaden sposób nie zdradziła niezadowolenia. Panna Stackpole w swoim czasie powiedziała mu, że Isabel straciła złudzenia, ale panna Stackpole, pisując do gazet, nabrała skłonności do węszenia sensacji. Zanadto lubiła mieć pierwszeństwo w odkrywaniu

najświeższych wiadomości. Zresztą od dnia przybycia do Rzymu stała się bardzo ostrożna i przestała świecić mu w oczy swoją latarką. Trzeba przyznać, że sumienie na to jej nie pozwalało. Poznała rzeczywistą sytuację przyjaciółki i zrozumiała, że należy zachować powściągliwość. Jeśli chciała Isabel dopomóc, nie powinna rozjatrzać jej dawnych wielbicieli opowiadaniem o krzywdach, jakie cierpi ukochana przez nich istota. Panna Stackpole w dalszym ciągu interesowała się głęboko stanem uczuć pana Goodwooda, ale w tym okresie poprzestała na posyłaniu mu wybranych fragmentów – humorystycznych i nie tylko – z amerykańskich gazet, których kilka dostarczała jej poczta i które zawsze przeglądała z nożyczkami w ręku. Wycinki kładła do koperty, zaadresowanej do pana Goodwooda, i osobiście zanosila do jego hotelu. Goodwood nigdy jej nie pytał o Isabel; czyż nie przebył pięciu tysięcy mil, żeby na własne oczy zobaczyć, jak jej się powodzi? Nie miał prawa przypuszczać, że pani Osmond jest nieszczęśliwa, ale właśnie ten brak podstaw drażnił go i – wbrew teorii, że nic go już nie wzrusza – zaprawiał goryczą myśl, że przyszłość, jeśli chodzi o stosunki z Isabel, niczego mu już nie przyniesie. Nie zaznał nawet tej satysfakcji, że dowiedział się prawdy. Najwidoczniej Isabel nie ufała mu, że potrafi uszanować jej nieszczęście – jeśli jest nieszczęśliwa. Nie miał nadziei, był bezsilny i bezużyteczny. Tę jego bezużyteczność przypomniała mu Isabel swoim pomyslowym planem, który zmuszał go do wyjazdu z Rzymu. Chętnie zrobiłby wszystko co w jego mocy dla chorego Ralphi Touchetta, ale zgrzytał zębami na myśl, że z wszystkich usług, jakich mogła od niego zażądać, skwapliwie wybrała właśnie tę. Nie miał złudzeń, że da mu jakieś polecenie, które by go zatrzymało w Rzymie.

Tego wieczoru myślał przede wszystkim o tym, że nazajutrz z nią się rozstanie i że na przyjeździe tutaj nie zyskał nic prócz potwierdzenia, że tak samo jak zawsze jest jej niepotrzebny. O niej niczego się nie dowiedział, okazała się niewzruszona, nieodgadniona, nieprzenikniona. Dawna gorycz, którą tak bardzo starał się przełknąć, znów podchodziła do gardła i uświadamiał

sobie, że są zawody, które nie przestaną boleć do końca życia. Osmond tymczasem mówił dalej. Goodwood, słuchając z roztargnieniem, zauważył jednak, że tamten wciąż wraca do opisów doskonałej harmonii swojego małżeństwa. Przyszło mu do głowy, że Osmond jest obdarzony jakąś demoniczną wyobraźnią; wydawało się niemożliwe, by czynił te niezwykle zwierzenia bez złośliwości. Ale w końcu obojętne, czy jest demoniczny, czy nie, czy Isabel go kocha, czy nienawidzi. Gdyby nawet nienawidziła męża śmiertelnie, czyż Goodwood zyskałby coś na tym?

– Pan podobno wyjeżdża razem z Ralphem Touchettem – powiedział Osmond. – Przypuszczam, że będzie to bardzo długa i uciążliwa podróż.

– Nie wiem. Zastosuję się do życzeń pana Touchetta.

– Jest pan bardzo uprzejmy. Pozwoli pan, że wyrażę naszą wielką wdzięczność. Żona zapewne już panu mówiła, jak się czujemy zobowiązani. Touchett stanowił przedmiot naszej ciężkiej troski przez całą zimę, nieraz już myśleliśmy, że nigdy nie opuści Rzymu. Nie powinien był w ogóle przyjeżdżać, ze strony człowieka tak ciężko chorego to gorzej niż nieostrożność, to wręcz niedelikatność. Za nic w świecie nie narzuciłbym nikomu takich trudnych obowiązków, jakie Touchett narzucił mojej żonie... no i mnie. Chcąc nie chcąc, obcy ludzie muszą się nim opiekować, a nie każdy jest tak wspaniałomyślny jak pan.

– Nie mam nic innego do roboty – oschle odpowiedział Goodwood.

Osmond przez chwilę patrzył na niego pytająco.

– Niech pan się ożeni, a będzie pan miał aż za wiele roboty. Co prawda nie starczy wtedy panu czasu na dobre uczynki.

– Pan się przekonał, że małżeństwo dostarcza tak wielu zajęć? – automatycznie spytał Caspar.

– No, wie pan, samo małżeństwo nie jest zajęciem. Niekiedy trzeba grać rolę bierną zamiast czynnej, ale to wymaga jeszcze więcej starań. My z żoną wiele rzeczy robimy razem! Czytamy, studiujemy, muzykujemy, chodzimy i jeździmy na spacer, a nawet rozmawiamy nie mniej niż w pierwszym okresie znajomości. Po

dziś dzień szalenie lubię konwersacje z żoną. Niech pan posłucha mojej rady i jeśli panu dokucza nuda, niech się pan ożeni. Może się zdarzyć, że żona pana znudzi, ale sam sobie nigdy się pan nie sprzykrzy. Zawsze będzie pan miał coś do powiedzenia sam sobie, nie zabraknie panu tematów do refleksji.

– Ja się nie nudzę – odparł Goodwood. – Mam o czym myśleć i zawsze znajduję coś do powiedzenia sobie.

– Więcej niż inni! – wykrzyknął Osmond, śmiejąc się lekko. – Dokąd pan się potem wybiera? To znaczy po przekazaniu Touchetta jego naturalnym opiekunom... myślę, że pani Touchett wróci z Ameryki i nareszcie zajmie się synem. Wspaniała osoba! Nie sposób jej dorównać w zaniechaniu obowiązków. Może pan spędzi lato w Anglii?

– Nie wiem. Nie mam żadnych planów.

– Szczęściarz z pana! Trochę pusta perspektywa, ale co za wolność!

– Tak, jestem wolny.

– Miejmy nadzieję, że korzystając z wolności, wróci pan do Rzymu – powiedział Osmond, który w tej chwili spostrzegł grupę nowych gości wchodzących do salonu. – Proszę pamiętać, że liczymy na pana.

Goodwood zamierzał wyjść wcześniej, ale czas upływał, a on wciąż jeszcze nie znalazł sposobności, żeby porozmawiać z Isabel inaczej niż uczestnicząc w ogólnej konwersacji. Unikała go z jakimś przewrotnym uporem; rozżalony, dopatrywał się w jej zachowaniu intencji, których z pozoru nic nie zdradzało. Spotykając jego wzrok, odpowiadała przyjaznym uśmiechem, jakby wzywała go do pomocy w zabawianiu innych gości. Odrzucał te sugestie stanowczo i ze zniecierpliwieniem. Błąkał się po salonach i czekał; nawiązał rozmowy z kilku znajomymi osobami i po raz pierwszy w życiu przyłapał się na sprzecznościach wewnętrznych. Było to zdarzenie wyjątkowe – Caspar Goodwood często sprzeczał się z ludźmi, ale nigdy ze sobą. W Palazzo Roccanera niekiedy raczono gości muzyką, i to bardzo dobrą. Póki trwał koncert, Goodwood panował nad sobą, ale gdy

przyjęcie zbliżało się ku końcowi i goście zaczęli się rozchodzić, podszedł do Isabel i ściszym głosem spytał, czy nie poświęciłaby mu kilku minut rozmowy w jednym z salonów, który, jak właśnie sprawdził, jest pusty. Uśmiechnęła się, jakby pragnąc spełnić jego życzenie, ale nie mogła sobie na to pozwolić.

– Niestety, nie mogę! Goście żegnają się, muszę być tutaj, gdzie mnie każdy łatwo znajdzie.

– A więc poczekam, aż się wszyscy rozejdą.

Wahała się przez chwilę, nim odpowiedziała:

– Doskonale, proszę czekać.

Czekał, chociaż trwało to jeszcze dość długo. Zostało już tylko kilka osób, ale te zdawały się przykute do dywanu. Hrabina Gemini, która, jak sama mówiła, dopiero o północy budziła się do życia, wcale nie zauważała, że przyjęcie już się skończyło; otaczała ją przy kominku krąg panów, którzy od czasu do czasu wybuchali zgodnym śmiechem. Osmond zniknął – nigdy nie żegnał gości. Isabel, widząc, że hrabina swoim zwyczajem o tej późnej porze przedłuża zabawę, odesłała pasierbicę do sypialni, a sama usiadła nieco na uboczu; ona też zapewne marzyła, żeby szwagierka mówiła nieco ciszej i pozwoliła w końcu odejść ostatnim maruderom.

– Czy teraz nie mógłbym zamienić z panią kilku słów? – spytał Goodwood.

Wstała natychmiast z uśmiechem.

– Oczywiście, przejdziemy do innego salonu, jeśli pan woli.

Wyszli, zostawiając hrabinę i małe grono zebrane wokół niej; przez długą chwilę po przekroczeniu progu milczeli oboje. Isabel nie usiadła, lecz stojąc pośrodku salonu, wachlowała się z wolna; Goodwood, patrząc na nią, odnajdywał ten sam co zawsze, dobrze mu znany wdzięk. Czekala, żeby przemówił pierwszy. Jego jednak, kiedy wreszcie został z nią sam na sam, odurzyła nagle cała nagromadzona, nigdy niestłumiona do końca namiętność; w oczach mu się ćmiło, pokój wirował dokoła. Jasny pusty salon zdawał się mroczny, kontury zacierały się; przez rozkołysaną zasłonę mgły widział przed sobą błyszczące oczy i rozchylone usta

Isabel. Gdyby nie to zaćmienie wzroku musiałby zauważyć, że jej uśmiech, trochę wymuszony, zastygł na wargach i że Isabel złąkała się tego, co wyczytała z jego twarzy.

– Myślę, że chciał pan pożegnać się ze mną – powiedziała.

– Tak, ale niechętnie żegnam się z panią. Wcale nie mam ochoty wyjeżdżać z Rzymu – odparł z żalną niemal szczerością.

– Łatwo mi to zrozumieć. Podziwiam pana dobroć. Nie umiem wyrazić, jak mnie ona wzrusza.

Przez chwilę milczał.

– Kilka takich słów wystarczy, żebym zrobił wszystko, co pani każe.

– Musi pan kiedyś znowu przyjechać – odparła żywo.

– Kiedyś? Oczywiście nieprędko, może po latach, czy tak?

– Nie, nie, wcale tak nie myślałam.

– A co pani myśli? Nie rozumiem! Ale obiecałem, że wyjadę, i dotrzymam słowa.

– Niech pan wróci, kiedy zechce – powiedziała, siląc się na lekki ton.

– Pani kuzyn nic mnie nie obchodzi! – wykrzyknął Goodwood.

– Czy to właśnie chciał mi pan powiedzieć?

– Nie, nie, nie miałem nic specjalnie do powiedzenia.

Chciałem zapytać... – urwał, a potem dokończył przyciszonym głosem, szybko: – Co pani naprawdę zrobiła ze swoim życiem? –

Znowu umilkł i czekał na odpowiedź, a gdy Isabel nie

odpowiadała, podjął znowu: – Nie rozumiem, nie mogę pani przeniknąć. Czy pani chce, żebym uwierzył w to, co pani próbuje

mi wmówić? – Wciąż milczała i patrzyła na niego, teraz już nie udając nawet spokoju. – Słyszałem, że pani jest nieszczęśliwa, a

jeśli tak, chciałbym o tym wiedzieć. Przynajmniej wiedzieć, ale pani sama twierdzi, że czuje się szczęśliwa, i jest pani tak dziwnie

opanowana, gładka, twarda. Pani się całkowicie zmieniła. Pani wszystko ukrywa, nie udało mi się zbliżyć do pani ani trochę.

– Zbliżył się pan aż nadto – łagodnie, ale ostrzegawczym tonem powiedziała Isabel.

– A jednak nie mogę pani dotknąć! Chcę wiedzieć prawdę!  
Czy pani dobrze wybrała?

– Za wiele pan żąda.

– Tak, zawsze pragnąłem wiele. Pani oczywiście nie odpowie. Jeśli to będzie od pani zależało, nie dowiem się nigdy. W końcu to nie moja sprawa. – Z trudem panował nad sobą, żeby wyrazić w rozsądnej formie wcale nierozsądne emocje.

Świadomość, że to ostatnia szansa, że kocha ją i że ją stracił, że cokolwiek powie, wyda jej się głupcem, nagle usunęła bariery i wprawiła w drżenie jego niski głos: – Jest pani całkowicie nieprzezroczysta, dlatego wiem, że pani coś ukrywa. Powtarzam, pani kuzyn nic mnie nie obchodzi, ale to nie znaczy, że nie mam dla niego sympatii. Tylko że nie przez sympatię dla niego będę mu towarzyszył w podróży. Zrobiłbym to na pani życzenie, nawet gdyby Touchett był kretynem. Jeśli pani każe, wyjadę jutro choćby na Syberię. Dlaczego pani chce, żebym stąd wyjechał? Muszą być jakieś powody, gdyby pani naprawdę czuła się taka szczęśliwa, jak pani udaje, nie przeszkadzałyby pani moja obecność. Wolałbym poznać prawdę choćby najgorszą, niż wyjechać z poczuciem, że niczego nie osiągnąłem. Ale właściwie nie po to przyjechałem. Myślałem, że już jestem wyleczony. Chciałem się raz jeszcze upewnić, że już nie muszę o pani myśleć. Przez cały czas nie myślałem o niczym innym; pani ma słuszość, że chce się mnie pozbyć. Ale skoro mam zniknąć, niech mi będzie wolno chociaż w tej ostatniej chwili mówić otwarcie. Jeżeli pani cierpi... jeżeli pani cierpi przez niego... nic, cokolwiek ja powiem, nie może pani zranić. Muszę powiedzieć, że panią kocham, po to przecież przyjechałem. Myślałem, że w innym celu, ale to nieprawda. Nie mówiłbym tego, gdybym nie wierzył, że nigdy już więcej pani nie zobaczę. To ostatni raz, niech więc mi pani pozwoli... Nie mam prawa tak mówić, wiem, a pani nie ma prawa mnie słuchać. Ale pani nie słucha, nigdy mnie pani nie słuchała, zawsze myśli pani o czymś innym. Po tym, na co teraz sobie pozwalam, będę musiał zniknąć. Przynajmniej będę miał jakiś powód. Bo pani prośba nie jest prawdziwym powodem. Nie mogę zawierzyć pani mężowi –



powiedział, nagle zmieniając tok swoich wyznań. – Nie rozumiem go. Opowiadał mi, że państwo uwielbiają się nawzajem. Po co mi to mówił? Co ja mam z tym wspólnego? Pani ma teraz bardzo dziwny wyraz twarzy. Ale pani zawsze wydaje się dziwna. Tak, pani coś ukrywa. To nie moja sprawa, racja. Tylko że ja panią kocham.

Twarz Isabel rzeczywiście przybrała dziwny wyraz. Odwróciła wzrok w stronę drzwi, przez które tutaj weszli, i ostrzegawczym gestem podniosła wachlarz.

– Pan zachowywał się dotychczas wzorowo. Proszę teraz nie psuć wszystkiego – powiedziała cicho.

– Nikt mnie nie słyszy. Zadziwiające, jak pani próbowała mnie odprawić z niczym. Kocham panią bardziej niż kiedykolwiek.

– Wiem. Zrozumiałam, kiedy pan zgodził się wyjechać.

– Nie może mi pani tego zabronić, bo oczywiście zabroniłaby pani, gdyby to było w pani mocy. Niestety, to niemożliwe. Niestety dla mnie. Nie proszę o nic... to znaczy o nic, o co nie powinienem prosić. Błagam o jedno jedyne zadośćuczynienie. Niech mi pani powie... niech mi pani powie...

– Co mam powiedzieć?

– Czy mogę litować się nad panią?

– Chciałby pan? – zdobyła się znowu na uśmiech.

– Litować się nad panią? Oczywiście! Miałbym chociaż tyle.

Wypełniłbym tym całe swoje życie.

Podniosła wachlarz tak, że tylko oczy pozostały widoczne, i przez chwilę patrzyła na niego.

– Niech pan tym nie wypełnia sobie całego życia, ale proszę czasami pomyśleć o mnie – powiedziała i wróciła do hrabiny Gemini.

## ROZDZIAŁ XLIX

Madame Merle nie pokazała się w Palazzo Roccanera tego czwartkowego wieczoru, którego pewne epizody opisałem, a Isabel, chociaż zauważyła tę nieobecność, nie była nią zaskoczona. Musimy teraz cofnąć się nieco w chronologii naszej opowieści, żeby zrelacjonować pewną wymianę zdań między dwiema damami, która nie mogła przyczynić się do ożywienia ich towarzyskich stosunków. Jak już wspomniałem, madame Merle wróciła z Neapolu wkrótce po wyjeździe lorda Warburtona z Rzymu i gdy po raz pierwszy spotkała Isabel (trzeba przyznać, że niezwłocznie złożyła jej wizytę), zaczęła rozmowę od pytania, gdzie się podział znakomity angielski gość, jak gdyby jej droga przyjaciółka była odpowiedzialna za decyzje tego pana.

– Proszę cię, nie mówmy o nim – odparła Isabel. – Za wiele już nasłuchałam się o lordzie Warburtonie w ostatnich czasach.

Madame Merle zaprotestowała lekkim przechyleniem głowy i uśmiechnęła się jednym kącikiem ust.

– Ty się nasłuchałaś, ale pamiętaj, że ja siedziałam w Neapolu i o niczym nie wiem. Miałam nadzieję, że go tutaj zastanę i będę mogła powinszować małej Pansy.

– Możesz jej powinszować, ale nie małżeństwa z lordem Warburtonem.

– Jak ty to lekko mówisz! Czy nie wiesz, że bardzo mi na tym zależało? – spytała madame Merle żywo, ale wciąż jeszcze tonem dobrotliwym.

Isabel była rozdrażniona, ale postanowiła zachować także pogodę ducha.

– W takim razie szkoda, że wyjechałaś do Neapolu. Dopilnowałabyś sprawy na miejscu.

– Zanadto polegałam na tobie. Czy myślisz, że teraz już za późno?

– Spytaj o to Pansy – odparła Isabel.

– Spytam ją, co ty jej powiedziała.

Słowa te, jak się zdaje, usprawiedliwiały odruch obronny, który zbudził się w Isabel, gdy wreszcie zrozumiała, że madame Merle ma do niej jakieś pretensje. Dama ta zachowywała dotychczas wielką dyskrecję, nigdy przyjaciółki nie krytykowała i wystrzegła się nawet pozorów mogących wskazywać, że wtrąca się w nie swoje sprawy. Najwidoczniej zarezerwowała sobie wszystkie prawa na tę szczególną okazję, bo w jej oczach pojawił się niebezpieczny błysk, a na twarzy wyraz irytacji, którego nawet jej sławne wyrobienie towarzyskie nie zdołało zamaskować. Gorycz jej rozczarowania zadziwiła Isabel, która nie domyślała się, że madame Merle tak bardzo jest przejęta matrymonialnymi możliwościami małej Pansy; dopiero teraz madame Merle zdradziła się w sposób, który zaniepokoił panią Osmond. W mrocznej pustce, która ją otaczała, usłyszała wyraźniej niż kiedykolwiek przedtem zimny, szydyczny, nie wiadomo skąd płynący szept, że ta inteligentna, mocna, stanowcza, światowa kobieta, wcielenie zmysłu praktycznego, indywidualizmu i energii, wywiera potężny wpływ na jej własne losy. Madame Merle była włączona w jej życie ściślej, niż Isabel dotychczas sądziła, i nie stało się to dzięki uroczemu przypadkowi, jak się łudziła przez długi czas. Straciła to złudzenie w dniu, gdy zaskoczyła swojego męża na poufnym milczącym porozumieniu z tą niezwykłą damą, ale wyraźne podejrzenie jeszcze się wtedy nie zrodziło w jej umyśle; odtąd jednak innymi oczyma patrzyła na starszą przyjaciółkę i zaczęła dostrzegać w jej postępowaniu sprzed kilku lat motywy, o które w swoim czasie jej nie posądzała. Ależ tak, madame Merle kierowała się zawsze własnymi ukrytymi intencjami – mówiła sobie teraz Isabel i miała wrażenie, że budzi się z długiego, złowieszczego snu. Co jej nasunęło myśl, że intencje madame Merle nie były najczystsze? Nic prócz nieufności, która w ostatnim okresie sprecyzowała się wreszcie i w połączeniu ze zdumieniem, jakie wzbudziło wyzywające zachowanie się tej damy w rozmowie o biednej Pansy, wydała w umyśle Isabel owoce. Madame Merle rzuciła jej wyzwanie, co

natychmiast wzbudziło podejrzenie – objawił się bezimienny żywiół, którego Isabel nigdy przedtem nie wytropiła w swej tak niezwykle taktownej i ostrożnej przyjaciółce. Madame Merle nie chciała się wtrącać, to prawda, ale tylko dopóty, póki chodziło o sprawy, które jej osobiście nie interesowały. Czytelnikowi może wyda się, że Isabel, opierając się tylko na niesprawdzonych podejrzeniach, zbyt pochopnie zwątpiła o szczerości przyjaźni, udowodnionej w ciągu kilku lat wielu uczynkami. Rzeczywiście wnioskowała szybko, ale nie bez racji, bo zdumiewająca prawda przenikała w głąb jej umysłu: interesy madame Merle są zbieżne z interesami Osmonda – to wystarcza.

– Myślę, że Pansy nie powie ci nic takiego, co mogłoby cię bardziej jeszcze rozgniewać – odpowiedziała na ostatnią pogrózkę.

– Wcale się nie gniewam. Bardzo bym jednak chciała naprawić szkodę. Czy sądzisz, że lord Warburton opuścił nas na zawsze?

– Nie umiem na to odpowiedzieć, nie rozumiem cię. To sprawa już zamknięta, proszę cię, nie wracajmy do niej. Osmond rozmawiał ze mną o tym tak wiele, że nie mam już nic do dodania i nie chcę nic więcej słyszeć. On jednak z pewnością jak najchętniej podyskutuje z tobą na ten temat.

– Wiem, co myśli o tym Osmond. Był u mnie wczoraj wieczorem.

– Tak prędko, zaraz po twoim przyjeździe? Więc wszystko wiesz i niepotrzebnie zwracałaś się do mnie o informacje.

– Nie informacji szukam. W gruncie rzeczy chodzi mi raczej o współczucie. Tak bardzo pragnęłam tego małżeństwa! Rzadko się zdarza projekt, który w tym stopniu zaspokaja wszystkie żądania wyobraźni.

– Twojej wyobraźni, ale nie osób bezpośrednio zainteresowanych.

– Dajesz mi do zrozumienia, że to nie moja sprawa. Oczywiście bezpośrednio mnie ona nie dotyczy, ale jako stara przyjaciółka czuję się bądź co bądź związana. Pamiętaj, że znam Pansy od bardzo dawna. Chciałaś też powiedzieć, że do

zainteresowanych zaliczasz siebie – dodała madame Merle.

– Nic podobnego! Mam wyżej uszu tej całej historii.

Madame Merle trochę niepewnie powiedziała:

– No, tak, skoro już zrobiłaś swoje!

– Zastanów się, co mówisz – bardzo poważnie ostrzegła ją Isabel.

– Och, zastanawiam się najgłębiej wtedy, kiedy z pozoru wydaje się, że mówię bez zastanowienia. Twój mąż osądza cię surowo.

Isabel nie od razu odpowiedziała – dławiała ją gorycz. Najdotkliwiej odczuła nie bezczelność, z jaką madame Merle informowała ją, że jest powiernicą skarg męża na żonę; Isabel w pierwszej chwili nie uwierzyła, że jest to bezczelność zamierzona. Madame Merle rzadko bywała bezczelna, tylko wtedy, gdy okoliczności tego wymagały. Teraz zdawało się to niestosowne czy przynajmniej przedwczesne. Ale jak kropla żrącego kwasu na otwartą ranę podziałała wiadomość, że Osmond znieważa swoją żonę zarówno w myślach, jak w słowach.

– Czy jesteś ciekawa, co ja o nim sądzę? – spytała.

– Nie, ty nigdy mi tego nie powiesz. I byłoby mi przykro wiedzieć.

Nastąpiła pauza i po raz pierwszy w historii znajomości madame Merle wydała się Isabel antypatyczna. Zapragnęła pozbyć się jej wreszcie.

– Pamiętaj, że mała Pansy ma ogromny wdzięk, i nie trać nadziei – powiedziała szorstko, licząc, że w ten sposób zakończy rozmowę.

Okazała postać nie zmaląła ani trochę. Madame Merle zgarnęła tylko fałdy mantyli, rozsiewając przy tym delikatny, przyjemny zapach perfum.

– Nie tracę nadziei, jestem dobrej myśli. Nie przyszłam, żeby robić ci wymówki, lecz żeby, jeśli to możliwe, dowiedzieć się prawdy. Wiem, że powiesz mi prawdę, jeżeli cię zapytam. To wielkie szczęście, że mając z tobą do czynienia, można liczyć na prawdomówność. Nie uwierzysz, jak mnie to pociesza.

– O jaką prawdę ci chodzi? – spytała zdumiona Isabel.

– Chodzi o to, czy lord Warburton rozmyślił się sam, czy też na twoje polecenie. Z własnej woli czy też dla twojej satysfakcji. Widzisz, jak wiele zachowałam mimo wszystko zaufania do ciebie, skoro mogę cię o to pytać – ciągnęła madame Merle z uśmiechem, patrząc na przyjaciółkę i badając wrażenie, jakie na niej zrobiła swoją przemową. – Nie przybieraj dramatycznej pozy, bądź rozsądna, nie obrażaj się, bo mówiąc do ciebie w ten sposób, robię ci, w swoim przekonaniu, zaszczyt. Nie ryzykowałabym tego z żadną inną kobietą i od żadnej innej nie oczekiwałabym uczciwej odpowiedzi. Rozumiesz chyba, że twój mąż także powinien znać prawdę. Rzeczywiście nie okazał taktu, próbując ją z ciebie wydobyć, pozwolił sobie na niepotrzebne hipotezy. Nie zmienia to faktu, że mógłby właściwie ocenić szanse na przyszłość swojej córki, gdyby wiedział dokładnie, co naprawdę zaszło. Jeżeli lord Warburton po prostu znudził się tym biednym dzieckiem, możemy nad tym ubolewać, ale sytuacja jest jasna. Jeżeli wycofał się na twoje życzenie – sprawa przedstawia się zupełnie inaczej, chociaż jest nie mniej godna ubolewania. W tym drugim przypadku może zgodziłabyś się zrezygnować z własnej satysfakcji w imię szczęścia pasierbicy. Zwolnij go, odstęp go nam.

Madame Merle mówiła z namysłem, śledząc wciąż reakcje Isabel i wyciągając z nich widocznie wnioski, że może bez niebezpieczeństwa mówić dalej. Słuchając jej, Isabel stopniowo bladła i coraz mocniej zaciskała splecione na kolanach ręce. Nie to ją przeraziło, że madame Merle nareszcie uznała otwartą bezczelność za stosowną broń, nie to bowiem najjaskrawiej raziło w tej sytuacji. Gorszy był lęk, który ogarnął Isabel.

– Kim... czym ty jesteś? – szepnęła. – Co łączy cię z moim mężem? – I Gilbert wydał jej się w tej chwili tak bliski, jakby go jeszcze kochała.

– A więc jednak uderzasz w ton dramatyczny! Bardzo mi przykro, ale nie będę cię w tym naśladowała.

– Co cię łączy ze mną? – spytała Isabel.

Madame Merle z wolna wstała, głaszcząc mufkę, lecz nie

odrywając oczu od twarzy Isabel.

– Wszystko! – powiedziała.

Isabel, siedząc, podniosła ku niej wzrok z takim wyrazem, jakby błagała o wyjaśnienie, ale oczy madame Merle pozostały nieprzeniknione.

– O Boże! – szepnęła w końcu i osuwając się na oparcie fotela, ukryła twarz w dłoniach. Nagle jak fala przyływu ogarnęło ją przeświadczenie, że pani Touchett miała rację. To madame Merle wydała ją za Osmonda. Zanim Isabel odsłoniła twarz, dama ta zniknęła z salonu.

Tego popołudnia Isabel sama pojechała na spacer – chciała uciec jak najdalej, pod otwarte niebo, żeby wysiadłszy z powozu, przechadzać się wśród stokrotek. Od dawna stary Rzym stał się jej powiernikiem, bo w świecie ruin ruina jej szczęścia wydawała się mniej nienaturalną katastrofą. Zmęczenie jej znajdowało ulgę wśród rzeczy, które od wieków rozsypując się w gruzy, wciąż jeszcze trwały; w ciszę opuszczonych miejsc rzucała swój skryty smutek, który przez swoją współczesność odcinał się od tła i nabierał obiektywnego charakteru, tak że Isabel, siedząc w jakimś nagrzanym przez zimowe słońce zakątku lub stojąc pośrodku zmurszałego, przez nikogo nieodwiedzanego kościoła, mogła się niemal zdobyć na uśmiech, bo widziała małość własnego nieszczęścia. Głęboko i czule poznawała Rzym, a jego atmosfera rozcieńczała i łagodziła jej namiętność. Nauczyła się jednak widzieć w nim miasto, gdzie ludzie wiele cierpieli. W zimnych kościołach zdawało jej się, że marmurowe kolumny, przeniesione z pogańskich ruin, dają przykład wytrwania, że w oparach stęchłych kadzideł unoszą się niewysłuchane nigdy modlitwy. Trudno by znaleźć łagodniejszego i mniej konsekwentnego heretyka niż Isabel; najwierniejszy wyznawca, wpatrując się w pociemniałe obrazy nad ołtarzami albo w skupione płonące świece, nie mógł się głębiej poddawać sugestii tych symboli i nie był bardziej niż Isabel skłonny w takich momentach do duchowych wzlotów. Jak wiemy, Pansy zwykle jej towarzyszyła, a w ostatnich czasach różowa kołyszająca się parasolka hrabiny Gemini dodawała elegancji ich

ekwipażowi; od czasu do czasu Isabel przeżywała jednak chwile samotności, gdy jej nastrój i miejsce temu sprzyjały. Różne w takich razach znajdowała schronienia, a najdostępniejszym z nich był może niski murek na krawędzi rozległej trawiastej przestrzeni przed wysoką zimną fasadą Świętego Jana Laterańskiego, skąd rozpościerał się ponad Kampanią widok na odległe sylwety Gór Albańskich i na dzielącą od nich miasto szeroką równinę, tak wciąż tętniącą wspomnieniem wszystkiego, co przez nią przeszło. Po wyjeździe kuzyna i jego opiekunów Isabel więcej jeszcze czasu spędzała na wędrowniach, wlokąc swoje zgnębienie od jednej znajomej świątyni do drugiej. Nawet mając u boku małą Pansy i hrabinę Gemini, czuła się jakby w zaginionym świecie. Powóz, opuściwszy mury Rzymu, toczył się wąskimi drogami, przy których dzikie kapryfolium już zaczynało wplatać się w żywopłoty, albo też czekał na panią Osmond w zacisznym miejscu na skraju pól, gdy ona wędrowała daleko po usianej kwiatami murawie lub siedziała na kamieniu, który niegdyś pełnił jakąś użyteczną funkcję, i przez mgłę osobistego smutku patrzyła na dostojny smutek pejzażu – na gęste, ciepłe światło, gamę i mozaikę kolorów w oddali, na pasterzy zastygłych w melancholijnych pozach, na wzgórza i na cienie obłoków subtelne jak rumieńce.

Tego popołudnia, o którym mówię, Isabel postanowiła nie myśleć o madame Merle; postanowienie spełzło jednak na niczym, bo obraz tej damy nieustannie majaczył jej przed oczyma. Z dziecinnym niemal strachem zadawała sobie pytanie, czy ta kobieta, która przez kilka lat była jej najbardziej zaufaną przyjaciółką, nie zasługuje na anachroniczny epitet „niegodziwej”. Isabel kojarzyła ten przymiotnik z Biblią i literaturą, nie sądziła, by kiedykolwiek osobiście mogła zetknąć się z tym, co oznaczał. Chciała wiedzieć jak najwięcej o naturze ludzkiej, zdawało jej się, że studiuje życie nie bez powodzenia, lecz odmówiono jej tego szczególnego przywileju. Może niegodziwość w sensie historycznym nie oznaczała fałszu; madame Merle była głęboko, na wskroś fałszywa. Ciotka Lydia odkryła to o wiele wcześniej i podzieliła się z siostrzenicą swoim odkryciem, ale Isabel wówczas



łudziła się, że ma szersze widnokręgi, a zwłaszcza że lepiej ocenia spontaniczność własnych decyzji i szlachetniej interpretuje wydarzenia z własnego życia niż oschle rozumująca pani Touchett. Madame Merle osiągnęła cel, połączyła dwoje swoich przyjaciół; narzucało się jednak pytanie, dlaczego tego pragnęła. Są osoby, które namiętnie lubią swatać i zajmują się tym jak artyści uprawiający sztukę dla sztuki. Ale madame Merle nie należała do tej kategorii. Zbyt krytycznie odnosiła się do instytucji małżeństwa i do życia w ogóle; chciała doprowadzić do tego określonego związku, nie trudziła się popieraniem innych. Widocznie upatrzyła w nim jakąś osobistą korzyść, Isabel zastanawiała się, co dama ta zyskała, wydając ją za Osmonda. Rozwiązanie tej zagadki wymagało oczywiście długiego czasu i mimo to nie było zupełnie jasne. Isabel przypomniawszy sobie, że madame Merle, chociaż polubiła ją, jak się zdawało, od pierwszej chwili spotkania w Gardencourt, stała się o wiele miłsza po śmierci wuja Touchetta, gdy dowiedziała się, że jej młoda przyjaciółka odziedziczyła hojny zapis. Madame Merle nie szukała korzyści tak prostackim sposobem jak prośba o pożyczkę, lecz wpadła na bardziej subtelny pomysł, żeby ktoś z jej najbliższych dostał w swe ręce tę świeżo i niewinnie zdobytą fortunę. Oczywiście wybrała najbliższego ze swoich przyjaciół, Isabel nie miała już wątpliwości, że tę rolę w życiu madame Merle grał Gilbert Osmond. Tak więc odkryła, że mężczyzna, który z wszystkich ludzi w świecie wydawał jej się najdalszy od chciwości, zaślubił ją niby pospolity łowca posagów dla pieniędzy. Dziwna rzecz, ale nigdy przedtem nie przychodziło jej to do głowy; miała wiele do zarzucenia Osmondowi, lecz nie podejrzewała go dotychczas o tę nikczemność. To było najgorsze, a w dodatku myślała, że na tym nie koniec; zdarza się, że ktoś żeni się dla pieniędzy, ale powinien to przyszłej żonie otwarcie powiedzieć. Isabel zadawała sobie pytanie, czy Osmond, jeśli ożenił się z nią dla jej majątku, nie byłby gotów zadowolić się nim, zwracając jej wolność. Czy zgodziłby się, aby go opuściła, zostawiając mu pieniądze? Błogosławiłaby szczodrość pana Touchetta, gdyby teraz dzięki niej mogła odzyskać wolność.

Wkrótce też nasunęła jej się myśl, że jeśli madame Merle chciała oddać Osmondowi przysługę, obdarowany zapewne nie był jej teraz bardzo wdzięczny. Co Osmond dzisiaj sądzi o nadmiernej gorliwości swojej dawnej przyjaciółki i jak wyraża jej swój sąd ten mistrz ironii? Nieoczekiwanie, lecz w sposób bardzo dla siebie charakterystyczny, Isabel przerwała te milczące rozmyślania okrzykiem:

– Biedna, biedna madame Merle!

Znalazłaby usprawiedliwienie dla tego odruchu współczucia, gdyby tego popołudnia mogła ukryć się za jedną z bezcennych zetlałych ze starości adamszkowych kotar, zdobiących wykwinnty salonik madame Merle w mieszkaniu, które już kiedyś odwiedziliśmy w dyskretnym towarzystwie Edwarda Rosiera. Tego dnia około szóstej wieczorem w saloniku siedział Gilbert Osmond, a pani domu stała przed nim – podobnie jak w scenie, którą opisaliśmy w naszej historii z wyrazistością należną nie jej pozornemu, lecz istotnemu znaczeniu.

– Nie wierzę, że czujesz się nieszczęśliwy. Myślę, że podoba ci się ta sytuacja! – powiedziała madame Merle.

– Czy mówiłem, że jestem nieszczęśliwy? – spytał Osmond z wyrazem twarzy, którego powaga zdawała się przeczyć słowom.

– Nie, ale też nie mówiłeś, że czujesz się szczęśliwy, jakby wypadało, choćby przez zwykłą wdzięczność.

– Nie wspominaj lepiej o wdzięczności – odparł cierpko. – I nie rozdrażniaj mnie – dodał po chwili.

Madame Merle z wolna usiadła i skrzyżowała na piersi ramiona, układając białe dłonie tak, że jedna służyła za podporę łokcia, a druga tylko za ozdobę pozy. Zdawała się doskonale spokojna, ale bardzo smutna.

– A ty nie próbuj mnie straszyć. Ciekawam, czy zgadujesz niektóre moje myśli?

– Staram się nimi nie interesować w miarę możliwości. Wystarczają mi własne.

– Ponieważ są niezwykle przyjemne.

Osmond odchylił głowę na oparcie fotela i patrzył na nią z

cyniczną bezceremonialnością, która mogła też częściowo wyrażać znużenie.

– Upierasz się, żeby mnie drażnić – powiedział. – Jestem bardzo zmęczony.

– *Et moi donc!* – wykrzyknęła madame Merle.

– Ty sama sobie zadajesz fatywę, ja cierpię nie z własnej winy.

– Jeśli zadaję sobie fatywę, to dla twojego dobra. Wniosłam w twoje życie pewne zainteresowanie. To cenny dar.

– Nazywasz to zainteresowaniem? – obojętnie spytał Osmond.

– Oczywiście, skoro pomaga ci to zabijać czas.

– Czas nigdy tak mi się nie dłużył jak ostatniej zimy.

– Wyglądasz lepiej niż kiedykolwiek, jesteś czarujący i błyskotliwy jak nigdy.

– Gadanie o błyskotliwości! – szepnął w zadumie. – Jak ty mnie mimo wszystko nie znasz.

– Jeśli nie znam ciebie, to w ogóle nic nie wiem o świecie – uśmiechnęła się madame Merle. – Masz poczucie całkowitego sukcesu.

– Nie, tego nie osiągnę, dopóki nie zmuszę cię, żebyś przestała mnie osądzać.

– Dawno przestałam. Powtarzam tylko to, co zapamiętałam z dawnych czasów; ale ty teraz więcej mówisz o sobie.

Osmond po krótkiej pauzie odparł:

– Szkoda, że ty nie mówisz mniej.

– Chciałbyś mnie skazać na milczenie? Pamiętaj, że nigdy nie byłam gadatliwa. Ale kilka rzeczy muszę ci powiedzieć. Twoja żona nie wie, co robić – dodała zupełnie innym tonem.

– Wybacz, że ci zaprzeczę. Wie doskonale. Ma wyraźnie wytknięte plany. Zamierza wprowadzić w życie swoje pomysły.

– Musi mieć teraz niezwykle pomysły!

– Z pewnością. Ma ich jeszcze więcej niż zwykle.

– Dzisiaj rano nie umiała mi przedstawić żadnego – stwierdziła madame Merle. – Wydała mi się naiwna, niemal głupia.

Była całkowicie oszołomiona.

– Powiedz otwarcie, że wydała ci się wzruszająca.

– O, nie, tej przyjemności nie mogę ci zrobić.

Osmond siedział wciąż z głową opartą o poduszkę fotela.

– Chciałbym wiedzieć, co się właściwie z tobą dzieje? – powiedział wreszcie.

– Dzieje się... dzieje... – Madame Merle urwała w pół zdania i w chwilę potem wybuchnęła nagle jak letnia burza z jasnego nieba: – Dzieje się to, że dałabym sobie uciąć prawą rękę za możliwość wypłakania się, ale nie mam już łez.

– Cóż by ci płacz pomógł?

– Czuję się znów taka, jaka byłam, nim ciebie poznałam.

– Jeżeli osuszyłem źródło twoich łez, dokonałem niemałej sztuki. Ale widywałem cię płaczącą.

– Och, teraz też mogłabym przez ciebie płakać. A raczej wyc jak wilczyca. Mam wielką ochotę, potrzebę wypłakania się dzisiaj. Byłam tego ranka podła, ohydna.

– Isabel pewno tego nie zauważyła, skoro, jak mówisz, była ogłupiała i oszołomiona – odparł Osmond.

– Oszołomiła ją moja nikczemność. Nie mogłam się powstrzymać, opanowała mnie jakaś zła... czy może dobra siła, sama nie wiem. Wysuszyłeś nie tylko źródło moich łez, ale całą moją duszę.

– A więc nie ja jestem odpowiedzialny za stan umysłu mojej żony – stwierdził Osmond. – Cieszy mnie, że skorzystam z wpływu, jaki ty na nią wywierasz. A co do duszy, czyż nie wiesz, że jest to pierwiastek nieśmiertelny? Jakże mogłaby ulegać zmianom?

– Nie wierzę w nieśmiertelny pierwiastek. Duszę można zniszczyć. To właśnie stało się z moją, pierwotnie zupełnie poczciwą duszą, i tobie to zawdzięczam. Jesteś bardzo złym człowiekiem – stwierdziła z naciskiem i z powagą.

– Czy tak ma się nasza historia zakończyć? – spytał Osmond, wciąż siląc się na lodowaty ton.

– Nie mam pojęcia, na czym się skończy. A chciałabym

wiedzieć. Jaki koniec czeka złych ludzi? A zwłaszcza współników zbrodni? Pod twoim wpływem stałam się nie lepsza od ciebie.

– Nie rozumiem. Mnie wydajesz się wystarczająco dobra – rzekł Osmond. Wymuszona obojętność nadawała jego słowom szczególnie doniosłe znaczenie.

W przeciwieństwie do niego madame Merle wyraźnie słabła – nigdy, w okolicznościach, w jakich mieliśmy przyjemność ją spotkać, nie była tak bliska całkowitej utraty panowania nad sobą jak w tym momencie. Oczy jej sposepniały, uśmiech zdradzał bolesny wysiłek.

– Wystarczająco dobra jak na los, który sobie zgotowałam? Czy to miałeś na myśli?

– Wystarczająco dobra, żeby wszystkich oczarować! – wykrzyknął z uśmiechem Osmond.

– O Boże! – szepnęła i siedząc przed nim w całej dojrzałej urodzie, zrobiła ten sam gest, do którego rano jej słowa zmusiły Isabel; skłoniła głowę i ukryła twarz w dłoniach.

– A więc mimo wszystko będziesz płakała? – spytał Osmond, a gdy nie drgnęła nawet, dodał: – Czy ja się kiedykolwiek skarżyłem?

Szybko oderwała ręce od twarzy.

– Nie, ty się zemściłeś inaczej, zemściłeś się na niej.

Osmond jeszcze dalej odchylił głowę i przez chwilę patrzył w sufit, jak gdyby mimo woli przywoływał niebiosa na świadka.

– Och, ta kobieca wyobraźnia! Zawsze w gruncie rzeczy prostacka. Mówisz o zemście jak trzeciorzędny powieściopisarz.

– Oczywiście, że się nie skarżyłeś. Znadto cieszyłeś się swoim tryumfem.

– Ciekaw jestem, co nazywasz moim tryumfem?

– Osiągnąłeś, że twoja żona boi się ciebie.

Osmond zmienił pozę. Wychylił się naprzód i oparł łokcie o kolana. Wpatrując się w piękny perski dywan rozpostarty pod stopami, miał minę człowieka, który w żadnej sprawie nie dowierza niczyjej opinii i woli wszystko oceniać własną miarą; ta cecha niekiedy irytowała jego interlokutorów.

– Isabel nie boi się mnie, wcale nie życzę sobie, żeby tak było – powiedział wreszcie. – Do czego chcesz mnie sprowokować, mówiąc takie rzeczy?

– Myślałam o wszystkich krzywdach, jakie mi wyrządzasz – odparła madame Merle. – Twoja żona dzisiaj rano bała się mnie, ale naprawdę w mojej osobie bała się ciebie.

– Możliwe, że pozwoliłaś sobie wobec niej na nietakt, nie jestem za to odpowiedzialny. Nie rozumiem, po co w ogóle posłaś do niej, możesz sobie doskonale poradzić bez niej. O ile wiem, ty się mnie wcale nie boisz, jakże więc mogłem ją przestraszyć? Jest co najmniej równie odważna jak ty. Dziwię się, skąd ci przyszły do głowy takie głupstwa. Powinna byś mnie znać lepiej po tylu latach. – Wstał i zbliżył się do kominka i przez chwilę przyglądał się stojącym na parapecie kunsztownym drobiazgom z porcelany, jakby je widział po raz pierwszy. Wybrał spośród nich małą filiżaneczkę i trzymając ją w ręku, oparty ramieniem o parapet, ciągnął dalej: – Dopatrujesz się we wszystkim czegoś więcej, niż jest naprawdę. Przesadzasz i tracisz z oczu rzeczywistość. Jestem o wiele prostszy, niż ci się wydaje.

– Wydajesz mi się bardzo prosty – powiedziała madame Merle, patrząc na filiżankę. – Z czasem doszłam do tego przekonania. Dawniej osądzałam cię, przyznaję, ale dopiero odkąd ożeniłeś się, zaczęłam cię rozumieć. Jaśniej widziałam, czym byłeś dla swojej żony, niż kiedyś dla mnie. Proszę cię, obchodź się ostrożnie z tym cennym przedmiotem.

– Ma już maleńką szczerbę – odparł cierpko, odstawiając filiżankę. – Jeżeli przed moim małżeństwem nie rozumiałaś mnie, postąpiłaś okrutnie, pchając mnie zbyt pochopnie do tej klatki. Przyznaję zresztą, że mnie nęciła. Myślałem, że będzie wygodna. Nie żądałem za wiele, tylko tego, żeby mnie lubiła.

– Żeby cię lubiła bez zastrzeżeń!

– Oczywiście, w takich okolicznościach wymaga się wszystkiego. Chciałem, żeby mnie uwielbiała, jeśli wolisz to tak określić. Dobrze, przyznaję się, że tego pragnąłem.

– Ja nigdy cię nie uwielbiałam – powiedziała madame Merle.

– Ale udawałaś uwielbienie!

– Co prawda nigdy nie oskarżałaś mnie, że jestem konformistką – ciągnęła dalej madame Merle.

– Moja żona nigdy się nawet na to nie zdobyła – rzekł Osmond. – Jeżeli chcesz robić z tej sprawy tragedię, nie jest to jej tragedia.

– Ale moja! – krzyknęła madame Merle. Wstała z przeciągłym westchnieniem, jednocześnie zerkając ku bibelotom na parapecie kominka. – Poznaję teraz całą gorycz swojej fałszywej sytuacji.

– Używasz okropnie banalnych wyrażen. Trzeba szukać pociechy tam, gdzie ją można znaleźć. Żona nie lubi mnie, ale córka przynajmniej wynagradza mi to. Pansy będzie moją pociechą. Jej na szczęście nic nie da się zarzucić.

– Ach! – szepnęła madame Merle. – Gdybym miała dziecko...

Osmond chwilę czekał, potem trochę sentencjonalnie oświadczył:

– Można przywiązać się do cudzych dzieci.

– Mówisz gorsze banały niż ja. W każdym razie mamy ze sobą coś wspólnego.

– Myślisz o krzywdach, jakie mogę ci wyrządzić? – spytał Osmond.

– Nie, o przysługach, które ja tobie mogę wyświadczyć. Dlatego właśnie – dodała madame Merle – jestem zazdrosna o Isabel. Chciałabym, żeby to było moje dzieło. – Twarz jej, przedtem surowa i zgorzkniała, odzyskała zwykły spokój.

Osmond sięgnął po swój parasol i kapelusz, który przyglądał rękawem.

– Biorąc to wszystko pod uwagę – powiedział – zostaw lepiej mnie całą tę sprawę.

Kiedy wyszedł, zbliżyła się natychmiast do kominka i wzięła do ręki kruchą filiżaneczkę, w której znawca wytropił lekką skazę; ale przyglądała jej się z roztargnieniem i jęknęła z cicha:

– Czy nadaremnie byłam taka podła?





## ROZDZIAŁ L

Hrabina Gemini nie знаła starożytnych zabytków, toteż Isabel próbowała ją wprowadzić w świat tych interesujących szczątków, nadając popołudniowym przejażdżkom charakter wycieczek archeologicznych. Hrabina głośno podziwiała uczoność bratowej, nie sprzeciwiała się jej zamiarom i spoglądała na antyczne rzymskie budowle tak cierpliwie, jakby to były stopy najmodniejszych draperii. Nie odznaczała się zmysłem historycznym, ale interesowały ją pewne anegdotyczne szczegóły i chętnie z nich korzystała dla usprawiedliwienia własnych błędów; tak zresztą cieszył ją pobyt w Rzymie, że poddawała się biernie prądowi. Gotowa była spędzać godzinę dziennie w wilgoci i ciemności term Tytusa, gdyby pod tym warunkiem pozwolono jej dłużej zostać w Palazzo Roccanera. Isabel jednak nie była surową przewodniczką; zwiedzanie ruin stanowiło dla niej przede wszystkim okazję, aby rozmawiać o czymś innym niż miłosne intrygi florenckich dam, o których hrabina opowiadała nieustannie. Trzeba dodać, że hrabina podczas tych wycieczek unikała wszelkich form studiów czynnych; zwykle siedząc w powozie, wykrzykiwała, że wszystko to jest nadzwyczaj interesujące. Tą metodą dotychczas zwiedzała Koloseum, ku wielkiemu żalowi bratanicy, która – mimo całego należnego ciotce szacunku – wolałaby wejść z nią razem do środka. Pansy mało miała okazji do ruchu i nie była w tym przypadku całkowicie bezinteresowna; spodziewała się w głębi serca, że raz wysiadłszy z powozu, ciotka da się skłonić do wspinaczki na górne kondygnacje amfiteatru. Pewnego dnia hrabina wreszcie okazała gotowość do takiej gimnastyki, a było to w ciepłe marcowe popołudnie, gdy wietrzny charakter tego miesiąca objawiał się podmuchami wiosny. Trzy panie razem weszły do Koloseum, lecz Isabel nie towarzyszyła hrabinie i jej siostrzenicy w dalszej wyprawie. Nieraz już wspinała się na zniszczone stopnie, z których niegdyś tłumy Rzymian

hałaśliwie zachwycaly się widowiskiem, a gdzie teraz w głębokich szparach rosły (o ile im na to pozwalano) polne kwiaty. Tego dnia Isabel czuła się zmęczona i wolała posiedzieć na spustoszonej arenie. Chciała też odpocząć od hrabiny, która żądała od przewodniczki nieustannych wyjaśnień, chociaż nie słuchała ich zbyt uważnie. Isabel miała nadzieję, że zostawiona sam na sam z bratanicą hrabina zrezygnuje z opowieści o zamierzonych romansach dam znad Arno. Została więc na dole, kiedy Pansy zaprowadziła ciotkę niezupełnie świadomą, na co się decyduje, ku stromym ceglany schodom, gdzie już dozorca otwierał im drewnianą wysoką bramę. Wielką ogrodzoną przestrzeń zalegał do połowy cień, zachodnie słońce wydobywało z ogromnych bloków trawertynu różowawy odcień – utajony kolor, jedyny żywy element olbrzymiej ruiny. Tu i ówdzie jakiś wieśniak albo turysta spoglądał w górę ku odległemu niebu, po którym w pogodnej ciszy krążyły i nurkowały chmary jaskółek. W pewnej chwili Isabel zauważyła, że jeden z tych ludzi, stojący pośrodku bramy, obserwuje ją; sposób, w jaki ten człowiek podniósł głowę, przypomniał pani Osmond pozę, która przed kilku tygodniami wydała jej się charakterystyczna dla decyzji niezłomnej, chociaż świadczącej o walce z wielu przeciwnościami. Tak mógł wyglądać tylko Edward Rosier; rzeczywiście to był on i zastanawiał się właśnie, czy podejść do niej. Upewniwszy się, że jest sama, zbliżył się i wyraził nadzieję, że pani Osmond, chociaż nie odpowiedziała na żaden z licznych listów, zgodzi się go wysłuchać. Odparła, że pasierbica jej znajduje się w pobliżu, nie może więc poświęcić panu Rosierowi więcej niż pięć minut; wówczas wyjął z kieszeni zegarek i przysiadł na strzaskanym kamiennym bloku.

– Nie potrwa to długo – oznajmił. – Sprzedałem wszystkie swoje bibeloty.

Isabel mimo woli krzyknęła ze zgrozy, jak gdyby jej wyznał, że dał sobie wyrwać wszystkie zęby.

– Sprzedałem je na aukcji w Hôtel Drouot – ciągnął. – Odbyło się to trzy dni temu i zawiadomiono mnie telegraficznie o rezultacie. Jest znakomity.

– To mnie cieszy, ale wolałabym, żeby pan zatrzymał swoje śliczne rzeczy.

– Zamiast nich mam teraz gotówkę: pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Czy pan Osmond uzna, że jestem dostatecznie bogaty?

– Pan to zrobił w tym celu? – miękko spytała Isabel.

– W jakim innym mógłbym się na coś podobnego zdobyć? O niczym innym nie myślę. Pojechałem do Paryża i wszystko zorganizowałem. Nie czekałem na dzień sprzedaży, nie mógłbym patrzeć, jak te rzeczy przechodzą w obce ręce. Myślę, że tego bym nie przeżył. Ale powierzyłem je dobremu pośrednikowi i osiągnęły wysoką cenę. Muszę pani powiedzieć, że zatrzymałem kolekcję emalii. Teraz mam pieniądze i pan Osmond nie może mi zarzucić, że jestem biedny.

– Zarzuci panu brak rozwagi – odparła Isabel, jak gdyby Osmond nigdy dotychczas nie osądzał w ten sposób Neda Rosiera. Rosier spojrzał na nią żywo.

– Pani myśli, że bez bibelotów jestem niczym? Że one stanowiły główną moją wartość? O, tak, mówili mi to ludzie w Paryżu, tak, mówili otwarcie. Ale nie znają jej!

– Drogi panie, zasłużył pan na powodzenie! – z wielką życzliwością stwierdziła Isabel.

– Pani to powiedziała tak smutnym tonem, jakby mi pani wróżyła klęskę. – Popatrzył na nią pytająco jasnymi oczyma spod mrugających nerwowo powiek. Miał minę człowieka, który wie, że w Paryżu przez tydzień wiele o nim mówiono, i czuje się dzięki temu wyższy o głowę, ale jednocześnie żywi bolesne podejrzenie, że mimo wszystko dla pewnych osób jest wciąż jeszcze za mały.

– Wiem, co się tutaj działo podczas mojej nieobecności – dodał. – Czego spodziewa się pan Osmond, jeśli ona odrzuciła lorda Warburtona?

Isabel namyślała się przez chwilę.

– Że wyjdzie za innego arystokratę.

– Za kogo?

– Za tego, którego on dla niej wybierze.

Pan Rosier z wolna wstał i schował zegarek do kieszeni

kamizelki.

– Pani z kogoś śmieje się, ale tym razem chyba nie ze mnie.

– Nie mam ochoty do śmiechu. Rzadko mi się to zdarza.

Niech pan lepiej już odejdzie.

– Jestem pewny swego – oświadczył, nie ruszając się z miejsca. Może mówił szczerze, ale niewątpliwie utwierdził się w tym przeświadczeniu, gdy je donośnym głosem wyraził, kołysząc się na palcach, trochę jakby dumny z siebie, i rozejrzał się w krąg, jakby Koloseum wypełniał tłum publiczności. Isabel spostrzegła, jak nagle pobladł: okazało się, że ma więcej słuchaczy, niż przypuszczała. Odwróciła głowę i zobaczyła dwie swoje towarzyszkę powracające z wyprawy na górne kondygnacje amfiteatru.

– Teraz doprawdy musi pan odejść natychmiast – powiedziała prędko.

– Niechże pani ma litość nade mną! – szepnął Edward Rosier zupełnie innym tonem niż przed chwilą, kiedy ogłaszał swoje nadzieje. Potem, jakby wśród rozpaczę zaświtał mu znienacka zbawienny pomysł, dodał: – Czy to jest hrabina Gemini? Bardzo pragnę być jej przedstawiony.

Isabel popatrzała na niego.

– Hrabina nie ma najmniejszego wpływu na brata.

– Ach, pani o nim mówi jak o smoku! – Pan Rosier spoglądał na hrabinę, która wyprzedzając bratanicę, przyspieszyła kroku, zapewne częściowo na widok bardzo przystojnego młodego dżentelmena rozmawiającego z jej bratową.

– Cieszę się, że pan zachował emalie! – zawołała Isabel, oddalając się od niego. Podeszła do Pansy, która spostrzegłszy pana Rosiera, zatrzymała się i spuściła oczy.

– Wracajmy do powozu – łagodnie powiedziała Isabel.

– Tak, jest już późno – jeszcze łagodniej odparła Pansy.

Poszła za macochą bez słowa sprzeciwu, bez wahania; nawet nie obejrzała się za siebie.

Isabel, która pozwoliła sobie zerknąć przez ramię, widziała, jak hrabina wita się z panem Rosierem. Młody człowiek zdjął

kapelusz i ukłonił się z uśmiechem; z pewnością przedstawił się i doznał od hrabiny, jak nie omieszkała zauważyć Isabel, bardzo miłego przyjęcia. Cała ta scena wkrótce jednak zniknęła z ich pola widzenia, gdy Isabel i Pansy znalazły się w powozie. Pansy usiadła naprzeciw macochy i z początku wzrok wlepiła w jej kolana, aż wreszcie podniosła go i spojrzała w oczy Isabel. Jakby dwa melancholijne promienie, iskierki nieśmiałej namiętności przeniknęły w głąb serca pani Osmond. Jednocześnie ogarnęła ją zazdrość, gdy porównała wzruszającą tęsknotę i jasny ideał tej młodzieńczej dziewczyny z własną oschłą rozpaczą.

– Biedna mała Pansy! – powiedziała tkliwie.

– Och, nic ważnego – żarliwie usprawiedliwiła się Pansy.

Umilkły obie. Hrabina długo kazała na siebie czekać.

– Czy pokazałaś cioci wszystko? Czy ją to zainteresowało? – spytała Isabel.

– Tak, zdaje się, że była zadowolona.

– Mam nadzieję, że nie zmęczyłaś się za bardzo?

– Nie, dziękuję, nie jestem zmęczona.

Hrabina wciąż nie zjawiała się, więc w końcu Isabel posłała służącego do Koloseum, aby przypomnieli jej, że panie czekają w powozie. Służący wrócił z wiadomością, że *signora contessa* prosi, aby dłużej na nią nie czekali: przyjedzie do domu dorożką.

W tydzień po tym dniu, w którym hrabina Gemini zapalała nagłą sympatią do Edwarda Rosiera, Isabel, wchodząc dość późno do swojego pokoju, żeby się przebrać przed obiadem, zastała tam pasierbicę. Pansy widocznie czekała na nią i od razu zerwała się z niskiego taboretu.

– Przepraszam, że pozwoliłam sobie wejść tutaj – powiedziała nieco drżącym głosem. – Ale to już ostatni raz... nieprędko znów przyjdę.

Głos jej brzmiał dziwnie, a szeroko otwarte oczy zdradzały podniecenie czy może lęk.

– Chyba nigdzie nie wyjeżdżasz?! – krzyknęła Isabel.

– Jadę do klasztoru.

– Do klasztoru?

Pansy przysunęła się tak blisko, że mogła wreszcie objąć macochę i złożyć głowę na jej ramieniu. Stała tak chwilę bez ruchu, ale Isabel czuła, że Pansy drży. Drżenie jej drobnej postaci wyrażało wszystko, czego nie mogły powiedzieć usta.

Isabel spróbowała jednak nalegać:

– Dlaczego?

– Papa uważa, że tak będzie lepiej. Mówi, że młoda dziewczyna powinna od czasu do czasu odbywać takie rekolekcje. Bezustanne życie światowe szkodzi dziewczętom. Będę mogła trochę znów skupić się, zastanowić. – Mówiła krótkimi, rwącymi się zdaniami, jakby nie ufała własnym siłom. W końcu odniosła nad sobą zwycięstwo i stwierdziła: – Papa ma słuszość, bardzo dużo tej zimy bywałam na przyjęciach.

Nowina zrobiła na Isabel ogromne wrażenie; wydała jej się bardziej doniosła, niż sądziła biedna mała Pansy.

– Kiedy zapadła ta decyzja? – spytała. – Nic o tym nie słyszałam.

– Papa powiedział mi pół godziny temu. Uznał, że lepiej o tym wiele z góry nie dyskutować. *Mère Catherine* przyjedzie po mnie kwadrans po siódmej. Mam wziąć tylko dwie suknie. Wystarczą na tych parę tygodni. Będzie mi tam z pewnością dobrze. Spotkam znów zakonnice, które zawsze tak miło mnie traktowały, i dziewczynki z ich pensji. Bardzo lubię małe dziewczynki – oznajmiła Pansy z dziecinną wspaniałomyślnością. – Ogromnie też jestem przywiązana do matki *Catherine*. W ciszy i spokoju będę dużo myślała.

Isabel słuchała jej z zapartym tchem, niemal z czcią.

– Pomyśl czasem też o mnie.

– Ach, niech pani mnie tam wkrótce odwiedzi! – krzyknęła Pansy, zupełnie innym tonem niż przed chwilą, gdy wygłaszała heroiczne postanowienia.

Isabel nie mogła nic więcej powiedzieć, nic bowiem nie rozumiała; uprzytomniła sobie, że nie знаła dotychczas naprawdę swojego męża. Zamiast odpowiedzi ofiarowała pasierbicy długi, serdeczny pocałunek.

W pół godziny później dowiedziała się od pokojówki, że *mère* Catherine przyjechała dorożką i zabrała *signorinę*. Wchodząc przed obiadem do salonu, zastała tam tylko hrabinę Gemini, która potrząsając gwałtownie głową, skomentowała najnowsze wydarzenia okrzykiem:

– *En voilà, ma chère, une pose!*

Lecz jeśli to była poza, Isabel nie pojmowała, jaką grę prowadzi jej mąż. Niejasno zgadywała, że odziedziczył więcej tradycji, niż jej się dotychczas zdawało. Tak już nauczyła się ważyć w rozmowach z nim każde słowo, że – chociaż to może zdziwić czytelników – kiedy Osmond nadszedł, wahała się kilka minut, nim wspomniała o niespodziewanym zniknięciu jego córki. Ośmieliła się na to dopiero wtedy, gdy już we troje siedzieli przy stole. Nie pozwoliła sobie jednak na zadawanie Osmondowi pytań. Powiedziała tylko jak najbardziej naturalnym tonem:

– Będzie mi bardzo brakowało małej Pansy.

Osmond przez chwilę, z głową lekko przechyloną, patrzył na kosz kwiatów zdobiący pośrodku stół.

– No tak – odparł wreszcie. – Myślałem także o tym. Musisz ją odwiedzić, ale, proszę cię, nie za często. Zapewne dziwisz się, że ją odesłałem do sióstr, ale wątpię, czy zdołam ci to wytłumaczyć. Mniejsza z tym, nie troszcz się o tę sprawę. Nie mówiłem ci nic dotychczas, bo wiedziałem, że nie zrozumiesz. Ale ja zawsze miałem zdecydowane poglądy na wychowanie córki i ta decyzja jest zgodna z moimi przekonaniem. Chcę mieć córkę świeżą i ładną, niewinną i łagodną. W dzisiejszych czasach dziewczyna łatwo może stracić świeżość. Pansy już się trochę zakurzyła, potargała, za wiele obracała się wśród ludzi. Trzeba ją na jakiś czas wyrwać z tego rozgardiaszu, który nazywa się życiem towarzyskim. Klasztory to miejsca ciche, stosowne i zbawienne. Cieszy mnie myśl, że moja córka przebywa w starym ogrodzie, pod arkadami, w otoczeniu spokojnych, zacnych kobiet. Wiele z nich pochodzi z dobrych domów, niektóre nawet z rodzin utytułowanych. Pansy będzie tam miała swoje książki, przybory do rysowania, fortepian. Zapewniłem jej możliwie najlepsze warunki.

Nie ma mowy o ascezie, chodzi tylko o pewne poczucie odosobnienia. Nie zabraknie jej czasu na rozmyślania, a chciałbym, żeby się szczególnie zastanowiła nad pewną sprawą. – Osmond mówił stanowczo, rozsądnie, wciąż z głową przechyloną, z oczyma zwróconymi na kwiaty w koszyku. Nie brzmiało to jednak tak, jakby udzielał żonie wyjaśnień, lecz jakby formułował w słowach – niemal w obrazach – pewien pomysł, aby samemu lepiej zobaczyć, jak to naprawdę wygląda. Przez chwilę kontemplował obraz, który stworzył, i zdawał się bardzo ze swego dzieła zadowolony. – Katolicy są jednak mądrzy. Klasztor to wspaniała instytucja, nie sposób się bez niej obyć, odpowiada doniosłym potrzebom życia rodzinnego i społecznego. Jest szkołą dobrych manier, szkołą spokoju. Ach, nie chcę mojej córki oderwać od świata – dodał. – Nie chcę, żeby inny świat zaprzętnął jej myśli. Nasz świat powinien być w jej oczach dobry, wolno jej o nim myśleć, ile ma ochotę, byle myślała jak należy.

Isabel z wielką uwagą słuchała tego małego wykładu; wydał jej się ogromnie interesujący. Udowadniał, jak daleko gotów jest posunąć się Osmond, żeby osiągnąć swój cel; nie wahał się dla teoretycznych eksperymentów narażać delikatnej psychiki własnej córki. Isabel nie rozumiała, do czego jej mąż dąży – w każdym razie niezupełnie. Jednakże pojmowała więcej, niż Osmond przypuszczał i pragnął; była przeświadczona, że cały ten manewr jest kunsztownie obmyśloną mistyfikacją, która ma ją zwieść i oddziaływać na jej wyobraźnię. Osmond postanowił zaskoczyć ją jakimś aktem swojej władzy, nieoczekiwanym i niezwykłym. Chciał podkreślić różnice między swoimi i jej sympatiami i pokazać, że uważając córkę za cenne dzieło sztuki, musi oczywiście z największą starannością nadać temu dziełu ostatni szlif. Jeśli chciał osiągnąć taki efekt, odniósł zwycięstwo, bo cały ten epizod zmroził serce jego żony. Pansy od dzieciństwa знаła klasztor i była tam szczęśliwa, kochała poczciwe zakonnice, które odwzajemniały jej uczucie; na razie los jej nie zdawał się zbyt srogi. A jednak Pansy przestraszyła się, rozkaz ojca – zgodnie z jego zamierzeniem – wstrząsnął nią głęboko. Dawna protestanka



tradycja nigdy nie zblakła w wyobraźni Isabel, toteż rozmyślając o tym nowym, imponującym dowodzie geniuszu Osmonda i podobnie jak on patrząc na kwiaty w koszyku, Isabel ujrzała biedną małą Pansy jako heroinę tragedii. Osmond chciał, aby wiedziała, że on przed niczym się nie cofnie. Isabel z trudem udawała, że coś je podczas tego obiadu. Niemal z ulgą usłyszała przenikliwy wysoki głos szwagierki. Hrabina widocznie też przemyślała całą sprawę, ale wyciągnęła inne niż Isabel wnioski.

– To śmieszne, mój drogi – powiedziała – że wynajdujesz tyle szlachetnych motywów wygnania biednej Pansy. Dlaczego nie mówisz otwarcie, że chciałeś ją po prostu rozłączyć ze mną? Czyż nie odkryłeś, że jestem bardzo życzliwa dla pana Rosiera? Nie przeczę, ten młody człowiek wydaje mi się *simpatissimo*. Dzięki niemu pierwszy raz w życiu uwierzyłam w prawdziwą miłość. Oczywiście uznałeś, że z takimi poglądami jestem niebezpiecznym towarzystwem dla Pansy.

Osmond pociągnął łyk wina; sądząc z miny, był teraz w doskonałym humorze.

– Kochana Amy – odparł z takim uśmiechem, jakby chciał siostrę uraczyć komplementem. – Nic mi nie wiadomo o twoich poglądach, ale gdybym przypuszczał, że są sprzeczne z moimi, o ileż łatwiej mógłbym cię wypędzić!

## ROZDZIAŁ LI

Hrabina nie została wypędzona, ale odtąd czuła się niepewnie, obawiając się, że brat wymówi jej gościnę. W tydzień po tym incydencie Isabel dostała z Gardencourt telegram, zredagowany przez panią Touchett w charakterystycznym dla niej stylu:

RALPH MA NIEWIELE DNI ŻYCIA PRZED SOBĄ. CHCIAŁBY CIĘ ZOBACZYĆ, JEŚLI TO MOŻLIWE. KAZAŁ NAPISAĆ „JEŚLI INNE OBOWIĄZKI POZWOLĄ CI NA TO”. OD SIEBIE DODAM, ŻE ZAWSZE DUŻO MÓWIŁAŚ O SWOICH OBOWIĄZKACH I ZASTANAWIAŁAŚ SIĘ, NA CZYM POLEGAJĄ. CIEKAWA JESTEM, CZY TERAZ JUŻ WIESZ. RALPH NAPRAWDĘ UMIERA I NIE MAMY TUTAJ ŻADNYCH GOŚCI.

Isabel była przygotowana na złą nowinę, bo panna Stackpole przysłała dokładne sprawozdanie z podróży, w której eskortowała wdzięcznego pacjenta. Ralph dojechał do Anglii półżywy, lecz Henrietta zdołała go dowieźć do Gardencourt; tam zaraz położył się i nie było nadziei, aby kiedykolwiek dźwignął się jeszcze z łóżka. Henrietta dodała, że w drodze musiała opiekować się nie jednym, lecz dwoma chorymi, bo pan Goodwood okazał się bezużyteczny i cierpiący nie mniej, chociaż inaczej, od Ralpha. Później Henrietta ustąpiła pola pani Touchett, która wróciła nareszcie z Ameryki i niezwłocznie dała pannie Stackpole do zrozumienia, że nie zamierza z nikim dzielić się władzą w Gardencourt. Isabel wkrótce po przyjeździe Ralpha do Rzymu zawiadomiła ciotkę o złym stanie jego zdrowia i próbowała nakłonić ją, by przyspieszyła powrót zza oceanu. Pani Touchett telegraficznie potwierdziła odbiór listu, lecz potem Isabel nie miała od niej ani słówka, póki nie nadszedł wspomniany przed chwilą drugi telegram.

Isabel przez chwilę wpatrywała się w tekst depechy, potem

wsunęła ją do kieszeni i pospieszyła prosto do gabinetu męża; zawahała się na sekundę pod drzwiami, ale otworzyła je zaraz i weszła. Osmond siedział w pobliżu okna przy stole, na którym wsparty o stos książek leżał gruby tom in folio, otwarty na stronie zawierającej małe kolorowe ryciny. Isabel zrozumiała, że mąż jej kopiuje wizerunek antycznej monety. Miał pod ręką pudełko akwarelowych farb i cienkie pędzelki; już przeniósł na nieskazitelnie czysty papier delikatny, pięknie zabarwiony krążek. Siedział odwrócony plecami do drzwi, ale nie odwracając głowy, zgadł, kto wchodzi.

– Wybacz, że ci przeszkadzam – powiedziała.

– Ja, wchodząc do twojego pokoju, zawsze pukam – odparł, nie przerywając pracy.

– Zapomniałam. Myślałam o czymś innym. Mój kuzyn umiera.

– Ej, nie wierzę – powiedział Osmond, oglądając swój rysunek przez szkło powiększające. – Umierał już wtedy, kiedy braliśmy ślub. Wszystkich nas przeżyje.

Isabel nie zostawiła sobie czasu na refleksję i ocenienie zamierzonego cynizmu tych słów; przejęta własnymi myślami powiedziała szybko:

– Ciotka wzywa mnie telegraficznie, muszę jechać do Gardencourt.

– Dlaczego musisz? – z beznamietnym zaciekawieniem spytał Osmond.

– Żeby zobaczyć Ralpa jeszcze przed śmiercią.

Nie od razu odpowiedział, skupiając całą uwagę na robocie, która ze swej natury wymagała wielkiej staranności.

– Nie widzę potrzeby – rzekł wreszcie. – Touchett odwiedził cię tutaj. Nie byłem z tego zadowolony, uważałem, że popełnił gruby błąd, przyjeżdżając do Rzymu. Tolerowałem jego pobyt w przekonaniu, że spotykasz się z nim po raz ostatni. Dzisiaj dowiaduję się, że to nie był ostatni raz. Ach, jesteś niewdzięczna!

– Za co miałabym być ci wdzięczna?

Gilbert Osmond odłożył swoje miniaturowe narzędzia,

zdmuchnął drobiny pyłu z rysunku, z wolna wstał i teraz dopiero spojrzał na żonę.

– Za to, że nie przeszkadzałem ci widywać się z nim, dopóki był w Rzymie.

– Tak, za to jestem wdzięczna. Dobrze zapamiętałam, jak mi dawałeś odczuć swoje niezadowolenie. Odetchnęłam, kiedy Ralph wyjechał.

– Więc zostaw go w spokoju, nie goń za nim.

Isabel odwróciła wzrok od twarzy męża i zatrzymała spojrzenie na małym rysunku.

– Muszę jechać do Anglii – oznajmiła z całą świadomością, że drażliwy mężczyzna o wybrednym smaku usłyszy w jej tonie tępy upór.

– Nie będę zadowolony, jeżeli to zrobisz – stwierdził Osmond.

– Dlaczego miałabym na to zważać? Nie będziesz zadowolony nawet, jeśli tego nie zrobię. Jakkolwiek postąpię, tobie się to nie spodoba. Udajesz, że bierzesz moje argumenty za kłamstwa.

Osmond pobladł trochę i uśmiechnął się chłodno.

– I dlatego musisz jechać? Nie po to, żeby się pożegnać z kuzynem, ale żeby się na mnie zemścić.

– Nie myślę o zemście.

– Ale ja myślę – odparł Osmond. – Nie dawaj mi do niej okazji.

– Chciałbyś tego. Bardzo byś chciał, żebyśmy popełniła jakieś szaleństwo.

– W takim razie powinno by mnie cieszyć, jeśli okażesz się nieposłuszna.

– Nieposłuszna? – powtórzyła Isabel tak cicho, że zabrzmiało to łagodnie.

– Postawmy sprawę jasno. Jeżeli dzisiaj opuścisz Rzym, będzie to świadomy i dokonany z całą premedytacją bunt przeciw mojej woli.

– Jak możesz mówić o premedytacji? Ledwie przed kilku

minutami dostarczono mi telegram od ciotki.

– Umiesz myśleć szybko, to jedna z twoich zalet. Niepotrzebnie przedłużasz dyskusję, znasz moje życzenia. – Stał, wyraźnie czekając, by wyszła z pokoju.

Isabel jednak nie ruszyła się z miejsca; nie mogła odejść. Rzecz dziwna, ale pragnęła usprawiedliwić się przed mężem; tak ogromna była jego władza nad nią, że czuła potrzebę wyjaśnienia mu swoich motywów. Osmond zawsze poruszał jakąś strunę w jej wyobraźni, na przekór rozumowi.

– Nie masz powodu, żeby sobie tego nie życzyć – powiedziała – ale ja mam mnóstwo powodów, żeby pojechać. Nie umiem ci wytłumaczyć, jak bardzo wydajesz mi się niesprawiedliwy. Ale ty i tak wiesz. To ty sprzeciwiasz się z premedytacją. I złośliwie.

Nigdy dotychczas nie wyjawiała mu swoich najgorszych myśli o nim. Było to dla Osmonda coś nowego, ale nie okazał, że jest zaskoczony. Chłód, jaki zachował, świadczył o głębokim przekonaniu, że Isabel nie będzie zdolna do końca opierać się jego chytrym prowokacjom.

– Moje życzenia są w takim razie tym bardziej stanowcze – odparł i jakby udzielając przyjacielskiej rady, dodał: – Sprawa jest bardzo poważna. – Rozumiała to, doceniała wagę sytuacji, wiedziała, że nadeszła chwila przełomu w ich wzajemnych stosunkach. Dlatego była ostrożna; milczała. Osmond ciągnął tymczasem dalej: – Mówisz, że nie mam powodów. Owszem, mam, i to niebłahe. Z całej duszy sprzeciwiam się twoim zamiarom. Są niegodne, nietaktowne, nieprzyzwoite. Twój kuzyn nie jest dla mnie absolutnie niczym, nie jestem zobowiązany do żadnych ustępstw na jego korzyść. Już dość ich zrobiłem. Twoje stosunki z nim, póki był w Rzymie, irytowały mnie strasznie, ale zaciskałem zęby, bo spodziewałem się, że lada tydzień Touchett wyjedzie. Nigdy go nie lubiłem i on też mnie nie lubił. Właśnie dlatego, że mnie nie cierpi, ty go tak kochasz – powiedział Osmond i na sekundę głos zadrżał mu ledwo dostrzegalnie. – Stworzyłem sobie pewien ideał żony, wiem, jak powinna

zachowywać się, a czego jej nie wolno. Nie powinna sama podróżować na drugi koniec Europy wbrew mojemu zasadniczemu sprzeciwowi i czuć przy łóżku innego mężczyzny. Twój kuzyn nie jest niczym dla ciebie, dla nas. Uśmiechasz się bardzo wymownie, kiedy mówię „my”, ale zapewniam cię, że ja tak o tobie i sobie myślę. Traktuję małżeństwo poważnie, w odróżnieniu, jak się zdaje, od ciebie. Nie rozwiedliśmy się i nie żyjemy, o ile mi wiadomo, w separacji, w moim przekonaniu jesteśmy nierozzerwalnie połączeni. Jesteś związana ze mną bliżej niż jakakolwiek inna osoba na ziemi, nie masz nikogo bliższego niż ja. Ten związek może być uciążliwy, ale sami na niego zdecydowaliśmy się z pełną świadomością. Nie lubisz, kiedy ci to przypominam, wiem, ale ja muszę o tym mówić, ponieważ... ponieważ... – zawiesił głos, jakby chciał nadać szczególną wagę temu, co zamierza teraz powiedzieć – ...ponieważ moim zdaniem trzeba ponosić konsekwencję własnych uczynków, tego wymaga honor, który cenię ponad wszystko na świecie.

Mówił poważnie i niemal łagodnie, bez sarkazmu. Ten nowy ton uśmierzył wzburzenie jego żony. Stanowcze postanowienie, z jakim przed chwilą przyszła, zaplątało się w sieci subtelnych myśli. W ostatnich słowach brzmiał nie rozkaz, lecz apel, a chociaż Isabel wiedziała, że każdy wyraz szacunku byłby z jego strony tylko wykwittem egotyzmu, odwoływał się do wartości wyższych i absolutnych, jak symbole krzyża lub sztandaru narodowego. Przemówił w imię świętych, drogich sercu zasad wymagających przestrzegania wspaniałych form. Uczuciowo byli sobie tak dalecy, jak mogą być tylko rozczarowani kochankowie, ale z pozoru nic ich nie dzieliło. Isabel nie zmieniła się, zachowała dawne namiętne umiłowanie sprawiedliwości, które odezwało się w niej teraz, wbrew przeświadczeniu, że mąż jej szermuje bluźnierczą sofistyką, i przez chwilę omal nie przyznała mu zwycięstwa. Przyszło jej do głowy, że w tej chęci oszczędzania pozorów Osmond jest bądź co bądź szczerzy i że to w pewnym sensie trzeba mu policzyć za zasługę. Parę minut przedtem wypełniała ją radość spontanicznego działania – radość od dawna niezaznana; nagle

Osmond jednym dotknięciem zgasił to uczucie, podsuwając na jego miejsce perspektywę powolnej rezygnacji. Nawet rezygnując, musiała mu powiedzieć, że składa ofiarę, ale nie dała się oszukać.

– Wiem, że nikt ci nie dorówna w sztuce szyderstwa. Jak możesz mówić o nierozzerwalności związku, o swoim zadowoleniu z niego? Czymże stał się nasz związek, jeśli oskarżasz mnie o fałsz? Jak możesz być zadowolony, jeśli nie masz w sercu nic prócz okropnej nieufności do mnie?

– Znajduję satysfakcję w tym, że mimo wszystko żyjemy ze sobą przyzwoicie.

– Nie, to nieprawda! – krzyknęła Isabel.

– Nie będzie to prawdą, jeżeli pojedziesz teraz do Anglii.

– To drobiazg, mogłabym zrobić coś więcej.

Podniósł brwi, a nawet lekko wzruszył ramionami; dość długo mieszkał we Włoszech, by nauczyć się takich gestów.

– No, jeżeli zaczynasz mi grozić, wolę wrócić do swojego rysunku. – Zbliżył się znów do stołu, sięgnął po kartkę i zaczął uważnie przyglądać się swojemu niedokończonemu dziełu.

– Sądzę, że nie będziesz spodziewał się mojego powrotu, jeśli teraz wyjadę – powiedziała Isabel.

Obróciła się szybko i zrozumiała, że ten żywy ruch nie był przynajmniej obliczony z góry na efekt. Patrzył na nią przez chwilę, nim spytał:

– Czyś ty oszalała?

– Cóż pozostaje innego niż zerwanie? Zwłaszcza jeżeli wszystko, co mówisz, jest prawdą? – Rzeczywiście nie widziała innej możliwości niż całkowite zerwanie – szczerze pragnęła, żeby istniało inne wyjście, ale go nie znajdowała.

Osmond usiadł przy stole.

– Nie mogę dyskutować z tobą, skoro chcesz mnie sprowokować – oznajmił i wziął do ręki jeden z małych pędzelków.

Stała jeszcze chwilę, dość długo, żeby objąć wzrokiem całą jego pozę tak wymowną mimo sztucznej obojętności, potem szybko wyszła. Jej myśli, siły, uczucia rozproszyły się znów w

chaosie; miała wrażenie, że ogarnia ją nagle zimna, ciemna mgła. Osmond był mistrzem w sztuce obnażania całej słabości przeciwnika. Po drodze do swojego pokoju spotkała hrabinę Gemini stojącą w otwartych drzwiach saloniku, w którym zgromadzono trochę książek. Jedną z nich hrabina trzymała w ręku i wertowała, nie mogąc, jak się zdawało, znaleźć w niej nic interesującego. Usłyszała kroki bratowej i podniosła głowę.

– Moja droga, ty tak się znasz na literaturze, wybierz mi coś ciekawego do czytania. Widzę tu same nudziarstwa... Jak myślisz, czy ta będzie dla mnie odpowiednia?

Isabel rzuciła okiem na tytuł, ale nie widziała i nie rozumiała nic.

– Wybacz, ale nie mogę ci teraz pomóc. Dostałam złe nowiny. Mój kuzyn, Ralph Touchett, jest umierający.

Hrabina odłożyła książkę.

– Ach, pan Touchett, taki *simpatico*! Bardzo ci współczuję!

– Współczułabyś jeszcze bardziej, gdybyś wiedziała...

– Co takiego? Wyglądasz strasznie mizernie. Z pewnością rozmawiałas z Osmondem.

Przed półgodziną Isabel odrzuciłaby zimno przypuszczenie, że kiedykolwiek mogłaby pragnąć współczucia swojej szwagierki; fakt, że teraz niemal kurczowo podchwyciła niedbałą uwagę tej damy, dowodzi, jak okropny opanował ją zamęt.

– Tak, rozmawiałam z Osmondem – powiedziała. Hrabina przyglądała jej się z błyskiem w oczach.

– Jestem pewna, że zachował się podle! – wykrzyknęła. – Czy ucieszył się, że biedny pan Touchett umiera?

– Powiedział, że mój wyjazd do Anglii jest niemożliwy.

Umysł hrabiny, gdy była czymś osobiście zainteresowana, pracował szybko; już zdążyła zrozumieć, że dalszy pobyt w Rzymie straci dla niej wszelkie uroki. Ralph Touchett umrze, Isabel w żałobie przestanie wydawać przyjęcia i proszone obiady. Grymas przemknął przez jej wyrazistą twarz, ale to przelotne skrzywienie ust było jedynym objawem rozczarowania, na jaki sobie pozwoliła. „Ostatecznie – pomyślała – zabawa i tak już



dobiegła końca”. Udało jej się przedłużyć wizytę poza planowany termin. Poza tym kłopoty Isabel tak ją interesowały, że zapomniała o własnych; widziała, że Isabel jest do głębi wstrząśnięta. Nie mogło to być spowodowane tylko wiadomością o bliskiej śmierci Ralphi Touchetta. Hrabina bez wahania skojarzyła wyraz oczu Isabel z osobą swojego nieznośnego brata. Serce jej przyspieszyło rytm w radosnym niemal przewidywaniu, bo wszystko zdawało się zapowiadać, że Osmond dostanie wreszcie nauczki, jakiej mu siostra od dawna życzyła. Oczywiście jeżeli Isabel wyjedzie do Anglii, hrabina będzie musiała opuścić Palazzo Roccanera, za nic w świecie nie zostałaby tu sama z Osmondem. Mimo to gorąco pragnęła usłyszeć z ust bratowej, że postanowiła wyjechać.

– Dla ciebie, moja droga, nie ma nic niemożliwego – powiedziała. – Inaczej na co zdałoby ci się bogactwo, inteligencja i dobroć?

– Masz rację, na cóż mi się to zda? Czuję się idiotycznie słaba.

– Dlaczego Osmond uważa, że nie możesz jechać? – spytała hrabina takim tonem, jakby wcale nie domyślała się odpowiedzi.

Ale Isabel, tak wypytywana, zdążyła już się opanować; uwolniła rękę z czułego uścisku, w jaki chwyciła ją hrabina.

Odpowiedziała jednak z cierpką szczerością:

– Bo jesteśmy ze sobą tak szczęśliwi, że nie możemy rozstać się choćby na dwa tygodnie.

– Ach! – krzyknęła hrabina, gdy Isabel już się odwróciła. – Mój mąż, jeśli chce gdzieś wyjechać, mówi mi po prostu, że nie da mi pieniędzy na podróż.

Przez następną godzinę Isabel chodziła tam i z powrotem po swoim pokoju, nie mogąc sobie znaleźć miejsca. Niektórym czytelnikom wyda się zapewne, że Isabel zanadto przejęła się tym konfliktem; niewątpliwie jak na kobietę silnego charakteru za łatwo dała się zbić z tropu. Miała wrażenie, że dopiero teraz ocenia doniosłość instytucji zwanej małżeństwem. Małżeństwo wymaga, aby w takim przypadku jak ten, gdy trzeba wybierać, bez wahania wybrać męża. „Boję się, tak, boję się” – powtarzała sobie w duchu,

przystając w swoich wędrówkach po pokoju. Bała się nie męża, nie jego gniewu, nienawiści i zemsty, nawet nie tego, jak w przyszłości sama osądzi swój postępek – chociaż ta myśl często hamowała różne jej odruchy; bała się po prostu brutalności wyjazdu wbrew woli Osmonda. Różnica poglądów dzieliła ich jak przepaść, ale Osmond chciał, żeby została, jej wyjazd oburzy go do żywego. Znała jego nerwową reakcję na każdy sprzeciw. Wiedziała, co mąż o niej myśli, przekonała się, co zdolny jest jej powiedzieć, ale mimo wszystko byli małżeństwem, a to znaczy, że kobieta powinna trwać niezłomnie u boku mężczyzny, któremu przed ołtarzem złożyła tak uroczyste śluby. W końcu Isabel osunęła się na sofę i ukryła twarz w stosie poduszek.

Kiedy podniosła głowę, zobaczyła przed sobą hrabinę Gemini, która weszła niepostrzeżenie i stała z dziwnym uśmiechem na wąskich wargach; w ciągu ostatnich godzin twarz jej wyrażała wielką gotowość do zwierzeń. Można by o hrabinie Gemini powiedzieć metaforycznie, że spędzała życie w oknie, ale w tej chwili wychyliła się z niego daleko.

– Pukałam – usprawiedliwiła się – ale gdy nie odzywałaś się, weszłam. Obserwuję cię od kilku minut. Jesteś bardzo nieszczęśliwa.

– Tak, ale wątpię, czy będziesz mogła mnie pocieszyć.

– Pozwól, że spróbuję. – Hrabina usiadła na sofie obok bratowej. Wciąż uśmiechała się znacząco i nieco tryumfalnie. Widać było, że ma wiele do zakomunikowania; pierwszy raz Isabel przyszło do głowy, że z tą szwagierką można by się po ludzku porozumieć. Rozbiegane oczy hrabiny błyszczały jakąś nieprzyjemną fascynacją. – Na wstępie – podjęła prędko – muszę wyznać, że nie rozumiem twojej rozterki. Trujesz się skrupułami, wynajdujesz tyle różnych racji, poczuwasz się do tylu obowiązków! Kiedy przed dziesięciu laty odkryłam, że mój mąż najgoręcej pragnie unieszczęśliwić mnie – teraz to już minęło, w ogóle go nie obchodzę – odetchnęłam, bo to wspaniale uprościło sytuację. Ty, biedaczko, nie jesteś dostatecznie prosta.

– Nie, nie jestem dostatecznie prosta – zgodziła się Isabel.

– Chcę, żebyś coś wiedziała – oznajmiła hrabina – bo uważam, że powinnaś to wiedzieć. Może zresztą wiesz, może sama się domyśliłaś? Jeśli tak, tym bardziej nie pojmuję, dlaczego nie miałabyś robić wszystkiego, co ci się spodoba.

– Co powinnam twoim zdaniem wiedzieć? – spytała Isabel z sercem bijącym od złych przeczuć. Już sam fakt, że hrabina zamierzała jej wyjawić jakiś sekret, nie wróżył nic dobrego.

Ale hrabina zwlekała jeszcze.

– Ja na twoim miejscu od dawna bym zgadła. Nigdy nie miałaś żadnych podejrzeń?

– Niczego nie odgadłam. Co miałam podejrzewać? Nie wiem, o czym mówisz.

– To dlatego, że masz tak piekielnie czyste serce. W życiu nie widziałam kobiety o tak czystym sercu! – wykrzyknęła hrabina.

Isabel z wolna wstała.

– Chcesz mi powiedzieć coś okropnego.

– Możesz to określić, jak ci się podoba! – Hrabina także podniosła się; nagromadzona w niej przewrotność ożyła nagle w całej pełni. Przez chwilę hrabina stała jakby w blasku powziętej decyzji, a także, jak nawet w tym momencie spostrzegła Isabel, odrażającej brzydoty. Wreszcie powiedziała: – Moja pierwsza bratowa nigdy nie miała dzieci.

Isabel odsunęła się od niej. Tych kilka słów wystarczyło, żeby rozładować napięcie.

– Twoja pierwsza bratowa?

– Tyle chyba wiesz, że Osmond był już raz żonaty. Nigdy nie mówiłam ci nic o jego pierwszej żonie, bo uważałam, że nie byłoby to stosowne czy delikatne. Ale inne mniej taktowne osoby z pewnością nie zachowałyby takiej dyskrecji. Biedna kobiecina żyła po ślubie zaledwie trzy lata i zesłała ze świata bezpotomnie. Pansy zjawiała się dopiero po jej śmierci.

Isabel zmarszczyła brwi i rozchyliła usta w niejasnym, lekkim zdumieniu. Próbowwała zrozumieć; wyczuwała, że w tej informacji kryje się coś więcej, niżby można z pozoru przypuszczać.

– A więc Pansy nie jest córką mojego męża?  
– Ależ tak, jest córką Osmonda, ale nie jest dzieckiem niczyjego męża. Urodziła ją żona innego człowieka. Ach, moja droga, czyż trzeba stawiać wszystkie kropki nad i?  
– Nie rozumiem. Czyja żona?  
– Żona pewnego okropnego małego Szwajcara, który nie żyje od... od ilu?... od dwunastu czy piętnastu lat. Nigdy nie uznał Pansy za swoje dziecko, za dobrze był poinformowany, i nigdy nią się nie interesował; nie miał powodów, żeby zajmować się tą małą. Wziął ją Osmond i lepiej się stało, że to zrobił, chociaż musiał później skomponować bajkę: żona umarła mu w połogu, w pierwszym odruchu żalu i zgryzoty nie chciał nawet patrzeć na to dziecko; dopiero po jakimś czasie odebrał je od piastunki i zaczął wychowywać w swoim domu. Pierwsza żona rzeczywiście umarła, ale z innych przyczyn i gdzie indziej! Pewnego sierpniowego dnia w górach Piemontu, gdzie zamieszkali, ponieważ stan jej zdrowia wymagał górskiego powietrza; tam nagle rozchorowała się śmiertelnie. Bajka była dostatecznie przekonująca, nikt jej nie próbował podważyć, bo nikogo to szczególnie nie obchodziło. Ale ja oczywiście znałam prawdę, nie musiałam w tym celu prowadzić specjalnego śledztwa – ciągnęła hrabina rzeczowym tonem swoją opowieść – i nigdy na ten temat nie zamieniliśmy z Osmondem ani słowa. Wyobrażasz sobie, jakim wzrokiem patrzył na mnie w milczeniu, dając do zrozumienia, że sprawa jest zamknięta, a właściwie że pożałuję, jeżeli wyjawię sekret. Nie mówiłam więc o tym nikomu, słówka nie pisnęłam, możesz mi wierzyć, przysięgam ci, dopiero dzisiaj, po tylu latach powiedziałam. Od początku uznałam, że nie powinnam jej szkodzić, jest bądź co bądź moją bratanicą, córką mojego brata. Co do jej prawdziwej matki... – Niezwykła ciotka małej Pansy urwała, jakby pod wrażeniem, że tysiące oczu wpatrują się w nią z twarzy bratowej.

Nie wymówiła nazwiska, ale Isabel tylko dla potwierdzenia niezachwianej pewności dopowiedziała szeptem to, co jej szwagierka przemilczała. Osunęła się znów na kanapę i spuściła głowę.

– Po co mi to powiedziałaś? – spytała głosem tak zmienionym, że hrabina z trudem go rozpoznała.

– Bo drażniło mnie, że nie wiesz. Złościło mnie, szczerze mówiąc, że ci tego wcześniej nie powiedziałam, wydawało mi się idiotyczne, że nie znalazłam dawno jakiejś zręcznej sposobności. *Ça me dépasse*, pozwolę sobie wyznać, że mogłaś tak wcale nie orientować się we wszystkim, co się wokół ciebie dzieje. Chciałam ci pomóc, stanąć po stronie naiwnej ignorancji, chociaż nie mam wprawdy w dobrych uczynkach tego rodzaju. W końcu sprzykrzyło mi się chronienie sekretów mojego brata, cnota lojalności ma też swoje granice. Zapewniam cię, że to nie oszczerstwo – dodała niezrównana hrabina – wszystko, co ci powiedziałam, jest prawdą.

– Nie przyszło mi to nigdy do głowy – powiedziała Isabel i spojrzała na szwagierkę z wyrazem odpowiednim do oczywistej naiwności tego wyznania.

– Tak też myślałam, chociaż wydawało się to niewiarygodne. Czy nie wiesz, że on był przez sześć czy siedem lat jej kochankiem?

– Nie wiedziałam. Zauważyłam pewne rzeczy, które mnie dziwiły, a z których powinna bym może odgadnąć.

– Była niezwykle sprytna, grała swoją rolę w stosunku do Pansy wspaniale! – wykrzyknęła hrabina, oceniając jasną już teraz sytuację.

– Nigdy jednak moje domysły nie przybrały tak konkretnej formy – powiedziała Isabel. Starła się sama sobie wyjaśnić, co się stało i co się nie stało. – W każdym razie wciąż jeszcze nie rozumiem.

Była zaskoczona i wstrząśnięta, a jednak biedna hrabina czuła, że rewelacja wywołała mniejszy efekt, niżby należało oczekiwać. Spodziewała się płomiennego wybuchu, ale nie wykrzesła ani isierki. Isabel nie okazała większego wzburzenia niż przy lekturze jakiegoś ponurego rozdziału historii, przemawiającego do jej żywej wyobraźni.

– Dziecko nie mogło być przypisane jej mężowi, panu Merle, rozumiesz? – tłumaczyła szwagierka. – Od dość dawna żyła w

separacji z nim, Merle przebywał w jakimś odległym kraju, w Ameryce Południowej, jeśli się nie mylę. Jeżeli kiedykolwiek miała inne dzieci... nie wiem o tym nic pewnego... to musiała je stracić. Okoliczności tak się złożyły, że Osmond mógł i musiał... sytuacja była krytyczna... uznać Pansy za swoją córkę. Jego żona nie żyła, to prawda, ale od śmierci jej nie upłynęło wiele czasu i można było, przesuwając nieco daty, stworzyć pozory przekonujące... oczywiście pod warunkiem, że w otoczeniu nie zbudzą się żadne podejrzenia, musieli więc postępować ostrożnie, żeby tego uniknąć. Czyż nie wydawało się najzupełniej naturalne, że biedna pierwsza pani Osmond, zmarła gdzieś daleko, bez szczególnego zainteresowania tego świata, którego takie drobne wydarzenia mało obchodzą, zostawiła tę biedną małą, owoc swojego krótkiego szczęścia, przypłaciwszy to życiem? Wyniósł się z Neapolu, gdzie przedtem mieszkał i skąd wyjechał z żoną w góry, opuścił to miasto we właściwym czasie, raz na zawsze, i dzięki temu mistyfikacja udała się doskonale. Moja bratowa *poverina* nie mogła w swoim grobie zaprotestować, a prawdziwa matka, żeby ratować własną skórę, wyrzekła się wszelkich jawnych macierzyńskich praw.

– Biedna, biedna kobieta! – krzyknęła Isabel i wybuchnęła płaczem. Od dawna już nie wylewała łez, niełatwo płakała. Teraz jednak łzy trysnęły obfitym strumieniem, co na nowo zbiło z tropu hrabinę.

– Bardzo to szlachetne z twojej strony, że się nad nią litujesz!  
– zaśmiała się nieprzyjemnie. – Doprawdy, masz nieoczekiwane reakcje!

– A więc zdradził żonę... tak prędko po jej odejściu... – powiedziała Isabel, przestając nagle płakać.

– Tylko tego brakowało, żebyś stawiała w jej obronie – odparła hrabina. – Zresztą zgadzam się z tobą, że zanadto się z tym pośpieszył.

– Ale mnie... mnie... – urwała, jakby nie słyszała własnego głosu, jakby zadała sobie tylko w myślach pytanie, które jednak dość łatwo było wyczytać z jej oczu.

– Czy tobie był wierny? No, moja droga, to zależy, co nazywamy wiernością. Żeniąc się z tobą, nie był już kochankiem innej kobiety... Zresztą nawet wtedy, kiedy jeszcze trwał ten romans, można sobie wyobrazić, *cara mia*, jaka to mogła być miłość, zawsze w strachu, żeby się rzecz nie wydała, wśród nieustannych ostrożności! Wreszcie to minęło, ją ogarnęła skrucha czy też z innych jakichś osobistych powodów, dość, że się wycofała, zawsze zresztą żywiła taki kult dla pozorów, że nawet Osmonda nudziła jej przesada. Cóż dopiero w okolicznościach, gdy nie mógłby pogodzić romansu z konwenansami, które sam czci! Ale cała przeszłość ich łączy.

– Tak – automatycznie powtórzyła Isabel – cała przeszłość ich łączy.

– No, ostatnie lata nie miały już znaczenia. Ale tamtych sześć czy siedem lat żyli ze sobą.

Isabel przez chwilę milczała.

– Dlaczego więc chciała, żeby ożenił się ze mną?

– W tym, moja droga, przejawiała się jej wyższość! Ponieważ miałaś pieniądze i ponieważ wierzyła, że będziesz dobra dla Pansy.

– Biedna kobieta... a Pansy w dodatku jej nie lubi! – wykrzyknęła Isabel.

– Tym bardziej szukała kogoś, kogo Pansy polubiłaby z pewnością. Wiedziała to, ona wszystko wie.

– Czy dowie się, że mi to wszystko powiedziałaś?

– To będzie zależało od tego, co ty jej powiesz. Jest na tę możliwość przygotowana; wiesz, na jaki ratunek liczy? Że ty nie uwierzysz, weźmiesz to za moje kłamstwo. Może tak rzeczywiście myślisz, nie trudź się ukrywaniem takich podejrzeń. Ale w tym wypadku pomyliłabyś się, mówię prawdę. Opowiadałam ci różne idiotyczne bzdury, ale takie, które nikomu nie mogą szkodzić, chyba tylko mnie.

Isabel wpatrywała się w przedstawioną przez hrabinę historię jak w stos fantastycznych towarów, wysypanych u jej stóp na dywanie przez wędrownego handlarza.

– Dlaczego Osmond nie ożenił się z nią? – spytała wreszcie.

– Nie miał pieniędzy. – Hrabina miała na wszystko gotowe odpowiedzi, a jeżeli kłamała, to przekonująco. – Nikt nie wie i nigdy nie wiedział, z czego ta dama żyje i jakim sposobem zdobyła te wszystkie swoje piękne rzeczy. Myślę, że nawet Osmond tego nie wie. Ona by zresztą nie zgodziła się za niego wyjść.

– Jakże więc mogła go kochać?

– Nie kochała go w tym sensie. Początkowo kochała go i wtedy prawdopodobnie wyszłaby za niego, ale wówczas jej mąż żył jeszcze. Kiedy pan Merle odszedł do krainy przodków... nie, nie, tak nie można o nim powiedzieć, on nie miał żadnych przodków... jej stosunki z Osmondem już się zmieniły, nabrała większych ambicji. Poza tym nigdy nie łądziła się co do niego – dodała hrabina uwagę, którą Isabel potem miała sobie przypominać z odrazą – nie miała nigdy złudzeń co do tak zwanych intelektualistów. Spodziewała się, że złapie jakiegoś naprawdę wielkiego człowieka, to było jej marzenie. Czekala, czuwała, intrygowała, modliła się, ale wszelkie starania spaliły na panewce. Wiesz, moim zdaniem życie madame Merle jest nieudane. Nie wiem, co osiągnie w przyszłości, ale jak dotąd nie ma się czym pochwalić. Pomijając to, że zdołała nawiązać szerokie znajomości i wiele czasu spędza w domach przyjaciół, oszczędzając sobie wydatków, jedynym jej konkretnym sukcesem było wyswatanie Osmonda z tobą. O, tak, to jej dzieło, moja droga, nie rób takiej miny, jakbyś miała co do tego wątpliwości. Obserwowałam ich przez wiele lat, wiem o nich wszystko, wszystko. Uchodzę za osobę rozrzepaną, ale umiałam dostatecznie skupić uwagę, żeby śledzić tę parę. Ona nienawidzi mnie, okazuje to, udając, że zawsze staje w mojej obronie; gdy ktoś mówi, że miałam piętnastu kochanków, madame Merle, zgorszona, tłumaczy, że co najmniej połowa tych romansów nie została nigdy udowodniona. Od lat boi się mnie i bardzo ją cieszy, że ludzie gadają o mnie tyle podłych kłamstw. Boi się, że mogę zdradzić jej sekret, próbowała mnie postraszyć kiedyś, w pierwszym okresie twojej znajomości z Osmondem. Działo się to w jego florenckim domu, pamiętasz to popołudnie, kiedy cię tam



przywiozła po raz pierwszy i piliśmy herbatę w ogrodzie? Dała mi wtedy do zrozumienia, że jeśli nie będę trzymała języka za zębami, odpłaci mi tą samą monetą. Twierdzi, że o mnie byłoby więcej do opowiadania niż o niej. Porównanie mogłoby być interesujące! Gwiżdżę na to, co mogłaby o mnie nagadać, bo wiem, że ty się tym nie przejdziesz. Nie zaczniesz się interesować moją osobą bardziej niż dotychczas. Niech się mści, jeśli zechce. Wątpię, czy cię bardzo przerazi. Ona zawsze starała się być kobietą bez skazy, lilią w pełni rozkwitu, wcieleniem przyzwoitości. Czczy pozory jak boga. Żona cezara musi być ponad wszelkim podejrzeniem, znasz tę zasadę, a madame miała nadzieję zostać żoną cezara. To jeden z powodów, dla których nie wyszłaby za Osmonda, lękała się też, że widząc ją u boku Pansy, ludzie mogliby coś odgadnąć czy też zauważyć jakieś podobieństwo. Drżała, że mogłaby zdradzić się z macierzyńskimi uczuciami. Była bardzo ostrożna, matka nigdy w niej nie doszła do głosu.

– Owszem, doszła – powiedziała Isabel, która słuchała tych zwierzeń, blednąc coraz bardziej. – Zdradziła się przede mną kilka dni temu, chociaż ja wtedy tego nie zrozumiałam. Zastęsała, że Pansy miała okazję świetnego zamążpójścia i że ta szansa rozwiąła się, w rozczarowaniu omal nie zdjęła maski.

– Aha, w ten sposób chciałyby się odegrać! Sama poniosła klęskę, więc postanowiła, że jej córka zrobi karierę.

Isabel drgnęła, słysząc, jak gładko hrabina już teraz nazywa Pansy „jej córką”.

– Bardzo to wszystko dziwne – szepnęła, w oszołomieniu zapominając niemal na chwilę, że sprawa jej osobiście też dotyczy.

– Niech cię to nie zrazi do biednej niewinnej dziewczyny – mówiła dalej hrabina. – Pansy jest milutka pomimo swojego tak mało chlubnego pochodzenia. Zawsze ją lubiłam, nie za to oczywiście, że jest córką tamtej, ale że się stała twoją.

– Tak, stała się moją. Jakże ta biedna kobieta musiała cierpieć, widząc mnie przy niej! – wykrzyknęła Isabel, rumieniąc się na tę myśl.

– Nie sędzę, żeby cierpiała, przeciwnie, cieszyła się z tego.

Dzięki małżeństwu Osmonda z tobą otworzyły się dla Pansy lepsze perspektywy. Przedtem żyła w prowincjonalnej dziurze. Wiesz, czego się spodziewała jej matka? Że przywiążesz się do niej i zechcesz jej pomóc. Osmond oczywiście nie dałby jej grosza posagu. Był rzeczywiście w biedzie, ale o tym naturalnie wiesz. Ach, moja droga! – zawołała hrabina – dlaczego odziedziczyłaś tyle pieniędzy?... – urwała, jakby zaskoczył ją wyraz twarzy bratowej. – Nie mów mi, że ją wyposażył! Jesteś do takiego gestu zdolna, ale trudno mi w to uwierzyć. Nie próbuj być za dobra. Bądź swobodna, naturalna i trochę zła, pozwól sobie chociaż raz w życiu na tę satysfakcję.

– Dziwna historia. Myślę, że powinnam to wiedzieć. Jestem ci wdzięczna – powiedziała Isabel.

– Mówisz to tak, jakbyś naprawdę była wdzięczna! – wykrzyknęła hrabina z ironicznym śmiechem. – Może jesteś, może nie. Przyjęłaś tę wiadomość inaczej, niż się spodziewałam.

– A czego się spodziewałaś? – spytała Isabel.

– No, że zechcesz z tej informacji zrobić określony użytek! – Isabel nie odpowiedziała, słuchając jednak uważnie, więc hrabina ciągnęła dalej: – Zawsze byli ze sobą związani, zachowali tę więź, nawet kiedy ona zerwała... czy też kiedy on zerwał miłosne stosunki. On zresztą znaczył dla niej więcej niż ona dla niego. Kiedy skończył się romans, zawarli pakt, że zostawiają sobie nawzajem całkowitą swobodę, ale będą się w miarę możliwości zawsze wspierali. Spytasz, skąd to wiem. Wiem, bo obserwowałam ich postępowanie. No i proszę, kobiety są lepsze od mężczyzn. Ona znalazła Osmondowi żonę, ale on dla niej nawet palcem nie kiwnął. Ona dla niego trudziła się, snuła intrygi, cierpiała, nieraz nawet wystarała się o potrzebną mu gotówkę, a w końcu on się nią znudził. Stała się jego starym przyzwyczajeniem, chwilami jest mu potrzebna, na ogół jednak nie odczułby jej braku, gdyby zniknęła. Co najgorsze, ona zdaje sobie z tego sprawę. Nie potrzebujesz więc być o nią zazdrosna – dodała lekko hrabina.

Isabel znów wstała z sofy, czuła się rozbita, oddychała z trudem, w głowie jej szumiało od tych wszystkich rewelacji.

– Bardzo ci jestem wdzięczna – powtórzyła. I nieoczekiwanie, zupełnie innym tonem spytała: – Skąd ty to wszystko wiesz?

Irytacja wywołana tym pytaniem wzięła górę nad satysfakcją z wyrażonej wdzięczności i hrabina, patrząc arogancko na bratową, krzyknęła:

– Przypuśćmy, że zmyśliłam całą tę historię! – Nagle także zmieniła ton i kładąc rękę na ramieniu Isabel, powiedziała z przenikliwym, cierpkim uśmiechem: – Czy wobec tego zrezygnujesz z podróży?

Isabel drgnęła lekko i odsunęła się od szwagierki. Ale zrobiło jej się słabo i musiała oprzeć się o parapet kominka ramieniem, na którym złożyła głowę, pełną zamętu; w tej pozie, z przymkniętymi oczyma i pobladłymi wargami, stała chwilę.

– Żałuję, że ci powiedziałam! Gotowaś się rozchorować! – krzyknęła hrabina.

– Och, muszę zobaczyć Ralpa – jęknęła Isabel, bez goryczy, bez gwałtownego gniewu, którego spodziewała się szwagierka, lecz z przejmującym, bezgranicznym smutkiem.

## ROZDZIAŁ LII

Pociąg do Turynu i Paryża odchodził wieczorem; Isabel po wyjściu hrabiny odbyła krótką i stanowczą naradę ze swoją panną służącą – dyskretną, oddaną jej i energiczną kobietą. Potem myślała – oprócz podróży – o jednym tylko: musiała widzieć się z Pansy, nie mogła jej zawieść. Dotychczas nie odwiedziła pasierbicy, ponieważ Osmond dał jej do zrozumienia, że taka wizyta byłaby przedwczesna. O piątej po południu zajęła przed wysokie drzwi w wąskiej uliczce opodal Piazza Navona i została wpuszczona przez furtiankę, osobę rozmowną i uniżoną. Isabel знаła klasztor, bo towarzyszyła pasierbicy, która czasem odwiedzała siostry. Wiedziała, że są to dobre kobiety, przekonała się też, że duże pokoje są czyste i pogodne i że starannie utrzymany ogród jest zimą słoneczny, a latem cienisty. Nie lubiła jednak tego miejsca; budziło w niej sprzeciw i lęk, za nic w świecie nie chciałyby tutaj spędzić nocy. Tego dnia bardziej dotkliwie niż zwykle wyczuwała, że jest to przyzwoicie urządzone więzienie; nikt przecież nie mógł twierdzić, że Pansy w każdej chwili, jeśli tylko zechce, może stąd wyjść. Ukazano jej tę niewinną istotę w nowym i jaskrawym świetle, lecz rewelacja odniosła ten uboczny skutek, że Isabel zapragnęła podać swojej pasierbicy przyjazną rękę.

Furtianka zostawiła ją w rozmównicy, a sama poszła zawiadomić, że gość czeka na „kochaną panienkę”. Duży pokój, skąpo zastawiony nowymi meblami, był chłodny – nie napalono w białym porcelanowym piecu; na ścianach wisiały reprodukcje obrazów religijnych, szklane klosze chroniły bukiety ze sztucznych kwiatów. Podczas wcześniejszych tutaj wizyt Isabel miała wrażenie, że jest w Filadelfii, a nie w Rzymie, ale tym razem nie była usposobiona do tego rodzaju spostrzeżeń; pokój zdawał jej się tylko bardzo pusty i cichy. Po chwili furtianka wróciła, prowadząc drugą osobę. Isabel spodziewała się ujrzeć jedną z zakonnicek, lecz

ku wielkiemu swojemu zdumieniu znalazła się twarzą w twarz z madame Merle; doznała bardzo dziwnego wrażenia, wizja majająca jej wciąż przed oczyma wcieliła się w kobietę z krwi i kości – jak gdyby nagle i dość przerażająco portret wystąpił z ram. Isabel przez cały dzień myślała o jej obłudzie, zuchwalstwie, sprycie, o tym, że przypuszczalnie cierpi – wszystkie te mroczne wyobrażenia jak gdyby nagle rozbłysły, kiedy madame Merle weszła do pokoju. Sama jej obecność w tym domu miała znamiona haniebnego dowodu rzeczowego, kompromitujących listów, sprofanowanych pamiątek, ponurych świadectw przedstawianych w sądzie. Isabel była bliska omdlenia – gdyby musiała natychmiast odezwać się, nie mogłaby się na to zdobyć. Ale sytuacja nie wymagała od niej słów; wydało jej się, że w ogóle nie ma nic do powiedzenia tej osobie. Zresztą nikt nigdy w obcowaniu z madame Merle nie odczuwał kłopotliwego przymusu – swoim sposobem bycia nadrabiała nie tylko własne, lecz również cudze braki. Dziś jednak zdawała się inna niż zwykle. Weszła za furtianką powolnym krokiem i dla Isabel od razu stało się jasne, że madame Merle w tym przypadku nie liczy na zwykłe swoje metody – dla niej też sytuacja była wyjątkowa i wymagała improwizacji. Dlatego madame Merle przybrała niezwykle poważny wyraz twarzy, starała się nawet zgasić uśmiech; Isabel wiedziała, że madame Merle w większym jeszcze niż zazwyczaj stopniu gra komedię; mimo to wydawała jej się bardziej niż kiedykolwiek naturalna. Zmierzyła panią Osmond wzrokiem od stóp do głów, ale nie było to spojrzenie surowe ani wyzywające, raczej dość łagodne; z pewnością nie zawierało najłżejszej aluzji do niedawnej przykrej rozmowy. Można by myśleć, że madame Merle pragnie podkreślić odmienność nastroju. Przedtem była rozdrażniona, teraz zrezygnowana.

– Proszę nas zostawić same – poleciła furtiance. – Za pięć minut pani Osmond zadzwoni na siostrę. – Potem zwróciła się do Isabel, która zauważyła w pierwszym momencie to wszystko, o czym wspomnieliśmy, przestała obserwować madame Merle i pozwoliła swoim oczom błąkać się jak najdalej od niej, o tyle, o ile

dopuszczały rozmiary pokoju. Najchętniej nie spojrzalaby na nią już nigdy w życiu. – Zdziwiła cię moja obecność w tym domu i zapewne nie spodobała ci się wcale. Nie rozumiesz, po co przyszłam, może podejrzewasz, że chciałam cię uprzedzić. Przyznaję się do nietaktu, wypadało poprosić cię przedtem o pozwolenie. – Nie wyczuwało się w tych słowach podstępu czy ironii – madame Merle mówiła po prostu i łagodnie; jednakże Isabel, zagubiona na pełnym morzu zdumienia i bólu, daremnie próbowała odgadnąć intencję tych zwierzeń. – Nie siedziałam długo – powiedziała madame Merle. – To znaczy, nie rozmawiałam z Pansy długo. Odwiedziłam ją, bo dzisiaj po południu przyszło mi do głowy, że biedactwo czuje się pewnie osamotniona, może nawet troszkę nieszczęśliwa. Klasztorna pensja jest dobra dla małych dziewczynek, zresztą nie wiem, nigdy nie miałam do czynienia z dziećmi. W każdym razie to jest miejsce dość przygnębiające. Przyjechałam więc na wszelki przypadek. Wiedziałam, że ty ją będziesz odwiedzała, że Osmond też jej nie zaniedba. Jednakże, o ile mi wiadomo, nie zabroniono jej przyjmować również innych gości. Ta poczciwa kobieta... jakże się nazywa?... *Mère Catherine*... nie stawiała mi przeszkód. Spędziłam z Pansy dwadzieścia minut, ma tutaj śliczny pokój, niepodobny do zakonnej celi, fortepian i kwiaty. Urządziła sobie wszystko bardzo ładnie, ma dobry gust. Oczywiście to nie moja sprawa, ale jestem spokojniejsza, odkąd ją tutaj zobaczyłam. Mogłaby nawet mieć pannę służącą, gdyby chciała, ale przecież nie ma tu okazji, żeby się stroić. Nosi skromną czarną sukienkę, wygląda w niej uroczo. Potem złożyłam wizytę matce Catherine, która ma także bardzo ładny pokój; doprawdy, te poczciwe siostrzyczki nie przesadzają w ascezie. W pokoju matki Catherine widziałam dość kokieterijną toaletkę, a na niej coś, co mocno przypominało flakon wody kolońskiej. Ta poczciwa osoba wyraża się o Pansy najczulej w świecie, jest szczęśliwa, że ją gości w swoim domu. Uważa ją za anioła i wzór dla starszych. Wychodziłam od niej, kiedy zjawiała się furtianka z meldunkiem, że jakaś dama chce widzieć się z *signoriną*. Oczywiście domyśliłam

się, że to ty, więc poprosiłam, żeby pozwoliła mi przyjąć cię w jej zastępstwie. Wiedz, że bardzo się certowała, twierdząc, że musi zawiadomić matkę przełożoną, bardzo im na tym zależy, żeby cię potraktować z należnym szacunkiem. Poradziłam jej, żeby zostawiła w spokoju matkę przełożoną, i spytałam, czy obawia się, że ja powitam cię z niedostatecznym uszanowaniem.

Tak mówiła madame Merle z wprawą osoby słynącej z mistrzostwa w błyskotliwej konwersacji. Ale w tym monologu były różne fazy i odcienie, które Isabel rozpoznała, chociaż wzrok odwracała wciąż od twarzy madame Merle. Dość wcześnie usłyszała nagłe załamanie się głosu, króciutką pauzę, zawierającą cały dramat. Subtelna modulacja zaznaczyła moment odkrycia głębokiej zmiany w postawie słuchaczki. Madame Merle w jakiejś chwili zrozumiała, że wszystko między nimi skończone, w następnym mgnieniu oka odgadła przyczynę. Stała przed nią nie ta Isabel, którą znała dotychczas, lecz ktoś inny, kto przeniknął jej sekret. Odkrycie to poraziło ją, od tej chwili najmocniejsza, najbardziej opanowana z kobiet zaczęła chwiać się i tracić odwagę. Trwało to krótko. Potem strumień wymowy, kierowany świadomie i ujęty w karb światowych manier, popłynął znów gładko, o tyle swobodnie, o ile to było w tych okolicznościach możliwe, zmierzając do końca; ale tylko myśl o tym końcu pozwalała biednej madame Merle wytrwać. Musiała zmobilizować całą swoją wolę, żeby stłumić wzburzenie. Jeśli chciała ocaleć, nie wolno jej było zdradzić, co czuje. Zdobyła się na to, ale w głosie wciąż brzmiała nuta popłochu – nie mogła jej opanować – i sama słyszała ją, mówiąc dalej, prawie nie wiedząc już, co mówi. Fala pewności siebie, która ją niosła, opadała i madame Merle z trudem wprowadziła do przystani swoją łódź, ocierającą się już nieco dnem o mielizny.

Isabel widziała to wszystko wyraźnie, jak gdyby odzwierciedlone w dużym, czystym lustrze. Mogłaby to być dla niej wielka chwila – chwila tryumfu. Madame Merle straciła tupet, ujrzała przed sobą widmo kompromitacji – mogło to wystarczyć za odwet, niemal za obietnicę lepszego jutra. Isabel, na pół

odwrócona plecami do przeciwniczki, udając, że patrzy w okno, przez sekundę cieszyła się tą świadomością. Za oknem rozciągał się ogród klasztorny, ale Isabel nie widziała budzących się do życia roślin ani słonecznego popołudnia; widziała tylko nagi, nieodparty fakt, że została użyta jako poręczne narzędzie i odłożona potem na bok niby kawałek drewna czy żelaza. Gorycz wezbrała w niej znowu, Isabel miała wrażenie, że czuje na ustach smak zniewagi. Gdyby w tym momencie odwróciła się i odezwała, głos jej świsnąłby jak smagnięcie bicia. Ale przymknęła oczy i okropna wizja rozviała się natychmiast. Została tylko najprzebieglejsza w świecie kobieta, która stała o parę kroków od niej i nie była teraz mądrzejsza od wszystkich innych, bo nie wiedziała, co myśleć. Isabel zemściła się tylko milczeniem; pozostawiła madame Merle w bezprzykładnej sytuacji – na czas, który musiał wydać się tej damie bardzo długi, bo wreszcie usiadła, przyznając się tym do bezradności. Wtedy Isabel z wolna zwróciła na nią wzrok i spojrzała z góry. Madame Merle była bardzo blada, oczyma badała twarz pani Osmond. Cokolwiek z niej wyczytała, niebezpieczeństwo minęło. Isabel nigdy jej nie oskarży, niczego jej nie zarzuci, może dlatego, żeby nie dać jej okazji do obrony.

– Przyszłam pożegnać się z Pansy – powiedziała w końcu nasza bohaterka. – Dziś wieczorem wyjeżdżam do Anglii.

– Dziś wieczorem... do Anglii – powtórzyła madame Merle, wciąż siedząc i podnosząc wzrok ku swojej partnerce.

– Jadę do Gardencourt. Ralph Touchett umiera.

– Och, ty boleśnie odczujesz tę śmierć – odpowiedziała madame Merle, już opanowana, skwapliwie podchwyciwszy sposobność, żeby okazać współczucie. – Jedziesz sama?

– Tak, bez męża.

Madame Merle jakimś cichym niewyraźnym pomrukiem skwitowała smutek wszelkich spraw tego świata.

– Pan Touchett nigdy mnie nie lubił, ale przykro mi, że umiera. Czy spotkasz się z jego matką?

– Tak, już wróciła z Ameryki.

– Niegdyś była dla mnie łaskawa, ale potem się zmieniła.



Podobnie jak wiele innych osób – z powagą stwierdziła madame Merle i po krótkiej pauzie dodała: – Zobaczysz znowu piękne stare Gardencourt!

– Nie sprawi mi to radości.

– Naturalnie, w tak ciężkich chwilach! Ale ze wszystkich domów, jakie znam – a znam ich sporo – właśnie w Gardencourt najchętniej bym mieszkała. Nie ośmielam się przesłać nic ludziom, ale chciałabym, żebyś pozdrowiła ode mnie ten dom i park.

Isabel, odwracając się, powiedziała:

– Muszę już iść do Pansy. Nie mam dużo czasu.

Zastanawiała się, jak w sposób taktowny opuścić pokój, gdy drzwi odemknęły się i weszła jedna z pań tego domu, uśmiechając się dyskretnie i pod osłoną szerokich długich rękawów habitu zacierając białe, pulchne dłonie. Isabel poznała matkę Catherine, z którą już nieraz przedtem miała do czynienia, i spytała, czy mogłaby zobaczyć się zaraz z panną Osmond. Matka Catherine przybrała minę jeszcze bardziej dyskretną, ale z uprzejmym uśmiechem odparła:

– Pansy ucieszy się z pani wizyty. Sama panią do niej zaprowadzę. – I zwróciła grzeczne, ostrożne spojrzenie na drugą damę.

– Czy siostra pozwoli mi chwilę tutaj posiedzieć? – spytała madame Merle. – Tak dobrze czuję się w tych murach!

– Zawsze, ilekroć i jak długo pani zechce! – z pełnym zrozumienia uśmiechem odpowiedziała poczciwa zakonnica.

Wyprowadziła panią Osmond z pokoju, a dalej kilku korytarzami i po schodach na piętro. Wszystko w tym domu było solidne, nagie, jasne i czyste. „Jak w wielkich zakładach karnych” – pomyślała Isabel. *Mère* Catherine lekko otworzyła drzwi pokoju panny Osmond i zaprosiła gościa do wnętrza; z uśmiechem i splecionymi dłońmi asystowała przy serdecznym powitaniu macochy i pasierbicy.

– Pansy cieszy się z pani wizyty – powtórzyła. – Rozmowa z panią dobrze na nią wpłynie. – Pieczołowicie podsunęła gościowi najlepsze krzesło. Sama jednak nie zamierzała siadać, była gotowa,

jak się zdaje, niezwłocznie odejść. – Jak pani uważa, czy nasza kochana Pansy dobrze wygląda?

– Jest trochę blada – zauważyła Isabel.

– Zbladła z radości na pani widok. Czuje się u nas doskonale. *Elle éclaire la maison!* – odparła zacna siostra.

Pansy – tak jak mówiła madame Merle – była ubrana w skromną czarną suknię, może dlatego wydawała się bledsza.

– Siostry są dla mnie takie dobre! O wszystkim myślą! – wykrzyknęła ze zwykłą swoją skwapliwą grzecznością.

– Zawsze myślimy o tobie jak o cennym powierzonym nam depozycie – powiedziała *mère* Catherine tonem kobiety, dla której życzliwość stała się nawykiem, a podejmowanie wszelkich ciężarów – świętym obowiązkiem. Słowa jej zabrzmiały posępnie w uszach Isabel, jakby wyrażały podporządkowanie jednostki władzy Kościoła.

Kiedy *mère* Catherine zostawiła je same, Pansy przyklękała i ukryła głowę w fałdach sukni na kolanach macochy. W tej pozycji trwały przez długą chwilę. Isabel gładziła delikatne włosy pasierbicy. Wreszcie Pansy wstała i rozglądając się po pokoju, spytała:

– Prawda, że ładnie urządziłam się tutaj? Wszystko mam tak jak w domu.

– Ślicznie, i chyba jest ci tu wygodnie. – Isabel nie bardzo wiedziała, co jej powiedzieć. Nie mogła okazać, że lituje się nad nią, ale udawanie, że cieszy się jej szczęściem, zakrawałoby na drwinę. Toteż oznajmiła po prostu: – Przyszłam pożegnać się z tobą. Wyjeżdżam do Anglii.

Blada twarzą Pansy poczerwieniała.

– Do Anglii? Na zawsze?

– Nie wiem, kiedy wrócę.

– Och, jak mi przykro – szepnęła Pansy. Wyczuwało się, że nie śmie krytykować, ale jest głęboko rozczarowana.

– Mój kuzyn, pan Touchett, jest ciężko chory, prawdopodobnie umierający. Chcę go jeszcze zobaczyć.

– Ach tak, mówiła mi pani, że grozi mu śmierć. Oczywiście

musi pani pojechać do niego. Czy papa jedzie także?

– Nie, jadę sama.

Pansy przez chwilę milczała. Isabel często zastanawiała się, co mała Pansy sądzi o stosunkach między swoim ojcem a jego drugą żoną; nigdy jednak żadnym spojrzeniem ani słowem Pansy nie zdradziła, że spostrzega panujący w tym małżeństwie chłód. Isabel była pewna, że jej pasierbica myśli o tych sprawach i wie, że inni małżonkowie bywają dla siebie bardziej tkliwi. Ale Pansy nawet w myślach przestrzegająca dyskrecji i nigdy nie pozwoliłaby sobie osądzać swojej miłej macochy ani krytykować swojego wspaniałego ojca. Serce pewnie by w niej zamarło, jak gdyby zobaczyła, że dwoje świętych na dużym obrazie w klasztornej kaplicy odwraca malowane głowy i kiwa do siebie porozumiewawczo. Nigdy, przez szacunek dla świętości, nie powiedziałyby nikomu o tym zjawisku i podobnie też nie chciała nic wiedzieć o sekretach losów bardziej skomplikowanych niż jej proste życie.

– Będzie pani daleko stąd – powiedziała wreszcie.

– Tak, bardzo daleko. Ale to niewielka różnica, bo i tak nie mogę być z tobą, dopóki przebywasz w klasztorze – pocieszała ją Isabel.

– Tu może mnie pani odwiedzać. Co prawda nieczęsto pani przyjeżdżała!

– Nie przyjeżdżałam, bo twój ojciec zabraniał mi tego.

Dzisiaj niczego ci nie przyniosłam. Nie mogę cię niczym zabawić.

– Nie powinnam się bawić. Papa sobie tego nie życzy.

– A więc wszystko jedno, czy jestem w Rzymie, czy w Anglii.

– Pani nie jest szczęśliwa – powiedziała Pansy.

– Nie. Ale czyż to ma jakieś znaczenie?

– Ja też powtarzam sobie, że szczęście nie ma wielkiego znaczenia. Mimo wszystko chciałabym wydostać się stąd.

– Gorąco ci tego życzę.

– Niech mnie pani tutaj nie zostawia – powiedziała Pansy.

Isabel przez długą chwilę nie odpowiadała, serce jej biło

gwałtownie.

– Zgodzisz się wyjść dzisiaj razem ze mną? – spytała.

Pansy spojrzała na nią błagalnie.

– Czy papa polecił pani zabrać mnie stąd?

– Nie, proponuję ci to z własnej inicjatywy.

– W takim razie lepiej będzie, jeżeli zaczekam jeszcze. Czy papa nic nie kazał mi powiedzieć?

– Nie przypuszczam, żeby wiedział o mojej wizycie u ciebie.

– Papa uważa, że jeszcze nie dość tych rekolekcji –

powiedziała Pansy – ale ja myślę, że już dość. Siostry są dla mnie bardzo dobre, małe dziewczynki przychodzą porozmawiać ze mną. Są między nimi naprawdę malutkie, urocze dzieci. Mam ładny pokój, sama pani widzi. Wszystko to jest bardzo, bardzo przyjemne. Ale już dość. Papa chciał, żebym zastanowiła się trochę, a ja już bardzo dużo przemyślałam.

– Doszłaś do jakiegoś wniosku?

– Tak, że nie powinnam nigdy zrobić niczego, co nie podobałoby się papie.

– To wiedziałaś już od dawna.

– Teraz wiem jeszcze lepiej. Zrobię wszystko... wszystko – powiedziała Pansy. I gdy usłyszała, co mówi, oblała się ciemnym rumieńcem. Isabel zrozumiała, co to znaczy: biedna mała Pansy została pokonana. Pan Edward Rosier słusznie postąpił, że zatrzymał chociaż swoje emalie. Isabel spojrzała w oczy pasierbicy i zobaczyła w nich tylko prośbę o wyrozumiałość. Położyła dłoń na rękę dziewczyny, żeby ją uspokoić, że nie będzie jej odtąd mniej szanowała. Krótkotrwały (zawsze niemy i od początku nieśmiały) opór Pansy załamał się, ale Isabel uznała to za haracz spleacony prawdzie życia. Pansy nie pozwalała sobie osądzać innych, ale osądziła siebie – rozumiała, jaka jest w rzeczywistości. Nie miała powołania do walki z przeszkodami. Uroczysty nastrój odosobnienia w klasztorze przytłoczył ją. Skłoniła śliczną główkę przed władzą, prosząc już tylko o miłosierdzie. Tak, pan Edward Rosier dobrze zrobił, że zachował kilka bibelotów!

Isabel wstała, czas nagiął.

– A więc do widzenia, Pansy. Dziś wieczorem wyjeżdżam z Rzymu.

Pansy chwyciła się jej sukni, dziecinna twarzyczka nagle zmieniła wyraz.

– Pani tak dziwnie wygląda, przeraża mnie pani.

– Och, nie, nie jestem wcale groźna – odparła Isabel.

– Może pani już więcej nie wróci?

– Może. Nie wiem.

– Och, nie, niech mnie pani nie opuszcza!

Teraz Isabel zrozumiała, że Pansy wszystko odgadła.

– Dziecinko, co mogę dla ciebie zrobić?

– Nie wiem, ale czuję się szczęśliwsza, kiedy myślę o pani.

– Myśleć o mnie zawsze możesz.

– Nie mogę, kiedy pani jest bardzo daleko. Trochę się boję.

– Czego się boisz?

– Papy... troszeczkę. I madame Merle. Ona tu dzisiaj była.

– Nie powinnaś tego mówić.

– Och, zrobię wszystko, co mi każą. Ale łatwiej to zniosę, jeżeli pani będzie przy mnie.

Isabel zastanawiała się chwilę.

– Nie opuszczę cię – powiedziała w końcu. – Do widzenia, dziecinko.

Długo trzymały się, milcząc, w uścisku, jak dwie siostry. Potem Pansy odprowadziła gościa korytarzem aż do szczytu schodów.

– Madame Merle odwiedziła mnie dzisiaj – powiedziała, idąc u boku macochy, a gdy Isabel nic na to nie odpowiedziała, mała Pansy dodała nieoczekiwanie: – Nie lubię tej pani!

Isabel zawahała się i przystanęła.

– Nie wolno ci nigdy mówić, że nie lubisz madame Merle – powiedziała.

Pansy spojrzała na nią ze zdziwieniem, ale zdziwienie nigdy nie było dla tej potulnej istoty powodem do nieposłuszeństwa.

– Już nigdy tego nie powiem – obiecała z uroczą łagodnością. U szczytu schodów musiały się rozstać; łagodne, lecz ściśle

określone reguły obowiązujące pannę Osmond zabraniały jej schodzenia na parter. Isabel poszła więc dalej sama, a gdy z niższego podestu spojrzała w górę, zobaczyła małą Pansy stojącą wciąż na tym samym miejscu.

– Pani wróci? – zawołała głosem, który długo potem dźwięczał w uszach Isabel.

– Tak. Wrócę.

*Mère Catherine* wyszła na spotkanie pani Osmond, żeby ją odprowadzić do drzwi rozmównicy, pod którymi przystały i zamieniły kilka słów.

– Nie wejdę tam. Madame Merle czeka na panią – oznajmiła poczciwa zakonnica.

Isabel zdrętwiała. Miała ochotę spytać, czy nie ma innego wyjścia z klasztoru. W ostatniej chwili zrozumiała, że nie powinna przyznawać się poczciwej zakonnicy, jak bardzo pragnie uniknąć spotkania z damą tak życzliwą dla małej Pansy. *Mère Catherine* ujęła ją łagodnie pod rękę i zatrzymując na chwilę spojrzenie mądrych, dobrotliwych oczu na jej twarzy, spytała po francusku, niemal poufnym tonem:

– *En bien, chère madame qu'en pensez-vous?*

– O mojej pasierbicy? O, długo musiałabym mówić!

– Naszym zdaniem dość już tych rekolekcji – bardzo dobitnie stwierdziła *mère Catherine*, otwierając drzwi rozmównicy.

Madame Merle siedziała w tej samej pozycji, w której ją Isabel zostawiła, jak gdyby pochłonięta myślami nie ruszyła przez cały czas nawet palcem. Gdy zakonnica zamknęła drzwi, madame Merle wstała. Isabel od razu zrozumiała, że zaduma przyniosła jakieś konkretne owoce. Madame Merle odzyskała równowagę i znowu rozporządzała całym arsenałem swojego sprytu.

– Postanowiłam zaczekać na ciebie – oświadczyła spokojnie.  
– Ale nie po to, żeby rozmawiać o Pansy.

Isabel daremnie próbowała zgadnąć, o czym w takim razie chce z nią rozmawiać madame Merle, i wbrew jej oświadczeniu powiedziała:

– *Mère Catherine* uważa, że już dość tej pokuty.

– Tak, ja też jestem tego zdania. Chcę cię zapytać o coś w związku z biednym panem Touchettem. Czy myślisz, że on rzeczywiście umiera?

– Wiem tylko to, co przeczytałam w telegramie. Niestety wydaje mi się to bardzo prawdopodobne.

– Zadam ci dość dziwne pytanie – powiedziała madame Merle. – Czy bardzo lubisz swojego kuzyna? – Uśmiech jej był równie dziwny jak pytanie.

– Bardzo. Ale nie rozumiem, o co ci chodzi.

Madame Merle nie od razu odpowiedziała.

– Trochę trudno będzie wytłumaczyć. Pomyślałam o czymś, co tobie zapewne nie przyszło do głowy, i chciałam się z tobą podzielić swoją refleksją. Twój kuzyn oddał ci kiedyś wielką przysługę. Czy nie zgadłaś tego?

– Oddał mi wiele przysług.

– Tak, ale jedną najważniejszą ze wszystkich, zrobił z ciebie kobietę bogatą.

– Ralph?...

Madame Merle, widząc, że osiągnęła zamierzony efekt, ciągnęła dalej tonem bardziej tryumfalnym:

– Dał ci ten dodatkowy polor, niezbędny, żebyś mogła stać się świetną partią. W gruncie rzeczy jemu powinnaś za to dziękować. – Umilkła ostrzeżona wyrazem oczu swej słuchaczki.

– Nie rozumiem. To były przecież pieniądze wuja.

– Pieniądze były wuja, ale pomysł kuzyna. To on skłonił ojca, żeby ci zapisał tę sumę. Rzeczywiście dość okrągłą!

Isabel patrzyła na nią w osłupieniu, ten dzień zaskakiwał ją coraz to nowymi złowieszczymi rewelacjami.

– Nie rozumiem, po co mówisz takie rzeczy. Nie rozumiem, skąd wiesz to wszystko?

– Wiem tylko to, czego się domyśliłam. Ale tego łatwo mogłam się domyślić.

Isabel podeszła do drzwi i zatrzymała się z ręką na klamce. Powiedziała:

– Myślałam, że powinnam tobie za to dziękować. – I to była

cała jej zemsta.

Madame Merle spuściła oczy. Zdawało się, że odbywa pokutę, ale znosiła to dumnie.

– Wiem, jesteś nieszczęśliwa. Ale ja bardziej jeszcze.

– Tak, wierzę w to. Myślę, że wolałabym nigdy więcej nie spotkać cię w życiu.

Madame Merle podniosła wzrok.

– Zamierzam wyjechać do Ameryki – oznajmiła spokojnie.

Isabel wyszła.



## ROZDZIAŁ LIII

Nie ze zdziwieniem, lecz z uczuciem, które w innych okolicznościach można by nazwać radością, Isabel, wysiadając z paryskiego pociągu na dworcu Charing Cross, znalazła się w objęciach – a w każdym razie rękach – Henrietty Stackpole. Zawiadomiła przyjaciółkę depeszą z Turynu o swojej podróży, a chociaż nie była pewna, czy Henrietta wyjdzie po nią na dworzec, liczyła, że telegram wywoła jakąś życzliwą reakcję. Całą drogę z Rzymu odbyła w oszołomieniu, niezdolna myśleć o przyszłości, patrząc niewidzącymi oczyma na mijane krajobrazy i nie ciesząc się nimi, chociaż witały ją bujną świeżą zielenią wiosny. Myśli jej błąkały się po innych krainach – po dziwnych, mrocznych bezdrożach, gdzie nie zmieniały się pory roku, lecz panowała wieczna ponura zima. Miała o czym myśleć, ale nie snuła refleksji ani też nie próbowała świadomie rozumować. Przez głowę jej przemykały niepowiązane ze sobą wizje, nagłe niewyraźne przebłyski wspomnień lub nadziei. Przeszłość i przyszłość zjawiały się lub znikwały w gorączkowych obrazach, niezależnych od jej woli, kierujących się jakąś własną logiką. Zadziwiające, jak wiele szczegółów wpływało na powierzchnię pamięci. Teraz, kiedy poznała sekret – który tak bezpośrednio jej dotyczył, że całe życie przed wtajemniczeniem wydawało jej się podobne do gry w wista niekompletną talią kart – ukryta prawda rozmaitych zdarzeń, wzajemnych między nimi powiązań, istotny ich sens, cała groza wielu z nich, objawiały się niby ogromna, spoista konstrukcja. Przypomniała sobie tysiące drobiazgów, które budziły się w jej pamięci. W swoim czasie wydawały jej się błahe, teraz rozumiała, jak były brzemienne znaczeniem. Pozostały jednak drobiazgami, na cóż mogło jej się przydać zrozumienie ich sensu? Nic już dzisiaj nie mogło być jej użyteczne. Odroczyła wszelkie plany i zamiary, wszystkie pragnienia skupiła w jednym jedynym: żeby schronić się w wielkim domu w Gardencourt. Stamtąd wyruszyła

w świat, a powrót do ciszy tych pokoi rozwiąże przynajmniej chwilowo jej trudności. Wyszła z tego domu pełna sił, wraca słaba; dawna przystań będzie teraz azylem. Zazdrościła Ralphowi, że umiera, bo śmierć zdawała się najdoskonalszym spoczynkiem. Nie istnieć, wszystko porzucić, o niczym nie wiedzieć – myśl ta nęciła jak wizja chłodnej kąpieli w marmurowym basenie, w zaciemnionej komnacie, w jakimś gorącym kraju.

Podczas podróży z Rzymu czuła się chwilami prawie umarła. Siedziała w kącie przedziału bez ruchu, biernie dając się nieść kołom pociągu, tak wyzuta z nadziei i żalu, że sama sobie zdawała się podobna do etruskich posążków wyrzeźbionych na urnach z prochami. Nie miała już czego żałować, wszystko minęło; nie tylko czas obłędu, ale także okres pokuty. Jeśli coś ją bolało, to myśl, że madame Merle jest taka... taka niepojęta. Na tej myśli umysł jej potykał się, dosłownie niezdolny określić, jaka jest madame Merle. W każdym razie to madame Merle powinna nad tym ubolewać, a nie ona, i z pewnością madame Merle będzie tego żałowała w Ameryce, jeśli zgodnie z zapowiedzią tam się przeniesie. Sprawa już nie dotyczyła Isabel, która przeczuwała, że nigdy więcej nie zobaczy tej kobiety. Zobaczyła samą siebie w przyszłości, która od czasu do czasu migotała niejasno przed oczyma jej wyobraźni. Widziała siebie w wiele lat później wciąż jeszcze jako istotę, która ma przed sobą życie, i wizja ta kłóciła się z nastrojem bieżącej chwili. Może byłoby pożądane uciec daleko, naprawdę daleko, dalej niż do małej szarozielonej Anglii, ale nie mogła spodziewać się, że będzie jej dany ten przywilej. Głęboko w sercu – głębiej niż chęć kapitulacji – tkwiło przeświadczenie, że będzie żyła jeszcze przez wiele lat. Chwilami przeświadczenie to pobudzało ją, niemal wskrzeszało na nowo. Stanowiło dowód siły, dowód, że kiedyś znowu będzie szczęśliwa. Niemożliwe, żeby nie czekało jej już nic prócz cierpienia; jest bądź co bądź jeszcze młoda, wiele rzeczy może jej się zdarzyć. Zdawało jej się, że jest zbyt cenną osobą, zbyt uzdolnioną, aby przez resztę życia tylko cierpieć, znosić tę ranę wciąż jątrzącą się i rozszerzającą z biegiem czasu. Potem jednak zadała sobie pytanie, czy nie uległa próżności

i głupocie, oceniając samą siebie tak wysoko. Czy wartość kiedykolwiek zapewnia bezpieczeństwo? Historia roi się od przykładów unicestwiania rzeczy najcenniejszych. Czyż najbardziej prawdopodobnym losem istot szlacheckich nie jest cierpienie? Może z przemykającej przed jej oczyma wizji długiego życia należałoby wyciągnąć wniosek, że w jej naturze tkwi jakaś wcale nie najsztubniejsza odporność? Nie ucieknie nigdy, przetrwa do końca. I znowu wchłonął ją czas terazniejszy, okres pośredni, odgradzający od świata szarą zasłoną obojętności.

Henrietta ucałowała ją po swojemu, jak gdyby się bała, że ktoś ją przyłapie na tym tkliwym geście; Isabel stała w tłumie, rozglądając się wokół, szukając wzrokiem pokojówki. O nic nie pytała, wolała czekać. Nagle zrozumiała, że będzie otoczona opieką. Cieszyła się z obecności Henrietty, moment przyjazdu do Londynu byłby bez tego trochę przerażający. Ciemnowa, zadymiona, wysoko sklepiona hala dworca, dziwne blade światło, gęsty, ciemno ubrany, rozpychający się tłum – wszystko to budziło w niej nerwowy lęk, toteż wsunęła rękę pod ramię przyjaciółki. Pamiętała, że niegdyś takie rzeczy lubiła; należały do wspaniałego widowiska, które potraçało w niej jakieś wrażliwe struny. Pamiętała, jak przed pięciu laty wędrowała samotnie z dworca Euston zimowym zmierzchem przez rojne ulice. Dziś już by się na to nie odważyła i tamten epizod wspominała jak przygodę jakiejś innej osoby.

– To świetnie, że przyjechałaś – powiedziała Henrietta, spoglądając na Isabel tak, jakby spodziewała się jej protestu. – Gdybyś nie przyjechała... gdybyś nie przyjechała... no, sama nie wiem... – dodała panna Stackpole, złowieszczo dając do zrozumienia, jak potrafiłaby się na przyjaciółkę oburzyć.

Isabel wciąż daremnie rozglądała się w poszukiwaniu swojej panny służącej. Wzrok jej zatrzymał się na innej postaci, która wydała się jej znajoma – wkrótce zidentyfikowała sympatyczną twarz pana Bantlinga. Stał nieco na uboczu i napór tłumy nie mógł go zmusić do cofnięcia się choćby o cal z posterunku zajętego w dyskretnej odległości od dwóch witających się przyjaciółek.

– O, jest pan Bantling – stwierdziła Isabel, nie troszcząc się już, czy znajdzie swoją pannę służącą.

– A tak, wszędzie za mną chodzi. Prosimy bliżej, panie Bantling! – zawołała Henrietta. Stary kawaler jak zwykle pełen galanterii podbiegł z uśmiechem, ale z uśmiechem powściągliwym ze względu na powagę sytuacji. – Dobrze, że przyjechała, prawda? – zwróciła się do niego Henrietta. – Bantling wszystko wie – wyjaśniła przyjaciółce. – Stoczyliśmy całą dyskusję. On twierdził, że tego nie zrobisz, a ja byłam pewna, że się nie cofniesz.

– Myślałam, że państwo zawsze się ze sobą zgadzają – uśmiechnęła się Isabel. Mogła znowu uśmiechać się, bo wyczytała błyskawicznie ze szczyrych oczu pana Bantlinga, że ma on dla niej pomyślnie nowiny. Spojrzenie jego wyraźnie przypominało jej, że jest dawnym przyjacielem Ralpa Touchetta, że rozumie i że wszystko jest w porządku. Isabel podała mu rękę; przyszła jej do głowy fantastyczna myśl, że ma przed sobą pięknego rycerza bez skazy.

– Och, ja zawsze zgadzam się z Henriettą – odparł Bantling – ale ona często nie zgadza się ze mną.

– Czy nie mam racji, że panny służące przyczyniają tylko kłopotów? – spytała Henrietta. – Ta twoja pewno została w Calais.

– Mniejsza z tym – powiedziała Isabel, przyglądając się panu Bantlingowi; nigdy nie wydawał jej się tak interesujący jak tego dnia.

– Niech pan zostanie przy niej, a ja pójdę poszukać zguby – zdecydowała Henrietta i odeszła.

Stali chwilę w milczeniu, po czym pan Bantling spytał, jak się odbyła przeprawa przez Kanał.

– Doskonale. Nie, właściwie morze było mocno wzburzone – odparła ku jego zdumieniu Isabel. I prędko dodała: – Pan był w Gardencourt, prawda?

– Skąd pani wie?

– Nie umiem wytłumaczyć, ale od razu to po panu poznałam.

– Czy mam bardzo smutny wyraz twarzy? Bo w Gardencourt jest okropnie smutno, proszę pani.

– Pan chyba nigdy nie wygląda bardzo smutno. Ale wydaje się pan bardzo życzliwy – powiedziała Isabel, zdobywając się bez wysiłku na bezpośredniość. Miała wrażenie, że nigdy już nie powinna czuć się zakłopotana z błahych powodów.

Biedny pan Bantling jednak nie osiągnął jeszcze tego etapu. Zarumienił się, roześmiał i zapewnił ją, że miewa czasem chandrę i wtedy bywa nieznośny.

– Proszę spytać pannę Stackpole! Tak, byłem w Gardencourt dwa dni temu.

– Widział pan mojego kuzyna?

– Tylko przez chwilę. Ale Ralph przyjmuje gości.

Poprzedniego dnia odwiedził go Warburton. Ralph jest taki sam, jak był zawsze, tylko że leży w łóżku, znać po nim, że jest bardzo chory, no i trudno mu mówić. Mimo wszystko jest wesoły i zabawny, błyskotliwie inteligentny jak zawsze. Wielkie nieszczęście.

Nawet wśród tłoku i zgiełku dworca ten prosty obraz wydał jej się niezwykle plastyczny.

– Czy był pan tam wieczorem?

– Tak, pojechałem umyślnie, bo rozumieliśmy, że pani będzie chciała wiedzieć, co tam się dzieje.

– Bardzo panu dziękuję. Czy mogę tam dostać się jeszcze dzisiaj?

– Wątpię, czy Henrietta pani pozwoli. Chce panią zatrzymać na noc u siebie. Służący Touchetta przyrzekł mi, że zadeszuję, i dostałem przed godziną w klubie telegram od niego: „Bez zmian, spokojnie”. Nadał tę wiadomość o drugiej po południu. A więc może pani poczekać do jutra. Musi być pani okropnie zmęczona.

– Jestem zmęczona. Raz jeszcze dziękuję panu.

– O, byliśmy pewni, że pani będzie spragniona najświeższych wiadomości.

Słyszając to, Isabel zauważyła, że pan Bantling i Henrietta rzeczywiście wydają się zgodni. Panna Stackpole wróciła, prowadząc pokojówkę pani Osmond; panna okazała się nadzwyczaj użyteczna, bo zamiast zgubić się w tłumie, zajęła się

po prostu bagażami swojej pani, która dzięki temu mogła teraz już bez przeszkód opuścić dworzec.

– Nie ma mowy, żebyś dzisiaj jechała na wieś – oświadczyła przyjaciółce Henrietta. – Nawet nie pytaj, czy jest jakiś pociąg wieczorem, czy nie. Zabieram cię do siebie na Wimpole Street. W Londynie szpilki już nie ma gdzie wetknąć, ale mam dla ciebie pokój. Nie jest to rzymski pałac, ale na jedną noc wystarczy.

– Zrobię wszystko, jak sobie życzysz – powiedziała Isabel.

– Życzę sobie, żebyś spędziła wieczór u mnie i odpowiedziała mi na kilka pytań.

– Jakoś nic nie wspomina o kolacji, zauważyła pani? – wtrącił się pan Bantling.

Henrietta zatrzymała na nim przenikliwe spojrzenie.

– Widzę, że panu już pilno do klubu na kolację. Proszę być jutro o dziesiątej rano na dworcu Paddington.

– Jeśli chodzi o mnie, dam sobie radę, proszę, niech się pan już nie trudzi – powiedziała Isabel.

– Przyjdzie i tak ze względu na mnie – oznajmiła Henrietta, wsiadając z przyjaciółką do dorożki. Później w dużym ciemnym salonie przy Wimpole Street – gdzie, nawiasem mówiąc, czekała na gościa dość obfita kolacja – postawiła tych kilka pytań, które zapowiedziała jeszcze na dworcu. – Czy mąż zrobił ci scenę z powodu tego wyjazdu? – Tak brzmiało pierwsze z pytań panny Stackpole.

– Nie mogę nazwać tego sceną.

– A więc nie sprzeciwiał się twojemu wyjazdowi?

– Sprzeciwiał się bardzo ostro. Ale to nie była scena.

– A cóż to było?

– Niezwykle spokojna rozmowa.

Henrietta przyglądała jej się przez chwilę.

– To musiało być piekielnie przykre – stwierdziła w końcu. Isabel nie zaprzeczyła. Ograniczyła się jednak do odpowiedzi na pytania przyjaciółki, co nie nastroczało trudności, bo pytania były dość konkretne. Na razie nie podzieliła się z przyjaciółką innymi nowinami.

– Jedno mi się tylko nie podoba – oświadczyła w końcu panna Stackpole. – Nie rozumiem, dlaczego obiecałaś tej małej panie Osmond, że wrócisz.

– Sama teraz tego jasno nie rozumiem – przyznała się Isabel.  
– Ale wtedy nie wiedziałam, co robię.

– Skoro nie pamiętasz, dlaczego obiecałaś, to może jednak nie wrócisz.

Isabel zastanawiała się chwilę, nim odpowiedziała.

– A może znajdę inne powody, żeby wrócić.

– Z pewnością nie znajdziesz argumentu, który by to naprawdę usprawiedliwił.

– W braku lepszego wystarczy ten, że przyrzekłam.

– Tak. Dlatego jestem wściekła, że obiecałaś.

– Nie mówmy teraz o tym. Mam trochę czasu. Wyjazd był sprawą dość skomplikowaną, ale powrót będzie jeszcze trudniejszy.

– Nie zapominaj, że bądź co bądź nie zrobi ci sceny – powiedziała z naciskiem Henrietta.

– Owszem, zrobi – poważnie odparła Isabel. – Ale ta scena nie skończy się po godzinie, będzie trwała do końca mojego życia.

Przez chwilę obie siedziały w milczeniu, wyobrażając sobie ta lata, dzielące Isabel od końca życia, wreszcie panna Stackpole zmieniła temat zgodnie z życzeniem przyjaciółki, oznajmiając niespodziewanie:

– Byłam u lady Pensil!

– Ach, więc zaproszenie nareszcie przyszło!

– Tak, po pięciu latach. Tym razem to ona mnie zapragnęła poznać.

– Dość naturalne z jej strony.

– Bardziej naturalne, niż ci się zdaje! – powiedziała Henrietta, spoglądając w przestrzeń. I nagle, obracając się ku przyjaciółce, dodała: – Isabel Archer, przepraszam cię! Nie wiesz, za co? Ponieważ cię krytykowałam, a teraz posuwam się dalej niż ty. Pan Osmond przynajmniej urodził się na tamtym brzegu Atlantyku.

W pierwszej chwili Isabel nie zrozumiała, o czym Henrietta mówi, sens był zbyt skromnie czy może raczej zbyt przemyślnie zawołowany. Potem, chociaż nieskłonna była w tym momencie do spostrzegania komizmu zdarzeń, rozśmieszył ją obraz, jaki Henrietta roztoczyła przed oczyma jej wyobraźni. Natychmiast jednak spoważniała i z należytytym patosem zapytała:

– Henrietto Stackpole, czy zamierzasz wyrzec się ojczyzny?

– Tak, moja droga, tak! Nie będę próbowała zapierać się winy. Spójrzmy prawdzie w oczy. Wychodzę za pana Bantlinga i zamieszkamy razem w Londynie.

– Zdumiewająca nowina! – z uśmiechem powiedziała Isabel.

– Masz chyba rację. Doszłam do tej decyzji stopniowo, po namyśle. Sądzę, że wiem, co robię, ale nie potrafię tego wytłumaczyć.

– Nie da się wytłumaczyć małżeństwa – odparła Isabel. – W twoim przypadku nie będzie trzeba wiele tłumaczyć. Pan Bantling nie jest zagadką.

– Ani kiepskim kalamburem czy nawet wyrafinowanym amerykańskim dowcipem. Ma na wskroś dobry charakter – stwierdziła Henrietta. – Studiowałam go przez długie lata. Przejrzałam go na wylot. Jest jednoznaczny jak styl dobrze zredagowanego prospektu. Nie jest intelektualistą, ale ceni intelekt. Jednakże nie przecenia go, jak to zbyt często zdarza się nam, Amerykanom.

– Ach, bardzo się zmieniłaś! – powiedziała Isabel. – Po raz pierwszy w życiu słyszę z twoich ust krytyczną uwagę o naszym kraju ojczystym.

– Mówię tylko, że zbyt wielką wagę przywiązuje się w Ameryce do zdolności umysłowych. Nie jest to wada zawstydzająca. Ale zmieniłam się rzeczywiście. Małżeństwo zmienia kobietę.

– Mam nadzieję, że będziesz bardzo szczęśliwa. W każdym razie nareszcie poznasz życie w Anglii od środka.

Henrietta westchnęła wymownie.

– Oto klucz zagadki! Nie mogłam ścierpieć, że odmawiano



mi wstępu. Teraz będę miała te same prawa co wszyscy tutaj – wyznała ze szczerą satysfakcją.

Rozmowa ta oczywiście trochę ubawiła Isabel, zarazem jednak wzbudziła w niej pewne melancholijne refleksje. Henrietta, którą zawsze uważała za żywy płomień, za bezcielesny głos, okazała się ludzka i kobieca. Isabel z lekkim rozczarowaniem przekonała się, że panna Stackpole nie jest wolna od osobistych sentymentów i wspólnych rodzajowi ludzkiemu namiętności, a jej przyjaźń z panem Bantlingiem nie była całkowicie oryginalna. W jej planach matrymonialnych brakowało oryginalności, a nawet można by się w nich dopatrzeć pewnej głupoty; na chwilę świat w oczach Isabel sposepniał jeszcze bardziej. Później doszła do wniosku, że przynajmniej pan Bantling jest oryginalny. Nie pojmowała jednak, jak Henrietta może wyrzec się ojczystego kraju. Sama rozluźniła więź z ojczyzną, ale nigdy nie była z nią tak związana jak Henrietta. Zapytała przyjaciółkę, czy miło spędziła czas w domu lady Pensil.

– O, tak! – odparła Henrietta. – Po prostu nosiła mnie na rękach.

– I to sprawiło ci przyjemność?

– Ogromną, bo lady Pensil uchodzi za nadzwyczaj mądrą osobę. Wyobraża sobie, że wie wszystko, ale nie może zrozumieć nowoczesnej kobiety takiej jak ja. Ułatwiłoby sprawę, gdybym była trochę lepsza albo trochę gorsza, niż jestem. Intryguję ją, myśli, zdaje się, że mam obowiązek popełniać jakieś czyny niemoralne. Zdaniem lady Pensil moje małżeństwo z jej bratem będzie oczywiście niemoralne, ale niedostatecznie gorszące. Nigdy nie zrozumie mojego złożonego charakteru, nigdy!

– A więc nie jest taka inteligentna jak jej brat – stwierdziła Isabel. – On, jak się zdaje, zrozumiał.

– Nie! – zaprzeczyła energicznie panna Stackpole. – Właśnie dlatego chce się ze mną ożenić, żeby wreszcie odkryć moją tajemnicę i jej rozmiary. Nabił sobie tym głowę, uległ jak gdyby szczególnej fascynacji.

– Bardzo jesteś łaskawa, że chcesz mu to umożliwić.

– Widzisz – odparła Henrietta – ja także mam coś niecoś do odkrycia! – W tym momencie Isabel zorientowała się, że panna Stackpole nie zmieniła sztandaru, lecz przygotowuje się do planowanego natarcia. Będzie wreszcie mogła na serio stoczyć pojedynek z Anglią.

Nazajutrz, kiedy o dziesiątej rano znalazła się na dworcu Paddington w towarzystwie zarówno panny Stackpole, jak i pana Bantlinga, zrozumiała coś więcej, a mianowicie, że narzeczony Henrietty dość beztrąsko znosi swoją kłopotliwą sytuację; może nie odkrył jeszcze wszystkiego, ale wiedział na pewno, że pannie Stackpole nigdy nie zabraknie inicjatywy. Było jasne, że w wyborze żony kierował się przede wszystkim obawą, żeby nie trafić na kobietę bez tej cechy charakteru.

– Henrietta zwierzyła mi się z waszych zamiarów i bardzo się z nich cieszę – powiedziała Isabel, witając się z panem Bantlingiem.

– Założę się, że panią to zdziwiło – odpowiedział, wspierając się na eleganckim parasolu.

– Tak, bardzo.

– Nikt nie jest bardziej zdziwiony ode mnie. Ale zawsze lubiłem chodzić własnymi drogami – z niezmaconym spokojem stwierdził pan Bantling.

## ROZDZIAŁ LIV

Drugi przyjazd Isabel do Gardencourt odbył się jeszcze ciszej niż pierwszy. Ralph prowadził dom bardzo skromnie, a nowa służba nie знаła pani Osmond, toteż zamiast od razu zaprowadzić ją do przeznaczonych dla niej pokoi, wskazano jej oficjalnie salon, gdzie musiała czekać, póki nie zaanonsowano jej przybycia pani Touchett. Czekwała długo, ciotka nie kwapiła się powitać gościa.

W końcu zniecierpliwioną i zdenerwowaną Isabel ogarnął lęk: miała wrażenie, że otaczające ją w salonie martwe przedmioty są niechętnymi istotami, które ze złośliwym grymasem śledzą jej niepokój. Dzień był mroczny i zimny, gęste cienie czały się w kątach wielkich brunatnych salonów. W całym domu panowała cisza – ta sama, pamiętna sprzed kilku lat cisza, która wypełniała Gardencourt w dniach poprzedzających śmierć wuja. Isabel zaczęła błąkać się po przyległych apartamentach, przeszła do biblioteki, a potem do galerii, gdzie każdy jej krok rozlegał się w pustce głośnym echem. Nic się tu nie zmieniło, odnajdywała wszystko, co zapamiętała z dawnych czasów, jak gdyby to było wczoraj. Z radością patrzyła na cenne „okazy”, bezpieczne, niezienne, nabywające z biegiem lat coraz większej wartości, podczas gdy ich właściciele tracą stopniowo młodość, szczęście i urodę. Uprzytomniła sobie, że chodzi po starym dworze tak jak jej ciotka po domu w Albany, kiedy przyszła zawrzeć znajomość z siostrzenicą. Wiele się zmieniło od tamtego dnia, od którego wszystko się zaczęło. Olśniła ją nagle myśl, że gdyby ciotka Lydia wówczas nie zjawiała się w takim właśnie momencie, gdyby nie zastała jej samej – cały dalszy ciąg rozwinąłby się inaczej. Życie potoczyłoby się innym torem, byłaby może szczęśliwszą kobietą. Przystanąła przed małym obrazkiem – uroczym i cennym dziełem Boningtona – i zatrzymała na nim wzrok. Ale nie widziała go, zaprzątnięta pytaniem, czy byłaby teraz żoną Caspara Goodwooda, gdyby ciotka Lydia nie przyszła wtedy do niej w Albany.

Wróciła do wielkiego opuszczonego salonu, a w chwilę później zjawiała się tam w końcu pani Touchett. Postarzała się, ale oczy jej błyszczały jak dawniej i głowę trzymała wysoko; można by pomyśleć, że jej wąskie wargi zamykają jakieś doniosłe sekrety. Ubrana była w szarą, niczym nieozdobioną suknię; Isabel nie po raz pierwszy stwierdziła, że nie wie, czy jej niezwykła ciotka przypomina królową regentkę, czy też dozorczynię więzienną. Usta jej zdawały się bardzo suche, kiedy dotknęły policzka siostrzenicy.

– Nie mogłam przyjść wcześniej, bo siedziałam przy Ralphie – powiedziała. – Musiałam zastąpić pielęgniarkę, która zeszła zjeść lunch. Wprawdzie jest z nim ten jego służący, ale niewielki z niego pożytek, wciąż tylko wygląda oknem, jakby tam było coś do oglądania! Nie chciałam się ruszać, bo miałam wrażenie, że Ralph śpi, i bałam się go zbudzić. Czekałam na pielęgniarkę i pocieszałam się, że znasz przecież ten dom.

– Przekonałam się, że go znam nawet lepiej, niż myślałam. Chodziłam po wszystkich pokojach – powiedziała Isabel i spytała, czy Ralph dużo czasu przesypia.

– Leży z zamkniętymi oczyma, bez ruchu. Ale nie jestem pewna, czy wciąż śpi.

– Czy pozna mnie? Czy będzie mógł ze mną porozmawiać?

Pani Touchett uchyliła się od konkretnej odpowiedzi:

– Sama się przekonasz. – Na tyle tylko pozwoliła sobie. Po czym ofiarowała się zaprowadzić siostrzenicę do jej pokoju. – Myślałam, że służba już cię tam zainstalowała, ale nie ja tu rządzę, to dom Ralph'a. Mam nadzieję, że przynajmniej odnieśli tam twoje rzeczy. Przypuszczam zresztą, że nie przywiozłaś ich ze sobą wiele. Mniejsza z tym. Prawdopodobnie dali ci ten sam pokój, który kiedyś zajmowałaś. Takie życzenie wyraził Ralph, kiedy mu powiedziałam, że przyjedziesz.

– Mówił coś jeszcze?

– Ach, moja droga, nie jest taki gadatliwy jak dawniej! – wykrzyknęła pani Touchett, wyprzedzając siostrzenicę na schodach.

Był to ten sam pokój i Isabel wyczuła, że nikt w nim nie mieszkał, odkąd opuściła Gardencourt. Zastała w nim swoje nieliczne bagaże; pani Touchett usiadła, patrząc na walizkę.

– Czy naprawdę nie ma już żadnej nadziei? – spytała Isabel, stojąc przed ciotką.

– Żadnej – odparła ciotka. – Nie było od początku. Nie miał szczęśliwego życia.

– Nieszczęśliwe, ale piękne! – Isabel sama zdziwiła się, że już na wstępie przeciwstawiła się ciotce; drażniła ją oschłość tej kobiety.

– Nie wiem, co masz na myśli. Nie ma piękna bez zdrowia. Suknię wybrałaś na podróż niezbyt stosowną.

Isabel spojrzała na swój strój.

– Wyjeżdżałam z Rzymu w pośpiechu, włożyłam na siebie, co mi wpadło pod rękę.

– Twoje siostry w Ameryce wypytywały mnie, jak się ubierasz. Jak się zdaje, to je najbardziej interesuje. Nie umiałam zaspokoić ich ciekawości, ale wyrobiły sobie dość trafne ogólne pojęcie, myślą, że nie nosisz nic mniej wytwornego niż czarny brokat.

– Wyobrażają mnie sobie bardziej wspaniałą, niż jestem. Boję się powiedzieć im prawdę – odparła Isabel. – Lily pisała mi, że ciocia była u niej na obiedzie.

– Zapraszali mnie cztery razy, w końcu raz poszłam. Lily powinna była na dwóch próbach poprzestać. Obiad był bardzo dobry, musiał ich słono kosztować. Mąż jej ma okropne maniery. Czy przyjemnie spędziłam czas w Ameryce? Dlaczego miałabym tam szukać przyjemności? Nie po to przecież jeżdżę.

Wszystkie te tematy były nadzwyczaj interesujące, ale pani Touchett po krótkiej chwili zostawiła siostrzenicę samą, obiecując, że spotkają się za pół godziny przy lunchu. Rzeczywiście zasiadły naprzeciw siebie przy zsuniętym stole w smutnej jadalni. Podczas posiłku Isabel zauważyła, że ciotka nie jest tak oschła, jakby się mogło z pozoru zdawać, i w sercu siostrzenicy zbudziła się dawna litość dla tej niezdolnej do wyrażania uczuć kobiety, nieznającej

ani żalu, ani rozczarowań. Z pewnością pani Touchett byłaby teraz mniej nieszczęśliwa, gdyby potrafiła uznać klęskę, własne pomyłki, a nawet swoje zawstydzające błędy. Isabel podejrzewała, że ciotka zdaje sobie sprawę z ubóstwa własnej wrażliwości i w głębi duszy szuka jakiegoś posmaku życia, mętów na dnie kielicha, dowodu cierpienia czy mroźnej pociechy skruchy. Może jednak powstrzymywał ją strach, bo gdyby raz pozwoliła sobie na wyrzuty sumienia, mogłoby ją to zaprowadzić zbyt daleko. Mimo wszystko robiła takie wrażenie, jakby zaczynała rozumieć, że coś ją ominęło w życiu i że czeka ją starość bez wspomnień. Jej drobna, ostro zarysowana twarz miała wyraz tragiczny. Powiedziała siostrzenicy, że Ralph dotychczas nie ocknął się jeszcze, ale może przed obiadem będzie mogła go odwiedzić. Po chwili dodała, że poprzedniego dnia przyjął lorda Warburtona; informacja ta zaskoczyła trochę naszą bohaterkę, bo jeśli ten człowiek przebywał w sąsiedztwie, musiała być przygotowana, że się z nim spotka. Taka możliwość wydawała jej się mocno niepożądana. Nie po to przyjechała do Anglii, żeby raz jeszcze stawić czoło lordowi Warburtonowi. Jednakże powiedziała ciotce, że lord Warburton okazał wiele serca Ralphowi, jak to mogła zaobserwować w Rzymie.

– Teraz ma czym innym głowę zajętą – odparła pani Touchett. Potem umilkła i zwróciła na siostrzenicę wzrok przenikliwy jak ostrze sztyletu.

Isabel zrozumiała, że słowa te zawierają jakąś szczególną aluzję, i błyskawicznie odgadła jej sens. Jednakże nie zdradziła swojej domyślności, kiedy z bijącym sercem powiedziała, po prostu żeby zyskać na czasie:

- Ach tak, Izba Lordów i wszystkie te sprawy.
- Nie myśli o lordach, ale o pięknych paniach. Przynajmniej o jednej z nich. Oznajmił Ralphowi, że jest zaręczony i wkrótce się ożeni.
- Ach, więc się żeni! – z cicha wykrzyknęła Isabel.
- Chyba że zerwie zaręczyny. Sądził, że powinien zawiadomić o tym Ralphi. Biedny Ralph nie będzie na ślubie,

choć podobno termin uroczystości jest bliski.

– A kim jest jego wybranka?

– Jedną z arystokratycznych panien, lady Flora czy Felicja, coś w tym rodzaju.

– Bardzo mnie to cieszy – oznajmiła Isabel. – Decyzja, jak się zdaje, zapadła dość nagle.

– Tak, o ile wiem, po trzech tygodniach starań o względy tej osoby. Zaręczyny ogłoszono dopiero przed kilku dniami.

– Bardzo mnie to cieszy – powtórzyła Isabel, uważając, by zabrzmiało to przekonująco. Wiedziała, że ciotka obserwuje ją, tropiąc oznaki rozczarowania; nie chciała, żeby pani Touchett wykryła to, czego szukała, toteż zdobyła się na ton żywego zadowolenia, prawie ulgi.

Pani Touchett oczywiście wyznawała tradycyjny pogląd, zgodnie z którym kobiety, nawet mając już innego męża, powinny traktować małżeństwo swoich dawnych wielbicieli jak osobistą zniewagę. Isabel usiłowała więc udowodnić, że wbrew ogólnej regule nie czuje się urażona. Jednakże serce, jak już wspomniałem, tłukło jej się w piersi; umilkła i długą chwilę siedziała zatopiona w myślach, zapominając o obserwującej ją ciotce, ale nie dlatego, że zabolęła ją strata wielbiciela. Wyobraźnia jej pomknęła poprzez całą Europę i zatrzymała się zdyszana, a nawet trochę drżąca w Rzymie. Widziała siebie oznajmującą Osmondowi, że lord Warburton wkrótce stanie z wybraną angielską arystokratką na ślubnym kobiercu; oczywiście nie wiedziała, jak bardzo zbladła pod wpływem tej wizji. W każdym razie szybko opanowała się i powiedziała:

– Byłam pewna, że wcześniej czy później do tego dojdzie.

Pani Touchett dopiero po dłuższej pauzie zareagowała, potrząsając głową:

– Nigdy nie mogłam cię zrozumieć! – wykrzyknęła.

Dokończyły lunch w milczeniu. Isabel czuła się, jakby ją zawiadomiono o śmierci lorda Warburtona. Zawsze znała go w roli swojego wielbiciela, teraz ten rozdział zamykał się ostatecznie. Lord Warburton zmarł także dla biednej Pansy; za jej

pośrednictwem mógłby żyć jeszcze przez jakiś czas. Służący krzątał się koło stołu; wreszcie pani Touchett odprawiła go. Skończyła lunch, ale siedziała jeszcze przez chwilę, opierając ręce o krawędź stołu.

– Chciałabym ci zadać trzy pytania – oznajmiła.

– Aż trzy? To dużo.

– Zastanawiałam się, ale mniej niż trzy nie mogłyby mnie zadowolić. Wszystkie są bardzo ważne.

– Tego się właśnie obawiałam. Im ważniejsze, tym gorsze – stwierdziła Isabel.

Pani Touchett odsunęła się z krzesłem od stołu, a Isabel, która wstała i oddaliła się w stronę głębokiej framugi okna, czuła na swoich plecach przenikliwy wzrok ciotki.

– Czy kiedykolwiek pożałowałaś, że nie wyszłaś za lorda Warburtona? – spytała pani Touchett.

Isabel z wolna, ale dość lekko potrząsnęła głową.

– Nie, ciociu.

– To dobrze. Muszę cię uprzedzić, że zamierzam uwierzyć w to, co mi powiesz.

– Ciocia wystawia mnie na wielką pokusę – odparła Isabel, nie przestając się uśmiechać.

– Na pokusę kłamstwa? Nie radzę ci jej ulegać, bo kiedy jestem źle poinformowana, staję się niebezpieczna jak zarażony szczur. Nie mam zamiaru tryumfować nad tobą. A teraz powiedz mi, jak twoje małżeństwo? Czyżbyś nie była już zadowolona ze swego męża?

– To mój mąż nie jest ze mnie zadowolony – powiedziała Isabel.

– Mogłam mu to z góry przepowiedzieć. Ale to nie znaczy, żebym tryumfowała nad tobą. – Po czym pani Touchett spytała: – Czy w dalszym ciągu lubisz Serenę Merle?

– Nie tak jak dawniej. Ale to nie ma znaczenia, bo ona wyjeżdża do Ameryki.

– Do Ameryki? Musiała zrobić coś bardzo złego.

– Tak.



- Czy wolno zapytać, co zrobiła?
- Użyła mnie jako narzędzia.
- Oho! Mnie także. Każdego, kogo się dało.
- Posłuży się teraz Ameryką – odparła Isabel i znowu się uśmiechnęła, z ulgą, że ciotka wyczerpała swoje trzy pytania.

Dopiero wieczorem mogła odwiedzić Ralpha. Chory przez cały dzień drzemał czy też był nieprzytomny. Doktor – miejscowy lekarz, który kiedyś opiekował się starym panem Touchettem i którego Ralph lubił – przyjechał i wkrótce znowu odjechał. Zaglądał kilka razy dziennie, troszczył się o chorego bardzo serdecznie. Przedtem stałym lekarzem Ralpha był sir Matthew Hope, ale wielki ten człowiek sprzykrzył się pacjentowi. Ralph polecił matce zawiadomić go, że młody pan Touchett umarł i dalsze porady lekarskie są mu już zbędne; pani Touchett napisała do sir Matthew Hope'a bez ogródek, że jej syn go nie lubi. W dniu przyjazdu Isabel kuzyn jej, jak już wspomniałem, przez wiele godzin nie dawał znaku życia; pod wieczór jednak ocknął się i dał do zrozumienia, że od dawna wie o jej przybyciu. Nie sposób odgadnąć, skąd się dowiedział, bo nikt nie poinformował go o tym, aby chorego nie niepokoić. Isabel weszła i usiadła przy jego łóżku w półmroku, bo tylko jedna świeca paliła się w kącie sypialni, w dodatku osłonięta abażurem. Isabel zwolniła pielęgniarkę, oznajmiając, że do końca wieczoru zostanie przy pacjencie. Ralph otworzył oczy, poznał ją i przesunął na kołdrze bezsilną dłoń, aby ją uścisnęła. Nie mógł mówić, leżał cicho, trzymając kuzynkę za rękę. Siedziała przy nim długo, póki nie wróciła pielęgniarka; Ralph nie odezwał się przez cały ten czas ani słowem. Można by myśleć, że umarł; śmierć już naznaczyła go swoim piętnem. W Rzymie wydawało się, że niewiele ma życia przed sobą, ale teraz wyglądał gorzej; już tylko jedna ostateczna zmiana była możliwa. Dziwny spokój powlekał jego nieruchomą twarz. Został z niego sam szkielet, a kiedy na powitanie otworzył oczy, Isabel miała wrażenie, że spojrzała w bezdenną przepaść. Pielęgniarka wróciła dopiero o północy, ale Isabel czas się nie dłużył – przyjechała przecież po to, żeby czekać. Jeśli pragnęła tylko czuwać przy nim,

miała do tego okazję, bo Ralph przez trzy dni leżał jak gdyby w pełnym wdzięczności milczeniu. Poznawał ją i chwilami zdawało się, że chce coś powiedzieć, ale nie może wydobyć głosu. Zamykał znów oczy i można by myśleć, że on także czeka na coś, co nieuchronnie musi nadejść. W tej absolutnej ciszy miała wrażenie, że to, co miało się stać, już się stało, ale nie opuszczało jej przeświadczenie, że są wciąż razem. Nie zawsze jednak tak było; wiele godzin spędziła, błąkając się po pustym domu i nasłuchując pewnego głosu – nie głosu biednego Ralpa. Żyła w nieustannym lęku, wydawało jej się, że Osmond może napisać do niej. Ale on milczał i dostała tylko jeden list z Florencji, od hrabiny Gemini. Wreszcie wieczorem trzeciego dnia Ralph przemówił.

– Dzisiaj czuję się lepiej – szepnął niespodziewanie, kiedy czuwała przy nim w ciszy i mroku. – Myślę, że będę mógł ci coś powiedzieć. – Osunęła się przy jego wezgiłowiu na kolana, ujęła w dłonie wychudłą rękę i błagała, żeby oszczędzał siły, nie męczył się zanadto. Twarz Ralpa zachowała powagę, niezdolna już do wysiłku mięśni, jakiego wymagałby uśmiech, lecz jej właściciel logicznie rozumował: – Cóż szkodzi, jeśli nawet się zmęcze? Będę mógł odpoczywać przez całą wieczność. Nie trzeba żałować trudu, przecież to już ostatni wysiłek. Podobno tuż przed śmiercią każdy czuje się lepiej. Nieraz o tym słyszałem i na to właśnie czekałem. Odkąd się zjawiłaś, myślałem, że ta godzina musi przyjść. Parę razy próbowałem, bałem się, że uprzykrzy ci się tak siedzieć przy mnie. – Mówił wolno, z trudem, robiąc długie przerwy pomiędzy słowami; głos jego brzmiał jak gdyby z bardzo daleka. Ilekroć przerywał, zwracał ku Isabel twarz i bez zmrużenia powiek patrzył na nią wielkimi oczyma. – Dziękuję ci, że przyjechałaś – powiedział. – Spodziewałem się tego po tobie, ale nie byłem pewny.

– Ja też do ostatniej chwili nie miałam pewności, czy to zrobię.

– Czuwałaś przy mnie jak anioł. Słyszałaś chyba o aniele śmierci? Jest najpiękniejszy ze wszystkich. Tak wyglądałaś, jakbyś czekała na mnie.

– Nie na twoją śmierć czekałam, Ralphie kochany, ale na tę... na tę rozmowę. To jeszcze nie śmierć, Ralphie!

– Dla ciebie nie. Nigdy nie czujemy się bardziej intensywnie żywi niż wtedy, kiedy jesteśmy świadkami cudzej śmierci. Instykt życia, świadomość, że my jeszcze zostajemy tutaj. Znam to, nawet ja to znam. Teraz mogę tego poczucia dostarczyć innym, to jedyny możliwy jeszcze pożytek ze mnie. Dla mnie wszystko skończone.

– Umilkł. Isabel spuściła głowę niżej, aż ją oparła na rękach, w których tuliła jego dłoń. Nie widziała go teraz, ale daleki głos szeptał prosto w jej uszy. – Isabel – odezwał się nagle. – Ze względu na ciebie chciałbym, żeby to się już skończyło. – Nie odpowiedziała; wybuchnęła płaczem. Klęczała wciąż z twarzą ukrytą w dłoniach. Ralph przez chwilę wsłuchiwał się w jej płacz, potem jęknął przeciągle: – Och, coś ty dla mnie zrobiła?

– Coś ty zrobił dla mnie! – krzyknęła; w tej pozie mogła tylko częściowo dać wyraz szalonemu wzburzeniu, jakie ją ogarnęło. Pozbyła się wstydu, niczego już nie chciała ukrywać. Ralph musi dowiedzieć się, pragnęła, żeby wiedział, bo to by ich ostatecznie zespoliło, a ból i tak już nie mógł go osiągnąć. – Przed laty zrobiłeś coś... pamiętasz. Och, Ralphie, ty byłeś wszystkim dla mnie! A ja cóż mogłam, cóż dzisiaj mogę? Chętnie umarłabym, żebyś ty żył. Nie chcę dłużej żyć, wolałabym umrzeć, żeby ciebie nie tracić. – Głos jej się rwał tak samo jak jemu, drżąc od łez i cierpienia.

– Nie stracisz mnie, zachowasz... zachowasz mnie w sercu. Będę bliżej ciebie niż za życia. Isabel kochana, lepiej jest żyć, bo w życiu mamy miłość. Śmierć jest dobra... ale w niej nie ma miłości.

– Nigdy nie podziękowałam... Nic nie mówiłam... Nie byłam dla ciebie taka, jak powinnam – szepnęła Isabel. Musiała wypłakać się, wyznać swoje winy, poddać się naporowi żalu. Wszystkie troski stopiły się w jednym piekącym w tej chwili cierpieniu. – Coś ty musiał myśleć o mnie? Ale skąd miałam wiedzieć? Nic nie wiedziałam, dopóki ludzie mniej głupi ode mnie nie otworzyli mi oczu!

– Nie myśl o ludziach – odparł Ralph. – Prawie cieszę się, że od nich odchodzę.

Isabel podniosła głowę i złożyła ręce, jakby się do niego modliła.

– A więc to prawda? Prawda? – spytała.

– Że byłaś głupia? O, nie! – zdobywając się na żartobliwy ton, powiedział Ralph.

– Że to ty obdarzyłeś mnie majątkiem? Że wszystko, co mam, dostałam od ciebie?

Odwrócił głowę i przez długą chwilę milczał. Wreszcie rzekł:

– Nie mówmy o tym... to nie był szczęśliwy pomysł. – Z wolna zwrócił znów ku niej twarz i raz jeszcze spojrzeli sobie w oczy. – Gdyby nie to... gdyby nie to... – urwał i po pauzie jęknął: – Boję się, że to ja zniszczyłem twoje życie.

Była przeświadczona, że żaden ból nie może go osiągnąć, zdawało się, że już prawie nie należy do tego świata. Ale nawet gdyby nie była tego pewna, mówiłaby dalej, bo nic już nie miało znaczenia prócz samej świadomości – która nie składała się wyłącznie z udręki – że oboje znają teraz prawdę.

– On się ze mną ożenił dla pieniędzy – powiedziała. Chciała wyznać wszystko, bała się, że Ralph umrze, zanim ona dokończy spowiedzi.

Popatrzył na nią i po raz pierwszy przesłonił szklane oczy powiekami. Zaraz jednak podniósł je znowu.

– Był w tobie bardzo zakochany – stwierdził.

– Tak, ale nie ożeniłby się ze mną, gdybym była biedna. Nie chcę cię zranić, mówiąc to. Jakżebym mogła? Chcę tylko, żebyś rozumiał. Długo starałam się nie dopuścić, żebyś zrozumiał, ale to już minęło.

– Od początku rozumiałem – powiedział Ralph.

– Domyślałam się tego i byłam niezadowolona. Ale teraz mnie to cieszy.

– Nie sprawiłaś mi przykrości... jestem bardzo szczęśliwy. – Gdy to mówił, dziwnie radosny ton zadźwięczał w jego głosie. Isabel znów schyliła głowę i przycisnęła usta do jego ręki. –

Zawsze rozumiałem – ciągnął dalej – chociaż to było takie dziwne, żalosne. Chciałaś sama doświadczyć życia... i nie pozwolono ci na to... zostałaś za swoje pragnienie ukarana, zmiażdżona w młynie konwenansów.

– Ach tak, zostałam ukarana! – wyszlochała Isabel.

Słuchał jej przez chwilę, potem spytał:

– Czy bardzo się gniewałaś, kiedy wyjeżdżałaś?

– Zrobił, co mógł, żeby mi utrudnić wyjazd. Ale nie dbam o to.

– Czy wszystko między wami skończone?

– O, nie, myślę, że nic nie jest skończone.

– Wrócisz do niego? – szepnął Ralph.

– Nie wiem... Nie umiem ci odpowiedzieć. Zostanę tutaj możliwie jak najdłużej. Nie chcę... na razie nie muszę o tym myśleć. Nic nie obchodzi mnie prócz ciebie... to na dzisiaj dość. Mam jeszcze trochę czasu. Na klęczkach, z tobą umierającym w moich ramionach, czuję się taka szczęśliwa, jak dawno już nie byłam. I chcę, żebyś ty także był szczęśliwy, żebyś o niczym smutnym nie myślał, pamiętaj tylko, że jestem przy tobie i że cię kocham. Dlaczego mielibyśmy cierpieć? Na co nam cierpienie w takiej godzinie jak ta? To nie jest najważniejsze, jest coś głębszego jeszcze.

Ralphowi z każdą chwilą trudniej było mówić, coraz dłużej musiał mocować się ze sobą, żeby wydobyć głos. Toteż nie od razu odpowiedział na jej ostatnie słowa. Po dłuższej chwili szepnął tylko:

– Powinnaś zostać tutaj.

– Chciałabym zostać, dopóki to będzie wydawało się usprawiedliwione.

– Dopóki będzie się wydawało usprawiedliwione – powtórzył. – Tak, ty o to bardzo dbasz.

– Oczywiście. Tak trzeba. Jesteś już bardzo zmęczony – powiedziała Isabel.

– Jestem bardzo zmęczony. Mówiłaś przed chwilą, że ból nie jest czymś najgłębszym. Ale jest głęboki. Gdybym mógł zostać...

– Dla mnie zostaniesz tutaj na zawsze – przerwała mu łagodnie. Bardzo łatwo było mu przerwać.

Podjął jednak znowu:

– W końcu ból przeminie, już mija. Ale miłość zostaje. Nie wiem, dlaczego musimy tyle cierpieć. Może się dowiem. Tyle różnych rzeczy mieści się w życiu. Jesteś bardzo młoda.

– Czuję się bardzo stara.

– Odmłodniejesz. Widzę cię znowu młodą. Nie wierzę... nie wierzę... – umilkł, bo zabrakło mu sił.

Błagała go, żeby odpoczął.

– Rozumiemy się przecież bez słów – powiedziała.

– Nie wierzę, żebyś musiała bardzo ciężko pokutować za taki wielkoduszny błąd.

– Och, Ralphie, teraz jestem szczęśliwa! – wykrzyknęła ze łzami.

– Pamiętaj, że byłaś nie tylko nienawiedzona, ale także kochana. Ach, nawet uwielbiana – szepnął ledwo dosłyszalnie, z przeciągłym westchnieniem.

– O, mój bracie! – krzyknęła, skłaniając jeszcze niżej głowę.

## ROZDZIAŁ LV

Pierwszego wieczoru, jaki ongiś spędziła w Gardencourt, powiedział jej, że musi najpierw poznać cierpienie, zanim będzie mogła zobaczyć ducha, który nawiedza, jak przystało, ten stary dom. Widocznie spełniła ten niezbędny warunek, bo nazajutrz, o zimnej godzinie nikłego brzasku, ocknęła się ze świadomością, że duch stoi przy jej łóżku. Położyła się w sukni, pewna, że Ralph nie przetrwa do rana. Nie chciało jej się spać, czekała, a to oczekiwanie kazało jej czuwać. Zamknęła jednak oczy; była przekonana, że wśród nocy ktoś zapuka do jej drzwi. Nie usłyszała pukania, ale gdy ciemności zaczęły dokoła niej szarzeć, zerwała się z pościeli nagle, jak gdyby ją ktoś zawołał. Przez chwilę zdawało jej się, że Ralph stoi przed nią – blady, chwiejny cień w bladym świetle wypełniającym pokój. Przez sekundę wpatrywała się w jego białą twarz, w łagodne oczy, potem wszystko zniknęło. Nieprzestraszona, ale zupełnie pewna, że się nie myli, wyszła z pokoju na ciemny korytarz, ku dębowym schodom połyskującym w nikłym świetle, które płynęło od okna. Przed drzwiami Ralpha zatrzymała się, nasłuchując, ale nie słyszała nic prócz głuchoj ciszy. Uchyliła drzwi gestem tak delikatnym, jakby podnosiła zasłonę z twarzy umarłego, i zobaczyła panią Touchett nieruchomą, wyprostowaną przy łóżku syna, którego rękę trzymała w uścisku. Po drugiej stronie łóżka lekarz z zawodową wprawą obejmował palcami przegub biednego Ralpha. Między nimi, w nogach łóżka, stały dwie pielęgniarki. Pani Touchett nie zauważyła nawet wchodzącej Isabel, ale doktor spojrzał na nią surowo; potem odłożył łagodnie rękę Ralpha na pościel u jego boku. Pielęgniarka także spojrzała na nią surowo, nikt jednak nie powiedział ani słowa. Isabel widziała tylko to, co ją tutaj sprowadziło. Ralph nigdy za życia nie wyglądał tak pięknie jak w tej chwili – był dziwnie podobny do ojca, którego głowa przed sześciu laty spoczywała na tej samej poduszce. Isabel zbliżyła się do ciotki i

objęła ją ramieniem; pani Touchett, chociaż nigdy nikogo nie zachęcała do czułych gestów i nie lubiła ich, tym razem poddała się dość chętnie. Ale trzymała się sztywno, oczy miała suche, a jej ostra, blada twarz wyglądała okropnie.

– Ciociu kochana! – szepnęła Isabel.

– Dziękuj Bogu, że nie masz dzieci – powiedziała pani Touchett, uwalniając się z jej objęć.

Sporo osób znalazło w pełni londyńskiego sezonu czas, żeby w trzy dni później przyjechać rannym pociągiem na cichą stację w Berkshire i spędzić pół godziny w pobliskim szarym kościółku. Tam na przykościelnym cmentarzu pani Touchett powierzyła ziemi szczątki swojego syna. Z siostrzenicą u boku stała nad wykopanym grobem i nawet sam grabarz nie interesował się bardziej rzeczowo niż ona praktyczną stroną pogrzebu. Nastrój był uroczysty, ale nie przytłaczający ani gorzki; wszystko dokoła tchnęło raczej beztrząską. Pogoda poprawiła się i ten dzień pod koniec zdradzieckiego maja był ciepły, bezwietrzny, ozdobiony kwitnącymi głogami i pogwizdywaniem kosów. Ze smutkiem żegnano biednego Ralpa, ale był to smutek łagodny, bo śmierć nie zaskoczyła go gwałtownie. Umierał długo, dojrzał do śmierci, wszystko było przewidziane i z góry przygotowane. Isabel miała oczy pełne łez, które jednak jej nie oślepiały. Widziała przez nie piękność wiosny, wspaniałość przyrody, urok wiejskiego angielskiego cmentarza i schylone głowy przyjaciół. Stał wśród nich lord Warburton, a także grupa nieznanych jej panów, przeważnie, jak się później dowiedziała, związanych w jakiś sposób z bankiem; nie brakowało też osób znajomych: panna Stackpole stała w pierwszym rzędzie obok zacnego pana Bantlinga, a głowa Caspara Goodwooda górowała nad innymi głowami, mniej od nich pochylona. Isabel przez cały prawie czas czuła na sobie wzrok Goodwooda; patrzył na nią uporczywie – bardziej niż zazwyczaj przy świadkach – gdy inni mieli oczy spuszczone ku cmentarnej murawie. Nie zdradziła się, że go zauważa, i myśląc o nim, dziwiła się tylko, że jeszcze jest w Anglii. Dotychczas była pewna, że po odwiezieniu Ralpa do



Gardencourt zaraz wyjechał; pamiętała, że Anglia niezbyt mu się podobała. A jednak był na miejscu i wyczuwała bardzo intensywnie jego obecność, a z całej postawy odgadywała, że kierują nim bardzo złożone motywy. Nie chciała spotkać się z jego spojrzeniem, chociaż ponad wszelką wątpliwość czytała w nim współczucie – ten wzrok niepokoił ją trochę. Gdy nieliczni uczestnicy pogrzebu rozproszyli się, Caspar Goodwood zniknął także, a chociaż kilka osób złożyło kondolencje pani Touchett, do Isabel podeszła tylko panna Stackpole. Była zapłakana.

Ralph wyraził nadzieję, że Isabel zostanie na dłuższy czas w Gardencourt, nie spieszyła się więc z wyjazdem. Mówiła sobie, że zwykła ludzka życzliwość wymaga, aby dotrzymać w pierwszym okresie towarzystwa ciotce. Na szczęście znalazła tak dogodny argument, bo bardzo był jej potrzebny. Wypełniła do końca misję, dla której opuściła swój dom. Miała w dalekim zagranicznym mieście męża, który liczył godziny jej nieobecności; w takiej sytuacji żona musi szukać przekonujących usprawiedliwień. Nie należał do mężów idealnych, ale to nie zmieniało istoty sprawy. Małżeństwo wiąże się z określonymi obowiązkami, niezależnie od tego, czy są one dla kogoś mniej czy bardziej przyjemne. Isabel starała się myśleć o swoim mężu jak najmniej, ale teraz, z oddalenia, poza zasięgiem jego wpływu, myśl o Rzymie przejmowała ją jakimś wewnętrznym dreszczem. Od tego obrazu tchnął przenikliwy chłód, toteż wolała zaszyć się w najgłębszym cieniu Gardencourt. Żyła z dnia na dzień, odkładając decyzję, zamykając oczy, usiłując nie myśleć. Wiedziała, że musi coś postanowić, ale niczego nie postanawiała: jej przyjazd tutaj nie był decyzją. Oznaczał tylko początek. Osmond przez cały czas nie odezwał się i było jasne, że tego nie zrobi – rozstrzygnięcie pozostawił w jej ręku. Od Pansy nie dostała żadnych wiadomości, ale to wydawało się całkowicie proste: ojciec zabronił jej pisywać do macochy.

Pani Touchett akceptowała obecność siostrzenicy, ale nie pomagała jej w niczym; zdawała się pochłonięta rozważaniem – bez entuzjazmu, lecz z wielką trzeźwością sądu – nowych

warunków, w jakich się znalazła. Nie była optymistką, ale nawet z najboleśniejszych wydarzeń umiała wyciągnąć jakiś pożytek. Wysnuwała z nich wnioski, że bądź co bądź przytrafiają się innym, nie jej. Śmierć jest smutnym zjawiskiem, ale umarł przecież tylko jej syn, ona w dalszym ciągu żyła; nie pochlebiała sobie, że jej własna śmierć będzie dla kogokolwiek prócz niej bolesna. Była w lepszej sytuacji niż biedny Ralph, który musiał opuścić wszystkie życiowe wygody, a nawet wszystko, co człowieka zabezpiecza; najgorszą bowiem stroną śmierci wydawało się pani Touchett to, że daje ona innym ludziom przewagę nad nieboszczykiem. Ona jednak została na ziemi – i to było najważniejsze. Wieczorem po pogrzebie skrupulatnie przedstawiła siostrzenicy treść testamentu Ralpha. O wszystkim matkę poinformował, w każdej sprawie zasięgał jej rady. Nie zostawił jej pieniędzy, bo ich oczywiście nie potrzebowała. Z wyjątkiem obrazów i książek odziedziczyła meble z Gardencourt oraz prawo do korzystania z domu przez rok. Potem rezydencja miała być sprzedana, a uzyskana za nią suma posłuży do ufundowania szpitala dla biednych cierpiących na chorobę, która zabiła Ralpha; wykonawcą tej części testamentu mianował lorda Warburtona. Resztę majątku, po wycofaniu go z banku, przeznaczył do rozdziału pomiędzy różnych spadkobierców, między innymi krewnych z Vermontu, których jego ojciec hojnie już przedtem obdarzył. W końcu zapisał mnóstwo drobnych legatów.

– Niektóre z nich są bardzo dziwne – powiedziała pani Touchett – zostawił znaczne sumy osobom, o których nigdy w życiu nie słyszałam. Dał mi ich listę, a gdy spytałam, co to za jedni, wyjaśnił, że są to osoby, które w różnych okresach okazały mu sympatię. Ciebie widocznie do tej kategorii nie zaliczał, bo nie zapisał ci ani pensa. Uznał, że jego ojciec dość już hojnie cię wyposażył – nawiasem mówiąc, podzielał tę opinię – chociaż nigdy nie słyszałam, żeby się z tego powodu uskarżał. Kolekcja ma być rozbita, poszczególne obrazy przypadną różnym osobom jako pamiątki, najcenniejsze dostanie lord Warburton. Nigdy byś nie

zgadła, jak Ralph rozporządził swoim księgozbiorem: wygląda to na kpinę! Zapisał go twojej przyjaciółce, pannie Stackpole „w uznaniu jej zasług na polu literatury”. Czy miał na myśli jej opiekę w podróży z Rzymu? Czy w ten sposób przysłużyła się literaturze? Zgromadził dużo rzadkich i cennych książek, a ponieważ panna Stackpole nie mogłaby wozić ich ze sobą w kufrze po całym świecie, zalecił, żeby je sprzedawała na licytacji. Oczywiście sprzeda je na aukcji u Christie, a otrzymaną gotówkę wyda na założenie własnej gazety. Czy tym przysłuży się literaturze?

Isabel nie próbowała odpowiadać, bo pytanie przekraczało granice indagacji, której zgodziła się poddać po przyjeździe do Gardencourt. Zresztą nigdy literatura nie interesowała ją mniej niż w tym okresie, jak się przekonała, zdejmując z półki jeden z rzadkich i cennych tomów, o których wspomniała pani Touchett. Nie mogła czytać, umysł jej okazał się nieposłuszny nakazom woli. Pewnego popołudnia, w tydzień po żałobnych obrzędach na wiejskim cmentarzu, próbowała w bibliotece skupić uwagę na lekturze choćby przez godzinę, ale oczy jej wciąż uciekały znad książki ku otwartemu oknu, wychodzącemu na długą aleję. Dzięki temu zobaczyła zajeżdżający przed dom skromny ekwipaż; w nim, z boku, w niewygodnej pozie siedział lord Warburton. Zawsze przestrzegał wszelkich form kurtuazji, nic więc dziwnego, że pofatygował się z Londynu, żeby w tych okolicznościach złożyć wizytę pani Touchett. Wydawało się oczywiste, że chodzi mu o panią Touchett, a nie o panią Osmond. Na dowód, że o tym nie wątpi, Isabel wyszła z domu do parku. Od dnia przyjazdu do Gardencourt mało przebywała na powietrzu, bo pogoda nie sprzyjała przechadzkom. To popołudnie było jednak piękne, toteż cieszyła się, że wpadła na pomysł spaceru. Hipoteza, o której przed chwilą wspomniałem, wydawała się uzasadniona, lecz nie wystarczała, żeby Isabel całkowicie uspokoić; ktoś, kto by ją obserwował snującą się po ogrodzie, mógłby pomyśleć, że dręczy ją nieczyste sumienie. Nie odzyskała spokoju, gdy po kwadransie, znalazłszy się w pobliżu domu, zobaczyła panią Touchett wychodzącą na taras w towarzystwie lorda Warburtona. Ciotka

najwidoczniej zaproponowała gościowi odszukanie pani Osmond. Isabel nie miała ochoty do rozmów i gdyby mogła, ukryłaby się wśród drzew. Ale wiedziała, że ją dostrzegli, i nie miała wyboru: poszła na ich spotkanie. Trawnik przed domem był na tyle wielki, że miała czas zaobserwować, że idąc u boku pani Touchett, lord Warburton trzyma ręce dość sztywno splecione za plecami i nie odrywa wzroku od ziemi. Oboje milczeli, lecz spojrzenie ciotki, skierowane ku siostrzenicy, mimo odległości miało jednoznaczną wymowę: „Oto godny najwyższego uznania arystokrata, którego mogłaś mieć za męża”. Ale oczy lorda Warburtona, gdy w końcu oderwał je od trawnika, mówiły coś zupełnie innego: „Sytuacja jest dość kłopotliwa, spodziewam się, że pani mi ją ułatwi”. Był bardzo poważny, oficjalny, po raz pierwszy, odkąd się znali, przywitał ją bez uśmiechu. Nawet w okresie, gdy był przygnębiony, zdobywał się dla niej na uśmiech. W tej chwili zdradzał wielkie zakłopotanie.

– Lord Warburton był łaskaw złożyć mi wizytę – powiedziała pani Touchett. – Nie wiedział, jak mówi, że ciebie tu jeszcze zastanie. Ale łączy was dawna przyjaźń, więc gdy mnie poinformowano, że wyszłaś z domu, wyprowadziłam pana do ogrodu, żeby cię odszukać.

– Sprawdziłem, że jest o szóstej czterdzieści pociąg, którym doskonale zdążę na kolację – oznajmił trochę od rzeczy gość. – Cieszę się, że panią tutaj jeszcze zastałem.

– Nie będę tu już długo – odpowiedziała nieco zbyt skwapliwie Isabel.

– Oczywiście, ale nie opuści pani chyba Gardencourt w najbliższych tygodniach. Przyjechała pani do Anglii wcześniej, niż... niż było przewidziane, prawda?

– Tak, dość nagle.

Pani Touchett odsunęła się i można by myśleć, że bada stan parku, niezbyt starannie teraz utrzymywanego; lord Warburton wahał się wyraźnie. Isabel miała wrażenie, że chciał ją zapytać o męża, lecz zmieszał się i w ostatniej chwili ugryzł się w język. Zachowywał wciąż niezmierną powagę, może dlatego, że to wydawało mu się stosowne w domu, który dopiero co nawiedziła

śmierć, a może z jakichś osobistych powodów. Jeżeli te osobiste względy były dla niego kłopotliwe, musiał być wdzięczny za pretekst, jakiego dostarczyły mu okoliczności. Isabel wszystko to sobie uprzytomniła. Twarz jego miała nie tyle wyraz smutny, co byłoby skądinąd zrozumiałe, ile była dziwnie pozbawiona wyrazu.

– Moje siostry przyjechałyby chętnie ze mną, gdyby wiedziały, że pani tu jeszcze przebywa – ciągnął dalej lord Warburton. – Bardzo proszę, niech pani da im okazję do spotkania przed opuszczeniem Anglii.

– Z przyjemnością, zachowałam najmilsze wspomnienie o pana siostrach.

– A może zechciałaby pani spędzić dzień albo parę dni w Lockleigh? Wciąż jeszcze nie spełniła pani danej mi kiedyś obietnicy. – Jego lordowska mość zaczerwienił się przy tych słowach i twarz jego stała się trochę bardziej naturalna. – Może nie powinienem tego mówić teraz, pani oczywiście nie jest w nastroju towarzyskim. Ale to właściwie nie miałyby charakteru towarzyskiego zebrania. Siostry spędzą w okresie Zielonych Świąt pięć dni w Lockleigh, gdyby pani mogła wtedy przyjechać... skoro nie zamierza pani dłużej zostać w Anglii... postarałbym się, żeby nie było żadnych innych gości.

Isabel w duchu postawiła sobie pytanie, czy nie zaprosiłby nawet narzeczonej i jej matki, ale odpowiedziała tylko:

– Bardzo dziękuję, niestety, nie mogę układać planów na Zielone Świąta.

– Ale mam pani obietnicę, prawda? Jeżeli nie na Zielone Świąta, to w jakimś innym terminie?

Było to pytanie, lecz Isabel uchyliła się od odpowiedzi. Popatrzała na lorda Warburtona i po chwili obserwacji – jak już nieraz przedtem – zaczęła mu współczuć.

– Niech pan uważa, bo pociąg ucieknie – powiedziała. – Życzę panu we wszystkim szczęścia.

Zaczerwienił się jeszcze mocniej i spojrzał na zegarek.

– Ach tak, szósta czterdzieści. Nie mam dużo czasu, ale bryczka czeka przed bramą. Dziękuję pani! – Nie wiadomo, czy

dziękował za przypomnienie o pociągu, czy za życzenia. – Do widzenia pani, do widzenia!

Uścisnął jej rękę, nie patrząc w oczy, i zwrócił się do pani Touchett, która właśnie znowu do nich się przyłączyła. Obie panie spoglądały za nim, gdy długim krokiem spieszył przez trawnik w stronę domu.

– Czy ciocia jest pewna, że on się żeni? – spytała Isabel.

– Nie mogę być pewniejsza od niego, ale zdaje się, że jest zdecydowany. Powinszowałam mu i przyjął moje gratulacje.

– Ach, nie będę próbowała zrozumieć – powiedziała Isabel, gdy ciotka wracała już do domu i do zajęć, które przerwała niespodziewana wizyta.

Nie próbowała zrozumieć, ale wciąż o tym rozmyślała, przechadzając się pod wielkimi dębami, które rzucały długie cienie na trawę. Po chwili znalazła się koło ławki i nagle miejsce to wydało jej się znajome. Nie tylko widziała kiedyś już tę ławkę, nie tylko siedziała na niej, lecz tutaj zdarzyło jej się coś bardzo ważnego i ten zakątek ogrodu budził mnóstwo skojarzeń.

Przypomniała sobie, że tutaj siedziała przed sześciu laty, kiedy służący przyniósł jej list od Caspara Goodwooda z wiadomością, że przyjechał za nią do Europy; a kiedy znad tego listu podniosła wzrok, zobaczyła lorda Warburtona, który przyszedł oświadczyć się o jej rękę. Ławka była doprawdy historyczna i pamiętna; Isabel patrzyła na nią, jakby oczekując, że przemówi. Nie usiadła, bała się jej trochę, zatrzymała się jednak i przeszłość nagle wróciła potężną falą wzruszenia, jakie ogarnia niekiedy znienacka istoty wrażliwe. Pod naporem emocji Isabel poczuła się bardzo zmęczona i – przewyciężając zabobonny lęk – osunęła się na ławkę. Wspomniałem, że była zdenerwowana i niezdolna do skupienia uwagi na jakimś konkretnym zajęciu; kto by ją obserwował w tym momencie, może by podziwiał trafność tego określenia, ale na pewno przyznałby, że wyglądała wtedy jak uosobienie bezczynności; cała jej poza świadczyła o braku jakichkolwiek zamiarów; ręce zwisały po bokach i kryły się pod fałdami czarnej sukni, oczy patrzyły z roztargnieniem w

przestrzeń. Nie miała powodu, żeby wracać do domu – dwie panie, odgradzone od świata, wcześniej jadały lunch, a popołudniową herbatę piły o różnych porach. Nie umiałyby powiedzieć, jak długo siedziała tak w ogrodzie, ale zmierzch zgęstniał, zanim uświadomiła sobie, że nie jest sama. Szybko wyprostowała się i rozejrzała wokół, żeby stwierdzić, kto zakłócił jej samotność. Dzielila ją z Casparem Goodwoodem, który stał opodal, patrząc na nią; nie słyszała jego kroków, kiedy się zbliżał, bo miękka darń głużyła wszelkie odgłosy. Przemknęła jej przez głowę myśl, że w podobny sposób przed laty zaskoczył ją tutaj lord Warburton.

Natychmiast wstała, ale Goodwood, widząc, że został zauważony, ruszył ku niej. Ledwie zdążyła zerwać się ruchem, który miał nie tylko pozory gwałtowności, lecz wyniknął rzeczywiście z gwałtownego, dla niej samej niezrozumiałego wzburzenia, gdy Goodwood chwycił ją za rękę i zmusił, żeby usiadła z powrotem. Przymknęła oczy; nie ścisnął przegubów jej rąk boleśnie, dotknął ich lekko, ale usłuchała tego nakazu. W wyrazie twarzy Goodwooda było coś, czego nie chciała widzieć. Tak samo patrzył na nią kilka dni temu na wiejskim cmentarzu, z większym jeszcze napięciem. Nie od razu odezwał się, czuła tylko jego bliską obecność, gdy usiadł obok, zwrócony ku niej z jakąś dziwną natarczywością. Miała wrażenie, że nigdy jeszcze nie zbliżył się do niej tak bardzo. Wszystko to jednak trwało tylko przez chwilę, po czym uwolniła swoją rękę i podnosząc oczy na niego, powiedziała:

– Przestraszył mnie pan!

– Nie miałem takiej intencji – odparł – ale jeśli nawet przestraszyłem panią troszkę, przepraszam. Przyjechałem z Londynu już dość dawno temu pociągiem, nie mogłem jednak przyjść tutaj od razu. Jakiś pan wysiadł na stacji i uprzedził mnie, wynajmując bryczkę; słyszałem, jak kazał się wieźć do Gardencourt. Nie wiem, kto to taki, ale nie chciałem zjawić się razem z nim, zależało mi na tym, żeby panią zastać samą. Czekałem więc, spacerując po okolicy. Wreszcie przyszedłem tutaj i zobaczyłem panią w ogrodzie. Natknąłem się na służącego czy

portiera, ale wpuścił mnie, bo pamiętał, że to ja eskortowałem Ralphi Touchetta, gdy wrócił z Włoch. Czy tamten pan już odjechał? Czy jest pani sama? Chcę z panią porozmawiać. – Mówił bardzo prędko, był nie mniej podniecony niż wtedy, kiedy się z nią żegnał w Rzymie. Isabel miała nadzieję, że Caspar prędko ochłonie, i skurczyła się z lęku, gdy zrozumiała, że to dopiero początek. Doznała niezwykłego wrażenia, jakiego Caspar Goodwood nigdy dotychczas w niej nie budził – poczuła, że jest w niebezpieczeństwie. Jego determinacja zdawała się naprawdę groźna. Patrzyła prosto przed siebie, gdy Goodwood, oparłszy dłonie o kolana, wychylał się naprzód, zaglądając jej w twarz. Zmierzch jakby pociemniał wokół nich.

– Muszę z panią porozmawiać – powtórzył. – Mam coś do powiedzenia. Nie chciałbym niepokoić pani, tak jak wtedy, w Rzymie. To było niepotrzebne, mogło tylko wyrządzić pani przykrość. Wiem, że postąpiłem źle, nie mogłem się oprzeć pokusie. Dzisiaj mam prawo mówić to, co chcę powiedzieć, niech mi pani wierzy! – W niskim metalicznym głosie zabrzmiała miękka błagalna nuta. – Przyszedłem z określonym zamiarem. Sytuacja się zmieniła. Wtedy niepokoiłem panią daremnie, teraz mogę pani pomóc.

Czy dlatego, że była przestraszona, czy też dlatego, że w ciemnościach ten głos musiał być dla uszu miły, dość, że słuchała go z większą niż kiedykolwiek uwagą; każde słowo zapadało w głąb jej duszy, a całą istotę wypełniała wielka cisza tak, że z trudem szepnęła wreszcie:

– W jaki sposób mógłby mi pan pomóc? – spytała takim tonem, jakby przyjęła jego obietnicę na tyle poważnie, że zapagnęła dowiedzieć się o niej czegoś więcej.

– Najpierw muszę panią przekonać, żeby mi zaufała. Ja wiem, teraz już wiem... Pamięta pani, o co pytałem w Rzymie? Wtedy byłem zupełnie dezorientowany. Teraz wiem z najlepszego źródła; wszystko jest dla mnie dzisiaj jasne. Miała pani dobry pomysł, odsyłając mnie razem ze swoim kuzynem. To był dobry człowiek, szlachetny, jeden z najlepszych. Powiedział mi, w jakiej



pani znalazła się sytuacji. Wszystko wytłumaczył, odgadł moje uczucia. Był pani krewnym i powierzył panią... na czas pani pobytu w Anglii... mojej opiece – oznajmił Goodwood takim tonem, jakby przywiązywał dużą wagę do tego argumentu. – Czy pani wie, co mi powiedział, kiedy ostatni raz z nim rozmawiałem, kiedy już leżał, czekając na śmierć? „Zrób dla niej wszystko, co będzie w twojej mocy, wszystko, na co ona ci pozwoli”.

Isabel nagle wstała.

– Nie powinien pan był rozmawiać z nim o moich sprawach.

– Dlaczego? Dlaczego, skoro mówiliśmy w ten sposób? – spytał, idąc za nią. – On umierał, a człowiek umierający ma szczególne prawa. – Już chciała odejść, ale zatrzymała się w pół kroku i znowu słuchała go w bardziej jeszcze niż przedtem intensywnym skupieniu; mówił prawdę, sytuacja zmieniła się całkowicie od czasu rozmowy w Rzymie. Wtedy wybuchnął bezcelową i bezowocną namiętnością, teraz miał jakiś plan, wyczuwała to wszystkimi nerwami. – To zresztą bez znaczenia! – krzyknął, narzucając jej swoją wolę bardziej jeszcze bezwzględnie, chociaż tym razem nie dotknął nawet rąbka jej sukni. – Gdyby Touchett nie powiedział mi nic, i tak zrozumiałbym wszystko. Wystarczyło popatrzeć na panią wtedy, na jego pogrzebie, żeby zgadnąć, co się z panią dzieje. Już mnie pani nie zwiedzie. Na miłość boską, niechże pani będzie szczerą z człowiekiem, który jest tak szczerą wobec pani! Jest pani najnieszczęśliwszą z kobiet, a pani mąż to najprzewrotniejszy z łotrów.

Wzdrygnęła się, jakby ją uderzył.

– Czy pan oszalał?! – krzyknęła.

– Nigdy nie myślałem tak jasno jak w tej chwili. Rozumiem wszystko. Niech pani nie próbuje go bronić. Nie powiem już ani słowa więcej o nim. Chcę mówić tylko o pani. – I prędko dodał: – Jak pani może udawać, że nie ma złamanego serca? Nie wie pani, co robić, dokąd się obrócić. Za późno już na komedię, czyż nie odrzuciła pani swojej roli, wyjeżdżając z Rzymu? Touchett wiedział i ja też wiedziałem, ile panią będzie kosztował przyjazd tutaj. Czy chce pani płacić za to całe życie? Niech pani przyzna –

ciągnął niemal z gniewem – niech pani powie mi chociaż jedno słowo prawdy. Rozumiem całą okropność pani położenia, jakże mógłbym wyrzec się próby ratunku? Co pani pomyślałaby o mnie, gdybym z założonymi rękami przyglądał się temu, że pani wraca tam, gdzie czeka panią odwet. „Ona zapłaci za to straszliwą cenę” – mówił Touchett. Wolno mi powtórzyć pani jego słowa, był pani najbliższym krewnym! – krzyknął Goodwood, sięgając znów po swój najmocniejszy, dziwnie posępny argument. – Dałbym się raczej zabić, niż pozwoliłbym, żeby inny mężczyzna mówił tak o pani. Ale to były szczególne okoliczności, Touchett miał prawo. Wtedy już był u siebie w domu i rozumiał, że umiera, ja także to wiedziałem. Jest dla mnie jasne, że pani boi się wracać. Jest pani zupełnie sama, nie wie pani, gdzie się podziać. Nie ma pani gdzie się schronić, pani to wie doskonale. Dlatego proszę, niech pani pomyśli o mnie.

– Pomyśleć o panu? – powtórzyła, stojąc przed nim w mroku. Myśl, która przed chwilą ledwo błysnęła w jej wyobraźni, teraz ukazała się w całej jaskrawości. Isabel odrzuciła głowę i patrzyła w niebo, jakby po nim przelatowała kometa.

– Pani nie wie, dokąd się zwrócić. Niech pani zwróci się do mnie. Chcę panią przekonać, żeby mi pani zaufała – powtórzył Goodwood. Umilkł i tylko spoglądał na nią roziskrzonymi oczyma. – Po co pani miałaby wracać? Po co dopełniać tej odrażającej formalności?

– Żeby uciec przed panem! – krzyknęła. Ale wyraziła tylko małą część tego, co czuła. Przeniknęła ją świadomość, że nigdy przedtem nie była naprawdę kochana. Łudziła się, ale dopiero teraz dowiedziała się, czym jest wielka miłość – to był jak gdyby gorący wicher pustyni, pod którego tchnieniem wszystko inne ginie i wydaje się nikłe jak słodki zapach ogrodu. Ten wicher ogarnął ją, ściał z nóg, samym swoim smakiem, potężnym, gorzkim i dziwnym, zmusił do rozchylenia zaciętych zębów.

W pierwszej chwili myślała, że w odpowiedzi na jej okrzyk Caspar Goodwood wybuchnie jeszcze gorętszą pasją. Ale on opanował się, uspokoił; chciał jej udowodnić, że jest trzeźwy, że

wszystko przemyślał rozumnie.

– Chcę temu zapobiec i mogę to zrobić, jeżeli pani chociaż ten jeden jedyny raz posłucha mnie. Sama myśl, żeby z powrotem ugrzęznąć w nieszczęściu, dobrowolnie oddychać zatrutym powietrzem, jest potworna. To pani jest szalona, a nie ja. Niech pani mi zaufa jako opiekunowi. Dlaczego nie mielibyśmy być szczęśliwi? Szczęście mamy pod ręką, można po nie sięgnąć tak łatwo! Ja należę do pani na zawsze, na wieki. Stoję przed panią, jestem mocny jak skała. O co pani się troszczy? Nie ma pani dzieci. To byłaby może przeszkoda. Ale w tych okolicznościach pani może się na nic nie oglądać. Musi pani ocalić tyle ze swojego życia, ile jeszcze się da, nie wolno pani tylko dlatego go całego zaprzepaścić, że zmarnowała pani jakąś jego cząstkę. Znieważylbym panią, przypuszczając, że pani troszczy się o pozory, o to, co ludzie powiedzą, o całą bezdenną głupotę świata. Nie mamy z tym wszystkim nic wspólnego, jesteśmy ponad tym, widzimy rzeczywistość taką, jaka jest naprawdę. Pani, przyjeżdżając tutaj, zrobiła pierwszy wielki krok – następny będzie łatwiejszy, to naturalna konsekwencja. Przysięgam, że kobieta, którą świadomie zraniono, jest usprawiedliwiona, cokolwiek zrobi, choćby wyszła na ulicę szukać pomocy. Wiem, jak pani cierpi, dlatego jestem tutaj. Mamy prawo postąpić, jak nam się spodoba, nie mamy zobowiązań wobec nikogo pod słońcem. Cóż może nas powstrzymać, kto ma choćby cień prawa do wtrącania się w tę sprawę? To nasza sprawa, wystarczy ją za naszą uznać, a będzie rozstrzygnięta. Czy urodziliśmy się po to, żeby zbutwieć wśród męczarni? Czy urodziliśmy się, żeby drzeć ze strachu? Nigdy nie widziałem pani przestraszonej! Niech mi pani zaufa, nie zawiedzie się pani! Świat przed nami, a świat jest wielki, wiem coś o tym.

Isabel westchnęła przeciągle, boleśnie, jak gdyby ranił ją swoim naleganiem.

– Świat jest bardzo mały – powiedziała na chybił trafił; koniecznie chciała okazać, że się opiera. Powiedziała, co jej się nasunęło, byleby usłyszeć swój własny głos, ale myślała coś zupełnie innego. Nigdy świat nie wydawał jej się taki wielki, tak

szeroko otwarty; otaczał ją ze wszystkich stron i przybrał postać ogromnego bezdennego morza, unoszącego ją na swoich falach. Potrzebowała ratunku i oto potężny nurt obiecywał wybawienie. Nie wiem, czy wierzyła we wszystko, co Caspar Goodwood mówił, ale w tym momencie była przekonana, że ma do wyboru umrzeć albo paść w jego ramiona. Czuła, że coraz głębiej pogrąża się w jakiejś dziwnej ekstazie. Zrobiła nawet taki ruch, jak gdyby chwyciła równowagę czy też szukała gruntu pod stopami.

– Bądź moja tak, jak ja jestem twój! – usłyszała jego okrzyk. Zrezygnował z argumentów, głos jego, ochryply i groźny, dochodził do jej uszu poprzez zgiełk i szum świata.

Był to oczywiście fakt subiektywny, jak powiedzieliby metafizycy. Zgiełk, szum morza i cały zamęt rodził się w jej oszołomionej głowie. Uświadomiła to sobie błyskawicznie.

– Niech pan odda mi największą ze wszystkich przysług – szepnęła bez tchu. – Niech pan odejdzie, błagam!

– Nie mów tak, nie zabijaj mnie! – krzyknął.

Złożyła ręce, oczy jej wypełniły się łzami.

– Jeżeli mnie kochasz, jeżeli masz litość nade mną, zostaw mnie samą!

Przez chwilę patrzył na nią błyszczącymi w mroku oczyma, potem znalazła się w jego objęciach i poczuła jego usta na swoich. Pocałunek był jak biała błyskawica, która szeroką łuną rozświetla niebo, wciąż wraca i trwa. Zdziwiał ją, jak chłonęła tę pieśczętę, uprzytomniła sobie, że wszystko, co w jego surowej męskości najmniej się jej podobało, każdy agresywny rys jego twarzy, postaci i obecności znalazł usprawiedliwienie swojej szczególnej siły w tym władczym akcie i z nim się zespolił. Przypomniały jej się opowieści o tym, że rozbitkom i tonącym, zanim pójdą na dno, przesuwają się przed oczyma obrazy całej ich przeszłości. Ale gdy znowu ogarnęła ją ciemność, była wyzwolona. Nie oglądając się za siebie, uciekła. W domu już zapalono światła, blask padał z okien na trawnik. Zdziwiał ją szybko pokonała tę dość znaczną odległość i biegnąc w mroku, nie widząc, dopadła drzwi. Dopiero tu się zatrzymała. Obejrzała

się, nasłuchiwała przez chwilę, potem nacisnęła klamkę. Przedtem nie wiedziała, dokąd się obrócić, teraz już nie miała wątpliwości: najprostsza droga rysowała się zupełnie wyraźnie.

W dwa dni później Caspar Goodwood zapukał do drzwi domu przy Wimpole Street, gdzie panna Stackpole wynajęła umeblowane mieszkanie. Nim wypuścił kołatkę z ręki, drzwi otworzyły się i w progu stanęła Henrietta we własnej osobie. Była w kapeluszu i żakiecie, wychodziła właśnie na miasto.

– Dzień dobry – powiedział – miałem nadzieję, że zastanę tutaj panią Osmond.

Henrietta kazała mu chwilę czekać na odpowiedź, ale twarz jej jak zawsze mówiła wiele, nawet gdy usta milczały.

– Dlaczego pan przypuszczał, że ona jest tutaj?

– Byłem rano w Gardencourt. Służący powiedział mi, że wyjechała do Londynu i prawdopodobnie zatrzymała się u pani.

Panna Stackpole znów zwlekała z odpowiedzią, z najzyczliwszych zresztą pobudek.

– Zjawiała się wczoraj i nocowała u mnie, ale dzisiaj rano wyjechała do Rzymu.

Caspar Goodwood nie patrzył na nią, nie odrywał wzroku od progu domu.

– Wyjechała... – powtórzył i zająknął się; nie kończąc zdania i nie podnosząc oczu, zrobił w tył zwrot, ale potem zdawał się niezdolny do żadnego ruchu.

Henrietta przekroczyła próg, zamknęła za sobą drzwi, wyciągnęła rękę i ujęła go za ramię.

– Proszę pana! – powiedziała. – Czas wszystko naprawi.

Spojrzał na nią, ale z wyrazu jej twarzy zrozumiał, cofając się ze wstrętem, że panna Stackpole ma na myśli tylko jego młodość. Obdarzyła go tą taną pociechą, która w jednej chwili dodała mu trzydzieści lat. Szli jednak dalej razem, jak gdyby przyjął od niej klucz cierpliwości.



